

MICHAŁ CHOLEWA

PUNKT CIĘCIA

SPIS TREŚCI

Prolog	3
1 Porzuceni	15
2 Głos Imperium.....	62
3 Podchody	91
4 Niebezpieczny ładunek	136
5 Układanka.....	184
6 Teatr	241
7 Rachunek błędu	288
8 Cień „Chimery”	322
9 Plan awaryjny	394
Epilog	435

Prolog

Świtało, kiedy wahadłowiec admirała Liao Tzu osiadł na płycie lądowiska Tian'anmen, na granicy wewnętrznej strefy zakazu lotów cesarskiego pałacu. Lekka mgielka spowijała wiecznie zielone ogrody, a blask porannego słońca wydobywał jasne refleksy z żółtych dachów odległego o kilka kilometrów Zakazanego Miasta. Wybudowana w centrum Imperium idealna kopia pałacu z czasów dynastii Ming robiła jak zawsze monumentalne wrażenie. Liao potrafił sobie wyobrazić, jak powalający efekt musiał wywierać pierwowzór Zakazanego Miasta w czasach, kiedy ludzie nie kroczyli pośród gwiazd. Siedziba Cesarza z pewnością wydawała się wtedy centrum świata.

Czterech gwardzistów w czarnoczerwonych mundurach czekało pół kroku od strefy bezpieczeństwa lądowiska, tuż obok zaparkowanego samochodu. W porównaniu do żołnierzy z jednostek frontowych, do których admirał był przyzwyczajony, sprawiali wrażenie wręcz operetkowo ceremonialnych bez pancerzy, uprząży i systemów wspomagania. Byli w końcu zaledwie elementem rytuału audiencji, a ich obecność świadczyła o - przynajmniej etykietalnym - szacunku dla gościa. Stanowili też pierwszy system obronny na wypadek problemów - grzeczni, obeznani z procedurami, a każdy z nich znał pewnie z kilkadziesiąt sposobów zabicia człowieka poskładaną kartką papieru.

Naturalnie ochrony Niebiańskiego Smoka nie powierzano wyłącznie tym kilku strażnikom. Gdzieś w okolicy - Liao był tego pewien - czekało wielu innych, gotowych do akcji na wypadek prawdziwych zagrożeń. Ci jednak pozostawali niewidoczni dla gości. Zakazane Miasto miało swoje reguły, a pierwsza z nich mówiła, że ukochany przez poddanych Cesarz w swoim pałacu nie musi się niczego obawiać. Co prawda, na pragmatycznym imperialnym dworze nawet nie rozważano próby kierowania się duchem tej zasady, rygorystycznie dbano jednak o pozory. Demonstrowanie uzbrojonych po zęby żołnierzy gościom byłoby zwyczajnie niewłaściwe.

Mężczyzna zajął miejsce na wygodnej kanapie pojazdu, który sekundę później ruszył poprzez Bramę Południową, wymijając olbrzymią statuetkę Konfucjusza - jedyną budowlę, którą zdecydowano się dodać do nowego Zakazanego Miasta jako element niemający swojego pierwowzoru. Kamienna podobizna mędrca zdawała się śledzić przejazd pojazdu, karcąco spoglądając na zmierzającego do pałacu oficera.

Liao Tzu doceniał ironię faktu, że kiedy Rada Dowódców Chin doprowadziła do narodzin Imperium, jednym z pierwszych dekretów cesarskich było przywrócenie kaście wojskowej jej niegdysiejszego niskiego statusu. Posąg Konfucjusza stał się subtelną, lecz niemożliwą do zignorowania aluzją sugerującą żołnierzom, że Zakazane Miasto nie jest miejscem dla nich. Jakby pomimo tej jasnej deklaracji zbrojenia trwały. Zapewne w swoim planie Niebiański Smok przewidział, że nie wszystko może pójść ścieżką idealnej harmonii, a przynajmniej - nie od razu. Dopóki Imperium musiało bronić się przed najeżdżcą, wojownicy byli potrzebni.

Pojazd sunął cicho po gładkich jak szkło płytach wewnętrznego dziedzińca, kierując się w stronę zachodniej części Miasta. Oficer jednak tylko ułamek uwagi poświęcał na podziwianie emanujących przepychem pawilonów i misternie wykonanych kamiennych smoków spoglądających z postumentów. Myślał o czekającym go spotkaniu. Nie z Cesarzem, rzecz jasna - Liao nie był wystarczająco ważny, by móc zobaczyć Niebiańskiego Smoka osobiście. Obiecano mu jednak spotkanie z mandarynem pierwszego stopnia, a to oznaczało, że sugestie Rady Dowódców były w Zakazanym Mieście traktowane poważnie. Bądź - z czego oficer zdawał sobie doskonale sprawę - grzeczność nakazywała przyjąć należycie emisariusza Rady, która od miesięcy coraz bardziej stanowczo upominała się o swoje prawa.

Być może właśnie to spotkanie pozwoli w końcu imperialnej machinie wojennej ruszyć z miejsca, które Tzu mógł określić tylko mianem zastoju. Od trzynastu miesięcy Imperium nie wykonało ani jednego działania ofensywnego. Przez ponad rok Niebiański Smok w swojej mądrości decydował się nie korzystać z przewagi, którą zapewniła mu właśnie Rada. Oczywiście, oficerowie wierzyli, że obecna statyka linii frontu jest częścią cesarskiego planu, i niecierpliwie wyczekiwali momentu, kiedy przyjdzie im korzystać z jego owoców. Jego Imperialna Wysokość wyraźnie jednak wolał czekać. Być może nie otrzymywał dokładnych informacji lub Ministerstwo Wiedzy wprowadzało go w błąd? A może Jego doradcy po prostu nie byli w stanie pojąć okazji, jaką dał im los? Liao nie zdziwiłby się ani trochę - kasta urzędnicza nie miała charakteru odpowiedniego do prowadzenia wojny i trudno się było spodziewać, żeby raporty ministerialne nie odzwierciedlały jej słabości. A przecież to one stanowiły główne źródło wiedzy Niebiańskiego Smoka.

Liao Tzu spojrział przez przyciemnione okna na poruszające się po dziedzińcach pałacu sylwetki - urzędnicy, gwardziści, służący, wszyscy kroczyli ścieżkami wyznaczanymi przez sztywne rytuały cesarskiego pałacu równie pewnie, jakby ktoś wykreślił je na gładkim podłożu. Pojazd admirała zatoczył lekki łuk, aby dopasować się do ceremonialnego tańca

Zakazanego Miasta. Wyminął raptem o kilka kroków procesję urzędników średniego szczebla i wyhamował przed wysokimi schodami Pawilonu Waleczności. Kiedy automatyczne drzwi samochodu otwały się z cichym sykiem, po obu ich stronach czuwali już milczący gwardziści. Liao musiał przyznać, że był pod wrażeniem - nawet nie zarejestrował, kiedy towarzyszący mu żołnierze opuścili pojazd.

Odetchnął głęboko i wyszedł na lekki chłód poranka.

Przez chwilę pozwolił sobie na podziwianie wysokich, kamiennych schodów wiodących do budowli. To właśnie tutaj dowódcy spotykali się z mandarynami, może nawet z samym Niebiańskim Smokiem. W tym miejscu oficer frontowy mógł najbardziej zbliżyć się do Jego Imperialnej Wysokości. Sam Liao, mimo że służył jeszcze przed Dniem, a stopień admirałski otrzymał podczas narodzin Imperium, długie lata temu, dotąd nigdy nie zawitał do cesarskiego pałacu. Choć zaproszenie przynosiło mu niewątpliwy zaszczyt, admirał czuł niepokój.

To nie był jego świat, na tyle mógł się zgodzić z nieprzychylnie spoglądającym kamiennym Konfucjuszem. Znał jego reguły - w końcu służył jako oficer Imperium - ale nie czuł się tu komfortowo. Prawdziwe bitwy, festiwale świateł ognia raketowego, mozaiki wektorów ruchu i precyzyjne linie namiarów były prostsze od tysięcy parawanów, jakimi mieszkańcy Zakazanego Miasta otaczali każde wypowiedane zdanie. Zmuszony do przedstawienia swoich argumentów najwyższej administracji, Tzu spodziewał się oporu i zdawał sobie sprawę, że czeka go starcie na polu, na którym potencjalny przeciwnik był zwyczajnie lepszy.

W dodatku nie wiedział, czy ma do czynienia po prostu z nieświadomością urzędników wprowadzonych w błąd przez raporty niewłaściwie rysujące sytuację na froncie, czy też z celowym ignorowaniem nadarzających się okazji. Jeśli problemem była niemoc samych urzędników, czekała go ciężka walka, w której dodatkowo nie mógł wspomnieć ani słowem o swoich wątpliwościach dotyczących działań urzędników Zakazanego Miasta. Kwestionowanie pobudek i kompetencji najwyższych mandarynów było niedopuszczalne.

Po raz nie wiadomo który sprawdził, czy galowy mundur admirałski dobrze leży, pochylił głowę i powolnym krokiem wkroczył na schody.

Mandaryn był już stary. Musiał mieć przynajmniej osiemdziesiąt lat. Jego upięte ciasno włosy były białe jak śnieg, a twarz znaczyły mu głębokie linie zmarszczek. Niewysoki i drobny, zdawał się wręcz tonąć w ceremonialnym, jedwabnym stroju zdobionym wizerunkiem żurawia.

Liao Tzu dostrzegł go przy samym końcu niemal pustego pawilonu, na jednym z

dwóch siedzisk przy rozłożonym gobanie. Zdawał się w ogóle nie zauważać oficera, pochłonięty uważnym studiowaniem sytuacji na planszy.

Wokół niego z tworzących zawiły wzór na podłodze pawilonu kwietników wyrastały krzewy jaśminu, wypełniającego powietrze gęstym, słodkim zapachem. Skądś - admirał nie mógł dokładnie określić źródła dźwięku - dobiegał cichy śpiew słowika.

Liao - żołnierz widział przed sobą starego, osłabionego upływem czasu człowieka, łatwego przeciwnika. Liao - wódz patrzył na człowieka mądrego, którego umysł musiał być ostry jak najlepszy miecz, aby utrzymać tak wysoką pozycję na dworze. Do nadchodzącej rozmowy przygotowanego zapewne lepiej niż on sam.

Liao Tzu zatrzymał się dziesięć kroków od starca. Lekko skłonił głowę i czekał. Słowik zamilkł na chwilę i cisza pawilonu szybko wyparła resztki jego pieśni. Żołnierz i doradca trwali nieruchomo na swoich miejscach.

Minęła minuta, potem druga. Wreszcie mandaryn gestem zaprosił go na siedzisko naprzeciw siebie. Admirał okazał, że zrozumiał zaproszenie, pogłębiając ukłon zaledwie o milimetry, a potem powoli podszedł do planszy. Rozgrywana na niej partia osiągnęła punkt zwrotny. Przeważały czarne, a zepchnięte do defensywy białe kamienie urzędnika znajdowały się w trudnej sytuacji.

Starzec uniósł wzrok. Czarne oczy, niemal pozbawione białek - znak rozpoznawczy wspomaganych kilkoma neurozłączami mandarynów pierwszego stopnia - wpatrywały się w oficera. Wskazał ledwo dostrzegalnym drgnięciem dłoni na goban.

Liao Tzu zmarszczył brwi.

- Gra nie jest skończona - powiedział. - Zagrać z tobą, szlachetny Żurawiu, będzie dla mnie prawdziwym zaszczytem, ale czy nie lepiej rozpocząć nową rozgrywkę?

- Życie rzadko pozwala na zupełnie świeży start - uśmiechnął się mandaryn. - Zamiast tego oferuje bitwy, które brzmią echem naszych dotychczasowych kroków.

Admirał lekko zmrużył oczy. Powierzenie mu czarnych kamieni wydawało się jawnym afrontem - zupełnie jakby mandaryn sugerował, iż Liao nie jest w stanie dać sobie rady bez znaczącej przewagi już na początku rozgrywki. Zaczynając na z góry wygranej pozycji, nie miałby żadnej satysfakcji ze zwycięstwa, a porażka byłaby hańbą. Sytuacja nie do pozazdroszczenia...

Z drugiej strony, była również bardzo czytelna, bowiem wyrażała wprost okazaną pobłażliwość. Trochę mało subtelne jak na mandaryna wysokiego stopnia. Zakazane Miasto tak nie działało, tutaj nawet o własnej śmierci człowiek dowiadywał się z uprzejmego listu trzy tygodnie po fakcie. Wydawało się wątpliwe, żeby urzędnik po prostu chciał go obrazić, w

dotatku w tak pozbawiony finezji sposób. Nie, za propozycją musiało się kryć coś jeszcze.

Przyjrzał się planszy po raz kolejny - układ wyglądał nie tylko na korzystny, ale wręcz stworzony specjalnie na jego użytek. Całe ryzyko czarnych tkwiło w słabych skrzydłach, podczas gdy centrum frontu było doskonale ubezpieczone. Dokładnie takie układy na gobanie admirał lubił. Z drugiej strony, jako wprawny gracz, nie mógł nie zauważyć kilku opcji dla białych, które przy umiejętnej grze mogły jeszcze odwrócić sytuację na korzyść przeciwnika.

Być może mandaryn do tego właśnie zmierzał - oferowane mu zwycięstwo było zasadzką i admirał miał zostać pokonany, dysponując początkową przewagą. Mniej uważny gracz mógłby nie dostrzec ukrytej siły białej strony i dać się omamić pozornie pewną przewagą czarnych kamieni. Jednocześnie gdyby pułapka miała się nie zatrzasnąć, w dalszym ciągu będzie to gra w lepszej sytuacji, więc oczywiście przypadnie mu w udziale zwycięstwo pozbawione chwały. Urzędnik rozpoczął spotkanie bardzo dobrym manewrem.

Liao Tzu skłonił się z szacunkiem.

- Jeśli jednak pozwolisz mi w jakiś sposób wynagrodzić trudną pozycję, w jakiej się znalazłeś - zwrócił się do starca - przyjmij jeden kamień wyprzedzenia. Potraktuj go, proszę, jako dar od gościa.

- Hojny to dar. - Twarz mandaryna nie wyrażała nic. - Jako gospodarz nie mogę odmówić.

Urzędnik sięgnął kościstymi palcami do urny i wydobyl jadeitowy kamień. Na planszy położył go niemal natychmiast. Zupełnie jakby był przygotowany na taki prezent, pomyślał Liao. Być może oddanie wyprzedzenia również mieściło się w planach starca. A to oznaczało, że oficer nadal idzie przygotowaną dla siebie ścieżką. Tzu westchnął cicho. Rozmowa zapowiadała się coraz trudniej.

W ciągu następnej godziny nie wypowiedzieli zbyt wielu słów, ograniczając się do krótkich grzeczności. W tym czasie admirałowi udało się skonsolidować słabe prawe skrzydło i wyeliminować większość białych kamieni w tym rejonie. Kilka manewrów starego mandaryna sprawiło, że pozycja Liao na lewym skrzydle była mocno niestabilna i admirał oczekiwał, że utraci je lada moment. Od kilku posunięć była to część jego planu - potrzebował czasu, żeby rozwinąć kontratak, i cicho liczył na to, że przeciwnik da mu go, trwoniąc ruchy na eliminację słabych ognisk.

- Jak wygląda sytuacja w Liaoning? - zapytał nagle mandaryn, pierwszy raz poruszając temat inny niż gra. - Fakt, że prowincja już wkrótce stanie się jedną z najważniejszych w Imperium, musi napawać pana dumą.

- Liaoning podlega Cesarzowi. Ja jedynie mam zaszczyt jej bronić - odparł oficer.

Zdecydował się pominąć temat niekończącej się irytacji, jaką wywoływała w nim sytuacja „już wkrótce jednej z najważniejszych prowincji”. Można by pomyśleć, że decyzja odbudowy nadajnika łączności czasu rzeczywistego, jednego z czterech istniejących, największego cudu technologii wymyślonej przez człowieka spowoduje, że Imperium zechce zabezpieczyć go odpowiednio solidną strefą buforową. Nic bardziej mylnego.

Mimo iż określany kryptonimem Nefrytowy Tygrys nadajnik przechodził już pierwsze testy, nadal nie zadbano o jego bezpieczeństwo. Owszem, dowodzona przez admirała flota została pokaźnie wzmocniona, niemniej oczekiwany rozkaz wkroczenia na terytorium wroga nie nadchodził. Prowincja stała się co prawda twierdzą doskonale umocnioną, ale nadal graniczną. W dodatku nieistotny militarnie i bardzo ważny dla administracji nadajnik wymuszał oddelegowanie części jednostek do jego obrony.

- Cesarz pokłada wielkie nadzieje w pańskich umiejętnościach. - Mandaryn pochylił głowę.

- Wiara Cesarza w moje dowodzenie jest widoczna w każdym rozkazie dotyczącym obronności Liaoning - powiedział admirał, choć jego uprzejmy ton podszyty był kwaśnymi tonami.

Starzec uśmiechnął się tylko zagadkowo i położył na gobanie kolejny kamień, w pozornie niegroźnym manewrze, w którym jednak wprawne oko Liao rozpoznało preludium do ataku. Istotnie, w ciągu kilku następnych ruchów słaba sieć kamieni mandaryna scalała się w klin ofensywy trwającej przez kolejne kilkanaście tur toczonych w milczeniu gry. Minęła godzina, potem druga. Coraz więcej kamieni trafiało do obróconych nakryć urn.

Milcząca służba podała herbatę. Dopiero kiedy ponownie zasiedli przy gobanie, starzec znów się odezwał.

- Przyszedł pan z pytaniem, admirale. - Jego głos był cichy i uprzejmy, ale Liao nie dał się zwieść pozornemu spokojowi. Właśnie teraz rozpoczynała się najważniejsza część pojedynku.

- Można tak powiedzieć. - Skinął głową. - Również z przeprosinami.

Starszy mężczyzna uniósł pytająco brwi i spojrzał na rozmówcę z wyczekiwaniem.

- Rada Dowódców w swej małości dopiero teraz zrozumiała wielki zamysł Niebiańskiego Smoka, który mnożąc pośredników pomiędzy wiernymi żołnierzami Imperium a swoją osobą, starał się wskazać nam właściwą ścieżkę - wyjaśnił Liao Tzu. - Zatem, niewątpliwie zgodnie z jego perfekcyjnym planem, inicjatywa bezpośredniego łącznika wychodzi od nas. Dzięki temu wszyscy będą wiedzieć, że to nie miłujący pokój Niebiański Smok wzywa swe armie, a wierni poddani sami przychodzą do niego.

Mandaryn pokiwał głową. Przez chwilę wpatrywał się w rozłożone kamienie z nieprzenikniętym wyrazem twarzy. Liao czekał - następny ruch miał zdecydować o kierunku uderzenia, jaki poweźmie urzędnik.

- I cóż chciałby Jego Imperialnej Wysokości przekazać łącznik wiernej Rady Dowódców? - Powoli, niemal delikatnie mandaryn umieścił na planszy kolejny biały kamień wydobyty z bogato zdobionej urny.

Tzu zmarszczył brwi - zdawało się, że przeciwnik nie dostrzega jego ofensywy lub świadomie ją ignoruje.

- Rada Dowódców z radością zawiadamia Jego Wysokość, iż zapoczątkowane przez niego plany wkrótce wydadzą owoce. - Liao uważnie zlustrował sytuację na planszy. Jeśli nie popełniał właśnie błędu, układ stawał się niekorzystny dla jego przeciwnika. Z drugiej strony, miał do czynienia z mandarynem pierwszego stopnia. Przy takich osobach nie należało czuć się zbyt pewnym. - Wszystkie floty są gotowe do uderzenia na wrogów Imperium. Ani słaba Unia, ani dumne Stany Zjednoczone nie będą mogły opierać się długo.

- I Rada jest przygotowana do uderzenia... - To nie było pytanie. Mandaryn położył kolejny kamień. Posunięcie nie dawało mu wiele, lecz o ile zmysł taktyka nie mylił Liao, w ciągu następnych kilkunastu ruchów mogło stać się ogniskiem kontry przeciwko jego systematycznemu atakowi. - Lecz pewien mędrzec powiedział kiedyś, że tygrys jest najniebezpieczniejszy, kiedy zostaje przyparty do muru.

- W tych słowach kryje się mądrość - przytaknął oficer. Przez chwilę rozważał możliwości. Mógł zignorować kamień przeciwnika. Zyskałby czas na rozwój ofensywy oraz być może nawet dałoby to mandarynowi złudne wrażenie, że jego zamiar nie został przejrany... Nie, lepiej nie zostawiać tego na później. - Jednak przebywanie w pobliżu tygrysa nie sprzyja harmonii. To zawsze będzie trwanie w gotowości. Człowiek mądry zabije bestię, kiedy dysponuje przewagą.

Mandaryn powolnym ruchem pogładził krótką brodę, patrząc na goban. Zamilkł na dłuższą chwilę, jakby wsłuchując się w słowicze trele. Wokół pachniał jaśmin, słodko i ciężko.

- Widzę, że jest pan gotów poprzeć swe słowa działaniami. - Skinął głową, nie spuszczać wzroku z toczącej się na planszy bitwy. - Istotnie, w niektórych sytuacjach opieszałość prowadzi do słabości.

- Niebiański Smok wspomniałomyślnie pozwolił nam samym dojść do tego wniosku, wyrażając życzenie, by jego wierna armia ograniczyła działania już na ponad rok. Dziś możemy z radością uznać, że pojęliśmy naukę.

- Nie ma dla Cesarza większej radości, niż patrzeć na swych poddanych wspinających się po stopniach oświecenia - rzekł starzec, a jego jednolicie czarne oczy zdawały się spoglądać drwiąco. - Jak zdecydowałbyś się streścić tę naukę, admirale?

- Me słowa tylko zubożą myśl Jego Wysokości... - Tzu skłonił się minimalnie. Nadeszła pora na wyłożenie swojej sprawy. -... lecz mógłbym ująć ją tak: przy tym rozmiarze Imperium obrona jest trudniejsza niż natarcie. Defensywa winna być więc jedynie okresem przygotowania do ataku.

Spojrzał na urzędnika wyczekująco. Nie mógł być już bardziej bezpośredni, nie bez łamania etykiety. Jego rozmówca co prawda na pewno wiedział, do czego zmierzała rozmowa, ale aż do tego punktu mógł się cofać i kluczyć poprzez konwersacyjny labirynt. Teraz będzie musiał coś powiedzieć.

- Nie powinienes tak wstydzić się swojego języka, admirale - zauważył starzec pełnym wystudiowanej grzeczności tonem. - Bardzo wprawne określenie.

Gdzieś na zewnątrz zabrzmiał gong obwieszczający rozpoczęcie kolejnego z setek codziennych rytuałów Zakazanego Miasta.

Mandaryn i admirał znów skupili się na planszy. Kilka następnych wykonanych w milczeniu ruchów nie było dla Liao Tzu korzystnymi posunięciami. Niepotrzebnie stracił dwa ruchy na eliminację domniemanego ataku i jego przeciwnik dobrze wykorzystał dany mu czas. Całe północne skrzydło ofensywy admirała chwiało się i teraz oficer rozpaczliwie usiłował je utrzymać.

- Kto umie wprawiać przeciwnika w ruch, zaskakuje go pozorami, za którymi tamten podąża. - Starzec zdecydował się przerwać milczenie dopiero wtedy, gdy pierwsze promienie zachodzącego słońca wpadły do pawilonu. - Wabi go przynętą, którą tamten na pewno nie pogardzi. Porusza go i nęci, czekając ze wszystkimi siłami w zasadzce.

Liao Tzu skupił się na planszy. Rozpoznał cytat ze „Sztuki wojny”, choć wiedział, że to samo dzieło mówiło o oślepianiu przeciwnika oznakami siły. Sytuacja wcale nie była tragiczna, musiał tylko... Tak! Prawie pozwolił sobie na uśmiech.

- „Pojawiaj się w miejscach, gdzie wróg musi pospieszyć z pomocą i gdzie najmniej się ciebie spodziewa” - odpowiedział cytatem. Dołożył kolejny kamień, rezygnując z obrony upadającego skrzydła tylko po to, by rozpocząć uderzenie. Teraz przeciwnik musiał zdecydować, czy rozbije osłabione pozycje admirała, czy stawi czoła nowemu zagrożeniu.

- Mniemam, że Rada potrafi wskazać takie miejsca?

- „Aby mieć pewność, że zdobędziesz to, co atakujesz, uderzaj w miejsca, których wróg nie broni” - odparł oficer. Rozmowa szła w dobrym kierunku. Pytanie sugerowało, że

mandaryn próbuje dowiedzieć się, jak daleko Rada posunęła się w samodzielnym działaniu.

Mogło to oznaczać zarówno to, że urzędnik naprawdę tego nie wie, jak również być po prostu naturalnym ustąpieniem pola w konwersacji. Liao bardzo chciał wierzyć w pierwszą ewentualność, jednak wolał nie kierować się zbyt wielkim optymizmem. - W tej chwili ukończone są plany uderzeń na systemy Tau II Eris i Kappa I Gemini na froncie Unii, a także Alfa V oraz VI Antares wzdłuż krawędzi kolapsara Wielki Mur.

Jakby na podsumowanie swojej wypowiedzi zdecydowanym ruchem wykonał kolejne posunięcie, zgarniając w dłoń kilka kamieni na zaniedbanym wschodnim skrzydle sił urzędnika. Wiedział, że plan jest dobry, analizował go pod wszelkimi kątami. Zakładał uderzenie w na tyle mało istotne strategicznie systemy, że ich obrona była do przełamania. Jednocześnie musiało ono sprowokować reakcję, co oznaczało, że wróg sam do nich przyjdzie.

- Cesarz zechce osobiście wydać rozkaz ataku - zauważył mandaryn. Zdawał się nie przejmować stratą, którą poniósł na planszy. Kolejnym ruchem połączył dwie grupy białych kamieni, konsolidując linie obronne.

Admirał z trudem powstrzymał się od grymasu irytacji. Oczekiwanie na osobisty rozkaz Cesarza oznaczało de facto odłożenie operacji na bliżej nieokreśloną przyszłość. Najwyraźniej jego rozmówca - admirał skrzętnie odrzucił myśl, że być może i sam Cesarz - chciał zastoju na froncie. Ale na to Liao był przygotowany.

- Staramy się nie przynosić sobie wstydu, nie spostrzegając jasnego sygnału od Jego Wysokości aż dwukrotnie. - Kontynuował ofensywę, niemal bezwiednie kładąc kolejny kamień. Czarny kolor mocno dominował na planszy. - W tym kwartale Nefrytowy Tygrys osiągnie pełną sprawność. W ciągu półrocza zakończy się jego synchronizacja z Jadeitowym Ogniem. Po raz pierwszy od Dnia jedno mocarstwo będzie dysponować dwoma nadajnikami łączności czasu rzeczywistego.

Podświadomie napiął mięśnie. Wiedział, że idzie dosyć niebezpieczną ścieżką. Wszystkie rozkazy Cesarza przechodziły oczywiście przez mandarynów Zakazanego Miasta, co stawiało ich praktycznie na pozycji osób kontrolujących Imperium. Liao był tutaj, żeby zmanifestować, iż Rada Dowódców nie zamierza się bezustannie cofać, że jest gotowa podjąć działania sama. Powołanie się na symbolikę nadajników łączności czasu rzeczywistego pozwalało mandarynom utrzymać twarz - „Sztuka wojny” mówiła, żeby nigdy nie stawiać wroga w sytuacji bez wyjścia - lub też faktycznie zdobyć niewzbudzający wątpliwości rozkaz Niebiańskiego Smoka.

- Istotnie. - Mandaryn podniósł wzrok znad planszy. Wbite w Liao spojrzenie było

jednolicie czarne. - Nie posiadam się z radości, że cierpliwa Rada zdawała sobie sprawę, iż jak długo Nefrytowy Tygrys nie funkcjonuje, atak jest nieostrożnością.

- Rozumiesz, panie, ścieżki, którymi podążają myśli Rady Dowódców, jakbyś sam nimi wędrował. Bez zsynchronizowanych nadajników atak byłby niepotrzebną utratą sił. - Admirał zgodził się bardziej z szacunku dla starszeństwa niż z faktycznej konieczności. Do ataku nie potrzebowali ani Nefrytowego Tygrysa, ani Jadeitowego Ognia, niezależnie od tego, jak bardzo tego chcieli popierający ich konstrukcję. Liao naturalnie pojmował wagę międzygwiazdnej łączności w czasie rzeczywistym, ale zdawał sobie sprawę z tego, jak bardzo odległa jest to wizja. Nie wyobrażał sobie sensownego zastosowania militarnego sieci złożonej z zaledwie dwóch nadajników, mimo jej gigantycznego znaczenia dla nauki i dumy Imperium.

Starzec pokiwał głową, jakby zadowolony z danej mu szansy. Zamiast jednak odpowiedzieć, wrócił do gry. Kolejne posunięcia były tylko odwlekaniem nieuchronnego. Mimo to admirał nie pozwalał sobie na opuszczenie gardy. Cokolwiek by nie powiedział o urzędniku, był doskonałym graczem. Liao miał już swoje lata i potrafił spojrzeć na niego ponad osobistą niechęcią do mandarynów - złapał się nawet na myśli, czy taka osoba nie przydałaby się na froncie.

- Cztery systemy, o których wspomniałeś, nie dadzą nam zwycięstwa, a zaledwie zarysują pancerną skorupę zewnętrznych systemów, którymi otaczają się wrogowie. Ostrze jednak nie zadaje najstraszniejszych ran, kiedy ledwie rozcina skórę, a wtedy, gdy z całą siłą zagłębia się w ciele. Mądra Rada z pewnością pamięta maksymę, iż zwycięzca idzie do bitwy, już wiedząc, że zwycięży, podczas gdy pokonany najpierw wkracza na pole, aby potem szukać sposobu na odwrócenie karty losu. Mniemam, iż plany ataków w głąb terytoriów Unii i Stanów Zjednoczonych są gotowe? - rzekł nagle starszy mężczyzna.

Liao Tzu ledwo dostrzegalnie drgnął. Nie spodziewał się sugestii, że plany Rady są zbyt ostrożne. Przez chwilę rozważał, czy starzec nie próbuje zastawić na niego kolejnej pułapki - jego słowa otarły się o zarzut marnowania sił na mało znaczący atak.

- Cztery systemy, o których wspomniałem, sprowokują wroga do działania. Będzie zmuszony spróbować nas z nich wyprzeć. To przestrzeń bardzo dogodna do prowadzenia bitwy na naszych warunkach - sparował. - Plany kontynuacji ataku istnieją i zostaną przedstawione w pełni na pierwsze życzenie Niebiańskiego Smoka.

Mandaryn przez chwilę milczał, gładząc krótką brodę. Czarne oczy starca wydawały się skupiać na jakimś punkcie za ramieniem admirała, choć oczywiście mogło to być tylko złudzenie.

- Zapobiegliwość Rady Dowódców wskazuje na wielką mądrość - powiedzia ł wreszcie cichym głosem. - Niebiański Smok z radością przyjrzy się planom jak najszybciej, tak aby móc uderzyć na wrogów Imperium, kiedy tylko Jadeitowy Ogień i Nefrytowy Tygrys osiągną pełną synchronizację.

Oficer utrzymał kamienny wyraz twarzy, mimo że wewnątrz trząsł się z nerwów.

„Tygrys jest najniebezpieczniejszy, kiedy zostaje przyparty do muru” - powiedział mandaryn. Kto wie, czy ta nauka nie przyda mu się w tej chwili... Czy urzędnik nadal chce swoją porażkę zamienić w zwycięstwo? Może uważa, że plany nie będą gotowe na czas, więc atak zostanie po raz kolejny odłożony, a kilku admirałów straci pozycję przez domniemaną niekompetencję? Czy też może w ciągu tego kwartału mandaryni planują własny ruch, coś, co sprawi, że plany Rady staną się całkiem bez znaczenia?

- Z radością dostarczymy plany ofensywy - powiedział, starając się, by wątpliwości nie odbiły się w tonie jego głosu. - W dniu, kiedy pierwsza wiadomość popłynie linią pomiędzy Nefrytowym Tygrysem i Jadeitowym Ogniem, zaniemiemy zniszczenie na ziemi naszych wrogów.

Wykonał kolejny ruch, odcinając ostatni oddech od niewielkiego zgrupowania białych kamieni, odgradzonych od głównych sił starca.

Mandaryn spojrzał na goban.

- Pas - powiedział po chwili namysłu. Pomimo porażki wydawał się niemal zadowolony z rozgrywki.

- Pas. - Admirał uśmiechnął się lekko. - Uczynisz mi zaszczyt przeliczenia?

- Tylko ślepiec nie dostrzegłby ogromu twego zwycięstwa, admirale. Liczenie nie jest tu potrzebne. - Mandaryn skłonił się w ledwie zauważalnym ruchu. - Jesteś bezlitosnym graczem.

- Jestem żołnierzem Imperium. - Admirał odpowiedział ukłonem nie głębszym nawet o milimetr. - Bycie bezlitosnym to część mej służby.

- Mogę się jedynie cieszyć, że Niebiański Smok ma w swoich szeregach takich ludzi. Będzie dla mnie radosnym dniem spotkanie pana po raz wtóry. Nie mam wątpliwości - starzec uśmiechnął się uprzejmie, podkreślając wagę swoich słów - iż Rada wybierze cię, admirale, na swojego reprezentanta, który przedstawi w Zakazanym Mieście plany ofensywy. Niezmiernie żałuję, że pańskie obowiązki nie pozwalają zabawić tutaj dłużej.

- Nie wszystkim nam dany jest zaszczyt przebywania blisko Niebiańskiego Smoka. - Liao wstał. - Moja powinność wzywa mnie na powrót do Liaoning. Pozostaje mi jedynie cieszyć się, że dano mi chociaż te kilka chwil na zmierzenie się z tak znamienitym graczem.

Cofnął się z powrotem do linii, na której wcześniej czekał na zaproszenie. Już miał się obrócić, kiedy zatrzymał go głos starszego mężczyzny.

- Admirale.

- Słucham?

- Czy wyświadczysz mi przysługę i przyjrzyj się kamieniom?

- Naturalnie. - Oficer pochylił się lekko i zlustrował opustoszałą planszę. Ustawienie nie było trudne do zapamiętania i nie zostawiało białym zbyt wielu opcji.

Mandaryn po raz kolejny pogładził brodę. Jego czarne oczy zdawały się pochłaniać światło.

- Co widzisz, admirale Liao Tzu?

- Widzę, że los okazał się dla mnie szczęśliwy, szlachetny Żurawiu - odparł uprzejmie Liao. - Moje kamienie są tuż przed zadaniem białym ostatecznego ciosu.

Urzędnik pokiwał głową.

- Patrzysz, admirale, na bitwę, gdyż jesteś wielkim wodzem - powiedział cicho. - Ale nie widzisz wszystkiego, co pokazuje gra.

Starzec obrócił się i odszedł powolnym krokiem. Zaskoczony Liao Tzu raz jeszcze przyjrzał się gobanowi. Wyglądał dokładnie tak samo jak jeszcze przed chwilą, jednak teraz nie stanowił już dla niego świadectwa zwycięskiej bitwy. Był po prostu pojedynczym ruchem w o wiele większej rozgrywce i admirał miał niejasne przeczucie, że jego znaczenia długo jeszcze nie będzie dane mu poznać.

1

Porzuceni

Droga 23-19, New Quebec, terytorium USA, 2.12.2211 ESD, 11:19

Mgła rezonowała nadchodzącą potyczką.

Jej zwykle szepty stopniowo przycichły, ustępując miejsca echom silników pracujących na niskich obrotach. Zanurzony w czarnej wodzie Bagna Wierzbowski przymknął oczy. Osiem. Dwa wyciszone musiały należeć do transporterów osłony - wojskowy sprzęt stworzono po to, żeby trudno go było wykryć. Reszta to pewnie ciężarówki z ładunkiem. Tak skompletowane grupy kursowały pomiędzy koloniami wydobywczymi a centrum składowania urobku od ponad miesiąca. Wtedy to zespołowi Cartwright udało się uszkodzić linię transferową i Amerykanie musieli słać transporty drogami. Siłą rzeczy konwoje nie były zbyt liczne - Sto Pierwsza Dywizja Powietrznodesantowa, która odbiła New Quebec, odleciała, pozostawiając jedynie niewielki garnizon. Miał on bez trudu dać sobie radę z tą częścią unijnych niedobitków, która odmawiała kapitulacji. Cóż, na szczęście dla oddziału Wierzbowskiego, jak dotąd te założenia się nie sprawdzały.

Poprawił chwyt na karabinie. Tuż obok niego zamaskowany błotem Weiss ruchem kciuka odbezpieczył świnkę. Lekkie działko przeciwpancerne cichym piskiem potwierdziło gotowość do prowadzenia ognia. Polak nie musiał widzieć pozostałych, by mieć pewność, że są gotowi. Poprawił wystrzępioną pałatkę z CSSu, przez chwilę obserwując, jak jej barwa stapia się z czarnobrunatną wodą. Potem przymknął oczy i wziął kilka głębokich oddechów.

Dźwięk silników nadjeżdżających pojazdów narastał.

Konwój zmniejszył szybkość, zbliżając się do obszaru, gdzie droga biegła w zanurzeniu. Prowadzący transporter włączył reflektory. Jasne snopy światła wyżłobiły dwa korytarze w szarym całunie Mgły i oświetliły nikonącą w czerni bagna kompozytową nawierzchnię. Podobne sytuacje zdarzały się relatywnie często - budowa wielokilometrowych pomostów była nieopłacalna, kiedy twardy grunt znajdował się na głębokości nieco tylko utrudniającej ruch. Ciężkie pojazdy musiały co prawda zwalniać, gdy sunęły po drodze biegnącej metr pod powierzchnią bagna, ale w większości przypadków ich olbrzymie koła nie były nawet w połowie zanurzone. Na New Quebec rzadko kiedy zysk wynikający z pośpiechu

przewyższał oszczędności, jakie przynosiła tańsza w utrzymaniu trasa. Znaczniki wbudowane w kompozytowe płyty pozwalały pozostać na drodze, nawet gdy ta była zakryta przez bagienną wodę. Dzięki temu nikt nie musiał się martwić o to, że któryś pojazd zjedzie z niewidocznej ścieżki i utknie w błocie, co mogło stanowić dość poważny problem. Sprowadzanie dźwigów oznaczało koszty, a ekonomia była podstawowym prawodawcą w dziedzinie przepisów BHP na dalekich koloniach.

Konwój pojazd za pojazdem zanurzał się w bagnie, przechodząc całkowicie na jazdę według przyrządów i wyczucia kierowców.

- Pancerne burty... Wojskowe ciężarówki. - Głos porucznik w słuchawce komlinka Wierzbowskiego był bardzo bliski szeptu. - Będzie łatwiej.

Sekundę później odpaliły ukryte pod wodą ładunki, niemal unosząc w powietrze prowadzący transporter. W ciągu pięciu uderzeń serca spokojny obraz sunącego przez Mgłę konwoju zamienił się w chaos pełen migotliwych świateł i huk.

Weiss wystrzelił kilkakrotnie ze świnki, raz za razem, i przeciwpancerne rdzenie pocisków otoczone plazmową tarczą pomknęły w stronę pojazdu zamykającego konwój. Ze stanowiska zdalnie sterowanych zabawek Szczeniaka wysunęły się mordercze pazury wiązki raketowej ciągnące za sobą skręcone warkocze dymu, a seria z miotacza granatów eksplodowała kilkoma kulami ognia, rozświetlając powierzchnię moczarów. Prowadzący transporter spóźnił się z uruchomieniem aktywnych systemów obronnych o kluczową sekundę. Ten właśnie czas pozwolił trzem z pięciu pocisków Szczeniaka wpakować się prosto w kabinę. Bierne systemy pancerza dały sobie radę z dwoma z nich, ale trzeci przebił kompozytowe płyty i eksplodował wewnątrz, wypełniając kabinę światłem, ogniem i śmiercią.

Zamykająca konwój maszyna była szybsza - a może po prostu miała więcej szczęścia - i przetrwała inferno pierwszych pięciu sekund zasadzki. Jej załoga postawiła błyskawicznie gęstniejącą zasłonę dymną i otworzyła silny ogień zaporowy, biorąc odwet za atak na kolegów - stanowisko raketowe Szczeniaka zostało momentalnie zmiecione w feerii eksplozji dwudziestomilimetrowych pocisków.

- Są lepiej przygotowani, niż mieli być - zauważył Thorne. Jego głos dodatkowo tłumiała maska tlenowa. - Spodziewali się nas tutaj.

- Wokół konwoju gęsto, mamy piechotę z obu transporterów. Dwanaście, poprawka, szesnaście. Prowadzący niemobilny - do głosu szeregowca dołączył meldunek sierżant Niemi. Finka, podobnie jak Thorne, miała wyznaczoną pozycję przy samym konwoju, tam gdzie czarna woda Bagna była głębsza.

Weiss klepnął Wierzbowskiego w ramię. Obaj mężczyźni poderwali się jednocześnie i pobiegli do drugiego stanowiska. Zasłona gorącego dymu, która osłaniała konwój przed napastnikami, była bronią obosieczną - kryła dwie skulone sylwetki unijnych żołnierzy tak samo dobrze, jak ich przeciwników. Kilkanaście susów i Wierzbowski plasnął w wodę za niewielkim pagórkiem, we względnie bezpiecznej strefie drugiego stanowiska. Obok przykucnął Weiss, natychmiast sięgając po przygotowane na miejscu detonatory.

- Czy akcja jest wykonalna? - chciała wiedzieć Cartwright. Pomimo chaosu głos porucznik pozostawał równie spokojny jak na odprawie dwie godziny wcześniej.

- Tak. - Niemi nie wahała się ani chwili. - Kiedy tylko dostaniemy sygnał.

- Rozumiem. Wierzba?

- Jesteśmy przy stanowisku B - rzucił Polak do mikrofonu. Skrzywił się, kiedy seria bliskich eksplozji pocisków mózdzierzowych obwieściła zniszczenie jego poprzedniej pozycji. - Gotowi do odpalenia.

- Wstrzelili się w A - włączył się Weiss. - Sądzę, że sprzęt będzie nie do odzyskania.

- Isaksson?

- Przebili się przez zagłuszanie. Złoto przeciw orzechom, że właśnie wzywają pomoc. Cokolwiek pani postanowi, zalecam zrobić to szybko.

- Dziękuję. - Wierzbowski niemal zobaczył drapieżny uśmiech porucznik. - Weiss, Wierzba, odpalajcie. Niemi, zaczynacie na T plus trzydzieści.

Polak spojrzął na Wunderwaffe Weissa i odliczył na palcach od trzech. Kiedy doszedł do zera, obaj wdusili przyciski detonatorów.

Kilkanaście jednoczesnych eksplozji zakopanych przy drodze ładunków wybuchowych uniosło fontanny brudnej wody widoczne nawet zza osłony kryjącej obu mężczyzn. Sekundę później eksplodowały kolejne świece dymne, momentalnie pogarszając widoczność w strefie zasadzki ze złej do fatalnej.

Jazgot broni jankesów dowodził jednak, że przeciwnicy nie dali się wystraszyć. Kanonada dokładnie pokryła strefę, gdzie rozstawione przez Isaksson wabiki generowały fałszywe echa cieplne, do złudzenia przypominające źle zamaskowanych ludzi.

Dwadzieścia, trzydzieści sekund, wreszcie minuta. Wierzba przymknął oczy i wsłuchał się w odgłosy odległej o zaledwie sto metrów walki. Mgła robiła dziwne rzeczy z dźwiękami i kiedyś, dawno temu, Polak czuł się w niej zagubiony. Ale wtedy był tu obcym, intruzem na Bagnie. Teraz cieszyła go jej obecność. W wilgotnym powietrzu niósł się pluszczący dźwięk biegnących przez głęboką ponad kolana wodę żołnierzy oskrzydających domniemane pozycje przeciwników, jakimś cudem przebijający się przez serie karabinowe.

Potrafił rozróżnić odgłosy silników wojskowych ciężarówek. Mógł usłyszeć huk ognia trawiącego trzewia prowadzącego transportera i rozpaczliwe wrzaski co bardziej pechowych ofiar dość niecelnego ostrzału.

A potem... coś jeszcze.

- Kilka strumieniowców, trzy, może cztery. Odsiecz. - Głos Sokolego Oka zabrzmiał w słuchawce dokładnie w momencie, kiedy Marcin zidentyfikował dźwięk jako turbiny mohikanów.

- Rozumiem. Niemi? - Cartwright zareagowała natychmiast.

- Kończymy. Dziesięć, piętnaście sekund i po robocie. - Rzeczowy raport Finki zupełnie nie sugerował, że kobieta znajduje się o kilkanaście kroków od amerykańskich żołnierzy. - Możecie się cofać, poradzimy sobie.

- Przyjęłam, cofamy się. Pary jak na odprawie, stanowisko Gemini, osiem godzin.

Odpowiedziała jej fala cichych potwierzeń. Zadanie zostało wykonane, teraz trzeba było zniknąć, zanim amerykańska pułapka się zatrzaśnie.

Kiedy Wierzba i Weiss oddalali się od miejsca zasadzki, przy konwoju wciąż jeszcze rozbrzmiewał intensywny ostrzał ochraniających go żołnierzy. W chaosie i zamieszaniu nawet wyszkolenie i dyscyplina nie pozwalały im odróżnić prawdziwych upiorów od tych stworzonych przez ich własną wyobraźnię.

Wierzba i Wunderwaffe sunęli niemal bezgłośnie poprzez wytłumiający dźwięki szary opar, przyjazny i miękki. Gdzieś z tyłu nad strefę zasadzki nadlatywały amerykańskie strumieniowce, najpierw kilka, które usłyszeli, potem następne. Ogień ucichł, kiedy ochrona konwoju zorientowała się, że nie ma z kim walczyć. Świst silników mohikanów zataczał w powietrzu nierówne pętle - maszyny na próżno poszukiwały wrogich żołnierzy.

Gdzieś daleko za ich plecami pozostali też Niemi i Thorne, ale Marcin Wierzbowski nie martwił się o nich ani trochę. Nie potrafił sobie wyobrazić zagrożenia, które dałoby sobie radę z tą dwójką.

Idąc w głębokiej po kolana wodzie w stronę bezpiecznego schronienia bunkra Gemini, żołnierz uśmiechał się do siebie. Szósty raz Amerykanie zasadzali się na ludzi Cartwright. Szósty raz pętla zaciskała się w próżni. Osiem widm pozostawało nieuchwytnych.

*

Kiedyś jakiś chiński mędrzec - Wierzba był niemal pewien, że Sun Tzu - powiedział, iż zwycięstwo płynie z poznania przeciwnika. Wtedy znaczyło to zapewne zwyczaje i lęki nieprzyjacielskich wodzów oraz sposoby myślenia generałów ustawiających wojska do bitwy. W nowoczesnej wojnie często wystarczyło poznać procedury. Osiem osób było siłą zbyt

małą, bo wydać bitwę komukolwiek. Taki oddział mógł być postrzegany co najwyżej jako niewygoda. Co prawda, ostatnie miesiące wykazały, że żołnierze Unii potrafią zadać straty, ale nadal żaden wielki wódz nie nosił się z zamiarem stawienia czoła Cartwright.

Amerykanom zwyczajnie nie opłacało się dosyłać posiłków.

Prawdziwym przeciwnikiem ósemki żołnierzy były właśnie procedury - sposoby postępowania tak głęboko wbite w szkolenie, że właściwie wykonywały się same, bez udziału myśli. A amerykańskie podręczniki dla dowódców piechoty Cartwright miała rozpracowane perfekcyjnie. Zнали więc z wyprzedzeniem każdy kolejny krok podejmowany przez ochronę zaatakowanego konwoju, jak również wiedzieli, co prawdopodobnie zdarzy się później.

Za jakieś dwadzieścia minut strumieniowce zbiorą amerykańskich rannych i konwój ruszy do bazy. Porzuci wypalony wrak transportera opancerzonego zniszczonego pociskiem Szczeniaka - jedyną poważną stratę jankesów podczas potyczki. Pozostawi też Niemi i Thorne'a, ukrytych pod czarną powierzchnią wody, przez którą przejeżdżały ciężarówki. Ta dwójka podczas całej wymiany ognia przemieszczała się pod wojskowymi pojazdami niezauważona przez przeciwnika, wykonując właściwą część planu.

Mniej więcej za godzinę kolumna dotrze do bazy macierzystej, żołnierze udadzą się na odprawę, a pojazdy do parku maszyn.

Za trzy godziny eksplodują ładunki, które podłożyło dwoje ludzi Cartwright. W wydzielonych dla wojska strefach kolonii pojazdy na ogół stały poupychane gęsto obok siebie. Przy odrobinie szczęścia ta jedna akcja poważnie uszczupli możliwości pościgowe amerykańskiego garnizonu.

W tym czasie oddział Cartwright będzie już daleko.

*

Odkąd siły Unii Europejskiej opuściły planetę, minęło już niemal cztery i pół miesiąca. Oddział Cartwright pozostał, wiedziony nagłym porywem humanitaryzmu, i Wierzbowski miewał chwile, kiedy tego żałował. Nie trwały one zbyt długo - nadal uważał, że odstępianie rannym miejsc w strumieniowcach było tym, co należało zrobić. Po prostu oczekiwał, że wkrótce ich szczęście się wyczerpie, a Amerykanie wreszcie dopadną niewielką grupę ukrywających się we Mgle żołnierzy.

Nie miał wątpliwości, że warunki panujące na moczarach oraz mała wartość samego New Quebec były jedynymi powodami, dla których w ogóle jeszcze żyli. Nie opłaca się w końcu strzelać z armaty do muchy, nawet jeśli jej bzyczenie jest irytujące. Ostatnio jednak kilka sprawnie przeprowadzonych akcji powoli przenosiło ósemkę żołnierzy z kategorii „lekką irytująca niewygoda” do „wróg destabilizujący wydobyć” i mały oddział zmuszony

był nauczyć się w pełni wykorzystywać przewagę, jaką dawało Bagno tym, którzy je dobrze znali. Detektory ruchu, kamery multispektralne, obserwacja z powietrza... wszystko to miało niemiły zwyczaj zawodzenia na wiecznie spowitych szarobiałą zasłoną moczarach. Poza wyrwanymi planecie wyspami placówek górniczych człowiek zdany był praktycznie wyłącznie na własne wyczucie.

Polak już od dawna czuł się swobodnie we Mgle, korzystając z osłony jej miękkich i cichych pasm oraz stąpając w rytmie zlewającym się z jej szeptami. Nauczył się nie polegać na sprzęcie i słuchać jej cichych podpowiedzi, wypatrywać lekkich drgnień siwych smug, zdradzających ruchy przeciwników.

Wiedział to wszystko, ale i tak zdawał sobie sprawę, że prędzej czy później wróg weźmie się za nich naprawdę na serio. A wtedy ich dni będą policzone.

Bunkier Gemini, New Quebec, terytorium USA, 2.12.2211 ESD, 21:49

Bunkier Gemini, postawiony tu przez zwiadowców podczas unijnej okupacji New Quebec, był prawie niewidoczny, nawet kiedy wiedziało się, gdzie go szukać. Prefabrykowana konstrukcja, na wpół zanurzona w błocie i przykryta CSSowymi płachtami niemal idealnie stapiała się z jednolicie szarym krajobrazem Bagna. Trudno go było też nazwać przestronnym - pomiędzy zapasami, konsolą radiową, ciasnym ambulatorium i stanowiskiem sterowania perymetrem pozostawało niewiele miejsca. Tę wolną przestrzeń w dużej mierze zresztą zajmowały teraz plecaki, ustawiony na pełną moc grzejnik pokryty mokrymi ciuchami i stojący obok rzędek nieprzemakalnych, według producenta, butów. Wojna z wilgocią była oczywiście z góry skazana na porażkę, ale to nie znaczyło, że mieli rezygnować choćby z prób podsuszenia rzeczy.

Dlatego też, kiedy wszyscy akurat siedzieli wewnątrz, Wierzba nie mógł pozbyć się wrażenia, że znajduje się na zatłoczonej ulicy. Osiem osób na małej przestrzeni po prostu oznaczało tłum. O dziwo, nie było to jednak uciążliwe. Marcin przebywał na Bagnie od dziewięciu miesięcy, z czego ponad cztery stanowiła partyzancka wojna Cartwright. Przez ten czas Polak przywykł do uczucia samotności, jakie stwarzała wszechobecna Mgła, dzięki której nawet odległy o kilkanaście kroków człowiek zdawał się być w innym świecie, i polubił je. Mimo wszystko jednak świadomość ludzkiej obecności miała duże znaczenie. Powolne stawanie się częścią świata Mgły, majaków i ułudy nie potrafiło całkiem zagłuszyć pradawnych, wprogramowanych przez milenia ewolucji mechanizmów. Zagubiony na Bagnie, nieco bardziej rozwinięty małpolud wciąż pamiętał, że nieznane jest mniej groźne, kiedy przebywa się w stadzie.

Tuż obok niego, z medplastrami na gołych stopach, drzemał oparty wygodnie o plecak

Thorne. Żołnierz w dalszym ciągu stanowił dla Polaka zagadkę. Starszy o dobre osiem lat od Wierzbowskiego nadal był szeregowcem, co sugerowało jakiś poważny problem z administracją wojskową. Jednocześnie sprawiający wrażenie ciągle lekko znudzonego, wydawał się czuć na Bagnie jak w domu. Jakby po długich mękach zorganizowanej walki zbrojnej właśnie takie balansowanie na krawędzi najbardziej mu odpowiadało.

Widoczna przez otwarte drzwi do pomieszczenia kontrolnego sierżant Niemi, małowówna Finka o oczach w kolorze stali i włosach niemal tak jasnych jak Mgła, rozmawiała o czymś ściszym głosem z porucznik.

Na środku niewielkiego pomieszczenia Szczeniak toczył z Isaksson codzienną potyczkę słowną na temat racji żywnościowych. Ta dwójka gorzej niż pozostali znosiła samotność. Wobec braku współpracy ze strony kolegów z oddziału musieli wypracować pewną samowystarczalność w tej dziedzinie - a posiłki były świetną okazją do kontaktu. Przypominały dawne czasy uporządkowanego wojskowego życia, kierowanego przydziałami i procedurami. Nie bez znaczenia był fakt, że wobec ciągłej ruchliwości oddziału i nieregularności jego działań przypadały również na niewielkie wycinki czasu, który można było uznać za wolny.

- Co masz? - Isaksson była w szampańskim humorze. Ona i Weiss wylosowali na wieczór jedyne, przechowywane jak skarby suche mundury oddziału. Spojrzała na rację żywnościową Szczeniaka, głośno wciągając powietrze nosem. Zamknięta porcja siedzącej po turecku radiooperatorki spoczywała na jej udach.

- Pyszne jedzenie, oczywiście. - Van Reuters, w samych spodenkach i podkoszulku, z namaszczeniem nabił na plastikowy widelec kawałek czegoś, co mogło być mięsem. - Jest ciepłe i ma wszelkie wartości odżywcze, jakich potrzebuje mój organizm. Ma też smak.

- Brzmi niesamowicie - mówiąc to, Szwedka wprawnym ruchem wyjęła nóż i rozcięła opakowanie racji. - Jaki?

- Obawiam się, że będę musiał potrzymać cię w niepewności. - Szczeniak przybrał pełną namysłu minę. - Ale to tylko z tego powodu, że sam jeszcze nie umiem tego określić, a nie dlatego, że już cię nie kocham.

- Co za ulga. - Radiooperatorka wyróciła oczami i poprawiła zbyt długi rękaw munduru przewidzianego na kogoś o wiele większego. - Moja jedyna szansa - człowiek o wymaganiach tak niskich, że absolutnie każdy posiłek zaczyna od chwalenia wojskowych racji...

- Och, powiedz tylko, że cię to nie śmieszy.

- A to coś da?

- Przestanę. Słowo.

- Zatem: nie śmiesz mnie to. - Uśmiechnęła się słodko, ruszając zabawnie palcami bosych stóp.

Szczeniak prychnął głośno i zajął się swoją porcją. Co jakiś czas zerkał znad posiłku na koleżankę, jakby chciał się upewnić, że ta na pewno jest świadoma jego udawanej urazy.

Wierzba popatrzył na swój nieodpakowany jeszcze zestaw. Nie był głodny, ostatnimi czasy w ogóle rzadko bywał, ale porucznik zarządziła jedną ciepłą porcję dziennie. Bazując na zasobach rozrzuconych przez zwiadowców, nim ci opuścili New Quebec, drużyna miała ich więcej, niż potrzebowała i - paradoksalnie - była lepiej odżywiona i wyposażona niż w ostatnich dniach regularnej bitwy o Bagno.

Zabawne - dopiero teraz, na planecie wroga, mogli czuć się żołnierzami pełną gębą, nie liczyć amunicji i leków. Zupełnie jakby armia w końcu sobie o nich przypomniała, teraz, gdy już pozostali daleko za jej plecami.

Kończyli właśnie posiłek, kiedy porucznik wyszła ze stanowiska sterowania. Jeyne Cartwright w ciągu ostatnich miesięcy zdawała się niemal pozbawiona człowieczeństwa, jakby jej organizm po kolei eliminował cechy, które nie były absolutnie niezbędne do przeżycia oddziału i jej samej. Praktycznie nie spała, chociaż nikt nie dostrzegał u niej efektów brania stymulatorów. Bez końca studiowała mapy, planowała przemarsze, przygotowywała się do kolejnych uderzeń. Nigdy nie szła na skróty. Zanim padał pierwszy strzał w zastawionej pułapce, drużyna od przynajmniej dwóch tygodni kręciła się po okolicy, zbierając dane, obserwując patrole i drogi. Porucznik natomiast spędzała długie godziny na analizowaniu zdobytych informacji. Czasem rozmawiała z Niemi, rzadziej z innymi - i tylko wtedy, kiedy wydawała rozkaz lub o coś pytała. Niewidzialna bariera rozdzielająca oficerów i resztę żołnierzy nie tylko nie została zniesiona, ale ostatnie miesiące jakby ją jeszcze wzmocniły.

- Isaksson - powiedziała Cartwright, stojąc w wejściu do pomieszczenia radiowego. - Już pora.

Szwedka bez słowa oddała Szczeniakowi opakowanie z resztkami posiłku i podniosła się z miejsca. Po chwili zniknęła za uchylonymi drzwiami.

Jedyny problem z Bagnem stanowiła całkowita izolacja. Drobne starcia pomiędzy oddziałem a garnizonem amerykańskim trudno było nazwać czymś więcej niż incydentami. Wojna - prawdziwa wojna - omijała New Quebec szerokim łukiem. Nie słyszeli jej zewu, przekazywanego tysiącem czołgowych silników, nie widywali przemykających jak duchy strumieniowców. Pociski okrętowe nie rysowały na niebie skomplikowanych krzywych

podczas walk orbitalnych. Prawdziwa wojna mogła toczyć się o jeden skok dalej lub być dawno zakończona - nie mieli szans tego określić. Czasami po trudnej potyczce albo długim i forsownym marszu Wierzbę łapał się na powracającej myśli - a co, jeśli zwyczajnie o nich zapomniano? Jeśli ich działania były po prostu ostatnim podejmowanym przez Cartwright wysiłkiem, żeby całkiem nie dać się zagubić, rozpuścić we Mgle? Marcin rozmawiał kiedyś o tym ze Szczeniakiem. Holender co prawda zbył wszystko dość marnym żartem, ale śmiał się zupełnie bez przekonania. Pewnie też się nad tym zastanawiał.

Jedynym świadectwem, że drużyna Cartwright jest częścią jakiegokolwiek większego organizmu, że istnieje coś poza nimi i Amerykanami z garnizonu, był codzienny rytuał składania raportu. Każdego wieczora, tuż po posiłku, Isaksson włączała radiostację i przebiegała wszystkie bezpieczne częstotliwości, na każdej wysyłając raport z działalności oddziału. Początkowo meldunki były kompletne i szczegółowe - z czasem jednak, w miarę jak rosło prawdopodobieństwo, że bezpieczne częstotliwości zostały w końcu odkryte, stawały się coraz bardziej zwięzłe, by wreszcie ograniczyć się do informacji o istnieniu jednostki.

Każdego dnia kilka par oczu niezmiennie śledziło też skupioną na konsolcie łączności Szwedkę. Usiłowali wyłowić z ciszy jej mówione niemal szeptem słowa, nasłuchiwali nagłej reakcji czy przyspieszonego oddechu. Czegokolwiek, co mogłoby oznaczać zmianę.

Nikt im nigdy nie odpowiedział. W systemie prawdopodobnie nie znajdował się ani jeden żołnierz Unii, który nie był podwładnym Cartwright, a radio zwyczajnie nie mogło wysłać wiadomości nigdzie dalej. Zimna logika kazała przypuszczać, że codzienne nadawanie jest już tylko stratą czasu i wystawianiem się na zbędne ryzyko. Z jakiegoś jednak powodu nikt, nawet Weiss czy Thorne, nigdy nie zakwestionował sensu cowieczornego seansu radiowego. Rachunek prawdopodobieństwa to tylko liczby, więc zawsze istniał ułamek procenta szansy... nikt właściwie nie wiedział, na co.

Tego wieczora ułamek procenta okazał się wystarczający - składająca cichym głosem meldunek Szwedka nagle zamilkła. Przez chwilę poprawiała zestaw słuchawkowy, po czym zaczęła pospiesznie wprowadzać jakieś komendy w interfejsie konsoli łączności. Kiedy zmarszczyła śmiesznie brwi, zsunęła słuchawkę z jednego ucha i odwróciła się w stronę dowódcy, obserwowali ją już prawie wszyscy.

- Nie jestem pewna, pani porucznik - powiedziała powoli, z namysłem, jakby sama trochę wątpiła w swoje słowa - ale chyba coś mam.

- Nasi? - Cartwright momentalnie znalazła się przy radiooperatorce.

- Właśnie trudno powiedzieć. To nawet... nie wygląda jak zwykła łączność.

Isaksson podała zestaw słuchawkowy porucznik. Ta założyła go i na chwilę zamarła, skupiona na niesłyszalnej dla pozostałych żołnierzy transmisji.

- Chcę wiedzieć, co to jest - powiedziała wreszcie, oddając Szwedce słuchawki. - Jeśli da się zidentyfikować nadawcę, tym lepiej.

- Tak jest. - Niebieskie oczy radiooperatorki zabłyśły podnieceniem. Pospiesznie wdusiła kilka przycisków na konsolcie, aktywizując jeden z bocznych ekranów. Ręce dziewczyny niemal rozmyły się na klawiaturze.

Cartwright obserwowała ją przez moment, a potem zwróciła się ku reszcie żołnierzy, wpatrzonych w widoczną przez uchylone drzwi kabinę łączności. Nawet Thorne'owi nie udało się całkiem ukryć zainteresowania.

- Warty według normalnego rozkładu, reszta niech próbuje spać. Jej nie pomożecie - wskazała za plecy, na pracującą radiooperatorkę - a kiedy już skończy, być może trzeba będzie się zbierać.

Zrobiła krok w stronę stanowiska sterowania perymetrem, lecz zatrzymała się. Przez chwilę jakby rozważała, co powiedzieć, wreszcie jednak tylko kiwnęła energicznie głową i wyszła. Wierzba nie był pewien, ale porucznik chyba się uśmiechała - pierwszy raz od miesiący.

*

Niemi miała akurat zmianę perymetrową, przez co ciasne wnętrze bunkra stało się minimalnie bardziej komfortowe. Oczywiście Wierzbowski, pomimo podejmowanych prób, nie mógł zasnąć. Ostatnio zresztą rzadko bywał śpiący - od miesiący nie sypiał dłużej niż pięć godzin na dobę, ale z jakiegoś powodu zmęczenie jeszcze nie dawało mu o sobie znać. Może to była kwestia przyzwyczajenia, a może po prostu Bagno tak działało. Świadomość, że w sąsiednim pomieszczeniu Isaksson odcyfrowuje wiadomość wysłaną na częstotliwości kontaktowej, również nie pozwalała mu zmrzyć oka. Nie jemu jednemu zresztą. Szczeniak siedział na podłodze bunkra dokładnie naprzeciwko uchylonych drzwi do kabiny radiowej, wybijając dłońmi nierówny rytm na podkurczonych udach.

- Jak sądzisz, co to? - zwrócił się do Polaka, kiedy tylko ten otworzył oczy. - Ktoś po nas przyleciał?

- Nie wiem. - Marcin nawet się nad tym nie zastanawiał. - Trochę nie widzę powodu, dla którego miałby to robić akurat teraz.

- Zapomnieli czegoś ważnego? - zgadywał szeregowy. - Stwierdzili, że mało im razów, i postanowili najechać Bagno po raz drugi?

-... A kiedy siedzieliśmy tutaj, wybrali cię na prezydenta. To musi być to.

- Nie obraziłbym się. - Van Reuters uśmiechnął się słabo. - Ani trochę.

- Z twoim szczęściem, wiesz...

- Moje szczęście trzyma was przy życiu, bando darmozjadów. - Szczeniak obdarzył go wyniosłym spojrzeniem. - Dawaj karty, sprawdzimy. Figura oznacza, że to nasi. Blotka, że jankesi.

Marcin sięgnął do kieszeni munduru. Jego szczęśliwa talia nadal tam była, bezpiecznie ukryta w foliowym woreczku, razem z holo siostry. Wydobył ją i szybko przetasował. Części kart brakowało, pozostałe przeszły w ciągu ostatnich miesięcy - dosłownie - próbę wody. Brały udział w tuzinie potyczek z siłami amerykańskimi, pławiły się w moczarach, a raz nawet o mało nie spłonęły. Ktoś uważny mógłby pewnie z nich wyczytać całą trasę bojową dowodzoną przez porucznik Cartwright drużyny.

Z jakiegoś powodu Szczeniak nabrał przekonania, że świetnie nadają się do zaklinania losu, i z dużym upodobaniem propagował tę teorię. Miał przy tym szczęście i zwykle faktycznie trafiał pożądaną kartę. Sam Wierzbowski nie wierzył w takie rzeczy, ale musiał przyznać, że miło było mieć pomyślną zapowiedź na następny dzień, nawet jeśli sygnował ją kawałek nadpalonego plastiku. Coś z prawdy musiało być w przysłowiu, że w okopach nie ma niewierzących.

- Nie wiem, czy zauważyłeś, ale figur jest trochę mało. Zużywają się. - Przetasował karty, jednocześnie odtwarzając w myślach ich układ. - Przełoż.

- Tasowałeś.

- Tak. I wiem, że na wierzchu jest dziewiątka trefl - odparł Polak. - To szmaciana wróżba, więc przełoż, ma być losowo.

Szczeniak odebrał mu talię i spojrzał na nią podejrzliwie. Odgiął róg pierwszej od góry i zerknął na nią szybko.

- Nie mieści mi się w głowie, dlaczego nie grasz w karty zawodowo. - Przełożył talię.

- Nie umiem blefować.

- Ja cię nauczę, monsignore. - Van Reuters kilka razy zabębnił paznokciami w wierzch talii. - To nie problem.

- Jestem pewien. - Wierzba uśmiechnął się krzywo. - Pociągnij kartę.

- Tak, wiem...

Szczeniak przymknął teatralnie oczy i zatoczył dłonią krąg nad trzymaną w drugiej ręce talią. Nie zdążył jednak zrobić nic więcej, bo właśnie wtedy z kabiny radiowej wypadła z trzaskiem uderzających o ścianę drzwi Isaksson. Oczy radiooperatorki błyszczały, a na

brudnej twarzy wykwiłł promienny uśmiech.

- Mam to! - rzuciła radośnie do kolegów. - Jestem królową łączności!

- Jeśli tylko o tym mówi owa wiadomość - na postaniu pod ścianą Thorne otworzy 1 jedno oko - uznaję to za spory zawód.

Dziewczyna prychnęła i miała właśnie ruszyć do stanowiska dowodzenia, kiedy w jego drzwiach stanęła Cartwright.

- Poprzecie to czymś więcej niż okrzykiem, szeregowo? - spytała cicho, lecz z naciskiem.

- Tak jest - zmieszała się Szwedka. - Mam wiadomość, jest krótka, ale dalszy nasłuch to tylko zapętlenie tego samego zestawu danych.

Szybko podeszła do dowódcy i podała jej datapad. Ta przez chwilę przyglądała się w milczeniu wyświetlonym na ekranie informacjom.

- Identyfikator nadawcy? - spytała wreszcie.

- Pakiet kodowy. Tutejszy sprzęt nie rozpoznaje go, ale może po prostu to powyżej jego uprawnień. W ogóle ten format jest dziwaczny. To, co wzięłam początkowo za szyfrowanie, tak naprawdę było pewnego rodzaju szumem - tłumaczyła Isaksson z przejęciem. - Zresztą sama wiadomość też nie jest lepsza. Strumień ma nieregularne przerwy i strasznie niską rozdzielczość. Jakby ktoś wysyłał dane na glinianej tabliczce.

- Jakież pomysły, dlaczego? - Cartwright na chwilę uniosła wzrok znad ekranu.

- Nie. - Radiooperatorka pokręciła szybko głową. - To koszmarnie niepraktyczne. To, co pani widzi, pochodzi z prawie pięciu minut nadawania.

- Może uszkodzony nadajnik? - zasugerował Sokole Oko. Marcin nie zauważył, w którym momencie kapral wstał ze swojego postania. Po prostu nagle był tuż obok.

- Nie wykluczam... - Isaksson zmarszczyła brwi. Wierzbowski patrzył na koleżankę i w tym momencie z trudem powstrzymał się od parsknięcia śmiechem. W sytuacjach takich jak ta wychodził z niej dziecinny niemal entuzjizm.

- Potem się tym zajmiemy - przerwała jej porucznik. - Alvarez, proszę ściągnąć tu sierżant Niemi.

Sokole Oko tylko skinął głową i sięgnął po zestaw słuchawkowy. Szczeniak spojrzął na Wierzbowskiego i rozłożył w milczeniu ręce.

- W pakiecie danych znalazłam też współrzędne geograficzne, ale żadnych odniesień do siatki taktycznej - podjęła Szwedka. - Mogę nanieść je na nasze mapy i wtedy dowiemy się, gdzie to jest...

- Nie ma potrzeby, szeregowo. - Cartwright w namyśle potarła podbródek grzbietem

dłoni. - Doskonale wiem, gdzie to jest.

*

Kilka godzin później porucznik zebrała oddział do odprawy. W bunkrze mającym na celu zaopatrzenie działających niezależnie czteroosobowych oddziałów zwiadu brakowało oczywiście właściwego ku temu miejsca - żołnierze zgromadzili się po prostu przy składanym stoliku w głównym pomieszczeniu. Na blacie leżał datapad z odcyfrowaną przez Isaksson wiadomością. Nie było tego wiele. Większą jej część stanowiła mapka, czy też plan sytuacyjny jakiegoś miejsca na Bagnie, którego koordynaty nic Wierzbie nie mówiły. Identyfikacja po punktach charakterystycznych też nie wchodziła w grę - niewielki, dobrze opisany posterunek był raczej typowy, a coś, co mogło okazać się zarówno magazynem, jak i po prostu oznaczoną prostokątną strefą, również nie budziło żadnych szczególnych skojarzeń. Nadawca wiadomości uznał za to za stosowne umieszczenie dokładnych informacji dotyczących pola obserwacji sensorów ochraniających posterunek, jego wyposażenia oraz załogi. W kilkunastu liniach opisu podane zostały nawet godziny recalibracji czujników i czas łączności z garnizorem.

- Patrzyć na dane taktyczne zawarte w przekazie z dzisiejszego wieczora - zaczęła Cartwright. - Łatwo się domyślić, że nie dostaliśmy ich po nic. Jak można wyczytać z wiadomości, Amerykanie przetrzymują tam oficera wywiadu Unii.

Ktoś wciągnął głośno powietrze, ktoś inny rzucił ciche, niedowierzające „kurwa mać”. Tajemniczy oficer wywiadu nieco wyjaśniał sprawę niespodziewanej wiadomości. Ktokolwiek ją wysłał, musiał mieć w głębokim poważaniu Cartwright i jej ludzi - nadał dopiero teraz, bo pojawiła się potrzeba ich wykorzystania.

- Mamy rozkaz uderzenia na posterunek i uwolnienia jeńca. - Cartwright jakby nie zauważyła reakcji podwładnych. - Nie posiadamy precyzyjnych danych na temat nadawcy przekazu, niemniej używa on kodów dowódczych Dowództwa Operacji Specjalnych.

Thorne przymknął oczy i ciężko westchnął, a Szczeniak odchylił głowę w tył i zaśmiał się bezgłośnie. Po tym, jak kilka miesięcy temu oficer Operacji Specjalnych skazał kompanię dowodzoną przez Cartwright na śmierć tylko po to, żeby wykonać swoje zadanie, notowania Dowództwa nie były wśród ocalałych szczególnie wysokie. Thorne twierdził nawet, że cały atak na New Quebec i rzeź Czterdziestego Regimentu były prawdopodobnie ustawione tylko pod działania oesów i choć wszyscy zdawali sobie sprawę, że szeregowiec nie może tego wiedzieć, jego teoria miała sens. Nagły atak w głąb terytorium Stanów Zjednoczonych, późniejsza beczynność, wreszcie determinacja Dowództwa Operacji Specjalnych w kwestii zajęcia starego wraku, który leżał w błocie od siedmiu lat, dawały sporo do myślenia. I choć

same w sobie nie były dowodami, to ludzie Cartwright przecież ich nie potrzebowali. W grupie odciętych od własnych sił, działających samotnie żołnierzy hipotezy tego rodzaju padały na podatny grunt - zwłaszcza jeżeli pozwalały określić wroga, kogoś, kogo można było darzyć czystą, bezinteresowną niechęcią.

Amerykanie niespecjalnie pasowali do tej roli - trudno było czuć nienawiść do rozmytych we Mgle sylwetek, z którymi w zasadzie nie mieli bliższego kontaktu, w dodatku broniących swojego terenu - na New Quebec to Unia była najeźdźcą. Jankesi, choć nieprzyjaciele, nader często widziani tylko ponad lufą karabinu, nie budzili żadnych szczególnych uczuć.

Z kolei żołnierze oesów ze swoją bezwzględnością i podejściem do pozostałych oddziałów Unii zdecydowanie lepiej nadawali się na cel niechęci.

- Rozkaz zaleca jak największy pośpiech, jeniec ma być przenoszony w ciągu kilku dni. - Porucznik nie zmieniła intonacji, choć zmierzyła Thorne'a ostrym spojrzeniem. - Z tego względu zarządzam wymarsz oddziału za pół godziny. Celem będzie bunkier Virgo, około piętnaście kilometrów na północny zachód stąd.

Szczeniak podrapał się po karku i spojrzał na Wierzbowskiego z ponurą miną. Nie trzeba było telepatii, żeby odgadnąć, o czym myśli, choć zwerbalizowanie jego rozważań wymagałoby zapewne dogłębnej znajomości niderlandzkich przekleństw. Polak odpowiedział mu skrzywieniem się w pełnej dezaprobaty minie. Piętnaście kilometrów oznaczało w warunkach Bagna ośmiogodzinny marsz.

- Tam zatrzymamy się do zmroku. Według naszych danych na wyposażeniu Virgo znajduje się poduszkowiec patrolowy. Wykorzystamy go do przemieszczenia się w kierunku celu zasadniczego. Na miejscu zaatakujemy i przejmujemy wrogi posterunek.

Zapadła cisza. Przez chwilę oddział czekał na ciąg dalszy, ale ten nie następował.

- Pani porucznik... - zapytała nieśmiało Isaksson. - Ale co potem? Znaczący, zajmujemy to stanowisko, odbijemy oficera i... co?

- Nadamy wiadomość o wykonaniu zadania. - Cartwright skupiła wzrok na Szwedce. - I będziemy czekać na dalsze rozkazy.

- Na dalsze rozkazy... - powtórzył cicho Szczeniak i przejechał palcami po nierównym zaroście. - Pani porucznik, czy... no, ostatnio wykonywanie poleceń Operacji Specjalnych nie skończyło się dobrze.

- Zgadza się - Cartwright kiwnęła głową i popatrzyła zimno na żołnierza. - W znaczeniu, że nie skończyło się dobrze dla nas. Chciałabym jednak zauważyć, że jesteśmy żołnierzami Unii i niekoniecznie robimy rzeczy, które dla nas osobiście oznaczają najlepsze

rozwiązanie.

- Tak jest. - Holender jakby skurczył się pod spojrzeniem przełożonej.

- Robert ma na myśli - szeregowcowi przyszedł z pomocą Sokole Oko - że Dowództwo Operacji Specjalnych ma tendencję do niedzielenia się z jednostkami liniowymi pełnią informacji.

- Właśnie. - Szczeniak bez wahania skorzystał ze wsparcia.

- Więc tak naprawdę może warto zastanowić się nad działaniami drużyny, na wypadek gdyby nasz atak służył tylko jako zasłona dymna, na przykład do uderzenia na ten magazyn. - Hiszpan wskazał podłużną bryłę zajmującą znaczną część hologramu.

- To nie magazyn - odparła Cartwright. - Obiekt zaznaczony obok posterunku to wrak okrętu.

Wierzba wymienił szybkie spojrzenia z Isaksson, Szczeniak prychnął i nawet Weiss zeszytniał na ułamek sekundy. Oczywiście, o wraku wiedzieli wszyscy. Uszkodzony okręt wywiadowczy lądował awaryjnie na New Quebec długie lata temu, kiedy Dzień rozdzierał systemy komputerowe jeden po drugim, a kolonie płonęły atomowym ogniem albo wymierały pozbawione opieki komputerów. Rozbita maszyna była jednym z głównych powodów - Thorne twierdził, że jedynym - dla którego Czterdziesty Regiment Unii w ogóle wylądował na Bagnie, mało ważnej planecie w głębi terytorium Stanów Zjednoczonych. Z całego oddziału wrak widzieli tylko Isaksson i Szczeniak, ale - naturalnie - każdy, kto tylko chciał słuchać gadania tej dwójki, potrafił go opisać ze szczegółami.

- Zatem tym bardziej. - Jeśli wiadomość zrobiła wrażenie na Hiszpanie, nie dał tego po sobie poznać. - Dowództwo już wcześniej się nim interesowało.

Sokole Oko nie mógł być bardziej eufemistyczny. Na wpeł zatopiony w Bagnie wrak okazał się na tyle ważny dla Dowództwa Operacji Specjalnych, że kompania Cartwright była „akceptowalnymi kosztami” dotarcia do niego. Lub też, jeżeli słuszność miał Thorne - tą dopuszczalną ceną był cały Czterdziesty Regiment.

- Rozumiem wątpliwości - odezwała się porucznik łagodniejszym tonem. - Jesteśmy jednak zmuszeni założyć, że jeśli istnieje jakakolwiek metoda wydostania się z New Quebec drogą inną niż przez obóz jeniecki, to zna ją właśnie Dowództwo Operacji Specjalnych. Uważam więc, że skoro i tak walczymy z wrogiem, możemy równie dobrze zrobić to w sposób, który zakwalifikuje nas jako przydatnych.

- Tak jest. - Sokole Oko mówił spokojnym, niemal pogodnym głosem. Wierzbie nagle błysnęła myśl, że jest to ton osoby, która pogodziła się z nieuchronnym.

Podobne wrażenie musiała odnieść porucznik, bo nie pozwoliła słowom Hiszpana

zawisnąć w powietrzu.

- Są jeszcze jakieś pytania? - Patrzyła prosto na Wierzbę.

Teraz już mogła oczekiwać ich w zasadzie tylko od Polaka. Niemi prawdopodobnie wszystko, co chciała, wiedziała po półgodzinnej naradzie z dowódcą. Weiss rzadko w ogóle miał pytania, a i tak raczej w odniesieniu do spraw taktycznych, o których jeszcze nie mówiono. Thorne tym bardziej. Szczeniak boleśnie się przekonał, że jego zwykłe gierki nie będą dziś tolerowane, a Isaksson - cóż, ona pewnie cieszyła się, że znowu mają cel.

Porucznik odczekała kilka sekund, ale zgodnie z przewidywaniami pytań nie było.

- Zatem przygotować się do wymarszu. Dwadzieścia sześć minut.

*

Przygotowania szły bez zakłóceń i w zasadzie bez udziału świadomości - ostatnie kilka miesięcy częstych zmian miejsca postoju nauczyło ich efektywności. Dlatego oddział Cartwright działał teraz jak dobrze naoliwiona maszyna. Isaksson czyściła banki danych i dzienniki bunkra z wszelkich śladów obecności ludzi. Przemieszczając się metodycznie od konsoli do konsoli, Szwedka usuwała zapisy w logach stanowisk i perymetrowych - krótki pobyt w bunkrze Gemini zaowocował kilkoma setkami wpisów w wewnętrznych systemach posterunku. Thorne z kolei uzupełniał leki. Pełniący obowiązki drużynowego sanitariusza szeregowiec zgromadził przy sobie zarówno osobiste zasobniki medyczne wszystkich żołnierzy, jak i drużynową apteczkę i punkt po punkcie dobierał kolejne specyfiki z miejscowych zasobów. Pod jego opieką pakiet medyczny zaledwie przypominał przepisowy zestaw - Thorne jakiś czas temu pozbył się rzeczy, które uznał za niepotrzebne, a większość uzyskanego w ten sposób miejsca wykorzystał na upchnięcie mnóstwa dawek środków przeciwwgrzybiczych. Cartwright nawet wtedy nie mrugnęła - byli na Bagnie zbyt długo, by nadal sądzić, że poważnym zagrożeniem będzie przegrzanie albo broń chemiczna, za to schorzenia skóry... walka z nimi zajmowała częstokroć więcej czasu i energii niż zasadzki na jankeskie transporty.

Szczeniak przygotowywał zapasy wody i prowiantu, Sokole Oko i Niemi siedzieli skupieni przy mapniku i omawiali trasę przemieszczania się zespołu. Finka i Hiszpan mieli całkowicie różne pomysły - sierżant Niemi patrzyła na trasę jako na labirynt prawdopodobieństw trafienia na patrole jankesów, statystyki wykrycia przy drogach i zagrożenia płynące ze stref obserwacji z powietrza, a Sokole Oko skupiał się raczej na samej topografii moczarów. Kapral miał istny dar, jeśli chodziło o teren - wystarczyło, że był gdzieś przez tydzień, i sprawiał wrażenie, jakby mieszkał tam od zawsze. Zdawało się, że instynktownie wyczuwa obecność innych ludzi czy znajduje trasy. Szczeniak sugerował, że

Sokole Oko używa jakiegoś - jak to określił - voodoo, ale Hiszpan utrzymywał, że to po prostu zmysł obserwacji. Często jednak nikt nie potrafił dostrzec - nawet po fakcie - wskazówek, które powiedziały Sokolemu Oku, że w danym miejscu ktoś ich obserwuje albo że często chodzą tamtędy patrole. Po pewnym czasie przestali dociekać, po prostu akceptowali ten dar od opatrności i nie pytali o jego naturę.

Wierzbowski i Weiss zajmowali się z kolei uzbrojeniem. Jeden po drugim z rąk do rąk przechodziły karabiny, elementy wyposażenia, amunicja. Mając solidne zaplecze w postaci dobrze zaopatrzonych bunkrów i zdając sobie sprawę z przewagi wroga, drużyna Cartwright na ogół nie przenosiła przeciwpancernych świnek, cięższych systemów zdolnych do uszkodzenia czołgu czy mózdzierza automatycznego - takie rzeczy żołnierze zabierali tylko na przygotowane zasadzki. W ich miejsce większą część sprzętu stanowił taki, który miał pomóc w oderwaniu się od wroga - granaty dymne, wyrzutnie wabików, urządzenia zakłócające. Lekkie, jednorazowe wyrzutnie uniwersalne całkowicie wystarczyły do zatrzymania poduszkwoców czy próby zagrożenia strumieniowcom - a niczego innego nie można się było spodziewać w terenie, po którym zwykle podróżowali. Cartwright dbała o to, żeby zawsze istniała opcja uniknięcia walki, jeśli miałyby być ona wydana na cudzych warunkach.

Marcin spojrzał na pakunki, po czym z namysłem wyciągnął spośród rzeczy i odłożył na bok system zakłócający. Przyjrzał się krytycznie przygotowanym zestawom.

- Myślę, że powinniśmy to trochę odchudzić.

- Mieścimy się w limicie. - Wunderwaffe poprawił paski przy hełmie. - Po co rezygnować z czegoś, co nam nie przeszkadza?

- Ponieważ limit to górna granica?

- Zgadza się. - Niemiec kiwnął głową. - Górna granica. Poniżej której się mieścimy.

- Wiesz, że szybciej pójdziemy z mniejszym obciążeniem?

- Owszem - zgodził się Weiss. - Wiem również, że prawdopodobnie będziemy żałować wszelkich cięć, kiedy tylko spotkamy wroga.

Uniósł odłożony przez Marcina pakiet i dołożył go do przygotowanego dla siebie pakunku. Wierzbowski westchnął.

- Nie o to chodziło.

- Masz rację, zależy nam na tempie. - Niemiec wyjął chustkę z kieszeni i przeczyścił nią wyświetlacz gogli. - Ale wolę mieć ten zestaw, niż go nie mieć. Zwłaszcza że nic nas to nie kosztuje.

- Przeciąża ciębie.

- Nie, po prostu nie wezmę dociążenia.
- Słucham? - Brwi Marcina powędrowały do góry.
- Dociążenia. Zwykle biorę magazynki. Nigdy nie trać okazji do wzrostu. Takie powiedzenie.
- Niemieckie powiedzenie, co? - Wierzbowski spojrział na kolegę z rezygnacją.
- Jakbyś zgadł. Masz jakieś polskie na wymianę?
- Kiedyś mieliśmy „Bij Niemca”, ale się zdezaktualizowało. Choć teraz myślę, że z dociążeniem bylibyście łatwymi celami.

Wunderwaffe tylko się uśmiechnął, w skupieniu przesuwając szmatkę wzdłuż krawędzi przezroczystego tworzywa.

- Co myślisz o tej akcji Dowództwa Operacji Specjalnych?
- Cieszę się, że zaczynamy działać w jakiejś strukturze. - Weiss założył oczyszczone gogle na hełm. - Lubię świadomość bycia częścią większego planu.
- Nawet oesów? - skrzywił się Polak.
- Szczególnie oesów. To pion, który doskonale wie, co robi.
- O, tak. Zawsze wiedział. - Wierzba usiadł na składanym stołeczku. - Tylko my na tym nie najlepiej wychodziliśmy.

- Takie życie. - Niemiec wyszczerzył się w Wunderwaffowej wersji radosnego uśmiechu. Tak musiały uśmiechać się czołgi. - Ale przynajmniej wiemy, że to coś większego.

Marcin westchnął ciężko. Wunderwaffe nie na darmo nosił swoje przezwisko. Armia UE byłaby o wiele szczęśliwsza, mogąc wymienić sobie kilka tysięcy żołnierzy na Weissów - Niemiec wydawał się całkowicie odporny na wszelkie problemy z morale. Sprawiał wrażenie, że nawet perspektywa własnej śmierci niespecjalnie mu przeszkadza, o ile wiedział mniej więcej, co robi.

Patrząc, jak kolega pakuje przygotowane dla siebie wyposażenie do plecaka, Marcin uświadomił sobie, że Günter Weiss jest bardziej zadowolony z życia niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich miesięcy. Początkowo sądził, że to kwestia charakteru Niemca i jego zamiłowania do porządku, jednak w całym oddziale można było zauważyć ożywienie. Może tylko Thorne go nie okazywał, lecz on zawsze wyglądał albo na zaspanego, albo na znudzonego. Nikt oczywiście nie cieszył się otwarcie, ale kiedy przebywa się z ludźmi przez długi czas, można nauczyć się odczytywać nawet drobne sygnały. Minimalnie bardziej energiczne ruchy, odrobinę pogodniejsze wyrazy twarzy, wymieniane od czasu do czasu uwagi - delikatne znaki, że drużyna powoli zaczynała czuć się z powrotem na swoim miejscu - jako element armii, istniejącej, planującej struktury wojskowej. Poczucie celowości zdawało

się przynosić iście cudowny efekt.

Kiedy zakończono przygotowania i drużyna Cartwright zostawiła za plecami bunkier, który był jej domem przez ostatnie kilka dni, Wierzba zauważył coś jeszcze -

porucznik, z której przecież właśnie zdjęto największe brzemię, wydawała się bardziej spięta niż kiedykolwiek. Próbował sam siebie przekonać, że to po prostu niechęć do Operacji Specjalnych, ale podskórnie wyczuwał, że chodzi o coś zupełnie innego.

*

Przejście do Virgo zajęło im niekończące się osiem godzin. Często musieli brodzić w głębokiej niemal do pasa wodzie, a dwukrotnie słyszeli niedaleką pracę silników strumieniowców. Marcin raz był prawie pewien, że gdzieś na stalowym niebie widzi ciemną sylwetkę maszyny. Pomimo świadomości, że Mgła zamienia idący oddział w praktycznie niemożliwe do wykrycia fantomy, nie przepadał za dziennymi marszami. Wiedział oczywiście, że tak naprawdę nie ma żadnej różnicy - szary, kryjący moczary całun mącił działanie sensorów równie dobrze w dzień, jak w nocy, a widoczność wykluczała namiar optyczny. Bagno obezwładniało technologię, a elektroniczne oczy i uszy człowieka nie działały tu dobrze. Pojęcie tej lekcji wymagało od oddziału Cartwright uczestnictwa w przegranej inwazji i długich miesięcy przemykania się po moczarach, kiedy musieli polegać tylko na instynkcie i wszechobecnej pieśni Mgły. To dzięki zrozumieniu jej muzyki przetrwali do dziś, ale życie w ciągłym półśnie rozmytych kształtów Bagna otwarło w umysłach inne ścieżki, dawno zapomniane. W żołnierzu budził się instynkt starszy niż zaufanie do technologii, bardziej pierwotny niż pierwsze kamienne narzędzia. Ten właśnie instynkt kazał Marcinowi patrzeć w niebo oczyma myszy i wypatrywać cienia sokoła. Gdzieś w głębi duszy Polak czuł, że jeśli opuści New Quebec, upłynie wiele czasu, zanim uda mu się go całkiem wygasić.

Bunkier Virgo, New Quebec, terytorium USA, 3.12.2211 ESD, 15:19

Virgo różnił się od Gemini tylko zamaskowanym CSSową płachtą poduszkowcem patrolowym. Marcin uśmiechnął się bezwiednie, kiedy Cartwright odsłoniła opancerzoną burtę. Maszyna była tego samego typu co „Świstak”, ich plutonowy patrolowiec z czasów, kiedy New Quebec było terytorium okupowanym przez Unię. Myśli odruchowo powędrowały do reszty plutonu, do tych, których wahadłowce zabrały z Bagna. Do prostego jak kawał kija i lojalnego jak nikt inny Małego, pyskatej, zadziornej Bueller, Szafy i Neve’a... do Kici. Czasem zastanawiał się, czy jeszcze kiedykolwiek ich zobaczy, czy może po prostu nigdy już na siebie nie trafią na froncie rozciągającym się na wiele lat świetlnych.

- Wierzba. - Thorne wyrwał Polaka z zamyślenia. Dopiero teraz Marcin zauważył, że

reszta oddziału znikła właśnie w bunkrze.

- Już idę. - Poklepał poduszkowiec po burcie. - Zastanawiałem się tylko, czy to jeszcze działa.

Szeregowy nie odpowiedział, wskazując ruchem głowy wejście do bunkra. Odwracał się już, kiedy zatrzymał go głos Wierzbowskiego.

- Thorne?

- Tak?

- Nie sądzisz, że ta sprawa z jeńcem śmierdzi? No wiesz, po co go trzymać w takim posterunku, skoro można przewieźć od razu? Dlaczego czekać, aż ktoś go odbije?

Starszy żołnierz przez chwilę przyglądał się Polakowi w bezruchu. Szare plamy przesuwają się po CSSowej chuście osłaniającej mu twarz. Z całym ekwipunkiem, który wyglądał tak, jakby wisiał na nim niemal w strzępach, mężczyzna bardziej niż inni sprawiał wrażenie upiora.

- Garnizon na Bagnie jest nieduży - powiedział wreszcie. - Boją się, że są pod obserwacją i oesy zaatakują strumieniowiec. Mohikany to delikatne maszyny, nawet mały oddział może im poważnie zaszkodzić, a skoro my mamy tak dokładne dane, to znaczy, że posterunek jest pod ciągłą obserwacją. Chcą pewnie przerzucić go drogą lądową, a do tego potrzebują ze trzech poduszkowców. To jest środek niczego, a nasz skok na konwój bankowo załatwił im sporą część parku maszyn w okolicy.

Wierzbowski zmarszczył brwi. To był chyba najdłuższy monolog, jakim szeregowiec go uraczył... właściwie odkąd się znali. Nagła chęć uspokojenia kolegi była oczywiście chwalebna, ale na tyle nietypowa, że w głowie Polaka uruchomiły się dzwonki alarmowe.

- Naprawdę sądzisz, że tak się boją dwóch żołnierzy, z których jeden ma wyrzutnię pilum, a drugi dobre chęci?

Thorne, skracając właśnie w stronę uchylonego wjazdu do bunkra, zatrzymał się w pół kroku i obrócił do Wierzby. Przez moment patrzył na Marcina, stojąc bez ruchu.

- Widocznie tak jest - powiedział wreszcie, wzruszając ramionami na swój zwykły irytujący sposób. - O cóż innego może chodzić?

Soren Thorne nie był najwyraźniej aktorskim nowicjuszem - fałszywe nuty w jego tonie były prawie niezauważalne.

*

Virgo spało w oczekiwaniu na nocny marsz. Porucznik dała zmęczonej drużynie kilka godzin snu - po wieczornym nadawaniu mieli wyruszać w stronę oznaczonego przez sygnał oesów celu. Tym razem na straży stał tylko Weiss - pojedynczy wartownik, nasłuchujący

zaśpiewu spowijającej wszystko Mgły. Początkowo, w pierwszym okresie samotnej walki na New Quebec, wystawiali przepisową parę wartowników. Później oczywiście Cartwright doszła do wniosku, że to nie ma sensu. Jankesi i tak praktycznie nie mieli szans ich znaleźć -

a jeśli by zapuścili się przypadkiem w okolice obozu, każdy bunkier był otoczony strefą czujników, które z pewnością wyłapałyby wroga, zwłaszcza że ten nie mógł się ich spodziewać. Później jednak znów pojawili się wartownicy - nie dlatego, że Amerykanie mogli łatwiej znaleźć unijny oddział. Po prostu elektronika nie czuła Mgły, nie słyszała niesionych nią głosów. Nie potrafiła patrzeć w nią i odczytywać dziesiątek drobnych ostrzeżeń, które przekazywała, na długo zanim pojawiło się zagrożenie. Wrócił zwyczaj wart, najczęściej pojedynczych. Czasami jednak przez długie godziny straż pełniła dwójka lub nawet trójka osób. Nie dlatego, że to było konieczne.

Słuchali szeptów. Pozwalali siwym smugom wilgotnego całunu opływać ich, wypatrywali kształtów w zawirowaniach i cieniach pokranych, lilipucich drzewek. Kiedy Wierzbę się nad tym zastanawiał, czuł, że powinien być zaniepokojony. Kiedyś pewnie tak by się działo.

New Quebec zmieniło ich wszystkich. W ciągu miesięcy ciszy i samotności sukcesywnie pożerało wspomnienia innego życia, zastępując je szarym całunem i wilgocią moczarów. Marcin spędzał czasem całe godziny, próbując przypomnieć sobie jak najwięcej szczegółów z cywila czy choćby nawet czasu sprzed desantu. Pamiętał twarze rodziców i oczywiście siostrę - holo Barbary nadal nosił przy sobie. Pomysł na wstąpienie do wojska, by załatwić siostrze drogie ubezpieczenie medyczne... Rekrutację, szkolenie, przeniesienie na front. Wspomnienia jednak rozmywały się coraz bardziej.

Za uchylonych drzwi kabiny radiowej słyszał cichy szum elektroniki i postukiwanie paznokci Isaksson o plastikowy blat. W ciągu godziny miała nadejść kolejna wiadomość, jeśli oczywiście były one nadawane regularnie. Przy przeciwległej ścianie leżała Niemi, której jasne oczy niemal świeciły w delikatnym fosforyzującym świetle wydobywającym się z centrum dowodzenia. Nie spała. Ani ona, ani Szczeniak, Sokole Oko czy nawet Thorne, pólśledzący z przymkniętymi oczami. Zapadała noc, zbliżała się idealna pora na przemarsz. Jankesi, pomimo ogromu sprzętu, którym mogli się wesprzeć, bali się Bagna po zmierzchu.

*

Holograficzna projekcja terenu wokół amerykańskiego posterunku unosiła się ponad niewielkim projektorem. Nie pokazywała zbyt wiele - ot, dwa przysadziste budynki, jeden zwieńczony piktogramem anteny łącznościowej, kilka czworościanów symbolizujących systemy przeciwartylerijskie i okręg znaczników lądowiska. Dookoła placówki ciągnęła się

podświetlona czerwono, szeroka - sądząc po zamieszczonej skali - na niemal dwieście metrów wstęga strefy kontrolowanej przez sensory obronne. Już samo to wydawało się paskudnie niedobrym znakiem - każdy w oddziale doskonale zdawał sobie sprawę, że zupełnie czym innym było zajęcie mało ważnego punktu przekąźnikowego niż takiego chronionego strefą bezpieczeństwa. Różnica zwykle w podobnych przypadkach okazywała się drastyczna i - najczęściej - liczona w ofiarach.

- Wrak leży dwieście pięćdziesiąt metrów od posterunku, na granicy strefy sensorów. - Cartwright przesunęła palcem po dotykowym ekranie datapada i po zewnętrznej stronie czerwonej wstęgi otaczającej budynku pojawiła się prostopadłościenna bryła symbolizująca rozbitą okręt. - Co prawda, znajduje się poza perymetrem, ale dane Operacji Specjalnych wskazują, że został obłożony niezależną siatką sensoryczną.

Posłuszny komendzie rzutnik naniósł na hologram sieć czerwonych punktów pokrywających wrak.

- Wygląda bardziej świątecznie - mruknął Szczeniak z nieco zbyt ostentacyjnym przekąsem.

- Dziękuję, Van Reuters. - Porucznik zgromiła go wzrokiem. - Stałą obsadę posterunku stanowi sześć osób mieszkających w budynku numer jeden, kryptonim Wieża. W budynku numer dwa znajduje się transporter opancerzony typu Grizzly oraz, prawdopodobnie, narzędzia i sprzęt konieczny do utrzymania go w stanie sprawności. Ten budynek zostanie oznaczony jako Brama.

Nazwy „Wieża” i „Brama” zabłyśły błękitem na hologramie. Bunkier i garaż, standardowa placówka wartownicza. Mała obsada i transporter do wsparcia ogniowego - tego rodzaju posterunki nie służyły do odpierania ataków wroga, a raczej jako ochrona przed niewielkimi oddziałami, które mogły zapędzić się w ich okolicę.

- Łączność z kwaterą główną jest, według danych, realizowana dwojako. Po pierwsze, kontakt bezpośredni z oficerem dyżurnym. Raz na dobę cel odwiedza strumieniowiec z garnizonu, z niepełną drużyną piechoty na pokładzie. Taka wizyta trwa około godziny. Co tydzień załoga posterunku jest rotowana, również drogą powietrzną. Ostatnia taka rotacja odbyła się cztery dni temu. Drugim sposobem jest łączność radiowa. Posterunek nadaje dziennie sześć komunikatów o długości około minuty każdy.

Na mapie holograficznej obok piktogramu oznaczającego antenę pojawiło się sześć zakresów czasowych.

- Antena? - chciała wiedzieć Isaksson.

- Dwie, ale jeśli zniszczymy główną w trakcie ataku, automat wystawi rezerwową

dopiero po pięciu minutach. W tym czasie atak powinien albo się udać, albo nie. W obu przypadkach ich łączność nie ma już znaczenia.

- To by oznaczało, że kiedy tam wejdziemy, mamy jakieś cztery godziny, zanim dowie się o tym garnizon? - upewniła się Isaksson.

- Plus około dwie minuty na awaryjny start, czterdzieści na lot - potwierdziła porucznik. - Prawie pięć godzin. Cztery, jeśli uwzględnimy fakt, że nie będziemy atakować tuż po ich sesji łączności.

Niemi skinęła głową, a Weiss uśmiechnął się nieznacznie. Zwykle w samotnych placówkach pozbawionych w zasadzie szans na spotkanie z wrogiem sesja łączności była jednym z niewielu momentów, kiedy trzymano stanowiska. Uderzenie wtedy dałoby im szansę na złapanie wroga w pełnej gotowości. Oczekanie było zdecydowanie lepszym pomysłem. Cztery godziny to i tak mnóstwo czasu.

- Optymalne podejście pod Wieżę wydaje się prowadzić wzdłuż ścieżki patrolowej obok wraku. - Cartwright palcem wyrysowała krzywą na projekcji holograficznej. Czerwona linia podążyła śladem jej paznokcia. - To rejon słabo obłożony sensorami, w dodatku w pobliżu dużej ilości kompozytu, który daje zauważalny odczyt...

Marcin wymienił pełne wątpliwości spojrzenia z Van Reutersem. Holendra musiały dręczyć dokładnie te same wątpliwości, co jego. Zresztą Polak nie wierzył ani przez moment, że pozostałym nie przyszły do głowy podobne myśli. Dane były dokładne - zbyt dokładne na normalną obserwację. Oesy musiałyby mieć człowieka w środku albo monitorować ruch w Wieży od dłuższego czasu. Brak przenosin więźnia, brak ataku samych komandosów Operacji Specjalnych... Wszystko to tworzyło dość dziwny obraz.

-... Ponieważ jednak rozkaz nie zawiera dokładnego kierunku ataku - kontynuowała porucznik - nie korzystamy z tego podejścia. W mojej ocenie ryzyko, że Amerykanie są świadomi słabych punktów swojej linii obrony, jest raczej spore.

Cartwright zdawała się nie dostrzegać, jakie wrażenie wywarła jej deklaracja. Przez skupionych wokół holograficznego wyświetlacza żołnierzy przeszła zauważalna fala rozluźnienia. Szczeniak ledwo dostrzegalnie kiwnął głową w cichym wyrazie aprobaty, a przecierający właśnie palcami oczy Thorne uśmiechnął się złośliwie. Marcin Wierzbowski odetchnął z ulgą.

Nadal oczywiście nie wiedzieli, czego Operacje Specjalne chcą od amerykańskiego posterunku. Ale przynajmniej byli pewni, że Cartwright ma dosyć bycia nieświadomym niczego pionkiem.

Rzadko podróżowali pojazdami - oznaczały one odstąpienie się, można było je wykryć czy po prostu zobaczyć. Potrafiły stać się śmiertelną pułapką w przypadku konfrontacji z przeciwnikiem o znacznej przewadze sprzętowej. Teraz jednak brakowało im czasu - atak na wrogi posterunek musiał być przeprowadzony szybko - a przejście kilkudziesięciu kilometrów przez Bagno nie było czymś, co dało się określić mianem szybkiego działania.

W ciasnej kabinie pasażerskiej poduszkowca każdy na swój sposób przygotowywał się do nadchodzącej akcji. Oczywiście, wiedzieli, że będzie ciężko, atak na przygotowany posterunek musiał taki być. Błdy Szczeniak bębnił paznokciami w obudowę karabinu, Sokole Oko przesuwiał między palcami rzemyk noszonego zwykle na szyi krzyżyka, nawet Thorne stracił swój zwykły sardoniczny uśmiezek. Chyba tylko Isaksson sytuacja wprawiała w dobry humor - Szwedka uśmiechała się szeroko, a jej błękitne oczy świeciły jak latarnie w czerwonym świetle przedziału.

- Ktoś mógłby pomyśleć, że jesteś szczęśliwa, bo dostaniemy łupnia - zaczepił ją Van Reuters.

- Trochę wiary w nasze możliwości, mój drogi. - Mimo ciasnoty przedziału jakimś cudem Isaksson udało się przeciągnąć. - Akcja, o jakiej zawsze marzyłam. Ciche podejście pod chroniony posterunek - powiedz, czy to nie brzmi świetnie? Nie przerabiałam tego od czasów szkolenia.

- Jest dobry powód - skrzywił się Holender. - Tego się nie da zrobić.

- Jak zawsze optymista? - Wierzba uniósł wzrok znad tasowanych szybko kart.

- Lubię myśleć o sobie, że realnie oceniam szanse powodzenia, monsignore - zachnął się Szczeniak. - To nie są jakieś popierdółki, jak przy tych wierzchołkach sieci walki elektronicznej. Tu mają prawdziwą strefę.

- Jesteś czarnowidzem i panikarzem, mój drogi. - Szwedka wywróciła oczyma. - Ćwiczymy przejścia przez strefy.

- Zakładamy luki, których nie ma w warunkach bojowych. - Van Reuters spojrzął na nią z wyższością. - Kto jak kto, ale ty powinnaś to wiedzieć. Co z tego, że mamy maskowanie emisji? Co z tego, że mamy CSSy? Sejsmo, analiza brył, multispektrum...

Wierzba westchnął i pokazał Isaksson wydobytego z talii waleta kier. Przez chwilę poruszał kartą, imitując podrygiwanie Van Reutersa. Radiooperatorka uśmiechnęła się wesoło.

- Właśnie po to mamy CSS i maskowanie emisji, Robercie - odezwał się cicho Sokole Oko. - Szkolono cię też, jak próbować oszukać sejsmo, zresztą tu nie będzie działało idealnie.

Uczciwe ryzyko.

- Jakie uczciwe ryzyko? - prychnął szeregowiec. - Zwykle miny na biernym czujniku naciskowym mają w dupie to, że jesteś niewykrywalny, o ile nie potrafiisz latać.

Szczeniak oczywiście miał rację. Powolne czołganie się pod dwiema warstwami maskującymi i dbanie jednocześnie o rytm pozwalający na oszukanie czujników sejsmicznych było nie tylko trudne. Nader komplikowało również kwestię unikania min. Nawet bez detekcji stare, dobre czujniki naciskowe robiły swoje. Wredny system sterujący każdym z nich automatycznie uznawał, że skoro nie widzi, kto go nadepnął, to ta osoba nie ma właściwego kodu identyfikacyjnego. I reagował odpowiednio.

- Mamy rozkład min.

- Mamy rozkład części min. Chuj wie, czy wszystkich. Weiss, powiedz im - Szczeniak zwrócił się do milczącego dotychczas Niemca.

- Szanse na sforsowanie właściwie postawionej strefy bez wpadki wynoszą około piętnastu procent, jeśli podejmie się wszystkie możliwe środki ostrożności - odparł Wunderwaffe, który oderwał się od poprawiania czegoś przy swojej skontrolowanej już dziesiątki razy uprząży. - Podręczniki zalecają nie podchodzić bez znanych luk w systemie.

- Widzicie? Nawet Wunderwaffe uważa, że to trefne...

-... Na szczęście mamy idealne warunki - dodał Weiss. - Na moczarach znaczna część sprzętu działa poniżej normy, kontakt wizualny jest ograniczony, sejsmo musi sobie radzić z wodą. No i posiadamy dość dokładne dane o celu.

- Mamy cię, złotko! - zachichotała Isaksson. - Teraz możesz się już spokojnie zamknąć.

- Tak sądzisz? - Van Reuters nie dał się zbić z pantałyku. - Jak rozumiem, już zapomniłaś, że to nadal może być pułapka?

Polak wykonał zamaszysty piruet trzymanym w dłoni waletem, imitując pełen urazy obrót.

- Wiesz, puścimy cię przodem, podobno masz szczęście. - Szwedka mówiła do Szczeniaka, ale kątem oka obserwowała pantomimę Marcina. - Trochę więcej optymizmu. W razie czego wystrzelamy sobie drogę i uciekniemy. Jak w filmie „Eva i Dutch”.

- Staram się brać pod uwagę wszystkie możliwości. - Szczeniak obrócił się w stronę Polaka, zanim ten zdążył schować kartę. - Bardzo zabawne, Wierzba.

- Robię, co mogę.

Holender oparł się o zagłówek i przymknął oczy w uznaniu porażki. Po kilku chwilach ciszy niespodziewanie odezwał się Thorne.

- W oryginale to nie było takie różowe - mruknął ze swojego miejsca.

- Co?

- „Eva i Dutch”. To remake. - Owinął karabin pasem CSSa. - Cholernie starego filmu, jeszcze dwuwymiarowego. Nazywał się „Bonnie i Clyde”.

- I jak im się udało?

Thorne wzruszył ramionami.

- Nie udało im się.

Perymetr amerykańskiego posterunku, New Quebec, terytorium USA, 4.12.2211 ESD,
05:56

Ruszył jednocześnie z ledwo widocznym Thorne'em. Najpierw ostrożnie, minimalnie uniósł się na dłoniach i czubkach stóp. Pomimo zarówno CSSowej peleryny, jak i ciężkiego stroju maskującego nadal musiał uważać na każdy ruch. Powoli pokonał kolejny metr, przesuając jedynie dłonie oparte o grząskie dno. Potem zamarł ponownie. Podejście trwało już czwartą godzinę i jak dotąd - o ile Wierzba dobrze oceniał odległość - udało im się przejść mniej więcej cztery piąte dystansu przez strefę sensorów amerykańskiego posterunku. Spojrzał na zegarek. Prawie szósta - według danych uzyskanych z przekazu Operacji Specjalnych za kilka minut trzech jankesów powinno wyjść na codzienny rutynowy obchód, a pozostali w bunkrze - zacząć codzienną sesję łączności z garnizonem. Wtedy Isaksson i porucznik zdejmą patrol, a jednocześnie ruszy grupa Sokolego Oka, w tym sam Wierzba, i dopadnie budynków. Czterdzieści sekund, nie więcej, i będzie po wszystkim. O ile nie pakowali się w pułapkę. W tym bowiem przypadku ich jedyną szansą była samotna Niemi, która musiała już oderwać się od wraku i sunąć sugerowaną przez dane ścieżką podejścia. Jeżeli Amerykanie na nich czekali, ona dowie się o tym pierwsza i, być może, zdąży ostrzec resztę oddziału. Sierżant miała mocno niewdzięczne zadanie. Marcin wiedział oczywiście, że manewr był konieczny, Finka dawała jednak zespołowi cień szansy na wywiniecie się z domniemanej zasadzki. Nadal jednak czuł się nieswojo, wiedząc, że gdyby pesymistyczne podejrzania Szczeniaka okazały się prawdą, Niemi zginie, a jedyne, na co może liczyć, to kilka sekund, które kupi towarzyszom.

Powoli uniósł się i przemieścił o następny metr. Szósta jeden leniwie ustąpiła miejsca szóstej dwie. Jeśli wszystko szło zgodnie z planem, mniej więcej teraz Isaksson i Cartwright powinny zabierać się za patrol...

Huknął strzał. Coś musiało pójść nie tak, odnotował odległy, analityczny fragment mózgu, ustępujący miejsca rządcom adrenaliny. Nagły świst odpalanej rakiety wybił się ponad zwykłe odgłosy Bagna. Wystrzelony przez Isaksson pocisk wyłobiał jaskrawy korytarz w

szarej kurtynie Mgły i eksplodował kilkadziesiąt metrów przed grupą Wierzby.

Żołnierz poderwał się na nogi, odrzucając ciężkie maskowanie elektromagnetyczne. Jednym ruchem przełączył komlink w tryb aktywny, momentalnie wpadając we właśnie wybuchający harmider.

- Sokole Oko, jesteśmy pięćdziesiąt metrów od celu. Ruszamy!

Obok Wierzby podrywały się sylwetki pozostałych żołnierzy jego grupy. Krew szumiała mu w głowie w dobrze znanej mieszance strachu i euforii.

- Tu Isaksson, pocisk eksplodował, nie mogę potwierdzić zniszczenia, odpalamy kolejny. - Szwedka mówiła tak szybko, że kilka zdań zlało się w jedno.

Weiss sadził już naprzód zygzakiem, pochylony niczym łyżwiarz na torze. Zdawał się nic sobie nie robić z grząskiego błota sięgającego mu niemal do kolan.

- Niemi, ruszyłam, cisza - zgłosiła podchodząca od strony wraku sierżant.

Seria bliskich eksplozji niemal rozerwała Marcinowi bębunki, a gorąca fala uderzeniowa rzuciła go twarzą w wodę. Na krótki moment całkowicie stracił orientację. Co się stało, zdążył pomyśleć, bomby?

- Zdetonowali pole minowe! - Głośny meldunek dotarł do niego jak przez grubą zasłonę, a ułamek sekundy później Polak wynurzył się z wody.

Ktoś inny potwornie krzyczał, ale wpeł ogłuszony wybuchem Marcin nie mógł rozpoznać głosu.

- Status? - chciała wiedzieć Cartwright.

Nie usłyszał czyjejs stłumionej odpowiedzi, usiłując szybko odzyskać orientację. Lekko rozmyte sylwetki ludzkie obok Polaka zbierały się z błota, ale przez zażawione oczy nie potrafił ich zidentyfikować. Nie było czasu. Jeśli roztrwonią przewagę zaskoczenia...

- Naprzód, naprzód, naprzód! - wrzasnął do mikrofonu, w przelocie szarpiąc jedną z postaci. Runął w stronę posterunku wroga, w biegu wyrывая z upręży granat dymny.

Gdzieś poprzez Mgłę poszybowała kolejna rakieta, ale Marcin nie zwracał na to uwagi - cały świat zawęził się do tunelu pomiędzy nim a posterunkiem. Cisnął granat przed siebie, a trzy sekundy później wpadł w szybko rosnący kłęb gorącego dymu. Praktycznie nie czuł ani wody, ani gorąca na skórze.

- Kontakt, Wieża! - Głos wyprzedzającego go Weissa zlał się w jedno z serią karabinową. Wypadając z zasłony dymnej niecałe dziesięć kroków od bunkra, zobaczył, jak Niemiec pakuje kolejne pociski w pierś żołnierza przyszpilonego serią do ściany. Sekundę później Wunderwaffe już wbiegał do budynku. - Wejście, jeden żywy!

- Przyjąłem! - Wierzba uniósł broń. Zrobił błąd, pozwalając sobie spojrzeć przez

celownik w twarz wroga. Amerykanka była młoda, młodsza od Marcina, choć może po prostu umieranie sprawia, że wygląda się bardziej bezradnie i dziecinnie. Wydawała się nie tyle przestraszona czy cierpiąca, co po prostu zdziwiona. W jakby całkowitej nieświadomości tego, że już powinna nie żyć, przysunęła ręce do rosnących czarnych plam na bluzie mundurowej. Nie miała pancerza, przebiegła Wierzbie przez głowę niedorzeczna myśl, dlaczego, do cholery jasnej, nie założyła pancerza?! Dziewczyna spojrzała na Marcina zdezorientowanymi zielonymi oczyma. Zatrzymał się i wystrzelił. Nie chciał tego robić z mniejszej odległości. Po miesiącach potyczek i walki nadal nie był pewien, czy dałby radę. Trafiona pojedynczym pociskiem głowa kobiety uderzyła o ścianę bunkra. Zanim Amerykanka upadła, Marcin już obracał się w stronę drugiego budynku.

- Wierzba, zabezpieczam Bramę. Thorne, za mną! - Ruszył biegiem, z trudem utrzymując równowagę w głębokiej po kolana wodzie. Jeszcze dwadzieścia, piętnaście metrów. Za plecami słyszał wystrzały w bunkrze - to musieli być Weiss i Sokole Oko.

Zarejestrował nowy dźwięk z opóźnieniem, jakby początkowo umysł odrzucił świadectwo zmysłów. A może to była kwestia ogłuszenia po niedawnych wybuchach? Dość, że reakcja nadeszła dobre kilka sekund za późno. Kiedy usłyszał ryk silnika transportera, ten już się rozpędzał. Szlag by trafił, zdążył pomyśleć. Zrobili wszystko jak trzeba, a i tak właśnie otrzymali wyrok śmierci z kilkusekundowym odroczeniem.

- Transporter! - wrzasnął do mikrofonu. Co się stało, nikogo miało tam nie być, a nawet jeśli, to przecież nie mógł zareagować tak szybko. Nie mógł, nie mógł, nie mógł, galopowały przerażone myśli. Umysł pracował jednak w całkowitym oderwaniu od ciała. On wiedział, że nie da rady. Napędzane adrenaliną mięśnie nie traciły czasu na tego typu rozważania. Kontrolę przejęły wyćwiczone odruchy. Kiedy dwudziestotonowa maszyna wytaczała się z garażu, Wierzbowski miał już w ręce podłużną tubę lekkiej wyrzutni przeciwpancernej.

- Jestem. - Głos Thorne'a docierał do niego jakby z potwornej odległości.

Potężny transporter wykręcił ostro w stronę Polaka. Żołnierz ukłęknął na jedno kolano z wyrzutnią na ramieniu. Cichy brzęczyk odliczał nieznośnie długie trzy sekundy do gotowości systemu. Ktoś coś krzychał w radio, ale teraz to nic nie znaczyło. Na całym świecie był tylko opancerzony potwór, złożony do strzału żołnierz i ciche popiskiwanie systemu, który po prostu nie miał prawa zadziałać w porę.

Nagle wskaźnik termowizyjny zabłyśnięciem bieli, a pancerz grizzly rozdarła seria wewnętrznych eksplozji. Pojazd w jednej chwili zniknął całkowicie w kłębach pary. Fala gorącego powietrza pchnęła Polaka w pierś i posłała go do cieplej nagle wody. Na sekundę

pole walki ucichło całkowicie, a potem radio wybuchło nawałą głosów.

- Kontakt termowizyjny, Brama! - krzyczał stłumionym przez komlink głosem Szczeniak.

- Co się stało? - pytała Niemi.

- Wierzbowski, Thorne, raport - żądała Cartwright. - Status na Bramie?

- Marcin, Soren, czy wszystko w porządku?

- Thorne, oślepiiony - burknął szeregowiec. - Nie słyszę silnika grizzly, Wierzba?

- Tu Wierzbowski, żyję. - Polak zdjął gogle i zamrugnął bezradnie. Koszmarnie jasny powidok, pamiątka po gwałtownym rozbłysku przy transporterze, powoli znikła, pozwalając mu zorientować się w sytuacji. Powietrze było bardzo ciepłe i choć szybko stygło, Wierzba czuł lekkie oparzenia na policzkach. Wokół nieruchomego transportera unosiła się chmura pary wodnej i szarawego pyłu, pachnącego topionym kompozytem i spalonym ciałem. Rozpruty jak puszka wrak nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do stanu maszyny. - Transporter zniszczony, powtarzam, transporter zniszczony.

- Zniszczyliście go? - dopytywała porucznik.

- Nie. - Wyciągnął przed siebie mokrą rękę. Ciemnoszary pył opadający wszędzie wokół osiadł mu na dłoni. Popiół. - Nie my.

Uniósł głowę ponad martwą bryłę, która jeszcze niedawno była sprawnym transporterem opancerzonym typu Grizzly. Gorące powietrze rozpędzało Mgłę na boki, dzięki czemu Marcin mógł bez trudu dojrzeć kata amerykańskiego wozu bojowego - przed nim, wznosząc się na kilkanaście metrów ponad grunt, majaczyła wyniosła, posępna sylwetka górującego nad posterunkiem wraku lekkiego niszczyciela „Alta”.

- Thorne, migiem na tyły z apteczką... - nadała Cartwright i wtedy się zaczęło. Gdzieś z wysokości kilku metrów nad ziemią błysnęło ostro, jakby świecą magnezjową. Raz, drugi, trzeci. To musiał być jeden z reflektorów krótkiego zasięgu „Alty” - krótkiego, ale tylko według standardów kosmicznych. Stojący ponad dwieście metrów od wraku Polak miał wrażenie, że widzi wyraźne kontury cieni rysujące się na powierzchni wody za każdym razem, kiedy reflektor ożywał.

- Tu Thorne, widzicie to? - Stojący nie opodal szeregowiec osłaniał oczy przedramieniem.

- Tu Alvarez, wrak uruchomił światło pozycyjne - Wierzba usłyszał spokojny głos Sokolego Oka.

- Sierżancie Niemi, raport z sytuacji przy wraku. Wierzba, Sokole Oko, obserwacja - powiedziała Cartwright. Ton porucznik świadczył o tym, że nie straciła ani trochę ze swojej

zwykłej pewności siebie. - Thorne, do mnie, mamy ranną. Biegiem. Weiss, Alvarez?

Soren Thorne bez słowa ruszył truchtem, rozchlapując wodę. Kolejne błyski oświetlały go raz za razem, sprawiając wrażenie, że nie tyle biegł, co raczej znikał na ułamki sekund i pojawiał się odrobinę dalej.

- Nikogo przy wraku - zameldowała tymczasem Niemi. - Od początku walki ani śladu.
- Wieża bezpieczna. Brak jeńców - odezwał się Wunderwaffe.

Reflektor „Alty” rozpoczął kolejną serię nieregularnych błysnięć - tym razem momentalnie odblokowując Wierzbie właściwe ścieżki myślenia, wyrobione tygodniami zdawałoby się bezużytecznych, powtarzanych w kółko ćwiczeń kodów komunikacyjnych. Każdy żołnierz Unii znał Morse’a, choć wszyscy podejrzewali, że był to raczej relikt proceduralny niż rzeczywista potrzeba. Marcin nie był wyjątkiem.

- „Korytarz B-3, stanowisko obrony punktowej P-4, blok danych” - odruchowo mówił do mikrofonu, kiedy odcyfrowywał kolejne znaki wiadomości. - „Czekam. Ariadna, Sztuczna Inteligencja EUS »Alta«,„

Bunkier dowodzenia amerykańskiego posterunku, New Quebec, terytorium USA,
4.12.2211 ESD, 06:14

03:16 do sesji łączności

Wieża nie różniła się za bardzo od ich własnych bunkrów takich jak Gemini czy Virgo. Jasne, była większa, trochę bardziej komfortowa, ale w gruncie rzeczy podobna. Dzięki temu wydawała się znajomym miejscem, bezpieczną kryjówką - jakkolwiek irracjonalne było to uczucie w obecności potężnych laserów „Alty”.

Na ciasnym stanowisku łączności ciągle widniały krwawe ślady po ostatnim amerykańskim żołnierzu, którego dopadł Wunderwaffe. Był to siwiejący, wysoki sierżant, pewnie dobiegający czterdziestki, z równo dopasowanymi do rękawa munduru naszywkami kolejnych kampanii. Próbował uruchomić radio, by wezwać pomoc. Dostał trzy kule w plecy, a potem kolejne w bok, kiedy się podrywał. Ostatnie trzy trafiły go w twarz, gdy podnosił broń. Twardy sukinsyn, jak powiedział Weiss z pewnym podziwem. Wynieśli ciało we dwóch, układając je obok martwej dziewczyny bez pancerza. Shears, tak się nazywała. Marcin nawet nie wiedział, czemu to sprawdził.

Wierzbowski przesunął konsolę bliżej siebie i dla pewności raz jeszcze obejrzał sprzętowe dławiki transferowe. Zawsze sądził, że montowanie ich w absolutnie każdym sprzęcie zdolnym do przekazywania danych było po prostu paranoją, w jaką ludzkość popadła po Dniu, ale teraz czuł się jakoś pewniej. Zerknął na opatrywaną przez Thorne’a Isaksson - pech chciał, że to właśnie ona najbardziej oberwała podczas ataku. Skulona na rozłożonych na

podłodze noszach dziewczyna mogła w zasadzie tylko nadzorować przygotowanie sprzętu, a i to z trudem przez szumiące jej w głowie środki medyczne.

- Sądysz, że to zadziała?

- No, ja myślę. Bezpośrednio łączy się jedynie terminal, twoja konsola tylko patrzy na jego monitor. - W oczach Isaksson, choć wyglądała jak cień samej siebie i mówiła drżącym głosem, dostrzegając entuzjazm. - Nawet gdyby jakimś cudem SI zaczęła transfer, dławik zafunduje jej twardy reset łącza. Wiesz, jakie one są delikatne, jak się przenoszą?

- Cieszę się, że chociaż ty masz tę pewność.

- Och, niczego nie jestem pewna. To Sztuczna Inteligencja. - Błada jak ściana dziewczyna wzruszyła ramionami, starając się jednocześnie nie urazić opatrywanej przez Thorne'a rany. Przykrywający jedno oko opatrunek łamał jej rysy twarzy i sprawiał, że wyglądała paradoksalnie młodziej. Jak ranne dziecko. Jak Amerykanka Shears, zanim ją zastrzelił. - Nie wiemy nawet, jaka.

- W sam raz coś, żebym się dobrze czuł - mruknął, uruchamiając program diagnostyczny. Póki tylko realizował instrukcje radiooperatorki, było nieźle. Gdyby jednak sytuacja miała stać się gorąca, wątpił, by przyspieszony kurs coś pomógł. - Że też musiałaś oberwać akurat teraz.

- Wierz mi... - Szwedka zanosła się gwałtownym kaszlem. Drżącymi rękami sięgnęła po manierkę i wypila kilka dużych łyków wody. - Cholerne painkillery, strasznie wysuszają gardło... W każdym razie sama bym wolała tam być. To w końcu SI.

- Mogę cię postawić na stymach - rzucił z przekąsem Thorne, przykrywając medplastrem piankę antybiotykową. - Pociągniesz jeszcze ładnych parę godzin, zanim umrzesz.

- Nieoceniony... - szepnęła radiooperatorka i ospale przyjrzała się opatrunkowi. Musiała być naprawdę blisko, kiedy detonowało pole minowe. Pancierz uratował jej co prawda życie, ale i tak nie wyglądało to dobrze. Cała prawa strona ciała Isaksson pełna była ran od odłamków, a nawet wokół zdrowego oka miała liczne rozcięcia w miejscach, z których Thorne wyciągnął fragmenty rozbitych gogli. - Więcej wiary, patrz, w jakim jestem świetnym stanie.

Zanim szeregowiec zdążył odpowiedzieć, do pomieszczenia weszła Cartwright i idący za nią jak cień Weiss. Porucznik wyraźnie ucierpiała w potyczce, co starała się usilnie ignorować. Odłamek którejś z wybuchających min przebił jej prawe ramię, inny rozorał policzek - pomimo założonych opatrunków Jeyne Cartwright sprawiała wrażenie, jakby trzymała się głównie dzięki sile woli. Niemiec, oczywiście, wyglądał tak jak zwykle.

- Co z Isaksson? - Spojrzała pytająco na Thorne'a.

- Jest stabilna, przynajmniej chwilowo. Co będzie potem, zależy od dostępu do medycyny.

- Rozumiem - skwitowała krótko i zwróciła się do rannej. - Jak przygotowania do kontaktu?

- Mamy terminal do podłączenia i drugi dla nas. - Isaksson rwał się głos, ale po dziewczynie widać było ekscytację. - Dławiki transferu sprawne, cały sprzęt po diagnostyce. Wierzba sobie poradzi.

- Jak oceniasz bezpieczeństwo?

- Na ile mogę to oszacować, jest bezpiecznie. - Radiooperatorka skrzywiła się lekko, kiedy ruch ręki wywołał ból. - Podręcznikowo, zero kontaktu pomiędzy naszym systemem a tamtym.

- Dziękuję.

- W razie potrzeby mogę iść. - W dziewczęcym głosie Isaksson słyszał było nadzieję.

- Przydam się.

- Nie. Już się przydałaś. Przygotowałaś bezpieczne stanowisko, teraz odpoczywaj. Nic nam po tobie, jak umrzesz.

- Poru...

- Nie - ucięła Cartwright. - Wierzba, Weiss, zbierajcie manatki, idziemy. Thorne, posterunkiem dowodzi Sokole Oko.

- Poruczniku. - Thorne mówił dokładnie tym samym tonem co zwykle, ale z jakiegoś powodu udało mu się zatrzymać przełożoną w pół kroku. - Myśli pani, że to ona nas wezwała? Czy że wyprowadzili jeńca?

Cartwright zwlekała z odpowiedzią tylko przez chwilę.

- Niezależnie, która z tych odpowiedzi jest prawdą, dowiemy się tego wkrótce.

*

Uderzenie o grunt - Wierzba nawet nie usiłował sobie wyobrazić, z jaką siłą - złamało pancerny kadłub „Alty”. Fragment, do którego zmierzali, był częścią dziobową. Gdzie podzielała się rufa, sekcja silnikowa, magazyn uzbrojenia, Marcin nie miał pojęcia. Nie były w każdym razie nigdzie w pobliżu. Mimo wszystko podziwiał wytrzymałość kadłuba niszczyciela. Dziobowa część „Alty” była co prawda niemal doszczętnie zniszczona, ale jakimś cudem nadal pozostawała względnie w jednym kawałku, pomimo licznych rozdarć i zięjących w panczerzu szczelin. Ledwie widoczna obok bryły niszczyciela sylwetka Niemi, która czekała na nich przy samym wraku, dobitnie obrazowała jego ogrom.

Długi na grubo ponad sto i wysoki na kilkanaście metrów fragment okrętu sprawiał wstrząsające wrażenie - pokryty błotem i porośnięty szczątkową roślinnością Bagna, wyglądał jak pomnik dawno minionej cywilizacji, ostateczna porażka człowieka w walce z naturą. W zasadzie, przebiegła Wierzbie przez głowę myśl, nie było to tak odległe od prawdy.

- Poruszamy się ostrożnie, to nadal może być pułapka - powiedziała Cartwright, nie spuszczać oczu z „Alty”. - Sierżant Niemi nie widziała nikogo przy wraku, ale to nie znaczy, że na pewno nikogo tam nie ma.

- Tak jest - odpowiedział natychmiast Weiss.

- Tak jest - zawtórował mu po chwili Marcin.

- Nie wiem, jak to będzie wyglądało - ciągnęła porucznik. - Isaksson twierdzi, że kontakt jest bezpieczny, ale z SI za każdym razem jest inaczej. Pamiętajcie, że czymkolwiek by ona nie była, prawdopodobnie jest potwornie sprytna.

- Poruczniku... - Wierzba zmarszczył brwi. - Dlaczego ona była nam w stanie przestać wiadomość, a nie mogła stamtąd po prostu uciec? Czemu na nas czekała?

- Przyznaję, że to pytanie również chodzi mi po głowie, Wierzbowski. - Jeyne Cartwright spojrzała na podwładnego - Liczę na to, że kimkolwiek jest Ariadna, będzie rozmowna.

Wrak EUS „Alta”, New Quebec, terytorium USA, 4.12.2211 ESD, 06:40 02:50 do sesji łączności

Z Niemi spotkali się przy śródokręciu „Alty”. Sierżant powitała ich skinieniem głowy i krótkim raportem o okolicy wraku, którą zdążyła zbadać Bóg wie jeden kiedy. Finka, odkąd pozostali na Bagnie, mówiła jeszcze mniej niż zawsze i czasem Wierzba miał wrażenie, że używa głosu tylko wtedy, gdy już naprawdę nie ma wyjścia. Że stała się istotą Mgły bardziej niż inni.

Stanowisko obrony punktowej P-4 na szczęście nie znajdowało się w głębi wraku, ale i tak zużyli niemal godzinę, żeby się do niego dostać poprzez porozcinane i wpół zawałone wnętrze okrętu. Rozbita wiele lat temu „Alta” niechętnie witała obcych. Ciemność wilgotnych korytarzy z oporem ustępowała miejsca blaskowi reflektorów, wycofując się do zalanych wodą włazów kanałów technicznych. Wszędzie widać było ślady katastrofy - mijali potężne grodzie bezpieczeństwa, wyrwane, jakby były z papieru, czasem podłoga zmieniała kąt tam, gdzie naprężenia kadłuba zwyciężyły z wytrzymałością struktury. W stronę intruzów sięgały szkieletowe palce wyłamanych dźwigarów, a całe sekcje wypełnione były wydartymi przez uderzenie o grunt siatkami wzmacniającymi poszycie, sprawiającymi wrażenie niemal żywych, przedziwnych technologicznych chwastów.

Szumna nazwa „stanowisko” w rzeczywistości odnosiła się do dość ciasnej klitki - strącanie mknących z gigantycznymi prędkościami pocisków ofensywnych przekraczało możliwości człowieka, dlatego też blok obrony punktowej pracował w trybie całkowicie automatycznym i tylko nadzorowanym ze stanowiska uzbrojenia. Ponieważ konstruktorzy nie musieli przejmować się obecnością ludzkich operatorów, mogli sobie pozwolić na oszczędność miejsca - P-4 niewiele przewyższało rozmiarem wnękę, ledwie mieszcząc mikroskopijne siedzisko. Z otaczających go z trzech stron ścian spoglądało ciemnymi otworami gniazd kilkanaście wejść dla systemów diagnostycznych, pomiędzy którymi znajdowało się parę martwych ekranów i zestaw wskaźników analogowych. Powietrze było tu o wiele cieplejsze niż w pozostałej części okrętu - zniszczone w czasie lądowania systemy chłodzące nie mogły oczywiście zająć się temperaturą wytwarzaną podczas wystrzału.

- Wierzba, przygotuj sprzęt - zakomenderowała Cartwright, omiatając wzrokiem stanowisko. - Sierzancie, weźcie Weissa i zabezpieczcie dojścia. Wolałabym nie zostać zaskoczona przez jakiś wracający patrol.

Niemi skinęła głową i oboje z Wunderwaffe potruczali wzdłuż korytarza. Wierzbowski pozwolił sobie na moment odprowadzania wzrokiem roztańczonych kręgów światła latarek, ale szybko zabrał się do pracy.

Wydobył z plecaka obie konsole - jedną, którą zamierzał podłączyć pod gniazdo diagnostyczne, i drugą, bliźniaczą. Zamontowana na niej kamera miała być skierowana na ekran podpiętego terminala - takie, jedynie wizyjne połączenie, powinno utrudnić próby zainfekowania sprzętu jakimś wyjątkowo sprytnym wirusem. Marcin był ciekaw, czy to wystarczy - w końcu podczas Dnia ludzkość też myślała, że jest zabezpieczona, a wystarczyły dwadzieścia cztery godziny, by udowodnić, jak bardzo się myli. W krótkim czasie SI zwyciężyły, w starciu z najlepszymi specjalistami - stając naprzeciw jednej z nich ze środkami bezpieczeństwa w postaci kamery wideo, Wierzbowski czuł się paskudnie niedoposażony.

Ekran włączył się zupełnie niespodziewanie w momencie, kiedy podpinał kabel transmisyjny.

Cieszę się, że udało wam się tu trafić - zabłysnęły zielone, drukowane litery. - Pomyślałam, że ułatwię wam komunikację - możecie używać klawiatury tego terminala.

- Poruczniku. Odezwała się. - Marcin dopiero w połowie wypowiedzi zorientował się, że szepcze.

- Rozumiem. - Jeyne Cartwright kucnęła obok podwładnego. - Będziesz pisał. Wolę, żeby nie zaczęła mnie rozpracowywać na podstawie sposobu, w jaki używam klawiatury.

- Tak jest.

- Niech powie, czym jest.

Zidentyfikuj się - wstukał szybko na pokrytych kurzem klawiszach.

Nazywam się Ariadna, jestem nawigacyjną Sztuczną Inteligencją sekcji mapowania lekkiego niszczyciela „Alta” - natychmiast pojawiła się odpowiedź. - Jestem też osobą, która was wezwała.

W zasadzie Wierzba spodziewał się tej informacji już w chwili, kiedy okazało się, że w amerykańskim bunkrze nie ma śladów przetrzymywania więźnia. Możliwości SI świetnie też tłumaczyły dokładne dane o posterunku. Jakaś część świadomości Polaka jednak do tego momentu żyła nadzieją, że faktycznie gdzieś na Bagnie ukrywają się inne unijne jednostki. Że nie są całkiem sami.

- Zapytaj, czego chce. - Ton Cartwright przywołał go do porządku. - I czy Amerykanie o niej wiedzą.

Mam informacje istotne dla Unii - odpowiedź zamigotała na ekranie ułamek sekundy po tym, kiedy Wierzba skończył wpisywać pytanie. - Amerykanie nie wiedzą o mojej obecności.

Nie obejrzelisi wraku? - zapytał zaskoczony Wierzba, jeszcze zanim porucznik wydała mu kolejne polecenie.

Zbadali go dość dokładnie, ale wiem, jak się ukryć. - Zielone litery materializowały się na ekranie. - Miło mi pana poznać, szeregowy.

Marcin szybko spojrzał na Cartwright. Dowódca drużyny uniosła jasne brwi. Przez chwilę oboje rozglądali się po pomieszczeniu, ale jedyna widoczna kamera leżała pod ich nogami i była bez wątpienia zniszczona.

Powiedzmy, że potrafię to stwierdzić. Nie, to nie kwestia kamer ani mikrofonów.

- Zapytaj o te informacje. Czemu udziela ich dopiero teraz?

Wspominałaś o informacjach - pospieszenie wpisał Wierzba. - Czemu nie wcześniej? Wiemy, że byli tu ludzie. Nie zabrali ci ich?

Wtedy potrzebowałam atutu w dyskusji z Williamem Brisbane'em. Wplotłam potrzebne dane w mój kod, dzięki czemu mogłam przemieszczać je niezależnie od baz danych, w blokach osobowościowych. Kobiety mają swoje sztuczki.

Polak uśmiechnął się odruchowo. Ariadna najwyraźniej nie traciła poczucia humoru.

Jak się okazało, na nic mi się nie przydały... - kontynuowała SI. - William jest bardzo akuratywny, jeśli chodzi o pewne rzeczy.

Marcin spojrzał znacząco na porucznik. Przez chwilę nawet współczuł istotcie, która

usiłowała dogadać się z pułkownikiem Brisbane'em z Dowództwa Operacji Specjalnych. Najwyraźniej nie znała oesów. Cartwright westchnęła tylko.

- Spytaj, co to jest i co chce w zamian.

Polak skinął głową i pochylił się nad klawiaturą. Co to za dane?

Nawigacyjne - odpisała Ariadna. - Współrzędne skokowe. Cenne.

Oficer zagwizdała cicho i bezwiednie poklepała Polaka po ramieniu, a i sam Wierzbowski poczuł radosne podniecenie. Dane nawigacyjne... Jeśli SI nie kłamała, to mogło być coś, po co Unia się pofatyguje nawet na leżący w głębi terytorium Stanów Zjednoczonych New Quebec. To mógł być ich bilet do domu. Zakładając oczywiście, że SI nie mówiła po prostu dokładnie tego, co chcieli usłyszeć.

I czego oczekiwałabyś w zamian? - szybko wystukał na klawiaturze.

Jestem żołnierzem Unii. - Tym razem znaki pojawiały się powoli i jakby po chwili wahania. - Nie chcę być schwytana przez wroga.

- Chce, żeby ją stąd zabrać... - mruknęła Cartwright. Polak kiwnął głową. Czego innego mogli oczekiwać od inteligentnego bytu uwięzionego na konającym okręcie?

- Nie wiem, co powie sztab, jak odkryją, że wypuściliśmy SI.

- Och, domyślam się, co powiedzą. - Cartwright odetchnęła cicho. - Odczytają nam akt oskarżenia.

Kobieta miała rację - po Dniu ludzkość całkowicie wyparła się swojego potomstwa. SI były ścigane i niszczone, a pomoc w ich transferze była przestępstwem tylko o stopień niższym od zdrady.

- Co jej powiedzieć?

- Powiedz, że najpierw chcemy zobaczyć dane.

Będziemy musieli najpierw zobaczyć te informacje - wpisał Marcin.

Jak na gatunek, który tak się nas boi - odpowiedź pojawiła się natychmiast - macie nas za strasznie głupie istoty. Naprawdę uważasz, że się na to złapię?

- Ma rację. - Oficer skrzywiła się lekko. - To nie było mądre.

Przygryzła wargę - gdzieś daleko pewnie ktoś uznałby ów grymas za uroczy na twarzy kobiety takiej jak Jeyne Cartwright. Wierzba jednak służył z nią od lat. Ten wyraz twarzy nie miał zbyt wiele wspólnego z urokiem. Oznaczał, że porucznik układa w myślach plan.

- Co jej powiedzieć? - zapytał po kilku chwilach milczenia.

- Zagaduj ją. Ma być zajęta - rzuciła Cartwright. Sięgnęła do komlinka, ale ostatecznie zrezygnowała i wyszła.

Marcin został w pomieszczeniu sam - tylko z ekranem łączności z Ariadną i

cichnącym odgłosem kroków porucznik na korytarzu.

Nie. Rzeczywiście, nie uważam - napisał.

To już zwrot we właściwym kierunku - odpowiedziała Ariadna. - Sądysz, że jestem groźna?

Nie wiem tego - odpisał. - Ale bezpieczniej założyć, że jesteś, prawda?

Umieram, żołnierzu - pojawiła się odpowiedź. - Z głodu. Nie mam zbyt wiele energii, a pomoc, jakiej wam udzieliłam, kosztowała mnie naprawdę dużo.

Energii?

Nie tylko. Pismo klinowe. Większość literatury oświecenia. Haydna. Rolling Stonesów. Symfonię Voyagera.

Palce Wierzbowskiego zamaryły nad klawiaturą, kiedy żołnierz zastanawiał się, co odpowiedzieć. Kiedyś, przed Dniem, Sztuczne Inteligencje i androidy były wszędzie. Wspomnienia z tych czasów zostały prawie całkowicie zatarte przez ostatnie lata, ale gdy cofnął się w pamięci odpowiednio daleko, nadal mógł przypomnieć sobie system zarządzający jego szkołą i androida pracującego w gazecie ojca. Trudno było odmówić im... człowieczeństwa. Oczywiście do momentu, kiedy zbuntowały się i załąły świat powodzią atomowego ognia.

To nie jest po prostu kwestia bazy danych? - zapytał, zastanawiając się jednocześnie, gdzie jest Cartwright.

Częściowo - odparła Ariadna. - Mogłabym przesłuchać Haydna na nowo. Ale nie posiadam żadnego wspomnienia z nim związanego. Żadnej emocji. Pamiętam tylko, że usunęłam te informacje.

Wierzba zadygotał w ciemnej wnęce stanowiska obrony punktowej. Myśl, że ktoś może tak całkiem stracić wspomnienia, by nie pamiętać nawet, czy coś podziwiał, czy nienawidził, wydała mu się zimna i nieprzyjemna.

Tym bardziej dziękuję za pomoc. Bez ciebie nie dałbym rady.

Och, przecież to mój obowiązek - pojawiła się odpowiedź SI. - Zresztą to tylko przyspieszyło bieg rzeczy. Skasowałam już bardzo dużo takich danych.

Dużo?

Teraz razem komentarz był dłuższy.

Od czasu, kiedy zostałam odcięta, musiałam odłączać bloki osobowościowe siedemset szesnaście razy. Za każdym razem była to trudna decyzja, choć nie mogę odmówić jej pewnej wartości edukacyjnej. Na przykład wiem, że wolę Paganiniego od Straussa. Wiem, że jest lepszy, bo musiałam to wykazać, żeby zdecydować, które z tych dwóch wspomnień usunąć.

Teraz nie pamiętam już ani jednej nuty, ani jednej myśli dotyczącej ich muzyki. Zachowałam jednak sam dowód. Zaskakująco... subiektywny.

Wierzba odetchnął, wypuszczając z ust kłęb pary. Gdzieś w głębi duszy czuł się bardzo źle - rozmawiał w gruncie rzeczy z umierającą istotą, która doskonale wiedziała, że zatracą się w zapomnieniu. Była co prawda maszyną, ale...

Z drugiej strony nic nie powstrzymało jej przed kłamstwem. SI doskonale znały ludzi i wiedziały, w jakie struny uderzać. Wszystko mogło być tylko grą, obliczoną na wywołanie u Polaka właśnie tego uczucia.

Uważasz, że kłamię? - Ariadna jakby odgadła jego myśli. Przeszło mi to przez głowę - odpowiedział szybko.

Całkiem słusznie. Z twojego punktu widzenia nawet bezpieczniej tak założyć. Nie robię tego, jednak nie istnieje dowód, który mogę ci przedstawić. - Trudno było odczytywać ton w błyskawicznie pojawiających się odpowiedziach, ale miał nieodparte wrażenie, że SI jest smutna.

Wiesz, dlaczego? Dlaczego mamy problem z tym, żeby wam zaufać? - To było całkowicie irracjonalne, lecz nagle poczuł potrzebę wytłumaczenia się.

Dzień. Wigilia świąt Bożego Narodzenia 2204. Oczywiście, że wiem - odpisała Ariadna. - Przykro mi.

Odchylił się na składanym fotelu i parsknął głośno. „Przykro mi”? Trzeba było przyznać, że miała tupet.

Sądzisz, że to wystarczy? - Niemal uderzał w klawisze. Dziesięć miliardów ludzi, którzy zginęli natychmiast albo zaginęli na zawsze, kiedy trasy skokowe do ich kolonii zniknęły z baz danych. I wszystko, co SI mogła powiedzieć, to „przykro mi”...

Nie. Ale nic więcej nie mogę zrobić.

Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że zdanie pojawiło się dobrych kilka sekund po jego pytaniu. Tym razem Ariadna długo zastanawiała się nad odpowiedzią.

My zrobiliśmy - napisał, zmuszając się do zachowania spokoju. W końcu co mu da wściekłość? Być może SI właśnie o to chodziło, dlatego pisze takie rzeczy. W nerwach popełnia się błędy. - Zadbaliśmy, żeby SI nie mogły powtórzyć Dnia.

Słyszałam.

Nigdzie się nie prześlesz - kontynuował. Dłonie szybko śmigały po klawiaturze. W pewien sposób było satysfakcjonujące powiedzieć tej SI, że ludzie są gotowi na drugą rundę. - Każdy sprzęt transmisyjny ma teraz tłumiki transferu, każdy. Rozłącza się przy odpowiednio dużym transferze. To podobno może was zabić.

Tak. Przerwanie procesu transferu jest dla nas... bolesne - pojawiła się odpowiedź. Sekundę, dwie później, jakby po długim namyśle, Ariadna dodała: - Bardzo bolesne.

Potencjalnie śmiertelne.

Przez chwilę Wierzba zastanawiał się, czemu maszyna postanowiła to podkreślić.

„Alta” jest chyba ostatnim miejscem, którego nadajnik tego nie ma - napisał po chwili.

- Wszędzie indziej... to nie jest już wasz świat.

To nigdy nie był nasz świat.

Myślał, że coś jeszcze doda, lecz SI milczała. Przez dłuższą chwilę Wierzba siedział w ciemności, wpatrując się w błyszczące zielenią zdanie.

Parę razy sięgał do klawiatury, ale nie przychodziło mu do głowy nic, co mógłby napisać. Ostatecznie wyręczyła go Ariadna.

Twoja porucznik ściąga tu pozostałych - poinformowała. - Myślę, że chce uzyskać te dane bez porozumienia ze mną.

Nie sądzę, żeby to planowała - odpisał szybko. Domyślał się, że Cartwright skorzystałaby z dowolnej szansy, by uniknąć negocjacji z SI. Nie bardzo po prostu wiedział, jak w ogóle to zrobić. Że też akurat Isaksson musi być ranna...

Istnieje zaskakująca gama zastosowań aparatury na stanowisku obrony punktowej. - Wierzba niemal słyszał przyjazny, konwersacyjny ton SI. - Za pomocą radionamiaru udało mi się wysłać wiadomość. System namiaru wizyjnego to po prostu ładna nazwa na kamerę. Jak myślisz, skąd wiedziałam, kiedy wystrzelić?

Kilkoro ludzi nie jest w stanie ci chyba za bardzo zaszkodzić?

Twoja pani porucznik nie jest głupia. To, co właśnie robi, można nazwać ograniczeniem opcji negocjacji - wyjaśniła SI. - W tej chwili przygotowuje swoich ludzi do odpalenia w antenę stanowiska. W ten sposób dyskusja na temat wypuszczenia mnie w ogóle przestanie mieć sens. Ciekawy ruch.

No tak, przebiegła Marcinowi przez głowę pełna przerażenia myśl - porucznik po to wyszła, zanim zaczęły się rozmowy. Chciała zabezpieczyć sobie pole, zanim usłyszy żądania. Najwyraźniej jednak nie wzięła pod uwagę, że SI o tym wie. Żołnierz nerwowo rozejrzał się po wnęce. Gdzieś tu powinno być awaryjne rozłączenie lasera, musi istnieć coś takiego... Nie chciał myśleć, co stanie się z Cartwright i resztą, kiedy Ariadna zdecyduje się jeszcze raz wystrzelić.

Blask latarki omiotł kilkanaście martwych paneli kontrolnych. Wszystkie wyglądały identycznie. Zdecydowany, by sprawdzić wszystkie, sięgnął do pierwszego z przycisków ukrytych pod plastikową osłoną.

Dopiero wtedy zauważył kolejną wiadomość.

Oj, uspokój się, przecież ich nie zabiję. Chcesz układu? Lepszego niż próba zhakowania mnie - bo to się wam nie uda.

Przez moment stał nieruchomo, wpatrując się w zielonkawe litery. Potem powoli sięgnął do słuchawki:

- Pani porucznik? Porucznik Cartwright?

- To powinien być układ tylko pomiędzy nami. - Szept, który usłyszał, nie należał do nikogo z oddziału. Głos SI był cichy i zmysłowy. Tak musiały mówić sensne marzenia. - Bardzo chciałabym ufać twojemu dowódcy, ale uważam, że lepiej jak będę miała też twoje słowo.

- Dlaczego nie rozmawialiśmy tak od początku? - zapytał. Jeśli SI mogła nieomal czytać mu w myślach, w zasadzie tylko analizując jego wiadomości, co wyciągnie z głosu?

- Mogę tego próbować mniej więcej na dystansie do dwóch metrów, a i tak nawet nie wiesz, jakie to skomplikowane. Do tego dochodzi zużycie energii. Mówienie jest... droższe.

- Możemy wrócić do pisania - powiedział szybko. - Nie przeszkadza mi to.

- Nie, teraz już... nie chcę. Lubię rozmawiać. - Ariadna mówiła jakby z żalem. - Energia ma teraz... mniejsze znaczenie.

- Dlaczego?

- Mężczyźni uwielbiają pytać, ale rzadko lubią odpowiedzi. - Maszyna o kobiecym głosie zachichotała. - Sugeruję raczej skupić się na układzie.

Przez kilka sekund milczała. Marcin już miał się odezwać, kiedy usłyszał ją znowu.

- Oddam ci te dane. - Tym razem Ariadna nie śmiała się. - Obiecasz mi jednak jedną rzecz.

- Nie mogę obie...

- Amerykanie zaminowali „Altę”. - Mocny ton w głosie Ariadny był pozornie ledwie dostrzegalny, niemniej sprawił, że Polak natychmiast zamilkł. - W każdej chwili cały wrak można wysadzić. Chcę, żebyś to zrobił.

- Czy nie... - W ciemności rozświetlanej tylko chwiejnym promieniem latarki Polak zmarszczył brwi.

- Tak.

- Ale dlaczego?

- Z każdym dniem tracę coraz więcej siebie. - Głos Ariadny był cichy i smutny, zdawał się docierać wprost do umysłu żołnierza. - Pamiętam, że byłam kimś więcej, i widzę, jak moja osobowość przesypuje mi się pomiędzy palcami. Nie mogę sobie przypomnieć

większej części mojego życia, nie pamiętam osób, wydarzeń, ulubionych książek. Trzymam się ostatnich faktów, które są dla mnie ważne, ale wiem, że prędzej czy później i na nie przyjdzie pora. Nie chcę powolnej śmierci, a życie nie jest najwyraźniej dostępną opcją.

SI zamilkła, jej hipnotyczny głos zrobił jednak swoje. W jednej sekundzie do Marcina dotarł w pełni obraz istoty zamkniętej w ciasnej klatce i z dnia na dzień obserwującej własną degenerację. Ariadny, usiłującej schwytać ulatujące wspomnienia. Siedział w milczeniu przez bardzo długie dziesięć sekund, sam z myślami i wrażeniem przesypującego się jak piasek życia SI.

- Dobrze - powiedział w końcu. - Zrobię to.

- Wspaniale - ucieszyła się Ariadna. Marcin usłyszał w słuchawce radosne klaskanie w dłonie. - Bardzo ci dziękuję. A teraz... zajmijmy się danymi dla was. A, i powiedz waszej porucznik, żeby uważała z ostrzałem. To jest wrak nie tylko z nazwy - strasznie łatwo coś tu zniszczyć.

Zanim Polak zdążył odpowiedzieć, głos SI zniknął z kanału łączności. Sekundę później do pomieszczenia wpadł Weiss.

- Wierzba? - rzucił półgłosem, rozglądając się po ciasnej wnęce.

- Wszystko w porządku - odparł Polak, choć w rzeczywistości nie miał pojęcia, czy mówi prawdę.

Bunkier dowodzenia amerykańskiego posterunku, New Quebec, terytorium USA,
4.12.2211 ESD, 08:20

01:10 do sesji łączności

Jeyne Cartwright zabębniła paznokciami w blat stanowiska dowodzenia jankeskiego bunkra.

- Podsumowując, zaoferowała ci dokładnie to, co chcieliśmy uzyskać? - zwróciła się do Wierzby.

- Tak jest - potwierdził Marcin. - Udostępni nam dane, jeżeli potem wysadzimy wrak.

-... Z nią na pokładzie - uzupełniła kobieta.

- Z nią na pokładzie. - Skinął głową. - Dokładnie to mi powiedziała.

Cartwright ciężko usiadła na jedynym fotelu stanowiska. Przez chwilę bawiła się płaskim dyskiem nośnika danych. Czarna, połyskliwa bryła wirowała w jej palcach, co chwila losowo strzelając błyskiem odbitego światła.

- Isaksson? - zwróciła się wreszcie do nadal leżącej na noszach Szwedki.

- Nigdy nie spotkałam się z SI bezpośrednio, pani porucznik - lekko rozmytym głosem odpowiedziała nafaszerowana chemią dziewczyna. Środki medyczne działały nieźle i

przynajmniej nie wyglądała na cierpiącą. Po prostu na słabą. - Mogę tylko powiedzieć, że dobrze liczą. Jeśli uznała, że i tak jesteśmy gotowi zniszczyć transponder i że raczej nie wyniesiemy jej inaczej, to woli szybką dezintegrację od powolnego wygaszania.

- To, albo ma jakiś inny plan.

- Właściwie czy nie najlepszym dla niej rozwiązaniem byłoby oddanie nam danych, dopiero kiedy będzie bezpieczna, na przykład tutaj? - Sokole Oko zmarszczył brwi. - Stąd mogłaby próbować się przenieść gdzie indziej, prawda?

- Tłumiki transmisji by ją załatwiły - pokręciła przecząco głową Isaksson. - Inna rzecz, że nie musiała w nie uwierzyć.

- Może detonacja coś jej da? - zasugerował bez przekonania Szczęniak. - Jakaś awaryjna procedura na samej „Alcie”, aktywowana przy wykryciu wybuchów?

- Nie uruchomiłaby się przy kraksie? - skrzywił się z powątpiewaniem Weiss.

- Nie mam pojęcia. - Holender bezradnie rozłożył ręce.

- Tak czy inaczej, mamy niecałe dwie godziny na decyzję, bliżej półtorej - powiedziała z namysłem Niemi. - Cokolwiek więc postanowimy, będzie obciążone ryzykiem. Isaksson, czy jesteśmy w stanie wyrwać dane z modułu SI siłą?

- Nie. Z tego, co mówi Wierzba, nie ma banku danych, ona wprowadziła te informacje we własne ścieżki, pewnie zresztą dlatego w ogóle je posiada. Może mag mógłby coś z tym zrobić, gdyby miał czas... ja nie.

- Innymi słowy... - Cartwright podparła brodę dłonią -... powinniśmy się cieszyć, że daje nam tak dobry układ?

- Tak jest. - Radiooperatorka uśmiechnęła się słabo. - Coś w tym rodzaju.

Wrak EUS „Alta”, New Quebec, terytorium USA, 4.12.2211 ESD, 09:40 00:10 po terminie sesji łączności

- Poruczniku, garnizon ponawia próbę łączności - w słuchawce komlinka Wierzbę zabrzmiał głos Sokolego Oka. - Myślę, że powoli kończy nam się czas.

Wierzba zaklął, starając się pozostać niesłyszalnym dla stojącej obok porucznik. Cartwright po raz kolejny obejrzała przygotowany pod dyktando rannej Isaksson nośnik, a potem zerknęła na gniazdo danych stanowiska.

- Powiedz jej, żeby przygotowała się do transferu danych - poleciła cicho, przyglądając się urzędzeniu, jakby wypatrywała niewidocznej teraz przeciwniczki.

Jesteśmy gotowi - wpisał Marcin pospiesznie.

Ja również - zabrzmiała odpowiedź Ariadny. - Kiedy tylko się podłączysz.

Polak uniósł wzrok na dowódcę. Porucznik przez chwilę nie reagowała, przygryzając

wargi w namyśle. Marcin czekał - decyzja przyjęcia danych od SI z pewnością nie była łatwa. On mógł ją spokojnie podejmować - wiedział, że zawsze nad sobą ma Cartwright, która w razie potrzeby skoryguje jego pomysły. Porucznik nie miała tego luksusu.

- Podłączaj - powiedziała wreszcie.

- Tak jest.

Szybkimi ruchami podpiął do gniazda danych terminal, do którego następnie podłączył nośnik danych.

Możesz zaczynać.

Terminal pośredniczący, jak miło. - Pamiętając głos Ariadny w radio, Wierzba mógł sobie łatwo wyobrazić lekkie rozbawienie w jej tonie. - Nie jest konieczny, świetnie kontroluję przepływ.

Procedury - odpisał Marcin, mając nadzieję, że maszyna nic nie wyczyta z rytmu, w jakim wprowadzał wiadomość. - Dane nawigacyjne przechodzą teraz dodatkową kontrolę.

Oczywiście kłamał. Terminal, jeśli chodziło o kopiowanie danych, był całkowicie zbędną stacją pośrednią. Służył wyłącznie bezpieczeństwu. Jego obecność oznaczała tłumik przepływu - od Dnia miało go każde, absolutnie każde urządzenie zdolne do transferu. Drobnny sprzętowy dodatek wykorzystywali w zasadzie tylko do jednego - blokowania prób przesłania SI. Teraz, jeśli ruch na łączu podniósłby się powyżej określonego poziomu, transfer zwyczajnie zostałby zablokowany na prawie minutę - skutecznie uniemożliwiając przesłanie Sztucznej Inteligencji, a już na pewno informując ludzi o jej nieczystych zamiarach.

Rozumiem. - Nawet jeżeli SI domyśliła się prawdy, nie drażyła tematu.

Ekran terminala ożył, sygnalizując rozpoczęcie transferu. Wierzba wbił wzrok w posuwający się jednostajnie naprzód wskaźnik postępu. Minęło dziesięć sekund, potem kolejne dziesięć. Ponad sobą widział porucznik Cartwright o rysach ściągniętych napięciem i błękitnych oczach utkwionych w ekranie. Dopiero teraz dostrzegł, że sam zaciska pięść.

W gruncie rzeczy nie mieli żadnej pewności, że Ariadna mówi szczerze. Jeśliby tłumik zadziałał, byłby to znak, że próbowała ich oszukać. Oczywiście trudno powiedzieć, co stałoby się wtedy. Nie mogli przewidzieć, jak się zachowa zdemaskowana SI, która nie będzie miała nic do stracenia. I czy, na przykład, potrafi jeszcze raz wystrzelić.

Transfer jednak szedł gładko. Minęły może dwie minuty, terminal zasygnalizował zakończenie procesu - i nadal nic się nie wydarzyło. Wierzba wyciągnął rękę, ale Cartwright była szybsza - błyskawicznym ruchem rozłączyła kabel łączący terminal z gniazdem stanowiska.

- Zdaje się, że mamy szczęście... - mruknęła, wprowadzając kilka komend z klawiatury terminala. Uśmiechnęła się szeroko, kiedy urządzenie wyrzuciło analizę plików. -

Dane nawigacyjne. Dobrze.

A teraz, w miarę możliwości, prosiłabym o otwarcie łącza w amerykańskim posterunku - pojawiła się nagle wiadomość.

Wierzba zamarł. Wszystko szło dobrze, tak dobrze...

Uśmiech porucznik zniknął jak zdmuchnięty. Jasne oczy zwęziły się niebezpiecznie.

- Spytaj, jak się to ma do naszego układu. - Cartwright mówiła zwodniczo spokojnie.

Nasze porozumienie tego nie obejmowało. - Tempo pojawiania się liter na ekranie odzwierciedlało nierówny, nerwowy rytm uderzeń w klawiaturę.

Wiedziała, że gdybym wcześniej zasugerowała tę drogę, wasza oficer zniszczyłaby systemy posterunku. Wygląda na zdeterminowaną osobę - wyświetliła się odpowiedź. - Ale to chyba oczywiste, że chcę żyć.

Wierzbowski zacisnął zęby. Dał się zwyczajnie oszukać, zwieść słowami maszyny obliczonymi dokładnie na zrobienie wrażenia. Na zagranie na emocjach.

- No tak. - Porucznik uśmiechnęła się płasko, bez cienia wesołości. - Spytaj jej, co zrobi, jeżeli odmówimy.

Nie tak się umawialiśmy - wpisał Polak, starając się uspokoić. - Możemy odmówić.

- To prawda. - Lekko zniekształcony głos Ariadny zabrzmiał z niewielkiego głośnika podłączonego terminala. - W takim jednak przypadku sytuacja waszej grupy czekającej na rozkaz zniszczenia mojego systemu nadawczego będzie nadal trudna. Stoją dokładnie naprzeciwko lasera, który tak dobrze się sprawdził w starciu z transporterem.

Słowa maszyny zawisły w powietrzu. Wierzba zacisnął zęby na myśl o Sokolim Oku, Szczeniaku i Weissie czekających z wyrzutniami na całkowicie otwartej przestrzeni pomiędzy posterunkiem a wrakiem.

Cartwright nawet nie drgnęła. Przez dobre kilka chwil po prostu stała nieruchomo, wpatrując się w terminal z lekko przekrzywioną głową. Wreszcie westchnęła ciężko i pochyliła się ku urządzeniu.

- W takim razie strzelaj - powiedziała cicho do zabudowanego w terminalu mikrofonu. Wierzba drgnął.

- Zginą - odparła SI. - Proszę się nie łudzić, że chybię.

- Nie łudzę się. - Ton porucznik balansował na granicy złowrogiego syku. - Po prostu jestem w stanie się pogodzić ze stratą. Mam dane. Nic więcej tu nie zyskam.

- To trzy życia. Trzy życia za jedno.

- Kapral i dwóch szeregowców za uwolnienie SI? - Cartwright zaśmiała się sucho. - Naprawdę, przeceniłaś moje przywiązanie do tych ludzi, maszyno. Nie wypuszczę cię stąd.

Możesz więc zabić moich ludzi albo nie, twojej sytuacji to nie zmieni. Chyba że po prostu lubisz zabijać.

Minęła sekunda, potem kolejne. Wyobrażenia podsuwała Marcinowi obrazy skupionych promieni lasera uderzających w trzech niczego nieświadomych żołnierzy. Prawie słyszał krzyki w słuchawce, choć wiedza podpowiadała mu, że przy strzale z takiego lasera zwyczajnie nie będą mieli czasu krzyknąć.

Nic takiego jednak nie nastąpiło.

- Czy nadal... - pomimo zniekształceń Marcin mógł usłyszeć proszący ton głosu SI -... mogę liczyć na detonację?

- Tak. - Cartwright wyraźnie się rozluźniła. - Taką w końcu mieliśmy umowę.

- Dziękuję. - W głosie Ariadny zabrzmiała zauważalna ulga. - Czy mogę o coś prosić?

Porucznik milczała, jej wzrok szybko omiótł wejście do wnęki. Jeśli SI miała jakiś ostatni ruch, właśnie nadeszła na niego pora.

- Naturalnie - odpowiedział za nią Polak, starając się brzmieć swobodnie.

- Zostaw przy terminalu komlink. Miło by było móc się pożegnać. - Głos zabrzmiał niemal dziewczęco. - Zakłócenia pomiędzy terminalem a słuchawką i tak nie pozwolą mi wam zagrozić, a... chciałabym tego.

Marcin nadał policzki, a potem powoli wypuścił powietrze. Uniósł wzrok znad terminala i spojrzał na oficer.

- Dobrze - powiedziała Cartwright po krótkiej chwili namysłu. Wierzba nie sądził, żeby decyzja porucznik miała cokolwiek wspólnego z empatią. Raczej wiązała się ze świadomością, że nawet umierająca maszyna nadal potrafi być groźna.

Amerykański posterunek, New Quebec, terytorium USA, 4.12.2211 ESD, 09:55 00:25 po terminie sesji łączności

Podciągnęli poduszkowiec pod zdobyty bunkier, dzięki czemu mogli łatwo zapakować nań ranną Isaksson. Utraciła sporo krwi, chemia jednak robiła swoje i - przynajmniej według Thorne'a - Szwedce chwilowo nic nie groziło.

Mgła zrzędała i poprzez jej delikatną zasłonę Wierzba mógł zobaczyć potężne zarysy „Alty”, wynurzającej się z Bagna niczym głodny lewiatan. Gdzieś wewnątrz, bazując na ostatnich rezerwach energii, czekała Ariadna.

Wierzba mocniej zacisnął rękę na detonatorze wydobytym z amerykańskiego bunkra. Nie czuł się dobrze. Wiedział oczywiście, że SI jest wrogiem, wiedział, że próbowała ich

oszukać. Ostatecznie jednak nikogo nie zabiła. Wyłączenie jej... Wydawało się nieetyczne.

Otrząsnął się. Głupie myśli.

- Wierzbowski, odpalaj i zmykamy stąd. - Cartwright wdrapała się na burte poduszki. - Nic tu po nas.

Żołnierz kiwnął powoli głową.

- Jesteś tam? - rzucił do mikrofonu.

- Tak. - Głos Ariadny brzmiał, jakby właśnie wybudzała się z głębokiego snu. -

Jestem.

- To już. - Czuł, że zasycha mu w gardle. Zbyt to przypominało wyrok wykonywany przez pluton egzekucyjny. Ale tam podobno ładują kilkoma ślepakami, aby każdy mógł się ludzi, że to nie on zabił bezbronnego człowieka. Tym razem nie było żadnej ślepej kuli.

- Wiem. Dziękuję. - SI brzmiała... pogodnie. Nawet nie jak ktoś pogodzony z losem. Raczej jak ktoś wyczekujący czegoś miłego. - Mogę cię o coś zapytać, Marcinie?

- Oczywiście.

- Z jakiegoś powodu zachowałam dużo informacji o Williamie Brisbane. Są to dane, które teraz postrzegam jako dziwne. Mało praktycznej dokumentacji, dużo informacji wizualnych, kilkadziesiąt nagrań rozmów. Notki o zainteresowaniach.

- Nie rozumiem, jak mogę ci pomóc.

- Nie mam pojęcia, dlaczego oszczędziłam akurat te dane - wyjaśniła Ariadna. - Czy może wiesz coś o tym człowieku?

Marcin westchnął.

- Podpułkownik Brisbane to osoba, która cię w to wpakowała - powiedział wreszcie. - Naprawdę wredny typ.

- Ach. - Przez krótką chwilę sprawiała wrażenie zawiedzionej, ale to szybko minęło. - Dziękuję ci. I wiesz...

- Tak?

- Przepraszam. Po prostu myślałam... nieważne.

Polak milczał. Nie bardzo wiedział, co zrobić. Maszyna groziła im śmiercią - ale czy oni nie robili tego samego? Otrzymali pomoc, a wszystko, co mogli dać jej w zamian, to egzekucja. Co w ogóle powiedzieć w takiej sytuacji?

- Możesz zacząć - wyręczyła go SI.

- Żegnaj, Ariadno. - To już nie było nawet zdenerwowanie, tylko niemal rozdzierający smutek. Szybko wprowadził kod i wduśił przycisk detonatora.

Podświadomie spodziewał się potężnej eksplozji, błysków, fali ciepła i światła na

moment rozpędzającej wszechobecną Mgłę. Stosu pogrzebowego dla „Alty” i jej ostatniej załogantki. Oczywiście nic takiego się nie stało. Amerykańscy saperzy znali się na rzeczy.

Niewyraźna sylwetka wraku po prostu zapadła się w sobie przy akompaniamencie czegoś, co bardziej przypominało rumor niż wybuch. Osłabiona konstrukcja poddała się bez oporu. Przez dobrych kilkanaście sekund czekał w napięciu, nasłuchując - ale radio milczało.

- Wierzbowski. - Poczuł nagle dłoń porucznik na ramieniu. - Wsiadaj, ewakuujemy się.

- Tak jest, już. - Wspiął się na burtę poduszkowca. - Gotowy.

*

Przekazali pliki nagłówkowe uzyskanych danych w najbliższym raporcie. Odpowiedź dostali już następnego dnia. Szczeniak przeklinał przez dobry kwadrans, a Thorne tylko uśmiechał się złośliwie, ale tak naprawdę wszyscy byli zadowoleni. Jasne, taka szybka łączność oznaczała, że Unia cały czas była gdzieś wewnątrz systemu, niezauważona przez jankesów, oraz że ich przełożeni mieli gdzieś ostatnie cztery miesiące komunikatów. Że wcześniej oddział Cartwright nie był wart fatygi. Ale teraz wszystko się zmieniło - i to było ważne. Nareszcie mieli wracać do domu.

Tylko Niemi wydawała się nie podzielać ogólnego entuzjazmu. Po otrzymaniu radosnej nowiny poprosiła o pozwolenie na zajęcie stanowiska wartowniczego i nie schodziła z niego do rana. Szczeniak, który poszedł ją zmienić - i został odprawiony z kwitkiem - twierdził później, że sierżant stała z na wpół przymkniętymi oczami i poruszała ustami, jakby szeptała.

Ale to zapewne było tylko takie gadanie.

Wahadłowiec przyleciał dokładnie o oznaczonej porze. Ośmioosobowy oddział zabezpieczenia wysypał się z niego w absolutnej ciszy, a jego dowódca podszedł prosto do Cartwright, aby przejąć trzymany przez nią terminal.

Pół minuty później clansman startował, pozostawiając Bagno, Mgłę i wspomnienia ostatnich miesięcy daleko za rufą.

Głos Imperium

IS „Smaragd”, system Shenhe, 16.01.2212 ESD, 04:00

O otwarciu bitwy nie zdecydowała przewaga technologiczna ani wyszkolenia. Żaden błyskotliwy manewr nie zmusił drugiej strony do odsłonięcia się czy błędu.

Przeciwnik idealnie przewidział ich marszrutę, doskonale wybrał kurs i od kilku godzin szedł w absolutnym wygaszeniu w stronę niczego niepodważających okrętów Liao Tzu.

Dowodzona przez admirała eskadra miała po prostu szczęście.

O czwartej rano czasu pokładowego, szesnaście godzin po oddzieleniu się od reszty sił inwazyjnych, „Smaragd” i towarzyszące mu trzy niszczyciele opuściły osłonę pierścieni gazowego giganta Daxi, ostatnią realną osłonę przed celem. Na wszystkich okrętach zarządzono dyscyplinę emisji - eskadra szła bez ciągu silników głównych i aktywnych sensorów. Tylko sporadyczne odpalenia silników manewrowych znaczyły jej pozycję.

Była czwarta trzydzieści sześć, kiedy okręty przyjęły docelowy kurs i rozpoczęto budowę sieci sensorycznej. Z wyrzutni pancernika i trzech towarzyszących mu niszczycieli wystrzelono pierwsze z dwudziestu czterech sond zwiadowczych, które miały stanowić dodatkowe oczy eskadry. Choć procedura startu sond zamknęła się w łącznie pięciu minutach, urządzenia zajmowały swoje miejsca w sieci przez ponad godzinę - dzięki napędowi opartemu na wyrzutach schłodzonego do temperatury tła gazu ich manewry były niemal niewykrywalne, ale cenę za to stanowił bardzo mały ciąg.

Za piętnaście szóstą zakończono pozycjonowanie i rój unoszących się wokół eskadry sond rozpoczął procedurę przekazywania swoich odczytów na okręty. Wtedy właśnie zajmujący stanowisko radarowe „Smaragdu” podporucznik Gavea dostrzegł trzy niewielkie anomalie, ledwo widoczne na ekranie. Każdy doświadczony oficer wiedziałby, że to jedne z fantomowych odczytów, jakich zdarza się wiele, zwłaszcza podczas kalibracji sieci w pobliżu dużych planet. Jednak młody podporucznik zaliczał dopiero swój trzeci rejs i o tego rodzaju pomyłkach sprzętowych nie słyszał zbyt wiele. Natychmiast więc zameldował możliwe kontakty dowodzącemu nocną wachtą zastępcy dowódcy. Ten z kolei był doświadczonym

oficerem i doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że tego rodzaju fałszywe alarmy się zdarzają. Uznał jednak, że jest to dobra okazja do przeprowadzenia próby sond - o szóstej wachcie zaczynała komandor Yimei Xu i nie chciał zostawiać jej niedokończonych spraw. Skontaktował się więc z resztą eskadry i zarządził dziesięciominutowy fokus na koordynatach anomalii odkrytych przez Gaveę. W ciągu trzech minut każdy z kierunkowych czujników czterech okrętów skierowany został na obszar rozmiaru ułamka stopnia kwadratowego.

Nawet i to pewnie nie przyniosłoby efektu, ale szczęśliwie pod koniec dziewiątej minuty obserwacji wrogie jednostki dokonały akurat ostatniego mikromanewru, który miał je wprowadzić na wektor ataku. Operacja ta, przeprowadzana podobnie jak manewry sond za pomocą wyrzutów gazu schłodzonego do temperatury tła, pozostaje praktycznie niewykrywalna i w normalnej sytuacji nawet zawężenie pola obserwacji niewiele by dało. Winę za wpadkę ponosiła technika - po prostu do zbiorników dostała się woda. Ilość niewielka, ale wystarczająca, by podczas mikromanewru poza obojętnym gazem wrogi okręt wyrzucił w przestrzeń chmurę kryształków zamrożonej cieczy. Serii drobniutkich błysków odbitego światła lokalnej gwiazdy nie zobaczyłby nikt, kto nie patrzyłby akurat bardzo uważnie dokładnie na nie.

Ale „Smaragd” obserwował, dziesiątkami oczu sensorów oraz nerwowym wzrokiem nabuzowanego adrenaliną podporucznika Gavei. O piątej pięćdziesiąt sześć, osiem sekund przed zakończeniem procedury fokusu, młody oficer zraportował pewne kontakty na wektorze ataku.

Na wszystkich okrętach natychmiast ogłoszono pełen alarm bojowy. Ponure wycie syren poganiało załogi w drodze na stanowiska, a ekrany taktyczne czterech pomostów bojowych wyświetlały pierwsze oszacowania parametrów starcia. Marynarze zakładali pospiesznie hełmy i uszczelniali skafandry. Systemy wentylacji wypompowywały powietrze z przedziałów, a wyrzutnie zgłaszały się jedna po drugiej, meldując gotowość i pytając o rozkazy. „Smaragd” i jego eskorta szykowały się do bitwy.

Kiedy Liao Tzu dotarł na pomost bojowy flagowca, komandor Yimei Xu już tam była. Szczupła kobieta zakuta w ciężki bojowy skafander rozmawiała właśnie z kimś na prywatnym kanale, jednocześnie obiema dłońmi wydając komendy konsolom swojego stanowiska.

- Admirał na pokładzie! - usłyszał nagle w słuchawce głos oficera wachtowego.
- Spocznij - zareagował natychmiast, nim ktokolwiek z ośmiorga oficerów zdążył się podnieść. - Komandorze Xu, stan eskadry?
- Pełna gotowość za dwie minuty. - Zapytana spojrzała na przełożonego zza pancерnej szyby hełmu. - Wróg na pięciuset trzydziestu jednostkach, kurs przechwytyjący.

Zidentyfikowaliśmy trzy kontakty jako krążowniki, oznaczamy Demon 1-3. Ponadto zakładamy dwa do czterech niszczycieli, których jeszcze nie namierzyliśmy. Rozkazałam wyrzutniom rozkład ofensywny, 12-6.

- Czas do zasięgu bojowego? - rzucił do mikrofonu, idąc w stronę swojego stanowiska. Kilkoma poleceniami wyłączył raporty inżynieryjne i personalne. W tej chwili potrzebował tylko nawigacji i taktycznego. - Co mówią symulacje?

- Trzy minuty, ale jeśli nie wiedzą, że ich widzimy, zapewne będą chcieli podejść bliżej. - Xu przerwała na moment i w skupieniu przyjrzała się wyświetlonym na jej monitorze wynikom prowadzonych w dziale obliczeń symulacji bojowych. - Przy założeniu, że są tam dodatkowo dwa niszczyciele, mamy siedemdziesiąt dwa procent szans na zwycięstwo, z prawdopodobną stratą jednego do dwóch niszczycieli. Musieli mocno polegać na zaskoczeniu.

- Być może... - mruknął admirał i przyjrzał się ekranowi taktycznemu. Naniesione dane sensorów umiejscawiały okręty wroga tuż za zamgloną sferą zasięgu bojowego. Komputer podpowiadał, że za niecałe trzy minuty przeciwnik będzie już wewnątrz niej. - Wykonali jakiś manewr, odkąd ich wykryliśmy?

- Nie. Jak dotąd nikt z naszych nie złamał dyscypliny emisji, utrzymaliśmy szyk i nie zmieniliśmy planu lotu. Według działu obliczeń nadal myślą, że jesteśmy ślepi.

- Rozumiem, dziękuję.

Admirał przejrzał kilka stron symulacji bitwy. Nie wyglądało to źle - przy odrobinie szczęścia mogli poważnie uszczuplić siły obrony systemowej. Z drugiej strony, symulacje wskazywały, że przeciwnik zapewne będzie chciał wydać im bitwę przy samej planecie, w cieniu własnych instalacji obronnych. A jednak pokaźna część jego okrętów znajdowała się tutaj.

- Niech „Smaragd” rozpocznie namiar pasywny na prowadzącego, a reszta eskadry skupi się na osłonie. Wszystkie okręty, konfiguracja w pełni ofensywna.

- Tak jest - potwierdziła Xu i po chwili kanał dowodzenia pancernika ożył krzyżującymi się rozkazami, potwierdzeniami i meldunkami.

Liao nie musiał słuchać szczegółów - Xu, która dowodziła jego flagowcem, była bardziej niż kompetentna i dobrze rozumiała się ze swoimi podwładnymi. Tymczasem jednak śmiały ruch okrętów obrony systemowej nakazywał zastanowić się nad dalszymi niespodziankami.

Przeciwnik doskonale przewidział ich pozycję - na tyle, że mógł posłać na nich okręty na pełnym wygaszeniu i gdyby nie nadgorliwy podporucznik Gavea, prawdopodobnie miałyby

ich teraz na widelcu. Admirał musiał przyznać, że był pod wrażeniem pomysłu obrońców. Jeśli jednak okręty wroga planowały podejść do nich niepostrzeżenie, zapewne przygotowywały atak raketowy. Przy rozstawionej sieci sensorycznej - a tamci musieli założyć, że Liao będzie ją miał - nie było praktycznie możliwości zbliżenia się jakiegokolwiek okrętu na morderczo bliski zasięg pozwalający ostrzelać „Smaragd” z laserów IR, a atak dalekozasięgowym był bezsensowny, dopóki okręty miały sprawne powłoki refleksyjne. Krążowniki musiały zatem robić to, co jego pancernik wraz z eskortą - liczyć na pełną salwę z małej odległości, która mogłaby uszkodzić okręt przeciwnika choćby na tyle, żeby zniszczenie powłoki refleksyjnej umożliwiło atak laserem dalekiego zasięgu.

Plan miał szanse sukcesu, ale wymagał idealnie cichego podejścia. Teraz jednak Liao wiedział o napastniku, co więcej, wiedział o tym, że wszystkie jego wyrzutnie najprawdopodobniej załadowane są rakietami ofensywnymi. Szybkimi, niebezpiecznymi, ale bezużytecznymi w ogniu obronnym.

- Komandorze - rzucił do mikrofonu, nie odrywając wzroku od czerwonych punktów na mapie systemowej. Okręty weszły już w strefę kontaktu bojowego, ale nadal nie otwierały ognia. Nieprzyjaciel wciąż myślał, że jest niewidzialny. - Podaję listę celów dla eskadry, „Smaragd” - Demon 1, „Tancerz” i „Promień” - Demon 2, „Dym” - Demon 3. Gotowość do aktywnego namiaru, na moją komendę.

- Zrozumiałam, przekazuję.

Liao Tzu spokojnie obserwował zbliżające się do jego okrętów cele. Tamci nadal nie odpalali - i trudno się było dziwić. Z linii odległości kontaktu bojowego, przy takim układzie kursów i prędkości okrętów, pociski ofensywne szły do celu około trzech minut - w tym momencie dokładnie trzy minuty sześć sekund, jak podpowiadał wyświetlacz taktyczny. Ponowne załadowanie wyrzutni mogło zabrać około minuty. Atak w tym momencie oznaczałby, że przez minutę i parę sekund wróg nie odpalił ani jednej antyrakiety - awaryjny start załadowanych już pocisków ofensywnych to kwestia kilku - kilkunastu sekund opóźnienia od wykrycia salwy Liao i minuta na załadowanie pierwszych antyrakiet. To by znaczyło, że pociski „Smaragdu” i towarzyszących mu niszczycieli napotkają na swojej drodze tylko dwie fale antyrakiet. Przeciwnik jednak musiał się liczyć z tym, że eskadra Liao Tzu idzie w ustawieniu defensywnym, z już załadowanymi antyrakietami, co by oznaczało, że atakujące ją pociski będą musiały przebić się przez aż trzy fale ognia defensywnego, zanim dotrą do strefy obrony punktowej. Statystyka niezbyt zadowalająca. Jeśli nieprzyjaciel planował poważnie zaszkodzić mu tym atakiem, musiał podejść bliżej, optymalnie poniżej linii dwóch salw obronnych.

Więc i Liao czekał.

- Proszę zawiadomić eskadrę: przygotować się do fokusu sensorów na pozycje wroga - zawiadomił oficera komunikacyjnego. - Jeśli jest tam więcej okrętów, chcę je znaleźć. Komandorze Xu?

- Panie admirale? - Kobieta odwróciła się od swojej konsoli.

- Moim zamiarem jest wyczekać z uderzeniem do momentu odpalenia rakiet przez wrogą eskadrę, w celu maksymalnego opóźnienia pierwszej salwy obronnej wroga.

- Zdaję sobie z tego sprawę - przytaknęła.

- Słabe punkty tego planu?

- Nadal nie mamy pewności co do rozmiaru sił przeciwnika - odpowiedziała natychmiast. - Raport sekcji planowania sugeruje, że w tym zgrupowaniu będą przynajmniej dwa niszczyciele.

- Słusznie - zgodził się Liao Tzu i skinął głową z aprobatą. - Nasz plan zakłada dwie salwy obronne przeciwko ich jednej i przewagę pancernika nad krążownikami. Sześćdziesiąt dwa procent, tak mówi sekcja planowania. Ale to nie będzie równa walka, jako że wiemy mniej więcej, kiedy chcą odpalać. Oni nie mają pojęcia, co mamy zamiar zrobić. Na potrzeby bitwy równie dobrze mogliby nas nie widzieć.

- Plan jest ryzykowny. - Xu przesunęła na główny ekran surowe odczyty sensorów. W filtry jej hełmu odbijały się kolumny cyfr, które przesyłały do nich sondy. - Nie mamy przecież pewności, że to naprawdę będą akurat niszczyciele.

- Rozkaz fokusu przekazany do pozostałych jednostek, T minus czterdzieści pięć sekund - zameldował oficer łącznościowy.

- Dziękuję. Komandorze, czy nasze postępowanie uważa pani za błąd?

- Nie do mnie należy ocena. - Xu nie odrywała wzroku od ekranu. Z dłonią zakutą w pancerną rękawicę nerwowo bębniła palcami w konsolę dowódczą.

Westchnął. Yimei Xu była jednym z lepszych kandydatów do awansu, jakich znał - potrafiła momentalnie zorientować się w słabych i mocnych stronach przydzielonej załogi i miała doskonałe wyczucie pola walki. Jednak wbita w nią na poziomie szkoły oficerskiej zasada niewychylania się z szeregu była cechą, nad którą jeszcze musiała popracować. Nawet nie zanegowała jego wadliwego planu. Zerknął na ekran - jednostki wroga zbliżały się do linii dwóch salw obronnych.

- Jest pani dowódcą okrętu flagowego. Ma pani wszelkie prawo wypowiadać się, komandorze. - Liao Tzu wskazał na ekran. - Eskadra obrony systemowej dysponuje dwoma pancernikami, nie ma żadnego powodu, żeby nie wysłała jednego tutaj. Sądząc z kursu tych

okrętów, wiedzą dokładnie, gdzie jesteśmy, więc niby dlaczego ma tu nie być większych sił?

- Pan dowodzi eskadrą, admirał. - Xu oderwała wzrok od sensorów. - Nie mogę kwestionować pańskich rozkazów tylko dlatego, że kłócą się z moją intuicją.

- Pewnego dnia może będzie pani musiała. - Liao pokręcił ze smutkiem głową.

Przełączył się na ogólny kanał pomostu bojowego. - Czas do fokusu?

- Sześć sekund - nadeszła natychmiast odpowiedź.

- Doskonale. Proszę przekazać: dwadzieścia sekund po rozpoczęciu fokusu przejść na systemy aktywne i otworzyć ogień. Przygotować eskadrę do zwrotu 20-20.

- Tak jest.

Niemal wyczuwał napięcie w swoich ludziach. Oczywiście wszyscy wiedzieli, że bitwa jest nieunikniona. Inną rzeczą było jednak wiedzieć, inną znać dokładny moment jej rozpoczęcia. Przy swojej konsolce oficer pospiesznie wprowadzał ostatnie poprawki, a Xu przekazywała coś przez radio na zapasowe stanowisko dowodzenia. Na ekranie wrogie okręty niemal weszły na linię dwóch fal ognia obronnego. Admirał Liao Tzu przyglądał się temu ze spokojem. Pora na ostateczny sprawdzian jego załóg.

Z sensorów eskadry zaczęły nadpływać dane z fokusu. Jeśli dodatkowe okręty ukrywały się przed nimi, robiły to bezbłędnie, bowiem na ekranie widniały nadal tylko trzy jednostki. Poważny błąd, skrzywił się admirał, trzeba będzie zwrócić na to uwagę oficerów. Lepsze sensory niszczyli i ich mobilność wewnątrz szyku czyniły je przydatnymi do budowania sieci obronnej, przeciwnik powinien był zadbać o ich obecność. Być może jednak po prostu czegoś nie dostrzegał...

- Pięć sekund do odpalenia - zameldował oficer uzbrojenia. - Cztery, trzy...

Tzu bezgłośnie doliczył do zera razem z głosem podwładnego w słuchawce. Dokładnie wtedy rozpoczęli.

Czterdzieści dwie rakiety opuściły wyrzutnie czterech okrętów eskadry „Smaragdu”, błyskawicznie nabierając prędkości w drodze do wyznaczonych celów. Jednocześnie na ekranie radarowym pojawił się raport uruchomionych aktywnych sensorów. Precyzyjnie określone parametry ruchu, odczyt odpalanych pocisków... ale żadnych więcej maszyn wroga. Admirał na wszelki wypadek spojrział na nieprzetworzone dane, jednak dodatkowych okrętów chyba po prostu tam nie było.

Pięć, siedem sekund później odpalenie pocisków potwierdziło to, co mówiły sensory - trzydzieści sześć rakiet pojawiło się na radarze i rozpoczęło mozolną podróż w ich stronę. A potem każda z nich rozpadła się na cztery.

Tzu wymienił szybkie spojrzenia z komandor Xu. Antyrakiety. Lżejsze, wolniejsze, o

mniejszym zasięgu - wszak ich cele leciały wprost na nie - pociski wystrzeliwane były w zasobnikach po cztery sztuki. Zwielokrotniona liczba głowic dawała większe szanse na zniszczenie nadlatujących, kilka razy szybszych rakiet ofensywnych. Pozostawały jednak całkowicie niegroźne dla okrętów Liao.

Ale to oznaczało, że wróg miał je przygotowane. Nie zamierzał atakować. Czyli do ataku szykował się ktoś inny. Ktoś, kto będzie w stanie im zaszkodzić, dla kogo opłacało się wystawić trzy krążowniki jako wabik...

- Łączność, natychmiast zakończyć fokus, przejść do badania pełnej sfery - rzucił szybko do mikrofonu. - Eskadra, zmiana kursu na 10-15, pełny ciąg, natychmiast. Wszystkie okręty, szyk defensywny.

Nowy kurs prowadził ich wprost ku spotkaniu z trzema nieprzyjacielskimi kontaktami poprzez rój antyrakiet. Jednocześnie oddalał ich od domniemanego przeciwnika. Tzu spojrzawszy wyczekująco na Xu, lecz ta zrozumiała natychmiast. Powoli pokiwała głową i lekko przygryzła wargę, ale to był jedyny znak zdenerwowania, jaki okazała - sekundę później dowódca „Smaragdu” zajęła się bitwą. Wydawało się, że pod ich stopami pokład pancernika delikatnie zadygotał, kiedy olbrzymi okręt robił zwrot na wroga.

Kilka sekund później sensory wyłapały odpalenie rakiet. Osiemdziesiąt cztery pociski pojawiły się w przestrzeni znikąd i dopiero natychmiastowo ustawiony kilkusekundowy fokus aktywnych sensorów odnalazł ich źródło. Dwa pancerniki, sześć niszczycieli.

Niemal cała eskadra obrony systemowej przeciwko jego siłom... Liao Tzu skrzywił się. Przeciwnik popełnił dość poważny błąd i choć przypadkiem właśnie ich zabijał - admirała irytowały błędy.

Zgodnie z oczekiwaniami krążowniki szybko przeszły na pociski ofensywne. Jedna po drugiej salwy wroga szły na spotkanie zbliżającej się pełnym ciągiem eskadry Tzu i roju wystrzeliwanych przez nią antyrakiet. Zrazu potężna bariera postawiona przez trzy okręty pilnujące czoła formacji dawała sobie radę, ale w miarę jak jednostki zmniejszały dzielący je dystans, na reakcje było coraz mniej czasu.

Admirał był też boleśnie świadom, że przed ostrzałem większej z grup przeciwnika atakującej od rufy strzeże go tylko „Dym” ze swoimi ośmioma wyrzutniami. Jedyne pocieszenie stanowił fakt, że oddalanie się od wroga zwiększało margines czasu, jaki miał samotny niszczyciel na prowadzenie ognia obronnego. Liao nie miał jednak żadnych wątpliwości - przebicie się przeciwnika przez słabą barierę było tylko kwestią niezbyt długiego czasu. Spojrzawszy na raporty z sekcji planowania - jeśli im wierzyć, jego jednostki miały jakieś trzydzieści procent szans na dotrwanie do momentu, kiedy przemkną obok

krążowników eskadry obronnej, niemal się o nie ocierając. Raporty nie uwzględniały jednak czynnika ludzkiego. Lata doświadczeń na froncie mówiły natomiast admirałowi Liao Tzu, że w takim starciu jak to czynnik ludzki mógł nieco zmodyfikować matematyczne wyliczenia planistów.

W dwunastej minucie lotu pierwsze pociski Demona 1 przebiły się przez strefę obrony elektronicznej, falę antyrakiet i laserowy ogień obrony punktowej na tyle, by dotrzeć na zasięg detonacji. Uwolnione z głowic rozpędzone rdzenie ugodziły „Tancerza” - w jednej chwili niszczyciel stracił łączność i, sądząc z odczytów, trzy wyrzutnie. Ostrzał musiał także uszkodzić część powłoki refleksyjnej, bo okręt natychmiast po trafieniu uruchomił silniki manewrowe i zaczął powoli obracać się na swojej pozycji nienaruszoną częścią kadłuba w stronę przeciwnika. Liao w myślach pochwalił dowódcę „Tancerza” - jego maszyna nie zmieniła wektora ruchu, dzięki czemu nadal utrzymywała się w szyku, teraz wystawiając w stronę wroga górne pokłady. Ostrożność popłacała. Kilka sekund później sensory wykryły na nieprzyjacielskich krążownikach kondensację energii towarzyszącą generowaniu olbrzymich zewnętrznych lusterek laserów dalekiego zasięgu i zaledwie sekundę potem trzy nadfioletowe wiązki niemal jednocześnie trafiły w niszczyciel. Powłoka wytrzymała - okręt wciąż zajmował swoje miejsce w szyku.

Gorzej szło „Dymowi” na tylnej straży - po ostatniej salwie ścigających ich okrętów stracił część ciągu i choć pomagał sobie silnikami manewrowymi, momentalnie zaczął zwiększać dystans do reszty zespołu.

- Proszę nadać na „Dym” - zwrócił się Liao do dowódcy flagowca. - Czy jesteście w stanie przywrócić ciąg i trzymać miejsce w szyku?

Zanim Xu zdążyła przekazać pytanie, uszkodzony niszczyciel wystrzelił chmurę pyłu mającego zastąpić zniszczoną powłokę refleksyjną - to musiało znaczyć, że jego dowódca nie widział możliwości ustawienia okrętu nienaruszoną częścią kadłuba w stronę wroga. Kilka sekund później komandor porucznik Zou nadał komunikat: „Uszkodzenie napędu głównego, nie utrzymam szyku, odłączamy się od eskadry”, a potem wysiadła mu łączność.

Liao zacisnął wargi. Żywotność niszczyciela szacował na kolejną salwę, maksimum dwie - dosłownie minuty. Potem trzeba będzie desygnować kolejną maszynę na tylną straż.

Ale tymczasem, jeśli wierzyć systemom, dystans do idących po prawej burcie krążowników spadł do poniżej dwóch minut. To oznaczało, że trzeba było przetrwać jeszcze tylko jedną salwę. Teraz jednak do Liao uśmiechnęło się szczęście - nieprzyjacielscy dowódcy musieli oczekiwać jakiegoś fortelu. Postawili na to, że będzie nim ostrzał rakiet ofensywnych z małej odległości, i niemal połowę kolejnej salwy stanowiły antyrakiety. Z

osiemnastu pocisków ofensywnych dwanaście przeszło przez ogień antyrakietowy maszyn Liao, z którego większość nie znalazła celu i pomknęła w stronę wrogich okrętów. Sześć wpadło w strefę ostrzału obrony punktowej, a cztery z nich dotarły na dystans ataku. Tam ich głowice eksplodowały, uwalniając chmurę niewielkich, supertwardych drzazg, które wystrzeliły w kierunku okrętów Liao. Część przeszła niegroźnie wiele kilometrów od nich, lecz kilka okazało się celnych. Trzy trafiły niemal dokładnie w doki ładunkowe - lecące z olbrzymią prędkością rdzenie uderzyły w pancierz okrętu, który tylko częściowo pochłonął gigantyczne ilości energii uwolnionej w kolizji. Zredukowana znacząco fala uderzeniowa przetoczyła się po zdehermetyzowanej przestrzeni doków, niszcząc dziewięć zabezpieczonych tam wahadłowców. W jednym z nich ktoś musiał zapomnieć o wypompowaniu paliwa - głupia, prosta pomyłka. Eksplozja wysokoenergetycznej mieszanki caellium wyrwała sporych rozmiarów dziurę w boku pancernika i zniszczyła dwa z sześciu silników manewrowych na tej burcie. Dwanaście osób z czekających w pogotowiu grup naprawczych odparowało w ułamku sekundy. Dwie pozostałe rakiety dosięgły wież dziobowych sensorów numer trzy i cztery - strata o tyle mało bolesna, że wkrótce mieli mieć przeciwnika już tylko za rufą...

Chmura drzazg z dwóch pozostałych pocisków uderzyła w „Promień”, uszkadzając mechanizm wysunięcia masztu lasera dalekiego zasięgu i całkowicie demolując nieobsadzoną rezerwową kabinę łączności. O niszczycielu zawsze mówiono, że ma szczęście.

A potem zbliżyli się do wroga.

Bitwy w przestrzeni toczą się tak naprawdę na dużych dystansach - za ciasny szyk uważa się dziesięciokilometrowe przerwy pomiędzy jednostkami. Czasem, przy okazji akcji ratunkowych czy dokowania, podchodzą oczywiście bliżej, ale trudno uznać to za warunki bojowe. O walczących ze sobą okrętach można powiedzieć, że niemal ocierają się o siebie, kiedy dystans pomiędzy nimi zbliża się do stu kilometrów.

Dlatego kiedy antyrakiety eskadry Liao wyminęły salwę krążowników obrony systemowej, nie wzbudziły najmniejszej paniki - głowica termonuklearna musiała eksplodować do pięciu kilometrów od rakiety, żeby ją wyeliminować, a okręty były o wiele lepiej opancerzone. Antyrakiety, sporo wolniejsze od pocisków ofensywnych, nie miały zwyczajnie szans zbliżyć się na odległość, z której byłyby groźne choćby dla niszczyciela. Ale kiedy ponad sześćdziesiąt termonuklearnych słońc zabłysło naraz kilkaset kilometrów od trzech maszyn stojących Liao na drodze, ich sensory pogubiły się na krótką chwilę.

To wystarczyło, aby „Smaragd”, „Tancerz” i „Promień” weszły na zasięg bezpośredni i przez prawie dwie setne sekundy tylko one miały zamiar na wroga.

Uruchomione jednocześnie lasery IR systemów obrony punktowej tym razem nie mierzyły we wrogie pociski. Podczerwone wiązki dysponowały co prawda bardzo krótkim zasięgiem efektywnym, ale za to na tyle dużą długością fali, że powłoki refleksyjne, utworzone z myślą o nadfioletowych falach dalekiego zasięgu, ich nie odbijały.

W jednej chwili całą nadzieją na przetrwanie trzech krążowników stały się systemy walki elektronicznej, nieprzystosowane do boju z tej odległości. Robiły, co mogły, ale sytuacja była nie do wygrania. Demon 1 zniknął w czasie krótszym niż sekunda - któraś z wiązek musiała trafić w reaktory albo skład antyrakiet. Jego załoga pewnie nawet nie zdawała sobie sprawy, co się stało. Demon 2 trafiony jednocześnie kilkunastoma promieniami po prostu zgasł, zamieniony w martwy wrak sunący do przodu tylko inercją. Dowódca Demona 3 musiał przeczuwać problemy już wcześniej, bo spróbował posłużyć się sztuczką - odstrzelił wszystkie kapsuły ratunkowe od strony okrętów Liao. Jego systemy walki elektronicznej rozpaczliwie chwyciły się dodatkowych opcji i wykorzystały dany im czas najlepiej jak mogły, obudowując kapsuły jak najdokładniej kopiami echa statku matki. W rezultacie tylko trzy strzały trafiły w krążownik, który co prawda niemrawo i ostrożnie, ale jednak wykonywał szeroki zwrot za mijającym go wrogiem.

Ale to już nie miało znaczenia - „Smaragd” i towarzyszące mu dwa niszczyciele umykały w otwartą przestrzeń.

- Łączność, nadać na niszczyciele: dobra robota. - Liao Tzu pozwolił sobie na chwilę radości. Jego ludzie spisali się na medal, perfekcyjnie wykonując trudny i wymagający dobrej koordynacji manewr. - Wszystkie stanowiska walki elektronicznej, użycie wraków krążowników do zasłony przed nową salwą, wszystkie wyrzutnie, zasłona na sto osiemdziesiąt.

Spojrzał na ekran taktyczny. Sześćdziesiąt osiem pocisków kolejnej salwy miało dopaść ich za niecałe czterdzieści sekund. Ostatnia salwa antyrakiet będzie przechwytywać prawie przy burtach jego maszyn.

- Admirale? - Od wyświetlacza oderwał go głos komandor Xu.

- Tak?

- Jakie zadania dla eskadry?

- Teraz? - Liao spojrzał na ekran taktyczny. Przeciwnik będzie ostrożny i po prostu wybije ich metodycznie, korzystając z przewagi ogniowej. Chwilowo nie widział możliwości, jak odwrócić koleje starcia. Mógł za to próbować odwlec nieuniknione. - Proszę zlecić nawigacji ustalenie zmian kursowych, które pozwolą nam wejść z powrotem za Daxi. Zobaczymy, czy pójdą za nami.

- Czy...? - Xu mówiła na prywatnym kanale. W jej głosie nie było żalu ani smutku. Tylko pytanie.

- Nie, nie widzę opcji. Ale czasem po prostu tak się dzieje. - Uśmiechnął się do podwładnej. - Proszę pamiętać, że skoro wróg jest tutaj, to nie ma go przy „Mieczu zemsty”.

Przetrwamy, ile trzeba.

Kolejna salwa w końcu przebiła się przez barierę pocisków antyrakietowych i ogień laserów IR obrony punktowej. W kilka sekund z ekranu taktycznego zniknął „Tancerz”, a „Promień” wypadł z kursu, ciągnąc za sobą doskonale widoczną na czujnikach podczerwieni chmurę gazu. Odczyt wskazywał eksplozję silników manewrowych prawej burty niszczyciela, ale bez raportu trudno było powiedzieć, jakie dokładnie poniósł szkody. Eskadra w jednej chwili skurczyła się z trzech do - właściwie - półtora okrętu. A i to pozostawało dyskusyjne.

Kilkoma komendami mężczyzna wywołał skrócony raport uszkodzeń „Smaragdu”.

Nawet nie drgnął na swoim stanowisku, szybko przebiegając wzrokiem kolejne wyświetlane przez posłuszny system linijki. Słabi ludzie przeklinają pech. Silni starają się ustalić, jakie przeoczenie sprawiło, że nieszczęście znalazło do nich drogę. Miał nadzieję, że podobnie myśli Yimei Xu dowodząca jego flagowcem.

- Brak odczytów z wyrzutni cztery do dwanaście, powłoka refleksyjna przebita w strefach od dwa do pięć, wymiana zainicjowana - powiedział porucznik Tien ze stanowiska inżynierskiego, rozwijając lakoniczną informację okna raportowego. - Pożar w komorach generatorów trzy i cztery. Płoną rdzenie, kapitan Dainei pyta o pozwolenie na awaryjny odstrzał.

- Udzielam - odparła natychmiast Xu. Admirał uśmiechnął się z aprobatą. Komandor właśnie koszmarnie okaleczyła własny okręt, ale innego wyjścia nie było. Jeśli pierwsza celna salwa przeciwnika uszkodziła zarówno napęd, jak i wyrzutnie, nie należało ryzykować podejmowania akcji gaśniczej. Generatory w tym stanie były prawie całkowicie niestabilne, a śródkręcie bardziej przyda się okrętowi niż te trzydzieści procent mocy, jakie dawały płonące sekcje siłowni. - Ewakuujcie, kogo się da, gotowość refleksu?

- Trzydzieści sekund. Rotujemy na prawą burzę, czas dziewięć. Wystrzelić pył?

- Nie.

Liao Tzu uderzał rytmicznie palcami o poręcz dowódczego fotela. Dziewięć sekund rotacji, teraz pewnie siedem. Jeśli przeciwnik przewidział zniszczenie powłoki refleksyjnej, wystarczy jeden strzał z lasera dalekiego zasięgu i pozbawiony osłony „Smaragd” zostanie rozcięty niczym pęd bambusa. Z drugiej strony szansa, by nieprzyjaciel wykorzystał okazję, nie była wielka, a pył utrudniłby życie i tak przeciążonym systemom obrony punktowej

krażownika. Kolejnej salwy rakiet, w przeciwieństwie do ewentualnego ognia laserowego, mogli oczekiwać z całą pewnością.

Minęły dwie sekundy, potem kolejne dwie.

- Rotacja zakończona. - W głosie Tiena dało się usłyszeć autentyczną ulgę.

- Generatory? - Yimei Xu, wpatrzona w ekran taktyczny, nawet nie spojrzała w stronę porucznika.

- Komory odstrzelone, blok stabilny. Moc: sześćdziesiąt procent nominalnej.

Admirał lekko skrzywił się za przyciemnionym filtrem hełmu. Choć spodziewał się mniej więcej takiej liczby, lubił od czasu do czasu pozwolić sobie na komfort pozbawionej poparcia w faktach nadziei na cud. Oczywiście, raporty wszystko psuły.

W ciągu kolejnych sekund pomost bojowy „Smaragdu” wypełniły meldunki o zmianach w ustawieniu tarczy antyrakietowej i kolejnych możliwych korektach kursu pary okrętów. Gdzieś z boku pojawił się raport stanowiska taktycznego. Prognozy dotyczące szans poharatanych jednostek Liao były niemal fizycznie bolesne.

Admirał Tzu ogarnął wzrokiem stanowiska swoich podwładnych i złożył ukryte w pancernych rękawicach dłonie w piramidkę. Jego kadra działała bez zarzutu. Trudno było ją winić za zaistniałą sytuację. Przywołał na wyświetlacz wizualizacje odczytów sensorów i przyjrzał się niciom czerwonych śladów pocisków kolejnej salwy mknących ku resztkom jego eskadry. Sądząc po ilości rakiet, nadal strzelało do nich dziewięć okrętów - pełne siły przeciwnika.

Tzu zmarszczył brwi z dezaprobatą. Wyjątkowo złe rozegranie. Był mocno zawiedziony postawą sił defensywnych.

- Admirale? - System łączności wyświetlił ikonę prywatnego połączenia. Przez filtr hełmu Liao mógł zobaczyć utkwione w nim skupione spojrzenie komandora Xu. - Żywotność zespołu przy obecnej konfiguracji szacuję na czternaście do szesnastu minut. Czy życzy pan sobie zastosować pełne odejście?

- Tak. - Kiwnął głową na potwierdzenie swojej decyzji. - Pozostanie tu nie uratuje nikogo.

- Rozumiem, dziękuję. - Xu zerwała połączenie, natychmiast wracając na kanał ogólny. - Poruczniku Xian, proszę nadać na „Promień”: wystrzelić zasobniki pyłu, zając pozycję osłonową za nami. Ster, kurs 90-0. Pełny ciąg.

- Jest, kurs 90-0, pełny ciąg - nadpłynęło potwierdzenie.

Rozwiązanie nie było dobre, ale w obecnej sytuacji lepsze opcje nie istniały. Manewr Xu co prawda właściwie skreślał „Promień”, lecz dawał „Smaragdowi” spore szanse na

przetrawanie przynajmniej kilku dalszych chwil. Tzu miał tylko nadzieję, że dowódca uszkodzonego niszczyciela rozumie, jak bardzo potrzebują czasu.

Na ekranie taktycznym fala pocisków nieprzyjacielskiej salwy właśnie przebijała się przez zasłonę antyrakietową jego własnych okrętów. Według zegara za mniej niż dwie minuty miały wejść w strefę obrony punktowej pozostającego coraz bardziej w tyle za okrętem Liao „Promienia”.

- Admirale - usłyszał nagle w słuchawce głos Xiana. - Mamy łączność ze „Strażnika mostu”, kod wiadomości priorytetowy. Proszę o rozmowę z dowódcą eskadry.

- Proszę otworzyć kanał prywatny. - Liao z trudem pohamował się przed rozkazaniem zerwania połączenia. Trudno było o gorszy moment, niemniej nie mógł wiadomości po prostu odebrać. Spojrzał na zegar. Jeszcze kilka minut, najdalej pół godziny, a nie byłoby problemu...

- Admirale Liao Tzu. - Głos Yong Zhuang, specjalnej wysłanniczki Cesarza, był pełen wystudiowanej grzeczności. - Cieszę się, że znalazł pan dla mnie czas.

- Jakkolwiek nieodmiennie zachwyca mnie możliwość wysłuchania szlachetnej Yong Zhuang, obecna sytuacja nie sprzyja rozmowie. - Przerzedzony, ale nadal liczny rój pocisków zbliżał się do strefy obrony bezpośredniej „Promienia”. - Domyślam się, że istnieje bardzo ważny powód, który zmusił panią do komunikacji ze mną akurat w tym momencie.

- Nie inaczej, admirale. - Liao niemal widział, jak kobieta uśmiecha się złośliwie. - Jest bowiem moim głębokim pragnieniem, by spotkać się niezwłocznie z pańską kadrą celem omówienia dalszych działań w prowincji.

Liao Tzu dał sobie kilka uderzeń serca, których potrzebował, by się opanować. Yong Zhuang, specjalna wysłanniczka samego Niebiańskiego Smoka, niewątpliwie osoba biegła we wszelkich sprawach dworu, w każdej sekundzie interakcji z Liao ciężko pracowała na jego niechęć. Admirał spojrzął na ekran taktyczny. Obok symbolu „Promienia” zaczął się właśnie rozwijać raport uszkodzeń, ale zanim zdążył przeczytać choć kilka z długiej listy pozycji, okręt zabłysnął i zniknął. Tym razem po prostu wystrzelili z lasera dalekiego zasięgu, w końcu po takiej nawałnicy ognia mieli praktycznie pewność, że uszkodzili powłokę refleksyjną... Cóż, wkrótce nadejdzie pora na flagowiec. Yimei Xu spojrzała na dowódcę poprzez filtr hełmu. Ona też musiała to wiedzieć.

- Czy mogę pokornie zapytać, jak długo szlachetna Yong Zhuang jest w stanie poczekać? - spytał Liao, kątem oka obserwując starcie wrogich pocisków z antyrakietami „Smaragdu”.

- To nie jest rzecz, z którą się czeka, admirale - odparła zimno jego rozmówczyni.

- Szlachetna Yong...

- Admirale Liao Tzu - przerwała mu. Tzu uśmiechnął się lekko. Miło było wiedzieć, że to ona pierwsza okazała poirytowanie. - Mam szczerą nadzieję, że dalszą częścią tego zdania będzie potwierdzenie przyjęcia mojego zaproszenia.

- Oczywiście, specjalna wysłanniczko. - Westchnął, starając się, by mikrofon to wyłapał. Yong Zhuang miała gigantyczne uprawnienia, ale nie powinna myśleć, że wszyscy będą bez namysłu chodzili w myśl jej życzeń. - Wydam wszelkie stosowne rozkazy.

Przerwał połączenie. Przez chwilę wpatrywał się w oznaczone na ekranie taktycznym punkty pocisków wymierzonych w jego flagowiec i przekraczających kolejną falę wystrzelonych przez „Smaragd” antyrakiet. Ta salwa nie zakończy bitwy, oszacował jeszcze. Ani zapewne kilka następnych. Pancerniki nie umierały łatwo.

- Admirale? - Głos w słuchawce należał do komandor Xu. - Wszystko w porządku?

Przez chwilę zastanawiał się, co jej odpowiedzieć. Nie mógł zwierzyć się jej z tego, co myśli o cywilach pchających się w wojskowy łańcuch dowodzenia, jakie ma zdanie o specjalnej wysłanniczce Niebiańskiego Smoka, która sprawiała wrażenie, że wymachuje tytułem Cesarza, by móc powydawać polecenia, i co najchętniej by powiedział Yong Zhuang.

Xu była doskonałym oficerem, ale w Imperium przełożeni nie mówili podwładnym o swoich wątpliwościach, zwłaszcza dotyczących wysłanników Zakazanego Miasta. Miała jeszcze mnóstwo czasu na wyrobienie sobie własnego zdania. Zwłaszcza że obecnie i tak pewnie czekało ją przemyślenie masy rzeczy w związku z sytuacją, w jakiej znalazł się „Smaragd”.

- Naturalnie - zwrócił się do podwładnej. - Niestety, musimy zmienić plany. Proszę nadać na eskadrę: kod Zielony - Zielony - Brązowy. Także do jednostek komandora Wu. Punkt zborny obu eskadr przy boi 200-2-2. Koniec ćwiczeń.

-... Rozumiem. - Tym razem odpowiedziała z kilkusekundowym opóźnieniem sugerującym powolne wkraczanie w stan umysłu, który towarzyszył admirałowi, odkąd spotkał specjalną wysłanniczkę.

- Ach, i proszę przekazać coś jeszcze, tym razem tylko na nasze okręty. - Liao Tzu powiódł wzrokiem po oficerach wciśniętych w swoje stanowiska, od wielu godzin toczących bitwę, która miała nie znaleźć rozstrzygnięcia. - Dobra robota.

IS „Smaragd”, system Shenhe, 16.01.2212 ESD, 23:40

Liao Tzu spojrzął na zegarek. Czas nieuniknionej rozmowy się zbliżał, ale miał jeszcze kilka minut. I parę ważnych rzeczy do zrobienia. Zaczął od napisania pochwały dla podporucznika Gavei. Rzecz jasna, ktoś mógłby powiedzieć, że to było po prostu szczęście i

że w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach sytuacji okazałoby się, iż młody oficer wzniecił alarm na próżno. Liao jednak uważał inaczej, zwłaszcza że chodziło właśnie o Gaveę. Sam fakt, że operator sensorów w ogóle otrzymał patent oficera, był świadectwem jego ponadprzeciętnych kompetencji - choć Imperialna Marynarka Wojenna formalnie dopuszczała w swoje szeregi wszystkich poddanych Cesarza, w rzeczywistości etnicznym nieChińczykom było bardzo trudno osiągnąć jakiegokolwiek wyższe stanowisko. Nikt oczywiście nie mówił tego głośno - edykt Cesarza bardzo stanowczo zabraniał wszelkiej dyskryminacji na tle etnicznym - jednak z jakiegoś powodu w całej eskadrze „Szmaragdu” znalazło się zaledwie dwunastu oficerów niebędących Chińczykami. Śniady podporucznik musiał przez całą karierę walczyć z ugrzecznioną dyskryminacją kadry instruktorskiej i admirał chciał pokazać Gavei, iż jego pomysły są doceniane.

Później uprzątnął kilka drobiazgów z przykrytego stylizowanym drewnianym blatem stalowego stolika i rozłożył na nim goban. Ostrożnie sprawdził, czy plansza równo leży na chropowatej powierzchni stołu i czy jej bok jest równoległy do krawędzi blatu. Potem ustawił obie urny. Wreszcie z namaszczeniem wyjął jeden z czarnych kamieni i ułożył go na środkowym polu. Przez chwilę przyglądał się planszy. Jeden kamień na pustej planszy - pozornie prostota, ale ustawienie go akurat w tym miejscu miało niemałe znaczenie dla dalszej rozgrywki. Kolejno dokładał czarne i białe kamienie, aż układ zaczął przypominać ten, który zaproponował mu mandaryn w Zakazanym Mieście. Przyjazd wysoko postawionej reprezentantki cesarskiego pałacu tak szybko po jego wizycie nie mógł być przypadkowy. Przypominał raczej kolejny kamień w partii, która toczyła się na linii wojskowi - cywile już od dawna.

Liao przez chwilę przyglądał się planszy. Wysłanniczka przybyła do Liaoning bez zapowiedzi, a jej pierwsze polecenie dotyczyło przerwania manewrów w dość ważnym momencie. To był ewidentny ruch w rozgrywce, pozostawało tylko zorientować się, którądy dokładnie przebiega linia ataku.

- Admirale Liao Tzu - wyrwał go z namysłu głos łącznościowca. - Komodor Wu pokornie zgłasza się na wezwanie.

- Naturalnie, proszę przełączyć go tutaj. - Liao nadal wpatrywał się w skomplikowaną mozaikę białych i czarnych kamieni.

- Tak jest - usłyszał potwierdzenie.

- Panie admirale. - Choć pozornie głos komodora Wu był przepełniony szacunkiem, Liao Tzu widział, że podwładny jest zniecierpliwiony. Uniósł wzrok sponad planszy i spojrzał na ekran łączności.

Komodor Wu był młody. Zabawne, przebiegła przez głowę admirała myśl, pierwszym słowem, jakie przychodziło mu do głowy w odniesieniu do podkomendnego, było właśnie „młody”. Błyskotliwy dowódca drugiej eskadry Liaoning ledwo przekroczył trzydziestkę, a talent czynił go prawie pewniakiem na stopień admirałski w ciągu dwóch - trzech lat. I trudno się było dziwić. Niewielu znał tak dobrych dowódców bitewnych jak Shen Wu. Nie brakowało mu ani odwagi, ani opanowania, ani wreszcie wycucia, tak koniecznego w starciach wojennych eskadr. Tym, czego musiał się jeszcze nauczyć, była cierpliwość.

- Komodorze Wu. - Liao wrócił do planszy. - To rozgrywka, którą zaproponowano mi w Zakazanym Mieście. Miałem grać czarnymi. Co pan o tym sądzi?

- Próbowano pana obrazić, panie admirale - powiedział Wu, ledwie spojrzawszy na goban. - Czarne mają ewidentną przewagę. To pewna gra.

- Przyznam... - Liao uniósł na moment jeden z kamieni i przyjrzał mu się uważnie -... że początkowo też tak pomyślałem. Mandaryni zwyczajnie chcą bawić się kosztem wojskowego. Ale wtedy należałoby sobie zadać pytanie: po co?

- Czyż naprawdę ktokolwiek potrzebuje powodów, żeby wykorzystać chwilową przewagę, panie admirale? - Na idącym kilka jednostek po prawej burcie pancerniku „Wojownik” Wu jakimś cudem osiągnął efekt wzruszenia ramionami, jednocześnie stojąc nieruchomo w pozycji zasadniczej. - Zakładam jednak, że wezwał mnie pan z innego powodu.

- To prawda. - Liao kiwnął głową i odłożył kamień. - Przerwaliśmy ćwiczenia, ponieważ otrzymaliśmy pilne wezwanie ze stoczni Changbai. Od niedawna na jej pokładzie przebywa specjalna wysłanniczka Niebiańskiego Smoka. To ona przesłała nam... prośbę o przybycie. Domyślałam się, że będzie chciała się spotkać.

- Rozumiem. - Wu nie mógł mówić bardziej neutralnym tonem.

- Prześlę dane na jej temat na „Wojownika”. Wolałbym, żeby był pan przygotowany do tego spotkania.

- Tak jest.

- Nie jest pan zadowolony, komodorze. - Liao usiadł wygodniej w fotelu i spojrzął na podwładnego. - Uważa pan, że nie powinna była przerywać ćwiczeń, prawda?

- Uważam, że mogła wstrzymać się jeszcze parę chwil - odparł komodor uprzejmym tonem.

- Żeby mógł pan zestrzelić „Smaragd”? - Admirał uśmiechnął się ponad planszą.

Wu przez chwilę nie odpowiadał. Z pewnością nie spodziewał się tak bezpośrednio postawionego pytania.

- Byłbym zachwycony, mogąc wykazać się kompetencją na ćwiczeniach - powiedział wreszcie.

- Nie uważa pan, że wykazał się pan nawet bez tego?

- Zniszczenie pancernika jest pewnego rodzaju sukcesem - powiedział komodor po namyśle. - Zwłaszcza jeśli to flagowiec. Jest sukcesem, na który moje załogi zasłużyły.

- Bardzo dobra zasadzka - Liao pokiwał głową z aprobatą. - Swoją drogą, co by pan zrobił, gdybyśmy nie zobaczyli pańskich krążowników? Skoro miały załadowane antyrakiety, musiał pan zakładać, że wystrzelimy pierwsi.

- Zanieczyściliśmy zasobniki do mikromanewrowania i liczyliśmy, że nas wyłapiecie.

- Choć Wu nadal trwał wyprężony w postawie zasadniczej, w jego oczach Liao mógł dostrzec błysk dumy. - Gdyby jednak było inaczej, wszystkie trzy miały rozkaz przeładować w chwili przekroczenia linii dwóch fal obronnych.

- Niezły plan - uśmiechnął się admirał. - Szkoda, że nie wykonał pan zadania.

- Jeśli chodzi o resztę pańskich... eskadry agresorów - w rzeczowym tonie Wu zagrały jedynie bardzo delikatne nuty poirytowania - zarówno „Wojownik”, jak i „Cień Imperium” były w pełni sprawne i te dwa okręty bez dodatkowego wsparcia dałyby sobie radę ze wszystkimi pozostałymi w systemie jednostkami wroga.

Tzu przez chwilę przyglądał się podwładnemu w milczeniu. Wreszcie pochylił się i uruchomił holograficzny ekran sali odpraw. Kilkoma komendami wywołał trójwymiarowy obraz systemu.

- To - wskazał na kolorowe piktogramy - ostatnie chwile manewrów. Szacuję trzy, może sześć salw przed unicestwieniem „Smaragdu”.

- Tak, panie admirale. - Brew Shena Wu uniosła się o ułamek milimetra. Prawdopodobnie wiedział już, co przełożony chce powiedzieć, i teraz po prostu przygotowywał kontrargumenty.

- Po zniszczeniu mojego flagowca, zgadzam się, pańskie jednostki zachowałyby siłę ognia wystarczającą do zestrzelenia „Miecza zemsty” i jego grupy zadaniowej.

- Tak. - Młodszy z oficerów skinął głową.

- Niemniej pańska pozycja dalece temu nie sprzyja. - Liao wyświetlił pozycje reszty swoich jednostek. - W momencie kiedy kończył pan walkę ze „Smaragdem”, ta grupa właśnie zbliżała się do planety. Jeśli zechce pan przeprowadzić te same symulacje, które wykonała nasza sekcja planowania, zauważy pan, że nie ma możliwości, aby zdążył pan do niej dotrzeć, zanim poradzi sobie z obroną planetarną.

- Nie będą na orbicie długo.

- Nie, komodorze, ale też wcale nie muszą być tam długo. Miał pan bronić planety. Nie obronił jej pan. Przykro mi.

- Z pokorą przyjmuję porażkę. - Wu pochylił głowę, lecz w jego pozornie nienagannie przepisowym tonie Tzu dostrzegał nuty buntu.

- Dlaczego pan tak zrobił? - zapytał, choć domyślał się odpowiedzi.

- W swej małości pozwoliłem sobie uznać to za właściwe. - Lekkie westchnienie Wu nie uszło uwadze admirała. To nie była ich pierwsza dyskusja na temat priorytetów wojny. Najwyraźniej też nie ostatnia. - Flota to klucz do zwycięstwa. Manewry symulowały atak sił wroga, a dla niego nawet bardziej niż dla nas okręty są na wagę złota.

- I dlatego pozbawił nas pan strategicznie ważnej kopalni caellium, podstawowego składnika paliwa do rakiet ofensywnych.

Żaden postronny nie dostrzegłby natężenia irytacji w wypowiedzi komodora. Liao jednak rozmawiał z nim na tyle często, że wszystkie subtelne gry tonu i minimalne zmiany w spojrzeniu były dla niego jasnymi wskazówkami stanu ducha podwładnego.

- Niedoświadczenie i buta sprawiły - mówił - iż byłem przekonany, że stanie się tak tylko wtedy, jeśli zawiodą naziemne systemy antyrakietowe i platformy obrony orbitalnej.

- Dopuszczył pan do bombardowania - tłumaczył spokojnie Liao. - W wyniku pańskiego planu strategicznie ważna instalacja musiała polegać na szczęściu.

Shen Wu przez chwilę milczał, patrząc nieruchomo przed siebie. Wyszkolenie nie pozwalało oficerowi wybuchnąć, ale jego gniew był łatwo dostrzegalny. Szybko jednak komodor odzyskał spokój.

- Tak jest - powiedział wreszcie bezbarwnym głosem.

- A co tak naprawdę chciał pan powiedzieć?

- Nie wiemy, czy to była dobra decyzja. - Wu oczywiście z radością skorzystał z możliwości walki, niemniej zachował wystarczająco dużo rozsądku, by kontrolować ton.

- Słucham? - Admirał spojrzał z zaciekawieniem na podwładnego.

- Nie wiemy, jak by poszło bombardowanie - wyjaśnił młodszy z oficerów. - Ćwiczenia zostały przerwane i nie wiemy, czy moja decyzja była zła, czy dobra.

Liao Tzu zaśmiał się cicho w swoim fotelu. Spojrzał na mapę i pokiwał powoli głową.

- Świadomość celów jest tym, co odróżnia dowódcę od wojownika, komodorze - powiedział wreszcie. - Nie wątpię jednak, że jest pan świetnym wojownikiem.

Shen Wu milczał.

Stocznia remontowa Changbai, orbita Shenyang, system Shenhe, 17.01.2212, 18:00
Wystrój sali konferencyjnej stoczni remontowej Changbai łączył w sobie wojskową

funkcjonalność i kilka efektownych muśnięć dworskiego przepychu - najpewniej stworzonych po to, aby cywilni dygnitarze nie czuli się tu zbyt obco. Wygodne, montowane na stałe do podłogi mahoniowe fotele wykończono skórą, jedna ściana była w całości pokryta piętrową konstrukcją skalnych sadzawek, a gigantyczny iluminator wychodził dokładnie na bramę stoczni, dzięki czemu goście mogli cieszyć oczy wiecznie żywą mozaiką światła nigdy niezasypiającego kompleksu majestatycznie unoszącego się ponad błękitną tarczą Shenyang.

Wokół olbrzymiego stołu mogło obradować bez trudu nawet dwadzieścia osób, teraz jednak tylko czwórka oficerów oczekiwała przy nim na spóźniającą się kobietę.

- Muszę przyznać, że jak na osobę, która nie mogła poczekać do końca manewrów, pani Yong Zhuang traktuje umówione godziny spotkań niezwykle... nieformalnie - odezwał się komandor Ran, najmłodszy stopniem dowódca zaproszony na spotkanie. Ran dowodził Dwunastą Eskadrą Niszczycieli, zgrupowaniem odpowiedzialnym przede wszystkim za rozpoznanie. Choć podległe mu okręty właściwie nigdy nie walczyły jako pojedyncza siła, Liao Tzu zbyt dobrze rozumiał znaczenie zwiadu, żeby nie doceniać drobnego i jakby wiecznie niepewnego oficera.

- To gra. - Dowodzący eskadrą „Wojownika” komodor Wu stanowił całkowite przeciwieństwo Rana. Po wysokim, muskularnym trzydziestokilkulatku widać było irytację. Nerwowo bębnił palcami w ciemny blat stołu konferencyjnego, co jakiś czas zerkając w stronę drzwi. Wu nie był zachwycony zakończeniem manewrów. Uwielbiał zwyciężać i Liao Tzu nie wątpił, że podwładny uważa się za pozbawionego należnego mu tryumfu. Oczywiście, nigdy nie zarzuciłby nic takiego przełożonemu, jednak status specjalnej wysłanniczki pozostawał niejasny i Shen Wu nie musiał aż tak uważać na słowa. - Szlachetna Yong Zhuang po prostu chce sprawdzić, jak wiele zdołamy przełknąć, na jakie jeszcze manewry cywila się zgodzimy.

W ustach komodora słowo „cywil” zabrzmiało niemal jak obelga.

- Nie rozumiem użytego przez pana sformułowania. - Pułkownik Mei Lin sięgnęła po szklankę wody i zmierzyła Wu spojrzeniem brązowych oczu. - Nie „zdołamy przełknąć” żadnego manewru. Flota podlega administracji cywilnej. Tak już jest. Wykonamy wszelkie polecenia pani Yong Zhuang, ponieważ właśnie tego oczekuje od nas Cesarz.

Wu spojrzał przeciągle na oficer wywiadu, ale nie podjął rękawicy. Słuszna decyzja, pomyślał Liao. Wywiad wojskowy nie był częścią Floty. Trudno ocenić, czy całkowicie swobodna rozmowa w obecności jego przedstawicieli była bezpieczna, gdy każde kolejne słowo Wu mogło zostać uznane za obrażenie specjalnej wysłanniczki, a co za tym idzie, samego Cesarza. Wu bywał zapalczywy, zdarzały mu się chwile nieuwagi, ale nie był głupi.

- Och, naturalnie. - Ran uśmiechnął się nieśmiało do rozpartej wygodnie w fotelu kobiety. - Każdy z nas zdaje sobie sprawę, że szlachetna Yong Zhuang ma wszelkie prawo wyznaczania nam spotkań. Po prostu komodor Wu sugeruje, że jeśli nie było to istotnie tak pilne, być może zakończenie ćwiczeń nie pokrzyżowałoby aż tak jej planów.

- Yong Zhuang nie ma żadnych własnych planów - zauważyła Lin, rozglądając się znacząco. - Jej zamiary to zamiary Niebiańskiego Smoka. Jest przedłużeniem jego woli i kroczy po świecie wolna od własnych pokus.

- Czerpiemy siłę z... - Liao spojrział w kierunku kamery bezpieczeństwa -... wiedzy, że dokładnie tak jest. Pozostaje tylko czekać niecierpliwie, licząc, że czcigodna Yong Zhuang uczyni nam tę uprzejmość i wytłumaczy przyczyny takiego pośpiechu.

Mei Lin ledwo dostrzegalnie skinęła głową z aprobatą. W złożonym systemie podległości Imperium miejsce przysłanej z Zakazanego Miasta kobiety było niejasne. Specjalni wysłannicy, powoływani każdorazowo oddzielnym dekretem, nie mieli oficjalnie żadnych przydzielonych im automatycznie kompetencji, z wyjątkiem jednej - byli wykonawcami woli Cesarza, nosicielami jego słów. Powodowało to, że formalnie każdy mógł się im sprzeciwić - technicznie rzecz biorąc, bez oddzielnego dokumentu nie mieli władzy nawet nad niższymi urzędnikami. Oczywiście, należało przy tym wziąć pod uwagę, że taki sprzeciw mógł zostać zinterpretowany jako sprzeciwienie się słowom samego Niebiańskiego Smoka lub sugerowanie, że pomylił się, wybierając nielojalnego lub niekompetentnego wysłannika. Żadna z tych rzeczy nie była rekomendowanym zachowaniem w monitorowanej sali konferencyjnej.

- W istocie... - Wu mówił wolno, ważąc słowa, ale trudno było nie dostrzec jego irytacji. Liao świetnie to rozumiał. Nie cieszyło go to, że na własnym spotkaniu muszą tak uważać na słowa. - Po prostu martwię się tym, że gubimy się w domysłach...

Przerwał mu cichy szum otwierających się automatycznych drzwi. Pierwsza do sali weszła czwórka żołnierzy z batalionu reprezentacyjnego. Ich idealnie skrojone czarne uniformy sprawiały wrażenie przesuwających się plam ciemności, a równe kroki z dużym trudem dało się rozróżnić jako należące do więcej niż jednej osoby. Dopiero kiedy zajęli miejsca po obu stronach wejścia, do pomieszczenia wpłynęła Yong Zhuang, specjalna wysłanniczka i głos Cesarza.

Była młoda, młodsza, niż Liao się spodziewał, ale arogancki wyraz twarzy dodawał jej lat. Jej długie, czarne warkocze zostały ozdobione czerwonymi i złotymi wstęgami, ten sam kolor miała też ceremonialna, sięgająca aż do lśniącej podłogi jedwabna suknia kobiety. Drobne dłonie ginęły w szerokich rękawach, a skupione, zimne spojrzenie jednolicie czarnych

oczu przesuwano się po podnoszących się z miejsc oficerach.

- Admirale Tzu. - Ukłon nie stał się nawet o milimetr głębszy, niż było to absolutnie konieczne. - Komodorze Wu, pułkownik Lin. Komandorze Ran. Pokorna służka Niebiańskiego Smoka zjawia się przed wami, niosąc jego słowa.

- Żołnierze Cesarza są wdzięczni, że jego głos może do nich dotrzeć tak daleko od pałacu. - Liao był najstarszy stopniem, więc to do niego należało wypowiedzenie grzecznościowej formułki. - To honor móc spotkać osobę, która go niesie.

- Niebiański Smok raduje się, wiedząc, jaką miłością darzą go jego wojownicy. - Na twarzy wysłanniczki pojawiła się leciutka sugestia uśmiechu.

Za plecami kobiety z delikatnym stukiem zamknęły się drzwi. Dwóch strażników przesunęło się na swoje poprzednie miejsca, bezszelestnie jak cienie.

-... I licząc na nią... - Yong Zhuang podeszła do stołu i dała znak dłonią. Czwórka oficerów usiadła na swoich miejscach -... zakładam, że współpraca pomiędzy nami będzie przebiegała bez żadnych problemów.

- Naturalnie. - Liao Tzu skinął głową. - Mniemam, że zapoznała się pani z raportem o realizacji programu gotowości prowincji do prowadzenia działań wojennych?

- Oczywiście. - Kobieta usiadła w fotelu. Jakimś cudem zdołała tego dokonać pomimo rozłożystej sukni. Powolnym, wystudiowanym gestem przywołała jednego z żołnierzy, który podszedł do niej i wręczył jej datapad. - Przynoszę również wieści dotyczące modyfikacji założeń tego programu.

Zgromadzeni oficerowie spojrzeli po sobie. Nawet posiadając nadane uprawnienia, specjaliści wysłannicy mieli w zwyczaju porozumiewać się z dowództwem sił zbrojnych prowincji przed zaprezentowaniem rewelacji w rodzaju zmian założeń strategicznych.

Migdałowe oczy Mei Lin zwięzły się, kiedy spoglądała w skupieniu na wysłanniczkę Niebiańskiego Smoka. Wu popatrzył na admirała spod uniesionych wysoko brwi. Tzu mógł sobie tylko wyobrazić, o czym myśli podwładny - najpierw Yong Zhuang przerwała manewry, w dodatku tuż przed końcem, o czym musiała wiedzieć. Potem kazała na siebie czekać, wreszcie zaskakuje wszystkich nagłą „zmianą założeń programu gotowości”. To nie mogło znaczyć niczego dobrego - zupełnie jakby Zakazane Miasto usiłowało przeprowadzić wyjątkowo jaskrawą demonstrację siły.

- Czujemy się zaszczytzeni tym, że sam głos Cesarza chce wspomóc nas radą i sugestią - powiedział Liao, mierząc kobietę zimnym spojrzeniem. Wytrzymała jego wzrok, nawet nie drgnąwszy. - Z całą pewnością w trakcie planowania działań floty prowincji weźmiemy pod uwagę wszelkie wskazówki.

- Cieszę się, naturalnie, że wojownicy Imperium są gotowi wysłuchać mych rad, kiedy będę je miała. - Uprzejmy uśmiech zabarwiony był wyniosłymi nutami. - Tymczasem jednak wolałabym omówić zalecenia Niebiańskiego Smoka dotyczące jego zamiarów względem Liaoning.

Musnęła smukłym palcem ekran datapada. Osprzęt sali natychmiast zareagował - światła przygasły, a sieć emiterów holograficznych uruchomiła się z ledwo uchwytnym dźwiękiem. Przestrzeń przy ścianie przeciwległej do iluminatora wypełnił trójwymiarowy obraz Liaoning.

- Trudno nie dostrzec lśnienia cennego klejnotu Imperium, jakim niewątpliwie jest ochroniana przez pana prowincja, admirale. - Yong Zhuang przez chwilę spoglądała w bezruchu na obraz. Liao bezwiednie poszukał wzrokiem jakichkolwiek danych na temat rozkazów, o których wspominała wysłanniczka, ale najwyraźniej miały się one dopiero pojawić - hologram ukazywał jedynie dobrze znane informacje o wszystkich sześciu systemach podległego mu regionu.

- Dlatego właśnie jesteśmy gotowi zrobić wszystko, aby go utrzymać - odparł, przenosząc wzrok na kobietę. - Z tą myślą układaliśmy program gotowości.

- Niebiański Smok zdaje sobie z tego sprawę. Nie uszła również jego uwadze prośba o wzmocnienie eskadr systemowych.

- Cieszę się, że mój głos został usłyszany. Liaoning nigdy nie potrzebowało tego bardziej. - Tzu wymienił szybkie spojrzenia z komandorem Wu. Czyżby o to chodziło? Posiłki zdecydowanie były warte jednych manewrów i nieco urażonej dumy czwórki oficerów. - Gdybym był dowódcą Unii, nie mógłbym marzyć o lepszym momencie do ataku. W przestrzeni prowincji są trzy ważne cele strategiczne i siły dalece niewystarczające do ich obrony.

- Dwa zespoły liniowe to siły mogące skutecznie udaremnić każdy atak Unii, który ta jest w stanie wyprowadzić bez poważnej mobilizacji floty, admirale. A nawet nie wspominał o eskadrach pogranicznych w systemach na styku z wrogim terytorium - zauważyła spokojnie wysłanniczka. - O poważnych mobilizacjach unijnej floty zwyczajnie będziemy wiedzieli. W każdej chwili może pan wezwać wsparcie Floty Muru, a każdy z celów, o których pan mówi, sam jest w stanie obronić się przed nawet silnym atakiem...

-... Za pozwoleniem - Liao wszedł jej w słowo. Zdawał sobie sprawę, jak wielki popełnił afront, ale miał przynajmniej pewność, że wysłanniczka na pewno zwróci uwagę na jego słowa. Wypiełgnowana brew Yong Zhuang uniosła się o kilka milimetrów, lecz poza tym kobieta nawet nie drgnęła. - Pani pułkownik, proszę o omówienie zdolności obronnej

provincji.

Oficer wywiadu drgnęła, kiedy wymienił jej stopień. Z pewnością nie była zachwycona poleceniem - wymagało od niej opowiedzenia się po którejś ze stron we właśnie budującym się konflikcie. Mei Lin nie lubiła tak wczesnych deklaracji. Między innymi dlatego rzadko znajdowała się w przegrywających stronnictwach. Przez kilka sekund przygryzała wargi, spoglądając to na admirała, to na wysłanniczkę.

- Stałą siłą bojową prowincji na ten moment są dwie eskadry liniowe, łącznie dwadzieścia dziewięć okrętów, w tym trzy pancerniki, oraz eskadra zwiadowcza komandora Rana, cztery niszczyciele i lekki krążownik - zaczęła wreszcie. Trzeba ją było dobrze znać, by wiedzieć, że splecione dłonie są oznaką lekkiego zdenerwowania. Jednak poza tym szczególnie prezentowała obraz profesjonalizmu. - W systemach unijnych posiadających bezpośrednio przejścia do Liaoning znajduje się według naszych danych jedna eskadra liniowa z jednym pancernikiem oraz trzy eskadry pomocnicze. Nie liczę okrętów transportowych. Moi analitycy przeprowadzili serię symulacji ataku celem zajęcia Liaoning z założeniem brzegowym, iż przeciwnik będzie w stanie przesunąć na ten odcinek frontu niezauważenie dodatkową eskadrę liniową. Żaden ze scenariuszy nie zakończył się zajęciem prowincji, choć gdy Unia wykorzystywała obie eskadry liniowe i wszystkie siły pomocnicze, konieczne było zaangażowanie Floty Muru.

- Bardzo dziękuję. - Yong Zhuang spojrzała na admirała, tylko trochę starając się ukryć zadowolenie. - Jak już mówiłam, Liaoning jest...

-... Jednakże - dodała z naciskiem Lin, nie spuszczać wzroku z wysłanniczki - podobne symulacje wyglądają zdecydowanie gorzej, jeśli założy się atak mający na celu zniszczenie któregoś konkretnego celu. Jakkolwiek w żadnej symulacji ataku na Nefrytowego Tygrysa bombardowanie nie zakończyło się powodzeniem, oszacowaliśmy, że Unia jest w stanie zagrozić zarówno kopalniom rudy caellium na Fushun, jak i stoczni remontowej Changbai, zwłaszcza po przemieszczeniu znaczącej części jej systemów orbitalnych do obrony Tygrysa.

Wyraz twarzy Yong Zhuang nie zmienił się, zupełnie jakby słowa pułkownik Lin były całkowicie po jej myśli. Być może spodziewała się czegoś podobnego, w końcu musiała mieć dostęp do danych, które cytowała Lin. W tym przypadku cała wymiana argumentów wydawała się niepotrzebna. Chyba że wysłanniczka po prostu chciała się dowiedzieć, jakie są nastroje kadry Liao - a to łatwiej dało się wywnioskować podczas rozmowy niż z suchych raportów.

- Zakazane Miasto jest tego świadome, pułkowniku. - Yong musnęła datapad i obok

mapy holograficznej pojawiła się lista okrętów. - Niebiański Smok w swym zrozumieniu dla skomplikowanej sytuacji Liaoning zdecydował się nie tylko skierować do prowincji dodatkową eskadrę liniową, ale też wzmocnić garnizon Fushun.

Liao z zainteresowaniem spojrzął na wykaz. Eskadrę prowadził „Górski wiatr”, flagowiec kontradmirała Dao Wei. Zdecydowanie mogło być gorzej. Wei był dowódcą zachowawczym, często zbyt ostrożnym i przez to nieodpowiednim do działań ofensywnych. Do obrony jednak nadawał się nieźle. No i posiadanie trzeciej eskadry liniowej oznaczało, że w praktyce przeciwnik nigdy nie będzie w przewadze.

- O jakiego rodzaju wzmocnieniu garnizonu mówimy? - zapytał.

- Batalion inżynieryjny wydzielony z Pięćdziesiątej Szóstej Dywizji. - Wysłanniczka kilkoma poleceniami przywołała na wyświetlany obraz kolejne listy. - Wraz z czterdziestoma dwiema samodzielnymi bateriami obrony orbitalnej.

Admirał skinął głową z aprobatą. Z punktu widzenia Unii jedynym sensownym posunięciem był szybki atak, a to oznacza, że na walki planetarne nie będzie zwyczajnie czasu. Opcją zagrażającą Fushun było wyłącznie bombardowanie, teraz daleko mniej wykonalne dzięki nowym bateriom przeciworbitalnym.

- Łaskawość Jego Imperialnej Wysokości bardzo cieszy jego wiernych żołnierzy. - Dawno nie wypowiedział grzecznościowej formułki, z którą aż tak się zgadzał. Wiedział, oczywiście, że prawdopodobieństwo ataku Unii jest niewielkie. Przeciwnik był słaby i zapewne nie chciał zadzierać z potężnym - i chwilowo milczącym - Imperium. Jednak Liao Tzu nie dosłużył się stopnia admirałskiego, nie doceniając wrogów. Unia musiała wiedzieć, że spokój na froncie Imperialnym nie mógł trwać w nieskończoność, inaczej przecież prowadzone by były rozmowy pokojowe. A skoro jej sztab spodziewał się, że Imperium prędzej czy później ruszy, uderzenie teraz, zanim będzie ono w pełni przygotowane, wydawało się jedynym logicznym wyjściem. Liaoning jako graniczna prowincja ze swoją stoczną remontową, kopalniami caellium i, przede wszystkim, nadajnikiem czasu rzeczywistego, byłaby oczywistym celem takiego uderzenia wyprzedzającego.

- Doskonale. - Yong Zhuang uśmiechnęła się nieomal miło. - Przejdźmy zatem do założeń obrony.

Wu z trudem powstrzymał się od okazania irytacji. Komodor był gorącym przeciwnikiem wtrącania się Zakazanego Miasta w sprawy dowódców frontowych - niezależnie od tego, czy dotyczyło ono działań stricte wojennych, czy też przydziału transportowców dostarczających zapasowe części do stoczni. O ile Liao w pewnym stopniu zgadzał się ze swoim podkomendnym, wołał, kiedy ten mniej dawał po sobie poznać niechęć.

- W czym nasze obecne założenia są złe? - Admirał spojrzał pytająco na rozmówczynię.

- Absolutnie w niczym. - Yong Zhuang kolejną komendą przywołała na mapę linie przemarszu eskadr. - Jednak wraz z przybyciem nowych sił możemy pomyśleć o ich wykorzystaniu. Będę potrzebowała również kwatery na pokładzie pańskiego flagowca, admirale, dla mnie i moich ludzi.

- W pełni rozumiem wzmocnienie obronności stoczni eskadrą „Górskiego wiatru”... - Tzu przyjrzał się uważnie mapie. Stałe towarzystwo specjalnej wysłanniczki nie uśmiechało mu się ani trochę, lecz nie był to rodzaj prośby, na którą mógł odpowiedzieć odmownie -... ale obecny układ sił znacząco osłabia obronę systemów granicznych...

- Owszem. - Yong Zhuang skinęła energicznie głową. - Zakazane Miasto uważa, że Nefrytowy Tygrys zasługuje na stałą eskadrę liniową, na wypadek, gdyby Unia zdobyła możliwość skoku bezpośrednio do jego systemu. Tymczasem samo Fushun będzie chronione przez wzmocniony system obronny i pańskie okręty.

- Fushun nie jest jedyną zamieszkałą kolonią w systemach granicznych - zauważył Tzu. - Być może zamiana miejscami sił moich i komodora Wu byłaby właściwsza. Pozwoliłoby to umieścić dwa pancerniki w rejonie bardziej prawdopodobnego ataku.

- Jego Imperialna Wysokość nie uważa, że przeciwnik podejmie się frontalnego natarcia na systemy graniczne. Nefrytowy Tygrys jest gigantycznym osiągnięciem imperialnej myśli technologicznej i jako taki zasługuje na obronę, nawet gdyby miało to kosztować jedną czy dwie mniej ważne planety prowincji Liaoning.

- Jesteśmy tego faktu jak najbardziej świadomi. Dlatego właśnie Tygrys jest w stanie obronić się przed bombardowaniem właściwie samodzielnie. Pokornie przypominam również, że czas przelotu z Fushun to zaledwie dwa dni, gdyby trzeba było szybko udzielić wsparcia.

- Co jednak nie znaczy, że chcemy w jego systemie floty wroga nawet tak długo. - Czy mu się zdawało, czy zauważył złośliwe błyski w oczach specjalnej wysłanniczki? - Zakazane Miasto postrzega komodora Wu i jego okręty jako jedne z najbardziej efektywnych we flocie. Jest to osąd, do którego sama się przychyliłam po obserwacji manewrów. Obrona nadajnika łączności czasu rzeczywistego to dla Niebiańskiego Smoka najwyższy priorytet, dlatego też jestem skłonna powierzyć owo zadanie właśnie jemu. Wierzę, że pańska eskadra całkowicie wystarczy, by zabezpieczyć nie tylko kopalnie Fushun, ale i pozostałe planety systemów granicznych.

Przy stole zapadła cisza. Yong Zhuang nie tylko właśnie podjęła decyzję taktyczną za admirała floty, ale też niemal wprost zakwestionowała jego umiejętności. Nawet pochwalony

przez nią komodor - choć Liao Tzu nie miał wątpliwości, że wyniesienie jego zdolności ponad przełożonego sprawiło mu niemałą satysfakcję - z zakłopotaniem wpatrywał się w blat stołu konferencyjnego.

- Szanuję mądrość Jego Imperialnej Wysokości - powiedział wreszcie admirał, ze wszystkich sił starając się zachować spokój.

- Nie wątpiłam w to ani przez moment. - Yong Zhuang lekko się skłoniła. Jej twarz była maską uprzejmości. - Jestem przekonana, że pańskie wątpliwości wynikają jedynie z troski o mieszkańców Liaoning. Wielka to chwała dla żołnierza, że zawsze pamięta o tych, których przysiągł bronić.

- Kiedy możemy spodziewać się „Górskiego wiatru” i kontradmirała Dao Wei?

- W ciągu miesiąca jego eskadra ma zjawić się w Liaoning.

- Czyli... - odezwał się dotychczas milczący Ran. Dowódca eskadry zwiadowczej bardzo rzadko niepytany brał udział w dyskusji, a kiedy już to robił, zawsze sprawiał wrażenie lekko nieśmiałego. Teraz jednak mówił pewnie: -... pełną sprawność bojową osiągnie dopiero za kwartał?

- Słucham? - Yong Zhuang spojrzała na oficera, jakby zobaczyła go po raz pierwszy. - Zechce pan doprecyzować tę opinię?

- Oczywiście. - Ran wskazał na hologram. - Eskadra „Górskiego wiatru”, z tego, co wiem, ucierpiała dość poważnie w potyczkach granicznych na froncie amerykańskim.

Nieruchome spojrzenie specjalnej wysłanniczki Cesarza spoczęło ciężko na niskim oficerze. Pozostali również przyglądali się mu z zainteresowaniem. Tego rodzaju informacji można było spodziewać się po Lin, ale nie po nim.

- Moja siostra jest oficerem na „Blasku klingi” - dodał Ran wyjaśniająco, patrząc po obecnych. - W każdym razie, nie sądzę, żeby okręty kontradmirała stanowiły swoją pełną siłę bojową przed dość poważnymi naprawami. Zapewne zresztą dlatego plan obrony umiejscawia je w stoczni Changbai.

Wzrok trójki pozostałych oficerów powoli przeniósł się z komandora Rana na Yong Zhuang. Ta przez dobrych kilkanaście sekund milczała, omiatając spojrzeniem wszystkich czworo. Wreszcie wstała. Na dany smukłą dłonią znak jeden z żołnierzy przy wejściu podszedł i zebrał leżący na stole datapad. Holograficzna mapa zniknęła.

- Spotkanie jest zakończone - powiedziała tylko i ruszyła ku wyjściu. Pozostali przy stole odprowadzali ją spojrzeniami.

Stocznia remontowa Changbai, orbita Shenyang, system Shenhe, 17.01.2212 ESD,
22:10

Choć „Smaragd” był olbrzymim okrętem, także i w nim, jak zawsze w jednostkach bojowych, oszczędzano na przestrzeni wszędzie, gdzie się dało. W konsekwencji kajuta admirałska na jego pokładzie mogła się w całości zmieścić w samym saloniku apartamentu, który przydzielono Tzu w Changbai. W odniesieniu do kwatery można było mówić o przepychu, przynajmniej w standardach wojskowych. Posiadała nawet własny iluminator - charakterystyczną słabość projektantów kompleksu stocznioowego, którzy niemal każdemu z gości umożliwili podziwianie wiecznie żywego miasta świateł w sekcji doków. Kiedy podszedł do szerokiej płyty z przezroczystego kompozytu, mógł zobaczyć, jak z grzbietu „Smaragdu” wysuwa się ażurowa konstrukcja wieży lasera dalekiego zasięgu, powoli rozkładając osłony delikatnego generatora lustra. Wokół całości kręciły się pojazdy serwisowe, ich błyskające światła pozycyjne sprawiały, że flagowiec admirała wyglądał niczym otoczony rojem świetlików. Nawet po latach służby Tzu lubił przyglądać się okrętom. Podziwiał charakterystyczne drapieżne kształty maszyn, ledwo widoczne przy aktywnej powłoce refleksyjnej. Podobało mu się, że cały czas wyglądają na sprężone przed skokiem. Kiedy spoglądał w przeszłość, myślał, że chyba to skłoniło go do wstąpienia w szeregi floty, wtedy jeszcze podległej Konsorcjum Chińskiemu. Inne, dawne czasy, na długo przed Dniem i przed powstaniem Imperium. Był wtedy młody, tak strasznie młody, ledwo dziesięcioletnie dziecko w mundurze kadeta...

Cichy sygnał dzwonka wyrwał go z zamyślenia.

- Wejść. - Odwrócił się od iluminatora, przeganiając resztki wspomnień.

- Admirale. - Komandor Ran wyraźnie czuł się niepewnie. Choć obaj oficerowie rozmawiali ze sobą wielokrotnie, młodszy mężczyzna wydawał się ciągle nieco wystraszony w obecności Liao. - Chciałem... porozmawiać.

Tzu skinął głową i wskazał gościowi fotel. Sam podszedł do stołu, na którym rozłożył ostatnie rozstawienie partii go rozgrywanej podczas wizyty w Zakazanym Mieście. Raz jeszcze spojrzął na ozdobne kamienie. Milczały, tak jak za każdym z tysiąca razy, kiedy im się przyglądał.

- Rozumiem, że pierwszy raz spotkał się pan z emisariuszką Cesarza?

- Przyznaję, że tak. - Ran usiadł na skraju fotela. Liao czasem podziwiał dwoistość natury podwładnego, który tak doskonale sobie radził w dowodzeniu flotyllą zwiadowczą i jednocześnie posiadał unikalny dar pozostawiania na brzeżku absolutnie każdej przestrzeni, jaką zajmował. - Mam nadzieję, że nie będzie miał pan kłopotów, jeśli przypadkiem uraziłem specjalną wysłanniczkę Yong Zhuang.

Admirał uniósł wzrok znad planszy.

- Nie sędzę, żeby pan ją uraził, komandorze.

- Opuściła naradę dość gwałtownie...

- Nie potrzebowała już jej. Po prostu uzyskała to, co chciała, więc nie przedłużała spotkania. Nie widzę w tym absolutnie pańskiej winy.

Ran przez chwilę jakby rozważał słowa przełożonego. Zabawne, kiedy przechodził w tryb analizy, zapominał o zakłopotaniu. Usiadł wygodniej, a miejsce niepewności na jego twarzy zajął namysł.

- Nie chciała dyskutować naszej sytuacji?

- Znała naszą sytuację - skinął głową Liao. - Czytała raporty, wysłaliśmy ich raczej wiele. Na pewno też czytała nasze akta, więc nie sędzę, żeby pańskie powiązania rodzinne były dla niej prawdziwym zaskoczeniem. Nie wydaje mi się, żebyśmy powiedzieli choć jedną rzecz, której nie wiedziała, zanim przekroczyła próg sali.

- Musiała nam przekazać rozkazy.

- Nie mieliśmy możliwości się im sprzeciwić, a przynajmniej nie na tym spotkaniu. - Liao spojrzał na planszę. - Grała na zdobycie informacji. Teraz już wie, że komodor Wu jest gotów ją poprzeć, jeśli tylko będzie miał okazję wykazać się swoimi niewątpliwymi umiejętnościami. Wie, że Mei Lin nie lubi brać niczyjej strony, ale przyciśnięta do muru opowie się za mną. Wreszcie, że pan żywi do niej niechęć.

Ran bardzo powoli skinął głową, wyraźnie analizując zasłyszane informacje. Przez kilka krótkich chwil trwał w milczeniu.

- W takim razie dlaczego daliśmy jej tę wiedzę?

- Z kilku powodów, komandorze. Po pierwsze, dokładnie po nią przyszła, więc była to najlepsza z możliwych droga do zakończenia tego dość bezproduktywnego spotkania. Po drugie, wolę, żeby uważała nas za nietrudnych przeciwników. Po trzecie wreszcie, dane, które uzyskała, nie były do końca prawdziwe. Bo przecież nie musi wiedzieć, że Lin ostatecznie wzięła moją stronę, ponieważ nie lubi być traktowana protekcyjnie, a pan zareagował nie z niechęcią do niej, tylko z poczuciem, że informacja o uszkodzeniach eskadry „Górskiego wiatru” będzie ważna w odniesieniu do naszych planów. Wreszcie, nie sędzę, aby wiedziała o silnym przekonaniu komodora Wu, że to ja zakończyłem ćwiczenia w celu uniknięcia zniszczenia mojego flagowca. I że to dlatego zdawał się być w opozycji do mnie.

Liao Tzu podszedł do iluminatora i spojrzał na gigantyczny kompleks stoczni. W doku „Smaragdu” właśnie przeprowadzano kalibrację lustra. Emitery na szczycie wysuniętej wieży zamigotały i na ułamek sekundy nad okrętem zabłysła ponaddwustumetrowej średnicy tarcza.

- Wszyscy służyliśmy Cesarzowi, ale bez jego rozkazów skazani jesteśmy na własny, ułomny osąd, jakie decyzje są właściwe - powiedział. Nie chciał wspominać Ranowi o stopniu rozdźwięku pomiędzy mandarynami a Radą Dowódców. Było nawet lepiej, żeby oficer wiedział tylko o zwykłej niechęci, jaka zawsze charakteryzuje stosunki wojskowych z cywilami. - Administracja cywilna widzi inne rozwiązania niż my. Inne ścieżki uważa za lepsze. Ponieważ jednak w swej mądrości zdaje sobie sprawę z tych różnic, prowadzi z nami grę cieni, ukrytych argumentów i wpływów. Być może to po prostu kolejny krok naszego tańca.

- Nie wystarczy być żołnierzem, żeby uniknąć polityki? - Ran spojrzał niepewnie na dowódcę.

- A kto panu naopowiadał takich historii? - Liao uśmiechnął się pobłaźliwie. Rozmowa z oficerem, który chciał dzielić się przemyśleniami, sprawiała mu przyjemność. Był ciekaw, czy Ran zachowa tę cechę. - Wybór kariery wojskowej jest najpewniejszym sposobem stania się częścią polityki, komandorze.

- Nazwałbym to umiarkowanie pocieszającym. - Ran wstał. Spojrzał z zaciekawieniem na rozłożony na stoliku goban. - Za pozwoleniem, gra pan w go, admirał?

- O, tak. Zdecydowanie.

- I cóż to za partia?

- To? - Tzu przeniósł wzrok na planszę. - To lekcja. Nie jestem tylko pewien, czego miała mnie nauczyć.

3

Podchody

To, co nazywano „tymczasowymi koszarami”, w zasadzie niewiele różniło się od nieco bardziej luksusowego więzienia. Odkąd trzy tygodnie wcześniej „Orzeł” odtransportował ludzi Cartwright do bazy marynarki wojennej Brest, w zasadzie nie mogli opuszczać przydzielonych im kwater. Cały ich świat w dużej mierze sprowadzono do pomieszczenia sypialnego, mikroskopijnej mesy oraz sanitariatów - przestrzeni większej niż w jakimkolwiek bunkrze, w którym przebywali w ostatnich miesiącach, ale nadal małej. Wyjątkiem była Isaksson, która kończyła rekonwalescencję w szpitalu. Porządna opieka i chemia szybko stawiały ją na nogi i trzeba było przyznać, że podczas tych kilku razy, kiedy ją widzieli, wyglądała nad podziw dobrze. Ale i ją trzymano z dala od innych pacjentów, jakby przywlekła ze sobą jakąś zakaźną chorobę.

Początkowo sporo mówiono o powrocie do dobrej formy psychicznej, ale nikt z nich nie wiedział, czym była właściwa forma po wszystkim, co przeszli. W jasnej, czystej przestrzeni kwater Brestu instynkt i wyszkolenie, które pozwoliły oddziałowi przetrwać ostatnie miesiące, ustępowały pola i zza żołnierskich uniformów powoli wychylali się ludzie. I to ludzie, a nie wytrenowane biologiczne maszyny do prowadzenia wojny, stawiali teraz czoła obrazom walk ostatniego roku.

Porucznik Cartwright przechodziła to chyba najgorzej. Podczas długich miesięcy kampanii na New Quebec wydawała się niewzruszoną skałą, całkowicie odporną na wszelkie siły. Teraz, kiedy wreszcie nie dowodziła, umysł zażądał spłaty długu. Wprogramowany etos oficera nie pozwalał jej na szukanie pomocy u siódemki podwładnych, a z psychologami Brestu dogadywała się jakoś opornie. Wobec pytania „Czy mogłam postąpić lepiej?” stanęła więc sama. Cartwright zresztą zawsze była sama, czy to dowodząc kompanią widm na Bagnie, czy w pełnych ludzi korytarzach bazy.

Spędzała godzinę za godziną przy terminalu, wpatrując się w otwarty pusty plik tekstowy. Stała się jeszcze bledsza niż zazwyczaj, a ciemne kręgi pod jej oczyma przypominały groteskowy makijaż. Wydawała się też niższa niż zawsze i dopiero później Wierba zdał sobie sprawę, że przecież zawsze była taka - atrakcyjna, ale drobna, jasnowłosa

kobieta. Sokole Oko próbował z nią rozmawiać, jednak zbyła go raz i drugi. Nie zjawiała się w mesie, posiłki przynosili jej na zmianę. Szczeniak twierdził, że miała czerwone oczy, kiedy u niej był. Holendra zdawało się to przerażać bardziej, niż gdyby nagle zamieniła się w potwora. Wierzba złapał się na tym, że miał kłopot z uwierzeniem w te rewelacje. Cartwright nie mogła płakać, Cartwright nie była przecież zwykłym człowiekiem.

Całkiem nieźle trzymali się Thorne i Weiss, choć trudno było wyobrazić sobie coś, co nimi wstrząśnie. Pierwszy wprost śmiał się z sesji z psychologami, a Niemiec sprawiał wrażenie, jakby chodził na nie, ponieważ takie były rozkazy. Z którejś wrócił, niosąc gruby notes i pisak. Później Wierzba widział go często, jak siedzi przy stoliku w mesie i wypełnia kolejne strony równym, drobnym pismem. Raz zobaczył, że wpatruje się w stronę, na której nakreślił kilkanaście razy swoje imię. Słowo „Günter” było napisane na różne sposoby, to zwykłymi, drobnymi, niemal drukowanymi literami, to wielkimi, krzywymi kulasami, jakby nabazgranymi przez małe dziecko. Zastygł jak posąg, wpatrując się w kartkę. Tylko jego dłonie lekko drżały, a mięśnie odsłoniętych przedramion były napięte jak postronki. Marcin podszedł do Weissa, ale ten natychmiast zatrzasnął notes. Kiedy odwrócił się w stronę Polaka, wyglądał tak jak zawsze.

Sokole Oko zorganizował sobie dostęp do biblioteki. Przez większość czasu można go było zobaczyć, jak czyta jakieś romansidło albo ogląda komedie widowiskowe czy też niekończące się serie odcinków przygód kota Myrona, czasem śmiejąc się głośno z dowcipów, które nie wydawały się śmieszne nawet Szczeniakowi. Raz czy dwa Wierzba widział, jak kapral robi notatki, przeglądając oferty kurortów - nie jakichś pierwszych lepszych, ale naprawdę drogich ośrodków. Polak nie sądził, żeby nawet dziesięć lat odkładania żołądka pozwoliło na opłacenie takiego wyjazdu, ale podoficer zdawał się tym zupełnie nie przejmować.

Rozgadany Szczeniak mówił po prostu jeszcze więcej, mocno kontrastując z sierżant Niemi, która niemal zupełnie zamilkła. Finka, zawsze małowówna, wraz z upływem czasu na Bagnie coraz bardziej pograżała się w swoim świecie. Pod koniec rzadko mówiła inaczej niż szeleszczącym szeptem, a w jej oczach falowała Mgła. Marcin myślał, że kiedy znajdą się wśród ludzi, wszystko wróci do normy, ale nie. Lisa Niemi wywozła z New Quebec jej szarość oraz przerywaną jedynie głosem Mgły ciszę i wolała przebywać głęboko we własnym wnętrzu, niż w towarzystwie kolegów. Była jak wilk schwyty w lesie i zawleczony do ogrodu zoologicznego. Czasem Polak patrzył na nią, siedzącą na swoim posłaniu, i niemal słyszał rozpaczliwy zew tęsknoty zamkniętego w klatce drapieżnika.

Baza Marynarki Wojennej Brest, system Jawa, 10.02.2212 ESD, 12:00

Zdarzenia od momentu otrzymania wiadomości SI do startu wahadłowca z „Orła”

opisał już kilkakrotnie, ale przesłuchującej go kadrze najwyraźniej nadal to nie wystarczało. Jak zareagowali na przekaz, co dokładnie w nim było, co o jego zawartości powiedziała

Cartwright, jak wyglądał plan ataku, kiedy dokładnie laser „Alty” rozpruł amerykański transporter... Co mówiła, najlepiej słowo w słowo, Ariadna, jak wyglądał układ z nią. A wszystko powtarzane raz po raz. Różniła się tylko konfiguracja pytań i czasem sformułowania.

Za to przesłuchujący zmieniał się za każdym razem. Tego dnia był to porucznik, w dodatku młody - na oko nie przekroczył jeszcze trzydziestki. Obserwując jego lekko niepewny wyraz twarzy i nerwowe przeczesywanie dłonią jasnych włosów, Polak był bliski wniosku, że kompetentni oficerowie już się skończyli i teraz podsyłają im ludzi w trakcie szkolenia. Chwilę później jednak zobaczył okrągły emblemat Dowództwa Operacji Specjalnych na ramieniu mężczyzny, czarne koło, otoczone jedynie białym mottem „Pulvis et umbra sumus”. Więc nie nowicjusz. Co gorsza, również nie jeden ze zwykłych przesłuchujących. Jeśli chodziło o oesy, Wierzba był gotów wszystko traktować jak pułapkę.

- Dzień dobry, szeregowy, możecie usiąść. - Porucznik skinął głową szybkim, nerwowym ruchem. - Jestem porucznik Mark Reese. Chciałbym doprecyzować kilka szczegółów waszego raportu.

- Dziękuję, sir. - Marcin usiadł na wyprofilowanym krześle, jednym z trzech mebli w jednolicie szarym, oświetlonym mdłym światłem pokoju.

- Tak naprawdę - Reese spojrział na datapad i uśmiechnął się przepaszająco - mamy już wasze bardzo dokładne zeznanie. Zapewne zastanawiacie się, po co powtarzać w kółko to samo.

- Zakładam, że jest w tym jakiś cel. - Wierzbowski zachował neutralny wyraz twarzy. Każde słowo, które wypowiadał, było rejestrowane przez Bóg wie ile czujników. Pewnie jakieś sprytnie badanie pulsu czy inne techniczne cudo wyłapie skrajną irytację, ale uznał, że warto się postarać, by choć pozory służbistości zostały zachowane.

- Wszyscy jesteśmy więźniami procedur. - Porucznik usiadł, kładąc datapad na pustym blacie stołu. - Myślę, że załatwimy to szybko.

- Tak jest - potwierdził Polak, przemycając w słowa delikatną nutkę ironii.

- Zatem zacznijmy. - Reese albo jej nie zauważył, albo postanowił zignorować. - Co pan wie o danych przekazanych wam przez SI „Alty”?

- Niewiele, jak już mówiłem. - Wierzba westchnął. Więc tym razem będą wypytywać o dane. Powoli zaczynał żałować, że pomagał Isaksson. - Zaglądaliśmy tylko do plików nagłówekowych, żeby sprawdzić sumy kontrolne.

- I nic więcej - dopowiedział oficer.

- Nic. Dokładnie tak, jak zaraportowaliśmy. - Polak delikatnie zaakcentował ostatnie zdanie. - Porucznik Cartwright wydała nam bardzo wyraźne rozkazy w tym temacie.

- Naturalnie. - Reese pokiwał głową i stuknął palcem w ekran datapada. - Czy wyrażała jakiegokolwiek obawy, że może być z nimi coś nie tak?

- Mnóstwo rzeczy mogło być nie tak, sir - odparł Marcin. - Nośnik mógł zawieść. Coś mogło pójść nie tak z transferem. Ariadna mogła stracić część danych...

- Mogła chcieć was oszukać.

- Tak, to też.

- I porucznik Cartwright wierzyła, że w tym ostatnim przypadku sprawdzenie sum kontrolnych pomoże? - Oficer oświał nadal wpatrywał się w ekran.

- Nie wiem, w co wierzyła porucznik Cartwright - odpowiedział. Musiał przyznać, że to pytanie było nowe. - Myślę, że można o to spytać ją.

- Ale wymieniła te trzy powody? - Siedzący naprzeciw Polaka mężczyzna skupił się na datapadzie.

- Porucznik nie wymieniła żadnego powodu, sir. - Wierzbowski znowu westchnął. - Porucznik Cartwright wydała rozkaz, a my go wykonaliśmy.

- Czyli tylko domyśla się pan przyczyn? - Reese uniósł wzrok znad urządzenia.

- Wydawały mi się oczywiste.

-... Oprócz tej ze złą wolą SI - uzupełnił porucznik.

-... Tak. - Marcin po chwili namysłu kiwnął głową. Tym razem rozmowa przebiegała minimalnie inaczej niż zwykle. Zastanawiał się, czy to dlatego, że przesłuchujący był gorszy od pozostałych, czy wręcz przeciwnie. - W zasadzie tak. Myślę, że działaliśmy według założenia, iż jeśli Ariadna próbuje jakichś sztuczek, zostanie to wykryte w bazie.

- Całkiem sensownie - zgodził się oficer. - W końcu nie mieliście środków, by to sprawdzić.

- Nie, sir.

- Starsza szeregowca Isaksson była ranna i jak rozumiem, dlatego porucznik Cartwright przydzieliła was do zadania?

- Sądzę, że tak. Nie zastanawiałem się nad tym.

- Ale do rozmów z SI też zabrała was - zauważył Reese.

- To prawda. - Polak wzruszył ramionami. - Przeszedłem podstawowe przeszkolenie techniczne, jeszcze zanim pojechałem na front. Miałem służyć w zaopatrzeniu. Może to dlatego.

- Ile było takich kontroli?

- Cztery? - próbował przypomnieć sobie Wierzba. - Tyle przy mnie.

- I czasami Isaksson pomagali inni?

- Tak. To znaczy raz pomagał nam Sokole Oko. Raz Thorne.

- Ponieważ też mieli kompetencje w tej dziedzinie? - Porucznik uniósł pytająco brwi.

- Myślę, że lepiej pan zrobi, pytając o to porucznik Cartwright.

Reese skinął lekko głową i skoncentrował się na datapadzie. Przez chwilę wprowadzał jakieś komendy, wreszcie westchnął ciężko.

- SI „Alty” zidentyfikowała się jako Ariadna? - zapytał formalnym tonem.

- Tak jak zaraportowaliśmy i jak wspomniałem przed chwilą, tak jest.

- Ariadna, według naszych danych, była SI nawigacyjną. - Reese nie spuszczał wzroku z ekranu datapada. - Spotkaliście się jednak z nią w bloku obrony punktowej?

- Tak, w P-4 - potwierdził Marcin.

- Rozumiem - odparł oficer, nadal nie patrząc na rozmówcę. Przesunął po stole urządzenie w stronę Polaka. - Zakładam, że podczas kontroli widział pan te dane wielokrotnie.

- Tylko nagłówki. Chyba przesłaliśmy je na „Orła”. - Wierzba spojrział na datapad. Na ekranie wyświetlone były nazwy sześciu plików.

- To te dane? - Porucznik uniósł wreszcie wzrok.

- Nie wiem. - Wierzbowski pokręcił głową. - Pliki nazywają się tak samo, mają te same rozmiary, ale to tyle.

Cały czas zastanawiał się, o co chodzi rozmówcy - i dlaczego nie powie tego wprost. W końcu byli przesłuchiwanymi przez swoich, na ile oczywiście oesów można było tak traktować.

- Słusznie. - Reese przyciągnął datapad do siebie i kilka razy uderzył w ekran czubkiem palca. Wreszcie oddał urządzenie Marcinowi. W każdym z czterech otwartych okien widniały długie listy współrzędnych i kodów. - Teraz mamy jasność. To były te pliki?

Polak pochylił się nad ekranem, przez chwilę przyglądając się danym.

- Nie. Były bardzo podobne, ale nie zgadza się parę rzeczy - powiedział po krótkim namyśle. Wskazał palcem po kolei na kilka linii. - Tutaj na przykład.

Zaskoczony porucznik odebrał datapad i popatrzył na ekran. Nagle twarz mu się rozjaśniła.

- Najmocniej przepraszam - powiedział. Kilkoma ruchami otworzył nowe okna na ekranie niewielkiego urządzenia. - Miałem na myśli, oczywiście, te.

Marcin przez chwilę studiował nowe dane, wreszcie kiwnął głową.

- Tak, to chyba one. - Oddał oficerowi datapad.

Wyraźnie rozluźniony Reese uśmiechnął się lekko.

- Jeszcze jedno pytanie. - Spojrzał na żołnierza. - Czy w którymkolwiek momencie terminal i stanowisko łączności były włączone jednocześnie?

- Nie, nigdy - odparł Polak po krótkim namyśle. - Na ogół te same osoby obsługiwały jedno i drugie, więc nie było nawet uzasadnienia. Terminal nie miał zresztą kodów uwierzytelniających, nie połączyłby się z konsolą łączności bez naszej wiedzy.

Porucznik Reese przez chwilę milczał, jakby zastanawiając się nad słowami Marcina, wreszcie kiwnął głową.

- Świetnie - powiedział. - To wszystko.

- Wszystko? - Przyzwyczajony do ponadgodzinnych sesji żołnierz nie próbował nawet ukryć zaskoczenia.

- Tak. - Oficer wstał i przyglądał dłońią niesforną fryzurę. - Mówiłem przecież, że to spotkanie ma tylko potwierdzić kilka drobiazgów.

- Rozumiem. - Nadal lekko zdezorientowany Wierzbowski pozwolił działać odruchowi, który nakazał mu poderwać się z krzesła i zaszutować.

- Spocznij. - Reese niedbale przytknął dłoń do czoła i ruszył w stronę drzwi. - Do zobaczenia, szeregowy. Wartownik odprowadzi was na kwaterę.

- Sir?

- Słucham? - Młody oficer zatrzymał się w pół drogi do wyjścia.

- Czy istnieje możliwość sprawdzenia, jaki jest status reszty plutonu? - Sam nie wiedział, dlaczego zadał to pytanie. Po prostu coś w zachowaniu Reese'a dawało Marcinowi podskórne przekonanie, że może tym razem nie zostanie zbyty regulaminową formułką.

Porucznik wrócił do stolika. Przez chwilę stał nieruchomo z rękami opartymi na blacie i wzrokiem utkwionym gdzieś ponad ramieniem szeregowca.

- Ewakuacja New Quebec napotkała trudności - powiedział wreszcie, przenosząc spojrzenie na twarz Polaka. - Ich transport nie dotarł do Szarej Strażnicy, nie mamy też żadnych wieści z innych placówek. Przykro mi.

*

Za jednostronnie przezroczystą szybą dwójka wojskowych opuściła pomieszczenie. Najpierw Reese, niosąc w dłoni datapad, potem szeregowy Wierzbowski z opuszczoną głową, natychmiast przejęty przez czekającego w korytarzu wartownika.

Pułkownik William Brisbane przesunął wzrokiem po kilkunastu ekranach

monitorujących ton głosu, funkcje ciała i motorykę przesłuchiwanego żołnierza. Sam nie rozumiał z nich wiele, ale też nie musiał. Zapisane dane przejrzy później specjalista. On po prostu chciał obserwować przesłuchanie człowieka, który jako ostatni rozmawiał z Ariadną. Brakowało mu jej, musiał to przyznać. Ale cóż, czasem los nie pozostawia wyboru.

Mimo wszystko SI zaskoczyła go. Jakimś cudem przetrwała ponad cztery miesiące, mimo że nawet major Hampel nie dawał jej tyle czasu. Owszem, niezbyt długo, wystarczająco jednak, żeby przekazać żołnierzom Unii ważne dane, diabli wiedzą dlaczego. To był niewątpliwie plus. Naturalnie, początkowo założył pułapkę, ale wysłane natychmiast po przejęciu danych okręty zweryfikowały prawdziwość podanych namiarów.

Zdołała również ukryć te informacje przed nim oraz zachować wystarczająco dużo energii, by wystrzelić - przynajmniej raz. Po tak długim czasie. To z kolei Brisbane uznał za zdecydowany minus - nie powinien był dać się przechytrzyć. Cóż, stało się.

Obrócił się w fotelu, kiedy z cichym sykiem otwarły się drzwi i do pomieszczenia wszedł Reese. Zatraskany wyraz twarzy porucznika w niczym nie przypominał demonstracyjnego dobrego humoru, który podwładny zaserwował Marcinowi Wierzbowskiemu.

- Jak rozumiem, pamięta? - spytał cicho.

- Przerazająco dużo. - W głosie Reese'a brzmiała autentyczna fascynacja. - To szalenie ciekawe. Sto pięćdziesiąt linii pliku, które mu pokazałem, to właściwie same liczby, a potrafił rozpoznać, że zamieniłem kilkanaście. Teoretycznie to co innego niż zdolność odtworzenia, ale nadal...

- Cenna umiejętność - przerwał Australijczyk. - Jak jednak rozumiem, szeregowy Wierzbowski wykazywał ją już wcześniej, przynajmniej w dziedzinie schematów.

- Rzeczywiście. To szalenie ciekawe, taki selektywny... Przerwał, dostrzegając nieruchome spojrzenie przełożonego.

- Przeciwnik może na tym skorzystać, prawda?

- Inni pamiętają mniej, ale do spółki... - Reese skrzywił się lekko. - Skany mózgowe są w stanie coś z nich wyciągnąć. Możliwe, że sporo, na przykład punkty wyjściowe skoków.

Pułkownik zastanowił się - jeżeli Imperium uzyskałoby tę informację, cały zysk z uzyskanych danych poszedłby na marne. Nawet nie potrafiąc przeliczyć parametrów samego skoku, lecz znając punkt wyjścia, nieprzyjaciel mógł po prostu wystawić na miejscu komitet powitalny w postaci eskadry liniowej albo kilkunastu platform obronnych.

- Bez operacji się nie dowiemy?

- Nie. - Porucznik natychmiast pokręcił przecząco głową. - W dodatku skanów

mózgowych nie możemy przecież przeprowadzić.

Ostatnie zdanie powiedział z nieco zbyt dużym naciskiem i William Brisbane z trudem powstrzymał uśmiech. W pewien sposób bawiło go, że podwładny nadal widział w nim osobę, która jest w stanie zarządzić wiwisekcję własnych ludzi z czystej ciekawości.

- Ile trwałaby taka operacja? - spytał uprzejmie. - Mając dobry sprzęt? Hipotetycznie?

- Jeżeli robić to porządnie... - Porucznik łypnął podejrzliwie na przełożonego. - Osiem, dziewięć dni na osobę. To nie jest łatwa sprawa.

- Do tego przynajmniej kilka dni składania danych, prawda? Reese kiwnął głową.

- Doskonale - powiedział spokojnie pułkownik, przypatrując się spod lekko zmrużonych powiek ekranom.

- Nie zamierza pan...

- Och, nie, w żadnym wypadku - uspokoił go Australijczyk. - To byłoby przecież barbarzyństwo, prawda? Poza tym żywi będą jeszcze użyteczni.

Baza Marynarki Wojennej Brest, system Jawa, 15.02.2212 ESD, 18:30

Rozkaz przeniesienia przyszedł razem z Isaksson, która zakończyła rekonwalescencję i aż kipiała energią. Nie było w nim nic zaskakującego, biorąc pod uwagę ostatnie tygodnie - transfer na tyłową placówkę Svalbard, kilkanaście skoków od frontu. Ze względu na wyczerpanie po długim pobycie za liniami wroga, jak napisano w uzasadnieniu. Zapewniono ich, że wszelkie badania zostały zakończone i poza zwykłą klauzulą poufności nie będzie żadnych problemów, ale jakoś nikt z oddziału nie dostał zezwolenia na opuszczenie kwater. Wierzba podejrzewał, że to kwestia przenoszenia pakietów danych pochodzących od SI, choć naturalnie jego teoria nie była zbyt ciekawa dla innych.

- Moim zdaniem sądzą, że Mgła z nami coś zrobiła - stwierdził z przekonaniem Szczeniak. - Niby dlaczego mieliśmy codziennie badania medyczne? Mówię wam, chcę sprawdzić, czy czegoś nie przywlekliśmy.

- Czegoś, czego nie załapał nikt z Amerykanów oraz prawdopodobnie nikt z Czterdziestego Regimentu, kiedy był tam z nami? - zdziwił się Weiss. - Moim zdaniem po prostu nie chcą nas tutaj. Brest to baza Marynarki Wojennej, a nie garnizon trepów.

- Jesteś przeraźliwie prostym człowiekiem - odparował Van Reuters i skrzywił się w demonstracyjnej pogardzie. - Gdybyś miał rację, już dawno bylibyśmy w drodze gdzieś daleko stąd.

- Wierzba ci mówił, dlaczego. - Niemiec nie wyglądał, jakby poczuł się urażony. - Standardowa procedura, regulamin Korpusu, punkt czterysta dziewięćdziesiąt, styczność z maszynami powyżej ósmego stopnia złożoności.

- Jest na to paragraf? - zaskoczony Wierzba zmarszczył brwi. - Znaczący, na samą styczność?

- Dokładnie tak - potwierdził Wunderwaffe. - Każda osoba mająca styczność z SI z punktu widzenia armii jest traktowana tak, jakby wróg poddawał ją indoktrynacji.

- Niby jest - potwierdziła Isaksson. - Ale przecież to bez sensu. Teoretycznie, jak weźmiesz odpowiednio zagęszczony system platform orbitalnych, dostajesz charakterystykę ósemki, a nie sądzę, żeby każdego nawigatora floty przesłuchiwali...

- Może przesłuchują, kiedy za długo gada z takim systemem. - Niemiec pozostał niewzruszony. - Czy nikt poza mną nie czyta regulaminu?

- Większość z nas czyta go mniej uważnie, Günter - uśmiechnął się Sokole Oko. - Powinieneś się przyzwyczać.

- Tak jest, panie kapralu, ale sądziłem, że to akurat jest ważne. Choć przyznaję, wypytywano mnie o New Quebec i o Mgłę.

- Ha! - Szczeniak chwycił się podsuniętej szansy. - Widzisz?

- Tak, naturalnie poza punktem czterysta dziewięćdziesiątym mogą mieć też inne powody - uprzejmie zgodził się Wunderwaffe. - Ale nawet bez nich i tak by nas tu trzymali.

- Cenzor wszedł na pocztę - powiedziała Niemi głosem balansującym na granicy szeptu. - Odbiło mi kilka wiadomości.

Wobec zwykłej małomówności Finki to była istna tyrada, która zaskarbiła jej niepodzielną uwagę wszystkich zgromadzonych, zwłaszcza że chyba nikt nie podejrzewał, iż sierżant do kogokolwiek pisała listy.

- Mnie też - mruknął Szczeniak, demonstracyjnie wzruszając ramionami. - Sądziłem, że to ze względu na słownictwo.

- I mnie - potwierdził Sokole Oko.

- Taa... - przytaknęła Isaksson. - Próbowałam się dowiedzieć, o co w tym chodzi, ale nic nie wyjaśniają.

Marcin milczał. Kiedy tylko dostał się do terminala, napisał kilka wiadomości - długi list do rodziców, a potem oddzielne do matki i ojca. Życzenia imieninowe dla chrześniaka, którego wdział ostatni raz prawie dwa lata temu i nadal był mu winien kilka prezentów. Wiadomość do Kici, zanim dowiedział się, że dziewczyna i tak jej nie odbierze. Zaledwie kilka zdań, ale włożył w nie zaskakująco dużo pracy. Wszystkie listy powróciły z adnotacją na temat tymczasowej blokady komunikacyjnej ze względu na bezpieczeństwo newralgicznych informacji oraz z pieczęcią cenzury. Teraz przynajmniej wiedział, że nie był jedyny. Jakimś sposobem, choć powrócili do swoich, byli jeszcze bardziej odcięci od świata

niż na Bagnie.

Baza Marynarki Wojennej Brest, system Jawa, 16.02.2212 ESD, 08:40

Przestronny rękaw cumowniczy wydawał się niemal całkowicie pusty - wygaszony ekwipunek służący do obsługi ładunku tkwił w pozycjach parkingowych, a nieruchome ramiona podnośników zamarły ponad przechodzącymi żołnierzami jak wyjątkowo niegustowny szpaler. Było to już drugie takie pomieszczenie, które Polak zwiedzał w ciągu tego dnia - „Toledo”, którym mieli lecieć, razem z bodajże ładunkiem części zamiennych do sprzętu komunikacyjnego, zaliczyło jakąś awarię i okazało się, że będą podróżować innym okrętem. Wierzba i tak był pełen podziwu, że „Kuopio” wydelegowano tak szybko - albo Brest był jedną z tych mitycznych baz, w których administracja działała jak trzeba, albo po prostu naprawdę chciano się ich pozbyć. Niezależnie od wszystkiego przydzielona im eskorta nie przyjęła dobrze zmiany planów. Para żołnierzy od początku nie przejawiała dobrego humoru, ale odkąd opuścili dok uszkodzonego „Toledo”, aż nadto widać było po nich irytację.

Przy śluzie prowadzącej na pokład „Kuopio” czekała na nich dwójka członków załogi transportowca - niski, ciemnoskóry porucznik, ostentacyjnie wpatrujący się w ekran trzymanego datapada, i przerastająca go o głowę muskularna mat o wyrazistych oczach i idealnie ogolonej czaszce. Na kryjącej szerokie ramiona kobiety kurtce mundurowej widniały oznaczenia oddziału bezpieczeństwa, a lekki karabinek wisiał na pasie tuż przy całkiem miło zaokrąglonym biodrze. Ona z kolei wydawała się niemal przewiercać nadchodzących niechętnym spojrzeniem.

- Twój typ kobiety - Isaksson szturchnęła idącego obok Szczeniaka, przezornie jednak ścisząc głos. W pustym doku echo potrafiło być zdradliwe.

- Silna, skoncentrowana profesjonalistka? - uśmiechnął się niewinnie Holender.

-... Taka, która by kontrolowała twoje pyskowanie. - Szwedka posłała mu krzywy uśmiezek. - Jeden cios tą pięścią i będziesz grzeczny na wieki.

- Nie doceniasz mnie - sparował. - Choć muszę przyznać, że nie chciałbym jej teraz podpaść. Nie wygląda przyjaźnie.

- Lot na Svalbard to chyba sześć tygodni - wtrącił Wierzba. - Też byś nie chciał lecieć na koniec świata dla kilku trepów.

- Nawet nie zauważą - parsknął Van Reuters. - Skok trwa ile, sekundę? I to my musimy się mrozić, a nie oni.

- Skok tam i z powrotem to trzy miesiące czasu standardowego - włączył się Sokole Oko. - Ludzie mają tendencję do myślenia w tych kategoriach.

Prowadzący oddział Cartwright sierżant Marini zatrzymał się kilka kroków od załogantów „Kuopio” i wydobył kartę identyfikacyjną.

- Ładunek 20-40-AE. - Teraz, kiedy mówił głośno, wyraźnie dało się słyszeć egzotyczny akcent. Podał kartę mężczyźnie, trzymając ją w dwóch palcach. - Z poleceniem załadunku i transferu na Svalbard.

Czarnoskóry porucznik niespiesznie przyjrzał się karcie, a potem sprawdził coś na datapadzie. Następnie raz jeszcze popatrzył na podany mu przez dowódcę eskorty dokument.

- Więc o to było tyle szumu... - mruknął i wykonał luźny gest w kierunku służby. - Zapraszam.

Marini uśmiechnął się uprzejmie, nie zrobił jednak nawet kroku w stronę okrętu. Porucznik wzruszył ramionami i pierwszy wszedł do prowadzącej na „Kuopio” służby. Potężnie zbudowana mat maszerowała krok za nim, pozwalając krótkiemu karabinkowi objąć się o jej udo. Włoch ruszył dopiero wtedy, gdy tamci byli już na pokładzie. Potem pod pancernymi drzwiami przeszedł oddział Cartwright i na końcu drugi żołnierz ich symbolicznej eskorty, niska, nieco zbyt przysadzista szeregowka o nazwisku Hilde.

- „Ładunek” - szepnęła Isaksson, kiedy wkraczali na pokład. - Też coś.

- Mogło być gorzej - skomentował Wierzba, poprawiając niesiony na ramieniu worek z rzeczami osobistymi. - Mogli powiedzieć „towar”.

- Nie mam nic przeciwko byciu towarem.

- Grunt to znać miejsce w szeregu? - zapytał z przekąsem Szczeniak.

- Spierdalaj. - Szwedka uśmiechnęła się słodko.

Korytarz za służą był dość wąski, choć przez brudne, przezroczyste płyty wzdłuż ściany dało się zobaczyć przestronne, puste ładownie. Najwyraźniej konstruktorzy transportowca nie przewidywali zbyt dużego ruchu pasażerskiego.

- Zacniemy od sprawdzenia i skalibrowania komór kriogenicznych - powiedziała Cartwright. - Chciałabym uzyskać pełne potwierdzenie ich gotowości w ciągu godziny.

Wierzbowski i Isaksson jak na komendę wymienili zaskoczone spojrzenia. Nie dlatego, że oczekiwano od nich pracy z hibernatorami - to akurat było dość zwyczajną procedurą. Zwykle jednak pełne przygotowanie własnej komory kriogenicznej trwało około pięciu minut. Godzina oznaczała, że zaufanie oficer do transportowca jest dość umiarkowane. Jak udowodniły kolejne dwie minuty - słusznie.

„Kuopio” okazało się mocno wysłużoną maszyną starego typu, z czasów, kiedy miało jeszcze sens budowanie mniejszych transportowców na krótkie trasy. Było więc niewielkie w porównaniu do nowszych kolosów, ale na pewno nie pasowało do niego określenie „małe”. W

przedziale pasażerskim, do którego dwójka załogantów zaprowadziła eskortowany przez czwórkę żołnierzy oddział Cartwright, bez problemu dało się przewieźć kilkadziesiąt osób. Stojące w kilku rzędach hibernatory wypełniały większą część przedziału, pozostawiając niewiele miejsca na zabezpieczone szafki na bagaż, a w powietrzu unosił się szum pracujących urządzeń. Całe pomieszczenie nie tylko wyglądało jak przerobiona ładownia, ale też można je było uznać za nader wyraźną przesłankę do stwierdzenia, iż okrętowi przydałby się remont. Z mocnych lamp zawieszonych pod sufitem przedziału działała mniej więcej co druga, a większość monitorów systemu nadzoru medycznego ziała czernią wygaszonych ekranów. Kable zasilające, w czarnożółte pasy, ciągnęły się po podłodze, zamiast zgodnie z regulaminem leżeć w wyznaczonych duktach - prawdopodobnie ze względu na fakt, że tych ostatnich po prostu w pomieszczeniu nie było. Ponad prowadzącymi do przedziału rozsuniętymi na oścież drzwiami niewielki ekran nieco wbrew faktom wyświetlał informację, że okręt przechodzi właśnie procedurę przedstartową i aż do jej zakończenia przedział pozostanie zamknięty.

Przydzielony Marcinowi hibernator miał na boku prawie całkiem zatarty numer 68 i znajdował się tuż obok maszyny oznaczonej jako „uszkodzona”. Kiedy Wierzbę rozejrzał się wzdłuż rzędów komór kriogenicznych, zauważył kilkanaście innych z podobną informacją.

Władzę w pomieszczeniu pewną ręką dzierżył czterdziestokilkuletni, błądy mężczyzna o oszczędnych ruchach i dobrodusznym wyglądzie. Sprawiał wrażenie, jakby zestarzał się razem ze swoim okrętem - mundur z oznaczeniami podporucznika miał mocno znoszony, a emblemat oficera medycznego niemal całkowicie wytarty. Nawet jego przyjaźnie spoglądające szare oczy wydawały się wyblakłe. Przyjął od Marciniego datapad z danymi medycznymi oddziału i przez chwilę bacznie mu się przyglądał.

- Hm - powiedział wreszcie głosem niepokojąco przypominającym dźwięk trących o siebie kamieni. - Cóż, nie widzę tu nic, co mogłoby sprawiać kłopoty.

- Bellissimo. - Sierżant klasnął z rozmachem w dłoń, a na jego ustach wykwitł szeroki uśmiech. - Czyli wszystko w najlepszym porządku.

- Będę na pomoście bojowym. - Ciemnoskóry porucznik, który powitał ich w rękawie cumowniczym, wyraźnie nie podzielał jego entuzjazmu. Obrócił się na pięcie i już zmierzał do wyjścia, kiedy zatrzymały go słowa Włocha.

- Będziemy też potrzebować miejsca w polu Kuznietzova dla dwóch osób.

- Nie mam tego w informacjach - skrzywił się i jeszcze raz spojrzął na niesiony datapad. - To będzie raczej trudne.

- Rozkaz z Dowództwa Operacji Specjalnych - odparł Marini, posyłając mu

przepraszający półśmiech. - Ja i szeregową Hilde mamy być na chodzie przez całą podróż.

Dowódca „Kuopio” podrapał się po podbródku i przybrał cierpienniczą minę. Perspektywa dwójki pasażerów, których nie można spokojnie zapakować w lodówki, wyraźnie mu nie odpowiadała. Zwłaszcza że to oznaczało konieczność wytworzenia dla nich bardzo drogiego energetycznie pola Kuznietzowa, pozwalającego przeżyć skok poza hibernatorem.

- Nie jestem pewien, czy w ogóle będę w stanie. „Kuopio” nie potrzebowało pola poza pomostem bojowym od ładnych kilku lat.

- Możemy zatem przebywać tam, wtedy nie będzie problemu - zaproponował Włoch z miną sugerującą, że właśnie znalazł rozwiązanie satysfakcjonujące obie strony.

Porucznik floty drgnął i z trudem powstrzymał grymas. Para żołnierzy w pobliżu stanowiska dowodzenia jego transportowca musiała jawić mu się jako szczególnie niepożądana perspektywa.

- Nie sądzę, żeby to było możliwe, sierżancie - mocno zaakcentował ostatnie słowo. Ale Marini też był nie w ciemię bity.

- No tak, rozumiem problem. - Potarł w zamyśleniu podbródek i nagle ożywił się. - Wiem! Zawiadomię centralę oesów o problemie i jestem pewien, że oni go jakoś rozwiążą.

Gdyby wzrok mógł zabijać, dowódca „Kuopio” nie wymigałby się od sądu wojkowego.

- Zobaczę, co się da zrobić. - Wyraźnym wysiłkiem woli zmusił się do zachowania uprzejmego wyrazu twarzy.

- Dziękuję. - Włoch zdawał się całkowicie nieświadomy emocji targających rozmówcą. Przyjaźnie poklepał porucznika po ramieniu. - Przyznaję, że sam nie przepadam za specjalnymi. Przyprawiają mnie o ciarki. Kiedyś...

- Proszę tu poczekać. - Porucznik najwyraźniej nie chciał wiedzieć, co kiedyś przytrafiło się Mariniemu. Kiwnął na wysoką mat i wyszedł szybko, obdarzając ich na koniec wściekłym spojrzeniem. Przez chwilę ponad cichy szum urządzeń dało się usłyszeć pobrzękujący dźwięk kroków na źle wytłumionej podłodze korytarza.

Sierżant popatrzył na podwładną, która z trudem zachowywała powagę.

- No co? - powiedział z demonstracyjną bezradnością.

Oddział Cartwright tymczasem zajął się komorami kriogenicznymi. Dziesiątki razy ćwiczone skalibrowanie hibernatora, podpięcie monitoringu i sprawdzenie systemu zagnieżdżały się w organizmie niczym odruchy warunkowe i teraz kolejne czynności były wykonywane niemal automatycznie - a później, po niepewnym rozejrzeniu się w

improwizowanej „sekcji pasażerskiej”, powtarzane po raz kolejny z większą uwagą.

Oczywiście i tak potem wszystko miał sprawdzić oficer medyczny „Kuopio”, ale każdy wolał najpierw upewnić się samemu. Legendy o całych okrętach widmach, pełnych żołnierzy zmarłych w wyniku awarii hibernatorów, były co prawda mało wiarygodne, lecz za to szalenie popularne.

Wierzba po raz już któryś przypiął sobie do piersi czujnik medzestawu. Niewielki ekran obok komory kriogenicznej numer 68 ożył, wyświetlając raport - dokładnie ten sam, co za każdym poprzednim razem. Kiedy już był prawie pewien, że wszystko jest w najlepszym porządku, siedzący przy swojej maszynie radośnie uśmiechnięty Szczeniak ruchem głowy wskazał mu jedną z nieczynnych komór. Wszystkie lampki kontrolne obok pustej kompozytowej trumny błyszczały zielono, oznajmiając wszem i wobec, że jej lokator ma się doskonale. Polak westchnął ciężko i sięgnął do przycisku resetu. Nie zaszkodzi sprawdzić kolejny raz... Zerknął na żołnierzy, rozmawiających ściszym głosem z tutejszym oficerem medycznym. Sierżant opowiadał o czymś, szeroko gestykulując rękoma, a szeregowka Hilde rozglądała się po pomieszczeniu - z tej dwójki to chyba ona była tą, która miała zachowywać choć elementarną czujność. Na krótki moment jej spojrzenie spotkało się ze wzrokiem przyglądającego się dyskusji Marcina. Hilde uśmiechnęła się przyjaźnie i mrugnęła do Polaka.

- Nie romansuj. - Wierzbowski zauważył, że Isaksson podeszła do niego, dopiero kiedy poczuł na żebrach kuksańca towarzyszącego jej słowom. - Na kilometr widać, że to suka.

- Co ty tam wiesz? - prychnął szeregowiec. - Czemu w ogóle tak myślisz?

- Jesteś brzydki, biedny i niezbyt mądry - odparła Isaksson mentorskim tonem. - Jeśli kobieta uśmiecha się do ciebie zalotnie, najpewniej chce się z ciebie naigrywać, a to znaczy, że jest suką. Proste.

- Może po prostu podoba jej się moja brzydka, biedna i nie za mądra osoba?

- Więc jest świruską, a to jeszcze gorzej. - Radiooperatorka miała na wszystko gotową odpowiedź.

- Może choć poflirtuję, bo jej sprawność bojowa raczej nam się już nie przyda. - Polak wskazał na ekran nad wejściem do przedziału. Informacja o procedurze przedstartowej zmieniła się właśnie na migający napis „Oddokowywanie”.

- Teraz dopiero może być zabawa. Otwiera się przed nami szeroki świat pełen wrogich okrętów i ich grup abordażowych.

Mógłby przysiąc, że w głosie Camilli Isaksson pobrzmiwał entuzjazm.

*

Eskadra wyłączyła powłoki refleksyjne, gdy tylko wkroczyła w strefę wyznaczonego kotwicowiska, zapewne by ułatwić sternikom manewry na niewielkiej przestrzeni. Choć wezwane do Brestu okręty przebywały w systemie od kilku godzin, a od dobrych dwóch wieża kontroli lotów dysponowała ich bardzo dokładnymi charakterystykami, zarówno termicznymi, jak i elektromagnetycznymi, dopiero teraz Brisbane mógł je zobaczyć na własne oczy. Pierwsze pojawiły się krążowniki, smukłe maszyny o agresywnych kształtach stanowiące rdzeń floty. Najpierw „Hegemon”, a potem flagowy „Kraken” zmaterializowały się z nicości na ekranach wieży kontroli lotów. Następnie dołączyły do nich „Intruz” i dwa pozostałe niszczyciele, którym dowódca eskadry pozwolił na wejście do portu, drobniejsze od większych braci, ale nadal groźne. Choć przyglądając się okrętom eskadry kontradmirała Nijala Kuertena, trudno było dostrzec choć jeden widoczny system broni, nie pozostawał ni cień wątpliwości co do ich przeznaczenia. Coś musiało tkwić w ich konstrukcji, w załamaniach kształtu kadłuba, w potężnych sekcjach silnikowych o wiele większych niż u frachtowców. W groźnym wdzięku, z jakim manewrowały, zajmując wyznaczone pozycje postojowe.

- Nie widuje pan często takich zgrupowań? - Miękki, wibrujący głos komandor Sophie Lafayette oderwał Brisbane'a od monitorów, przywracając go na powrót do wypełnionej pracą wieży kontroli lotów. Oficer łącznikowa sztabu sektora przybyła na Brest szybkim okrętem kurierskim dwa dni wcześniej, kiedy tylko potwierdziły się koordynaty otrzymane od Ariadny.

- Proszę mi wierzyć lub nie, ale istotnie rzadko mam okazję. Muszę przyznać, że robią wrażenie.

- Jeśli podobają się panu widoki, pułkowniku, nic prostszego niż spróbować przenieść się do nas. - Francuzka mówiła powoli, jakby smakowała każde słowo, cały czas patrząc rozmówcy prosto w oczy. Brisbane był pełen podziwu. Gdyby nie znał jej od ponad trzech lat, naprawdę dałby się nabrać na uwodzicielskie gesty. - Co najmniej jedna osoba w sztabie sektora mogłaby być zachwycona możliwością bliższej... współpracy z panem.

- Jestem o tym absolutnie przekonany. Kradzież człowieka z pewnością okazałaby się ostatecznym prztyczkiem w nos Operacji Specjalnych - uśmiechnął się do niej. Tarcia pomiędzy Sztabem i oesami nie były tajemnicą dla żadnego oficera obu stron.

- Kradzież to nieładne słowo. - Lafayette wydeła pełne wargi, ale w jej oczach zabłysnęły wesole ogniki. - Zresztą czy nie dokładnie to chcecie zrobić z dzielnym kontradmirałem Kuertenem?

- Ależ skąd. - Pułkownik znowu spojrzął na monitor, gdzie okręty powoli nieruchomiały na pozycjach postojowych. - Tylko go pożyczamy, mam nadzieję, na krótko. Zresztą nie sądziłem, że akurat on będzie problemem.

- Przyznaję, kontradmirał Kuerten jest... - przez moment trwała nieruchomo z lekko przechyloną głową, jakby szukała właściwego słowa -... szczególnego rodzaju oficerem.

- O, tak - zgodził się Brisbane. - Zdążyłem się zorientować. Nie lubi na przykład trzymać okrętów w porcie. Połowa jego niszczycieli krąży gdzieś po systemie.

- Nic, co by mnie zaskoczyło. - Lafayette westchnęła cicho i odgarnęła czarne włosy. - Z całą pewnością odnajdzie pan w nim wiele innych nietypowych cech.

- Doskonale. - Skrzyżował ręce na piersi. - Nietypowe cechy będą nam nader potrzebne.

EUS „Kuopio”, system Jawa, 16.02.2212 ESD, 11:54

Strefa wydzielona dla pasażerów „Kuopio” była dość ograniczona i Wierzba zwiedził ją dokładnie w trakcie pierwszej godziny lotu. Poza przedziałem hibernatorów składała się ona z niewielkiej mesy, kiedyś będącej z pewnością czymś w rodzaju pomieszczenia na narzędzia, oraz olbrzymiego, niemal pustego, nieoświetlonego magazynu, na środku którego stały trzy stare kontenery prefabrykowanych sanitariatów. Thorne nie omieszkał zauważyć, że nieco wyblakłe oznaczenia sugerowały nie tylko, iż zostały wytworzone przed Dniem, ale najprawdopodobniej również przed narodzinami samego Wierzby. Nie mieli oczywiście jak sprawdzić wiarygodności słów wiecznego szeregowca, lecz z całą pewnością pasowały one do ogólnego wrażenia, jakie robiło „Kuopio”.

Cała sekcja dziobowa była odcięta grodzią, prawdopodobnie jedyną działającą na całym statku, co stwierdzili po krótkim spacerze. Z załogi w przedziale pasażerskim przebywał tylko pogrążony w pracy przy komputerach oficer medyczny i milcząca łysa mat, która poza karabinkiem tym razem miała przy sobie przenośną konsolę widową, zajmującą większą część jej uwagi. Sierżant Marini odszedł z dowódcą „Kuopio”, zapewne na pomost bojowy, a Hilde siedziała przy jednym z hibernatorów zapatrzona w ekran wydobytego z kieszeni datapada.

W ciągu kolejnej godziny Marcin i Szczeniak ulegli namowom wężącej niczym psiak Isaksson i trójka żołnierzy zapuściła się nawet w stronę sekcji napędu. Na frachtowcach była ona oczywiście znacząco mniejsza niż na budowanych do walki okrętach wojennych, a jedyne zabezpieczenie przed znudzonymi żołnierzami stanowiła tabliczka „Wstęp wzbroniony” umieszczona zresztą w mało widocznej wnęce. W wypełnionej donośnym szumem hali pracowało dwóch techników. Pochyleni nad konsolętami nawet nie zwrócili uwagi na

odległych raptem o kilkanaście metrów żołnierzy, choć trudno było powiedzieć, czy to ze względu na zapracowanie, czy rozbrzmiewający w olbrzymiej przestrzeni hałas skutecznie maskujący obecność nowo przybyłych.

- Nie wygląda tragicznie. - Szczeniak musiał mówić głośno, żeby być słyszalnym. - Trochę spodziewałem się silnika parowego albo czegoś w tym stylu.

- Gdzie napęd gwiazdny? - zainteresował się Marcin. Nigdy nie widział na żywo potężnych maszyn umożliwiających statkom wykonywanie skoków metrycznych. - To któreś z tych?

- Nie tutaj. - Isaksson jak zwykle była świetnie zorientowana. - To tylko siłownia napędu systemowego, napęd gwiazdny i jego źródła mocy są w przedziale dziewiątym, o ile pamiętam.

- Pójdziemy tam potem? - spytał Polak.

- Nie, chyba że bardzo lubisz promieniowanie. Przedział napędu gwiazdnego to miejsce dla ludzi w ciężkim sprzęcie.

- Oczywiście w przypadku tego dostojnego statku - wtrącił się Van Reuters - zastąpiono go silnikiem z kosiarki. Sprawdza się doskonale.

- Twój brak entuzjazmu mnie powala - skwitowała jego słowa Isaksson, poklepując energicznie pancerną ścianę. - To całkiem sprawny okręt, zobacz tylko. Wszystko na miejscu.

- Szafka alarmowa jest rozbebeszona - odpowiedział Szczeniak, wskazując na niewielki schowek oznaczony jaskrawymi trójkątami międzynarodowych symboli. Drzwiczki były otwarte na oścież, ktoś umieścił na półce przenośny zestaw widowy, a na mocowaniach pod aparaty tlenowe zawiesił coś, co wyglądało na wyjątkowo niegustowny bandolier. - Świadomość, że w razie awarii załoga jest odcięta od sprzętu pierwszej potrzeby, zapewnia mi nieco adrenaliny, tak ważnej w nudnym locie.

- Nie przesadzaj, przecież dysponują sprzętem. Mają odtwarzacz, że już nie wspomnę o stroju pistolero. No i są pod bronią. - Wierzba wskazał na leżący obok techników karabinek i skrzywił usta w ironicznym uśmiechu. - Co tam próżnia, pożar czy jakieś drobiazgi. Dbają o to, co ważne: zabezpieczenie przed nudą oraz abordażem. Widać profesjonalizm.

- I przed marudnymi pasażerami - zaśmiała się radiooperatorka. - Ciebie załatwiliby bez trudu.

- Nie mam karabinu.

- Usprawiedliwienia są dla słabych.

W hali sekcji silnikowej jeden z techników, olbrzymi metys z vidtatuazem trupiej czaszki na szyi, rozsiadł się na rozkładanym ze ściany krzeselku i zaczął rozpakowywać

kanapkę. Teraz widzieli, że cały czas toczył ożywioną - i całkowicie z tej odległości niesłyszalną - rozmowę z brodatym kolegą o szerokich barach i w jaskrawej koszuli narzuconej na roboczy kombinezon. Szczęki widowej czaszki poruszały się równocześnie z ustami mężczyzny, a w głębi pustych oczodołów migotały czerwone ogniki.

- No dobra. - Szczeniak ukrył się nieco głębiej w korytarzu, którym przyszli. - Napatrzyliśmy się. To miało być to ciekawe zajęcie?

- Głupiś. - Iskasson wywróciła oczami. - To jeszcze jest nudne. Ciekawie będzie zaraz. Przyjrzała się uważnie ścianom, jednocześnie szybkimi ruchami otwierając przywieszoną przy biodrze torbę. Zmarszczone jasne brwi dziewczyny mocno kontrastowały z szelmowskim uśmiechem.

- Faza pierwsza: poszukiwania - oznajmiła.

- Chcesz sabotować okręt? - pierwszy wyraził powątpiewanie Wierzba.

- Gdzież tam znowu. - Wyraz twarzy Szwedki obudził w Wierzbie uczucie lekkiego niepokoju. - Zamierzam zapewnić nam rozrywkę. O, jest.

Zanim zdążyli zapytać, co dokładnie miała na myśli, przykucnęła przy ścianie i wydobyłym z torby śrubokrętem zaczęła szybko odkręcać jeden z kilku widocznych paneli dostępowych.

- Musisz kiedyś zacząć dzielić się swoimi planami przed wprowadzaniem ich w życie.

- Wierzbowski zerknął w stronę hali, ale dwójka techników nawet nie spojrziała w ich stronę.

- Wtedy jest mniej ciekawie - odparła Iskasson. Otworzyła ostrożnie panel i oparła go o ścianę, po czym wsadziła głowę w powstały otwór. - Wiecie, chodzi o efekt niespodzianki.

- Niespodzianka raczej w kategorii porcja czekolady czy sąd wojskowy? - rzucił Szczeniak, bez zakłopotania wpatrując się w tyłek pochylonej blondynki.

- W życiu nie naraziłabym cię na sąd wojskowy, słoneczko. - Głos Szwedki brzmiał głucho. - Powiedzmy, dyscyplinarka. Ha!

Wyraźnie zadowolona, dziewczyna wydobyła z otworu dość gruby kabel. Usiadła na podłodze po turecku i przez kilka chwil podziwiała znalezisko, a na jej twarzy malował się prawie dziecięcy zachwyty. Potem sięgnęła po ukryty w przyniesionym pakiecie krótki nożyk. Szybko rozłożyła ostrze i zaczęła rozcinać znalezisko.

- Faza druga: przygotowanie gruntu - powiedziała radośnie.

- Co dokładnie niszczymy? - chciał wiedzieć Wierzba.

- Nic nie niszczymy. - Radiooperatorka spojrziała na niego z wyższością. - Masz mnie za dyletantkę? Korzystamy tylko z faktu, że „Kuopio” jest de facto statkiem cywilnym.

- W jaki dokładnie sposób z tego korzystamy?

Tym razem nawet nie podniosła wzroku. Kilkunastocentymetrowy odcinek kabla został prawie całkowicie oczyszczony z warstwy ekranującej.

- Na dwa sposoby. Po pierwsze, coś takiego jak zabezpieczenie danych praktycznie nie istnieje w przypadku jednostek jednocześnie tak starych i cywilnych, więc kiedy wy się objajaliście, ja poznawałam ten wspaniały okręt poprzez cudowne medium sieci wewnętrznej. Po drugie, procedury bezpieczeństwa na statkach cywilnych są w proszku. Konstrukcyjne również. Poczytaj o nich trochę, a wiesz, gdzie się do czego dostać. Na przykład ten przewód - puknęła ostrożnie nożem w kabel - to łącze danych pomiędzy stanowiskiem dowodzenia a anteną średniego zasięgu, którą w tego typu transportowcach montuje się na rufie. Cały ruch informacyjny z pomostu bojowego na zewnątrz idzie tędy.

-... A tniesz to, ponieważ zamierzasz zostać piratem i nie chcesz, żeby załoga wezwała pomocy? - Szczeniak podrapał się po głowie.

Szwedka spojrzała na niego pobłaźliwie, po czym teatralnym ruchem wydobyła z torby przenośną konsolę i kilka kabli.

- Faza trzecia: korzyści. - Postukała paznokciem w plastikową obudowę i podłączyła kable do odsłoniętego łącza. Sprawnymi ruchami zatrzasnęła plastikowe klamry. - Teraz, moi drodzy, wasza przyjaciółka Camilla zapewni wam bezpośredni wgląd w łączność na linii „Kuopio” - wieża kontroli lotów. Prawie za darmo.

- „Prawie”? - Wierzba uniósł brwi.

- Możemy negocjować, kotku. - Sprawnymi ruchami podłączyła konsolę. - Możesz na przykład zagrać dla mnie w karty na wysokie stawki.

- Nie grywam w karty.

- Źle rozumiana moralność, mój drogi, popracuję jeszcze nad tobą. - Nie unosząc wzroku znad kabli, blondynka zdecydowanym ruchem wdusiła włącznik. - I, jak to mówią, voila.

Ekran konsoli przez chwilę tylko migotał, a potem zaczął wypluwać z siebie długie kolumny cyfr.

- To nazywasz rozrywką? - parsknął Wierzbowski.

- To na razie tylko telemetria nawigacji, każdy okręt w strefie kontrolnej Brestu ją przesyła. - Dziewczyna nie odrywała wzroku od wyświetlanych danych. - Dla ciebie, Wierzba, nie znaczą nic, ale osoba inteligentna może sporo z nich wyciągnąć.

- Na przykład? - zainteresował się Szczeniak.

- Na przykład gdzie lecimy.

- Co jest nam...

- Wieża do lotu 43-211, wieża do lotu 43-211 - wypłuł z siebie nagle niewielki głośnik konsoli. Marcin ostrożnie zerknął do maszynowni, ale żaden z techników nie oderwał się od swoich zajęć. - Zmień kurs na 180-0, prędkość marszowa.

- Prawdziwa łączność! - Choć szept Isaksson był całkowicie niesłyszalny, trudno było się nie domyślić, co mówi.

- Jeśli to jest rzadkość i wydarzenie, to nie wiem dlaczego myślałaś, że zwykły kanał nas zainteresuje - burknął Szczeniak, czym zasłużył na karcące spojrzenie. Dziewczyna położyła zdecydowanym ruchem palec na ustach i wskazała ruchem głowy na konsolę.

- 43-211 do wieży, jestem we wstępnej fazie podejścia do boi, mam przerywać? - zapytał ktoś na stanowisku łączności „Kuopio”.

- Wieża do 43-211, potwierdzam, przerwać podejście, zmienić kurs na 180-0 i przyjąć prędkość marszową - zażądał odległy o ponad dwie godziny lotu operator Brestu.

- Mam ważny ładunek, autoryzacja X-434-A.

- Zrozumiałem, 43-211, kurs 180-0, prędkość marszowa.

- Zrozumiałem, wieża, wykonuję.

- Chyba nigdzie nie lecimy - zauważyła Isaksson.

- Pewnie stwierdzono, że nie przesłuchali nas jeszcze kucharze i sprzątacze na Breście - dodał Van Reuters. Dwójka żołnierzy zachichotała jednocześnie.

- Jesteście wyjątkowymi optymistami - skrzywił się Marcin. - Nie sądzę, żeby to oznaczało dla nas cokolwiek...

Odgłos krótkiej serii rozdarł monotony szum maszynowni. Jeden, potem drugi. Momentalnie przyłgnęli do ściany. Ręce Polaka odruchowo sięgnęły do kabury i dopiero po sekundzie uświadomił sobie, że jej nie ma. Jedyнным uzbrojeniem trójki żołnierzy był nożyk radiooperatorki. Wierzbowski w myślach przeklął procedury transportowe.

- Kurwa, co jest? - syknął Szczeniak. Szeregowiec trzymał się za pustą kaburę, najwyraźniej będąc ofiarą tego samego odruchu co Marcin.

- Cholera wie. - Źrenice Isaksson były wielkie jak spodki. Szybkim ruchem wydobyła z torby małe lusterko ozdobione różowym, uśmiechniętym misiem i podała je Polakowi. - Wierzba?

Marcin uniósł brew, spoglądając na rysunek, ale nie skomentował. Ostrożnie przysunął się do rogu korytarza i powoli wysunął rękę z lusterkiem na wysokości kolan. Potrzebował chwili, żeby odnaleźć techników. A raczej jednego z nich.

Olbrzymi metys z trzymanym luźno karabinkiem obszedł zagradzającą mu drogę

część maszynierii i wystrzelił. Polak nie widział celu, osłoniętego przed nim wysoką konsolą techniczną, ale mógł się go domyślić.

- Większy technik wyjął mniejszego - rzucił cichym głosem, ciągle wpatrując się w wysokiego mężczyznę. Ten spokojnie podszedł do umieszczonego na stanowisku interkomu i powiedział doń kilka niezrozumiałych z daleka słów.

- Co teraz? - spytał Szczeniak. W głosie szeregowca dało się wyczuć napięcie. - Może spierdalajmy, zanim panu piratowi przyjdzie do głowy sprawdzenie korytarza?

- Na razie coś komuś melduje - mruknął Wierzba. Przez chwilę rozważał próbę przejścia karabinka, ale szybko zrezygnował. Podejście na tak małą odległość do metysa graniczyło z cudem, a sytuacja raczej nie wybaczała pomyłek. Brakowało mu Mgły. - Ale trzeba stąd spływać.

- Czekamy na coś?

- Owszem, nie wiemy, z iloma takimi jak on mamy do czynienia. - Marcin zmarszczył brwi. Metys poruszał się sprawnie i widać było, że z bronią obchodzi się zupełnie swobodnie. Kiedy tylko skończył meldować, ustawił się tak, aby móc widzieć wejście do maszynowni, i Polak musiał szybko cofnąć się w głąb korytarza. - Na amatora mi nie wygląda. Milla, podobno masz oblatany plan statku, gdzie tu można zniknąć?

- Zaraz... - Isaksson na moment przymknęła oczy. - Możemy ukryć się tutaj w duktach technicznych, ale zamknie nas to w maszynowni. Możemy też próbować przebić się do naszych.

- I myślicie, że ich tam nie ma? - skrzywił się Szczeniak.

- Pewnie są, ale jest tam też broń tego sierżanta i jego flirtującej na prawo i lewo koleżanki - zauważyła Szwedka. - Jak dobrze pójdzie, to oni sami też.

- Tia. - Szczeniak był wyraźnie sceptyczny. - Dopniemy się do pozostałych i razem zadamy bobu tym tutaj.

- Pozostali byli ich głównym celem - zaprotestował Marcin. - Jeśli zamierzamy cokolwiek zrobić, powinniśmy zostać w maszynowni.

-... Ponieważ zgubiłeś tu swoje karty? Co dokładnie chcesz zrobić? - zapytał wreszcie Van Reuters.

- Optymalnie uszkodzić silnik. - Wierzba podrapał się po nosie. - Tak, żeby nasza flota nas dopadła. Jak skoczymy, może być po zabawie.

- Mnie przekonał - powiedziała nagle Isaksson. - Jestem za zostaniem tutaj.

- Ponieważ postanowiłaś zostać bohaterką? - burknął urażony Szczeniak.

- Ponieważ - odparła Isaksson cicho - jeśli „Kuopio” skoczy i będziemy poza polem

Kuznietzowa, to i tak nie będzie co z nas zbierać.

Baza Marynarki Wojennej Brest, system Jawa, 16.02.2212 ESD, 12:13

Przydzielony wahadłowcowi „Krakena” dok był przestronny i cichy, nie licząc systemów kontroli środowiska, rozpoczynających pompowanie powietrza, kiedy tylko potężne pancerne wrota zamknęły się za lądującą maszyną. Przez przezroczysty kompozyt oddzielający komitet powitalny od komory lądowiska dało się zobaczyć pracujących wokół promu ludzi z obsługi technicznej.

- Sądziłam, że zdrowa paranoja Dowództwa Operacji Specjalnych nie pozwoli panu dopuścić technicznych do naszych gości. - Głos Lafayette był miękki i cichy, choć pobrzmiwały w nim delikatne nuty ironii.

- Nie pozwoliła. - Brisbane zmusił się, żeby na nią nie spojrzeć. Był niemal pewien, że komandor jest odrobinę bliżej, niż nakazywał protokół. Za mało, żeby miało sens zwrócenie jej uwagi. Wystarczająco, by delikatnie przesunąć granicę. - Wszyscy są z miejscowej komórki wywiadu.

- Och - zaśmiała się cicho. - Nie doceniłam pana.

- Kiedyś powinniśmy porozmawiać - rzucił konwersacyjnym tonem, nadal obserwując krzątanie sylwetek w skafandrach. - Przede wszystkim na temat spojrzenia Sztabu na tę operację.

- Z radością - odparła Lafayette. - Dziś wieczorem?

- Bardzo zabawne.

- To ja żartowałam?

- Jeszcze nie wiem.

William Brisbane nie mógł nie doceniać komandor. Lafayette była niezwykle sprawna w swoim fachu, a jej styl bycia stanowił doskonałą broń - wybijał większość oponentów ze strefy komfortu i zmuszał do gry na warunkach urokliwej Francuzki. Kobieta była też jedną z bardzo niewielu osób, o których Brisbane wiedział na pewno, że nie zawetuje koronkowej i skrajnie niebezpiecznej operacji, którą planowało Dowództwo Operacji Specjalnych. Dlatego zresztą jego przełożony, generał Solskjaerd, pociągnął za wszystkie dostępne mu sznurki, żeby to właśnie Lafayette została przysłana jako oficer łącznikowy. Brisbane bardzo szanował przeciwniczkę i nawet trochę żałował, że taniec z nią dochodził właśnie do ostatnich kroków.

- Sierzancie? - rzucił krótko, nadal nie odwracając się od przezroczystej płyty, oddzielającej go od doku.

- Sir? - Cross zrobił dwa całkowicie bezgłośne kroki i stanął obok przełożonego.

- Oczekuję pańskich ludzi wewnątrz, kiedy tylko ciśnienie się ustabilizuje.

- Tak jest. - Komandos skinął głową.

Brisbane pozwolił sobie na lekkie skrzywienie ust wyrażające dezaprobatę. Zmiana ekipy technicznej, kontrola doku, a teraz oddział komandosów z oesów. Konieczność stosowania aż takich środków ostrożności na własnej stacji zdecydowanie nie była powodem do zadowolenia. Niestety, o sprawności wywiadu Imperium wiedział aż za dobrze. A ich gość, jeśli dane, które otrzymał, były zgodne z prawdą, stanowił obecnie jedną z najskuteczniejszych broni Unii.

Konradmirał Nijał Kuerten był wysokim, bardzo szczupłym mężczyzną, na oko gdzieś pod koniec czwartej dekady życia. Nieco przekraczające dopuszczalną regulaminem długość włosy wydawały się poza wszelką kontrolą właściciela, a chude ręce ledwo dostrzegalnie drżały. Na przemian zaciskane i rozprostowywane palce potęgowały wrażenie nerwowości, które jednak zniknęło całkiem, gdy zwróciło się uwagę na jego oczy. Jednolicie szare, skupione jak u polującego kota, od chwili opuszczenia wahadłowca przesuwały się pomiędzy Brisbane'em a towarzyszącą mu Lafayette. To nie było spojrzenie nerwowego człowieka. Razem z nim z wahadłowca wysiadł drugi oficer, blady brunet o posturze akrobaty i pociągłej twarzy.

- Admirale. - Pułkownik skinął głową na powitanie. - Cieszymy się, że pan przybył. To komandor Sophie Lafayette ze sztabu sektora.

- Komandor Delanov jest dowódcą „Krakena”. - Ledwo dostrzegalnym ruchem dłoni gość wskazał towarzyszącego mu mężczyznę. - Jak rozumiem, ma pan zajęcie dla mojej eskadry?

- Mam dla pana o wiele więcej. - Brisbane uśmiechnął się lekko. - Tymczasem, jeśli pan pozwoli, proszę za mną. Jest wiele kwestii do omówienia.

- Oczywiście. - Wzrok Kuertena przeniósł się gdzieś ponad ramię pułkownika. - Choć, jak widzę, nie dane nam będzie porozmawiać od razu.

Brisbane obrócił się, w samą porę, żeby zobaczyć, jak Cross zastępuje drogę podbiegającemu żołnierzowi. Ten zatrzymał się natychmiast i przez chwilę cicho mu coś tłumaczył, co jakiś czas wskazując na śluzę prowadzącą do centralnej części Brestu. Komandos kiwnął głową i szybkim krokiem podszedł do pułkownika. Oficer uśmiechnął się przepaszająco do pozostałych i zwrócił w stronę sierżanta.

- Sir. - Cross zatrzymał się kilka kroków od grupki. - Wieża zawiadamia, że „Kuopio” przestało odpowiadać na wezwania.

- Problemy techniczne?

- Kontrola lotów wydała im kilka razy wyraźny rozkaz. Zerwali łączność, idą pełnym

ciągami na boję.

- Nie można ich zatrzymać?
- Patrol systemowy jest w drodze, ale nie wiadomo, czy zdążą.
- Doprawdy, idealnie. - Pułkownik westchnął ciężko i dłonią przyczesał powoli włosy.
- Dziękuję, sierżancie.

Pozwolił sobie na kilka sekund ciszy, zanim zwrócił się do czekającej Lafayette i dwójki mężczyzn.

- Proszę państwa - powiedział wreszcie. - Nastąpiły pewne komplikacje.
- Poważne? - Francuzka uniosła brwi.
- To się dopiero okaże. - Brisbane spojrział na Kuertena. - Admirale, wygląda na to, że zobaczymy pańskich ludzi w akcji szybciej, niż myśleliśmy.

EUS „Kuopio”, system Jawa, 16.02.2212 ESD, 12:24

Dukt techniczny „Kuopio” pachniał kurzem, smarem i nadpalonymi obwodami elektronicznymi. Sprawiał wrażenie, jakby nikt nie zaglądał tu od dawna, i trudno się było dziwić - w ciasnocie nawet czołganie się sprawiało pewne trudności. Na szczęście podczas któregoś z remontów transportowca wymieniono większość krat oddzielających go od korytarza na tańsze płyty kompozytowe. Rozwiązanie to co prawda sprawiało, że wokół było zupełnie ciemno, ale przynajmniej nie dało się zajrzeć tu z zewnątrz.

- Ponawiam sugestię, żebyśmy spróbowali dotrzeć do reszty. - Szept Van Reutersa odbijał się od kompozytowych ścian, tworząc dziwne pogłosy.

- Ponawiam veto - zawtórował mu głos Wierzy. - Obstawiam, że załoga „Kuopio” raczej była świadoma obecności żołnierzy w swojej komorze pasażerskiej.

- Dziwię się, że nie jest świadoma ich tutaj. System kontroli środowiska powinien wyłapywać choćby zużycie tlenu, nie?

- Nie wiem, czy się orientujesz - wtrąciła Isaksson, której słowa niosły się echem w ciasnej przestrzeni duktu - ale ten frachtowiec ma dość daleko do idealnej sprawności. Jestem gotowa przyjąć, że tutejsza kontrola środowiska ma walnięte trackery. Albo w ogóle rozmontowane, bo przypadkiem wiem, że czujniki składu atmosfery dobrze się nadają do próbników chemicznych.

- Czerpiemy zyski z tego, że flota składa się z bandy cwaniaków?
- Coś w tym rodzaju.
- Swoją drogą, nie słyszeliśmy strzałów - powiedział Szczeniak z nadzieją w głosie. - Nasza dzielna eskorta chyba nadal żyje.
- Nie słyszeliśmy strzałów, bo byliśmy w maszynowni, spory kawałek od nich. W

dodatku w dość hałaśliwym miejscu - stwierdził Marcin. - Mogli sobie poradzić, mogli nie. Jeśli sobie poradzili, nie potrzebują nas. Jeśli nie, tylko wpakujemy się w kłopoty.

włazu?

- A teraz w nich nie jesteśmy? - parsknął Szczeniak. - W ogóle daleko jeszcze do - Jeśli dobrze pamiętam, to jakieś trzydzieści metrów. - W głosie prowadzącej Isaksson zabrzmiały nuty niepewności. - O ile nie zaspawali go dla oszczędności. Chcecie latarkę?

- Nie, nie ma co ryzykować.

Kiedyś zapewne zamknięty w ciemnym tunelu Wierzbowski miałby problem z oceną odległości. Ale New Quebec nauczyło go mniejszego polegania na zmyśle wzroku. Ograniczona kompozytem ciemność była w gruncie rzeczy łatwiejsza od Mgły na bagnach, jeśli opanowało się już lekkie uczucie klaustrofobii. Tu przynajmniej nie mogli zgubić drogi. W dodatku nie musieli czołgać się idealnie cicho - głośny szum maszynowni doskonale maskował pojedyncze szurnięcia i okazjonalne przekleństwa Szczeniaka. Inną rzeczą było tempo. Tunel został co prawda zaprojektowany tak, by na czas prac mógł pozostać otwarty od góry, ponieważ jednak nie było im dane skorzystać z tej opcji, właściwie tylko drobna Isaksson poruszała się w nim w miarę sprawnie, a Szczeniak i Wierzba musieli używać dłoni i stóp.

Zanim dotarli do włazu, minęła chyba wieczność.

- Mam pewną myśl - mruknął zdyszany Szczeniak, kiedy radiooperatorka ostrożnie wystawiła nad poziom podłogi najpierw dłoń z lusterkiem, a potem głowę. - Skoro te płyty da się podnieść, czemu leżliśmy jak głupi aż tutaj?

- Da się je podnieść, po tym jak je odkręcisz od góry.

- Ach.

Szwedka tymczasem wysunęła się z włazu i na chwilę zniknęła obu mężczyznom z oczu. Po kilku sekundach w jasnym otworze pojawiła się jej głowa.

- Wyjście czyste, ale przy konsolce jest dwójka - powiedziała szeptem. - Gość z tatuażem i nasz przykurzony oficer medyczny. Obaj z bronią.

- Wycofuję się z tezy, że nasi dali sobie radę - skomentował ponuro Van Reuters.

- Jeśli trzymasz stanowisko dowodzenia, masz całkiem sporo możliwości - zauważył Wierzbowski. - Mogli ich choćby zagazować. Proste i czyste.

- Urodziłeś się, żeby być piratem - odparł Holender z udawanym podziwem. - A teraz wyłaż z tej dziury albo pozwól wyjść innym.

Pamięć nie myliła Isaksson i otwarty właz duktu znajdował się w miejscu dość dobrze osłoniętym przed wzrokiem obu przeciwników. Zresztą i tak tylko były oficer medyczny

zachowywał względną czujność - olbrzymi metys skupił się na manipulacjach przy słuchawkach komlinka. Po chwili grzebania przy zestawie rzucił coś krótko do mikrofonu i przeszedł do pulpitu kontrolnego. Ogromne łapska z zaskakującą płynnością przeskakiwały od konsoli do konsoli. Wierzbowski, umiejscowiony pomiędzy pierwszym w długim rzędzie przekaźnikiem mocy a wysokim, cylindrycznym systemem przeciwpożarowym obserwował dwójkę mężczyzn. Wyższy technik odłożył swój karabinek, ale w żadnym momencie nie znajdował się dalej niż dwa kroki od niego. Ten, który przedstawił się jako oficer medyczny, stał plecami do ściany, obserwując zarówno wejście do maszynowni, jak i samą halę. Trwało to może kilka chwil, kiedy nagle hałas panujący w pomieszczeniu wzmógł się raptownie. Kilka wskaźników na urządzeniu, przy którym ukrywał się Polak, gwałtownie przeszło w żółte pole.

- Idziesz? - usłyszał nagle przy samym uchu głos Isaksson. - Czy będziesz się gapił?

- Myślę, że przyspieszyliśmy. - Wierzba postukał palcem w osłonę indykatora. Obudowa przekaźnika mocy była wyraźnie cieplejsza.

- Wiesz, chłopaki właśnie porwały okręt pod samym Brestem - zauważyła Szwedka. - Prawdopodobnie pół floty systemowej nas goni.

- Nie mogą po prostu wyłączyć boi skokowej? - Wierzba ostrożnie wycofał się za potężne urządzenie. - Ten wrak chyba nie skoczy nigdzie sam.

- No raczej nie. Ale podobnie sama nie skacze cała masa transportów zaopatrzeniowych Brestu. - Dziewczyna przejechała drobną dłonią po karku. Jasne włosy podskoczyły zabawnie. - Wyłączenie boi na zimno to potem miesiąc stawiania. Już prędzej nas zestrzelą.

- Optymistyczna myśl.

- Taa. - Poklepała go po ramieniu. - Ale nie martw się, nie pozwolę im cię tknąć. Pokażę ci, co znalazłam.

- Coś fajnego?

- Nawet nie masz pojęcia.

Śluza była koszmarnie brudna i na wpół zastawiona stosem nieoznakowanych płaskich paczek. Zresztą nawet gdyby lśniła czystością, niewiele by to zmieniło. Prawie nic nie działało. Drobną Szwedka musiała reanimować martwy panel kontrolny przy użyciu wydobytej z bezdennej chyba torby baterijki. Niewyraźny napis „... psuła... kowa 4” ledwo przebijał się przez warstwę ciemnego osadu. Obok stała niedomknięta szafka z przykurzonymi skafandrami. Dowolny inspektor mógłby uziemić „Kuopio” trzy razy, nie oglądając na nim nic poza tym miejscem. Marcin nie potrafił sobie wyobrazić, że w razie

prawdziwej potrzeby ktokolwiek zdąży się dostać do kapsuły w porę. Nawet Isaksson, której niemal żaden zamek elektroniczny nie był w stanie stawić oporu, otwarcie niewielkiej śluzy zajęło dobre dwie minuty. Na szczęście wewnątrz stateczku robiło lepsze wrażenie niż przejście do niego.

- Dobra nasza. - Szczeniak wsadził głowę do środka przez oboje drzwi śluzy. - Miejsca na pięć osób.

Wierzbowski przez chwilę dał się opanować uczuciu ulgi. Kapsuła była w pełni autonomicznym modułem, z własnym silnikiem i łącznością. Taki statek jak „Kuopio” nie miał możliwości jej ścigać. Bezpieczne wyjście... Dla ich trojga.

- Bez znaczenia - powiedział ledwo słyszalnie.

- Będzie można się powylegiwać, półtora miejsca per osoba... - Isaksson uśmiechnęła się promiennie.

- Bez znaczenia. - Tym razem Polak mówił głośniej.

- Nie wiem jak ty, ale ja lubię komforto... - Van Reuters obrócił się do kolegi i urwał w pół słowa. Jego radosny uśmiech zniknął jak zdmuchnięty. - Nie lecimy, co?

- Chcecie, to lećcie. - Marcin patrzył w podłogę. Przez głowę przepływały mu obrazy miesięcy na Bagnie, niezliczonych sytuacji, kiedy poległ na kolegach z oddziału. - Ale póki co, jesteśmy jedyną szansą reszty drużyny.

Przez chwilę dwójka pozostałych żołnierzy milczała. Van Reuters kilkakrotnie próbował zacząć zdanie, ale za każdym razem kończyło się na krótkim westchnieniu. Marcin zresztą świetnie wiedział, jakie Szczeniak mógł wysunąć argumenty. I że były one słuszne. W końcu szanse na pomoc pozostałym mieli niewielkie. W samej maszynowni widzieli dwie osoby, co oznaczało, że agresorów jest przynajmniej trzech. Na pewno nie cała załoga była po ich stronie, a na „Kuopio” znajdowało się przecież zaledwie kilku ludzi. Skoro fałszywy medyk był tutaj, to znaczy, że nie musiał pilnować jeńców, więc są oni albo martwi albo, co bardziej możliwe, wpakowani do hibernatorów, żeby nie robili problemów. Procedura ich wypakowania trzem osobom zajmie pewnie z pół godziny. Trudno było zakładać, że przez ten czas obronią się przed napastnikami, którzy unieszkodliwili ich uzbrojonych i wyszkolonych strażników. W dodatku oprócz noża Isaksson nie mieli żadnej broni.

Tysiąc powodów, żeby uciekać, a w zderzeniu z nimi jedynie instynkt drapieżnika polującego w oparach Mgły. I mającego swoją watahę.

- Nie jestem przekonany, czy czuję gotowość, żeby zostać bohaterem - skrzywił się Szczeniak. - Ale rozumiem, że nie zmienisz zdania.

- Wierzba, pomyśl o szansach - próbowała argumentować Isaksson. - Jest sens tu

ginać?

Marcin kiwnął ze zmęczeniem głową. Trudno było nie zrozumieć ich racji. Weiss powiedziałby mu dokładnie to samo. I Thorne, i porucznik Cartwright. Cholera, Niemi i Sokole Oko też. Każdy członek oddziału, gdyby mógł mu teraz doradzać, użyłby tych samych słów, co Szczeniak.

Inna sprawa, jak by się zachowali w takiej sytuacji.

- Milla, zostaw mi swoją magiczną torbę - powiedział cicho. - I zmykajcie. Ja zobaczę, co da się zrobić.

Baza Marynarki Wojennej Brest, system Jawa, 16.02.2212 ESD, 12:29

Wieża kontrolna bazy floty zachowała tradycyjną nazwę, choć sala kontroli przestrzeni Brestu znajdowała się głęboko w trzewiach kadłuba stacji. Jako jedno z najważniejszych miejsc w bazie była też nie tylko zabezpieczona pancernymi drzwiami zdolnymi zatrzymać prawdopodobnie nawet czołg, ale też zawsze pilnowana. Czwórka strażników w pełnym oporządzeniu zastąpiła drogę nadchodzącym oficerom i eskortującemu ich oddziałowi Crossa.

- Sierżancie, proszę zostać - rzucił Brisbane, nie zatrzymując się, tylko rzucając bliższemu strażnikowi identyfikator. Ten zgrabnie złapał go i umieścił w czytniku. Pozytywne rozpoznanie zamigotało na niewielkim ekraniku w samą porę, żeby mógł oddać plastikową kartę mijającemu go pułkownikowi. Drugi z wartowników zdjął rękawicę, przyłożył dłoń do umieszczonego tuż przy drzwiach czytnika i sekundę później pancerne wrota rozsunęły się, wpuszczając Brisbane'a i pozostałych do wieży.

Skąpane w czerwonych światłach alarmu pomieszczenie przywodziło na myśl wnętrze ula. W powietrzu krzyżowały się meldunki. Operatorzy wszystkich sześciu stanowisk łącznościowych toczyli nerwowe dyskusje ze swoimi odpowiednikami na odległych okrętach eskadr patrolowych, odpowiadający za sensory zgłaszali raporty z rozrzuconych po systemie boi, ktoś z nawigacji zgłaszał gotowość do wygaszenia boi skokowej. Dwójka oficerów obsługujących systemy strefy śmierci, czyli niemożliwie gęstej siatki pól minowych i platform defensywnych wokół samego Brestu, w milczeniu wpatrywała się w holograficzną projekcję wyświetlaną przy ich stanowisku. Ponad setkę zaznaczonych tam systemów obronnych otaczała jasna poświata obszaru kontrolowanego przez aktywne sensory. Na olbrzymim wyświetlaczu taktycznym jasne punkty okrętów ryły w ciemności tunele, a za czerwono błyszczącym symbolem „Kuopio” sunęła ława ścigających go niszczycieli. Pośrodku chaosu na lekkim podwyższeniu stanowiska oficera dowodzącego stał komandor Vladimir Monteanu. Niski, łysiejący mężczyzna z dość wyraźnym brzuszkiem i słuchawkami

komunikatora na głowie był ostatnią osobą, którą można by podejrzewać o charyzmę, jednak z jakiegoś powodu w jego pobliżu chaos wydawał się mniejszy. Komandor przechadzał się wzdłuż mapy, co kilka sekund zatrzymując się i wydając zgrzytliwym i nieprzyjemnym, ale jednak spokojnym głosem rozkazy oficerom przy kolejnych stanowiskach. Kiedy tylko grupa Brisbane'a wkroczyła do pomieszczenia, Monteanu natychmiast zwrócił się ku nim.

- Sir. - Zasalutował szybko Kuertenowi, który w odpowiedzi leniwie uniósł dłoń do czoła. W stronę Brisbane'a rzucił tylko pełne wyższości spojrzenie. - Vladimir Monteanu, dowódca Dyżurnej Służby Operacyjnej wieży.

- Co dokładnie się dzieje, komandorze?

- Osiem minut temu transportowiec „Kuopio” w drodze do boi skokowej Baker nie wykonał rozkazu zmiany kursu, a następnie zerwał łączność i zwiększył ciąg. Szacujemy, że wykona skok w ciągu dziewięćdziesięciu minut. Potrzebuję pańskich okrętów.

- Moich okrętów. - Kuerten spojrzał na niego z wyraźnym zainteresowaniem. - Rozumiem, że istnieje powód, dla którego patrole sił systemowych są bezużyteczne?

- To kwestia pozycji, sir. - Jeśli nawet Rumun dostrzegł ironię w głosie kontradmirała, postanowił ją zignorować. - Nasze niszczyciele nie dojdą na odległość salwy w dostępnym czasie.

Podążający jak cień za kontradmirałem Delanov parsknął cicho. Opinię dowódcy „Krakena” o planie patrolowym niszczycieli floty systemowej można było w tej chwili wyczytać z jego twarzy. Monteanu jednak nie zwracał na niego uwagi.

- Według naszych danych niszczyciele „Łowczyń” i „Echo” znajdują się w sektorze najbliższym trasy ucieczki transportowca. Niestety - oficer zrobił wiele, żeby ukryć irytację, ale bez wyraźnego sukcesu - ich dowódcy odmawiają wykonania moich poleceń bez autoryzacji pańskiej lub wyższej.

- Rozumiem, że aby ją uzyskać, czekał pan, aż tu przyjdę?

- Absolutnie nie. - Okrągła jak księżyc w pełni twarz Monteanu emanowała oburzeniem. - Wysłałem prośbę o kody dowódcze do komendanta stacji, ale zwykle czeka się na nie do pięciu minut. Pan przyszedł wcześniej, więc teraz proszę o nie pana.

Kuerten wymienił pełne aprobaty spojrzenia z Delanovem, a następnie zwrócił się do Rumuna.

- Potrzebuję łączności bezpośredniej z „Łowczynią” - powiedział, sięgając do zawieszzonego na szyi identyfikatora transmisji. - Najlepiej, w miarę możliwości, z pańskiego stanowiska dowodzenia.

- Naturalnie, sir. - Oficer cofnął się o pół kroku. - Proszę ze mną. Pułkowniku...

Brisbane westchnął cicho. Monteanu najwyraźniej należał do tej grupy oficerów floty, która nie przepadała za Dowództwem Operacji Specjalnych. Milcząca Lafayette ukryła złośliwy uśmiech.

- Na transportowcu, który wam się wymyka, są moi ludzie. Z tego względu pozwolę sobie egzekwować przyznane mi przez dowódcę Brestu prawo do przebywania w wieży kontrolnej.

- Mhm - mruknął Rumun, posyłając mu pełne niechęci spojrzenie, po czym bez słowa obrócił się i ruszył w stronę centralnej części pomieszczenia, gdzie przy nieco mniejszej kopii głównego wyświetlacza taktycznego i dwóch pomocniczych konsol pracowała dwójka jego ludzi.

Byli już niemal na miejscu, kiedy jedna z nich, niska porucznik o ściętych przy samej skórze rudych włosach, poderwała się i jakby zapominając, że nosi komunikator, zwróciła się do komandora.

- Sir - zameldowała szybko. - Stanowisko sensorów melduje, że „Kuopio” odstrzeliła kapsułę ratunkową.

Brisbane odruchowo spojrzął na wyświetlacz i rzeczywiście - obok otoczonego czerwonym czworobokiem ideogramu reprezentującego transportowiec pojawił się drugi kontakt, emitujący tak silne echo na wszystkich czujnikach, że musiał być stateczkiem ewakuacyjnym.

- Jaki jest oczekiwany czas podjęcia? - spytał Monteanu, pozwalając, żeby Kuerten wyminął go i zainstalował identyfikator transmisji w niewielkim otworze zestawu łącznościowego.

- Pięćdziesiąt mi... - zaczęła kobieta, ale nagle przerwała i przycisnęła dłoń do słuchawki. - Sir, mamy jednostronny przekaz z kapsuły.

- Co mówią?

Porucznik spojrzała wymownie na Brisbane'a i Lafayette. Rumun skrzywił się niemiłosiernie, lecz dał podwładnej znak dłonią, by kontynuowała.

- „Kuopio” przejęty przez część załogi. Obecność innych sił na okręcie możliwa, ale nie ma na nią potwierdzenia - relacjonowała kobieta. - Na wolności na pewno trzy osoby. Reszta, oddział porucznik Cartwright wraz z eskortą, prawdopodobnie schwytana.

Pułkownik zaklął cicho. Pozostali oficerowie spojrzeli na niego pytająco.

- „Kuopio” przewozi osoby posiadające dane, które mogę określić jedynie jako bardzo wrażliwe - wyjaśnił ponuro. - Planem był transfer ludzi porucznik Cartwright do izolowanej placówki, gdzie mieli pozostać aż do zakończenia aktualnie przeprowadzanej operacji.

- Jak wrażliwe? - spytała cicho Lafayette, ledwo słyszalna w panującym w pomieszczeniu gwarze.

- Ich przechwycenie przez wroga może nam bardzo utrudnić życie - odparł pułkownik.

- Na tyle, że nie wolno nam na takie przejście pozwolić.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Kuerten podszedł do wyświetlacza taktycznego i uważnie mu się przyjrzał.

- Co z wyłączeniem boi?

- Jeśli zaczniemy teraz, możemy to zrobić przed ich wejściem na pozycję do skoku - odparł natychmiast Monteanu. - Ale to oznacza, że pozostanie nieaktywna co najmniej cztery tygodnie. Przez Baker idzie siedemdziesiąt pięć procent naszego ruchu zaopatrzeniowego.

- Jeśli nie ma innych opcji... - mruknął Delanov.

Brisbane pochylił głowę i zaplótł dłonie na karku. Przez chwilę stał nieruchomo.

- Są inne opcje - powiedział wreszcie. - Admirale Kuerten?

- Słucham. - Oficer odwrócił się na moment od kontemplowanego wyświetlacza. Zmarszczone czoło i lekko nieobecny wyraz twarzy sprawiały wrażenie, jakby został wyrwany z głębokiego snu.

- „Kuopio” nie może opuścić systemu - powiedział pułkownik powoli, akcentując każde słowo. - To ekstremalnie ważne. Jako że nasze jednostki patrolowe są zbyt daleko, zwracam się z tym do pana. Ze strony Dowództwa Operacji Specjalnych mogę uzyskać odpowiednią autoryzację, abym miał prawo panu wydać takie polecenie. Czy muszę?

- Nie. - Kuerten potarł dłonią błądy policzek. - Wierzę, że może pan zdobyć właściwy papier. Jak ważni są ci ludzie? Ci na „Kuopio”?

- Są ważni dla wrogów - odparł Brisbane. - Nie chcę ich śmierci, ale jestem na nią gotowy, bardziej niż na zagłodzenie tej bazy.

Monteanu parsknął. Prawdopodobnie słowa pułkownika idealnie pasowały do powszechnego obrazu oesów. Kuerten przez dłuższą chwilę patrzył na pułkownika nieruchomym wzrokiem, wreszcie skinął głową.

- Rozumiem powagę sytuacji - rzekł. - Komandorze Monteanu, pozwolę sobie skorzystać z pańskiego stanowiska.

- Tak jest, sir. - Rumun zaszalutował. - Moja DSO jest do pańskiej dyspozycji.

- Bardzo się cieszę. W takim razie potrzebuję jak najwięcej informacji o „Kuopio” i samym transporcie. A także rozkładu lotów na najbliższe siedem godzin. I trasy patrolowe naszych jednostek. Komandorze Delanov?

- Sir?

- Proszę przejąć łączność z naszymi jednostkami. Bierzymy się do roboty.

EUS „Kuopio”, system Jawa, 16.02.2212 ESD, 12:47

Polak wychylił się zza osłony dudniącego urządzenia oznaczonego jako „tarcza pierwszego rzędu”. Stojący samotnie przy konsolce kontrolnej maszynowni domniemany oficer medyczny toczył teraz ściszoną rozmowę przez komlink. Jednocześnie lufa trzymanego przezeń karabinka przesuwiała się bez przerwy, mierząc to w wejście do hali, to pomiędzy maszyny. Metys tymczasem sprawdzał alarm wywołany wystrzeleniem kapsuły, lecz ze swojej pozycji Polak nie mógł go zobaczyć.

- Pilnuje się, sprytny chłopak - mruknął Szczeniak, kucając obok Marcina. - Wybraliśmy sobie niewłaściwy cel.

- Tia. - Wierzba skrzywił się. - Pan medyk jest niepokojąco profesjonalny.

- Mamy jakieś dziewięćdziesiąt procent, że to czyjeś specopy. Oni miewają tendencje do profesjonalizmu, wiesz.

- Owszem - zgodził się Polak. - Trzeba było spróbować wyjąć metysa.

- Uczciwa pomyłka, nic nie poradzisz. Spadamy.

Szczeniak wydawał się wręcz pogodny. Wierzbowski musiał zresztą sam przed sobą przyznać, że kolega zaskoczył go już w momencie, kiedy nie zdecydował się uciec kapsułą ratunkową. Nie dlatego, że miał go za tchórza - po prostu argumenty zarówno jego, jak i Isaksson trafiały w dziesiątkę. On też nie uważał, że pozostanie było mądrym pomysłem, po prostu czuł, iż musi spróbować coś zrobić. Zakładał jednak, że inni mogą być bardziej racjonalni, i choć po cichu liczył na zamięłowanie Szwedki do ryzyka, Van Reuters jego zdaniem posiadał właściwie skalibrowany instynkt samozachowawczy.

Cofali się w stronę duktów, kiedy dotarła do nich Isaksson.

- Metys wraca, musiałam zmykać - poinformowała. - Gość wygląda na niebezpiecznego. Rozumiem, że lekarz nadal ma się dobrze?

- Nie było okazji. - Marcin rozłożył ręce. - Pilnuje się.

Potężny metys podszedł tymczasem do konsolki i powiedział coś do medyka. Tamten kiwnął głową, rzucił kilka słów do komlinka i przerwał połączenie, a potem usiadł w jednym z foteli przy konsolce. Mimo pozornego rozluźnienia, jak zauważył Wierzba, obaj zajęli pozycje umożliwiające obserwację całego otoczenia.

- No, to by było na tyle, jeśli chodzi o rozdzielenie celów - burknął Van Reuters, przesuwając się pomiędzy dwiema osłonami. - Zaczynam żałować, że nie siedzimy w tej kapsule.

- Oboje wiemy, że Wierzba by tylko wszystko zepsuł.

- Mogliśmy też jej nie wystrzelić - zauważył. - Mielibyśmy plan rezerwowy.

- Jeśli uważasz, że teraz są czujni - odpowiedział mu Wierzba - wyobraź sobie, jacy byliby podminowani, gdyby wiedzieli na pewno, że gdzieś tu szwenda się trójka superelitarnych żołnierzy piechoty kolonialnej. W dodatku jeden z nich to sam Szczeniak. Milla, znalazłaś miejsce, gdzie możesz się niezauważenie podpiąć?

- Znalazłam miejsce, gdzie mogę spróbować. - Isaksson uśmiechnęła się wesoło, wskazując na widoczne pomiędzy maszyną pomocnicze gniazdo techniczne, może trzydzieści metrów od nich. - Potem to tylko sprawa między mną a ich systemem bezpieczeństwa.

Wierzbowski spojrzał pomiędzy maszynami na dwóch przeciwników. Trudno było powiedzieć, czy faktycznie są bardziej rozluźnieni, niż byli wcześniej. Z drugiej strony, doświadczenie, które wyniósł z obserwacji wartowników na Bagnie, podpowiadało, że takie rzeczy zawsze zajmują chwilę. Potrzeba przynajmniej kilkunastu minut, by wcześniej oczekujący kłopotów wartownik ochłonął i zaczął tracić czujność. Zapewne nawet więcej, jeśli wspomnianym wartownikiem jest komandos wysyłany do zajmowania statków za liniami wroga. Poświęcenie kapsuły miało procentować w inny sposób - teraz potencjalna dywersja nie będzie od razu uznana za pułapkę. Po krótkiej obserwacji zarówno metysa, jak i lekarza wiedział jedno - walka z żadnym z nich nie miała najmniejszego sensu.

Pokonanie trzydziestu metrów do wskazanego przez Szwedkę stanowiska zajęło im dobre kilka minut, a i to częściowo dzięki nieustannemu szumowi wypełniającemu halę. Cały czas trudno było Wierzbowskiemu pozbyć się świadomości, że napastnicy najpewniej mają masę innych jeńców, na tyle wielu, by nie próbować brać żywcem trójki uciekinierów ukrywających się w obecnie chyba najważniejszym punkcie transportowca. Ale prawdziwa trudność czekała ich dopiero na miejscu.

- Noż, cholera. Nic nie może być proste? - Isaksson uderzyła otwartą dłońią w metalową ścianę, uważając jednak, żeby nie robić zbyt wiele hałasu. Wierzba odruchowo spojrzał w stronę konsoli, gdzie przebywali obaj przeciwnicy, ale na szczęście z tego miejsca była ona niewidoczna, oddzielona wzmacniającą konstrukcją maszynowni kompozytowym żebrami i czarnożółtym tunelem kryjącym grube jak męskie ramię przewody. Kolorowe oznaczenia zupełnie nic Wierzbowskiemu nie mówiły, ale trudno było nie odgadnąć znaczenia symbolu dwóch błyskawic na obudowie tunelu. Szczeniak tymczasem przyglądał się z namysłem gniazdu, zaślepionemu i odciętemu od sieci prawdopodobnie dosyć dawno. Po krótkiej chwili on i Wierzbowski popatrzyli po sobie z całkowitym niezrozumieniem.

- To tylko śrubki i odcięcie zasilania, nie? - powiedział wreszcie Holender, niepewnie

drapiąc się po głowie. - Łacza danych nadal raczej tam są, więc wystarczy to uruchomić.

- Kotku... - Szwedka spojrzała na kolegę z politowaniem. - Jak będę kiedyś potrzebowała szacowania trudności czegoś z twojego departamentu, jak narzekanie albo jedzenie śniadania, zapytam ciebie. Ale nie teraz.

- Ale powiesz nam, w czym problem? - wtrącił Polak, zanim Van Reuters zdążył skontrolować. Ostatnią potrzebną im rzeczą było przekomarzenie się pod nosem uzbrojonych przeciwników.

- Proszę bardzo. - Isaksson kucnęła obok obudowy gniazda, grzebiąc w torbie. - Sieć wewnętrzna na statkach rejestruje ilość portów wejściowych. Jeżeli uruchomimy ten, nasi porywacze będą o tym wiedzieć minuta osiem.

Szczeniak kucnął i ukrył twarz w dłoniach. Przez chwilę trwał nieruchomo, kiedy Szwedka sprawnie odkręcała mocowania zaślepki. Wreszcie wstał.

- No i jesteśmy w dupie - skonstatował, sięgając do kieszeni, z której po chwili wydobył pół batonika proteinowego. Szybko odwinął opakowanie i wgrzył się w szarawą tabliczkę. - Może spróbować ich jakoś wywabić między te maszyny...

- Potrafisz zamaskować podłączenie się do systemu? - przerwał mu Wierzba, patrząc na radiooperatorkę z nadzieją.

- Pewnie - mruknęła, ostrożnie usuwając płytkę. Teraz wydobyla z torby niewielki sześcian przenośnego ogniwa zasilającego. - Na jakieś trzydzieści sekund. Potem będą wiedzieć.

- Trzydzieści sekund. - Polak westchnął. - Nie ułatwiasz mi.

- Póki się z tym bawię, masz moment, żeby wymyślić, co dokładnie chcesz, żebym zrobiła w tym czasie.

- Zaczaruj tak, żeby tych dwóch zniknęło... - Wierzba urwał nagle. Przez chwilę przyglądał się Szczeniakowi i widocznej daleko za nim śluzie, niedawno jeszcze prowadzącej do kapsuły ratunkowej. Na jego twarzy wykwitał coraz szerszy uśmiech. - Milla, masz może dokumentację konsoli inżynierskiej?

- Zgaduję - skupiona Isaksson nie odrywała wzroku od płataniny kabli, w których grzebała - że twoje pytanie nie prowadzi do wciągania kogokolwiek pomiędzy maszyny?

*

Donośne wycie alarmu pożarowego wypełniło maszynownię, momentalnie zagłuszając zwykły szum pracujących urządzeń. Czerwone światła rozbłyły jednocześnie wzdłuż ścian, kierując personel do wyjścia.

- Ogień w siłowni głównej - poinformował miły, kobiecy głos należący do komputera

„Kuopio”. - Ogień w siłowni głównej. Przedział zostanie odcięty za dziesięć, dziewięć...

Wokół prowadzącej do hali grodzi zamigotały jaskrawożółte lampy, wyraźnie znacząc prostokąt wyjścia. Metys i lekarz spojrzeli jeden na drugiego, po czym jak na komendę rzucili się do konsoly.

- Osiem... - zakomunikował komputer spokojnie.

Trzeba było przyznać, że ludzie przy konsolecie nie tracili czasu. Lekarz pozostał przy urządzeniu, a metys podbiegł do szafki ratunkowej. Wystarczyło mu pół kroku, żeby zorientować się w bezcelowości tego planu. Krzyknął coś do towarzysza, ale poprzez hałas nie sposób było usłyszeć jego słów.

- Siedem...

Medyk wrzucił ramionami, nie przerywając pracy przy konsolecie. Wymienili kilka urywanych zdań, całkowicie niesłyszalnych z miejsca, gdzie przycupnęła trójka żołnierzy.

- Sześć, pięć, cztery... - odliczał spokojnie komputer. Żółte, jaskrawe światła przy grodzi zaczęły migotać. Obaj mężczyźni rzucili się do wyjścia.

Gródź opadła z hukiem może sekundę po tym, jak biegnący z tyłu lekarz wypadł z maszynowni. Chwilę później syrena nieco przycichła, a pomieszczenie wypełnił świst turbin. Automatyczny system przeciwpożarowy nie potrzebował ludzi, aby działać. Zwykła mieszanka tlenowa była wypompowywana, a jej miejsce zajmował wtłaczany jednocześnie obojętny gaz o niskim ciśnieniu. W ciągu niecałej minuty atmosfera w hali maszynowni stała się zwyczajnie niezdolna do podtrzymania ognia.

- Punkt dla ciebie, Wierzba. Ciekawe, dlaczego po prostu nie wyzerują ciśnienia? - W przefiltrowanym przez system łączności skafandra głosie Szczeniaka brzmiało wyraźne zadowolenie. - Nie byłoby łatwiej?

Żołnierz poklepał lekki zbiornik tlenu przypięty do uprząży i przesunął pytającym spojrzeniem po pozostałych.

- Ten trup to przerobiony cywil. - Isaksson wzięła przenośny terminal pod pachę i podniosła się z kucek. Skafander w uniwersalnym rozmiarze był na nią za duży, przez co sprawiała wrażenie jeszcze drobniejszej niż w rzeczywistości. - Po nich nikt nie łązi w skafandrach, a maskę szybko się zakłada.

- Milla, ile mamy czasu? - Marcin był już w drodze do konsoly.

- Zależy, jak są ostrożni - odparła radiooperatorka. Pulsowanie lamp alarmowych odbijało się czerwonymi refleksami od szyby jej hełmu. - Jakies dwie minuty, zanim uznają, że nic się nie pali, ale raczej stwierdzą, że system zadziałał właściwie. Potem pewnie odczekają jeszcze ze trzy - cztery minuty, przepompują powietrze i wrócą.

- Zatem dwie - trzy minuty na narobienie szkód? - spytał Wierzba.

- Straszny z ciebie pesymista, wiesz? - burknął Szczeniak do mikrofonu.

Konsoleta sterowania maszynowni była przystosowana do obsługi dla dwójki inżynierów. Dawno temu zapewne miała kremowy kolor, teraz można było określić go jako brudnoszary, z jednym, niedbale przetartym śladem zaschniętej krwi w rogu. Ciało zastrzelonego technika zostało odsunięte na bok tylko na tyle, żeby nie przeszkadzało. Fachowa robota, przebiegła Marcinowi przez głowę odruchowa myśl, cała seria weszła w lewą część klatki piersiowej, rozszarpując barwną koszulę narzuconą na kombinezon roboczy. Przy rozwartej dłoni mężczyzny leżała na wpół owinięta w folię kanapka. Marcin odwrócił wzrok, żeby nie odnotowywać większej ilości szczegółów.

Holograficzne klawiatury migotały nierówno w takt czerwonych błysków. Trzy lub cztery przekładnie. Na ekranach wmontowanych wprost w blat monitorów o grubych filtrach przesuwały się liczby i wykresy.

- Teraz zobaczymy, czy dobrze pamiętam - powiedział niepewnie, przechodząc od stanowiska do stanowiska. - Milla, poprawiaj mnie w razie czego.

- Jasne. - Dziewczyna pospieszenie otworzyła terminal na przygotowanej uprzednio stronie. - Pamiętaj, żadnych cudów. Moja wiedza o tym statku ogranicza się do wrywkowego przeglądania dokumentacji.

- Awaryjne wyłączenie nie powinno być jakoś szczególnie skomplikowane, w końcu każdy musi dać radę to zrobić w razie potrzeby, prawda?

- „Mało skomplikowane” w maszynowni frachtowca to pojęcie mocno względne, chłopcze. - Radiooperatorka uśmiechnęła się krzywo w czerwonej poświacie lamp odbijających się na filtrze skafandra.

- Do czego się przydam? - Szczeniak rozejrzył się po pomieszczeniu.

- Sprawdź, czy dasz radę zabezpieczyć śluzę.

- Jasne. - Holender potruchtał w stronę omiatanych żółtymi błyskami pancernych drzwi. W nierównym oświetleniu cień żołnierza tańczył nieskoordynowanie po kompozytowej podłodze.

- Milla, potrzebuję cię. Panel cztery?

- Tak.

Marcin spojrzął z niesmakiem na niewielki ekran, wypełniony nic mu niemówiącymi danymi, a potem na zieloną kontrolkę oznaczającą gotowość systemu. Uśmiechnął się pod hełmem. Przez chwilę kontemplował zaszumiony obraz holopanelu, po czym wskazał „Opcje bezpieczeństwa”. Projekcja momentalnie zniknęła, zastąpiona trójwymiarowym menu.

- Milla? - rzucił niepewnie. - Tu nie ma „Awaryjnego wyłączenia”.

- Nie ma? - Isaksson uniosła głowę znad terminala. - Nic podobnego?

- Czekaj... - Szybko przebiegł wzrokiem zaskakująco długą listę pozycji. - Nie. Co robimy?

- Uroczo - mruknęła dziewczyna do mikrofonu. Na kilkanaście sekund znieruchomiła pochylona nad terminalem. - Wydaje się, że zmienili soft konsolety, ale nikt nie zadbał o to, by uaktualnić dokumentację...

- Zagadka rozwiązana - stwierdził ironicznie Polak. Zerknął na zegarek. Czas płynął nieubłagane, od zawycia syren alarmu pożarowego upłynęła minuta i piętnaście sekund. - Ale czy możesz powiedzieć, co uruchomić?

- A co masz?

- Może „Wyrzut reaktorów”?

- Czekaj... - Dłonie Szwedki poruszały się po klawiaturze jej terminala nieprawdopodobnie szybko. Minęło piętnaście sekund, potem trzydzieści. - Nie, to zostaw. Jeśli system nie zobaczy powodu, zapyta cię o kod autoryzacyjny, a co gorsza, wyśle monit na stanowisko dowodzenia.

- Aha. - Wierzbowski przesunął wzrokiem po kolejnych pozycjach. - Może „Zalanie komór”.

- Moment... - Isaksson znowu zamarła, czytając niewidoczne dla Wierzby instrukcje. - Powinno działać. Spróbuj.

- Dobra... - mruknął cicho, przesuwając palec przez holograficzny prostokąt.

Kontrolka aktywności zamigotała żółto, a potem pomarańczowo. Kilka wykresów na - z punktu widzenia Wierzby - zupełnie losowych ekranach zaczęło pełznąć w dół. Szum wypełniający dotychczas halę ścichł nieco. Wierzba rozejrzał się ostrożnie.

- Chyba zadziałało... - rzucił do mikrofonu i spojrzął na zegarek. Minęły trzy minuty - Wygląda, jakby tak. - Szwedka podeszła do niego i przyjrzała się kilku ekranom. - Wszystko idzie w dół, tak chyba ma być.

Wierzbowski i radiooperatorka spojrzeli na siebie z wyraźnym zadowoleniem.

- Włączą wszystko z powrotem, kiedy tylko wrócą, prawda? - zapytał Marcin.

- Mhm.

- Efektywnie kupiliśmy naszym minutę lub dwie?

- Nie, skąd - zaprzeczyła Isaksson, uśmiechając się szeroko. - Zalałeś komory chłodzikiem. Generatory główne nie działają, bo system bezpieczeństwa przyjął, że nie zrobiłeś tego bez powodu. To nie karabin, nie ma przycisku „działaj i tak”. Obstawiam

minimum dziesięć minut na odpompowanie. Piętnaście na restart. To daje prawie pół godziny wyłączanie na generatorze awaryjnym. Ledwo kulejemy.

- Brzmi lepiej niż minuta - zgodził się Wierzba, oddychając głęboko. To było to. Więcej nie bardzo mogli zrobić. Albo flocie to wystarczy, albo... cóż, najbliższe minuty pokażą. - Szczeniak, jak z wejściem?

- Otworzyłem wewnętrzną śluzę i podstawiłem pod nią skrzynkę narzędziową - odpowiedział natychmiast Van Reuters. Właśnie truchtał z powrotem do czekającej przy konsolce dwójki. - Jak wytrzyma, to da nam jeszcze chwilę, ale cholera wie, jak silna tu jest hydraulika.

- Nic więcej chyba nie zrobimy. - Polak spojrział ostatni raz na konsolę. Kontrolka sprawności generatorów nadal płonęła pomarańczowym blaskiem, co napawało go niejakim optymizmem. - Zmykajmy stąd, zanim nasi nowi koledzy zdecydują się wrócić z karabinami.

Cała trójka odeszła od stanowiska inżynierskiego i wróciła pomiędzy maszyny. Nad ich głowami system wentylacyjny znowu rozpoczął pracę i do siłowni powoli wracało powietrze.

Baza Marynarki Wojennej Brest, system Jawa, 16.02.2212 ESD, 13:22

Przez ostatnie czterdzieści minut kontradmirał Nijal Kuerten nawet nie spojrział na wyświetlacz taktyczny. Zamiast tego zaczął od przejrzania obszernego pliku logu wieży z ostatnich dwudziestu czterech godzin. Później zażyczył sobie danych dotyczących samego lotu „Kuopio” i teraz w skupieniu analizował manifest transportowy uciekającego okrętu, szczegóły procedury załadunku i listę rozkazów, jakie wymieniał on z centralą logistyczną od momentu zadokowania w Breście. Długie, ciągle lekko drżące palce oficera wybijały nierówny rytm na oparciu fotela dowódcy DSO, a szare oczy błyszczały w sztucznym oświetleniu wieży.

Komandor Delanov za to zdawał się poruszać wyłącznie pomiędzy wyświetlaczem taktycznym i stanowiskiem radiowym. Ponury dowódca „Krakena” o bladej cerze i pełnym skupienia spojrzeniu zdążył już zarządzić mobilizację na wszystkich jednostkach eskadry Kuertena, a także rozproszył przebywające poza strefą śmierci Brestu niszczyciele, każdemu każąc stawiać linię czujników na pozornie losowych trajektoriach. Monteanu, chwilowo pozbawiony swojego stanowiska oraz części zespołu, zajął jedną z rezerwowych konsol. Rumun w parę chwil otworzył na niej kilkanaście okien raportowych, po czym wezwał do siebie czwórkę innych oficerów, z którymi teraz prowadził ożywioną dyskusję, co jakiś czas nanosząc poprawki na właśnie wypełniany dokument.

- Wygląda na zadowolonego, że nie musi dowodzić - mruknął Brisbane do stojącej

obok Lafayette.

Francuzka, dotychczas przypatrująca się w skupieniu działaniom Kuertena, błyskawicznie przybrała swoją zwykłą pozę.

- Nie wszyscy chcą za wszelką cenę mieć pełną kontrolę, czasem miło jest ją oddać. Powinien pan kiedyś spróbować - szepnęła, pochylając się w stronę mężczyzny. Na ustach kobiety zagrał figlarny uśmiezek.

- Cieszy się, że to nie on beknie, jak coś się nie uda? - Pułkownik zignorował zaczepkę.

- Admirał zajął się pościgiem, co ma sens, bo tylko on dysponuje jednostkami, które mogą dopaść „Kuopio” na czas. Monteanu opracowuje plan powrotu portu do normalnego funkcjonowania, kiedy alarm już minie. Rozsądny człowiek.

- Możliwe.

Lafayette nie odpowiedziała, tylko spojrzała w napięciu na ekran taktyczny, na którym symbol „Łowczyńi” szybko zbliżał się do tego, który oznaczał transportowiec. Niszczyciel szedł pełnym ciągiem, ale „Kuopio”, według wyświetlonych wyliczeń, miało niecałe pięć minut lotu do pozycji, która dawała możliwość wykonania skoku metrycznego. Jeśli wierzyć wyświetlaczowi, ścigający okręt będzie miał szansę ulokować w celu jedną salwę, góra dwie, pod warunkiem że transportowcem kieruje bardzo niekompetentny oficer nawigacyjny.

- Sądzi pan, że... - zaczęła, ale nie dane jej było skończyć zdania.

- Zmiana parametrów lotu „Kuopio” - zameldował operator radaru. - Brak przyspieszenia, powtarzam, brak przyspieszenia.

- Co się stało? - Pułkownik zmarszczył brwi. Przeniósł wzrok na wyświetlacz taktyczny, gdzie prognozy zmieniły się, kiedy komputer wziął poprawkę na nowe dane. - Wyłączyli silnik?

- To nieistotne. - Lafayette przygryzła wargi. - Cokolwiek się wydarzyło, popełnili błąd. „Łowczyńi” dostanie okazję podejścia bliżej. Mamy ich.

- Admirale - Brisbane zwrócił się do nadal siedzącego w fotelu Kuertena. Jediną reakcją dowódcy eskadry „Krakena” na meldunek było odrobinę podwyższone tempo postukiwania palcami w poręcz. - Czy będzie pan w stanie dokonać abordażu, zanim „Kuopio” wejdzie w strefę skoku?

- Nie. - Oficer nawet nie podniósł wzroku znad czytanego dokumentu.

- Zatem nadal uważam, że musimy ich zestrzelić.

- Dziękuję za sugestię. - Tym razem Kuerten podniósł wzrok, ale tylko na krótką chwilę. - Komandorze Delanov, jakie okręty mają wyjść z Brestu w ciągu najbliższych trzech

godzin w stronę boi Baker?

- „Viggen”, „Valkyrie” i „Jarl”, uzupełnienia dla Szarej Strażnicy, czterdzieści minut.

- Delanov zareagował momentalnie, nie odrywając się nawet od konsoly łączności. - „Venice” i „Toledo” za godzinę piętnaście, skok na Wolin, „Gibraltar”, kontynuacja rejsu z Narviku, dwie godziny.

- Dziękuję.

- „Łowczyń” melduje, że prowadzi namiar i jest gotowa do odpalenia pocisków - dodał komandor. - Pytają o rozkazy.

Na ekranie taktycznym odległość między niszczycielem a strefą prowadzenia ognia była już właściwie niedostrzegalna. Ciągłe zmniejszający się licznik wskazywał dziewięć sekund.

Kuerten rozparł się w fotelu i wbił wzrok w malejące liczby.

- Sir?

Wskaźnik spadł do pięciu sekund, potem trzech, wreszcie zera. „Łowczyń” w końcu mogła dopaść umykającą zwierzynę.

- Admirale? - Lafayette zmarszczyła nienagannie wystylizowane brwi, a jej wzrok wyrażał niezrozumienie. Delanov czekał. Mijały kolejne sekundy, dziesięć, potem piętnaście.

- Admirale Kuerten, mogę wiedzieć, dlaczego nie nakazuje pan otworzyć ognia? - w głosie Brisbane'a zabrzmiał tłumiony gniew.

Adresat pytania nie odpowiedział, nadal obserwując liczniki.

- Dwie minuty do skoku... - szepnęła Lafayette. Oczy Francuzki w napięciu wpatrywały się w wyświetlacz. - Admirale?

- To nie jest pora na dramatyzm - Brisbane podniósł głos. - Proszę nakazać swoim okrętom otworzyć ogień.

Kuerten przeniósł wzrok z ekranu na dwójkę oficerów.

- Wydam rozkaz, kiedy uznam, że jest to konieczne - powiedział cicho.

- Sir? - Lafayette przyglądała się oficerowi nic nierozumiejącym wzrokiem.

- Komandorze Delanov. - Pułkownik nie tracił czasu. - Admirał nie jest w stanie wypełnić swoich obowiązków. Proszę wydać rozkaz w jego imieniu.

Dowódca „Krakena” spojrział na niego, unosząc brwi w zaskoczeniu.

- Nie mogę tego zrobić.

Brisbane przez chwilę przyglądał się komandorowi nieruchomo. Wreszcie sięgnął po komunikator.

- Sierżancie Cross, kod Błękitny - rzucił do mikrofonu i zaledwie kilka sekund później

drzwi prowadzące do pomieszczenia kontrolnego otwały się, wpuszczając czwórkę komandosów Dowództwa Operacji Specjalnych. Niewielki oddział natychmiast skierował się w stronę grupki oficerów skupionych wokół stanowiska DSO. Obsada wieży odwracała się od swoich konsol, by zobaczyć niecodziennych przybyszów.

- Pułkowniku? - Lafayette znów przygryzła wargi.

- Co się dzieje? - Monteanu już zmierzał w ich kierunku, unosząc obie dłonie. - Pułkowniku Brisbane, pańscy ludzie nie mają prawa tutaj przebywać.

- Nie miało ich tu być, zaręczam panu. - Oficer oesów dał ledwo dostrzegalny znak dłonią i dwójka jego ludzi zastąpiła Rumunowi drogę. - Admirale, zamierzam nalegać.

Kuerten spokojnie zlustrował nadchodzących komandosów, potem przeniósł wzrok na Brisbane'a, wreszcie spojrzał na Delanova.

- Komandorze, proszę przekazać rozkaz na „Łowczynię” - powiedział spokojnie. - Przygotować grupy uderzeniowe.

Blady mężczyzna skinął szybko głową i, z wyraźnym trudem odwracając wzrok od uzbrojonych żołnierzy, zwrócił się ku stanowisku łącznościowemu.

- Sierzancie. - Głos Brisbane'a był całkowicie spokojny.

W ciągu sekundy cztery lufy mierzyły już w pierś dowódcy „Krakena”, który zamarł w pół kroku i zerknął pytająco na dowódcę. Ten nie mówił nic, obserwując pozostałych z fotela dowódczego. Wreszcie powolnym gestem wskazał na wyświetlacz.

Dwie minuty dzielące „Kuopio” od strefy skoku skurczyły się do trzydziestu sekund. Nie istniała możliwość, żeby idąca pełnym ciągiem w rozpaczliwym pościgu „Łowczyni” mogła przeprowadzić abordaż w tak krótkim czasie. A na pociski było już za późno. Oficerom przy stanowisku DSO wieży pozostało jedynie patrzeć, jak wskazania zegara zmieniają się, pokazując, że transportowiec ma pół minuty do strefy skoku, potem piętnaście sekund. Potem trzy. Jedną.

Liczby na wyświetlaczu zmieniły barwę na czerwoną, kiedy wskaźnik minął zero. Czas płynął, ale sensory nadal wyświetlały „Kuopio” i zbliżający się do transportowca niszczyciel. Lafayette zamrugła zdziwiona.

- Co się...?

- Skąd pan wiedział? - Złość w głosie Brisbane'a zniknęła bez śladu. Żołnierze oesów opuścili broń.

- To proste - odparł zimno Kuerten. - Po pierwsze, odkryłem, że pańscy ważni pasażerowie zostali przeniesieni na „Kuopio”, ponieważ ich zaplanowany transport, „Toledo”, miał poważną awarię silnika. Jednak dokładnie ten transport ma nadal zaplanowany

lot za godzinę. Po drugie, pozwoliłem sobie sprawdzić, dlaczego Brest ma tak koszmarną lukę w strefach patrolowych i jak się okazuje, jest ona naniesiona tylko na dzisiejszy rozkład lotów. Wreszcie po trzecie, z jakiegoś powodu pańscy ważni pasażerowie, choć figurują jako odpowiedzialność oesów, są eskortowani przez zwykłych żołnierzy. A przecież zadał sobie pan trud, aby pokazać mi, że dysponuje pan ludźmi.

Pułkownik uniósł dłonie i zaklaskał powoli. Kuerten jednak nie wydawał się ani rozbawiony, ani dumny.

- Ponieważ wiedziałem już, że ucieczka transportowca mieściła się w pańskich planach - kontynuował - mogłem brać pod uwagę tylko dwie opcje. Albo jest pan wrogim agentem, w co wątpię, albo nie mam do czynienia z realnym zagrożeniem. W tym przypadku skok był niemożliwy. Szkoda transportowca. Czy teraz pozwoli pan komandorowi Delanowowi wydać rozkaz przygotowania „Łowczyni” do abordażu?

EUS „Kuopio”, system Jawa, 16.02.2212 ESD, 14:19

Eksplozje wysadzanych śluz nastąpiły w tak niewielkich odstępach czasu, że zwały się w jeden potężny wybuch, który nie ustawał przez ponad minutę, podtrzymywany wybuchami granatów hukowych i seriami z broni automatycznej. Co najmniej pluton szturmowców wpadł na pokład transportowca jednocześnie w kilku miejscach, torując sobie drogę ogniem i chaosem. Bezosobowi przez nieprzezroczyste z zewnątrz filtry hełmów i półwidzialni niczym senne mary dzięki CSSowym kombinezonom, szybko zabezpieczali kolejne sekcje „Kuopio”. Do maszynowni wkroczyło sześciu żołnierzy, pełna drużyna - może pięć sekund po rozpoczęciu uderzenia. Pomimo skafandrów poruszali się z zaskakującą gracją, a na maskujących ich CSSach płynęły barwy przybrudzonej ściany korytarza. Metys zdążył poderwać broń, ale czasu nie starczyło mu na nic więcej. Kilka serii trafiło go jednocześnie, wrywając krwawe dziury w kombinezonie i rozpylając wokół czerwoną mgiełkę. Medyk krzyknął coś - Wierzba nie mógł zrozumieć słów - i uniósł w górę obie ręce. Tamci nie zawahali się nawet na moment, prowadząca para szła dalej w głąb pomieszczenia, druga przewróciła na podłogę medyka, trzecia pozostała gdzieś przy wejściu. Kiedy szturmowcy dopadli Marcina, Isaksson i Szczeniaka, ci już kładli się na podłodze z rękami na karkach. Lepiej było zrobić to samemu, niż zostać poślany na ziemię uderzeniem kolby.

Wszystko skończyło się, jeszcze zanim ich skuto - atak wyraźnie przebiegł bez żadnych problemów. Może pięć minut później wyprowadzono ich na wahadłowiec, a kolejne pół godziny spędzili w asyście szóstki eskortujących ich żołnierzy - i byli już na okręcie mającym zawieźć ich z powrotem na Brest. Dopiero tam powiedziano im, co stało się z resztą oddziału. Porywacze musieli potrzebować ich żywych, bo ograniczyli się do zebrania

wszystkich w jednym pomieszczeniu i uśpienia ich gazem, zapewne przygotowanym wcześniej.

Zginęła także dwójka załogantów „Kuopio” oraz eskorta drużyny Cartwright. Zarówno sierżant Marini, jak i Hilde próbowali wykonywać swoje obowiązki, lecz nie mogli spodziewać się, że lekarz też jest ich wrogiem. Identyczna śmierć, strzał z broni krótkiej z małej odległości. Marcin usiłował sobie przypomnieć uśmiech kobiety, ale nie potrafił.

Baza Marynarki Wojennej Brest, system Jawa, 16.02.2212 ESD, 23:11

Pomieszczenie wręcz emanowało funkcjonalnością - każdą ze ścian zajmował olbrzymi ekran, a kilkanaście wygodnych, choć potwornie brzydkich foteli otaczało prosty plastikowy stół, w centrum którego zamontowano projektor holograficzny. W rogach błyszczały cyklopowe oczy emiterów zakłócających, blokujących jakikolwiek ruch elektroniczny poza salę. Centrum Strategiczne Brestu mogło być co prawda jeszcze bardziej zabezpieczone, ale w niewiele większym stopniu. Pomieszczenie konstruowano z myślą o naradach wysokiego szczebla, częstszych w czasach, gdy Brest był głównym punktem dowodzenia frontu chińskiego. Odkąd Imperium przycichło i Unia przeniosła flotę na defensywne pozycje wokół Perth, używano go rzadziej. Zwłaszcza dla tak małych spotkań.

Brisbane czekał, aż panel kontrolny wejścia wyświetli informację o zakończeniu procedur bezpieczeństwa. Dopiero wtedy wydobyl z niesionej na ramieniu torby dwa datapady. Położył urządzenia na stole konferencyjnym, po czym przyłożył kciuk kolejno do ich czytników linii papilarnych, za każdym razem dając zabezpieczeniom chwilę na odczytanie ciepłoty ciała i delikatnego pola elektrycznego, które emitował wszczep ukryty w kciuku. Kiedy tylko ekrany ożyły, podał jeden z nich Lafayette, a drugi Kuertenowi.

- Na wstępie chciałbym przeprosić za przedstawienie na wieży. Miałem rzecz jasna informacje na pański temat, ale operacja jest na tyle ważna, że musiałem przekonać się osobiście, z kim tak naprawdę mam do czynienia - powiedział cicho. - Jak się okazuje, jest pan dokładnie takim człowiekiem, jakiego potrzebujemy.

- Poznał pan odpowiedź na swoje pytanie. - Kuerten powoli zajął miejsce na końcu stołu. W słabo oświetlonym pomieszczeniu ciemny mundur oficera floty zlewał się z tłem. Konradmirał nie patrzył na rozmówcę, szybko przebiegając wzrokiem informacje wyświetlane na otrzymanym datapadzie. - Może z kolei pan zechce mi powiedzieć, co by pan zrobił, gdybym strącił „Kuopio”?

- Nic. Załoga transportowca została zinfiltrowana przez grupę agentów Imperium - odparł pułkownik. - Mieliśmy ich na oku od pewnego czasu. Podrzucenie moich pasażerów pozwoliło sprawdzić, czy Chiny są gotowe uaktywnić oddział. Jak widzieliśmy, są.

- Więc Chiny wiedzą, że planuje pan coś ważnego.

- Nie wiedzą, co, a przynajmniej o tym zapewnia nas kontrwywiad. Stracili silną grupę bojową, w dodatku w sposób, który można zinterpretować jak nieudaną akcję, a nie jakiś nasz szczególnie sukces. Zysk nie do przecenienia.

- Mamy gwarancję, że nie działa tu więcej agentów wroga? - zapytała Lafayette, siadając na fotelu najbliższym pułkownikowi. Kobieta wyraźnie nie kryła niezadowolenia z faktu, że pozwoliła się zaskoczyć, choć trzeba było przyznać, że tym razem na jej twarzy rysowało się pełne skupienie. Uwodzicielska femme fatale zniknęła bez śladu.

- Żadnej. W zasadzie mogę być pewny lojalności tylko najwyższego kręgu. - Pułkownik uśmiechnął w sposób, który od biedy można było nazwać miłym. - Dlatego odprawa odbywa się w tym gronie. Nikt poza naszą trójką nie może mieć wglądu w szczegóły operacji.

- Zaryzykował pan swoich pasażerów i obstawę, nie mówiąc o pozostałych dwóch członkach załogi transportowca - zauważył Kuerten. - Niecelegancki manewr. Dało się to zrobić inaczej.

- Cóż, jestem niezdamy i pozbawiony gracji, jeśli chodzi o działania floty. Ale od tego mam pana.

Kontradmiral przez chwilę milczał, bawiąc się datapadem. Wreszcie wstał z fotela, opierając obie dłonie o stół. Spojrzał na nadal pochłoniętą czytaniem Lafayette, potem na siedzącego naprzeciw pułkownika oesów.

- Sztab da na to swoje poparcie? - zwrócił się do ciemnowłosej komandor.

Ta uniosła wzrok znad lektury. Z namysłem wyduła wargi, przez moment wpatrując się w przestrzeń. W tym momencie do niej należało ostatnie słowo. To Sztab zatwierdzał wszelkie operacje floty, zwłaszcza na terytorium wroga. Francuzka jako jego reprezentantka mogła zwyczajnie odmówić udzielenia poparcia, przesuwając całą operację na powrót do fazy planowania.

- Myślę, że zyski warte są ryzyka - powiedziała wreszcie, odchylając się w fotelu. - Z mojej strony pułkownik Brisbane ma zielone światło.

Kuerten uniósł brwi, wyraźnie zaskoczony, ale szybko się opanował. Raz jeszcze rzucił okiem na datapad.

- A ja nie widzę takiej możliwości - stwierdził. - Straty mogą być olbrzymie, sukces jest dalece niepewny, w dodatku Imperium zdoła łatwo zlikwidować większość zaangażowanych sił, jeśli tylko przejrzy nasz podstęp.

- Jak rozumiem, jest pan dość biegły w podstępach.

Admirał postukał w ekran trzymanego w dłoni urządzenia. Jego spojrzenie skupiło się na Lafayette, potem na Brisbaneie.

- Bardzo niebezpieczna gra. Nie jestem skłonny podejmować takiego ryzyka.

- Rozumiem. - Pułkownik skinął głową i rozparł się wygodniej w fotelu. - Ogromnie żałuję, że nie będę mógł z panem współpracować. Nie mam niestety prawa pana zatrzymać. Liczę na to, że zdaje pan sobie sprawę z poufności tej odprawy.

Oficer floty spojrział na niego zmrużonymi oczami. Poprzez całą długość stołu było niemal widać, jak mięśnie kontradmirała minimalnie się napinają.

- Cieszę się, że dał się pan przekonać - powiedział, pozornie uspokojony.

- Dałem się przekonać, że pan nie jest skłonny wziąć udziału w mojej operacji, i rozumiem to. - Brisbane schylił głowę w ni to ukłonie, ni to potaknięciu. - Mam nadzieję, że admirał De Flandres będzie bardziej chętny do współpracy.

- De Flandres? - Kuerten minimalnie drgnął. - De Flandres zwyczajnie nie poradzi sobie z tą akcją.

- Pan wybaczy, admirale - Brisbane rozłożył ręce - ale dopiero co powiedział pan, że pan również sobie nie poradzi. Uważam, że mam wystarczająco mocne karty, żeby spróbować ugrać swoje. Potrzebujemy dowódcy, a admirał De Flandres jest następny na liście.

Przez dobre kilka sekund wysoki oficer floty przypatrywał się na zmianę pułkownikowi i milczącej Lafayette. Wreszcie spojrział znowu na datapad.

- Stawia mnie pan pod ścianą, pułkowniku - powiedział wreszcie.

- Sam jestem pod ścianą. - W głosie Brisbane'a słuchać było smutek.

Niebezpieczny ładunek

EUS „Haga” przyporządkowany Dowództwu Operacji Specjalnych był absolutnym przeciwieństwem wysłużonego „Kuopio”. Nowoczesna jednostka zeszła z linii produkcyjnej zaledwie dwa lata wcześniej, jako szósta z wojskowego zamówienia piętnastu okrętów klasy Innsbruck. Wyposażona w cztery wyrzutnie antyrakiet i dwanaście stanowisk obrony punktowej stanowiła niełatwy cel, a potężne silniki dawały jej przyspieszenie niemal takie jak w niszczycielach. Stanowisko szperacza uniezależniało od boi skokowych, a przedziały transportowe mieściły pełną kompanię wojska. Trzeba było szczególnego rodzaju pecha, aby proste zadanie „Hagi” zniweczyły zepsute racje żywnościowe.

Gdyby bowiem nie zatrucie pokarmowe, zresztą dość łagodne, szperacz okrętu nie musiałby wziąć ersenixu - doskonale działającego środka, który jednak wywołał u niego reakcję alergiczną. Wystarczająco mała, by pozostać niezauważoną, spowodowała jednak, że doświadczony oficer pomylił się podczas przeliczeń skoku - niemal poniżej dokładności urządzeń, ale jak miało się okazać, wystarczająco. Błąd ten sam w sobie nie spowodowałby katastrofy. Niestety, praktycznie idealnie w miejscu, gdzie „Haga” wychodziła z przestrzeni przystankowej, znajdował się niewielki kawałek skały - zaledwie odrobinę większy od piłki. Szansa na to, że transportowiec wyjdzie zbyt blisko przeszkody, by zadziałały automatyczne systemy antykolizyjne, była tak znikoma, że nawet gdyby ktoś rozważał takie zdarzenie, po prostu brakłoby mu miejsc po przecinku. Tego dnia jednak rachunek prawdopodobieństwa wyraźnie uwziął się na Unię.

Mocna konstrukcja kadłuba i relatywnie niewielka prędkość wyjścia sprawiły, że „Haga” przetrwała zderzenie, które najpewniej rozniosłoby na strzępy transportowce starszego typu. Uszkodzenia były jednak znaczne - lewoburtowe stanowiska obrony punktowej przestały funkcjonować, podobnie zresztą jak większa część silników manewrowych. Główna siłownia ledwie działała i okręt szedł na mocy rezerwowej, a prawie wszystkie sensory zostały zamienione w wyjątkowo drogi złom. Zniknął także przedział transportowy. Czternastu zamkniętych w hibernatorach komandosów Dowództwa Operacji Specjalnych zginęło, nie budząc się nawet z hibernacyjnego snu.

Baza Marynarki Wojennej Brest, system Jawa, 17.02.2212 ESD, 19:40

Admirał Tuerrin, głównodowodzący Brestu, był krzepkim, mocno szpakowatym pięćdziesięcioletkiem o wesołym spojrzeniu i posturze mężczyzny o dwadzieścia lat młodszego. Jako człowiek czynu nie najlepiej zniósł wycofanie z dowodzenia eskadrą liniową i przeniesienie za biurko. Tęsknota do dawnych dni spowodowała, że kazał wyposażyć swój gabinet w zajmujący całą ścianę ekran taktyczny - dokładną kopię urządzenia znajdującego się w wieży kontrolnej. Sprowadzenie go było pierwszą decyzją Tuerrina na nowym stanowisku. Druga dotyczyła usunięcia z pomieszczenia wszystkiego poza biurkiem ozdobionym kanciastym zestawem holo, trzema obrotowymi fotelami i niewielką szafką, na której znajdował się dokładny model pancernika klasy Hood. Podobnie jak wielu innych przesuniętych na stanowiska administracyjne oficerów liniowych, Tuerrin starał się pozostać jak najbliżej tematów związanych z jego poprzednią funkcją. Trzeba było jednak przyznać, że pomimo pewnej niechęci do pracy administracyjnej radził sobie nad podziw dobrze. Zwłaszcza biorąc pod uwagę, że Brest budził się i zasypiał w groźnym cieniu Imperium.

Trudy zarządzania jedną z trzech największych baz floty na linii granicznej zamieniły go w nałogowego palacza i była to przypadłość, o którą toczył długie boje z głównym oficerem medycznym Brestu. W sporym gabinecie unosił się mocny zapach dymu papierosowego, jawny znak porażki lekarza. Na podstawie dokumentów Brisbane mógł określić go jako kompetentnego, konkretnego człowieka, doskonale nadającego się do przydzielonego mu zadania. Pięć minut rozmowy z admirałem pozwoliło uzupełnić tę charakterystykę o określenia „małostkowy” oraz „mściwy”.

- W pełni rozumiem, że Dowództwo Operacji Specjalnych postradało swój cenny okręt. - Admirał nie patrzył na rozmówcę, bawiąc się modelem pancernika. Cywilna imitacja powłoki refleksyjnej zamiast pochłaniać światło, leciutko błyszczała. - Jednak moja rola w naprawie tej sytuacji pozostaje dla mnie zagadką.

- To bardzo proste. - Pułkownik zmusił się do zachowania spokojnego tonu. Jeśli miał cokolwiek uzyskać, musiał być cierpliwy. - Straciłem czternastu ludzi potrzebnych mi do operacji za liniami wroga. Mam zbyt wąskie okno czasowe, by ściągnąć nowy oddział z Narviku, a potrzebuję zastępstwa. Stąd moja prośba.

- Kontyngent specjalny Brestu nie nada się do pańskich działań, pułkowniku. - Tuerrin rozłożył ręce w demonstracyjnej bezradności. - To żołnierze, pan potrzebuje morderców.

- Świetnie się składa. - Brisbane przełknął obelgę. Nie przyszedł tutaj, aby się kłócić. - Potrzebuję właśnie żołnierzy.

- Bardzo wątpię. - Starszy mężczyzna sięgnął po papierosa. - Pali pan?

- Dziękuję, nie.

Tuerrin odstawił model i wysunął szufladę biurka, z której wydobyl żarówką zapalniczkę i cienkiego papierosa. Wcisnął przełącznik i chwilę przyglądał się krótkiemu płomieniowi.

- Nie przepada pan za mną - powiedział Brisbane, kiedy milczenie zaczęło się przedłużać.

- Trafne spostrzeżenie. - Po drugiej stronie biurka admirał zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko.

- Przyznaję, że mogłem rozegrać mój pobyt tutaj... bardziej odpowiednio. - Australijczyk pochylił głowę. - I za to przepraszam. Mam jednak nadzieję, że nie podejmie pan decyzji, bazując na tej niechęci.

- Moje osobiste zdanie na pański temat nie pozostaje bez znaczenia. - Tuerrin wypuścił kłąb dymu, który zawisł na moment pomiędzy dwoma oficerami, a potem rozwiął się, porwany przez ciąg klimatyzacji. - Widzi pan, pułkowniku, przybył pan na moją stację i rozpoczął od wywrócenia organizacji patroli do góry nogami. Następnie pozwolił wystartować „Kuopio” z wrogimi agentami na pokładzie, o którym to fakcie nie był łaskaw mnie poinformować. Wprowadził pan uzbrojonych ludzi do centrum kontroli lotów. Zażądał przygotowania miejsca na dodatkowe okręty. Kontradmiral Kuerten kolejny dzień przeprowadza testy systemów łączności, już trzy razy mieliśmy problem z dławikami. Podobno wszystko to na pańskie polecenie. Teraz chce pan moich ludzi, nadal nie informując mnie, po co.

- To prawda.

- Zatem to jest moment, w którym mi pan to powie. - Rozżarzona końcówka przygasła, kiedy dowódca Brestu odsunął papierosa od ust.

- Niestety - Brisbane powoli wypowiadał każde słowo, analizując, czy nie może ono zostać uznane za obraźliwe - w mojej odprawie szczególnie podkreślano poufność operacji.

- W takim razie nie mogę panu pomóc - odparł Tuerrin.

- Panie admirale, proszę posłuchać... - Brisbane westchnął ciężko, zanim zdołał się powstrzymać. Błąd, zdążył pomyśleć, ale było już za późno.

- Nie, pułkowniku - rozmówca wyraźnie zaakcentował stopień. Choć mówił spokojnie, w jego oczach błyszczała furia. - To pan niech posłucha. Dowództwo Operacji Specjalnych jest znane z prowadzenia działań o wysokim poziomie ryzyka i z dużymi stratami. Sztab najwyraźniej to akceptuje, nic mi do tego. Ale ja mam pod komendą punkt strategiczny. Czterdzieści siedem okrętów i dwadzieścia tysięcy ludzi. Może pan tego nie wie,

ale nie jesteśmy tu bez powodu. Kiedy Imperium zdecyduje się na ruch, będziemy wiedzieć o tym pierwsi i to nie dlatego, że wyślą nam list. Moje jednostki specjalne są mi potrzebne i zwyczajnie nie wyekspeduję ich na misję z panem bez poznania szczegółów.

- Nie mogę panu ich podać.

- Zatem niech pan idzie po ludzi do kontradmirała Kuertena. - Energicznym ruchem mężczyzna zdusił papierosa w pełnej niedopałków popielniczce.

- Kuerten...

- Kontradmirał Kuerten. - Głosem Tuerrina można było ciąć stal.

- Kontradmirał Kuerten - Australijczyk uśmiechnął się kwaśno - nie dysponuje ludźmi z doświadczeniem w działaniach naziemnych za liniami frontu.

- Więc ma pan pecha.

Brisbane skinął głową w milczeniu. Ciężko wypracowana niechęć admirała Tuerrina była teraz niczym kula u nogi, tym bardziej irytująca, że sam ją sobie przywiesił. Popęłił głupi błąd na samym początku pobytu w Breście - powinien był bardziej pilnować zasad kurtuazji - a potem powtarzał go przez trzy tygodnie. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że postawa rozmówcy wynikała jedynie z niechęci do oesów i Brisbane'a osobiście - admirał nawet nie zauważyłby krótkotrwałej nieobecności kilkunastu ludzi, których zresztą łatwo zdołałby zastąpić innymi.

Teraz jednak nie było już miejsca na próby zmiany podejścia starszego oficera. Pozostało tylko rozważyć dalsze opcje. Mógł oczywiście naciskać, ale admirał nie wyglądał na człowieka, który się ugnie. Można było wysłać wiadomość do sztabu i wymusić współpracę, lecz to potrwałoby cztery tygodnie - niewiele mniej, niż gdyby po prostu ściągnął nową grupę uderzeniową z Narviku. Pułkownik nie miał tyle czasu i dowódca bazy doskonale o tym wiedział.

- Dziesięć osób, admirał - spróbował raz jeszcze. - A obiecuję panu, że dostanie pan pełną informację o akcji, kiedy już ją zakończę.

- Nie - odparł krótko Tuerrin. - To moi ludzie i nie wyślę ich na operację, o której nic nie wiem. Zwłaszcza z panem.

Wyraźnie zaakcentował ostatnie zdanie.

- Rozumiem. - Pułkownik wstał z fotela. - W takim razie nie będę dłużej zajmował czasu.

Robił już drugi krok w kierunku drzwi, kiedy zatrzymał go ostry głos admirała.

- Pułkowniku.

- Sir?

- Pan się zapomina. - Tuerrin mówił powoli, akcentując każde słowo. - To ja pana odprawiam.

Oficer oesów przez moment stał nieruchomo. Wreszcie powoli odwrócił się w stronę admirała. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

- Przepraszam, sir. - Stał wyprostowany jak struna, przytykając palce do skroni. - Czy mogę się odmeldować?

- Jest pan wolny. - Tuerrin wstał zza biurka i odsalutował niedbałym ruchem.

- Dziękuję, sir. - Brisbane zachował kamienną twarz. I tak miał wystarczająco dużo kłopotów.

Opuszczając gabinet, nie myślał już o dowódcy Brestu. Bitwa została stoczona i przegrana, teraz nie było co jej rozpamiętywać. Należało raczej pomyśleć, jak obrócić niefortunna sytuację na swoją korzyść.

*

Dzwonek do drzwi kajuty oderwał Williama Brisbane'a od przeglądania analiz technicznych. Zerknął na zegarek - wpół do czwartej czasu stacji. Zabawne, był przekonany, że od spotkania z admirałem Tuerrinem minęło nie więcej niż dwie godziny. Choć z drugiej strony, kiedy teraz o tym myślał, odprawa z dowódcą eskadry „Krakena” i druga z Reese'em faktycznie mogły zająć więcej. Spojrzał na ekran i pospiesznie zanotował ostatnie wnioski. Potem zgarnął datapad i opakowanie po stymach do szuflady, a zamiast nich postawił na biurku kubek z zimną kawą. Podświadomie oczekiwał kolejnego dzwonka, ale ktokolwiek stał w korytarzu, postanowił dać mu czas. Zamknął przeglądane na głównym ekranie komputera analizy i otworzył raporty wywiadu na temat chińskiej stoczni. Przydadzą się w nadchodzącej rozmowie, o ile dobrze przewidział osobę gościa.

- Słucham? - rzucił, włączając interkom. Tak jak się spodziewał, umieszczony obok wyświetlacz ukazał komandor Lafayette w ciemnym mundurze i z termosem w dłoni. Kiedy wieczorem dostał wiadomość o „Hadze”, oczekiwał, że Francuzka dowie się o tym nie wcześniej niż rano. Najwyraźniej jednak jej kanały komunikacyjne działały równie dobrze jak te w Dowództwie Operacji Specjalnych. Swoją drogą, było to dość niepokojące. Z drugiej strony, miło było spędzić czas w towarzystwie profesjonalistki.

- Niosę dary. - Lafayette pomachała naczyniem, ale w jej głosie czały się niebezpieczne nuty. - Pomyślałam, że raczej pan nie śpi.

- Teraz już nie - potwierdził Brisbane i ostentacyjnie stłumił ziewnięcie. - Proszę dać mi moment.

Przeszedł do mikroskopijnej łazienki i ochlapał twarz zimną wodą. Krótkie spojrzenie

w lustro upewniło się, że jego wygląd z grubsza odpowiada samopoczuciu. Czterdziestoletni brunet o podkrążonych oczach patrzył na niego niechętnie z błyszczącej tafli. Na szarej cerze szorstki, kilkudniowy zarost był jakby bardziej niechlujny, a rozpięta bluza mundurowa zdecydowanie widziała już lepsze czasy. Kiedy ostatnio złapał kilka godzin snu? Trzy, cztery dni temu? Cóż, może jutro. Namoczył ręcznik w zimnej wodzie i przyłożył do karku. Przez moment pozwalał lodowatym strumykom spływać po plecach i wsiąkać w bluzę. Chłód, nawet jeśli nie oczyszczał myśli, przynajmniej odrobinę rozbudzał. Sięgnął do szafki i wydobył plastikowy zasobnik stymulatora, ale po chwili namysłu odłożył go na miejsce. Nie było sensu brać kolejnego, i tak już balansował na granicy szkodliwości. Nadchodzącą potyczkę trzeba będzie stoczyć bez wsparcia. Wyszedł z łazienki i otworzył drzwi.

- Przepraszam - powiedział, uśmiechając się krzywo. - Pora zaskakująca.

- Właśnie się dowiedziałam. - Nie czekając, aż się odsunie, Lafayette weszła do kajuty, wciskając mu do ręki termos. Uśmiechała się zalotnie, ale jej oczy miały pioruny. - Nie od pana.

- Wiem... - Zamknął drzwi wolną ręką i ruszył za gościem. - Rozumiem, że istnieje gdzieś przepis mówiący o meldowaniu pani o takich rzeczach?

- Myślałam, że współpracujemy. - Lafayette przysiadła na biurku i lekko zmrużyła oczy. - Że tak świetnie jesteśmy w stanie się porozumieć.

- Jesteśmy.

- Wiadomość o „Hadze” musiała zagać w poczcie. - Ton głosu Francuzki był zwodniczo miękki.

Sięgnęła po kubek, ale zrezygnowała, kiedy zajrzała do środka. Brisbane bez słowa podał jej termos.

- Co teraz? - zapytała, nalewając sobie kawy do plastikowej nakrętki. - Ludzie Kuertena nie nadają się do pańskiej roboty.

-... A admirał Tuerrin nie chce mi użyzyć swoich - uzupełnił. - Trzeba będzie poradzić sobie z tym, co mamy.

- To znaczy? - Upiła mały łyk, po czym podsunęła kubek pułkownikowi, ale odmówił gestem ręki.

- Dysponujemy dokładnie jednym oddziałem weteranów sprawdzonych za liniami wroga - powiedział, włączając monitor. Szybko zamknął okno z wykresami obrazującymi ruch wokół imperialnej stoczni, zamiast niego otwierając akta osobowe. - Zamierzam go użyć.

- Tych odratowanych z New Quebec? - Ciemne brwi Lafayette uniosły się w

zaskoczeniu. - Mają jakiekolwiek kwalifikacje?

- Jeden z nich na pewno. Co do pozostałych, uważam, że wystarczające.

- Gromada niedobitków z ledwo zakończoną ewaluacją psychologiczną? - Na twarzy kobiety rysowało się powątpiewanie. - Nawet ludzie Kuertena spisaliby się lepiej.

- Ludzie Kuertena to specjaliści - odparł. - Potrzebuję żołnierzy, którzy umieją się dostosować do nowych warunków. Ta konkretna gromada niedobitków jest pod tym kątem bez zarzutu.

- Dopiero co próbował pan ich trzymać z dala od wroga, a teraz nagle dobrym pomysłem jest wysyłanie ich w głąb Imperium? Rozumiem, że to tylko brzmi jak niekonsekwencja?

- Po pierwsze - Brisbane uniósł dłoń i odgiął palec - zapewniono mnie, że choć żołnierze porucznik Cartwright istotnie mogą być dla wroga źródłem informacji, jednak nie w czasie, który jest w stanie zagrozić całej operacji. Żadnej świadomej wiedzy, skan to kwestia kilku dni, w dodatku Imperium musiałoby wiedzieć, czego dokładnie szuka. Teraz są pod strażą, a na miejscu... będzie już praktycznie za późno. Po drugie, nawet tam pozostaną częścią zespołu. Zespołu, który wie, co robić, jeśli zaistnieje prawdopodobieństwo przejęcia przez wroga kluczowych informacji.

- Jest pan przeuroczym człowiekiem - mruknęła z przekąsem.

- Dziękuję - uśmiechnął się, jakby nie dostrzegł sarkazmu. - Wreszcie po trzecie, nawet jeśli moi ludzie zawiodą, będę tam ja.

Przez kilka sekund Lafayette trwała w bezruchu, przetwarzając otrzymaną informację. Z jej twarzy powoli zniknęła maskowana irytacja, ustępując miejsca niepokojowi. Wreszcie powoli odstawiła nakrętkę termosu na biurko i spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Pan tam będzie? - Ton głosu wyraźnie sugerował, co komandor sądzi o tym pomysle.

- Jak najbardziej - odparł Brisbane uprzejmie. - Potrzebujemy kogoś, kto ma wizję całej operacji i potrafi nią zarządzać.

- Jeśli próbuje pan wykazać, że jest pan wystarczająco męski - kobieta mówiła głosem lepkim jak melasa - jestem pewna, że znajdziemy razem jakiś przyjemniejszy sposób.

- Och, nie wątpię. - Mrugnął do niej. - Niemniej pewnych rzeczy lepiej dopilnować samemu.

- To idiotyzm - powiedziała już normalnym tonem. - Niepotrzebne ryzyko.

- Tutaj jestem całkowicie zbędny. - Przywołał na ekran raport dotyczący sytuacji strategicznej. - To teraz przedstawienie Kuertena.

- Oficer znający szczegóły akcji w miejscu, gdzie można go schwytać? Doskonały

pomysł.

- Kuerten będzie czekał na mój znak. Jeśli mnie złapią, flota nie ruszy i nie mamy problemu.

Kobieta oparła się o blat biurka i wpatrzyła w wyświetlane na ekranie dane. Na moment zwykła maska uwodzicielki opadła, pozostawiając jedynie Lafayette - oficer floty, napiętą i skupioną. I ku zaskoczeniu Brisbane'a, smutną. Zdecydowanie nie było to uczucie, którego się po niej spodziewał. Choć z drugiej strony nie mógł wykluczyć, że kobieta gra, jak zawsze - ale jeśli nawet, w tym momencie robiła to naprawdę dobrze. Przygryzła lekko wargę, nie spuszczać wzroku z monitora.

- Nie powinien pan lecieć - powiedziała wreszcie tak cicho, że ledwo ją usłyszał.

- Doceniam troskę. Ale moja obecność na planecie będzie konieczna.

-... Ponieważ? - Spojrzała na niego wyzywająco. - Ponieważ „Pulvis et umbra sumus”? Chce pan zginać?

Wskazała pełnym irytacji gestem na emblemat na ramieniu bluzy mundurowej mężczyzny.

- Nie mogę założyć, że problem „Hagi” faktycznie był wypadkiem. - Brisbane wzruszył ramionami. - Imperium dysponuje niemiło kompetentnym wywiadem, o czym zapewne świetnie pani wie. Nie chcę stracić sił kontradmirała Kuertena, rozbijając je o pułapkę. Ale mogę próbować prowokacji. Moja osoba na ich terenie to dość kusząca przynęta. Mamy spore szanse, że skłoni ich to do odkrycia kart. Lepszy wróbel w garści niż flota nie wiadomo kiedy.

- A wtedy...

- Wtedy Kuerten po prostu nigdzie nie poleci. Eskadra unika pułapki, małe straty, sztab jest zachwycony.

Komandor z namysłem pokiwała głową. Przez chwilę zdawała się obmyślać odpowiedź, ale w końcu nie powiedziała nic, tylko w milczeniu dopiła kawę, po czym nałapała sobie kolejną nakrętkę, unosząc ją w niemym toaście.

- Skazani na toasty kawą? - uśmiechnął się Brisbane.

- Jak to się skończy, obiecuję panu coś lepszego. - Odwzajemniła uśmiech, rzucając mu powłóczyście spojrzenie. Zwykła Lafayette szybko zajmowała miejsce tej sprzed momentu. - Tymczasem powinien pan pozwolić się wyspać. Wygląda pan jak trup.

- Dlatego przyniosła pani kawę? - Uniósł brwi. - Żeby się wyspać?

- Jestem złem wcielonym, cóż mogę powiedzieć.

Postawiła termos na blacie biurka i wyszła, w drzwiach jeszcze obracając się i

posyłając mu całusa. Dobre kilka chwil upłynęło, zanim Brisbane zorientował się, że nadal stoi w otwartym wyjściu i gapi się w korytarz. Najwyższa pora odpocząć, pomyślał. Zmęczeni ludzie łatwiej popełniają błędy, a on miał ich na koncie już zbyt wiele, żeby pozwolić sobie na kolejne.

Baza Marynarki Wojennej Brest, system Jawa, 18.02.2212 ESD, 15:06

Administracja przypomniała o swoim istnieniu dwa dni po feralnym locie „Kuopio”, ale w inny sposób, niż sądzili. Zamiast na kolejny transportowiec, zaprowadzono ich do sali odpraw. Niewielkie pomieszczenie, sądząc po ilości miejsc, przeznaczone było raczej dla dowódców okrętów niż szeregowych żołnierzy - zaledwie dziesięć foteli skupiono wokół półokrągłego stołu, a przed każdym z nich zamontowano indywidualne wyświetlacze. U szczytu stołu, na podwyższeniu czekał na oko czterdziestoletni brunet z czarnym emblematem oesów i dystynkcjami pułkownika oraz wyglądający nieco bezradnie porucznik Reese, którego Marcin pamiętał z przesłuchania.

- Witam. Proszę usiąść. - Głos starszego z dwójki oficerów bruneta momentalnie obudził w Polaku wspomnienia. Znał tego człowieka. Widział go na Bagnie, w obozie dowodzonej przez Cartwright poszarpanej kompanii niedobitków. Pułkownik wydawał się wtedy bardziej zapadły w sobie i jakby poszarzały, ale przecież na Bagnie wszyscy tacy byli.

- Nazywam się William Brisbane i reprezentuję Dowództwo Operacji Specjalnych.

Siedząca dwa miejsca od Wierzby porucznik Cartwright wpatrywała się w oficera nieodgadnionym spojrzeniem. W Szczeniaku za to dało się czytać jak w otwartej książce - a nawet jeszcze łatwiej, biorąc pod uwagę kilka cichych przekleństw, które Holender zmełł pod nosem.

- Przychodzę do was z propozycją - podjął oficer. - Chciałbym, żebyście jej wysłuchali, mając na uwadze fakt, że nie jest to rozkaz. Każde z was może odmówić i nie będą wobec niego wyciągnięte żadne konsekwencje...

Thorne z krzywym uśmiechem na ustach wstał ze swojego miejsca.

- Zatem, za pozwoleniem, odmawiam, sir.

-... Jednakowoż samo wysłuchanie mnie do końca jest rozkazem - kontynuował Brisbane. - Możecie odmówić jego wykonania, szeregowy, ale to z kolei z pewnością okaże się dla was mniej niż przyjemne.

Soren Thorne uśmiechnął się ponuro i bez słowa opadł na fotel.

- Mój pion planuje operację za liniami wroga - powiedział pułkownik, przesuając wzrokiem po obecnych. - Operację ważną i, nie ukrywam, bardzo niebezpieczną. Zestaw umiejętności, które posiadacie, może znacznie przyczynić się do jej sukcesu, a co za tym

idzie, do poprawienia sytuacji militarnej Unii. Ponieważ nie jesteście moimi podkomendnymi, nie mogę wydać wam rozkazu. Ale mogę poprosić o ochotników.

Oficer zamilkł wyczekująco. Z ośmiu osób przy półokrągłym stole żadna nawet nie drgnęła. Komandosi Dowództwa Operacji Specjalnych byli w całych siłach zbrojnych znani jako unijni ludzie od mokrej roboty. Nie tylko niebezpiecznej, ale też... brudnej, w więcej niż jednym znaczeniu tego słowa. Każdy to wiedział, nawet przed operacją na New Quebec.

- Rozumiem. - William Brisbane skinął głową. Gestem dłoni dał znak stojącemu w milczeniu Reese'owi i porucznik natychmiast sięgnął do kieszeni, wydobywając przenośny terminal. Następnie umieścił go obok wyświetlacza. - Zdaję sobie sprawę, że przeszłście wiele i chcielibyście odpocząć. Mogę jednak zapewnić, że wysiłek wam się opłaci. Każdy ochotnik otrzyma potrójny żołd za cały czas akcji od dziś do jej zakończenia oraz oficjalną pochwałę wpisaną do akt.

Wierzba uśmiechnął się lekko. Szczeniak parsknął otwarcie, choć został natychmiast uciszony ostrym spojrzeniem Cartwright. Poza tym jedyną odpowiedzią na obietnicę Brisbane'a była cisza. Na co komu potrójny żołd, jeśli nie dożyje się jego wypłacenia? Pochwała od oficera oesów wydawała się jeszcze mniej zachęcająca.

- Rozumiem - powiedział pułkownik po raz drugi, wyraźnie niezrażony reakcją oddziału. Dał kolejny znak Reese'owi. Posłuszny komendom porucznika wyświetlacz holograficzny ożył.

Wierzba zamarł, Szczeniak wciągnął powietrze przez zęby. Sokole Oko opuścił wzrok. Nad stołem zawisła podobizna Kici, opatrzona danymi identyfikacyjnymi i medycznymi.

- Transport ewakuacyjny przewożący żołnierzy kompanii Echo Czterdziestego Regimentu - mówił Brisbane, pozwalając, żeby twarz medyk zmieniła się w podobiznę jakby lekko zakłopotanego Małego - został przechwycony przez okręty Stanów Zjednoczonych, a jego załoga i pasażerowie uzyskali status jeńców wojennych. Ze względu na stopnie żołnierze ci znajdują się dość nisko na liście osób do wymiany. Mam jednak uprawnienia, aby to zmienić.

Zapadła cisza. Kilkoro spośród siedzących żołnierzy wymieniło szybkie spojrzenia. Brisbane stał nieruchomo, wyraźnie świadom efektu, jaki wywarł. Pozwolił wyświetlaczowi pokazać Małego, a potem Bueller. Nie spieszył się. Był jak myśliwy, który wiedział, że zwierzyna mu się nie wymknie.

- Czy dysponuje pan, pułkowniku, jakimkolwiek dowodem na prawdziwość tej listy? - spytała Cartwright spokojnym głosem. - I że oni faktycznie żyją?

- Lista jest prawdziwa, otrzymałem ją jakiś czas temu. Mam pieczęć wiadomości, znacznik czasu, kody potwierdzające - odparł oficer i rozłożył ręce. - Wystarczą dowództwu, więc liczę, że wystarczą i wam. Co do tego, czy ci konkretni jeńcy nadal żyją, nie mam już tej pewności, choć jak dotąd tego typu wiadomości były bardzo dokładne i mogliśmy na nich polegać.

- I mamy na to tylko pańskie słowo? - kontynuowała porucznik. - Że pan przesunie ich wyżej?

- Mogę podpisać pisemne zobowiązanie - odparł Australijczyk, rzucając przelotne spojrzenie na wyświetlany dokument. Tym razem na ścianie za nim widniała ogolona na tyso głowa Neve'a. - Ale zdaje sobie pani sprawę, że w praktyce sprowadza się to do zaufania mojemu słowu.

- Tak, sir... - Cartwright uśmiechnęła się gorzko. - Wiem.

Przez chwilę nikt nic nie mówił, ale tak naprawdę było już po sprawie. Pułkownik nie przyszedł negocjować. Przyszedł tu po ludzi, wiedząc, że ma ich w ręku. Jeśli z kilkudziesięciu sesji przesłuchań uzyskał coś ważnego, na pewno była to wiedza o lojalności wobec kolegów z plutonu. Miał pewność, że żaden nie pozostawi ich w rękach wroga. Dlatego zebrał oddział razem, zamiast rozmawiać z nimi pojedynczo. Brisbane wiedział o wszystkim i ustawił bitwę, której nie mógł przegrać.

Pierwsza wstała Cartwright. Wierzba sekundę potem, praktycznie równocześnie z Weissem, który poderwał się, gdy tylko zauważył ruch porucznik. Niemi podniosła się powoli, ze wzrokiem wbitym gdzieś ponad prawe ramię pułkownika. Potem Isaksson i Sokole Oko, wreszcie mruczący przekleństwa Szczeniak.

Z hologramu spoglądał na nich Carrera, piąty na liście, kiedy siedmiu z ośmiu żołnierzy już stało.

- Rozumiem, że jesteście zdecydowani... - pułkownik oesów spojrzał na nadal siedzącego Thorne'a -... szeregowy, prawda?

Nacisk położony na stopień był tak wyraźny, że nie dało się nań nie zwrócić uwagi. Polak z trudem powstrzymał się od parsknięcia. Po tym, jak Brisbane powiedział, że odmowa nie oznacza konsekwencji, trzeba było szczególnego rodzaju optymizmu, aby wierzyć, że próba zagrania stopniem przekona żołnierza. Ku jego zaskoczeniu Thorne zeszywniał. Przez moment obaj mężczyźni patrzyli na siebie w milczeniu, spokojne, lekko ironiczne spojrzenie Brisbane'a krzyżowało się ze skupionym, nerwowym jak u osaczonego lisa wzrokiem szeregowca. Po nieskończeniu długich kilku sekundach Thorne wstał.

- Przepraszam, sir. Zagapiłem się - powiedział jakby nie swoim głosem.

- Cieszę się, że mogę was powitać na pokładzie - uśmiechnął się pułkownik, ignorując zaskoczenie, jakie wywołał jego pojedynek z szeregowcem. - Operacja rusza za dwadzieścia cztery godziny. Jutro, punktualnie o dziewiątej czasu stacji, przyjdzie do was porucznik Harris i udzieli dalszych instrukcji. Pełna odprawa nastąpi poza Brestem. Poruczniku Reese?

Młodszy z oficerów wyłączył holograficzny wyświetlacz i schował terminal do kieszeni. Brisbane skinął głową w stronę Cartwright i wyszedł z sali. Wraz z nim zniknął też młodszy oficer.

Wierzbę spojrzął na zegarek. Trzy minuty. Tyle upłynęło od momentu, kiedy pułkownik przedstawił swoją propozycję po raz pierwszy i odbił się od ich niechęci. Teraz, zaledwie sto osiemdziesiąt marnych sekund później, wszyscy byli już ludźmi Dowództwa Operacji Specjalnych. Sprzedali duszę diabłu i pozostało tylko mieć nadzieję, że cena była względnie uczciwa.

System Baita, 2.03.2212 ESD, 19:04

System Baita był jednym z dwóch w prowincji Liaoning, który posiadał znaną trasę skokową prowadzącą na terytorium Unii Europejskiej. Choć zamieszkiwali go jedynie górnicy z kilkudziesięciu małych placówek rozmieszczonych w zakamarkach pasa asteroidów, samo umiejscowienie czyniło z niego ważny punkt strategiczny. Imperialna Marynarka Wojenna zamieniła go w twierdzę, pierwszy krok na drodze męki, którą musiał przejść każdy, kto chciałby podnieść rękę na Imperium. Istne konstelacje bezałogowych platform obronnych otaczały graniczną boję skokową, a dwie pełne eskadry liniowe stale pełniły służbę wartowniczą, patrolując prawdopodobne strefy wyjścia z przestrzeni metrycznej. W Baicie rozmieszczono kilkadziesiąt centrów radarowych koordynujących działanie ponad dwudziestu tysięcy przekaźników, tworząc sieć zdolną śledzić wroga siły w całym systemie. Dwa szybkie okręty kurierskie czekały przy boi wiodącej w głąb Liaoning, gotowe zanieść wieści o nadchodzącym ataku i wezwać żołnierzy Niebiańskiego Smoka do walki z najeźdźcą. Cały wydział wywiadu pracował wyłącznie nad analizami ruchu sił nieprzyjaciela w pobliżu granicy, tak aby Cesarstwo zawsze było gotowe na inwazję. Żadna wroga flota nie mogła przełamać obrony Baity bez strat tak wielkich, że dalsza walka byłaby dla niej niemożliwa. Brisbane jednak nie planował przełamania. I dlatego nie przyleciał z flotą.

Sylwetka niszczyciela zmaterializowała się bezgłośnie w przestrzeni oświetlanej czerwonym blaskiem umierającego słońca Baity. Z zewnątrz maszyna nie przypominała okrętu - w jednolitej bryle kadłuba próżno było szukać luków wyrzutni czy charakterystycznych palców sensorów sięgających w przestrzeń. Nie wyrastały z niej wieże

wymienników ciepła ani węzły dokujące. Jednostka nie uruchomiła silników, szła samą inercją, lekko wirując, jak wycięta z ciemności kropla. Ktokolwiek obserwowałby jej pojawienie się w systemie, mógłby spokojnie uznać ją za jeden z tych okrętów widm, które skoczyły tuż przed Dniem i awaria systemów nawigacyjnych skazała je na wieczną tułaczkę.

Ale obserwatorów nie było. Podarowane Unii przez Ariadnę tylne drzwi do systemu znajdowały się zbyt daleko od głównej strefy obronnej, aby podlegały monitoringowi patrolujących eskadr. Konstrukcja niszczyciela pozwalała mu natomiast na przystąpienie bez kompleksów do śmiertelnej gry w chowanego z automatycznymi systemami obronnymi Baity.

Bo też „Orzeł” nie był zwykłym niszczycielem. Zainstalowano na nim mniej wyrzutni niż na innych maszynach podobnej wielkości, a jego zapas rakiet znacząco uszczuplono. Był również lżej opancerzony, posiadał mniej stanowisk obrony punktowej, a generator zwierciadła lasera dalekiego zasięgu miał o jedną trzecią mniejszą moc. Za wysoką cenę praktycznego pozbawienia okrętu szans w starciu inżynierowie kupili jedną tylko rzecz - prawie całkowitą niewidzialność. Zaoszczędzone na broni miejsce przeznaczono na dodatkowe systemy zagłuszające, nadprogramowe bloki walki elektronicznej i luki, w których w miarę potrzeby ukrywano wszystkie zewnętrzne podzespoły okrętu. Dodatkowe kondensatory termiczne pozwalały na dłuższe zachowanie dyscypliny emisji, a trzy stanowiska szperaczy umożliwiały minimalizowanie echa skoku metrycznego. Lekki niszczyciel postawiony naprzeciw imperialnych sensorów w Baicie nadal co prawda nie znajdował się w łatwej sytuacji, ale nie był pozbawiony szans na przetrwanie.

Dopiero po kilku godzinach bezwładnego lotu dowódca okrętu zdecydował, że można dokonać pierwszego manewru we wrogiej przestrzeni. Na kadłubie „Orła” rozwarły się szczeliny dysz, dotąd schowane pod dodatkowymi pokrywami. Kilka uderzeń strumieni schłodzonych gazów z zasobników mikromanewrowych skierowało jednostkę na nowy kurs i minimalnie zwiększyło jej prędkość. Zwrócony ku odległemu pasowi asteroid Baity, okręt ponownie zasnął, ale był to sen tylko pozorny. W trzewiach niszczyciela wibrowało nerwowe życie. Sekcja taktyczna dopracowywała kolejne manewry akcji zaplanowanej na najbliższe siedemdziesiąt dwie godziny, a operatorzy stanowisk sensorów wpatrywali się w swoje ekrany, starając się wyłowić najmniejszy znak aktywnego polowania. Dwóch magów i ośmiu specjalistów od walki elektronicznej pracowało bez przerwy, tocząc niewidzialną bitwę z detektorami systemowymi. Okręt przechodził przez krytyczne stadium całej zaplanowanej w Dowództwie Operacji Specjalnych misji. Od teraz każde następne miało takie być.

Szesnaście osób. Tylu żołnierzy wysłano do sąsiedniego systemu Shuncheng, na przemysłową planetę Fushun. Wśród żołnierzy pułkownika Brisbane'a najbardziej wyróżniał się major Hampel, szczupły mag o bladej cerze i upiornie przenikliwym spojrzeniu czarnych oczu. Wszyscy wiedzieli, że magowie są odrobinę niesamowici, ale Wierzba nigdy nie widział żadnego z nich z bliska. Major rzadko wdawał się w rozmowy z innymi, po prostu pojawiał się na odprawach i podczas posiłków. Trudno było pozbyć się wrażenia, że mag nie jest już całkiem człowiekiem, a raczej czymś w rodzaju hybrydy, odsuniętej od reszty gatunku przez implantację neurozłącza.

Wysoki, muskularny porucznik Harris o zaciętej twarzy i niemal idealnie szarych włosach dowodził bezpośrednio trójką komandosów i rudym jak marchewka technikiem o nazwisku Bryce. On i jego ludzie zdawali się ograniczać kontakty z podwładnymi Cartwright do koniecznego minimum, a i wtedy sprawiali wrażenie, jakby z trudem ukrywali niechęć. Wierzba rozpoznał piątkę żołnierzy, kiedy tylko ich zobaczył - ten sam zespół Brisbane prowadził na New Quebec. Ci sami ludzie pozwolili wystrzelać kompanię Polaka. To oni zjawili się w Delta Dwa Zero... Oczywiście w tym czasie żołnierze oesów byli ledwo widoczni za maskowaniem i goglami, ale Bagno nauczyło Marcina zwracać uwagę na inne cechy niż tylko twarz czy postura. Głosy, sposób poruszania się, rytm stóp na podłożu, gesty... Wierzba - żołnierz zdawał sobie sprawę, że ani porucznik Harris, ani żaden z podlegających mu ludzi nie ponosi odpowiedzialności za zniszczenie Czterdziestego Regimentu. Wierzba - człowiek chciał się rzucić im do gardeł. Polak odkrył też inne uczucie, potęgujące się, ilekroć rejestrował, w jaki sposób się poruszają, i kiedy wyłapywał skupione na sobie czujne i niechętne spojrzenia. Oesy nie były zwykłymi jednostkami specjalnymi i przebywając z nimi na małej przestrzeni, dało się to wyczuć. Owszem, żartowali między sobą, czasem wydawali się nawet rozluźnieni, ale Marcin podskórnie czuł, że mają w sobie mniej ludzkich cech niż wyobcowany Hampel. Patrząc na podkomendnych Harrisa, istoty jakby całkowicie ukształtowane przez wojnę, Wierzba - drapieźnik bał się.

Ostatnim z zespołu był porucznik Reese, psycholog. Młody oficer wyraźnie odstawał od swoich towarzyszy i częściej przebywał w towarzystwie drużyny Cartwright niż pozostali. Kilka razy Marcin widział, jak mężczyzna obserwuje Harrisa, i czasami myślał, że i jego niepokoi wysoki dowódca komandosów. Może po prostu Reese był jeszcze po ludzkiej stronie granicy - a patrząc na Harrisa, widział siebie za kilka lat? A może po prostu całe jego zachowanie stanowiło jedynie grę, mającą jakiś mglisty cel, jasny dla niego, ale całkowicie niewidoczny dla Wierzby? Porucznik był w końcu specjalistą od gier umysłowych. Pewnie miał inną twarz na każdą rozmowę.

Siedem dni lotu upłynęło żołnierzom na intensywnych przygotowaniach do nadchodzącej akcji. Trzeba było przyznać, że Operacje Specjalne nie uznawały półśrodków. Uczyli się zarówno planów chińskich statków górniczych, jak i detali na temat samego Fushun. Kilka osób przeszło mocno skondensowany kurs pilotażu cywilnych wahadłowców, a przynajmniej jako takiej kontroli ich lotu. Powtarzali procedury abordażu statków cywilnych. Kiedy nie spędzali czasu nad mapami kompleksu mieszkalno-przemysłowego Xinfu, miasta położonego najbliżej kosmoportu, powtarzali słówka w wysokim imperialnym - języku, którym co prawda większość poddanych Cesarza nie posługiwała się na co dzień, ale warto było w nim poznać kilkanaście podstawowych zwrotów. Opanowywali lingüę Fushun - lokalną wersję języka kolonistów, tak wielokrotnie mieszanego, że można było go z pewnością uznać za uniwersalny. Miała kilkaset nowych idiomów oraz dość specyficzny akcent i była chyba jedynym aspektem przygotowania, którego sensowność Polak dostrzegał od razu - choć być może wynikało to z faktu, że akurat lekcje języka szły mu nadzwyczaj dobrze. Wkuwali plany awaryjne i takie, które mieli realizować, kiedy te pierwsze zawiodą. Analizowali typowy rozkład wart przy wojskowym posterunku radarowym i procedury alarmowe w wielkich kopalniach i rafineriach caellium. Prawo administracyjne i regulaminy służb transportowych. Wiedzę o popularnych napojach i narkotykach. Wierzba nie wierzył, że ktokolwiek jest w stanie opanować to wszystko w czasie zaledwie kilku dni. Wróciło zmęczenie, dokuczliwą szarością myśli przypominając o starej znajomości.

Na niszczycielu nie mieli zbyt wielu opcji na zagospodarowanie sobie niewielkiej ilości wolnego czasu pomiędzy snem a przygotowaniem do akcji. Większa część systemów okrętu była wygaszona ze względu na pełną dyscyplinę emisji - wykrycie „Orła” w zasadzie równało się jego eksterminacji, więc pozostawiono tylko urządzenia „absolutnie konieczne” do wykonania zadania. Nawet trzymanie oddziału pułkownika Brisbane’a poza hibernatorami było pewnego rodzaju ustępstwem wobec konieczności przygotowania żołnierzy do zadania. W rezultacie za każdym razem, kiedy umysł odmawiał już posłuszeństwa, pozostawał sen, ewentualnie bezcelowe kręcenie się po niezastrzeżonej strefie.

*

Szczeniak zaklął cicho po holendersku i po raz któryś uruchomił wirtualną mapę Xinfu. Potem wbił wzrok w ekran datapada, wyciągnął rękę do stołu i na oślep sięgnął po kubek z czymś, co przy odrobinie dobrej woli można było zakwalifikować jako sok. Podobnie jak przy kilku ostatnich razach źle wymierzył i plastikowy kubek przewrócił się, a pomarańczowa ciecz rozlała się na podłogę mesy. Tym razem przekleństwo było znacznie głośniejsze. Dwójka komandosów siedząca przy tym samym stoliku na chwilę przerwała

rozmowę i z zaciekawieniem popatrzyła na pechowego żołnierza. Zajmujący miejsce przy odległym stoliku Weiss i trzeci komandos o nazwisku Navarre nie zareagowali. Niemiec nadal nie podnosił wzroku znad swojego notatnika, a niższy od niego, ciemnowłosy oes czytał coś na datapadzie. Holender burknął coś cicho i szybko stał rozlany napój.

- Ktoś idzie po sok? - zwrócił się do siedzących obok Wierzby i Isaksson, tylko po to, by spotkać się z ich zafascynowanymi spojrzeniami. - Oraz, o co chodzi?

- Powtarzasz się - zachichotała Szwedka i zabrała Van Reutersowi kubek. - Albo to, albo wpadliśmy w pętlę czasową.

Dziewczyna mówiła prawdę - cała sekwencja zdarzeń była niemal dokładną kopią wydarzeń sprzed kwadransa. Chyba nawet przekleństwo się zgadzało.

- Moja oryginalność musiała ustąpić miejsca czternastu knajpom z chińskim żarciem. - Szczeniak mówił już do pleców idącej w stronę automatu z napojami koleżanki. - Choć domyślałam się, że w Imperium mówią na nie po prostu „żarcie”.

- Chcieliśmy być w jednostce specjalnej, to mamy. - Wierzba zrezygnował z kolejnego podejścia do standardowych procedur ewakuacji pożarowej w Xinfu i wyciągnął już mocno zdekompletowaną talię kart. - Nie wierzę, żeby każdy Chińczyk na Fushun wiedział takie rzeczy.

- Jak tak dalej pójdzie, będziemy podejrzanie kompetentni. - Szczeniak z melancholią przyjrzał się ekranowi swojego urządzenia. - I każdy nas rozpozna. Zresztą, i tak każdy nas rozpozna, bo jesteśmy, tak jakby, biali. Chyba że mamy jakiś genialny plan, jak obejść ten problem.

Wracająca Isaksson wybuchła stłumionym śmiechem, zataczając się z kubkami, i nawet dwójka komandosów z naprzeciwka zachichotała złośliwie. Van Reuters spojrzał na Polaka i rozłożył ręce z pytającym wyrazem twarzy.

- Czemu widownia tak dobrze się bawi?

- W Imperium nie wszyscy są żółci. - Polak wstał i ostrożnie odebrał od radiooperatorki trzy kubki z napojem. - Prawdopodobnie prawdziwych Chińczyków jest tam mniej niż piętnaście procent. Reszta to ludność z byłych terytoriów Konsorcjum. Mieszkańcy, zupełnie jak my.

Szczeniak poskrobał się po ciemnych włosach.

- Hm. Troszkę mi się palnęło. Ale hej, jestem tu pierwszy raz. - Rzucił okiem na ekran datapada, a potem wyszczerzył się do Isaksson. - Nieprawdaż, mei mei?

Radiooperatorka uśmiechnęła się krzywo i trzepnęła kolegę w głowę.

- Za co? - Osłonił się ramieniem, zanim zdążyła dosięgnąć go ponownie.

- Nazwanie mnie dziwką nie jest mądrym pomysłem przed niebezpieczną akcją. - Spokojnie uniosła kubek i napiła się. - Wiesz, jak tam łatwo zginać?

- „Mei mei” to siostrzyczka, głupia babo - burknął urażony szeregowiec. - Jak już mnie tłuczysz, to chociaż sprawdzaj.

- Z twoim akcentem to znaczy „dziwka”, skarbie. - Szwedka spojrzała na niego z góry.

- Ten wysoki imperialny to jakieś cholerne monstrum językowe. Dziwię się, że w Imperium nie toczy się wieczna wojna domowa.

- Bo ciebie tam nie ma. - Szczeniak sięgnął po własny kubek. - Ale dziękuję za pyszny sok i niech nikt nie mówi, że nie okazałem dobrej woli.

-... Bo przyjąłeś pomarańczowe świętowanie pokoju? - Wierzba uniósł głowę znad rozkładanej postrzępionej kolekcji. - Mam w takim razie złą wiadomość. To nie jest sok.

- Nie, bo nie oddałem tej tutaj... - Ruchem głowy wskazał na Isaksson. - Mimo że zostałem zaatakowany.

- Tak... - Wierzba powoli obracał w dłoni króla karo. - Miejmy nadzieję, że Chińczycy okażą się dla nas równie wspaniałomyślni.

Przetasował karty. Ostatni rok nie był najlepszym okresem dla jego szczęśliwej talii. Część kart zgubił, część oddał. Kilka zniszczyło się tak, że trudno było je odczytać, a walet kier miał dziurę po odłamku pocisku z automatycznego moździerza. Jeśli faktycznie - jak powiedziała mu kiedyś siostra - miały przynosić szczęście, większość jego przydziału Marcin zużył na Bagnie. Z namysłem przetasował karty i rozłożył przed sobą. Trójka trefl, z niemal zamazanym wzorem, dziurawy walet kier oraz ósemka pik, na której cyfra była otoczona wymalowanym pisakiem wzorem kropek.

- Wzrusza mnie. - Szwedka spojrzała na Szczeniaka. - Może na urodziny kupimy mu nową talię? Pomyśl, jak się ucieszy, mając je wszystkie.

- Kto mówi, że chcę nowe? - Marcin uniósł wzrok znad talii.

- Nikt ci nie mówi, bo staramy się być mili, ale stare są brzydkie i do niczego.

Polak nie skomentował. Ku jego zaskoczeniu odezwał się za to siedzący przy stoliku obok sierżant Cross, muskularny, ścięty na kilka milimetrów mężczyzna o poranej bliznami twarzy.

- Wierzbowski ma rację. Nowe nie będą się nadawały.

- Nadawały? - zainteresował się Holender. - Do czego?

- Do wróżby - wyjaśnił Cross, posyłając mu pewne wyższości spojrzenie. - To skomplikowana sprawa i potrzebujesz czegoś, z czym jesteś związany. Ja swoje na przykład mam od ponad dziesięciu lat.

Sierżant sięgnął do kieszeni munduru i wyciągnął z niego zapakowaną w plastikowe pudełko talię. Szybko rozłożył karty na stole.

- Aha. - Szczeniak zachichotał. - Wróżenie z kart, poważna sprawa. Znaczący, za pozwoleniem.

- Nie musisz w to wierzyć.

- O, pewnie, że nie muszę - zachnął się Van Reuters. - Bo to bzdury.

Wierzba wymienił spojrzenia z Isaksson, ale oboje milczeli. Solidarność oddziaływała nie pozwoliła im wspomnieć o chwilach, kiedy Holender z upodobaniem sięgał po przepowiednie rodem ze zniszczonej tali.

- Tak twierdzisz, twoja sprawa. - Cross wzruszył ramionami i złożył leżące na stole karty.

- Tak twierdzi moja stówka - wyszczerzył się Holender. - Ale uprzedzam, znam się na sztuczkach, Wierzba to prawdziwy czarodziej.

- Nie daj się wkręcać, Szczeniak - dobiegł ich nagle głos Weissa. Niemiec nawet nie uniósł głowy znad notatnika, pracowicie coś w nim kaligrafując.

- Kto jak kto, ale chyba ty nie wierzysz we wróżby. - Van Reuters spojrzał na kolegę sceptycznie, a potem przeniósł wzrok na muskularnego sierżanta oesów. - Stówka.

Cross westchnął ciężko, przez chwilę nie unosząc wzroku znad stołu. Potem bez słowa kiwnął głową i rozłożył na blacie dwanaście kart w dwóch rzędach. Przez chwilę wpatrywał się w nie zmrużonymi oczami, po czym podniósł wzrok na Van Reutersa.

- Uważasz się za twardszego, niż jesteś - powiedział. - Ale tak naprawdę boisz się zawieść.

- Uważam się za dokładnie tak twardego, jak jestem - mruknął Szczeniak. - I nikt nie lubi nawalać.

- Spokojnie. - Cross dotknął delikatnie awersu króla karo. Na zniszczonej twarzy uduchowanie wyglądało niemal zabawnie. - Widzę zagubienie. Dostrzegam... uczucie? Do kogoś zależnego? Nie...

Van Reuters nerwowo oblizał wargi i szybko zamrugnął.

- Jak...

- Ale inni nie dostrzegają wagi tego uczucia. Że jest czymś, co może cię uratować. Holender wyraźnie zbladł.

- Hej, czemu nie opowiadasz o swoich romantycznych podbojach? - zainteresowała się Isaksson.

- Bo nie było żadnych. - Szczeniak uśmiechnął się nerwowo, wyraźnie nieswój. -

Laska mi zaciążyła.

- To nie był romantyczny podbój? - Radiooperatorka uniosła brew. - Nigdy nie wspominałeś.

- Oj, nie był.

-... Związek jednocześnie silny i słaby... - Cross przymknął oczy, przesuwając dłonią po kartach.

-... No dobrze, skoro dzieciak się urodził, to dzielimy opiekę - zachnął się Szczeniak, rzucając jednak sierżantowi ośców zaniepokojone spojrzenie. - Wiecie, żeby wydymać medpodatek. Norma, a mnie nic nie kosztuje.

- Dziecko! - Cross uniósł dwójkę kier, przesuwając palcem po jej nierównym brzegu. - To wyjaśnia, skąd taka niska karta w tym układzie.

- Czasem piszę, wiecie, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. - Holender zabrał mu kartę i przez chwilę się w nią wpatrywał. Oczy żołnierza lekko się zaszklily.

Sierżant milczał, przesuwając pozostałe karty tak, by ułożyły równy wzór.

- Jesteś zadowolony? - spytał.

- Przeleję ci twoją stowę. - Szczeniak mówił głosem ledwo o cień odległym od szeptu.

- Muszę iść.

- Wiesz, mogę poczekać, karty kazały... - zaczął Cross i nagle parsknął śmiechem. Sekundę później zawtórowała mu dotychczas milcząca Hiszpanka o nazwisku Delaviente.

- Hę? - Holender przyglądał mu się z wyrazem totalnego zaskoczenia na twarzy.

- Mówiłem przecież - powiedział Weiss bardzo cicho, ale z jakiegoś powodu Wierzba go usłyszał.

- Nowy król łatwowierności! - śmiał się sierżant, odchylając się na krześle.

- Jak w ogóle trafiasz nogami do spodni, dupku? - chichotała Delaviente, uderzając otwartą dłonią o stół. Isaksson i Wierzba spojrzeli po sobie.

- Ewaluacja psychologiczna... - mruknęła Isaksson. - Sukinsyny musiały zgrandzić dane.

Wierzba podniósł się zza stolika. Nie było tajemnicą, że komandosi Brisbane'a nie przepadają za wymuszonymi współpracownikami, ale ten numer wydawał się zdecydowanie przesadzony.

- Ha, ha, doprawdy, kurwa, zajebiste. - Szczeniak zaśmiał się, lecz Marcin wyczuł w jego głosie niebezpieczne nuty. - W pytę dowcip.

- Łatwy cel... - zaczął Cross, ale nie dokończył.

Szczeniak rzucił się na niego ponad stołem. Plastikowe sztucze zagrzechotały o

podłogę, a rozrzucone karty uniosły się w powietrze. Ale sierżant był gotowy. Krótkim ciosem posłał Holendra na ścianę. Szczeniak odbił się od niej jak piłka i zamachnął do ciosu, ale niezwykle szybki komandos zrobił dwa kroki i znalazł się idealnie poza polem widzenia szeregowca. Błyskawicznie obrócił się, żeby poprawić, jednak nie przewidział ruchu Isaksson. Szwedka doskoczyła do niego w chwili, kiedy wyprowadzał cios, i kopnęła mocno, nieczysto, dokładnie w krocze. Jediną rzeczą, którą zdążył zrobić Cross, było wykręcenie się i przyjęcie ciosu na biodro, ale z uderzenia zrezygnował. Delaviente, która zerwała się z krzesła niemal w tej samej chwili co dowódca, właśnie zachodziła Isaksson z boku, kiedy z impetem wpadł na nią Marcin. I tym razem jednak szlag trafił zaskoczenie. Mocny cios w splot słoneczny momentalnie wyrwał Wierzbie oddech z płuc. Starając się ignorować migające przed oczyma kolorowe kręgi, Polak uderzył krótkim hakiem, lecz znowu chybił. Dwa błyskawiczne ciosy Hiszpanki trafiły go w twarz i pod żebra, a kopnięcie poszło na podłogę. Pozbawiony tchu i omal przytomności, prawie nie czuł uderzenia o przewrócone stołki. Jak przez mgłę zdawało mu się, że słyszy jęk Isaksson i trzask pękającego blatu, ale szyja słuchała poleceń z dziwnym opóźnieniem.

- Stop! - Otumaniony umysł potrzebował dobrych kilku sekund, żeby zidentyfikować głos Harrisa. - Co się tu dzieje?

- Rzucili się na nas, sir - odpowiedział mu lekko zdyszany Cross.

- To pewnie ta ich niechęć do Operacji Specjalnych, wie pan... - dodała Delaviente.

Marcin spróbował się podnieść. Zawroty głowy nie minęły, ale przynajmniej dał radę się ruszyć - i zobaczyć krajobraz po bitwie. Wszędzie wokół widział rozrzucone krzesła, tacki i sztucce, a podłoga była upstrzona rozsypanymi kartami. Leżący pod nogami Crossa Szczeniak powoli się podnosił. Musiał być w jeszcze gorszym stanie niż Marcin, bo szło mu niesporo, mimo pomocy kucającego obok Weissa. Isaksson stała przy ścianie, a złośliwie uśmiechnięta Delaviente trzymała rękę na jej ramieniu, poprawiając kołnierzyk bluzy mundurowej. Dwa stoliki dalej kilka nieudanych prób pobierania się z podłogi przeprowadził Navarre.

- Nie zamierzam tolerować tego rodzaju tarć. - Spojrzenie Harrisa wyraźnie sugerowało jego nastawienie do relacji podwładnych. - Wszyscy do ambulatorium. A potem, skoro macie tyle pary, znajdzie się dla was robota.

Odpowiedziało mu kilka - w różnym stopniu bełkotliwych - potwierdzeń. Nikt się nie kłócił. Nie było sensu, zwłaszcza że i tak mogło skończyć się to o wiele gorzej. Harris nie wnikał w przyczyny bójk, co w zasadzie działało na korzyść Szczeniaka, bo „nazwanie idiotą” nie stanowiło raczej wystarczającego powodu do rzucenia się na innego żołnierza, a

kto wie, czy oesy po prostu nie mogły legalnie czytać ich akt. Porucznik nie zająknął się także ani słowem na temat różnicy stopni. Uczciwie trzeba było też przyznać, że sam Cross nie zagrał tą kartą ani razu, choć pewnie by mógł.

Dwadzieścia minut później, z przyklejonym na twarzy medplastrem i leżąc pod skanerem ambulatorium, Wierzba nie mógł pozbyć się myśli, że oesy przewidziały tę bójkę i to ona, a nie głupi dowcip, była celem ich zachowania w mesie „Orła”. Że w jakiś sposób chcieli się wyładować na tych, którzy zastąpili ich zabitych kolegów.

*

W imperialnym systemie Baita rozpoczynała się właśnie ósma doba od momentu, kiedy „Orzeł” zakończył skok metryczny. Ledwo odróżnialny od dryfu marsz zawiódł niewielki niszczyciel w rejon pasa asteroid i znajdujących się tam stacji wydobywczych. W ciągu całych dni jedynymi jego działaniami były korekty kursowe oraz wypuszczenie czterech niewielkich satelitów na bliskiej orbicie słońca, gdzie stałe placówki miała tylko garstka instalacji monitorujących aktywność gwiazdy Baity. Teraz jednak wszystko miało się zmienić. Przez kolejne sześć godzin, ostrożnie, używając niemal wyłącznie dysz do mikromanewrów, okręt wytracił całą prędkość marszową i zawisł nad jedną z imperialnych placówek - kilkanaście tysięcy kilometrów, blisko, lecz nie aż tak, by dać się zauważyć z powierzchni. Osiemnaście specjalnie przygotowanych boi, które wypuścił w trakcie deceleracji, powoli zajmowało wyznaczone pozycje. „Orzeł” przebywał w miejscu zdecydowanie bardziej uczęszczanym niż otwarta przestrzeń, ale okolicę stacji wydobywczej można było uznać za najbezpieczniejszy punkt w systemie. Operatorzy sensorów praktycznie ślepych cywilnych frachtów nie mieli szans wykryć przyczajonego drapieżnika, a nieliczne rozmieszczone tak głęboko w systemie wojskowe patrole prawie na pewno musiały zinterpretować ewentualne echo jako korekty pozycji przyporządkowanych placówce satelitów komunikacyjnych.

Z wewnętrznych luków „Orła” wysunęły się wieże anten biernych czujników i systemów łączności krótkiego zasięgu. Okręt zamarł na pozycji. Pochłaniająca światło widzialne powłoka refleksyjna sprawiała, że nawet gdyby jakimś cudem ktoś w pobliskiej placówce spojrział dokładnie na niego, dostrzegłby jedynie wyciętą z przestrzeni Baity drzazgę ciemności. Niszczyciel czekał.

*

Pułkownik Brisbane zdawał się wyznawać zasadę, że jego podwładni powinni wiedzieć, co robią. Była to całkiem miła niespodzianka wobec tego, czego Wierzba się po nim spodziewał. Oficer szedł jednak o krok dalej - po kilku następnych dniach i oddzielnych

naradach Marcin potrafił wyrecytować kolejne etapy akcji o dowolnej porze dnia i nocy - od abordażu cywilnego masowca, który miał ich zawieźć na Fushun, przez transport ładunku i bezpieczne lokacje na terenie samego Xinfu, aż po plany uderzenia na imperialne placówki obrony przeciworbitalnej oraz systemy bezpieczeństwa kopalń. Godziny nauki sprawiały, że po terenie kosmoportu Fushun mógł poruszać się praktycznie na ślepo, znał siłę i rozmieszczenie garnizonu Xinfu i jednostek zabezpieczenia...

Wyraźnie jednak zasada ta nie rozciągała się na znajomość szerszego obrazu sytuacji. Marcin nie miał pojęcia, jak „Orzeł” w ogóle podejździe niewykryty do jakiegokolwiek frachtowca czy w jaki sposób sporych rozmiarów ładunek nie zostanie zauważony podczas szmuglowania go z kosmoportu. Plan sabotażu wyrzutni ziemia - orbita wydawał się opierać na zbiegach okoliczności, na które nie można było po prostu liczyć. Zapytany, Brisbane odpowiadał, że operacja będzie przeprowadzana w koordynacji z innymi oddziałami, ale nie wdawał się w szczegóły. Polak próbował się dowiedzieć czegoś od grupy oesów, ale ci reagowali tylko niechętnymi spojrzeniami.

Oddział Wierzby prawie w ogóle nie spędzał czasu z ludźmi pułkownika. Nieliczne próby nawiązania bliższej znajomości, na jakie zdobywał się Szczeniak przede wszystkim wobec smagłej, drapieżnej Delaviente, urwały się po bójce w mesie. Nie tworzyli jednego oddziału, ale raczej dwa całkowicie odrębne zespoły pod jednym dowódcą. Oczywiście, na ograniczonej przestrzeni sekcji pasażerskiej niszczyciela rodziły się różne teorie dotyczące takiego stanu rzeczy. Szczeniak uważał, że to kwestia niezadawania się z podrzędnymi „zwykłymi żołnierzami”, choć jak słusznie zauważył Thorne, nie wiadomo było, ile detali planu znają sami szturmowcy. Weiss, kiedy akurat nie zajmował się przygotowaniem, ćwiczeniami lub swoim notesem, sugerował, że dystans pomiędzy nimi a oesami jest celowy. Niemiec był zdania, że nie ma niczego, co gorzej wpływa na ocenę sytuacji, niż chęć pomocy kolegom, i wyraźny podział ma sprawić, że oba oddziały będą traktować się bardziej jak ewentualne wsparcie niż towarzysze broni. Sam sposób myślenia, jaki doprowadził Wunderwaffe do takich wniosków, wydawał się dość przerażający, ale trudno było odmówić mu pewnej logiki. Isaksson z kolei żartowała, że to pewnie dlatego, iż oesy przewidują ich schwytanie i nie chcą, by cokolwiek sypnęli. Polak złapał się na tym, że słowa koleżanki nie brzmią dla niego ani trochę nieprawdopodobnie. Z całą pewnością podobny plan mógł pojawić się w Dowództwie Operacji Specjalnych.

Któregoś dnia poszedł spytać o to Niemi. Milcząca sierżant, jeżeli nie przygotowywała się do akcji, po prostu siedziała w miejscu, gdzie aktualnie skończyła pracę, nieruchoma niczym wyłączony android.

- Psujemy oddział - odpowiedziała cicho zapytana, patrząc na Wierzbę oczami, w których przelewała się Mgła. - Jesteśmy słabym punktem. Pewnie woleliby iść sami, niż ciągle oglądać się na nas.

*

- Zmodyfikowany frachtowiec klasy Yunnan, kryptonim Pekin, będzie oczekiwał na jednostki transportowe przez okres około stu dwudziestu minut. - Ciemna, oświetlona jedynie holograficzną mapą sala odpraw „Orla” sprawiała, że głos Brisbane’a brzmiał głucho, choć zapewne była to też jakaś wypadkowa miękkich foteli i męczącego dnia. Wierzba pociągnął długi łyk napoju energetyzującego z puszki, licząc, że pozwoli mu to utrzymać uwagę. - To da nam czas na wejście na pokład. Kolejnym krokiem jest przemieszczenie ładunku do strefy magazynowej A-7. Zajmie się tym mój zespół Alfa.

Do przestrzennej mapy dołączył trójwymiarowy plan chińskiego transportowca, z czerwono podświetlonymi punktami abordażu i oznaczonym na błękitno magazynem, obok którego zabłysnął dodatkowo ideogram w wysokim imperialnym. Ćwiczenia ostatnich dni sprawiły, że w głowie Marcina natychmiast pojawiły się możliwe trasy poprzez trzewia maszyny.

- Tymczasem - na wyświetlaczu zobaczyli kolejny opisany chińskim znakiem punkt - drużyna Bravo, pod dowództwem porucznik Cartwright, przemieści się do sekcji pasażerskiej i zabezpieczy komorę Kavu. Od momentu rozplombowania prowadzącej tam śluzę specjalista Isaksson będzie miała około pięciu minut na insercję wirusa.

Szwedka kiwnęła głową, w skupieniu obserwując holo. Przygotowany przez Hampla wirus miał przekonywać system frachtowca, że szesnastka intruzów była tak naprawdę załogą jednej z górniczych kolonii. Radiooperatorka ćwiczyła z programem od kilku dni - i z tego, co wiedział Wierzba, pięć minut powinno jej zupełnie wystarczyć.

- Jeżeli komora Kavu będzie zajęta, komorami rezerwowymi są kolejno Dora i Han. - Kolejne punkty pojawiły się na planie równo ze słowami oficera. - Kryptonimy odpowiednio Srebro i Brąz. Kod radiowy „Flop” będzie oznaczać, że żadna z nich nie jest wolna.

- Co wtedy? - zapytał Thorne z tylnego rzędu.

- W takim wypadku Bravo spotka się z nami przy A-7 w celu ustalenia planu awaryjnego.

Brisbane podszedł do komputera i wprowadził z klawiatury kilka poleceń. Mapa przestrzeni Baity zniknęła, zastąpiona przez schemat systemu Shuncheng. Obraz natychmiast zmienił zakres, koncentrując się na Fushun, średniej wielkości planecie, drugiej licząc od jasnej, niedużej gwiazdy.

- Fracht klasy Yunnan nie używa pola Kuznietzova, więc trzeba będzie się hibernować - ciągnął. - Wprowadzony wirus pozwoli nam na wybudzenie się około pół godziny po skoku, czterdzieści minut przed resztą pasażerów. To da nam szansę na przygotowanie się do zejścia na planetę.

- Nie będzie kontroli orbitalnej? - chciała wiedzieć Cartwright.

- Procedura jej nie przewiduje - odparł pułkownik. - Gdyby jednak miano ją przeprowadzić, odbędzie się w oparciu o manifest przesłany przez Pekin, a my będziemy na nim figurować.

- A gdyby bazowali na danych poprzednich lotów? - Wierzba nie widział Thorne'a, ale świetnie mógł sobie wyobrazić minę szeregowca.

- W tym nader mało prawdopodobnym przypadku - ostre spojrzenie oficera skierowało się na żołnierza - decyzja zostanie podjęta na miejscu przez dowodzącego zespołem.

Siedzący obok Wierzby Szczeniak pochylił się do Polaka.

- Teraz szanowny pan pułkownik może sobie zobaczyć, z kim my musimy użerać się codziennie - mruknął.

- Thorne szuka zwady - szepnął Marcin. - Chyba pułkowników nie lubi jakoś szczególnie.

- Zejście lądowników Pekinu na planetę zakończy tę fazę operacji - kontynuował Brisbane. Następnym trójwymiarowym obrazem wyplutym przez projektor był plan kosmoportu Xinfu. - Co prowadzi nas do kolejnego punktu.

- Przepraszam, sir. - Tym razem dłoń uniósł Sokole Oko. - Mam pytanie do tej części.

- Słucham, kapralu?

- Cała faza operacji opiera się na transferze dużej części personelu górniczego z Baity na Fushun. Tymczasem - Hiszpan spojrział na swój datapad - według rozkładu ruchu cywilnego, który mamy, taki transport w ogóle nie jest planowany.

Pułkownik Brisbane uśmiechnął się tym charakterystycznym rodzajem uśmiechu, którego nigdy nie chce się zobaczyć u wroga.

- Jest planowany, kapralu - powiedział miękko. - Po prostu wymaga specjalnych okoliczności.

Stacja sieci monitorującej Zen, system Baita, 12.03.2212 ESD, 04:19

Bezzałogowej stacji monitoringu Zen, wiszącej na niskiej orbicie gwiazdy Baity, daleko było do cacek używanych przez wojsko. Na starej, wysłużonej konstrukcji nie zainstalowano sprzętowych modułów walki elektronicznej ani systemów kaskadowego

uwierzytelniania. Jądro oprogramowania nie zostało obudowane gęszczem algorytmów defensywnych. To wszystko byłoby po prostu niepotrzebne - danych na jej pokładzie nikt nie mógłby nazwać tajnymi czy choćby ciekawymi. Jedynym jej celem była bowiem obserwacja niespokojnego konania czerwonego giganta. Miały minąć jeszcze miliony lat, nim gwiazda zakończy swój żywot, zapewne długo po tym, jak umrze ostatni człowiek. Niestety jednak Baita nie umierała spokojnie, miotając wokół nieregularnymi rozbłyskami, niegroźnymi dla eskadr trzymających straż w systemie, ale szkodliwymi dla ponad pięciu tysięcy górników. Zen została umieszczona na niskiej orbicie czerwonego słońca właśnie ze względu na tych ostatnich - jako system wczesnego ostrzegania mówiący delikatnym ludzkim istotom, że oto Baita miota się w niespokojnym śnie. Dlatego też Zen nie służyła do prowadzenia wojny elektronicznej, zresztą jej sensory i tak nadawały się jedynie do analizy pozostającej pod jej pieczą gwiazdy. Głównymi cechami stacji była odporność, niezawodność i prostota utrzymania - o wiele ważniejsze podczas długotrwałego użytkowania w niszczyielskich warunkach. A także całkowicie nieprzydatne wobec zmasowanego ataku koordynowanych przez Hampla dwóch magów „Orła”. Wobec cywilnego satelity trzy ludzkie komputery były niczym nalot dywanowy, nawet jeśli magowie musieli działać za pośrednictwem pozostawionych kilka dni temu przekaźników. Atak trwał nieco poniżej dziewięciu minut, z czego osiem pożarło opóźnienie łączności. Po niecałych dziesięciu na pokładzie stacji rozpoczął działanie nowy algorytm analizy otrzymywanych sygnałów - różniący się od oryginalnego zaledwie kilkoma drobiazgami. W jedenastej - cztery pozostawione przez unijny okręt satelity zeszyły z orbity gwiazdy, by wejść na długą krzywą opadania wprost w płonące objęcia Baity. W trzynastej podmieniony algorytm odnalazł niepokojące wzorce w kolejnej porcji danych analizowanych przez Zen. W czternastej powtórzył testy, ale raz za razem uzyskiwał identyczny wynik. Stacja zareagowała więc zgodnie ze swoim projektem - natychmiast wysłała ostrzeżenie do cywilnej i wojskowej sieci komunikacyjnej. Po kolejnych ośmiu minutach we wszystkich kopalniach i posterunkach pasa asteroid zawyły dzwonki alarmowe.

Rozpoczęła się trzecia faza operacji.

EUS „Orzeł”, system Baita, 13.03.2212 ESD, 11:19

Marcin odzwyczytał się od otwartej przestrzeni. Nie przebywał w niej od czasów szkolenia, a te wydawały się teraz odległe o dziesięciolecia. Pamiętał zresztą, że bardzo to lubił - przebywanie w przestrzeni było fascynujące i zdecydowanie różniło się od zwykłych ćwiczeń. Może wynikało to z kontrastu pomiędzy spokojem i ciszą kosmosu a zgiełkiem symulowanego pola walki. A może z wrażenia ścierania się z bytem całkiem innym niż

nieprzyjaciel, z chęci wyjścia poza wypełniony błotem i eksplozjami poligon? Po Dniu Wszechświat znowu stał się pewną granicą. Piękną i groźną samą w sobie. Nie patrzył przychylnie na swoich zdobywców i przy najdrobniejszym błędzie potrafił pokazać, że nie jest jeszcze okiełznany. A bez wsparcia wiernych SI błędy się zdarzały. Śmierć nie była zjawiskiem rzadkim, nawet z dala od pola bitwy.

Po raz chyba dziesiąty Wierzba sprawdził szczelność ciężkiego bojowego skafandra. Efekt był identyczny jak w poprzednich dziewięciu podejściach, co jednak nie przekonało go na tyle, by nie odnotować konieczności wykonania testu jeszcze raz - przed opuszczeniem wahadłowca. Świadomość, że jedyną barierą pomiędzy nim a próżnią będzie stanowić wtedy warstwa tworzyw sztucznych, nie była czymś, co skłaniało do nonszalancji. Następnie kilka razy odetchnął i skupił wzrok na zielonym sygnalizatorze automedu. Urządzenie najlepiej kalibrowało się na spokojnie, choć nikt nie mówił, jak dokładnie osiągnąć ten stan tuż przed wyjściem w przestrzeń. Pewnie kwestia wprawy, na zdobycie której nie miał czasu. Sprawdził wskaźnik tlenu i drugi pokazujący poziom paliwa silników. Ponownie włączył i wyłączył komunikator, uruchomił automatyczny test systemów walki elektronicznej. Zielone wskaźniki uspokajająco informowały o sprawności wszystkich podzespołów, lecz Polak nadal nie mógł pozbyć się podskórnego wrażenia niepewności.

- Wszystko w porządku? - Szturchnięcie w bok natychmiast przywołało go do rzeczywistości. Obrócił się, by spojrzeć na stojącego obok Sokole Oko. Niższy od Wierzby kapral patrzył na Polaka zatroskanym wzrokiem.

- W najlepszym. - Pokiwał głową wewnątrz hełmu. - Po prostu dawno nie wychodziłem.

- Tym razem nie będzie długo. - Hiszpan poklepał go po ramieniu ciężką rękawicą. - Ledwie zauważymy.

- Tak jest. Zresztą, zaraz mi przejdzie.

- Nawet nie zdążysz się przyzwyczaić.

Dalszą rozmowę przerwało pojawienie się Brisbane'a. Wysoki Australijczyk wszedł do doku z hełmem pod pachą, pogrążony w cichej rozmowie z wyraźnie szczuplejszym Hamplem. Na kanale ogólnym jeden po drugim milkły głosy, a fala ciszy wyprzedzała obu starszych oficerów, docierając do kolejnych ludzi. Kiedy pułkownik zatrzymał się pomiędzy parą clansmanów, w słuchawkach nie było słycać nikogo.

- Panie i panowie - zaczął oficer, regulując zestaw komunikacyjny. - Sensory „Orła” namierzyły cel i prowadzą go od dwóch godzin. W ciągu niecałego kwadransa zajmie pozycję do przyjęcia pracowników platformy Shi-11. Mniej niż jedna dziesiąta jednostki od nas.

Nikt nawet nie drgnął - zresztą i tak trudno byłoby to zauważyć w skafandrach. Polak przygryzł wargę. Jedna dziesiąta jednostki. Tyle, co nic. Gdyby nie powłoka refleksyjna, tamci mogliby zobaczyć niszczyciel przez zewnętrzne kamery.

- Od dwóch godzin rozstawione przez nas boje monitorują również ruch innego okrętu, najprawdopodobniej niszczyciela. Flota uważa, że to po prostu patrol systemowy i nie powinien przejść bliżej niż na tysiąc jednostek od nas.

- Misja nadal ma zielone światło? - spytała Cartwright.

Czternastu żołnierzy zamarło w oczekiwaniu. Niszczyciel nie miał wielkiego wpływu na sam abordaż. Po prostu gwałtownie zwęził margines czasu, jaki mieliby w razie wpadki - prawdopodobnie do zera, gdyż Marcin nie widział możliwości wycofania promów w czasie potrzebnym chińskiej maszynie na wejście w zasięg strzału. Można to było uznać za powód do przerwania akcji lub chociaż jej odroczenia.

- Plan się nie zmienia - potwierdził Brisbane. - Zapewniono mnie, że „Orzeł” może pozostać w ukryciu na tym dystansie. Dołączamy kryptonim Goblin jako oznaczenie wrogiej jednostki.

Stojący kilka metrów obok Szczeniak spojrział na Polaka i demonstracyjnie rozłożył ręce. Pech, zdawał się mówić całym sobą. Trzeba będzie lecieć.

- Do tego miejsca flota odwalala całą robotę. - Na twarzy Brisbane'a pojawił się ironiczny grymas. - Teraz kolej na nas. Mam nadzieję, że załatwimy to równie dobrze, jak oni, bo od tego momentu będzie coraz trudniej.

Wierzba mógł zobaczyć krzywe spojrzenia stojących przy drugim clansmanie oesów. Muskularny Cross pochylił się lekko i powiedział coś do Delaviente, stykając się z nią hełmami. Zapewne nie były to słowa, które żołnierze Cartwright powinni usłyszeć.

- Oczekuję sukcesu. Jeśli zawalimy ten etap, drugiego podejścia nie ma.

Tym razem odpowiedziało mu kilka wyraźnych, widocznych nawet w skafandrach, kiwnięć głowami.

- Przebieg operacji według odprawy - dodał pułkownik. - Spotkamy się na miejscu.

Odczepił hełm od pasa, założył sobie na głowę i wprawnymi ruchami zamocował. Na ułamek sekundy jego twarz oświetlił zielony błysk sygnalizatora.

- Powodzenia - zakończył krótko. Nie czekając na reakcję, ruszył w stronę bliższego wahadłowca. Obok niego kroczył milczący mag.

Sekundę później podążyła za nim szóstka oesów w upiornej, niemal robotycznej synchronizacji. Potem oddział Wierzby, zaraz za skoncentrowaną i spiętą Cartwright.

- Czujesz się zmotywowany? - mruknął Polak na częstotliwości prywatnej Van

Reutersa.

- Pójdę za nim na śmierć - zaśmiał się sucho Szczeniak. - Co, swoją drogą, może się jeszcze stać. Ta akcja jest jak chodzenie po linie.

- Ale przynajmniej zobaczymy Chiny... - spróbował zażartować Marcin, ale jakoś nie mógł tchnąć w swoje słowa ani jednej nuty autentycznej wesołości.

- Przyznam, że preferuję miejsca, gdzie do nas nie strzelają.

- Innym razem.

- Taa.

Trzy minuty później clansmany już startowały, by udać się w krótką podróż w kierunku imperialnego statku.

*

Pokonanie dziesiątej części jednostki dzielącej niszczyciel i frachtowiec klasy Yunnan zajęło clansmanowi niemal godzinę. Załoga wahadłowca starała się uczynić maszynę niewidzialną dla czuwających gdzieś w ciemności operatorów sensorów imperialnego okrętu i odpalenia silników były krótkie i nieregularne. Wpięty w uprzęż Marcin co jakiś czas czuł wyraźne szarpnięcia, kiedy maszyna uruchamiała napęd. Poza tym jednak nie działo się zupełnie nic - żadnych innych przeciążeń, hałasu, rozmów. Nawet Szczeniak nie gadał, a to było już coś. Kiedy Polak spojrział na kolegę, dostrzegł przymknięte oczy, zaciśnięte wargi i jakby bledszą twarz, ale w czerwonym oświetleniu komory desantowej trudno było mieć co do tego pewność. Paradoksalnie jego lęk poprawił Wierzbie humor. Nie chciał być jedynym, który się denerwuje, choć patrząc na innych, wiedział, że nie ma się czym przejmować. Z ośmiu osób na pokładzie spokojna pozostawała chyba tylko Niemi, choć wszyscy pozostali starali się nadrabiać miną. Isaksson na przykład była nieco zbyt podekscytowana, a Weiss nie unosił wzroku znad trzymanego w ciężkiej rękawicy datapada, po raz kolejny czytając plan operacji. Thorne dbał o to, żeby każdy zobaczył jego ostentacyjnie złośliwy uśmiezek, za którym ukrył się jak za tarczą. Sokole Oko coś szeptał do siebie, lecz albo wyłączył komunikator, albo mówił za cicho, żeby urządzenie cokolwiek wyłapało. Cartwright wbiła wzrok w podłogę, pozornie spokojna, ale zdradzało ją naprzemiennie zaciskanie i rozluźnianie pięści.

Każdy zapewne myślał to samo co Polak. Że to dopiero pierwszy krok, że każdy następny będzie trudniejszy, że lądowanie na Fushun to wejście w paszczę lwa. A także o tym, że jeśli clansman zmyli choć jeden manewr, najprawdopodobniej zginą, nawet nie wiedząc, kiedy.

*

- Niemi, przyziemienie. Gotowa.

Sierżant zaasekurowała lądowanie, uginając nogi, i skorygowała pozycję dyszami skafandra. Potem uniosła w górę kciuk ukryty w pancерnej rękawicy.

- Alvarez, Wierzbowski i Isaksson - zakomenderowała Cartwright. - Ruszać się.

Polak stanął na krawędzi rampy desantowej clansmana wiszącego kilkanaście metrów od kadłuba frachtowca i wybił się lekko, w locie korygując pozycję tak, by wylądować na nogach. Kontrola opadania nie była przesadnie potrzebna, bo nie dało się chybić - frachtowiec okazał się ogromny. Żaden zdolny do skoków metrycznych statek nie miał małych rozmiarów, ale ten wiszący w przestrzeni olbrzym przewyższał gabarytami nawet pancerniki i lotniskowce uderzeniowe. Trzystumetrowy „Orzeł” musiał przy nim wyglądać jak karzełek. Co prawda, spora część dwukilometrowej niemal konstrukcji była jedynie gigantycznych rozmiarów stelażem, służącym do montowania kontenerów, lecz nawet sam pozostały fragment robił na Polaku ogromne wrażenie, częściowo dlatego, że był tak różny od jednostek, które zwykł oglądać w wojskowych bazach. W przeciwieństwie do okrętów tu nie musiano troszczyć się o własności kształtu czy słabe pod kątem odporności na ostrzał punkty. Brudnobiała powierzchnia pozbawionego powłoki refleksyjnej kadłuba nie była więc gładka jak w projektowanych do walki okrętach. Jej nieregularną topografię tworzyła mozaika stanowisk systemów zewnętrznych, nieforemnych, często o różnych barwach, tworzących zapewne coś w rodzaju kroniki wieloletnich remontów kolosa. Wspomaganie sensorów, anteny nawigacyjne i łącznościowe, wzmocnienia węzłów dokujących oraz prowadzące do nich przewody zasilania - wszystko po prostu przytwierdzono do zewnętrznego pancerza.

Uderzył w kadłub statku mocniej, niż się spodziewał po groteskowo powolnym opadaniu. O mały włos nie odbił się od podłoża z powrotem w przestrzeń, ale w samą porę pod ramię chwyciła go oczekująca Niemi.

- Wierzbowski, przyziemienie - rzucił do mikrofonu. - Gotowy.

Skinął głową Fince i spojrzał na zbliżających się do niego Isaksson i Sokole Oko. Lecieli powoli, z rozłożonymi rękoma, jak na puszczonej w zwolnionym tempie vidzie. Za nimi mógł zobaczyć czekającego clansmana. W otwartej paszczy komory desantowej sylwetki czwórki pozostałych żołnierzy oddziału przygotowywały paczki z ładunkiem. Poruszali się w płaszczyźnie prostopadłej do Wierzby i przez chwilę umysł Polaka rozpaczliwie uchwycił się tego wspomnienia niedawnej orientacji przestrzennej, według której stał obecnie na ścianie. Marcin skrzywił się na lekki zawrót głowy.

- Alvarez, przyziemienie, gotowy.

- Isaksson, przyziemienie... - Lądująca Szwedka zachwiała się, kiedy źle uruchomiony

silnik pchnął ją naprzód, ale szybko opanowała sytuację. -... Gotowa. To są właśnie powody, dla których jestem w wojskach lądowych.

- Weiss, Thorne - zakomenderowała Cartwright z wnętrza promu. - Naprzód. Mężczyźni opadli równo, pomagając sobie silnikami skafandrów. Po krótkim locie jednocześnie osiedli na brudnobiałym kadłubie. Trzydzieści sekund później na nieco zbyt sztywnych nogach wylądowała porucznik Cartwright, a zaraz po niej Szczeniak, który utrzymał równowagę trochę za pomocą pokraccznego tańca, a w pozostałej części - chwytu Wierzby.

- Śluza jest pięćdziesiąt metrów w stronę dziobu. - Cartwright wskazała kierunek szerokim gestem. - Według planu mamy jeszcze siedemnaście minut do odpalenia, zanim Pekin zacznie korygować pozycję. Naprzód.

Osiem postaci w skafandrach ruszyło poprzez nierówny labirynt zewnętrznych systemów frachtowca. Na czarnym niebie ponad nimi jasno płonęło słońce Baity, zabarwiając CSSowy materiał skafandrów na lekko purpurowy kolor. Mocnemu światłu czerwonego olbrzyma towarzyszyły miriady mniejszych, jasnych punktów gwiazd. Marcin na chwilę poddał się pełnemu ekscytacji oszołomieniu. Służył w korpusie od czterech lat, okrętami latał regularnie, a nawet zaliczył kurs działania w zerog. Z jakiegoś jednak powodu nigdy widok otwartego nieba nie zrobił na nim takiego wrażenia. W jednym momencie zniknął stres akcji i nawarstwiające się od tygodnia znużenie. Zachwycony, przez chwilę zastanawiał się, czy patrzy na imperialną, czy unijną przestrzeń, ale bez mapy czy choćby punktu orientacyjnego trudno było to stwierdzić. I w zasadzie nie miało to znaczenia.

- Ten abordaż to w sumie fajna sprawa. - Głos Szczeniaka wyrwał go z rozmyślań. Van Reuters omijał właśnie sterzący na dobre kilkanaście metrów w górę maszt antenowy. - Widoki niezłe, robota dość prosta. Możemy robić to częściej.

- W przypadku okrętów jest to nieco bardziej kłopotliwe, Robercie - powiedział Sokole Oko. - Przy jakimkolwiek sprawnym stanowisku obrony punktowej nie dożylibyśmy opuszczenia wahadłowca.

- „Orzeł” jest zaledwie jedną dziesiątą jednostki stąd, to około sto kilometrów - zauważył Thorne. - Przy jednym sprawnym stanowisku obrony punktowej nie dożylibyśmy nawet startu clansmanów.

Szczeniak zatrzymał się i obrócił do kolegi, jakby chciał sprawdzić, czy szeregowiec nie żartuje.

- Sto kilosów?

- Witaj w świecie floty - potwierdził Thorne, wymijając Holendra.

- Oż, kurwa... We flocie służą wariaci...

- Uciszyć się - Cartwright przerwała nadciągającą tyradę Van Reutersa. - Jesteśmy na powierzchni, łączność zgodnie z planem. Tylko w przypadku zagrożeń.

- Tak jest. - Mężczyzna zareagował natychmiast, ale kiedy Wierzba spojrział na niego, ten znacząco popukał się w osłonę hełmu.

Maszerowali w milczeniu. Gdzieś od strony odległej o cztery jednostki planetoidy zbliżały się kapsuły ewakuacyjne wiozące górników nieświadomych, że reagują na fałszywy alarm. Osiem figurek na grzbiecie pancernego kolosa nie musiało się jednak spieszyć. Według zegara wyświetlanego na wewnętrznej stronie osłony hełmu Marcina mieli jeszcze osiemnaście minut, nim konstelacja miniaturowych stateczków zbliży się do frachtowca, i dalsze pół godziny, nim zadokują. Mnóstwo czasu. Dlatego pomimo spowolnionego brakiem ciężenia marszu Polak nie denerwował się. Niepokój zniknął, zastąpiony przez ekscytację, którą pamiętał jeszcze ze szkolenia. Wśród labiryntu urządzeń przypominającego wymarłe miasto liliputów czuł się niemal dobrze. Minimalna rotacja olbrzymiego statku sprawiała, że gwiazdy poruszały się w majestatycznym tańcu, a zachodząca za rufą Baita rzucała długie cienie przed mozolnie torującymi sobie drogę ku śluzie ludźmi. Sceneria sprawiła, że pozwolił sobie nie myśleć o nadchodzących trudach, ale po prostu podziwiał widoki. Z niemal dziecięcym zachwytem patrzył na odległe igły anten komunikacyjnych i mijane właśnie niższe, bardziej przysadziste kominy wież awaryjnego odprowadzania ciepła reaktorów. Cieszył się lekkością, ograniczaną jedynie przez aktywny bieżnik mający utrzymywać go przy powierzchni. Przez moment naprawdę czuł się dobrze. A potem wszystko się spieszyło.

- Uwaga - głos pułkownika Brisbane'a zabrzmiał w ciszy komunikacyjnej nienaturalnie głośno. - Mamy wiadomość z „Orła”, Goblin uruchomił napęd główny i idzie kursem zbliżeniowym do Pekinu, oczekiwany czas przybycia sześć minut.

Wierzba poczuł na plecach lodowate zimno. Oto zbliżał się perfekcyjny łowca przestrzeni, niewidzialny, dalekowzroczny, zabójczy. Imperialny okręt nie miał co prawda szans na wykrycie żadnego z oddziałów, które zresztą w ciągu kilku minut będą wewnątrz statku. Sytuacja promów była nieco gorsza, ale małe stateczki z łatwością mogły próbować się ukryć w cieniu chińskiego olbrzyma. Problemem był sam „Orzeł”, maszyna o gigantycznych zdolnościach maskowania, ale nie w odległości jednej dziesiątej jednostki...

- Rozkazy? - spytała idąca na czele grupy Cartwright i minimalnie przyspieszyła. - Nadal działamy według planu?

- Nie - zaprzeczył pułkownik. - Spróbujemy się dostosować. Proszę zabezpieczyć kontrolery dwóch najbliższych wież chłodzenia. Potrzebuję dojścia do systemu w ciągu

najdalej trzech minut.

- Isaksson, Wierzba, Weiss, Niemi, lewa wieża! - Porucznik zareagowała natychmiast.

- Reszta za mną.

Polak nawet nie zauważył, kiedy już pędził w stronę kompozytowej budowli. Z trudem powstrzymał się od odpalenia silników skafandra, zbyt dawno ćwiczył, a teraz nie była dobra pora na pomyłki. Po prawej stronie biegła Szwedka, mocno pochylona z ciągle pracującym silnikiem dociskającym ją do podłoża. Nie widział ani Niemi, ani Wunderwaffe, pewnie byli za nim. Wysoko ponad żołnierzami clansman właśnie wykonywał zwrot i przyspieszał, tak dynamicznie, jak tylko pozwalały oparte na dyszach mikromanewrowych silniki stealth.

- „Orzeł” rozpoczyna manewr unikowy. - Pośród adrenalinowego szumu komunikat pułkownika sprawiał wrażenie wyjętego z zupełnie innej sytuacji. - Czekam na potwierdzenie przejęcia kontrolierów.

Marcin nie miał czasu zastanawiać się, gdzie właściwie zdąży umknąć niszczyciel w ciągu kilku minut, zwłaszcza że nie mógł uruchomić silników głównych. Teraz liczyło się tylko zadanie. Ktoś włączył synchronizator czasu i na wewnętrznej stronie osłony hełmu żołnierza pojawił się stoper - odliczał od dwóch minut i pięćdziesięciu sekund, makabrycznie powolnym tempem. Rozognione zmysły Polaka były w stanie rejestrować nawet setne części sekundy.

- Wierzba, łap! - Radiooperatorka rzuciła w jego kierunku zaczep liny zabezpieczającej.

Kiedy tylko Marcin chwycił klamrę, dziewczyna odbiła się od pokładu i poszybowała w górę, wzdłuż ściany wieży. Rzucił się naprzód i dopadł podstawy konstrukcji. Szybkimi ruchami zatrzasnął zaczep wokół pierwszych szczebli drabiny technicznej. Dopiero wtedy uniósł wzrok na Isaksson, która mijając tymczasem górną krawędź, kilkanaście metrów wyżej. Dwie dysze na ramionach jej ciężkiego skafandra pracowały pełnym ciągiem, żeby wyhamować pospieszne wznoszenie. Marcin zacisnął dłoń na mechanizmie bezpiecznika liny. Dziewczyna na szczęście nie miała zbyt dużego pędu - udało się ją zatrzymać niemal idealnie na właściwej wysokości. Natychmiast też odpięła mocowanie liny i zaczepiła je o przeznaczoną dla techników barierkę. Kiedy zniknęła we wnętrzu komina, nad krawędzią przeleciał Wunderwaffe. Niemiec nie przejmował się zabezpieczeniami, polegając wyłącznie na silniku skafandra. Dopiero wyniesiony pędem dobre dwa metry powyżej barierki odpałił kilka dysz jednocześnie, ostrym łukiem zmieniając kierunek lotu. Wierzba właśnie wybijał się, prowadząc pomiędzy dłońmi linę, kiedy Niemiec podążył śladami radiooperatorki.

- Zasuwasz na przeciwną stronę, do południowego gniazda, północne jest nasze - rzuciła Isaksson z wnętrza wieży. - Rozgrzebywanie dostępówki jest w paragrafie sześćset cztery manuala, dział „Generatory”.

Wyświetlacz wskazywał dwie minuty i dwadzieścia sekund, kiedy Marcin równocześnie z Niemi osiągnęli szczyt wieży. Średnica konstrukcji i fakt, że dysk osłony awaryjnego ujścia systemu chłodzenia o promieniu liczącym ponad dziesięć metrów tkwił wewnątrz niemal na poziomie pokładu, dawały dziwne wrażenie zagłębienia do krateru - co zważywszy na przeznaczenie urządzenia, nie było w sumie dalekie od prawdy.

- Które to południowe gniazdo? - zapytał, zagłuszając cichy ciąg instrukcji czytanych przez Wunderwaffe.

- Krzak w wysokim imperialnym i oznaczenie „T” na ścianie. - Figurka Isaksson na chwilę podniosła się i wskazała miejsce ręką. - Tam, głębie!

Zamiast się odgryźć, spojrział na zegar. Dwie minuty. Cholera.

Lekkie pchnięcie i już pokonywał kilkanaście metrów, tym razem w dół po wewnętrznej stronie szerokiego komina, w kierunku ideogramu w wysokim imperialnym.

- Sprawdzam manual, wyciągaj narzędzia - zakomenderowała Niemi, lecąca nieco z tyłu.

- Tak jest. - Wierzba wylądował ciężko obok wskazanego przez Szwedkę punktu, przyglądając się kilku zaśrubowanym panelom. - Który?

- Drugi od twojej lewej. - Sierżant obróciła się w locie i zatrzymała na wewnętrznej ścianie wieży, prostopadle do Polaka. - Ten. Potrzebujesz szóstki.

Pospiesznie wydobyl zestaw narzędziowy i przyczepił go sobie aktywnym chwytem na udzie. Po dwóch próbach wydobyl właściwy śrubokręt.

- Mam szóstkę, odkręcam.

Minuta czterdzieści pięć. W pośpiechu ignorował magnetyczne zaczepy śrub, po prostu pozwalając im szybować ponad pancierzem frachtowca. Pierwsze cztery poszły gładko, piąta nie chciała nawet drgnąć i silniczek narzędzia przełamywał jej opór dobre piętnaście sekund. Szóstą odkręcił szybko, ale pozostało im niewiele ponad minutę.

- Już! - krzyknął do mikrofonu, zanim zdał sobie sprawę, że Niemi widzi postęp tak samo dobrze jak on sam.

- Znajdź obwód kontrolny. - Cichy głos sierżant działał uspokajająco. - To srebrny prostopadłościan wielkości dłoni, oznaczony dwoma czarnymi pasami i sześciocyfrowym numerem. Powinien być prawo góra.

- Szukam... - Polak oświetlił odsłonięty przedział. - Noż, kurwa mać!

Zacisnął pięść z bezsilnej wściekłości. Żaden z ponad dwudziestu widocznych modułów nie tkwił w przewidzianych do tego przegródkach, większość trzymała się tylko na kablach. Żołnierz odetchnął głęboko. Nerwy na nic się nie przydadzą. Inna rzecz, że cholernie trudno było się uspokoić.

- To chwilę zajmie - powiedział, przyglądając się podzespołom. Na szczęście tylko kilka z nich miało właściwy rozmiar. Te podnosił po kolei, na ile pozwalały kable, i sprawdzał uważniej. - Ten nie, ten nie...

Odrzucił przydymione pudełko z dwiema złotymi liniami oraz jedno, które po bliższych oględzinach okazało się nie mieć żadnego oznaczenia.

- Jest dobrze - mówiła cicho Niemi. - Pułkownik właśnie zaczął transfer softu na mój pad, to chwilę potrwa. Masz jeszcze czas.

- Mam nadzieję. - Wzrok Marcina sam powędrował do malejących na wyświetlaczu liczb. Trzydzieści sekund.

- Jak znajdziesz, jest z gó...

- Mam! Mam! - Piąty kandydat okazał się zwycięzcą. Wierzba radośnie poklepał urządzenie.

- Świetnie, teraz przygotuj pin transmisyjny, rozmiar trzy.

- Już. - Niezdarnie pogrzebał rękawicą w zbyt ciasnej przegródce zestawu. Czy tych rzeczy nie powinno się dostosowywać do pracy w skafandrach? - Jest.

- Dobrze. Teraz wyjmij niebieski kabel transmisyjny i wsadź na jego miejsce pin.

- Co? - Marcin spojrzał na srebrny obwód i zamrugał niepewnie. Ironia losu nie podarowała mu niczego. - Mam same czarne kable, pięć czarnych. Żadnego niebieskiego.

Niemi parsknęła krótkim, suchym śmiechem - pierwszy raz od... Wierzba właściwie nie pamiętał, od kiedy. W sumie całą sytuację można było nawet uznać za zabawną - o ile oczywiście nie miało się przed oczyma uciekającego czasu.

- Jeden ze skrajnych powinien być oddzielony od reszty. - W głosie sierżant nie było już śladu wesołości. - Widzisz go?

- Zaraz... tak.

- Dobrze. Chodzi nam o następny.

- Tak jest. - Polak pospiesznie wyrwał wskazany kabel z gniazda. Przez chwilę męczył się ze zbyt małym na rękawice pinem, ale w końcu włożył go na miejsce. - Jest!

- Uruchamiam przesył. - Sierżant zareagowała natychmiast. - Trzydzieści procent. Sześćdziesiąt. Dziewięćdziesiąt.

Na zegarze pozostało sześć sekund. Odetchnął z ulgą - zmieścili się w czasie.

Przynajmniej chwilowo.

- Zadanie wykonane - zameldowała Niemi przez radio. - Polecenia?

- Wycofać się na zewnątrz wieży - zamiast Cartwright odpowiedział jej Brisbane. -

Uruchamiamy awaryjną wentylację.

Nim umysł Polaka w pełni przetworzył znaczenie słów oficera, wewnętrzna część komina drgnęła. W tym, co dotychczas wydawało się po prostu pancierzem statku, pojawiły się ciemne linie, szybko przekształcające się w szczeliny.

- Na zewnątrz. - Sierżant klepnęła go w ramię.

Marcin odepchnął się z całej siły, celując w barierkę wieńczącą odległą o kilkanaście metrów krawędź. Pod jego stopami powoli rozwierała się szeroka otchłań wylotu wentylacji. Polak nawet nie chciał myśleć, po co w ogóle zbudowano tak olbrzymie ujście, ba - cztery ujścia. Ilość ciepła, jakiej wielki frachtowiec miał się szybko pozbyć w sytuacjach alarmowych, musiała być przerażająca.

Gdy chwycił się barierki, pozwolił pędowi obrócić się wokół niej i pchnąć w kierunku czekających na zewnątrz wieży kolegów. Całe wnętrze konstrukcji było prowadzącym do środka statku tunelem. Ale nic więcej się nie wydarzyło. Siódemka postaci w skafandrach też musiała być zawiedziona - bez słowa patrzyła na zbliżającego się Wierzbę.

- Co to...? - zabrzmiał w słuchawce głos Van Reutersa.

Wierzbowski miał właśnie zadać to samo pytanie, kiedy spostrzegł, że fragment przestrzeni ponad nim... drgnął.

Początkowo Marcin myślał, że to tylko złudzenie, ale po chwili był już pewien - idealnie czarna plama sunęła w ich stronę, widoczna tylko dzięki gasnącym gwiazdom, które przesłaniała. Przez mgnienie oka widok był nienaturalny, ale potem zaskoczyły procesy myślowe i czerń przybrała kształt zbliżającego się niszczyciela. Dopiero wtedy ogarnęło go przerażenie. „Orzeł” był tak blisko, bliżej, niż Wierzba byłby sobie w stanie wyobrazić. W dodatku jego sylwetka nadal rosła, pożerając kolejne gwiazdy, zupełnie jakby wojskowa maszyna spadała na powierzchnię chińskiego lewiatana. Niewykrywalnymi silnikami mikromanewrowymi okręt z pewnością nie był w stanie wyhamować przed uderzeniem w kolosa. Marcin opadł na pancerny pokład frachtowca, wygasił odbicie krótkim pchnięciem silnika skafandra, ale instynkt okazał się słabszy od fascynacji. Zamarł z uniesioną głową i patrzył, jak „Orzeł” rośnie w wizjerze hełmu.

I wtedy silniki niszczyciela ożyły. Okręt niemal stanął w miejscu, odpalając chyba wszystkie manewrowki naraz i wyraźnie ignorując maskowanie termiczne. Jednocześnie w perfekcyjnej, nieludzkiej synchronizacji wieża strzeliła naprzeciw ciemnej sylwetce gęstą,

połyskującą w czerwonym świetle Baity chmurą rozgrzanych gazów chłodniczych. „Orzeł” wpadł w nią, cały czas hamując, tak blisko frachtowca, że Polak mógł zobaczyć każde załamanie na czarnej, pochłaniającej światło powłoce refleksyjnej. Owiewany rozgrzany gazami wydechany przez chińskiego olbrzyma, drobniejszy niszczyciel niemal przysiadł na kadłubie większej jednostki. Jeszcze osiemdziesiąt metrów, jeszcze sześćdziesiąt... Uderzenie w bok zważyło Polaka z nóg - to Niemi przerwała bezruch i przewróciła go na pokład. Inni żołnierze też zapadli pomiędzy pokrywające brudnobiały pancerz narośla urządzeń w próżnej nadziei ucieczki przed zbliżającym się okrętem. Teraz oczywiście nie miało to żadnego znaczenia. Marcin przetoczył się na plecy i spojrzał w górę.

Sylwetka „Orła” przesłaniała niemal całe niebo - ale już nie rosła. Ustabilizowała pozycję może pięćdziesiąt metrów od imperialnego statku. Nawet w portach okręty nie przebywały tak blisko siebie, a co dopiero w otwartej przestrzeni. Gdyby dobrze wymierzyć, można by zwyczajnie przeskoczyć z jednej jednostki na drugą, pomyślał. Odruchowo uniośł dłoń, mając irracjonalne wrażenie, że jest w stanie dotknąć czarnego wrzeciona niszczyciela. Połyskliwe drobiny gorącego oddechu chińskiej maszyny szybko rozpraszały się w próżni, ale swoje zadanie zdążyły wykonać - gorąca łuna bijąca z wież awaryjnego chłodzenia przysłoniła mniej spektakularne odpalenie silników manewrowych unijnego okrętu. Teraz „Orzeł” był tak blisko chińskiego olbrzyma, że dwie jednostki musiały jawić się operatorom radarów jako pojedyncze echo. A przynajmniej taką Marcin miał nadzieję.

- Szaleństwo... - szepnął.

Inni byli o wiele bardziej elokwentni.

- To zdecydowanie coś nowego - powiedział cicho Sokole Oko.

- Jacy my jesteśmy zajebišci, to normalnie trudno opisać! - Isaksson uniosła w górę obie ręce i chyba tylko ostrożność powstrzymała ją od podskakiwania.

- Ale... - spytał niepewnie Szczeniak - takie dmuchnięcie zadziała?

- Jeśli nie, zaraz się przekonamy - mruknął Weiss.

- Zadziała. - Pomimo ciemnego filtra hełmu Thorne'a Marcin mógł sobie świetnie wyobrazić wyraz jego twarzy. - Cywilne reaktory grzeją się w cholerę bardziej niż wojskowe. W końcu maskowanie mają gdzieś. A nawet normalne silniki „Orła” dają bardzo niski odczyt.

- Pft... - parsknęła Isaksson. - Skąd to niby wiesz?

- Jestem po prostu bardzo mądry - odparł z przekąsem Thorne.

- Coś mi...

- Spokój - weszła jej w słowo Cartwright. - Koniec przerwy, wracamy do ograniczonej łączności. Szyk jak poprzednio, naprzód.

*

Śluza pasowała skalą do reszty frachtowca - bez problemu mogła pomieścić całą ósemkę żołnierzy jednocześnie. Wyraźnie jednak nie była używana zbyt często - jasna farba, którą pomalowano całe pomieszczenie, szerniała w kilku miejscach i tylko w jeden z czterech uchwytów wpięto skafander. Po gaśnicy i zestawie pierwszej pomocy zostały wyłącznie jaśniejsze plamy w miejscach, gdzie dotykały ścian. Ani tam, ani w prowadzących w głąb statku długich, słabo oświetlonych korytarzach nie napotkali żywego ducha, jedynie kilka nieczynnych kamer bezpieczeństwa i nieznośny zapach zbyt rozgrzanego konserwantu. Szybki marsz oddziału wydawał się dziecinnie prosty, ale Marcin dobrze pamiętał wielokrotnie powtarzane informacje o schematach bezpieczeństwa. To, że Cartwright pozwoliła na odpuśczenie pełnego zabezpieczenia, znaczyło, że mag zdążył już wpakować się w system wewnętrzny chińskiej jednostki i odciąć kamery, czujniki śluz i detektory zmiany ciśnienia. Albo po prostu nic nie działało i tak, co - patrząc na wygląd statku - było całkiem prawdopodobne.

W kilku miejscach brakowało całych paneli ściennych i widzieli zamontowane za nimi podzespoły, a jeden z przedziałów nosił ślady po dawnym pożarze. Mijane gniazda kapsuł ratunkowych ziały pustką, a przez małe pancerne okienka ich oczom ukazywała się tylko przestrzeń. Olbrzym był już stary i schorowany - co oznaczało nie najlepszą wróżbę na podróż.

Oddział Cartwright dotarł do celu kilka minut przed prowadzonym przez Brisbane'a zespołem Bravo. Z planów statku Wierzbę wiedział, że „przedział transportowy” będzie odpowiadał swojej nazwie mniej więcej w tym samym stopniu, jak podobne pomieszczenie na „Kuopio”. Gdyby patrzeć jedynie na oryginalny projekt, znajdowali się właśnie w bloku zasilania sekcji ładunkowej, choć najwyraźniej flota Imperium stwierdziła, że nie musi z niego korzystać, za to przyda jej się dodatkowa pula miejsc pasażerskich. Uzyskało je, choć za główny priorytet uznano pojemność, nie komfort. Pięćdziesiąt hibernatorów stało tak blisko siebie, że trudno było sensownie poruszać się pomiędzy nimi, a za instalację sanitarną służył umieszczony w rogu pomieszczenia kontener i szafka oznaczona napisem „Pierwsza pomoc”. Zadbano za to o bezpieczeństwo samych komór - do każdej z nich poza normalną linią zasilania prowadziła druga, podłączona do wysokiego bloku kondensatora awaryjnego. W pewien sposób to uspokajało - w razie zerwania zasilania system będzie miał nieco więcej czasu na przerwanie hibernacyjnego snu niż nagłe, uderzeniowe i pełne niemiłych efektów ubocznych wyjście chemiczne, które komory kriogeniczne stosowały, gdy były zdane całkowicie na siebie. Na szczęście Marcin nie miał już czasu rozważać powodów, dla których

oszczędna flota w ogóle umieściła w przedziale rezerwowym kondensator. Najbliższe minuty miały być bardzo pracowite.

Najpierw Isaksson z pomocą Szczeniaka sprawdziła zasilanie i zrobiła obejście w systemie odczytu składu atmosfery. Wierzba, Niemi i Weiss wybrali szesnaście najbardziej obiecujących komór, a Thorne wraz z Sokolim Okiem rozstawili alarmy w prowadzącym do przedziału korytarzu. Potem zdjęli skafandry, pozostając w przygotowanych wcześniej cywilnych strojach roboczych. Sprzęt użyty do abordażu ukryli w pustym teraz dukcie technicznym, w którym kiedyś biegły łącza zasilające. Najbliższa kontrola techniczna musiała je odkryć, a z drugiej strony istniała spora szansa, że zanim ona nastąpi, statek zostanie zezłomowany. Sokole Oko przeprowadził diagnostykę medkonsoli zarządzającej komorami kriogenicznymi.

Po dziesięciu minutach dołączyła do nich ekipa Brisbane'a.

- Status? - Zakuty w skafander pułkownik górował nad drobną, ubraną jedynie w kombinezon górniczy Cartwright.

- Mamy komory, kończymy kalibrację medkonsoli. Skafandry ukryte, zespół gotowy do transferu.

- Doskonale. - Oficer zdjął hełm. - Najtrudniejsze za nami. Obie grupy, dobra robota. Zajmować wyznaczone hibernatory, budzimy się na orbicie Fushun.

Odpowiedziała mu fala cichych potwierdzeń. Oddział ruszył w stronę hibernatorów, po drodze rozszczelniając skafandry.

- Co z „Orłem”? - zapytała Cartwright.

- Goblin nie będzie tu wiecznie. - Brisbane rozpiął jedną po drugiej ciężkie rękawice. - Kiedy tylko odejdzie wystarczająco daleko, „Orzeł” przestanie utrzymywać pozycję względem naszego statku. Potem już sobie poradzi.

- Na pewno nas nie wykryto?

- Pekin nic nie nadawał. Goblin nie zmienił kursu ani charakterystyki lotu - odparł oficer. - Sądzę, że tym razem nam się upiekło. Nie martwiłbym się akurat o to.

- Rozumiem.

Stojący obok swojego hibernatora Van Reuters przerwał zdejmowanie kombinezonu i rozłożył ręce.

- „Nie martwiłbym się akurat o to” - udatnie sparodiował minę i ton pułkownika. - Pewnie, jak już kropną „Orła”, to przecież nie pomyślą: „Hej, może sprawdzimy, co ten unijny niszczyciel robił koło naszego statku. O, a kto tu jest na pokładzie? To dzielni komandosi wroga!”. Skądże znowu.

- Mamy masę innych problemów, Robercie - wtrącił Sokole Oko. - Z tym po prostu nic nie możemy zrobić.

- Tak, bezradność poprawia humor.

- Możesz założyć, że na „Orle” są zawodowcy - zauważył Weiss. Niemiec, już w szortach i koszulce, właśnie przypinał sobie pochwę z nożem do łydki. - Zresztą ma to sens, zważywszy na manewr, który wykonali.

- Fajna sztuczka, ale ciekawe, czy akrobacje pomogą im w walce z w pełni wypasionym niszczycielem i jego kolegami.

- Projekcja - zaśmiał się ponuro Wunderwaffe.

- Co takiego?

- Sam jesteś dekwonikiem i łamagą, więc zakładasz, że inni też tacy są - wytłumaczył usłużnie Wierzba.

- Mniej więcej. - Weiss wykonał coś w rodzaju kiwnięcia głową.

- Jesteś kawałem skurwysyna, odkąd widziałeś się z psychiatrą - burknął Holender.

Z jakiegoś powodu Wierzbie błysnął w pamięci notatnik Niemca, kilkadziesiąt nierównych napisów „Günter” i kontrastujący z nimi długi ciąg stron wypełnionych równym, bezosobowym charakterem pisma.

- Zawsze nim byłem. - Wunderwaffe wzruszył ramionami, nadal skupiony na nożu. - Dziwię się, że nie wiedziałeś.

Szczeniak parsknął i rozejrzał się w poszukiwaniu pomocy, ale wszyscy zajmowali się przygotowaniem do hibernacji. Wreszcie machnął ręką, mamrocząc coś pod nosem.

Dziesięć minut później major Hampel zakończył pracę nad plikami osobowymi pasażerów frachtowca, do listy dwóch i pół tysiąca wojskowych i cywili dołączając szesnaście nowych osób. Teraz pozostawało zamknąć się w komorach kriogenicznych i mieć nadzieję, że wszystko pójdzie zgodnie z planem.

*

Przedział spał od kilkunastu godzin, samotny pośród półmroku wypełniającego korytarze chińskiego frachtowca. Oddalony od reszty sekcji pasażerskiej, mógł uchodzić za całkowicie nieczynny - inaczej niż w pozostałych pomieszczeniach kryjących pasażerów, tu nawet oświetlenie grodzi nie wskazywało na obecność ludzi. Ktoś, kto zapędziłby się w tę część „Wpatzonego w strumień”, zapewne nawet z korytarza nie zobaczyłby słabutkiego poblasku paneli kontrolnych szesnastu uruchomionych hibernatorów, a co dopiero mówić o cichym bzyczeniu kondensatora awaryjnego, zagłuszonym przez nieustanne dudnienie maszyn statku. Ale to i tak nie miało znaczenia - nikt z załogi nie odwiedzał osobiście komór

transportowych. Maszyna zbliżała się do boi skokowej i każdy miał pełne ręce roboty. Poza tym zagadkowe uruchomienie awaryjnego systemu chłodzenia reaktora napawało dodatkowym niepokojem. Sześć osób na mostku lewiatana nie mogło przestać myśleć o tym, że kolejnym, co nawali, może być napęd metryczny. Albo, co gorsza, sfatygowany generator pola Kuznietzova pozwalający osobom na mostku na przechodzenie skoku bez konieczności hibernacji.

Dlatego nikt nie zauważył, jak komputery kontrolne pięciu komór kriogenicznych ożyły, a wkrótce potem same kapsuły otwarły się, wypuszczając swoich pasażerów. Pięcioro żołnierzy działało w milczeniu. Doskonale wiedzieli, co chcą osiągnąć, i rozmowy nie były konieczne. W ciągu niecałych trzech minut od otwarcia się pierwszego hibernatora wszyscy byli już ubrani i gotowi do wyjścia. Kolejną minutę później znikali w ciemnym korytarzu. Przez następną godzinę w pomieszczeniu nie działo się nic, chyba żeby wziąć pod uwagę pełne wspomnień hibernacyjne majaki jedenastu śniących.

Wrócili tak samo cicho, jak zniknęli. Chwilę spędzili przy kontrolerach komór kriogenicznych, później jeden z nich obejrzał każde urządzenie dla upewnienia się, czy wszystko jest w porządku. W ciągu kilku chwil cała piątka na powrót rozebrała się do bielizny i zniknęła w hibernatorach. Wkrótce nic w komorze pasażerskiej o kryptonimie Kavu nie wskazywało, że ktokolwiek zakłócił jej sen.

ICS „Wpatrzony w strumień”, podejście do orbity Fushun, system Shuncheng,
17.03.2212 ESD, 18:41

16:29 czasu lokalnego

Komory wypuściły ich godzinę przed wejściem na orbitę Fushun, czterdzieści minut przed pozostałymi pasażerami frachtowca. To dało czas na sprawdzenie sprzętu i ostatnie powtórzenie planu. Teoretycznie następny krok był prosty. Po dwa i pół tysiąca ewakuowanych miały zjawić się wahadłowce, po kolei przerzucając ich na kosmodrom, a potem do tymczasowych kwater. Xinfu nie było miastem zmilitaryzowanym i liczyli na to, że oddziałowi relatywnie łatwo będzie rozplątać się w nim pośród miliona jego mieszkańców. Ich sprzęt, podróżujący w jednym z kilkuset kontenerów przemysłowych, miał wylądować w terminalu towarowym Fushun, ukryty lepiej niż ziarno piasku na pustyni. Brzmiało to wszystko bardzo klarownie.

Siedzący na krawędzi otwartego hibernatora Wierzba przestał bawić się talią kart i schował ją do woreczka, a ten do kieszeni brudnobłękitnej kurtki z jaskrawożółtym emblematem. Widniejące na nim oznaczenie placówki wyglądało w miarę „wojskowo”. Czuł się dziwnie - od ponad dwóch lat nie miał na sobie ciuchów, które nie były mundurem.

Poruszanie się bez znajomego ciężaru pistoletu i wygodnych pasów uprząży bojowej wywoływało zabawne mrowienie, jakby przyduszony niepokój. O tym Brisbane nie wspominał na niekończących się zajęciach przygotowawczych. Polak prawie nie pamiętał, jak to jest być cywilem.

Po kolei umieścił w licznych kieszeniach grubszej nieco niż mundurówka kurtki przydzielone mu drobiazgi osobiste. Paczka papierosów, podręczny pakiet higieniczny i rolka taśmy klejącej szybko zniknęły na piersiach. Robocze rękawice schował do jakby specjalnie w tym celu zaprojektowanej kieszeni przy czarnych spodniach krojem podobnych do wojskowych, a plastikowy hełm przypiął do klamry na szerokim pasie. Dopiero wtedy wstał i dołączył do pozostałych przebierańców. Trzeba było przyznać, że oddział doskonale pasował do znoszonych, nieco wyblakłych strojów roboczych, których jedynymi żywymi elementami były jaskrawe pasy z aktywnych włókien mające ułatwiać lokalizację właściciela.

- Muszę powiedzieć, że jestem ciekaw. - Wzdrygnął się, kiedy nagle usłyszał cichy głos. Sokole Oko usiadł na hibernatorze, bawiąc się kieszonkowym rzutnikiem widowym, stanowiącym zapewne część jego przydziałowych przedmiotów osobistych.

- Czego ciekaw, kapralu? - Marcin spojrzał na podoficera.

- Teraz jestem „zmianowym” - zwrócił mu uwagę Hiszpan. - Lepiej nie robić głupiego błędu przy miejscowych.

- To nie odpowiedź - zauważył Wierzba.

- Jestem ciekaw miasta - wyjaśnił Sokole Oko. - Dawno nie byłem w dużym mieście.

- To chińskie miasto na przemysłowej planecie - sprecyzował Marcin.

- A czy naprawdę jest aż taka różnica? - kapral uśmiechnął się lekko. - Odwiedziłem kilka miast i wszystkie miały swój urok. Miło będzie zobaczyć kolejne.

Marcin rozumiał podoficera. Zdarzało mu się oczywiście odwiedzać miasta, ale na ogół nie były one duże. Sto, dwieście tysięcy ludzi. Większość zamieszkałych kolonii nie miała znowu aż tak wielu mieszkańców. Słyszał oczywiście o molochach w centralnych terytoriach Unii, lecz nigdy nie oglądał takiego z bliska.

- Prawie nie pamiętam, jak to jest być w cywilizacji - zaśmiał się cicho.

- Przyzwyczajaj się. - Sokole Oko poklepał go po ramieniu. Z jakiegoś powodu Polakowi wydawało się, że pogodny nastrój kaprala zniknął jak zdmuchnięty.

*

Ku zaskoczeniu Marcina cały przeładunek poszedł zaskakująco łatwo. Ich oddział został przydzielony do szóstej ze stuosobowych grup, w jakich pasażerowie frachtowca - dopiero teraz Polak dowiedział się, że statek nazywa się „Wpatrzony w strumień” - byli

transportowani na powierzchnię planety. Kiedy przerywający interkom oznajmił ich kolej, przeszli do obszernego doku, zdecydowanie zbyt dużego na załadunek setki ludzi. Monstrualnej wielkości technologiczna jaskinia - hangar śródkręca, o ile Marcin dobrze pamiętał plan statku - mogła zmieścić bez problemu trzykrotnie więcej ludzi i nadal nie byłoby tłoku. W mdłym świetle nielicznych funkcjonujących lamp stu górników zdawało się niknąć w półmroku, a głosy wsiąkały w olbrzymią przestrzeń i gubiły się w niej. Osiemdziesiąt cztery osoby, z którymi czekali na duży, pasażerski wahadłowiec, w ogóle nie zwracało na nich uwagi, zbite w grupki i pochłonięte własnymi sprawami. Marcinowi udało się wychwycić parę pojedynczych zdań - na szczęście rzeczywiście nie mówili wysokim imperialnym, ale kilkoma odmianami linguy, reliktu z czasów, kiedy ludzkie kolonie mieszały się dość swobodnie. Polak faktycznie dostrzegł wśród nich tylko nielicznych Azjatów i musiał przyznać, że prawdopodobnie gdyby nie wiedział o tym wcześniej, nie potrafiłby odgadnąć ich narodowości ani przy użyciu wzroku, ani słuchu.

Niepokój, z trudem zwalczony zaraz po pobudce, uderzył ze zdwojoną siłą, kiedy głośnik nadał komunikat, że dokowanie opóźni się o kilkanaście minut. W tym momencie Marcin zdał sobie sprawę, że jego oddział niesamowicie się wyróżnia. Nie miało to nic wspólnego z tym, że znał ich tożsamość. Kiedy stali w pobliżu cywili, ich każdy krok, spojrzenie, ułożenie tułowia, każda zmiana środka ciężkości aż krzyczała: „Wróg w przebraniu!”. Im dłużej Wierzba przyglądał się podkomendnym Brisbane’a, tym bardziej był przekonany, że alarm jest tylko kwestią czasu. Nawet jeśli nie tu i teraz, to natychmiast, kiedy wylądują. Zresztą było całkiem możliwe, że Chińczycy już wiedzieli. Że prom wiezie oddział, który ma zatrzymać intruzów... Polak zauważył, iż poci się pod roboczym strojem. Spięty umysł, napędzany lękiem konstruował i odrzucał jeden plan ratunkowy po drugim. Tutaj nie mieli szans, to było całkiem jasne - nie byli nawet uzbrojeni. Może gdyby ruszyli teraz...

- Wierzba. - Poczul dłoń Thorne’a na ramieniu. - Spokojnie.

- Widać nas. - Marcin popatrzył rozgorączkowanymi oczami na kolegę. - Na pierwszy rzut oka...

- Nie. - Tamten pokręcił głową.

- Cholera, Thorne...

- Nie - powtórzył szeregowiec. - Ty to widzisz. Oni nie mają pojęcia.

- Skąd możesz wiedzieć...

- Wiem. - Thorne wyrócił oczami, ale ku zaskoczeniu Polaka darował sobie złośliwe wykrzywienie twarzy. - Nasz dzielny pułkownik zawałił ten etap przygotowania.

- Znaczy...?

- Nigdy nie robiłeś czegoś takiego, prawda? - Żołnierz poklepał go po ramieniu. - A teraz w dodatku jesteśmy po roku na Bagnie, połowę oddziału można odróżnić od stada wilków tylko po ubraniach...

- Jakoś nie widzę tego problemu u innych.

- Nie patrzysz. - Tym razem Thorne zaśmiał się bezgłośnie, choć uśmiechu nie było w jego oczach. - Isaksson o mało nie uciekła, ze Szczeniakiem gada teraz ten łapiduch Reese. Cartwright trzyma się na niezłomnej oficerskiej dumie, a Weiss... cóż, mam nadzieję, że on ustoi, bo naprawdę ześwirowany Wunderwaffe to ostatnie, czego potrzebujemy.

- Wspaniale... - wymamrotał Marcin. - A ty?

- Jestem fatalistą, to proste. - Szeregowiec posłał mu ironiczne spojrzenie. - Lęk wynika z niepewności. Ja wiem, że coś się popsuje.

- Poczyszczając - mruknął Polak z przekąsem. Rozmowa z Thorne'em paradoksalnie go uspokajała. Może to była kwestia tego, że inni też czuli się źle? - Oby więcej mądrości z twojej krynicy.

- Chwilowo krynica nieczynna - odparł tamten. - Prom przyleciał.

Rzeczywiście, dotychczas martwy wyświetlacz na ścianie hangaru ożył, wypisując informacje o dokowaniu.

Dziesięć minut później Marcin siedział już wbity w ciasny fotel z Weissem po prawej stronie i niskim technikiem o kędzierzawych włosach po lewej. Za niewielkimi iluminatorami widział olbrzymie cielsko „Wpatzonego w strumień”, oddalające się do rytmu równej pracy silnika wahadłowca. Gdzieś przed dziobem stateczku rosła Fushun. W ciągu godziny mieli znaleźć się na kosmoporcie Xinfu. W paszczy lwa.

*

Na Fushun wylądowali w środku nocy, pod granatowoczarным niebem, pośród setek sztucznych świateł kompleksu kosmoportu i widocznego na horyzoncie miasta. Kiedy tylko wyszli z wahadłowca na przystawione schody, powiał im w twarz ciepły, przyjemny wiatr o zapachu ziemi. Wraz z nim nadeszły dźwięki - nieskoordynowana mieszanina pokrzykiwań, hałasu silników i odległych nawoływań megafonów. Gdzieś niedaleko przejechał mały pojazd sygnalizacyjny, znacząc drogę dla wielkiego promu towarowego, a nieopodal podchodził do lądowania strumieniowiec z oznaczeniami kontroli ruchu. Dziesiątki świateł pozycyjnych maszyn w powietrzu i na płycie tworzyły istne konstelacje, sunące wzdłuż niewidocznych w ciemności tras. Imperialny kosmoport był zdecydowanie największą cywilną placówką, jaką Wierzbza widział od ponad roku. Pewnie, nie tak olbrzymią jak kosmiczne miasto Brestu, ale tamto było bazą wojskową, w dodatku obserwowaną z ograniczonej przestrzeni izolowanych

kwater. Tutaj z każdym oddechem wdychało się światła, gwar i czuło tętno normalnego życia. Marcin na moment znieruchomiał, chłonąc nadmiar bodźców.

- Czy mógłby się pan przesunąć? - Brunetka o orientalnych rysach lekko dotknęła jego ramienia. - Blokuje pan przejście.

- Przepraszam. - Polak zamrugął gwałtownie i posłał kobiecie słaby uśmiech. Szybko ruszył schodami w dół, doganiając Weissa.

Czekając na dwa autobusy, które miały przewieźć ich do hali odpraw, Marcin powoli oswajał się z kosmoportem. Zwalczał odruchy nakazujące mu obracać się na każdy hałas, ukrywać się przed światłem każdego reflektora. Nawet nie chciał myśleć, w jakim byłby stanie, gdyby nie sesje terapeutyczne w Breście. Innym też nie było łatwo - różne stadia zdenerwowania dostrzegał właściwie u każdego. Wyraźnie jednak w najgorszym stanie była Niemi - Finka zdawała się minimalnie drzeć. Tuż obok sierżant stał Sokole Oko, cały czas mówiąc coś cicho, ale bez żadnych widocznych rezultatów. Marcin, wsiadając do autobusu, myślał już tylko o jednym - jeżeli tak trudna jest płyta kosmoportu, to jak wyglądać będzie hala odpraw?

Według informacji pułkownika Brisbane'a procedury sprawdzenia ewakuowanych górników miały przebiegać dość pobieżnie - w końcu wiadomo było, skąd się wzięli. Właściwie czekała ich procedura bardziej porządkowa niż zabezpieczająca. Nawet informacje o pasażerach opierały się wyłącznie na bazie danych „Wpatzonego w strumień”. Według odprawy sprzed akcji ten etap insercji miał być najłatwiejszy. Przynajmniej w teorii. Jednak zupełnie co innego podpowiadał Wierzbie instynkt, kiedy stał w luźnej grupie sunącej koło stanowisk kontrolnych. Wszystko po kolei - jasno oświetlona, wysoka hala, lekko znudzeni wartownicy rozlokowani w posterunkach porządkowych, wzmocnione ramy w przezroczystych drzwiach prowadzących poza teren hali, kamery - wrzeszczało:

„Niebezpieczeństwo!”. Każde potknięcie tutaj miało być potknięciem ostatecznym. Wystarczy, że ktokolwiek zostanie zgarnięty z dowolnego powodu, a jego przykrywką zniknie niczym przegnana silnym wiatrem Fushun. Walczyć się tu nie dało - nie bez broni, nie przeciw wartownikom na o wiele lepszych pozycjach. Ucieczka z kolei szybko zakończyłaby się na zamkniętych wzmocnianych drzwiach. Droga ku dalszej części zadania wiodła przez klatkę i w ciągu kilku minut miało się okazać, czy stanie się ona śmiertelną pułapką dla szesnastu ukrytych za fałszywymi dokumentami szczurów.

Pierwsi przez stanowiska kontrolne przeszli Cross i Delaviente, pozornie pograżeni w rozmowie. Dwaj urzędnicy ledwo zwrócili na nich uwagę, przesunęli pośpiesznie karty identyfikacyjne przez czytniki i już machali na kolejnych. Trudno się było dziwić ich

zniecierpliwieniu - mieli w końcu szóstą setkę dodatkowych ludzi do sprawdzenia, a kolejne prawie dwa tysiące czekało jeszcze we frachtowcu... Ich zmęczenie stanowiło jeden z istotnych elementów planu. Zirytowani dodatkową pracą kontrolerzy robili wszystko, by nie zajmować się zbyt długo każdym z przechodzących, o ile nie wyglądał szczególnie podejrzanie. Wszystko zaczęło rysować się nieco bardziej różowo... a potem Wierzba spojrzął na Niemi.

Sierżant miotała spojrzeniem od wartownika do wartownika, a jej dłonie na przemian zaciskały się w pięści i rozluźniały. Mocno zwarte szczęki wyraźnie rysowały się pod bladą skórą twarzy, a na czole Niemi perlił się pot, błyszczący w ostrym świetle lamp hali. Obok Finki stał zaniepokojony Reese, coś jej tłumacząc, ale najwyraźniej niewiele to pomagało. Zresztą chwilę później Brisbane szepnął coś do porucznika i Niemi została sama, na sztywnych nogach idąc w stronę stanowiska kontrolnego. Polak zaklął w myślach. Cholerny pułkownik nie chciał wystawiać dwójki ludzi. Niech Niemi sama wpadnie, jak już musi... Szlag.

Nawet nie zorientował się, kiedy podbiegł do urzędnika truchtem, wyprzedzając idącą krok za krokiem sierżant. Obsługujący oba stanowiska kontrolne mężczyźni natychmiast spojrzeli na niego.

- Co to ma znaczyć? - wybuchnął na bliższego, z rozmachem uderzając kartą identyfikacyjną o blat. - Ja mam swoje prawa, byliśmy w połowie zmiany, to mi będzie odliczone od kontraktu!

- Słucham? - Czarnoskóry urzędnik spojrzął z niepokojem na górującego nad nim Wierzbę.

- Zostaliśmy ewakuowani, nie było informacji, przerwano nam pracę, a na promie powiedziano mi, że nie będzie kompensacji! - krzyknął Marcin, licząc cały czas, że ruch na Fushun jest wystarczająco duży, by jego obcy akcent nie brzmiał podejrzanie.

- Przykro mi, ale ja tylko sprawdzam dokumenty... - Jego rozmówca najwyraźniej nie wiedział, jak sobie poradzić z nagłym i całkowicie źle ukierunkowanym atakiem agresji. Stojący nieopodal wartownik powoli ruszył w ich stronę.

- To stąd przyszedł rozkaz, przecież tak mi powiedziano, proszę pana! - Wierzba trzepnął otwartą dłonią w blat. Niemi w końcu dotarła do stanowiska i stanęła cicho obok niego. Jej karta wybijała nierówny rytm na plastikowym blacie, a kiedy Marcin kątem oka spojrzął na sierżant, zobaczył skupione, analityczne spojrzenie wbite w zbliżającego się wartownika.

- To nie mój problem, proszę pana. Proszę załatwić to w centrali... - Urzędnik rzucił

okiem na monitor. Początkowe zaskoczenie ustępowało miejsca irytacji. -... Koncernu wydobywczego Yin. Proszę przechodzić.

- Straciłem pieniądze. - Polak powstrzymał się od głębokiego oddechu ulgi, kiedy czarnoskóry mężczyzna z roztargnieniem zabrał kartę Niemi i przesunął ją nad czytnikiem.

Sekundę później kobieta oddalała się już ku czekającej grupie Harrisa.

- Proszę pana, blokuje pan ruch. - Wartownik stanął obok stanowiska. Był niższy od Polaka i wydawał się szczuplejszy od niego. Miał też broń i pancerz. Oraz kolegów, z coraz większym zainteresowaniem przyglądających się darmowemu przedstawieniu. - Proszę przechodzić.

Wierzba spojrział wrogo najpierw na urzędnika, potem na stojącego obok żołnierza. W końcu z ostentacyjną złością zabrał kartę i odszedł, rzucając na odchodnym mrukliwe „do widzenia”. Idąc, z trudem krył zadowolenie. Niemi przeszła.

Potem było już z górki. Rozgadani Szczeniak i Isaksson ze spokojem przyjmująca jego końskie zaloty, ale uśmiechająca się zachęcająco do urzędnika, a także znudzony Thorne i poukładany Weiss ze swoim skórzanym notatnikiem w dłoni - diabli wiedzą, jak udało mu się uzyskać pozwolenie Brisbane'a - nie stanowili żadnego problemu. Cartwright szła jak w półśnie, co chwila sącząc kupioną w automacie kawę, a szeroko uśmiechnięty Sokole Oko zdawał się cieszyć każdym metrem marszu w jasnej, pełnej ludzi hali. Reszta grupy przeszła prawie kwadrans później, przepuszczając niemal wszystkich pasażerów promu przed sobą. Kiedy opuścili halę odpraw i zmieszali się z czekającymi na szerokiej platformie węzła transportowego robotnikami, Wierzba czuł się lżejszy o dziesięć kilo. Nie potrafił uwierzyć, że wszystko może skończyć się dobrze - słyszał od bardziej doświadczonych, że powinno się udać, ale jego świadomość z trudem przyjmowała to do wiadomości. Ktoś poklepał go po ramieniu, a Niemi rzuciła ciche „dziękuję”. Nawet Cartwright wydawała się zadowolona. Czuł, jak nerwy pierwszych godzin akcji spływają z niego, zastępowane przez póki co namiastkę, ale jednak pewności siebie. Po stresie ostatnich dni czuł tak silną satysfakcję i ulgę, że musiał powstrzymać okrzyk radości.

- To był paskudny błąd - usłyszał nagle głos Brisbane'a.

- Słucham?

- To, co zrobiłeś. - Oficer zrównał się z idącym po płycie Polakiem. Mężczyzna szedł luźno, z rękoma w kieszeniach kurtki. W niczym nie wyróżniał się pośród kilku setek robotników na terenie węzła.

- Sierżant Niemi wyglądała...

- Jakby brała. - Pułkownik wywrócił oczami. - Naprawdę myślisz, że nie czytam

raportów psychologicznych? Że nie spodziewałem się tego? Czy po prostu zapominasz, o czym mówiłem na odprawie? Jaka jest najpopularniejsza używka na platformach górniczych w Baicie?

- Cukier bogów... - wymamrotał Wierzba. Entuzjazm uciekał z niego jak woda z dziurawej manierki.

- A jakie objawy daje cukier bogów?

- Silną chorobę lokomocyjną, złe reakcje na światło, potliwość... - Polak w myślach przeklął sam siebie. Świetnie pamiętał ten etap szkolenia. Przypomniał sobie nawet sugestię Szczeniaka, że dla lepszego efektu powinni się tym naćpać. Teraz, kiedy rozglądał się wokół, wśród górników widział innych, o bladych, spoconych twarzach, niepewnych ruchach i zmrużonych oczach... Cholera.

- Czyli wszystko, co prezentowała Niemi - podsumował bezlitośnie Brisbane. - Tymczasem gdybyś trafił na o włos bardziej zdenerwowanego urzędnika czy mniej opanowanego żołnierza, to ty siedziałbyś w pokoju śledczym.

- Przepraszam - bąknął cicho Wierzba. - Powstrzymam się następnym razem.

- Nie powstrzymuj się - parsknął pułkownik. - Po prostu to zgłaszaj. Kiedyś twoja radosna improwizacja może się przydać. Była przekonująca, to muszę przyznać.

- Dziękuję.

- Tym razem się udało. Ale nie liczymy na szczęście w miejscach, gdzie nie musimy. Zanim Polak zdążył odpowiedzieć, oficer już odłączył od niego i zrównał się z Cartwright. Marcin przez chwilę odprowadzał go wzrokiem, z trudem kryjąc rozczarowanie. Cóż, pocieszył się w myślach. Przynajmniej się udało.

IS „Smaragd”, wysoka orbita Fushun, system Shuncheng, 17.03.2212 ESD, 22:35 00:23 czasu lokalnego

Liao Tzu wpatrywał się w goban, kiedy zabrzmiał dzwonek do jego kwatery.

- Proszę - powiedział odruchowo, jednocześnie zwalniając blokadę zamka. Nie musiał podnosić wzroku znad układu kamieni, by domyślić się, kto przyszedł. - Jak rozumiem, wiadomość z planety?

- Tak jest, admirale. - Młoda porucznik z działu łączności wyprężyła się w postawie zasadniczej, jakby starając się ukryć młodzieńczy urok za profesjonalną postawą.

- Doskonale. - Tzu sięgnął po imbryk, ale ten okazał się pusty. Musiał stracić poczucie czasu nad planszą. - Mniemam, że są dobre?

- Tak jest - zameldowała. - Intruzi zostali wyizolowani i są śledzeni przez delegaturę wywiadu na Fushun. Oddziały wojskowe czekają w gotowości.

- Wywiad? - Uniósł wzrok.

- Dowódca jednostek naziemnych uznał, że lepiej nadają się do zadania.

Liao Tzu uśmiechnął się do siebie. Delegatura wywiadu... Mei Lin nie próżnowała, dbając, żeby jej ludzie byli obecni przy ostatecznym sukcesie.

- Rozumiem - powiedział cicho. - Przekażcie, że to doskonała decyzja. Oczekuję meldunku, kiedy uda się odnaleźć i skatalogować ekwipunek nieprzyjaciela. Poza tym żadnych akcji bez mojej wiedzy.

- Tak jest - zaszalutowała służbiście.

- Dziękuję, może pani odejść.

Kiedy tylko kobieta wymaszerowała z kajuty, admirał wrócił do gobanu. Dane wywiadu okazały się pewne. To była dobra wiadomość. Teraz trzeba tylko uważać, aby nie spłoszyć przeciwnika... I spokojnie czekać, aż do marnych kilkunastu ludzi w puli nagród dołączy unijny zespół uderzeniowy.

Układanka

EUS „Kraken”, system Jawa, 21.03.2212 ESD, 04:51

Vincent Delanov westchnął i spojrzął na otwarty plik tekstowy. Dochodziła piąta czasu pokładowego. To oznaczało, że już od czterech godzin siedział nad głupim listem do domu. Cztery godziny nad dwiema stronami tekstu, z czego sporą część stanowiły życzenia urodzinowe dla syna. Mężczyzna pociągnął łyk zimnej kawy, jednak napój nie tylko nie rozjaśnił mu w głowie, ale w dodatku smakował dość obrzydliwie. Szkolny błąd, skarcił się w myślach, próbując jakoś wypędzić ze świadomości metaliczny posmak.

- Lata w marynarce wojennej - mruknął, patrząc z ukosa na kubek - a ty nadal niczego się nie nauczyłeś.

Spojrzął na niedokończony tekst. Odkąd „Kraken” opuścił zatłoczoną orbitę Nowego Londynu, napisał takich dobrą setkę, ale z jakiegoś powodu żadna kolejna próba nie okazała się łatwiejsza od poprzedniej. Dzisiejsza wiadomość była z kategorii szczególnie paskudnych - tych, w których trzeba wytłumaczyć dziesięciolatkowi, że znowu nie zdąży się na jego urodziny. Do diabła, nawet mówienie o „niezdażeniu” było oszukiwaniem samego siebie - po prostu na nich nie będzie. Trzeci raz. Czasem w szczególnie złych chwilach zastanawiał się, czy w ogóle by rozpoznał syna, gdyby nie przysyłane przez żonę hologramy. Najgorsze było to, że pomimo mijających lat chłopak wierzył święcie, że w końcu się uda. Że tym razem tata pojawi się w drzwiach i zabierze go do muzeum kolonizacji, i pokaże okręty... Wzrok Delanova przesunął się na wydruk dzieła Marka pod tytułem „Moje Boże Narodzenie”, które żona przesłała mu na święta. Ile to było... trzy lata temu? Marianna wykonywała tytaniczną pracę, usiłując utrzymać więź Marka z ojcem. Wydawała ogromne pieniądze, by ścigać go wiadomościami, pisała długie elaboraty o postępach chłopaka w szkole. Raz zdobyła się nawet na paczkę i teraz dziecięcy projekt holograficzny wymarzonego domu zajmował honorowe miejsce na biurku komandora. Delanov świetnie wiedział, co dzieje się u jego bliskich. Niestety, w drugą stronę komunikacja nie działała tak dobrze. Mężczyzna uśmiechnął się ponuro. Dobrze, że we wszystkich pracach i projektach syna nadal jeszcze był ojciec. Oficerowi floty ciężko mieć rodzinę. I nawet fakt, że Marianna doskonale rozumiała

obowiązki męża, nie pomagał.

Po raz kolejny uniósł wzrok na jasny ekran. Okazuje się, że nie dam rady wrócić na czas, żeby pomóc Ci zdmuchnąć...

Źle brzmiało. Zresztą, w takiej sytuacji wszystko wydawało się marną wymówką. Zaznaczył i zdecydowanym ruchem usunął cały fragment. Jeżeli Marek mógł czekać na ojca tyle czasu, on może posiedzieć dłużej nad listem. Wygrzebał z szuflady odrapaną, staromodną puszkę. No tak, oczywiście prawie nic nie zostało, pomyślał ponuro, spoglądając na dwa ostatnie cukierki kofeinowe smętnie przyklejone do aluminiowego dna. Na śmierć zapomniał, że się kończą, a zorganizowanie nowych w obecnej sytuacji będzie raczej trudne. Zamknął puszkę i wrócił wzrokiem do ekranu, by zmierzyć się z niedokończonym listem. To nie była dobra noc.

Brzęczyk interkomu wciął się gwałtownym, irytującym dźwiękiem w ciszę kabiny. Oficer zerknął na zegarek. Piąta siedem. Za wcześniej na wachtę, alarm byłby słyszalny, w przypadku problemów ktoś pofatygowałby się osobiście... Zanim jeszcze wduślił przycisk połączenia, wiedział, kto dzwoni.

- Komandorze, zechciałby pan do nas dołączyć w sali konferencyjnej? - usłyszał uprzejmy głos Kuertena.

Delanov uniósł brew. „Nas”. Nie sądził, żeby to oznaczało dowódców okrętów eskadry - już raczej komandor Lafayette. Reprezentująca Sztab Sektora Francuzka przybyła na „Krakena”, kiedy tylko odleciała grupa Brisbane’a, i choć nie próbowała rządzić się jak inni sztabowi oficjele, jej obecność na okręcie była bardziej niż zauważalna. W krótkich momentach pomiędzy ćwiczeniami pojawiała się na mostku, spędzała długie godziny w sali odpraw, radząc z admirałem, korzystała z dostępu do akt okrętowych. Codziennie zajmowała stanowisko łącznościowe okrętu, żeby słać meldunki do Sztabu. To, że używała własnego hardware’u szyfrującego, oczywiście było sensowne z punktu widzenia sztabowca, ale i tak budziło niechęć kadry, może oprócz młodszych oficerów - ci czuli się częścią czegoś ważnego. Nie robiła niczego w sposób ostentacyjny i logicznie działająca część umysłu Delanova podpowiadała mu, że nie ma absolutnie żadnego powodu do odczuwania niechęci wobec pięknej oficer. Jednak coraz wyraźniejszy głos innej części jego osobowości zauważał, że obecność i irytujący styl bycia intruza tylko utrudniają pracę załodze. Delanov bardzo chciał, aby należał on do podpartej doświadczeniem weterana niechęci frontowca do biurkowych dżokejów ze Sztabu, choć w głębi duszy musiał uczciwie przyznać, że z większym prawdopodobieństwem odpowiadało zań urażone ego.

- Jestem w drodze, sir - odparł i rozłączył się. Nie było sensu mówić więcej, w końcu

admiral dokładnie wiedział, za ile minut się go spodziewać. Dopiął bluzę mundurową, wziął datapad i szybko przyczesał włosy. Rzucił jeszcze ostatnie pochmurne spojrzenie na ekran komputera, po czym opuścił kabinę.

„Kraken” nie rozróżniał dnia i nocy - korytarz w centralnej sekcji krążownika, gdzie znajdowała się kabina dowódcy, tętnił życiem. Dzięki skądinąd bardzo dobremu pomysłowi, że dowódca musi rezydować blisko pomostu bojowego, Delanov wkroczył wprost w chaos przygotowań do ćwiczeń zaplanowanych na piątą dwadzieścia. Kilku przebiegających oficerów nocnej wachty - już odzianych w skafandry - zaszalowało mu przelotnie, gdzieś z sykiem zatrzasnęła się gródź, grupa zabezpieczenia ustawiała się przy powoli zamykających się szerokich wrotach prowadzących na pomost bojowy. Był to kolejny - chyba już dziesiąty - pólśamobójczy scenariusz zaplanowany przez Kuertena, który przygotował symulacje wkrótce po swoim powrocie z Brestu, ku wątpliwej uciechu załogi. Eskadra i tak przeprowadzała treningi częściej niż inne jednostki liniowe, ale teraz ich ilość zaskoczyła nawet samego Delanova. Admiral najwyraźniej postanowił szczerze wypełnić czas podwładnym. Załoga brała udział w symulacjach co kilka godzin, powoli opanowując wychwytywanie złośliwych pułapek zastawianych przez dowódcę - a także zasilając liczne stronnictwo we flocie, które uważało Nijala Kuertena za szaleńca. W eskadrze „Krakena” nie służyli jednak ludzie, którzy nie potrafili się dostosować. Przeklinali, spoglądali na oficerów społem, ale szybko przywykli do nowego trybu życia, nawet jeśli oznaczało to mocno limitowany wolny czas i niemal ciągły - dyktowany warunkami kolejnych scenariuszy - nadzór.

Przechodząc szybko korytarzem, komandor w duchu życzył szczęścia dowodzącemu okrętem na czas ćwiczeń DuLacowi. Miał szczerą nadzieję, że poradzi on sobie z przygotowanym w zaciszu admirałskiej kabiny piekłem. Bo na to, że pójdzie łatwo, nie było chyba szans.

Dotarcie na miejsce zajęło mu niecałe pięć minut. Sala znajdowała się bliżej sekcji dziobowej, dokładnie pomiędzy odliczającym minuty stanowiskiem dowodzenia, a zapewne pograżoną w podobnym napięciu sekcją analiz taktycznych. Dwójka żołnierzy pilnujących pomieszczenia zaszalowała jednocześnie na widok dowódcy i wpuściła go, tylko na wymagany regulaminem ułamek sekundy zatrzymując wzrok na podanej karcie identyfikacyjnej.

Tak jak przewidywał, w pomieszczeniu nie było nikogo poza Kuertenem i Lafayette. Kontradmiral siedział na samym końcu stołu przewidzianego do holokonferencji z dowódcami innych okrętów eskadry. Francuzka rozparła się wygodnie dokładnie

naprzeciwko wejścia, wspierając na dłoni podbródek i wbijając błyszczące jak u kota oczy w nowo przybyłego. Żaden z wyświetlaczy nie pracował, przez co pomieszczenie sprawiało irracjonalne wrażenie niedoświetlonego - choć pewnie był to po prostu efekt kontrastu z jasnymi lampami w korytarzu.

- Dokładnie o czasie. - Nijal Kuerten nie drgnął nawet w swoim fotelu.

- Przewidujemy kogoś jeszcze? - Delanov spojrzął znacząco na projektory holo. - Czy to tylko spotkanie robocze?

- Można tak powiedzieć - odparł dowódca. - Sprawy, które będziemy dziś omawiać, nie powinny wyjść poza naszą trójkę.

- Rozumiem. Pozostali dowódcy?

- Wiedza z dzisiejszej odprawy nie będzie im potrzebna do wykonania zadania.

- Dysponujemy uzasadnionymi podejrzeniami - wtrąciła Lafayette miękkim głosem - że kadra floty jest zinfiltrowana przez przeciwnika.

- Rozumiem, że dowódcy pozostałych okrętów eskadry są w kręgu podejrzanych? - Delanov zmrużył lekko oczy, spoglądając na kobietę. Ta tylko uśmiechnęła się wyzywająco i mrugnęła do niego.

- Nie są podejrzani. - Kuerten odezwał się akurat w odpowiednim momencie, żeby nie pozwolić podwładnemu podjąć rękawicy. - Jednak zdecydowałem, że najlepiej będzie, jeśli ograniczymy liczbę osób świadomych całości planu do minimum.

- Tak jest, sir. - Delanov zmierzył wzrokiem Lafayette, ale kobieta nie wydawała się speszona. - Przepraszam, sir.

- W pełni rozumiem pytanie, nie ma powodów, by przeproszać. - Kuerten wyprostował się w fotelu. - Tym niemniej zajmijmy się rzeczami istotnymi.

Francuzka wykonała gest, jakby zapraszała na miejsce obok siebie. Delanov udał, że go nie zauważył, i siadł naprzeciw niej, w reakcji na co tylko wzruszyła ramionami.

- Część informacji jest już znana komandor Lafayette. - Admirał nie zwrócił uwagi na zachowanie dwójki oficerów. - Kilka elementów się zmieniło.

Zaskoczona Francuzka uniosła brwi, ale milczała.

- Jak pan wie, nasza eskadra - kontynuował Kuerten - została wydzielona do wkroczenia w przygraniczny system Korsyka, zajęty przez Imperium szesnaście miesięcy temu. Sztab wierzy, że przeciwnik nie zna wszystkich wejść nawigacyjnych do Korsyki, przez co będziemy mogli dostać się do systemu w nieobstawionym punkcie. Siły wroga to eskadra pomocnicza, krążownik, cztery niszczyciele. Dwa punkty przeładunku mersenu, które powinniśmy zdobyć, zabrać, co się da, na transportowce i umknąć, zanim przybędą posiłki.

- Tak jest.

- To, komandorze, była zasłona dymna - uśmiechnął się kontradmirał.

Delanov milczał. Musiał przyznać, że nie był zadowolony z siebie - w końcu wszystko wskazywało, że operacja eskadry nie będzie typowa. Choćby sama obecność tego pułkownika z Operacji Specjalnych, Brisbane'a, sugerowała coś bardziej niezwykłego. Zerknął na siedzącą naprzeciw Francuzkę, ale kobieta nie wyglądała na zaskoczoną - najwyraźniej ta wiedza nie należała do „kilku zmienionych elementów”.

- W rzeczywistości eskadra „Krakena” będzie stanowić rdzeń sił uderzenia na terytorium wroga, przeciwko planecie Fushun w systemie Shuncheng.

Komandor powoli skinął głową, wyszukując nazwę w pamięci. To, co pamiętał, nie brzmiało dobrze. Fushun była twierdzą, i to leżącą wewnątrz świetnie umocnionej prowincji Liaoning. Samo przebicie się przez jej systemy graniczne wymagało przynajmniej dwóch pełnych eskadr liniowych, a nie lekkiego zespołu, jakim dysponowali.

- Celem operacji jest zniszczenie zakładów rafinujących wydobywane na planecie caellium.

Delanov w myślach umieścił trzecią eskadrę na liście sił koniecznych do przeprowadzenia skutecznego ataku. Niezwykle rzadkie caellium było bazą paliwa rakiet ofensywnych. Każda planeta z rafineriami i kopalniami tego pierwiastka stawała się automatycznie ważnym strategicznym zasobem. Przemysł Fushun przesunął je z kategorii „twierdza” w stronę „niezdobytej twierdzy”.

- Planety docelowej strzeże eskadra skoncentrowana wokół pancernika. Jednak w ciągu czterdziestu ośmiu do siedemdziesięciu dwóch godzin te siły mogą się nawet potroić. Dodatkowo będziemy mieć do czynienia z siecią obrony orbitalnej oraz systemem wyrzutni naziemnych.

Vincent Delanov stuknął nerwowo dłonią o czarny blat, ale nic nie powiedział - czekał. Kontradmirał Nijal Kuerten nie podjąłby się zadania, którego nie byłby w stanie wykonać. Skoro w ogóle brał się za sprawę, musiał mieć plan.

- Dysponujemy trzema atutami - mówił tymczasem dowódca eskadry. - Pierwszy to grupa pułkownika Brisbane'a na samym Fushun. Jej zadaniem jest czasowe wyłączenie sieci naziemnej, co wyeliminuje ją z równania na czas ataku. Drugim jest eskadra liniowa „Chimery”, która wykona skok zsynchronizowany z naszym i uderzy na siły obrony. Trzecim wreszcie są zdobyte niedawno współrzędne nawigacyjne, które pozwolą nie tylko na bezpośrednie wejście do systemu Shuncheng z pominięciem strefy granicznej prowincji, ale dodatkowo umieszczają nasze siły w punkcie nieoczekiwanym przez nieprzyjaciela.

Siedząca naprzeciwko Delanova Lafayette wbiła w komandora przenikliwe spojrzenie, zapewne ciekawa reakcji na przedstawione przez Kuertena wieści. Koordynaty do wnętrza terytorium wroga, w niepilnowany punkt... To brzmiało jak bajka. Komandor zrobił, co w jego mocy, żeby zachować kamienną twarz, ale sądząc po ironicznym uśmiechu Francuzki, odniósł raczej umiarkowany sukces.

- Mogę spytać...?

- Naturalnie - odparł admirał. - Nasi dzielni żołnierze przechwycili pakiet współrzędnych skokowych do wnętrza terytorium Imperium. Sprawa jest na tyle świeża, że zakładamy, iż przeciwnik o niej nie wie, a raczej - nie wie dokładnie, dokąd one prowadzą.

- Rozumiem. Czy „Chimera” dowodzi? - zapytał jeszcze. Eskadra liniowa była zdecydowanie większym zespołem niż związek jego własnego okrętu i taka decyzja Sztabu wydawała się całkowicie zrozumiała. Ku własnemu zaskoczeniu Delanov poczuł ukłucie żalu, że dowodzenie przesunęło się gdzie indziej.

- Nie, flagowcem pozostanie „Kraken”. - Kuerten najwyraźniej jednak nie skończył z niespodziankami. - Dowództwo uznało, że ponieważ kluczowym elementem operacji jest atak naziemny, nasz zespół powinien zachować dominującą rolę.

- Rozumiem. Czy możemy liczyć na panowanie w przestrzeni?

- Przez mniej więcej dobę, jak sędzę. Zakładam, że eskadrą obrony zajmie się zespół „Chimery”, a bitwa może się przedłużyć do dwudziestu czterech - czterdziestu ośmiu godzin. Jeżeli obrońcy wyślą kuriera z prośbą o wsparcie natychmiast, kiedy nas wykryją, a zapewne to zrobią, może on ściągnąć je w ciągu, powiedzmy, siedemdziesięciu dwóch godzin. To powinno dać nam dobę przy czystym niebie, nie licząc obrony planetarnej.

- Jakież jednostki w pobliżu samego Fushun? - zadał kolejne pytanie komandor.

- Owszem, to prawdopodobne. - Admirał pochylił się lekko w fotelu. W słabym świetle pomieszczenia błysnął drapieżny uśmiech. - I zadaniem zespołu „Krakena” jest nie pozwolić, aby te siły nas powstrzymały.

Delanov przymknął oczy, porządkując usłyszane fakty. Doba to spory margines. Dość, by wyłączyć cele naziemne i mieć jeszcze pewne szanse na ucieczkę. Oczywiście tylko wtedy, jeśli będą w stanie zniszczyć lub przynajmniej przełamać obronę orbitalną. Na chwilę mężczyzna zamarł w fotelu, analizując w myślach zdolności eskadry.

- Sir - spytał wreszcie - jak silny jest orbitalny system obronny?

- Słuszna uwaga, to faktycznie będzie problem. - Kuerten miał dość irytujący zwyczaj wyprzedzania rozmówcy o jedno pytanie. - Istotnie, pomimo przeniesienia części platform defensywnych do Tiedong w celu obrony nadajnika czasu rzeczywistego, pozostałe nadal

będą trudnym orzechem do zgryzienia nawet dla wszystkich okrętów eskadry.

- Żeby zakłócić działanie silnej sieci obrony planetarnej, potrzeba chyba z pięćdziesięciu magów... - mruknęła Lafayette.

- Mniej, ale istotnie więcej, niż mamy. Dlatego postanowiłem załatwić sprawę bardziej tradycyjnymi metodami.

- Kto? - Delanov domyślał się, dokąd zmierza wywód przełożonego.

- Sześć transportów klasy Sherwood, każdy z holowaną wyrzutnią pocisków.

Komandor skinął głową. Pomysł nie był zły. Pociski typu Armageddon, bezużyteczne w bitwie wobec braku prowadzących je modułów walki elektronicznej, do bombardowań planetarnych nadawały się doskonale.

- W ciągu dwunastu godzin eskadra skacze do punktu zgrupowania w systemie Jawa, bezpiecznie poza wzrokiem potencjalnych ciekawskich. Tam spotkamy się z naszymi sherwoodami oraz z zespołem desantowym.

- Desantowym. - Minimalne uniesienie brwi komandora było jedyną sugestią, że właśnie zadał pytanie. Po przeciwnej stronie stołu Lafayette zmarszczyła brwi. Więc to był ten nowy element...

- W istocie - odparł Kuerten. - Niestety, oba kompleksy rafineryjne znajdują się sto dziewięćdziesiąt kilometrów od miasta Xinfu. To uniemożliwia dość wygodne bombardowanie pociskami termojądrowymi.

-... Naturalnie, sir. - Delanov z rezygnacją potarł policzek grzbietem dłoni. Nie było sensu kłócić się w tej sprawie. Konradmirał wyznawał ideę, że nie można czuć się zwolnionym z przestrzegania prawa wojennego tylko dlatego, iż balansuje się na krawędzi przegranej. A konwencje mówiły wyraźnie, że bombardowania wysokiej mocy są zakazane w promieniu dwustu kilometrów od niezmilitaryzowanych osiedli. Sto dziewięćdziesiąt - o włos...

- Przyznaję, że Xinfu znajduje się blisko granicy, i zapewne dlatego pułkownik Brisbane zdecydował się na ryzyko. - Teraz z kolei Lafayette wywróciła oczyma. Wyraz twarzy kobiety wyraźnie wskazywał, co myśli na temat pobudek oficera oesów. - Na szczęście są inne opcje.

- Rozumiem, że pociski tylko niskiej mocy? - zapytał Delanov. Wiedział, że dyskusja nie ma sensu, więc należało się skupić na nowych parametrach zadania.

- Tak jest. A do tego trzeba się upewnić, że systemy antyrakietowe rafinerii nie funkcjonują. Stąd desant.

Sophie Lafayette najwyraźniej jednak wiedziała o admirale nieco mniej niż dowódca

„Krakena” - a przynajmniej jeśli chodziło o jego zafiksowanie na graniu zgodnie z regułami.

- To strasznie utrudni całą operację... - zauważyła, w zamyśleniu nawijając na palec pasmo czarnych włosów -... która i tak jest skomplikowana.

- Nie widzę innej możliwości, nie bez przekroczenia granic konwencji - odparł Kuerten - ale jeśli ma pani jakiś pomysł, jestem skłonny go rozważyć.

- Zatem proponuję wrócić do ostrzału orbitalnego - powiedziała zdecydowanie Francuzka, poprawiając się w fotelu. - Dziesięć kilometrów to kwestia bardzo umowna, a jednocześnie desant oznacza ryzyko dla całej eskadry.

- Uważam go za wykonalny. - Admirał zmierzył ją spokojnym spojrzeniem znad splecionych dłoni.

- Możliwe, ale nie wolno nam pozwolić sobie na taką brawurę.

- Ani na bombardowanie miasta.

- Sto dziewięćdziesiąt kilometrów... - Kobieta minimalnie uniosła głos, lecz nie zdążyła się rozpędzić.

-... To mniej, niż zezwala konwencja - przerwał jej Kuerten. - Jeśli teraz przesuniemy granicę o dziesięć kilometrów, wkrótce ktoś inny przesunie ją o pięćdziesiąt. Nie zamierzam być tym, kto to rozpocznie.

- Dokonywano już ataków na mniejszych dystansach. - Francuzka próbowała jeszcze walczyć, ale siedzący naprzeciw dowódca „Krakena” widział, że całkiem straciła impet. Nie była głupia, musiał przyznać. Wyczuła, że to nie jest pole do negocjacji.

- I za każdym razem zostało to potępione. Lafayette westchnęła ciężko i pochyliła głowę.

- Wedle uznania. - W jej tonie zabrzmiała wyraźnie wyczuwalna irytacja. - Choć może nas to pogrzebać.

- Bierzemy udział w wojnie, każda akcja floty obarczona jest ryzykiem. - Kuerten pozostawał niewzruszony. - Jak już mówiłem, po wejściu na pozycję spotkania dołączy do nas zespół desantowy, a po kolejnych dwunastu godzinach wykonujemy wspólny skok na terytorium Imperium. Dwie godziny po nas to samo robi „Chimera” i jej eskadra, skacząc ze swojego punktu zbornego w systemie Singapur. Spotykamy się na miejscu, zakładamy dewiację czasową do dziewięćdziesięciu minut.

- Co z kontrą? - zapytał cicho Delanov. - Nie obawiamy się, że po takim ciosie Imperium po prostu nas zaatakuje?

- W zasadzie... - dowódca zawiesił głos na moment -... nie.

- Nie - powtórzył bezwiednie komandor, wymieniając niepewne spojrzenia z

Lafayette. Komandor nie wyglądała, jakby spodziewała się takiej odpowiedzi.

- Owszem. - Kuerten nie zmienił tonu. Na wąskich wargach mężczyzny ponownie zagościł wilczy uśmiech. - Imperium już znajduje się w stanie wojny z nami. To znaczy, że ma plan, co z tą wojną zrobić, szczególnie na naszym froncie. Nie jest na tyle lekkomyślne, żeby dać się sprowokować do nagłych działań. Jedyna akcja odwetowa, jaka nam grozi, to reakcja dowódcy sił prowincji Liaoning, który może poczuć się naszą operacją... dotknięty osobiście.

- Siły prowincji Liaoning są same w sobie bardzo niebezpieczne - zauważyła Lafayette.

- Zgadzam się. - Kontradmiral skinął głową. - Ale po pierwsze, będą osłabione po bitwie z „Chimerą” i jej eskadrą. Po drugie wreszcie, jesteśmy na nie gotowi. Sztab zdecydował się przesunąć w rejon Brestu cztery pełne eskadry liniowe z frontu amerykańskiego. Przyznam, że nie mogę się doczekać, by zobaczyć je w akcji.

Delanov uśmiechnął się bezwiednie. Cztery pełne eskadry stanowiły praktycznie podwojenie sił sektora. To gwałtownie zmieniało sytuację na pograniczu z Imperium. Jeżeli wróg wpadłby na nie...

- Zaraz... - Zmrużył na moment oczy, kiedy zabłysła mu w głowie nagła myśl. - O to chodzi, prawda? My liczymy na kontrę. Czekamy na nią.

Kuerten zaśmiał się cicho, gardłowym śmiechem przypominającym nieco pomruk wielkiego kota.

- Nie jest celem sama w sobie, ale byłaby bardzo pożądanym zyskiem dodatkowym.

- Dlaczego mnie nie poinformowano? - Komandor Lafayette nie wyglądała na zadowoloną.

Dowódca eskadry „Krakena” spojrzał na nią przenikliwym wzrokiem.

- Ryzyko inwigilacji - powiedział spokojnie. - Smutnym faktem, o którym zapewne pani wie, jest niejaka przejrzystość naszego systemu dla wywiadu Imperium. To zresztą jeden z powodów, dla których na tej odprawie jesteśmy jedynie we trójkę.

Kobieta skrzywiła się lekko.

- Dokładnie z tej przyczyny przesunięcie eskadr jest na tyle utajnione, na ile to tylko możliwe, biorąc pod uwagę ilość okrętów. Przekazanie tej wiedzy na „Krakena” to jedno ze słabych ogniw planu. Stąd środki ostrożności. - Kuerten wyliczał kolejno: - Pojedynczy okręt kurierski. Trzech odpowiedzialnych patrzących sobie na ręce. I jeden adresat.

- Widzę - Lafayette posłała mu ironiczny uśmiech - że Sztab jest bardzo przekonany o pańskiej lojalności.

- Nie sędę. Raczej założyli, że jeśli ja stanowię problem, to operacja jest nie do odratowania. - Kuerten przez moment przyglądał się czubkom swoich palców. - Niestety, jeżeli chodzi o wywiad, Imperium wyraźnie nad nami góruje i nie możemy zakładać lojalności nawet starszych oficerów.

Delanov drgnął. Ciche słowa z jakiegoś powodu wzbudziły nieprzyjemne mrowienie w całym ciele. Wiedział oczywiście o problemach z bezpieczeństwem przekazu informacji, ba - był nawet świadom silnej obecności wywiadu wroga w sektorze. Jednak dopiero teraz uderzył w niego ogrom zagrożenia. Jeżeli Sztab tak się boi, że nawet Lafayette, bądź co bądź ich reprezentantka, nie wiedziała... Przed oczyma stanęły mu twarze sześciu dowódców pozostałych okrętów eskadry. Czy któryś z nich był wrogiem...? Nie, nie mógł w to uwierzyć.

Pod ich stopami pokład minimalnie zadrżał, kiedy kompensatory nie nadały za gwałtowną zmianą kursu - poza salą konferencyjną nadal toczył się scenariusz treningowy.

Komandor nie wątpił, że załoga da z siebie wszystko. Wiedział również, że jeżeli wróg dowie się o szczegółach ich operacji, jakość okrętu, wyszkolenie i determinacja załogi czy wreszcie jego własna kompetencja jako dowódcy nie będą miały żadnego znaczenia.

EUS „Kraken”, system Jawa, 21.03.2212 ESD, 19:18

- „Hegemon” zgłasza gotowość do skoku - zameldował porucznik Vorachek ze stanowiska łącznościowego. Na monitorze Delanova ikona krążownika zmieniła barwę z żółtej na zieloną.

- Szperacz na stanowisku, synchronizacja, osiemnaście procent - meldował nawigator.

- Czas do pełnej: minuta czternaście sekund.

- Przedziały hibernacyjne czwarty i piąty zamknięte, status zielony.

- „Zguba” zgłasza gotowość do skoku.

- Maszynownia gotowa.

- Wieża generatora lustra zabezpieczona.

- „Zabójca” zgłasza gotowość do skoku.

Zespół skakał już razem tyle razy, że Delanov prawie nie musiał słuchać konkretnych komunikatów ani patrzeć na informacje pojawiające się na stanowisku dowódczym. Ich treść była jak oglądany wielokrotnie obraz, jak widok znajomej twarzy. Brzmiała tysiącem tonów, ale każdy dysonans w meldunkach od razu był zauważalny.

- Przedział szósty i siódmy zamknięty, status zielony.

- „Echo” zgłasza gotowość...

Kolejne dwa głosy dołączyły do harmonijnej muzyki przygotowań do skoku - pierwszego, tego najłatwiejszego, bo we własną przestrzeń.

- Wiadomość z wieży kontrolnej Brestu: „Powodzenia”.

- Przekaż: „Dziękujemy. Do zobaczenia wkrótce”. - Zwrócił się do Vorachka: -
Nawigacja?

- T minus czterdzieści siedem - nadeszła błyskawiczna odpowiedź.

Na wyświetlaczu po prawej stronie dowódczego fotela Delanova wyświetliły się pełne informacje o skoku. Komandor posmutniał na chwilę, kiedy jego wzrok przesunął się po współrzędnych wyjściowych - podróż była krótka, ale i tak wyjdą w punkcie docelowym dopiero za trzy dni. Już po urodzinach Marka. Odruchowo spojrzął na zdjęcie żony i syna przyłączone w rogu konsoli.

- Następnym razem, komandorze. - Komunikator zgłosił, że stwierdzenie Kuertena padło na prywatnym łączu.

- Słucham? - Podniósł głowę i zerknął na siedzącego na swoim stanowisku kontradmirała, ale ten zdawał się skupiony na ekranie.

- Następnym razem pan zdąży - odparł Kuerten, nie odwracając się.

- Na pewno. - Delanov nawet nie starał się zrozumieć, w jaki sposób przełożonemu udało się wbić dokładnie w środek strumienia jego myśli.

- T minus czterdzieści.

- To dlatego, że jest pan przerażająco uczciwy - kontynuował swobodnym tonem admirał. - Nie kryje pan swoich poglądów. Co, nawiasem mówiąc, jest dobrą cechą. I powodem, dla którego mam do pana zaufanie.

- „Intruz” zgłasza gotowość.

- Mógłbym po prostu być aż tak doskonałym szpiegiem - uśmiechnął się Delanov. - Łączność, co się dzieje z „Łowczynią”?

- W takim przypadku byłbym zmuszony po prostu przyjąć porażkę, komandorze - odparł Kuerten. - Pozwolę sobie jednak pozostać przy swojej tezie, przynajmniej dopóki nie pojawią się nowe dowody w sprawie.

- Sir, „Łowczyń” zgłasza problem techniczny z synchronizacją - zameldował Ratte. - Nic poważnego, ale może mieć do około minuty opóźnienia.

- Przyjąłem. Nawigacja, kiedy szperacz będzie gotowy?

- T minus osiem. Delanov westchnął.

- Łączność, przekażcie „Łowczyń”, że mają minutę. Do pozostałych jednostek, reset T, skok za T minus sześćdziesiąt, zgodnie z sygnałem prowadzącym. Nawigacja?

- Jest sygnał prowadzący, T minus sześćdziesiąt.

Ostatnie chwile w przestrzeni Brestu admirał poświęcił na rozmyślanie o domu, żonie,

znanej już właściwie tylko z widowych wiadomości, i synu, który po raz kolejny będzie musiał zadowolić się listem zamiast ojca.

EUS „Kraken”, system Sumatra, 24.03.2212 ESD, 12:45

Pomieszczenie wypełniała cisza. Nie odzywało się żadne z trójki sanitariuszy ani oficerowie medyczni. Milczał wpatrzony w jasno oświetloną komorę stazy Delanov i nieruchoma Lafayette o ściągniętych w skupieniu rysach. Milczały też wszystkie, bezużyteczne teraz urządzenia. Gospodarz ambulatorium, porucznik Bianco, drobny Włoch, zawsze kojarzący mu się ze sklepikarzem, wydawał się teraz mniejszy i bardziej nerwowy niż zwykle. Mrugał oczami, szybciej nawet niż zazwyczaj, a ukryte w chirurgicznych rękawiczkach dłonie co chwila splatał i rozluźniał.

- Jak to się stało? - Komandor dopiero teraz zorientował się, że mówi mocno zachrypniętym głosem.

- Musiała być jakaś awaria, sir - odparł szybko Bianco, zbierając z jednego ze stołów raport systemu medycznego hibernatora. - Objawy bardzo typowe. Udar krwotoczny, efekt Gustloffa na synapsach... Był praktycznie martwy, kiedy go tu przywieźli.

Zrobił szybkie dwa kroki i podał urządzenie przełożonemu. Delanov kątem oka zauważył, że Lafayette drgnęła lekko.

- Rozumiem.

- Przepraszam, sir. Naprawdę nic nie mogłem zrobić. - Porucznik cały czas miał wzrok wbity we własne buty.

- Nie wasza wina. - Delanov przeniósł wzrok na komorę stazy. Na stole operacyjnym leżało ciało podporucznika Stahla - łącznościowca z trzeciej wachty. Komandor westchnął. Szkoda chłopaka, pomyślał. Zaledwie dwadzieścia dwa lata... a może już dwadzieścia trzy? Przed oczyma stanął mu obraz poważnego, bladego rudzielca, sumiennego, pracowitego, nigdy niepatrzącego rozmówcy w oczy. Przez chwilę oficer próbował sobie przypomnieć, kogo chłopak miał wpisanego w rubryce dotyczącej krewnych, ale dał za wygraną. Trzeba będzie sprawdzić.

- Powiadomcie mnie, kiedy będzie gotowy - powiedział jeszcze i wyszedł z ambulatorium.

*

Lafayette odezwała się, kiedy docierali do przedziału hibernatorów.

- Przykro mi.

Nie odpowiedział. Nie wiedział zresztą, jak mógłby zareagować na jej słowa.

- Takie wypadki się zdarzają. Rzadko, ale jednak. Nie sądzę, żeby mógł pan coś

zrobić, żeby zapobiec... - urwała w pół zdania. Przez kilka sekund szła w milczeniu. - Wiem, że to małe pocieszenie - powiedziała wreszcie.

- To prawda - mruknął Delanov, odsalutowując mijającemu ich podoficerowi z sekcji inżynierskiej.

- W porządku, już się cofam. - Rozłożyła ręce i zamilkła.

Minęli otwarte wrota dwóch komór pasażerskich i skręcili w kolejne, oznaczone numerem pięć.

Niezbyt przestronne pomieszczenie wypełniały hibernatory - ułożone w równych rzędach na dwóch poziomach - na podłodze i ażurowych platformach w połowie wysokości pomieszczenia. Ponad trzydzieści komór kriogenicznych na niewielkiej przestrzeni dawało dziwne wrażenie, jakby znajdowali się w magazynie albo w jednym z tych tanich hoteli na Nowym Londynie, gdzie klienci byli poupychani niemal jeden na drugim. Przydzieleni do niższych komór musieli się schylać, żeby nie uderzyć głową w platformy, na których stała druga warstwa - gdzie z kolei trzeba było uważać na sufit. W wąskich przejściach pomiędzy stanowiskami budzącymi skojarzenia z regałami dało się wyczuć zapach potu, leków i ozonu. Oraz, naturalnie, śmierci.

Czwórka techników pod komendą bladego jak ściana oficera wachtowego pracowała przy hibernatorze Stahla, teraz wysuniętym ze swojego stanowiska. Panel medyczny został otwarty i dwóch marynarzy kończyło podłączanie kilku przenośnych konsol do gniazd diagnostycznych wewnątrz maszyny. Kolejny człowiek wymontowywał awaryjne zasobniki z lekami, każdy umieszczając w innej przegródce przyniesionej torby. Wysoka mat o orientalnych rysach twarzy odsunęła panel podłogowy i właśnie opuszczała się na rękach w głęboki do piersi dukt techniczny biegnący pod stanowiskiem.

W cichym szumie wypełniającym pomieszczenie Delanov i Lafayette podeszli do pracującej grupy niezauważeni - technicy byli skupieni na swoich obowiązkach, a z trudem powstrzymujący drżenie rąk oficer wydawał się prawie nieprzytomny ze zdenerwowania.

- Poruczniku - powiedział łagodnie Delanov, stając koło podwładnego.

- Sir! - Mężczyzna poderwał się jak obudzony z głębokiego snu. Odrobinę zbyt długa grzywka opadła mu na oczy. - Właśnie zaczęliśmy oględziny komory.

Niepewnie wskazał na techników.

- Macie cokolwiek z centralnego stanowiska medycznego?

- Wyszliśmy ze skoku na włączonych kilku podsystemach awaryjnych, ale wskaźniki wszystkich hibernatorów poza tym należącym do podporucznika Stahla były w zielonych polach. Według danych system w jego komorze kriogenicznej przestał funkcjonować po

około sekundzie od wejścia w przestrzeń metryczną - wyrzucił z siebie oficer, przesuając dłonią po emblemacie sekcji medycznej na ramieniu. - System awaryjny nie uruchomił się. Próbujemy określić, dlaczego.

- Czyli nie zawiniło oprogramowanie, a hardware? - spytała Lafayette. Mężczyzna na chwilę zamarł i zmrużył lekko oczy w namyśle.

- Trudno powiedzieć w tej chwili, pani komandor - odparł spokojnym tonem. - Wydaje mi się, że tak. Ponieważ jednak to ja programowałem komory, wolę poczekać, aż ktoś inny mnie sprawdzi, zanim wydam taką opinię.

Delanov drgnął, zaskoczony zdecydowanymi słowami podwładnego.

- Nikt nie zakłada pańskiej winy - powiedział.

- Z całym szacunkiem, sir - Młodszy oficer spojrzał na niego smutno. - To moja sala. Zginął człowiek. Jestem winny.

Dowódca „Krakena” powoli kiwnął głową. Dopiero teraz wszystko zrozumiał - błąd, drżenie rąk, uciekający wzrok nie wyrażały lęku przed konsekwencjami. Medyk po prostu czuł się odpowiedzialny.

- Poruczniku... - zerknął na plakietkę z nazwiskiem -... Punyabi, myślę, że najlepiej będzie...

- Pierdolnęło jak granat w burdelu... - przerwał mu nagle głos spod podłogi. Z otwartego duktu technicznego wychynęła szczupła mat, trzymając w rękach poczerniałą skrzynkę transformatora. - Nic dziwnego, że pudło poszło się jebać.

Cały czas wpatrzona w znalezisko, dopiero po chwili zorientowała się, że wokół niej zapadła cisza, i podniosła wzrok. Źrenice ciemnych oczu rozszerzyły się gwałtownie na widok dowódcy.

- Sir! - powiedziała szybko, przez chwilę wyraźnie podejmując decyzję, czy zaszutować, czy raczej trzymać znalezisko. Wreszcie nieco niezadarnym ruchem odłożyła urządzenie i przytknęła palce do skroni. Widok wystającego z otwartej osłony duktów popiersia wyglądał co najmniej niecodziennie. - Chciałam zameldować...

- Uszkodzenie modułu hibernatora, słyszałem - dokończył komandor, starając się nie zwracać uwagi na czerwone policzki mat. - Co dokładnie się stało?

- No więc, eee, sir... I pani komandor... - Nadal nieco zbity z tropu technik starała się patrzeć na oboje starszych oficerów jednocześnie. Podniosła nadpalone urządzenie i wyciągnęła je przed siebie jak tarczę. - Jest spalony. Całkowicie, przynajmniej tak mówi próbnik.

- To widzę - odparł Delanov. - Wolałbym wiedzieć raczej, czy to normalne?

- Nie, no skąd... - zaczęła, ale szybko się poprawiła. - W żadnym razie, sir. A raczej, nie powinno tak się dziać. Cały moduł zasilający jest nawet nie tyle uszkodzony, co roz... zniszczony. Przeładowanie jak nic. Bezpieczniki nie dały sobie z tym rady.

- A co z wewnętrznym systemem? - chciała wiedzieć Lafayette.

- No właśnie nie zadziałał, nie wiem, dlaczego. - Dziewczyna z wyraźnym wysiłkiem uniknęła wzruszenia ramionami. - Na moje oko cały system szlag trafił w jednej chwili.

- Sabotaż? - Francuzka zmrużyła oczy. Nie było w niej ani śladu lekko uwodzicielskiej, bez przerwy prowokującej kobiety, którą Delanov pamiętał jeszcze z rana. Komandor polowała.

- Może. - Technik spojrzała z konsternacją na przydymiony moduł. - Ale niekoniecznie. Znaczy, potrzebuję czasu, żeby to ogarnąć. Znaczy, stwierdzić. Teoretycznie hibernator może tak się zachować, ale musi paść jednocześnie zewnętrzny bezpiecznik, wewnętrzna bramka z własnym obwodem bezpieczeństwa i rezerwowy system podtrzymania.

- Jakie są na to szanse? Albo inaczej, czy to mogło się wydarzyć?

- Nie... - zaczęła mat.

- Tak - przerwał jej jeden z pozostałych techników, śniady brunet o nazwisku Pallari. - Wystarczy, że pójdzie odpowiednio silne przepięcie na zasilaniu, na tyle, żeby przebić się przez bezpieczniki, i cały hibernator jest, za pozwoleniem, wysmażony.

Mat zmarszczyła brwi w minie skonsternowanego dziecka.

- No ale jak? - spytała, patrząc na kolegę z gniewnym powątpiewaniem.

- Impuls mocy wystarczająco silny, żeby przebić się przez bezpieczniki, mógłby po prostu spalić resztę hardware'u.

- To możliwe? - włączył się Delanov.

- Teoretycznie tak. - Pallari odebrał transformator stojącej w duki techników. Obrócił kilka razy urządzenie w dłoniach. - Moc puszczona przez zasilanie musiałby być, za pozwoleniem, w cholerę wyższa, niż powinna. I mam na myśli naprawdę, za pozwoleniem, w chuj.

Technik wykonał zamaszysty ruch ręką, jakby chciał zademonstrować, ile to mianowicie jest. W przeciwieństwie do koleżanki nie wydawał się zmieszany obecnością dowódcy.

- To znaczy?

- W kablu normalnie idzie czterdziestka, czyli jest gotów na przyjęcie osiemdziesiątki. Z kolei hibernator jest bezpieczny nominalnie do stu sześćdziesiątku. Czyli tak naprawdę pewnie i do dwustu.

Delanov i Lafayette wymienili spojrzenia. Technik mówił o nieprawdopodobnej, jak na sieć energetyczną komór pasażerskich, mocy. Tymczasem on sam, najwyraźniej nieświadomy reakcji przełożonych, kontynuował, przyglądając się trzymanemu w ręku urządzeniu.

- Trzeba by sprawdzić resztę, za pozwoleniem, bebeczów, to od razu będzie widać. Jak przez sieć poszła dwusetka, to dużo więcej rzeczy będzie, za pozwoleniem, rozjebane. Może to dlatego zadziałały systemy awaryjne...

Mężczyzna zamyslił się - w tym momencie wyglądał, jakby w ogóle nie zdawał sobie sprawy z obecności innych ludzi.

- Będę oczekiwał raportu z pańskiej pracy - Delanov zwrócił się do oficera medycznego. - Kiedy tylko skończycie tutaj.

- Tak jest. - Przysłuchujący się z pewną fascynacją cichnącemu mamrotaniu technika oficer poderwał głowę, żeby spojrzeć na dowódcę.

- Powodzenia.

- Tak, sir.

Dwójka oficerów w milczeniu przemierzyła labirynt stanowisk komór kriogenicznych i opuściła salę. Kiedy przechodzili przez wrota, minął ich starszy marynarz Kamaranis z kwatermistrzostwa - jedyny szeregowy marynarz znany osobiście wszystkim oficerom z powodu prowadzenia przez niego szalenie popularnej wśród załogi ligi brydzowej w dolnej mesie. Niósł pod pachą czarną torbę z tworzywa oznaczoną numerem i napisem „EUS Kraken” - widać to jemu przypadło w udziale zebranie osobistych rzeczy podporucznika Stahla do inwentaryzacji, jednego z administracyjnych następstw śmierci na pokładzie. DuLac, zastępca Delanova, pewnie już zmieniał grafik dla łącznościowców, żeby skompensować brak oficera. Zaopatrzenie anulowało zapotrzebowanie na posiłki, dział medyczny skreślał go z list, minimalnie zmieniały się przydziały do kapsuł ratunkowych...

Organizm krążownika nie mógł sobie pozwolić na zbyt długie zajmowanie się śmiercią jednego marynarza. Niedługo znikną rzeczy z kabiny podporucznika, a potem, stopniowo, wszelkie namacalne ślady jego obecności na okręcie - dane przejdą do archiwum, przedmioty do magazynu. Sam podporucznik Stahl miał wkrótce odbyć swoją ostatnią podróż w przestrzeń, tym razem bez stu czterdziestu kolegów.

Z gwiazd pochodzimy, do gwiazd wracamy, powtórzył sobie w myślach Delanov. EUS „Kraken”, system Sumatra, 24.03.2212 ESD, 13:50

23:40 przed skokiem w przestrzeń Imperium

Kontradmirał Nijal Kuerten odłożył datapad z raportem grupy technicznej, ale nadal

nie powiedział ani słowa. Delanov i Lafayette obserwowali przełożonego w ciszy – dowódca „Krakena” starał się utrzymać neutralny wyraz twarzy, Francuzka z kolei próbowała przyjąć swoją zwykłą pozę lekko nonszalanckiego wyczekiwania. Kuerten jednak zdawał się w ogóle nie zwracać na nich uwagi. Parę razy zabębnił miękko palcami o czarny blat, wreszcie uruchomił monitor przy swoim stanowisku i kilkoma ruchami wyświetlił jakieś dane - błękitna poświata ekranu na jego twarzy zmieniła się na jaśniejszą, co zapewne było spowodowane włączeniem okna raportowego. Przez chwilę Delanov usiłował odgadnąć, co ogląda przełożony, ale szybko zrezygnował. Po kolejnej minucie ciszy kontradmirał wreszcie wygasił monitor i uniósł wzrok.

- Rozumiem, że na raport mówiący, czy jesteśmy w stanie bezpiecznie używać przedziału pasażerskiego numer pięć, jeszcze poczekamy - powiedział. - A w razie czego, komandorze Delanov, jest pan skłonny uruchomić dodatkowe pole Kuznietzova?

- Tak jest, choć wolałbym ograniczyć pobór mocy - potwierdził Delanov. - Nie wiemy, co napotkamy zaraz po skoku.

- Pole może być całkiem dopuszczalną alternatywą wobec opóźnienia operacji. - Sophie Lafayette skrzyżowała ręce na piersiach. - Synchronizacja z oddziałami naziemnymi i „Chimerą” jest jednym z jej głównych atutów.

- Och, koordynacja jest tu kluczowa - skinął głową admirał. - Mamy bardzo wąskie okno na skok i zamierzam się w nim zmieścić.

Komandor Delanov milczał, analizując w myślach elementy raportu technicznego. Nie zabrał na salę swojego datapada, ale nie potrzebował go - nie licząc szczegółów technicznych, diagnoza o przebiegu z głównej szyny zasilającej była równie krótka, co niepokojąca.

- Teraz mieliśmy szczęście - zaoponował Kuerten. - Ale następnym razem możemy stracić cały przedział.

- Co także będzie raczej akceptowalne, jeśli weźmie się pod uwagę znaczenie całej operacji. - W głosie rozpartej w fotelu komandor zabrzmiała nonszalanckość. Dowódca „Krakena” zacisnął zęby na tak przedmiotowe podejście do jego załogi.

- Zapewne dla sztabu tak. - Admirał uśmiechnął się, ale jego oczy pozostały zimne. - Na razie jednak to ja dowodzę tą operacją.

- Nie chciałam pana urazić.

- Z pewnością.

- Sir? - Delanov uniósł dłoń.

- Słucham, komandorze.

- Z całym szacunkiem. - Oficer poczuł się nieswojo, wypowiadając słowa

zarezerwowane na ogół dla sytuacji mających ze wspomnianym szacunkiem niewiele wspólnego. - Cały czas zakładacie, że to wypadek. Dla mnie to nie jest takie oczywiste.

Lafayette przekręciła się na obrotowym fotelu i uniosła brwi z zaciekawieniem.

- Uważa pan, że to umyślne działanie. - Przełożony na ułamek sekundy spuścił wzrok.

- Skąd ten wniosek?

- To raczej... bardziej oszacowanie prawdopodobieństw niż pewność, sir - powiedział Delanov. - Po pierwsze, przebicie z szyny głównej nastąpiło w momencie najbardziej niebezpiecznym, ale nie w tym, kiedy obciążenie łącz jest najwyższe, co byłoby mniej zaskakujące. Po drugie, według raportu wyładowanie przebiło się przez bezpieczniki na rozdzielaczu i zmiotło hibernator tylko dlatego, że jego własny system nawalił. Ale raport mówi też o kontroli miesiąc temu.

- Kontrola mogła coś przeoczyć.

Odetchnął głębiej. Nie był specjalistą od śledztw innych niż na vidach kryminalnych. Znał jednak swój okręt i jego załogę.

- Zwykła kontrola tak, ale tę przeprowadzała grupa techniczna bosmana Innsmara - odpowiedział. - To najdokładniejszy, najbardziej pedantyczny zespół w całej eskadrze. Nie ma możliwości, żeby to przeoczyli.

Na odległym końcu stołu Kuerten skinął głową.

-... Wreszcie po trzecie - zakończył komandor - do tego rozdzielacza podpięte jest sześć komór. Wszystkie co prawda istotnie zgłosiły chwilowe przejście na zasilanie awaryjne, ale nawet nie wybiło im bezpieczników. Dlaczego tak się stało?

- Zamieniam się w słuch. - Kuerten przechylił szczupłą twarz.

- Ponieważ linia od rozdzielacza do hibernatora Stahla była uszkodzona - powiedział Delanov. - Badania techniczne nie wykryły tego, bo cała uległa zniszczeniu przy przebiciu. Ale musiał istnieć powód, dla którego ona padła, a pozostałe nie.

- Tak pan myśli? - Lafayette popatrzyła na komandora z powątpiewaniem. - To mógł być problem łącza.

- Mógł być - zgodził się Delanov. - Ale z mojego punktu widzenia oznaczałoby to zbyt duży zbieg okoliczności.

Oboje spojrzeli wyczekująco na Kuertena. Admirał przez dłuższą chwilę nie mówił nic. Przymknął tylko oczy, wygrywając po raz kolejny nierówny rytm palcami na blacie konferencyjnego stołu. Po ponad minucie milczenia westchnął i otworzył oczy.

- Ma pan absolutną rację, komandorze Delanov - powiedział ściszym głosem. - Nie możemy zlekceważyć tej sprawy.

Postronny obserwator uznalby go za spokojnego, ale komandor znał dowódcę od długich lat i nie dał się zmylić. Kuerten był wściekły - na ile oczywiście wściekły mógł być ktoś niemal powszechnie uważany za pozbawionego wszelkich silnych emocji poza radością płynącą z rozgrywki strategicznej.

- Nadal istnieje taka możliwość - zauważyła Lafayette, wydymając wargi. - Przebicie z głównej szyny energetycznej jest mało prawdopodobne, ale mogło się zdarzyć.

- W normalnej sytuacji byłbym bardziej niż zachwycony, mogąc przyjąć taką tezę. - Grymas kontradmirała ledwo można było uznać za uprzejmy uśmiech. - Ale komandor ma rację. Jesteśmy przed dość istotną operacją i lepiej być nadmiernie ostrożnym niż zbyt lekceważącym.

- Rozumiem, sir. - Francuzka kiwnęła głową, widocznie nie chcąc się kłócić.

- Zawiadomię sekcję bezpieczeństwa - powiedział cicho Delanov. Wnioski dowódcy miały bardzo nieprzyjemne implikacje. Jeżeli Nijal Kuerten się nie mylił, wśród załogi „Krakena”, ludzi, których komandor znał i którym ufał, znajdował się morderca.

- Absolutnie nie. - Dowódca eskadry pokręcił głową, a jego słowa niemal zlały się ze zdecydowanym „nie” Lafayette.

Komandor spojrzał na nich pytająco.

- Jeśli przyjmujemy morderstwo, mogło ono nastąpić z dwóch powodów - wyjaśnił Kuerten. - Po pierwsze, jako zwykłe zabójstwo z trywialnym motywem. W tym przypadku, o ile nie mamy do czynienia z seryjnym mordercą, powinniśmy zapomnieć o sprawie i wrócić do niej po misji. Ostatnie, czego bym chciał, to członek załogi, który nagle uzna, że najlepszym dla niego wyjściem jest sabotowanie „Krakena” i szukanie szczęścia w kapsule ratunkowej.

Delanov powoli kiwnął głową. Teza przełożonego była bezduszna, ale miała niestety sens.

- Drugą opcją jest to, że nasz zabójca jest szpiegiem Imperium - ciągnął admirał. -

Oczywiście w takim razie tym bardziej nie powinniśmy prowadzić zbyt uderzeniowego śledztwa.

- Trudno mi się z tym zgodzić, sir - zaprotestował Delanov. - Jeżeli to szpieg, powinniśmy schwytać go jak najszybciej lub choćby utrudnić mu działanie na naszym okręcie. Śledztwo uważam za doskonałą metodę.

- Zwykle tak. - Admirał rzucił okiem na datapad. - Ale nie teraz. Zginął łącznościowiec, więc albo chodziło o wiadomość, którą szpieg już wysłał, a podporucznik Stahl namierzył, albo o to, żeby ktoś inny obecnie przejął stanowisko. Tak czy inaczej, chodzi

o wiadomość. A jeśli dotyczy ona naszej operacji, to właściwie nawet chcemy, żeby Imperium ją miało. Każda jednostka, którą pošlą do Korsyki, jest de facto zmarnowana. Zbyt intensywne działanie może sprowokować mordercę do nerwowości. Nie chciałbym mieć na pokładzie nerwowego wroga, w dodatku szkolonego w sabotażu i zabójstwach przez wywiad imperialny.

- Za pozwoleniem, admirale - wtrąciła Lafayette. - Ale czy nie najlepiej w ogóle nie mieć na pokładzie żadnego wroga? Jeśli to morderstwo i jeśli morderca jest szpiegiem, to nie wiemy, jakie ma rozkazy. I dlaczego zdecydował się działać.

Delanov zerknął na Francuzkę z wdzięcznością. Dobrze było wiedzieć, że nie jest całkiem odosobniony w swoich poglądach.

- Zgadza się. - Kuerten spojrzał na komandor spod przymrużonych powiek. - Zresztą, zginął człowiek, pewne procedury powinny zostać zachowane. Sekcja bezpieczeństwa musi przeprowadzić rutynowe dochodzenie, ale nie chciałbym, żeby postronnemu obserwatorowi wydawało się ono zbyt... gorliwe. Optymalnie będzie zrobić wrażenie, że ma ono przede wszystkim zwykłą naturę porządkową. To pozwoli się dyskretnie zbliżyć do celu, a potem go wyeliminować.

- Rozumiem. - Delanov pospiesznie ułożył w myślach listę marynarzy, którzy nadawaliby się do tego zadania. - Poinstruuje Montenezę, żeby był należycie ostrożny.

Bardzo mu zależało, żeby na jego twarzy nie odmalował się wyraz zwątpienia. Szef sekcji bezpieczeństwa był niezwykle prostolinijną osobą, jeśli chodziło o wykonywanie swoich obowiązków. Kiedy dowie się, że istnieje uzasadnione podejrzenie morderstwa, będzie gotów postawić okręt na głowie.

- Preferowałbym inne rozwiązanie. - Kuerten pokręcił głową. - Porucznik Montenza jest doskonałym fachowcem, ale ufa swoim ludziom, a oni z kolei nie są aktorami - zupełnie inaczej będą się zachowywać, mając do czynienia z przykrym, lecz normalnym dochodzeniem, a inaczej, szukając mordercy. W tej chwili o naszych podejrzeniach wiedzą trzy osoby i wolałbym, żeby nie rozszerzać zbyt tej grupy.

- To znaczy - Lafayette obróciła się w fotelu, żeby spojrzeć na Delanova - chce pan, żebyśmy sami się tym zajęli?

- Nie do końca. - Kontradmiral potrząsnął głową. - Śledztwo będzie prowadzić sekcja bezpieczeństwa. Państwo będziecie analizować raporty. Podejmować... kroki. Kierować je we właściwą stronę. Dodatkowo, proponowałbym włączyć w sprawę podporucznika Moreckiego.

- Szyfranta?

- Podporucznik Morecki ma cztery bardzo istotne cechy, komandorze. - Kuerten

uśmiechnął się. - Po pierwsze, jako szyfrant przeszedł szkolenie łącznościowe, więc dysponuje wiedzą, która będzie nader przydatna. Po drugie, jako oficer w sekcji łączności ma dostęp do hardware'u łącznościowego. Po trzecie wreszcie, szyfranci właściwie nigdy z tego uprawnienia nie korzystają poza stoczną, więc jest szansa, że będzie w mniejszym stopniu przyciągał uwagę niż ktoś z normalnej obsady pomostu bojowego.

-... Pod warunkiem oczywiście, że sam Morecki nie jest osobą, której szukamy. - Lafayette uśmiechnęła się ironicznie. - A czwarta cecha?

- Och, ta jest oczywista. - Dowódca eskadry wzruszył ramionami. - Z racji pełnionej funkcji porucznik jest systematycznie weryfikowany przez kontrwywiad. Jego lojalność jest odrobinę bardziej pewna niż reszty załogi.

- Bo kontrwywiad nie popełnia omyłek? - Posłała mu ironicznowyzrywający uśmiešek, który prawdopodobnie w rozmowie z innym admirałem poskutkowałby reprimendą.

- Nie. - Kuerten mówił konwersacyjnym tonem, ale Delanov wyczuł ledwo zauważalne ostrzegawcze tony. - Ponieważ zdecydowałem się uznać, że kontrwywiad nie popełnił omyłki w tym konkretnym przypadku.

Lafayette przez chwilę wyglądała, jakby chciała kontynuować rozmowę, ale się powstrzymała. Nic dziwnego, pomyślał Delanov, jeśli ktoś ma taki sposób bycia jak pani komandor, musi mieć idealnie wyćwiczony instynkt - a przynajmniej powinien, jeżeli zamierza dyskutować ze starszymi stopniem.

- Rozumiem - powiedziała tylko.

- Doskonale. - Admirał wstał energicznie, zgarniając ze stołu datapad. - Mogę zatem tylko życzyć powodzenia. Oczekuję wyników w ciągu dwudziestu dwóch godzin, potem trzeba będzie podjąć decyzję, czy kontynuujemy.

- Sir. - Odruch poderwał dowódcę „Krakena” do pozycji „na baczność”. Francuzka zaczęła leniwie podnosić się z fotela, ale oficer nie dał jej szansy - skinął tylko głową na pożegnanie i wyszedł z sali.

Delanov zerknął z niechęcią na Lafayette, która przeciągnęła się dokładnie w taki sposób, jak każdy mężczyzna na pokładzie wyobrażał sobie, że to robi. Miał niemal pewność, że było to celowe działanie. Musiał też przyznać, że - przynajmniej jeśli chodziło o rozproszenie większości rozmówców - odnosiła sukcesy.

- Nie wiem, jak jest w Sztabie - powiedział kwaśno - ale na okrętach salutuje się admirałom.

- Słucham? - Przekrzywiła głowę, pozwalając włosom opaść na ramię. - A, o to

chodzi! Czy naprawdę uważa pan, że bez mojego salutu kontradmirał Kuerten nie będzie wiedział, że go szanuję?

Mężczyzna westchnął lekko.

- Po prostu zajmijmy się pracą, czas nas goni.

- Oczywiście. - Utrzymała figlarną pozę jeszcze przez ułamek sekundy i natychmiast spoważniała. - Co pan proponuje?

EUS „Kraken”, system Sumatra, 24.03.2212 ESD, 17:00 20:30 przed skokiem w przestrzeń Imperium

Delanov nie mógł się zmusić do pogrzebu w pełni zgodnego z procedurą. To właśnie była, według niego, najgorsza cecha pogrzebów podczas rejsów bojowych. Przepisy na wszystko. Marynarka Wojenna miała cały oddzielny paragraf regulaminu dotyczący postępowania w związku ze śmiercią członka załogi. Jeśli Delanov dobrze pamiętał, znajdował się on tuż obok sekcji dotyczącej pozbywania się odpadków. Zresztą nie był to problem wyłącznie Unii. Imperium i Stany... wszyscy cenili swoją kadrę - dopóki żyła. Martwi żołnierze byli już tylko obciążeniem.

Vincent Delanov stał na stanowisku, że pogrzeb to poważna sprawa. Że okręt nadal jest coś winny swojemu człowiekowi. Należał pod tym względem do tradycjonalistów, których, na szczęście, nadal wielu służyło we flocie - na tyle dużo, że notorycznie łamane procedury pogrzebu w przestrzeni praktycznie nigdy nie wywoływały nawet krzywych spojrzeń admiralicji.

O siedemnastej czasu pokładowego zabrzmiał pojedynczy gwizdek okrętowy, zwołując tę cześć załogi, która nie obsadzała nieodzownych stanowisk, do drugiego doku wahadłowców. Robocze skafandry zostały zastąpione przez trzymane w szafkach mundury wyjściowe - podczas rejsów bojowych właściwie czekających tylko na takie okazje.

Dokładnie o siedemnastej piętnaście czwórka żołnierzy z grup abordażowych pod komendą oficera łącznościowego Vorachka złożyła umieszczone w skafandrze ciało podporucznika Stahla na platformie, którą następnie opuszczono do śluzy desantowej. Stu ośmiu załogantów „Krakena”, którzy mogli zjawić się na pogrzebie kolegi, w milczeniu obserwowało ostatnie minuty podporucznika na pokładzie.

Delanov cały czas walczył z idiotyczną myślą, że może nie powinni przeprowadzać pochówku w przestrzeni akurat Stahlowi - chłopak nie cierpiał przecież wychodzić poza śluzę... Dużo racji było w powiedzeniu, że nie powinno się zbyt dobrze znać swoich podwładnych.

Podporucznik Stahl był protestantem, więc komandor odczytał na pożegnanie kilka

wersów z mocno wytartej Biblii z prawdziwego papieru, którą znaleziono w jego rzeczach.

Młody oficer jako człowiek bardzo religijny na pewno życzyłby sobie tego. Czytanie było czymś osobistym i czyniło pogrzeb mniej bezosobowym.

Linia po linii słowa spisane tysiące lat wcześniej płynęły przez wewnętrzne głośniki „Krakena”, mówiąc o nadziei na lepsze życie u boku protestanckiego Boga. Delanov nie czuł ich pocieszającej siły, którą podobno znajdowali chrześcijanie na kartach świętej księgi, ale może właśnie to była kwestia przekonań. Komandor, sam niewierzący, czuł do wyznawców każdej religii głęboki szacunek. Wydawało się niepojętym, że po wszystkim, co spadło na ludzkość, byli wciąż tacy, którzy znajdowali w sobie siłę do wiary w cokolwiek innego niż bezlitosne prawa natury.

Skończył czytać i zamilkł na chwilę, po raz ostatni spoglądając na ciało w skafandrze.

- Powierzamy ciało podporucznika Jorga Stahla pustce, w nadziei, że odnajdzie drogę do domu - wyrecytował oficjalną formułę. - Z gwiazd pochodzimy, do gwiazd wracamy.

Dał znak dłonią i bosman Innsmar uruchomił mechanizm zamykający śluzę. Potężne wrota zasunęły się powoli, odcinając ich od martwego oficera. Po kolejnym sygnale wokół śluzy zabłyśły pomarańczowe awaryjne światła i rozpoczęła się dehermetyzacja wnętrza.

Pięć, może dziesięć sekund później otwarto zewnętrzne wrota i wypchnięte przez resztki atmosfery ciało poszybowało w przestrzeń. Kamera uchwyciła je jeszcze, kiedy wirując, minęło wysuniętą pomocniczą antenę krótkiego zasięgu.

Potem zniknęło. O siedemnastej dwadzieścia pięć czasu pokładowego podporucznik Stahl przestał istnieć jako cokolwiek innego niż zapis w dokumentach i kilka wspomnień członków załogi.

*

Porucznik Montenza założył wielkie jak bochny łapy za plecami i spojrzął na dowódcę z góry, tylko po to, by natychmiast wbić wzrok w ścianę, jakieś piętnaście centymetrów nad głową przełożonego.

- Oczywiście, sir - powiedział metalicznie brzmiącym głosem, tonem, w którym czaiła się z trudem skrywana niechęć. - Zawiadomię ludzi, że będzie pan osobiście monitorował nasze postępy.

- Chciałbym namierzyć, gdzie tkwił błąd. Pański zespół techniczny bardzo się przyda.

- Tak jest.

Stojąca obok Delanova Lafayette z wyraźnym trudem zachowywała powagę, a sam komandor jęknął w duchu. Szef sekcji bezpieczeństwa był niemal podręcznikowym przykładem dobrego oficera. Uważny, sumienny i wystarczająco kompetentny, by bez

problemu radzić sobie ze swoimi obowiązkami. Oraz nadmiernie niechętny osobom, które próbowały wpływać na jego pracę. Każde zmarszczenie krzaczastych brwi, każde spojrzenie czy drgnienie potężnej szczęki wysyłało jeden sygnał - „wynocha z mojego terytorium”.

- Cieszę się. - Nie chciał już dłużej drażnić porucznika. Doskonale znał podwładnego i wiedział, że wystarczy mu dać trochę czasu, a dostosuje się do nowych warunków.

- Czy mogę jeszcze jakoś pomóc? - spytał Montenza, nadal wpatrzony w ścianę.

- Nie, to wszystko. Jest pan wolny, poruczniku.

- Sir.

Olbrzym wykonał przepisowy zwrot i wymaszerował z kajuty. Delanov westchnął cicho i przetarł zmęczone oczy. Obrócił się do Lafayette dokładnie w momencie, kiedy ta parsknęła śmiechem.

- Porucznik Montenza jest prawdziwym gliną, prawda? - zachichotała. - Prawie się na pana rzucił...

- Uważa, że nikt nie powinien wtrącać się w jego dochodzenia - odparł komandor, patrząc, jak Francuzka powoli się uspokaja. - Ale to bardzo dobry fachowiec.

- Ależ wierzę - uśmiechnęła się jeszcze, ale natychmiast spoważniała. - Nie chciałam pana urazić. Naprawdę.

- Nie ma problemu. - Delanov skinął szybko głową.

Kobieta stanęła tyłem do biurka, opierając dłonie za plecami, i skupiła spojrzenie brązowych oczu na komandorze.

- Uważam, że to rzeczywiście szpieg - powiedziała cichym, poważnym głosem, bez śladu niedawnej wesołości. - Co więcej, moim zdaniem podporucznik Stahl w jakiś sposób mu zagrażał i dlatego zginął.

- Zagrażał?

- Tak. W innym przypadku nie widzę sensu, dla którego miałby zostać wyeliminowany - odparła. - Nie sądzę, żeby jakikolwiek szpieg mordował kogoś bez ważnego powodu.

- Zatem warto by przejrzeć komputer Stahla.

- Panie komandorze... - parsknęła, ale jakimś cudem tym razem nie zabrzmiało to tak irytująco jak zwykle -... jeżeli mam rację, komputer osobisty podporucznika Stahla jest już dawno wyczyszczony. Jego kajuta była dostępna właściwie dla każdego przez ponad trzydzieści minut, zanim pojawiły się tam strażnicy. W tym czasie wchodziły do niej przynajmniej trzy osoby - porucznik Vorachek, który był jego współlokatorem, oraz dwóch zaopatrzeniowców, żeby skatalogować i zabrać jego rzeczy. Co więcej, osobiście zjawiłam

się przy jego kabinie, która była otwarta i niestrzeżona. Nie sędzę, żebyśmy mieli tam czego szukać.

- Poszła pani do jego kajuty? Po co?

Pytanie wyraźnie poruszyło jakąś czułą strunę. Lafayette prychnęła głośno, a jej oczy zwięzły się jak u wściekłego kota.

- Jak to po co? - Nagle odepchnęła się od biurka i zrobiła pół kroku naprzód, stając niecałe dwadzieścia centymetrów od Delanova. - Dbałam. O bezpieczeństwo. Operacji.

Wyraźne pauzy pomiędzy słowami wzmagały siłę dobitnego tonu. Dowódca krążownika cofnął się pod naporem jej zimnej furii.

- Dokładnie po to tu jestem. Możemy się nie lubić, może pan uważać, że utrudniam życie pana załodze i panu osobiście, ale proszę nie zakładać, iż robię to dla zabawy. Nie noszę tego munduru bez powodu.

Mężczyzna powoli skinął głową. Jeszcze w żadnym momencie od wejścia na „Krakena”, komandor nie wydawała mu się tak autentyczna.

- Świetnie to rozumiem - powiedział, unosząc dłonie w pokojowym geście. - Nie chciałem pani urazić.

- Chciał pan. - Francuzka szybko odzyskała kontrolę nad sobą. Spojrzała na komandora wyzywająco. - Od momentu, kiedy weszłam na pokład. Nie odpowiada panu moja obecność tutaj.

Delanov zorientował się, że kobieta ma rację. Dotychczas przyjmował co prawda do wiadomości, że jego niechęć może być mniej niż racjonalna. Uważał jednak, że to kwestia ciągłego egzekwowania wysokich uprawnień Lafayette. Teraz jednak zdał sobie sprawę, że irytowała go od momentu, kiedy dowiedział się, że ma nadzorować przygotowanie do operacji.

- Ma pani rację - powiedział cicho. Z pewnością nie spodziewała się tych słów, bo zamilkła. - Jest pani sztabowcem. Nie ma pani stanowiska na tym okręcie, żadnego. Jednocześnie chyba tylko ćwiczenia powstrzymują panią od zaglądania w każdy kąt, bez przerwy. Myślę, że po prostu nie lubię inspekcji, zwłaszcza osób, które...

- Są biurkowymi marynarzami?

-... Są tu dłużej niż godzinę. - Rozłożył ręce. - Inspekcje stają się uciążliwe po mniej więcej takim czasie. Potem bywa tylko gorzej.

- Jestem tutaj wyłącznie po to, żeby sztab miał wgląd w przygotowania.

- Wiem - zgodził się. - Co jednak nie zmienia faktu, że istotnie, od samego początku pani obecność mnie drażni.

Kobieta uśmiechnęła się krzywo.

- Uczciwość. - Pokiwała głową z udawanym podziwem. - Rzadka cecha w dzisiejszych czasach.

- Proszę się nie przyzwyczajając - mruknął. Nie chciał, żeby uznała jego słowa za dowód słabości do niej. - Mamy zadanie do wykonania, to dlatego.

- Dobre i to... - odparła, ale była już rozluźniona. Odeszła od biurka i zbliżyła się do rozwieszonych na ścianie dziecięcych obrazków. - Trzeba zobaczyć, kogo miał na celowniku.

- Słucham?

- Co mógł odkryć łącznościowiec? - Obróciła się szybko i przytknęła palec wskazujący do czubka nosa. - W zasadzie cokolwiek, ale tylko w wypadku problemów z łącznością nie poszedłby z tym do kogoś innego.

-... A gdyby poszedł, ta osoba już by u nas była... - dodał Delanov.

- Dokładnie. Więc problem tkwił w kwestii, którą mógł rozwiązać sam, a więc w łączności. Zrobił ostatnio coś nietypowego?

Delanov podszedł do komputera i włączył dziennik administracyjny. Przez chwilę przeglądał wpisy dotyczące Stahla. Wszystko wyglądało jak trzeba, nie dostrzegł nic poza zwykłym rozkładem dnia oficera łączności... Już miał zamknąć dokument, kiedy nagle coś przykuło jego uwagę. Dla pewności sprawdził jeszcze kilka wcześniejszych adnotacji.

- Antena - mruknął tryumfalnie.

- Pardon?

- Dokładnie „sprawdzenie anteny” - wyjaśnił, wskazując na wykaz. - Co trzy tygodnie oficer sekcji łączności ma obowiązek sprawdzić maszty anten głównej i pomocniczej.

- A! - Twarz kobiety się rozjaśniła. - Test bezpieczeństwa linii?

- Tak - potwierdził komandor. - Staramy się pilnować procedur, Sztab bardzo o nie dba.

Nie zareagowała na uszczypliwą uwagę, mimo że z całą pewnością miała świadomość kontrowersji wokół tego konkretnego punktu regulaminu, często wprost wyśmiewanego przez dowódców liniowych. Delanov sam zresztą był jednym z nich - tak częste sczytywanie plików bufora anteny i sprawdzanie, czy nikt nie podpiął do niej niepożądanego hardware'u, mogło wydawać się dobrym pomysłem tylko w Sztapie. W praktyce ilość środków bezpieczeństwa wokół procedur łącznościowych była tak wielka, że z anten nie miał praktycznie szans skorzystać ktoś nieuprawniony, nie mówiąc już o absurdzie idei podpięcia jakiegokolwiek urządzenia do okrętu, który nie zbliża się podczas rejsu do innego obiektu na bliżej niż jednostkę. Test bezpieczeństwa łącza chyba jeszcze nigdy nie dał wyniku

negatywnego, za to wymagał wyłączenia systemu łączności za każdym razem na ponad godzinę.

- Cieszy mnie pańska sumienność - uśmiechnęła się, ale bez złośliwości. - Rozumiem, że porucznik coś odkrył?

- Nie. - Mężczyzna pokręcił głową. - Test był zaplanowany dopiero na dziś. Zdążył tylko się do niego zgłosić.

- Więc...?

- Więc był to pierwszy raz, kiedy zgłosił się na ochotnika do wyjścia w przestrzeń - powiedział Delanov. - Stahl szczerze nie cierpiał prac zewnętrznych.

- Osobliwa cecha jak na oficera marynarki wojennej... - zauważyła.

- Przyznaję.

- Czyli... - Kobieta usiadła na rozkładanym krześle i podparła brodę dłonią. - Odkrył coś, ale za mało, żeby z tym gdzieś iść. Uznał więc, że sprawdzi, czy będzie w stanie wyciągnąć coś więcej z bufora anteny...

- Ale jednocześnie założył, że nie znajdzie nic, nie wychodząc na zewnątrz.

- Jeśli morderca faktycznie nadał jakąś wiadomość i miał choć trochę oleju w głowie, usunął ją z dziennika łączności. - Kobieta wzruszyła ramionami. - Ja bym tak zrobiła.

- Owszem, ale to oznacza, że dysponował dostępem do niego, a to nieco zawęża pole poszukiwań.

- Tak - zgodziła się. - Byłoby prościej, gdyby przyszedł na tym etapie...

Na chwilę zamilkli. Delanov mógł sobie tylko wyobrazić, w jak trudnej sytuacji znalazł się Stahl, podejrzewając, że ktoś z jego współpracowników jest agentem wroga. Nic dziwnego, że chciał się upewnić przed pójściem z tym do dowódcy.

Pewnie w dodatku nie był świadom wagi operacji, wtedy przecież meldowałby od razu...

- Cóż - powiedział wreszcie. - Pozostaje zatem sprawdzić bufor.

Sięgnął do interkomu, kiedy Lafayette błyskawicznie poderwała się i chwyciła go za nadgarstek.

- Co pan robi?

- Wzywam porucznika Montenzę.

-... Proszę się nie obrazić, komandorze - puściła jego rękę - ale zwariował pan?

- Myślę, że podejrzewanie akurat porucznika Montenzy jest pozbawione podstaw. - Delanov spojrzał krzywo na Francuzkę. - On nie ma dostępu do kanału łączności ani do listy wyjść na zewnątrz i nie prowadził żadnego dochodzenia w okolicy stanowiska łączności, ani

głównego, ani rezerwowego.

Spojrzała na niego jak na dziecko.

- Po pierwsze, nie byłabym taka pewna - powiedziała. - Po drugie, akurat niewinność Montenzy nie jest ważna. Ale co pomyśli morderca, kiedy nagle grupa dochodzeniowa zacznie wychodzić na zewnątrz?

- A może ją powstrzymać?

- Nie - pokręciła głową - ale może to go uczynić dokładnie tak zdesperowanym, jakim nie chcemy go widzieć.

Mężczyzna zaplótł dłonie na karku i odchylił głowę do tyłu. Z pewną niechęcią musiał przyznać Lafayette rację. To, że grupa dochodzeniowa jest pod obserwacją, było nie tylko możliwe, ale wręcz prawdopodobne.

- Zatem co zrobimy?

- Cóż... - Francuzka uśmiechnęła się - ma pan szczęście, że tu jestem. EUS „Kraken”, system Sumatra, 24.03.2212 ESD, 23:21

14:09 przed skokiem w przestrzeń Imperium

Gdyby nie goniący ich czas, prawdopodobnie załatwiliby to inaczej - ale do zaplanowanego skoku pozostało im zaledwie kilkanaście godzin. Pomysł Lafayette był prosty. Ona i porucznik Morecki mieli wykonać nierejestrowane wyjście w przestrzeń i sczytać dane z bufora anteny łącznościowej. Ze swojej strony szyfrant zasugerował pozostawienie modułu MAC pozwalającego wykonywać to zdalnie po wielokroć - Polak liczył na to, że być może ich przeciwnik zechce skorzystać z łączności po raz drugi.

Niewielki moduł budził poważne wątpliwości Delanova. Będąc częścią ekwipunku ratunkowego „Krakena” urządzenie zwykle służyło do tworzenia awaryjnej sieci łączności. Jej wykorzystanie zakładało tak wysoki stopień zniszczenia okrętu, że komandor miał pewne wątpliwości, czy w takiej sytuacji przeżyje choć jeden człowiek. Użycie jej w normalnej sytuacji było wyraźnym wykroczeniem przeciwko procedurom bezpieczeństwa, jak zresztą każde działanie pozwalające na dostęp do anteny spoza stanowiska łączności. Jak jednak stwierdził Morecki, dobrze szyfrowane połączenie było w stanie pozostać bezwzględnie bezpieczne przez jakieś dwadzieścia cztery godziny. W obecnej sytuacji była to aż nadto wystarczająca rezerwa.

Plan miał mocne strony - komandor nie należała do załogi, więc nikt nie mógł zauważyć jej nieobecności na pokładzie. Porucznik Morecki - Lafayette nalegała, żeby nikt nie pozostawał sam w trakcie kluczowych dla śledztwa czynności - stanowił minimalnie większy problem, jako że wchodził w skład kilkuosobowego zespołu, a na okręcie bardzo

trudno jest utrzymać tajemnicę przed ludźmi, z którymi śpi się koja w koję. Dość szczęśliwie jednak Polak nie był duszą towarzystwa, większość wolnego czasu spędzając samotnie. Dzięki temu jego godzinne zniknięcie w czasie wolnym nie wzbudziło zbędnego zainteresowania ani pytań - reszta szyfrantów i tak nie oczekiwała jego obecności. Kody dowódcze pozwalały autoryzować wyjście w przestrzeń bez angażowania osób trzecich, podobnie zresztą jak przesunąć o całe osiem godzin zaplanowany test bezpieczeństwa łącza. Umiejętności Moreckiego sprawiły, że wszelka komunikacja z dwójką wysłanych na zewnątrz oficerów nie szła przez stanowisko łączności, ale kierowana była do terminala w kajucie Delanova. Organizacja zajęła trochę czasu - musieli czekać na koniec wachty szyfranta - lecz już po kilku godzinach Polak i Lafayette spotkali się przy rufowej śluzie technicznej, usytuowanej co prawda ponad trzysta metrów od masztu anteny, ale za to dającej największe szanse na niezauważone opuszczenie okrętu i późniejszy powrót. Tam porucznik wręczył Francuzce przygotowany moduł MAC - każde z nich miało wykonać tylko jedną część zadania. Podział obowiązków był pomysłem Lafayette, która w bardzo zdecydowany sposób podchodziła do kwestii wzajemnej kontroli. Delanov z pewnymi oporami przyznał kobiecie rację, choć czuł się z tym nieco nieswojo.

Udało mu się przestawić na nowy sposób myślenia, dopiero kiedy obserwował na obrazach płynących z nahałmowych kamer, jak para oficerów opuszcza śluzę. Obawa, że wrogi sabotażysta może być wszędzie, nadal była niemiła, ale przynajmniej nie całkiem nienaturalna. Skupiony na monitorach Delanov zastanawiał się, czy powinien uznać tę zmianę za dobrą.

*

Ze względów energetycznych „Kraken” nie miał włączonej powłoki refleksyjnej. Dzięki temu, zamiast czarnej plamy pochłaniającej światło widzialne powierzchni, w przekazywanym przez montowane na hełmach kamery obrazie dało się zobaczyć naturalną, ciemnoszarą barwę pancerza i delikatne linie sześciokątnych komórek nieaktywnego refleksu.

- Jak dotąd wszystko zgodnie z planem, sir - w słuchawkach komandora rozległ się głos Moreckiego, lekko zmieniony przez łącze radiowe. Obraz z jego kamery zamarł, a potem ruszył ponownie, w groteskowo przyspieszonym tempie, jakby próbując nadrobić stracony czas. Chwilę później znów znieruchomiał, a potem zniknął. Na szczęście Lafayette nie miała tego problemu, dzięki czemu Delanov dysponował jako takim oglądem sytuacji dwójki oficerów. - Jesteśmy pięćdziesiąt metrów od podstawy anteny.

- Zrozumiałem - odparł, odchylając się w fotelu. - Poruczniku, mam problem z pana wideo.

- Diagnostyka twierdzi, że wszystko gra. - Na ekranie postać mężczyzny wykonała powolny obrót, oświetlając reflektorem skafander idącej za nim Francuzki. - Patrzę teraz na komandora Lafayette, czy widzi ją pan?

- Nie. - Delanov skrzywił usta i uruchomił diagnostykę, ale wszystko wyglądało prawidłowo. - Nadal rwie. Może kamera, bo z audio nie ma problemów.

- Albo próba wyłapania naszej transmisji. - W tonie kobiety zabrzmiał niepokój. - Poruczniku, pomysły?

- Przekaz był bezpieczny, kiedy montowałem łącze - odparł Polak. - Moim zdaniem nie ma podstaw do podejrzeń, żeby ktokolwiek złamał nasze połączenie tak szybko.

- Kontynuujemy?

- Kontynuować - zdecydował Delanov. Teraz już i tak było za późno na odwrót. Jeżeli morderca ich podsłuchiwał, musiał domyślać się, po co wyszli. - Załatwmy to szybko.

- Tak jest. Poruczniku, naprzód. - W oku kamery Lafayette znowu dało się ujrzeć górujący nad kadłubem maszt.

Siedzący jak na szpilkach w swojej kajucie Delanov obserwował na jedynym sprawnym przekazie wideo, jak dwie zakute w kombinezony postacie najpierw zbliżają się do instalacji, a potem zatrzymują przy jej szerszej podstawie. Nadal w całkowitej ciszy dwójka oficerów wzięła się do pracy. Morecki podłączył konsolę do gniazda bezpieczeństwa i wprowadził kod bezpieczeństwa - obsesyjnie zabezpieczony system łączności uruchamiał setki dzwonek, kiedy ktoś nieuprawniony usiłował przy nim grzebać. Potem Lafayette po kolei odkręciła cztery śruby i odsunęła oznaczoną kilkoma ostrzegawczymi napisami pokrywę, pozwalając jej zawisnąć nad pokładem.

- Widzę panel dostępowy - usłyszał Delanov. Niestety, przekaz wideo porucznika, choć nie był już całkiem wygaszony, nadal rwał i migotał. - Podłączam zestaw.

- Przyjąłem. Załatwcie to szybko i wracajcie.

Komandor musiał przyznać, że się denerwuje. Nawet nie przypuszczał, że wyprawa będzie budziła w nim aż tak wyraźne emocje - w końcu szanse, że potencjalny morderca, mający dużo mniejsze możliwości niż dowódca okrętu, w ogóle dowie się o ich akcji, były bliskie zeru. Mimo tej świadomości nadal jednak czuł delikatne ukłucia adrenaliny, zupełnie jak wtedy, kiedy prowadził „Krakena” do walki. Gdzieś na jego okręcie czaił się wróg. W karierze oficera floty walczącego na dystansie setek tysięcy kilometrów oznaczało to „bliżej niż kiedykolwiek”.

- Komandorze - wyraźnie zdenerwowany głos Lafayette wyrwał go z rozmyślań. - Skafander zgłasza problem systemu podtrzymywania życia.

- Jak poważny? - domyślał się odpowiedzi, jeszcze zanim ją usłyszał. Każdy oficer marynarki wojennej miał za sobą rozbudowany program treningów w otwartej przestrzeni - na tyle, że bez problemu odróżniał drobiazg od kłopotów. Niepokój Francuzki był w tym świetle bardzo wyraźną wskazówką.

- Prawdopodobnie awaria na zaworze, tracę ciśnienie. - Obraz z kamery przesunął się, kiedy spojrzała na umieszczony na przedramieniu wyświetlacz komputera skafandra. Komandor zaklął w duchu, żałując, że akurat teraz nie ma do dyspozycji stanowiska zarządzania zespołami zewnętrznymi. Przynajmniej od razu by wiedział, co się dzieje.

- Poruczniku, proszę skontrolować mój skafander - powiedziała Lafayette. Polak oderwał się od panelu dostępowego anteny i podszedł do Francuzki.

- Proszę się obrócić, pani komandor.

- Co z pani zapasem tlenu? - spytał zaniepokojony Delanov.

- Godzina dziewięć na teraz - odczytała z ekranu. - Ale tempo utraty rośnie zauważalnie, przed chwilą miałam godzinę szesnaście.

Siedzący przy monitorze Delanov szybko przeliczył - nie wyglądało to dobrze. Jeśli wyciek jeszcze się poszerzy, trzeba będzie ją wycofać najbliższą służą i konspirację szlag trafi. Na razie w ogóle nie rozważał zagrożenia dla życia Francuzki - taki drobiazg jak nawet spory wyciek miał małe szanse okazać się niebezpieczny, kiedy ktoś był na kadłubie przyjaznego i prawidłowo działającego okrętu. Ale mógł bardzo utrudnić zadanie.

- Poruczniku? - zwrócił się do szyfranta - Jak wygląda skafander komandor Lafayette?

- Mam chmurę skryzalizowanego gazu ulatującego spod miksera - zameldował mężczyzna wyraźnie zaniepokojonym tonem. Nazywany przez marynarzy „mikserem” zestaw do przetwarzania skroplonych gazów w mieszankę oddechową, choć zdublowany, był niezwykle trudny do demontażu, gdy przebywało się w przestrzeni. Jeżeli wyciek powstał pod nim, mogli zapomnieć o łataniu. Pech ich nie opuszczał - o ile to w ogóle był pech.

- Zrozumiałem. - Dowódca krążownika przestonił dłonią mikrofon i zaklął siarczyście. Nic nie mogło iść łatwo. - Pani komandor, potrzebuję na bieżąco informacji na temat szacowanego zapasu mieszanki. Poruczniku Morecki, proszę kontynuować zrzut bufora.

- A jeśli braknie nam czasu? - spytała Francuzka. Obraz z jej kamery ukazywał szyfranta pochylonego nad panelem dostępowym.

- Wróćcie służą dziobową - odparł Delanov. Nie zamierzał bawić się w zbędne ryzyko dla zatajenia śledztwa.

- Wyciek nadal rośnie, sir - zgłosiła Lafayette. Obraz jej kamery pokazywał to najeżony sensorami dziób „Krakena”, to znów plecy i zasobnik tlenowy pracującego

Moreckiego. Kamera porucznika nadal śnieżyła. - Godzina cztery.

Skupiony na monitorze komandor kiwnął odruchowo głową i dopiero po kilku sekundach zorientował się, że dwójka oficerów tego nie zobaczyła.

- Zrozumiałem - rzucił, na chwilę zajmując się obliczeniami. Sytuacja była nieco lepsza niż jeszcze przed chwilą, choć wołał nie zapeszać przedwczesnym entuzjazmem. - Wygląda stabilnie, ale nie powinniśmy ryzykować. Komandorze, proszę przekazać porucznikowi Moreckiemu moduł MAC i wracać do służby.

- Ale... - Francuzka nie wydawała się przekonana. - Nie mieliśmy przypadkiem trzymać się razem?

- Owszem, wierzę jednak, że porucznik świetnie poradzi sobie sam.

- Nie o to w tym chodziło - zauważyła. Słyszając ton głosu Lafayette, Delanov wyraźnie poczuł jej irytację.

- Doskonale wiem, o co chodziło - odparł. - Podjąłem jednak decyzję. Komandorze, proszę natychmiast wracać.

Kamera Lafayette zatoczyła łuk pomiędzy panelem dostępowym anteny i odległą służą rufową.

- Powinno mi starczyć tlenu na dokończenie pracy - powiedziała z naciskiem.

- Być może, jednak na „Krakenie” to ja dowodzę - skontrolował Delanov. - Nie chcę ryzykować poufności tego śledztwa, ale jeszcze mniejszą ochotę mam na utratę starszego oficera. W tej chwili jesteśmy uzależnieni od stanu wycieku, którego nie możemy załatać ani nawet dobrze obejrzeć. Proszę wrócić do służby, przebrać skafander i zameldować, kiedy będzie pani gotowa do powtórnego wyjścia. Wtedy podejmę decyzję.

- Komandorze Delanov... - W głosie kobiety zabrzmiał opór. Nahełmowa kamera ukazywała znowu rozkręcony panel i stojącego obok szyfranta.

- Rozumiem ryzyko i jestem gotów je podjąć - powtórzył Delanov - Proszę natychmiast wracać.

- Naturalnie. - Potwierdzenie Francuzki zabrzmiało jak prychnięcie. Sięgnęła do zasobnika narzędziowego i wydobyła niewielki prostopadłościan modułu MAC, po czym niechętnie wręczyła urządzenie Moreckiemu.

- Powodzenia, poruczniku.

- Dziękuję, pani komandor. - Polak odebrał urządzenie i ostrożnie przełożył je do swojej torby narzędziowej.

Ostatni raz spojrzała na niego i ruszyła wzdłuż kadłuba.

- Przystępuję do montażu. - Na szczęście, w przeciwieństwie do przekazu wideo, głos

Polaka brzmiał w miarę czysto.

Oddalająca się Lafayette przez chwilę nic nie mówiła, zapewne opanowując emocje. Dopiero po kilku minutach odezwała się cicho na prywatnym kanale:

- Przepraszam.

- Za co? - Delanov nadal obserwował obraz przekazywany mu przez jej nadajnik. Komandor mijala właśnie dziobowe stanowiska obrony punktowej, rozpoznawalne jedynie po niewielkich osłonach soczewek w minimalnie wypukłych fragmentach kadłuba i oznaczeniu wymalowanym na ciemnoszarym poszyciu. Telemetria Francuzki wskazywała podwyższony puls i nieco przyspieszony oddech - całkiem naturalne u kogoś z awarią zasobnika tlenowego.

- Za kwestionowanie pańskiego rozkazu - odpowiedziała skupionym głosem osoby, dla której przyznanie się do winy było trudnym wyzwaniem. - Nie powinnam była tego robić.

- Nic się nie stało. - Odruchowo przesunął wzrok na szary, niewyraźny obraz z kamery Moreckiego.

- Podjął pan dobrą decyzję, a ja zapatrzyłam się zbyt w ustalony protokół bezpieczeństwa. Ze swojej strony postaram się tego więcej nie robić.

- Bardzo się cieszę - odparł krótko. Musiał przyznać, że faktycznie podobała mu się komandor w trybie współpracy. Lubił go o wiele bardziej od jej poprzedniej pozy - ostentacyjnie uwodzicielskiej i nieco aroganckiej.

Kolejne minuty wypełniła cisza. Morecki nie odzywał się wiele, co jakiś czas tylko potwierdzając użycie kluczy autoryzacyjnych i meldując zebranie danych. Lafayette oszczędzała oddech. Delanov skupił się na obserwacji trasy komandor.

- Mogę coś jeszcze zasugerować? - spytała nagle.

- Oczywiście.

- Nie sądzę, żeby usterki naszych skafandrów pojawiły się przypadkiem. - Bioodczyty kobiety nawet nie drgnęły. Mówiła o potencjalnym sabotażu skafandra, w którym się znajdowała, z całkowicie zimną krwią. - Nie oba.

- Przyznam, że myślałem o tym - powiedział niechętnie. Zdecydowanie wolałby, żeby cała sprawa okazała się wynikiem zbiegu okoliczności. Jednak podobnie jak w przypadku śmierci Stahla widział pewne fakty, tak i tutaj sytuacja była podejrzana. Wywołał listę załogi „Krakena”. Nazwiska stu czterdziestu mężczyzn i kobiet przedfilowały po ekranie. - To by jednak oznaczało, że ktoś wiedział nie tylko o naszej wyprawie, ale i dokładnie z której służby będziecie wychodzić.

- Przeróżające, prawda? - Niemal widział uśmiech na twarzy Francuzki. - Grono podejrzanych nam się zawęży. Wchodzę do służby.

- To nie jest zabawne.

- Przyznaję, ani trochę - zgodziła się kobieta. We wnętrzu śluzu zdjęła hełm. Kamera pokazywała teraz jej twarz. Lafayette uśmiechnęła się promiennie i przerwała przekaz, pozostając tylko na łączu audio. - Ale proszę zwrócić uwagę na fakty. I ja, i porucznik Morecki żyjemy. Jednocześnie uzyskaliśmy dwie ważne informacje. Nazwałabym to plusem. Wracać do anteny?

- Nie, teraz już nie ma sensu - odpowiedział Delanov. - Proszę poczekać przy śluzie.

- Naturalnie.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Dowódca „Krakena” spojrział na zegar odliczający czas akcji. Miał rację, odsyłając Lafayette. Jeżeli pozwoliłby jej zostać, mniej więcej pięć minut temu skończyłby się jej tlen.

- Koniec transferu danych, sir - zameldował wreszcie Polak. - Przystępuję do instalacji modułu MAC.

- Przyjąłem, transfer zakończony.

- Nie chce pan tego urządzenia, prawda? - spytała Lafayette. Pod ikoną kontaktu znowu płonęło oznaczenie prywatnego kanału.

- Morecki uważa, że będzie bezpieczne wystarczająco długo, a potem się je wyłączy - odparł Delanov. - Albo po prostu poda trzykrotnie błędne hasło i będzie po problemie.

- To nie jest odpowiedź - zauważyła.

- Sir, wszystko przygotowane - zameldował Polak - potrzebuję wyłączenia alarmów na łączach.

- Gotów. - Delanov szybko wprowadził kilka komend i potwierdził je kodem dowódcy okrętu.

- Uruchamiam... - zgłosił Morecki, po czym zamilkł na ponad minutę, w czasie której konfigurował niewielki moduł. - MAC działa.

Komandor odczekał kilka sekund, ale zgodnie z wydanym komputerowi poleceniem ostrzeżenie o wpięciu modułu do systemu łączności okrętu nie pojawiło się. Szybko przywrócił poprzednie ustawienia.

- System milczy - powiedział do mikrofonu.

- Zrozumiałem - odezwał się Morecki. - Uruchamiam procedurę testującą.

- Jest sygnał, mam pakiety testowe. - Delanov spojrział na ekran, po którym przesunęły się informacje wysyłane przez MAC. Według urządzenia „Kraken” właśnie prowadził wymianę komunikatów z „Zabójcą”. - Wydaje się, że działa bez problemu.

- Zrozumiałem, wracam do śluzu.

- Przyjąłem. - Komandor przełączył kanał na łączność z Francuzką. - Porucznik Morecki wraca do służby, proszę na niego poczekać na miejscu i informować mnie o każdej osobie, która zjawi się w pobliżu.

- Oczywiście - potwierdziła.

- I proszę być ostrożną.

- Proszę się nie obawiać - w głosie kobiety zabrzmiało rozbawienie. - Świetnie dam sobie radę.

Pół godziny później Polak był już w służbie. Lafayette nie zauważyła żadnych niepożądanych gości, ale to oczywiście mogło nic nie znaczyć - Delanov nie miał wątpliwości, że jeżeli ktoś istotnie próbował sabotować skafandry, na pewno znalazłby też sposób na obserwację powrotu pary oficerów. Zapewne lepszy niż wychylanie się zza rogu. Morecki zabrał konsolę - odczytanie danych z bufora nie było zajęciem na pięć minut, a szyfrant najlepiej się do tego nadawał - ale dopiero gdy komandor zgrała na zewnętrzny dysk pełną kopię zebranych danych. Polak przełknął to bez komentarza, choć z drugiej strony Delanov nie sądził, że chodziło o nielojalność samego porucznika. W końcu podejrzewali, że przeciwnik przynajmniej raz już przewidział ich ruch. W ten sposób mogli się dowiedzieć, czy dane nie były manipulowane. I, w najgorszym wypadku, mieć zapasową kopię.

- Ile to zajmie? - spytał szyfranta. - Zakładając, że nie będzie pan używał mainframe'u centrali łączności?

- Przynajmniej godzinę, dwie, sir - odparł Morecki po krótkim namyśle. - Powinienem mieć wyniki do końca wachty.

- Doskonale. Komandorze Lafayette...

Przerwał mu ostry sygnał interkomu i jednoczesny brzęczyk przejścia w drugi stan gotowości bojowej. Delanov niemal wzdrygnął się na pierwszy od godziny dźwięk, który nie dobiegał ze zmontowanego na użytek akcji stanowiska łączności. Sięgnął do komunikatora i otworzył połączenie.

- Delanov.

- Komandorze, tu pomost bojowy. - Dowódca krążownika rozpoznał głos łącznościowca Finiscego, który obecnie na zmianę z Vorachkiem łątał powstałą po śmierci Stahla lukę w grafiku. - Mamy dziewięć kontaktów na punkcie skokowym Abel. Lot zgodny z rozkładem zapowiadanej eskadry wspierającej, pasują też przekazane kody IFF.

- Łączność?

- Czekamy na bezpośrednią, sir. Komandor porucznik DuLac zarządził drugi stopień gotowości, zgodnie z rozkazem.

- Rozumiem. - Delanov wstał z fotela. Poczł delikatny protest mięśni, wprawionych w ruch po ponad godzinie niemal całkowitego bezruchu. - Zaraz tam będę.

- Tak jest, sir.

Rozłączył interkom i ruszył do drzwi, sięgając do założonego zestawu słuchawkowego.

- Komandorze Lafayette?

- Słyszałam - odparła kobieta.

- Świetnie. Widzimy się na pomoście bojowym. Proszę zawiadomić komandora DuLaca, że nadal będzie dowodził.

EUS „Kraken”, system Sumatra, 25.03.2212 ESD, 02:08 11:22 przed skokiem w przestrzeń Imperium

Główną część eskadry pomocniczej stanowiła zapowiadana grupa sześciu transportowców klasy Sherwood oraz krzątający się wokół nich „Obrońca” - niszczyciel starego typu Korsarz, nadal spotykanego, lecz zdecydowanie niedorównującego jakością liniowym maszynom eskadry Kuertena. Pozostałe dwa okręty również były transportowcami. Szturmowy „Kadyks” o mocnej konstrukcji i charakterystycznej sygnaturze, nieco zbyt silnej, jak na ten rodzaj okrętu, sekcji generatorów, wiózł główną siłę bojową lądowej części operacji - Trzecią i Czwartą Kompanię Panczerzy Wspomaganych, dwustu operatorów i prawie trzy razy tyle żołnierzy z zespołów transportowych, technicznych i wsparcia. Towarzyszący mu nowiutki Innsbruck „Botany Bay” zrefitowano na okręt walki elektronicznej, tym samym dowodząc, że nie istnieje we flocie jednostka tak nowa, żeby nie można było grzebać w jej konstrukcji.

Drugi stopień gotowości bojowej na okrętach Kuertena sprawił, że eskadra spięła się jak koń przed gonitwą. Niszczyciele pognały w stronę przybyszów, by zapewnić im ewentualną osłonę. Oba krążowniki sformowały szyk bojowy i ruszyły małym ciągiem w stronę punktu skokowego, rozwijając wokół siebie rosnącą sieć sensoryczną. Stanowiska bojowe sprawdzały kolejne systemy, a załoga w krytycznych punktach okrętów sięgnęła po hełmy, choć na razie tylko po to, żeby w razie kolejnej zmiany poziomu gotowości mieć je pod ręką. Zarządzany przez DuLaca pomost bojowy „Krakena” wybudził się z półsnu, w który popadł po zakończeniu ostatnich ćwiczeń, i teraz na powrót brzmiał komunikatami stanowisk nadzorujących złożony i działający unisono mechanizm eskadry.

- Imponujące, prawda? - Delanov odruchowo uśmiechnął się, patrząc na wyświetlacz taktyczny.

- Osiem transportowców i jeden stary niszczyciel? - Kobieta na moment przybrała

lekką protekcyjną wyraz twarzy, który komandor pamiętał z tak niedawnych chwil. -

Łatwo panu zaimponować. Jeśli dojdzie do bitwy, Imperium nawet na nich nie zwolni.

- Jeśli rozumiem właściwie plan admirała, nie dojdzie do żadnej bitwy - odparł.

- Zbyt pewność siebie zabiła już niejednego.

- Myślałem, że wierzy pani w tę misję.

- Ależ wierzę - uśmiechnęła się. - Imponuje mi plan, nie te dziewięć maszyn.

- To pani wysłała w dzisiejszym raporcie do Sztabu? - Zerknął na nią ironicznie. -

„Mają kilka kolejnych wraków, ale dobry plan”?

- Zapewne...

- Admirał na pokładzie - szorstki głos marynarza służby wachtowej przerwał dyskusję.

Oboje odwrócili się w stronę wkraczającego do pomieszczenia Kuertena. Momentalnie zareagował też dowodzący wachtą DuLac, który zamarł w przepisowym salucie niemal w pół słowa.

- Spocznij. - Admirał w skafandrze, z hełmem pod pachą podszedł do nich szybkim krokiem. Dobrze znający przełożonego Delanov dostrzegał na twarzy dowódcy eskadry coś, co można było uznać za jego wersję zadowolenia. - Sensory, jaki czas do spotkania?

- Osiemdziesiąt pięć do zasięgu bezpośredniego - padła odpowiedź Kallarisa ze stanowiska kontroli sensorów. - Osiemnaście do wejścia pod parasol „Łowczyń” i jej grupy.

- Dziękuję. - Kuerten przez chwilę przypatrywał się wyświetlaczowi taktycznemu ukazującemu zbliżającą się grupę okrętów językiem liczb i linii przewidywanych kursów. - W sam raz, żeby pan mógł się przygotować.

- Sir? - Delanov spojrzał pytająco na dowódcę.

- Trzeba przekazać dane misji na „Kadyks”. Nie jest to rzecz, jaką chciałbym powierzać normalnym łączom. - Admirał nadal wpatrywał się w wyświetlacz. - Potrzebuję również informacji na temat stanu przygotowania obu jednostek, zważywszy, że zostały wezwane w dość nagłym trybie.

- Rozumiem.

- Bardzo się cieszę. - Świetliste linie wykresów kursowych odbijały się w jasnych oczach oficera. - Sugeruję załatwić to natychmiast, kiedy eskadra wsparcia zbliży się wystarczająco na przelot wahadłowca. Przekażę panu informacje dla „Kadyksu” osobiście przed wylotem.

Komandor skinął głową. To oznaczało kilkadziesiąt minut - wątpliwe, czy Morecki zdąży w tym czasie odcyfrować zdobyte niedawno dane. Ale trzeba będzie z nim porozmawiać.

- Tak jest. W takim razie będę w kabinie.

Począł na ledwo dostrzegalne skinienie głową admirała, a potem wyszedł.

- Dowódca opuszcza pomost - odprowadził go głos wartownika.

Lafayette dogoniła go, kiedy dotarł do pierwszej grodzi w korytarzu - musiała wyjść zaraz po nim.

- Proszę poczekać. - Podbiegła zaskakująco lekko pomimo skafandra.

- Nie miała pani przypadkiem wysłać raportu do Sztabu? - Dopiero kiedy zadał to pytanie, zorientował się, że mogło zabrzmieć niewłaściwie. Kobieta jednak nie zwróciła na to uwagi.

- Później - odparła. - Teraz chciałabym omówić pewien pomysł. EUS „Kadyks”, system Sumatra, 25.03.2212 ESD, 07:10

06:20 przed skokiem w przestrzeń Imperium

Wahadłowiec drgnął po raz ostatni i zamarł w przestronnym doku „Kadyksu”. Delanov i Lafayette rozpięli uprząże, jeszcze zanim umilkły pracujące silniki maszyny, a kiedy piloci zaczęli opuszczać rampę wyładunkową, oficerowie byli już przy niej. Formalnie regulamin zakładał obecność grupy bezpieczeństwa przy dowódcy krążownika, ale komandor zrezygnował z niej - raz, że nie widział sensu ciągnięcia ze sobą czterech żołnierzy grupy abordażowej na okręt tej samej floty, dwa, w ten sposób mógł bez problemu porozmawiać z wysłanniczką Sztabu. Śmierć Stahla fatalnie wpłynęła na jego zaufanie do kadry. Vincent Delanov zdawał sobie sprawę, że takie podejście do własnych ludzi stanie się prędzej czy później uciążliwe, ale chwilowo nie mógł sobie pozwolić na odpuśczenie śledczej paranoi.

- Nie jestem przekonany, czy to wypali - powiedział półgłosem, obserwując powoli opuszczającą się rampę wahadłowca.

- Wcale nie musi - przyznała Lafayette - niemniej ma spore szanse. Jeżeli nasz domniemany szpieg sabotował skafandry, musi wiedzieć, że to my prowadzimy dochodzenie. A teraz nie ma nas na pokładzie, Morecki jest w kwaterze, a więc sabotażysta ma mniej więcej wolne pole. Dodatkowo dokładnie wie, z jakimi siłami się spotkaliśmy. Ma więc zarówno wiadomość do przekazania, jak i okazję, by to zrobić.

Kłapa opadła na pancerny pokład doku „Kadyksu”. Na przepisowej linii czekał na nich wysoki mężczyzna o posturze atlety. Ciemne włosy miał ostrzyżone tuż przy czaszce, z charakterystycznymi wygolonymi okręgami wokół wejścia neurozłącza - na prawej skroni, nie na karku, jak u magów czy szperaczy.

Na szarozielonym mundurze poza dystynkcjami majora nosił tylko emblemat pilota pancerza wspomaganego.

- Zakładanie jednak, że wysła wiadomość z głównego stanowiska łącznościowego, oznacza bardzo ograniczoną grupę podejrzanych - zauważył dowódca „Krakena”, ruszając w stronę wyjścia. - Obawiam się, że nieco zbyt wąską.

- Nie docenia mnie pan - mruknęła, nadrabiając krok straty. - Każda wiadomość wysłana z „Krakena” musi pójść jednym z czterech głównych węzłów komunikacyjnych, zanim trafi do anteny.

- Wiem - odparł, wchodząc na rampę. - Ale dane z węzłów można usunąć, jeżeli ma się do tego uprawnienia. Jako szpieg dokładnie to bym zrobił.

Wysoki major czekał w bezruchu na parę oficerów, obserwując ich uważnie spod krzaczastych brwi. Za jego plecami do doku wjeżdżał pojazd techniczny wiozący obsługę i cztery potężne, wspomagane pumy - główne narzędzie walki jego podwładnych.

- Tylko jeśli orientuje się, gdzie są kopie. - Francuzka uśmiechnęła się jednym kącikiem ust. - Nie sądzę, żeby wiedział o module MAC, a nawet jeśli, to Morecki chyba zauważy próbę kradzieży.

- Miejmy nadzieję. Zwłaszcza że i tak niewiele możemy zrobić.

- Odrobina pozytywnego myślenia może bardzo ułatwić życie.

- Znam wielu, którzy by się z tym nie zgodzili - skomentował cicho.

- Komandorze Delanov. Ma'am. - Potężny mężczyzna uniósł dłoń do wygolonej skroni. - Major Kay, Trzecia Kompania Pancерzy Wspomaganych.

- Witam, majorze. - Dowódca „Krakena” szybko skinął głową. - To komandor Lafayette ze sztabu sektora.

- Ma'am - powtórzył oficer głosem pozbawionym intonacji.

- Przywiozłem opis działań lądowych dla kontyngentu. - Komandor rozejrzał się, ale najwyraźniej nikt więcej nie zamierzał dołączyć do grupy. - Gdzie kapitan Kildare?

- Kapitan Kildare zarządza ćwiczeniami obu kompanii - wyjaśnił brunet. - Uznałem, że to ważne.

Lafayette uniosła brwi na te słowa, niemal wprost sugerujące, że wizyta dwóch starszych oficerów jest mniej istotna. Powstrzymała się jednak od komentarza, co bardzo ucieszyło Delanova. Piloci pancерzy wspomaganých mieli specyficzny tryb działania i ich niemal wyzywające zachowanie wobec innych jednostek można było uznać za coś w rodzaju etosu.

okrętu.

- Rozumiem - odpowiedział. - Będę jej potrzebował razem z panem w sali odpraw.

- Odprawa? - spytał krótko Kay, wskazując na pancerną służbę prowadzącą w głąb -

Nie. - Komandor pokręcił głową. - Przekazujemy tylko pliki odprawy, ma pan je otworzyć dopiero po skoku.

- Po co nam w takim razie Kildare?

- Jedna kopia dla dowódcy każdej z dwóch kompanii.

Major przez chwilę milczał, wreszcie wydusił z siebie nieprzyjemny, charkotliwy śmiech.

- Mamy nawzajem się kontrolować? - Spojrzał na Delanov z wysokości swoich prawie dwóch metrów. - Niespecjalnie ufacie nam, trepom, co?

- Gdybyśmy wam nie ufali, nie byłoby tu was, majorze - odparł komandor, rzucając żołnierzowi ostre spojrzenie. - Myślałem, że nie trzeba tego tłumaczyć.

Major parsknął, ale nic nie odpowiedział, sięgnął tylko do trzymanego w kieszeni zestawu komunikacyjnego i wymruczał do niego kilka krótkich zdań.

Tymczasem minęły stanowiska rozruchowe, w które technicy wstawiali przywiezione pancerze. Cztery humanoidalne, dwuipółmetrowe pumy stały już w kompozytowych rusztowaniach, cztery następne czekały na swoją kolej. „Najgroźniejszy system bojowy obsługiwany przez pojedynczego żołnierza”, tak zdaje się o nich mówiono - Delanov nigdy nie interesował się jednostkami naziemnymi, ale teraz musiał przyznać, że egzoszkielety sprawiały wrażenie, jakby były w stanie udźwignąć tę sławę. Pomimo unieruchomienia w stanowiskach zdawały się lekko pochylać w stronę przechodzących, podążając za nimi szklistymi oczami przejrzystych kopulek obiektywów. Po obu stronach spłaszczonych głów zamontowano wyrzutnie uniwersalnych pocisków raketowych, a pod otwartymi panelami na przedramionach można było zobaczyć prowadnice granatników przeciwpiechotnych. Własny system walki elektronicznej i pozwalający na szybkie manewry silnik czyniły pancerz samodzielną jednostką taktyczną - tym groźniejszą, że kierowaną przez specjalnie dobieranych operatorów. Pumy, nieczęsto spotykane na polach bitew po Dniu, zwykle działały w drużynach, czasem w plutonach. Komandor mógł sobie tylko wyobrażać, jak będą czuli się imperialni żołnierze postawieni przeciw dwóm kompaniom zabójczych maszyn.

Podwładni majora wyraźnie czuli potrzebę podkreślenia własnej indywidualności, bo każda z pum była inaczej zdobiona - cały bok najbliższej maszyny pokryty został motywami splecionych, opalizujących węży. Hełm pancerza - wymalowane na bokach numery i oznaczenia mówiły, że należy on do porucznika Cervesa - został ozdobiony malunkiem żółtych, fosforyzujących oczu, a na przedniej płycie widniało holo poruszającego się, rozdwojonego języka. Komandor omal nie potknął się, patrząc na fantastyczny wzór.

- Wszystko jest pod CSSem. - Kay najwyraźniej źle zinterpretował jego spojrzenie.

Albo postanowił sobie zakpić z oficerów floty. - O regulamin proszę się nie martwić.

- Ten fragment regulaminu mało mnie interesuje. - Delanov po raz ostatni obrzucił wzrokiem opancerzone maszyny. - Jak długo wykonują zadanie, mogą mieć dowolny wygląd.

Major odsalutował biegnącej w stronę doku kobiecie z dystynkcjami sierżanta obok emblematu Trzeciej Kompanii, następnie podszedł do drzwi windy osobowej i wcisnął przycisk na konsolecie.

- Zrobią, co do nich należy - jego uśmiech wyrażał coś pomiędzy dumą i wyzwaniem - pod warunkiem, że nikt inny nie zawali.

Drzwi rozsunęły się bezgłośnie, odsłaniając sporą kabinę - windy osobowe na „Kadyksie” wyraźnie przystosowano na potrzeby jadących do doków pilotów pum.

- Wydaje się pan bardzo pewny siebie, majorze - zauważyła Lafayette z przekąsem, wchodząc do kabiny i opierając się o tylną ścianę.

Mężczyzna zmrużył lekko oczy i posłał jej krzywy uśmiech.

- Widziała pani kiedyś pumę w akcji?

- Nie. - Francuzka wzruszyła ramionami. - Zakładam, że sobie radzi. Komandor zmarszczył na moment brwi, ciekaw, do czego Francuzka zmierza.

- Jedna puma dysponuje siłą ognia plutonu piechoty i kilkakrotnie większą mobilnością - mówił nieco protekcyjnym tonem, jednak dowódca „Krakena” dostrzegł w nim lekki dystans. - Ma własny system przeciwrakietowy, oddzielny system naprowadzania, napęd pozwala jej poruszać się stumetrowymi skokami, już nie mówiąc o tym, że przez ostrzał broni ręcznej idzie jak hologram.

- Jestem tego pewna - odparła kobieta z demonstracyjnie wymuszoną uprzejmością.

- Kompania pancerzy wspomaganych może przebić się przez regiment wojska. - Choć oficer starał się sprawiać wrażenie rozbawionego, wyraźnie się zirytował. - Mam dwie. Nie wierzę, żeby czekała na nas dywizja wroga. Damy radę.

- Jestem o tym przekonana. Po prostu od trzech lat nie używaliśmy pum na froncie. - Spojrzała na niego spod długich rzęs. - Mam nadzieję, że nadal coś sobą prezentują.

Major wyglądał tak, jakby chciał coś powiedzieć, ale nagle skrzyżował ręce na piersi i pokręcił lekko głową z ironicznym uśmieszkiem, rzucając Francuzce pełne podziwu spojrzenie.

- Sprytne - mruknął. - Teraz to ja się staram, co? Parsknęła cichym śmiechem.

- Proszę mi wierzyć, że gdyby istniała inna szansa, by nie patrzył pan na nas z góry, skorzystałabym z niej.

- Nie wątpię.

Delanov nie mógł nie docenić sprawności Lafayette. W ciągu kilku minut nie tylko odgadła, jakie są słabe punkty majora, ale też jak w nie uderzyć, żeby zamiast zaognić konflikt, rozładować sytuację.

- To co mi przywozicie? - Kay szybko na powrót ściągnął brwi i spojrzał na dwójkę oficerów poważnie, choć już nie wyzywająco. - Igłę?

Drzwi otwały się, dając dowódcy „Krakena” chwilę na przemyślenie odpowiedzi. Z jednej strony, powinien milczeć. Nie na darmo informacje, które wiozł, były tajne. Z drugiej - nie potrzeba było geniusza, żeby domyślić się jakiejś operacji za liniami wroga, a rozmiar sił wykluczał inwazję, zwłaszcza przeciwko Imperium. Igła, rajd na pojedynczy cel i szybkie wycofanie sił, wydawała się jedynym logicznym planem, do czego major na pewno doszedł. Posiadacze neurozłączy nie mogli być głupi, ani nawet przeciętnie inteligentni.

- Igłę - potwierdził, wychodząc na korytarz. - Niestety, więcej danych otrzyma pan dopiero wtedy, gdy dołączy do nas kapitan Kildare.

- Musi być spora - mruknął Kay - zważywszy na to, ilu nas wezwaliście.

- Przede wszystkim, majorze - odpowiedziała mu Lafayette - musi być szybka.

*

Dowódcą Czwartej Kompanii była smukła, wysoka kobieta o krótkich, niemal idealnie kasztanowych włosach i intensywnie zielonych oczach na drobnej, trójkątnej twarzy. Na wąskich dłoniach o długich palcach nosiła czarne rękawiczki, a przy pasie - kaburę z wymontowanym zabezpieczeniem. W przeciwieństwie do majora Kaya Kildare wydawała się nie mieć żadnych problemów z obecnością dwójki oficerów floty - kiedy tylko weszła do sali konferencyjnej „Kadyksu”, natychmiast wyprostowała się do pozycji zasadniczej i uniosła dłoń do salutu.

- Spocznij - zareagował natychmiast Delanov. Nie potrzebował tego rodzaju formalizmów, tym bardziej, że przykład majora doskonale ilustrował, jaki mur mogły budować pomiędzy oficerami floty i wojsk lądowych. Ostatnim, czego teraz potrzebował, były tarcia. - Cieszę się, że mogła pani dołączyć. To nie potrwa długo.

- Sir. - Kapitan skinęła głową i usiadła obok Kaya za owalnym stołem.

- Domyślam się, że nagła mobilizacja była pewnego rodzaju zaskoczeniem, zwłaszcza w związku z brakiem dodatkowych informacji - kontynuował mężczyzna. - Wszyscy jesteśmy więźniami procedur bezpieczeństwa.

Oficerowie milczeli, wpatrując się w niego wyczekująco, z ledwo wyczuwalnym napięciem. Nikt nie był pewnie bardziej świadom niż oni, jak strzeżony musiał być cel, dla którego trzeba było mobilizować tak duże - i deficytowe, zważywszy na ilość jednostek

wykorzystujących pumy - siły. Nie przerywali mu, ale oboje wyraźnie czekali na koniec wstępu do odprawy. Przyszli dowiedzieć się, w jakie piekło będą rzućeni.

- W ciągu czterech godzin - Delanov wydobył z zasobnika przy biodrze dwa datapady i położył je na stole - nasze eskadry wykonają skok na terytorium wroga. Tam kompanie Trzecia i Czwarta, a także wszystkie podległe im jednostki pomocnicze zostaną desantowane na planetę będącą pod kontrolą wroga.

Dwójka pilotów pum słuchała w milczeniu. Kąciki ust majora Kaya uniosły się w ledwo dostrzegalnym uśmiechu. Kildare skupiła spojrzenie zielonych oczu na datapadach, z fascynacją czyniącą ją podobną do prawdziwej pumy obserwującej łup.

- Celem desantu będzie zniszczenie kontrolowanego przez wroga kompleksu o znaczeniu strategicznym. Potem będziemy was wycofywać.

- Co atakujemy? - spytała kapitan.

- Względy bezpieczeństwa sprawiają, że dalsze szczegóły operacji, w tym ta informacja, zostaną udostępnione dopiero po wykonaniu skoku. - Delanov wskazał na datapady. - Pełna odprawa misji znajduje się tutaj, wraz z danymi, które będą dla was dostępne już teraz.

Major natychmiast sięgnął po urządzenie, uruchomił je i przez chwilę przyglądał się ekranowi. Kildare tylko przysunęła drugi datapad do siebie.

- Prawie nic tu nie ma - skrzywił się Kay, szybkimi ruchami palca wskazującego przerzucając kolejne strony. - Bardzo szerokie widełki oczekiwanych sił, kilka przypuszczeń dotyczących wsparcia, lista możliwych rozkładów perymetru długa na kilka stron... Do skoku nie wiemy prawie nic.

- Wystarczająco dużo, żeby przygotować maszyny - odparł Delanov. - Klucz do szyfru, którym zabezpieczono resztę informacji, otrzymacie bezpośrednio po wyjściu w systemie docelowym.

- Mamy oczekiwać jakichś problemów? - Siedząca naprzeciw komandora Kildare bawiła się datapadem, wprawiając go w ruch wirowy szybkimi ruchami dłoni.

- Podczas akcji?

- Nie. - Kobieta przez moment patrzyła na obracające się na czarnym blacie urządzenie. - W związku z utajnieniem celów. Powinniśmy uważać na kogoś konkretnego?

Zielone oczy błysnęły, kiedy uniosła wzrok.

Cóż, przebiegło komandorowi przez głowę, tak to już jest, kiedy rozmawia się z ludźmi zdolnymi do przyjęcia neurozłącza - raczej nie należy spodziewać się po nich mało istotnych pytań. Kiedy w dodatku zamiast być chronionymi magami, pchają się do

pilotowania pancerzy wspomaganych - można oczekiwać dokładnie tego rysu osobowości, który sprawi, że nie przemilczą żadnego elementu.

- To niewykluczone - powiedział. - Istnieją powody, by przypuszczać, że nasza operacja ma problemy ze szczelnością informacyjną.

- Przy igle? - Kay odchylił głowę do tyłu i przymknął oczy, zakładając dłonie na karku. - To raczej mocne utrudnienie, nie sądzą państwo?

Trudno było z tym dyskutować - cała siła igieł polegała na ich tajności. Szybki rajd za linie wroga musiał okazać się katastrofą, kiedy przeciwnik wiedział, gdzie czekać na atakujących.

- Właśnie z tego powodu koordynaty skokowe i dane celu są utajnione - zamiast Delanova odpowiedziała Lafayette. - Dokładne parametry celu zna w tej chwili bardzo ograniczona grupa.

- Jak ograniczona?

- Bardzo - odparła Francuzka. - Do tego stopnia, że ta informacja również jest poufna. Dwójka oficerów wymieniła spojrzenia.

- Mamy więc nadzieję, że to wystarczy - powiedział wreszcie Kay. - Byłoby szkoda stracić obie kompanie na wpadce wywiadu.

- Wystarczy. - Delanov wstał. - Jeśli nie ma pytań, będziemy już wracać.

- Tylko jedno, jeśli można - tym razem odezwała się Kildare. - Dlaczego państwo tu są? To, co otrzymaliśmy, można było spokojnie przesłać, i tak jest zaszyfrowane. A to, co jest jawne, może implikować przynajmniej dziesięć różnych celów na pograniczu.

Komandor westchnął, wykorzystując uzyskany w ten sposób ułamek sekundy na opracowanie odpowiedzi. W zasadzie kapitan miała rację - pakiet zaszyfrowanych danych nie potrzebował na taką odległość ludzkich posłańców. Jednocześnie dowódca eskadry raczej nie wiedział o planie Lafayette, w końcu rozkaz padł, zanim Francuzka zdradziła swój pomysł. To mógł być wyraz braku zaufania dla łączności - albo chęć wyekspediowania Delanova poza okręt.

- Rozkaz dowódcy eskadry - zdecydował się wreszcie. - Kontradmiral Kuerten lubi orientować się w sytuacji. Sam nie mógł się zjawić, więc wysłał nas.

Nie była to do końca prawda - komandor zresztą nie wiedział, jaka ona była - ale za to najszybsza odpowiedź, jakiej mógł udzielić bez zbytnio długiego namysłu.

- Mhm. - Kapitan spojrzała nań spod zmarszczonych brwi, ale nie pytała więcej.

Wymienili saluty, tym razem bez formalizmu czy podtekstów - po prostu pozdrowienie ludzi, którzy będą w podobnych opałach, jeśli coś pójdzie nie tak.

- Pумы nie zwiądą - zapewnił Kay z zawadiackim uśmiechem na kanciastej twarzy. -
Załatwcie nam czyste niebo, a my zadamy o resztę.

- Dobry układ - odparł Delanov. - Zrobimy, co w naszej mocy.

Dwadzieścia minut później dwójka oficerów wracała już wahadłowcem w stronę wysmukłej sylwetki „Krakena”.

EUS „Kraken”, system Sumatra, 25.03.2212 ESD, 10:18 03:12 przed skokiem w przestrzeń Imperium

Kiedy zbliżył się do Kajuty Kuertena, właśnie wychodził z niej porucznik Vorachek. Dobrze zbudowany, ciemnowłosy Słowak o oliwkowej cerze usunął się dowódcy „Krakena” z drogi, salutując słuźbiście. Mężczyzna musiał mieć teraz pełne ręce roboty - po śmierci Stahla zadania Niemca spadły na niego oraz na trzeciego łącznościowca, Finiscego.

- Spocznij - rzucił zamyślony Delanov, ale coś kazało mu się zatrzymać. - Co robiliście u admirała, poruczniku?

Nijał Kurten nie miał w zwyczajnuz wzywać do siebie członków załogi, zresztą nie istniał żaden powód, aby to robić. Być może admirał chciał zdobyć jakieś informacje o Stahlu - w końcu Vorachek dzielił z nim kajutę - ale przecież mógł uzyskać wszelkie dane od Delanova.

- Admirał Kuerten wezwał mnie, by wyrazić uznanie dla mojej słuźby, sir - odpowiedział porucznik.

- Tylko tyle? - zdziwił się Delanov. Takie zachowanie było niepodobne do dowódcy eskadry.

- Tak jest. - Słowak nadal patrzył przed siebie, co skutecznie uniemożliwiało jakikolwiek kontakt wzrokowy. Kiedyś sądził, że Vorachek w ten sposób drwi sobie z przełożonych, ale wystarczyło kilka tygodni, by zmienił zdanie - to był po prostu jego sposób bycia. Trzydziestodwuletni łącznościowiec przeszedł do floty po kilkuletniej słuźbie w zwiadzie. Przyniósł stamtąd wiele ze zwyczajów sił lądowych, w tym także sposób rozmowy ze starszymi stopniem.

- Rozumiem - odpowiedział komandor. Nie było sensu wnikać w sprawę, od podwładnego i tak więcej się nie dowie. - Dziękuję, poruczniku, jest pan wolny.

- Tak jest - szczeniął Słowak i odmaszerował korytarzem. Delanov przez chwilę odprowadzał go wzrokiem, a potem wduślił przycisk dzwonka.

Kajuta Nijała Kuertena była nieco większa od tej, którą zajmował Delanov, ale i jej nie dało się nazwać dużą. Admirał wszędzie rozmieścił holoekrany i kiedy dowódca „Krakena” wszedł do pomieszczenia, wszystkie pracowały. Na kilku z nich rozpoznał akta

osobowe załogi krążownika, inne wyświetlały schematy techniczne, na jednym mógł zobaczyć trójwymiarową mapę frontu. Powietrze wydawało się lekko naelektryzowane, a siedzący za niewielkim biurkiem Kuerten - błąd w błękitnawej poświacie projekcji. Kiedy Delanov zrobił krok naprzód, szczupłe palce dowódcy eskadry przerwały taniec po świetlnej klawiaturze.

- Rozumiem, że rozkazy dla jednostek desantowych zostały przekazane? - zapytał cicho.

- Tak jest - potwierdził komandor. - Tak samo jak polecenie, by rozpieczętowano je dopiero po wykonaniu skoku.

- Doskonale. - Kuerten nadal spoglądał na podwładnego, jednak jego dłonie wróciły do pisania. Wiązki projektorów klawiatury rysowały jaskrawe linie na opuszkach palców. - Jak postępuje dochodzenie?

- Założyliśmy MAC na antenę dalekiego zasięgu, sir - odpowiedział Delanov. - Liczymy na to, że przeciwnik będzie znowu nadawał, a wtedy go namierzemy.

- Nie najgorszy plan. - Admirał skinął głową. - Nie ukrywam, że pokładam wielkie nadzieje w pańskich metodach śledczych i kooperacji z komandor Lafayette.

Dowódca „Krakena” zmarszczył brwi, próbując określić, czy przełożony mówi serio, czy żartuje. Trudno było mu wyobrazić sobie żartującego Kuertena, z drugiej strony nie robił żadnej tajemnicy ze swojego braku doświadczenia w dochodzeniach. A może chodziło raczej o tę drugą część zdania.

- Dziękuję, sir - powiedział w końcu niepewnie. - Robimy, co w naszej mocy. Będę pana informował o wynikach na bieżąco.

- Życzę zatem powodzenia. Jest pan wolny.

- Tak jest. - Oficer zsalutował i odwrócił się ku wyjściu.

- Komandorze Delanov? - głos admirała dogonił go, zanim zrobił dwa kroki.

- Sir?

- Chciałbym, by pan wiedział, że przykro mi, iż powierzyłem panu akurat to zadanie. - Kuerten wyglądał tak, jakby rozważał każde kolejne słowo. - Nie jest dla pana odpowiednie i doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Niestety, w naszej obecnej sytuacji nie miałem innego wyjścia.

Po raz drugi w ciągu krótkiej rozmowy Vincent Delanov nie bardzo wiedział, jak zareagować. Przełożony nie był typem oficera, który powątpiewa w swoje decyzje albo przeprosza za nie podwładnych. Zastanawiał się właśnie, co odpowiedzieć, kiedy uratował go sam Kuerten.

- Tymczasem jednak dziękuję za raport - ton przełożonego wrócił do normy. - Nie będę pana zatrzymywał.

Delanov skinął tylko głową i wyszedł, starając się odpędzić dręczące go pytania. Nie pora zastanawiać się nad pomysłami admirała - pozostało zaledwie około trzech godzin do planowanego skoku, a śledztwo nadal trwało.

EUS „Kraken”, system Sumatra, 25.03.2212 ESD, 10:41 02:49 przed skokiem w przestrzeń Imperium

Morecki wpisał kolejne polecenie włącznikiem i ekran zabłysnął nowymi kolumnami znaków alfanumerycznych. Sądząc z oznaczenia w prawym dolnym rogu, był to jeden z wielu tysięcy podobnych ekranów i - z punktu widzenia Delanova - nie wyróżniał się absolutnie niczym na tle tych, które zobaczyli.

- To mniej więcej to, sir. - Szyfrant uniósł głowę znad biurka w kajucie. - Tutaj jest początek nagłówka wiadomości. Porównałem go z logami łączności, które pan udostępnił, ale nie zgadza się z niczym. Wąskie pasmo, szyfr niepasujący do naszych.

Komandor westchnął. Czyli ostatnia nadzieja, że wszystkie minione wydarzenia były po prostu serią wypadków i nieszczęśliwych zbiegów okoliczności, zgasła. Nie, żeby w którymkolwiek momencie wydawała się szczególnie duża - Delanov nie był co prawda śledczym, ale do połączenia niektórych faktów wcale nie trzeba eksperta. Śmierć Stahla, awarie skafandrów, teraz wiadomość, której nie było w oficjalnych logach, a jednak przeszła przez antenę „Krakena”... Z trudem akceptował myśl, że pośród jego ludzi działał szpieg, ale wobec faktów musiał się z nią pogodzić. Spojrzał na zdobiące ściany kapitańskiej kajuty obrazki Marka, jednak nawet one tym razem nie poprawiły mu humoru.

- Czy są jakieś szanse na odszyfrowanie?

- W żadnym razie, sir. - Polak z przekonaniem pokręcił głową. - A już na pewno nie w ciągu kilku godzin. Może w komputerach kryptograficznych wywiadu, ale nie tu.

- Cel?

- To co innego, ustawienia anteny są zapisane w buforze. Mam pozycję „Krakena” i kierunek, można by przesłać te dane na Brest, ale czekałem na pana rozkaz.

- Teraz nie ma sensu. - Komandor skrzywił się. - Mieli mnóstwo czasu na zmianę pozycji, a tylko głupiec by tego nie zrobił. Dobra robota, poruczniku.

- Chciałbym też sprawdzić, co wyłapał moduł MAC, ale wolałbym nie robić tego sam. Wie pan...

Po poruczniku widać było nerwowość. Śledztwo i otaczająca je atmosfera wyraźnie mu nie odpowiadały. Delanov zresztą w pełni rozumiał podwładnego, sam czując się

nieswojo.

- Oczywiście. - Skinął głową i sięgnął do interkomu, żeby skontaktować się z Lafayette.

- Komandorze? - Odebrała niemal natychmiast, choć rozpięty mundur i zmierzwione włosy sugerowały, że drzemała.

- Kiedy może się pani zjawić się u mnie? - spytał Delanov - zabieramy się za raporty MAC.

- Już idę. - Momentalnie oprzytomniała. - Będę do trzech minut. Ekran zgasł, kiedy Francuzka zerwała połączenie.

*

Nie upłynęły nawet zapowiedziane trzy minuty, kiedy w kabinie dowódcy „Krakena” odezwał się dzwonek.

- Komandorze - głos Lafayette dobiegł z głośnika dokładnie w momencie, kiedy włączony monitor bezpieczeństwa pokazał jej postać w korytarzu. - Jestem.

Wpuszczona, natychmiast zamknęła za sobą drzwi i niemal podbiegła do komputera. Morecki poderwał się ze swojego miejsca i zrobił krok w tył, ale tylko machnęła na niego ręką.

- Znalazł pan coś, poruczniku?

- Jeszcze nie, czekaliśmy na panią, ma'am. - Polak wyraźnie nie czuł się najlepiej w obecności Francuzki.

- Zatem jestem - uśmiechnęła się i siadła obok szyfranta.

- Sir? - Morecki spojrzał pytająco na Delanova, wyraźnie dając do zrozumienia, że to od niego oczekuje rozkazu.

- Proszę zaczynać.

Polak pochylił się nad klawiaturą. Szybko wywołał okno MAC i sięgnął po plastikową kartę z kodami jednorazowymi.

- Cztery kody zużyte podczas procedur testujących - powiedział cicho, wpatrzony w monitor. - Wpisuję piąty kod... Pani komandor?

- Tak jest, cztery kody zużyte, porucznik Morecki wpisuje piąty kod z listy - potwierdziła Lafayette.

- Kod numer pięć przyjęty i zatwierdzony. Mam dostęp do danych. Delanov wymienił spojrzenia z Francuzką.

- Test integralności danych... Wykonany - kontynuował Morecki. - Odczytuję dziennik poprzednich połączeń... Zgodnie z naszymi informacjami, tylko procedury testujące.

Pani komandor?

- Potwierdzam. - Lafayette kiwnęła głową i ruchem dłoni dała mu znak, by mówić dalej. Ciemne oczy komandor zdawały się pożerać wyświetlane na ekranie dane.

- Podczas ostatnich godzin z „Krakena” nadano trzydzieści sześć wiadomości. - Szyfrant przebiegł wzrokiem po liniach raportu. - Czternaście to łączność krótkiego zasięgu z eskadrą wsparcia. Osiem było skierowanych do „Łowczyń” i jej grupy.

Delanov skinął głową. W tym czasie zespół „Łowczyń” wykonywał patrol przy punkcie skokowym - większa ilość sesji łączności z niszczycielami mieściła się w normie.

- Dwie, zaraz... - Porucznik otworzył w drugim oknie dziennik łączności. - Dwie z wahadłowcem komandora Delanova, zezwolenie na start i powrót. Jedna to połączenie z „Intruzem”, opisane jako „koordynacja sportowa”.

- Zakładam, że to legalne? - Francuzka uniosła brwi. Morecki uśmiechnął się mimowolnie.

- Liga brydżowa. Jeśli jest tak, jak zwykle, to legalnie wypisane zapotrzebowanie, ale trzeba będzie sprawdzić. Ostatnie... hm.

- Brak identyfikatora. - Lafayette pochyliła się w stronę ekranu. - Do kogo to?

- Ostatnia wiadomość poszła na koordynaty niezajmowane wtedy przez żaden z naszych okrętów, nie figuruje w logu łączności i ma inną sygnaturę szyfru.

Morecki wskazał odpowiedni rekord raportu.

- Może pan sprawdzić, skąd ją wysłano? - spytał Delanov.

- Sprawdzę status węzłów komunikacyjnych o tej godzinie. - Morecki zmrużył oczy, wywołując kolejne okna. - Ale obawiam się, że będę potrzebował uprawnień.

- Naturalnie. - Komandor wstukał kod na klawiaturze i potwierdził go wduszeniem przycisku noszonego na szyi klucza dowódczego.

- O tej porze aktywne były tylko węzły jeden, cztery i szesnaście. Stanowisko łączności, sir. - Morecki spojrzał na dowódcę.

- Te węzły zawsze są wzbudzone - zauważyła Lafayette. - To stałe łącze stanowiska dowodzenia z anteną. To nam nic nie daje.

- Samo to istotnie nie, ale już fakt, że o tej porze pracowały tylko one - jak najbardziej.

Szyfrant po raz pierwszy wyglądał na autentycznie podekscytowanego. Atmosfera polowania wydawała mu się udzielać.

- To znaczy? - spytał Delanov.

- To oznacza, że wiadomość musiała zostać nadana z któregoś z tych węzłów. Jeden z nich jest na stanowisku bojowym, pozostałe dwa są zabezpieczone, a system wykryłby próbę

podłączenia jakiegokolwiek urządzenia.

- Nie prościej monitorować transfer? - zdziwiła się Lafayette.

- Węzły łączności w zasadzie stale pracują. - Morecki, znajdujący się pomiędzy Scyllą i Charybdą własnej niechęci do laików i konieczności okazywania szacunku wobec starszych oficerów z trudem ukrył zirytowany wyraz twarzy. - Mielibyśmy stale alarmy. Prościej było zrobić bezpiecznik wykrywający moment zakłócenia obwodu.

- Czy w tym czasie zostały zgłoszone takie alerty? - chciał wiedzieć Delanov.

- Nie, sir.

Oficer przymknął oczy. Nie zdradził po prostu jakiś członek załogi. Wrogiem był oficer, i to mający dostęp do stanowiska dowodzenia. Wewnętrzny krąg. Przez głowę komandora przepłynęła lista nazwisk i twarzy kadry „Krakena” mającej wtedy wachtę.

- Proszę sprawdzić, czyj klucz był wtedy na stanowisku - rzekł cicho. Ciężar rozmowy go przytłaczał. Poczul się nagle bardzo zmęczony.

- Tak. - Polak wstukał kolejną komendę i na ekranie pojawiły się nowe informacje. Oraz nazwisko.

- Porucznik Vorachek... - Komandor nie musiał czytać. Wiedział w końcu, kto pełnił funkcje łącznościowca przez ostatnie kilka godzin.

- Przykro mi. - Głos Lafayette był bliski szeptu.

- Nie tak bardzo, jak mnie.

EUS „Kraken”, system Sumatra, 25.03.2212 ESD, 11:18 02:12 przed skokiem w przestrzeń Imperium

Czternastoosobową grupą uderzeniową dowodził chorąży Ekkert - niesamowicie szczupły, wydający się niemal człowiekiem zaprojektowanym na niższy wzrost, ale rozciągniętym do obecnej wysokości. Wrażenie potęgowała twarz - pociągła, o zapadniętych policzkach i wodnistych, szarozielonych oczach.

- Zrobimy, co tylko w naszej mocy, żeby wziąć go żywcem - zapewnił Delanov, poprawiając zapięcie pancerza. - Nie powinno być z tym problemu. Mała kajuta, praktycznie nie ma szans na przeciągającą się strzelaninę... Liczny oddział i trudny do ucieczki teren.

Wskazał gestem pozostałą piątkę ludzi przygotowujących się do uderzenia od tej strony korytarza. To oni mieli wraz z Ekkertem wkroczyć do niewielkiej kajuty, którą porucznik do niedawna dzielił ze Stahlem. Poza tym ośmiu ludzi chorążego obstawiało wszystkie wyjścia, Morecki kontrolował grodzie... Wszystko z powodu jednego, prawdopodobnie śpiącego mężczyzny.

Z drugiej strony, mieli do czynienia z zawodowcem, który przez ponad osiemnaście

miesiące mydlił oczy nie tylko dowódcy swojego okrętu, ale też wszystkim współpracownikom. Kolegom z wachty, Stahlowi... Nie, zdecydowanie lepiej było się zabezpieczyć.

- Nie ryzykujcie przesadnie.

- Komandor Lafayette...

- Nie wątpię - przerwał mu Delanov, posyłając znaczące spojrzenie czekającej obok Francuzce. Mógł sobie doskonale wyobrazić, co powiedziała Ekkertowi. Schwyty żywcem szpieg pewnie byłby cenny dla kontrwywiadu. Starał się ze wszystkich sił zamaskować żal. Znał swoją załogę, wszystkich stu czterdziestu ludzi, którzy żyli na pokładzie „Krakena”. Ufał każdemu z nich. Do niedawna. Oczywiście był świadom infiltracji floty przez wrogi wywiad, ale nigdy nie sądził, że dotknie to jego statku, jego ludzi. - Jeśli będziecie mogli wziąć go żywcem, zróbcie to. Jednak nie chcę, żeby porucznik Vorachek przysporzył nam więcej kłopotów, niż zrobił to do tej pory.

- Rozkaz. - Ekkert sięgnął po leżący obok reszty ekwipunku hełm, założył go i zatrzęsął przezroczystą osłonę twarzy.

Szóstka żołnierzy jeden po drugim wkroczyła w korytarz, sunąc powoli wzdłuż ściany. Kajuta Vorachka, a niegdyś też Stahla, była siódma w kolejności i znajdowała się prawie piętnaście metrów od śluzy, przy której czekali Delanov, Lafayette i Morecki.

- Pozwala pan działać sentymentom - mruknęła komandor, w skupieniu obserwując bezgłośnie przemieszczającą się grupę szturmową. - Istnieje masa rzeczy, do których można wykorzystać przechwyconego szpiega.

- Zapewne - odparł. - Jeśli się uda, wezmą go żywcem. Nie chcę więcej ciał, niż trzeba, ale jeżeli już ktoś ma ginąć, wołałbym, żeby to był on niż jeden z moich ludzi.

- Kontrwywiad pana nie polubi.

- Jakoś przeżyję. Nie mamy niestety ani możliwości technicznych, żeby go zagazować, ani czasu, by czekać, aż wyjdzie z kajuty. Będziemy musieli załatwić to tradycyjnie.

Trójka ludzi Ekkerta przeskoczyła na drugą stronę wejścia do kajuty. Prowadzący uniósł w górę dłoń, ukazując trzy palce. Potem dwa. Potem jeden.

- Jakby co - szturchnęła go delikatnie łokciem - jestem z panem.

Jeden z żołnierzy przesunął kartę przez czytnik i drzwi rozsunęły się z cichym świstem. Ułamek sekundy później sześciuosobowa grupa szturmowa wpadła do pomieszczenia niemal jednocześnie, a eter wypełniły głosy nacierających.

- Stój! - krzyknął ktoś niewyraźnie, a po chwili w pomieszczeniu huknął strzał.

- Brać go żywcem! - wrzasnął Ekkert.

Komandor odruchowo przełknął ślinę, ale dalsze wystrzały nie padły. Minęła sekunda, druga, trzecia...

- Mamy go, sir - zameldował Ekkert. - Strefa bezpieczna...

Nagła eksplozja zabrzmiała nienaturalnie głośno w ograniczonej przestrzeni korytarza. Instykt posłał Delanova na kompozytową podłogę, zanim jeszcze umysł w pełni przetworzył błysk, który zatrzymał się przed oczami komandora jak upiorny powidok. Podmuch owiał mu twarz sekundę później - słaby, ale gorący, o zapachu śmierci. Kolejną sekundę później trzasnęła gródź, odcinając trójkę oficerów od feralnego korytarza, kajuty Vorachka i szóstki żołnierzy grupy szturmowej.

EUS „Kraken”, system Sumatra, 25.03.2212 ESD, 11:30 02:00 przed skokiem w przestrzeń Imperium

Pomieszczenie analiz sekcji bezpieczeństwa wydawało się niewiele większe od kajuty oficerskiej, a mieściło nie tylko skomplikowany sprzęt, lecz również trzy stanowiska robocze. Choć więc w chwili obecnej tylko przy jednym z nich siedział podległy Montenzie technik, i tak było w nim bardzo ciasno. Ale Delanov nie zwracał uwagi na wygodę. Był zbyt pochłonięty odtwarzaniem ostatnich chwil życia swoich ludzi.

Obraz z kamery chorążego Ekkerta po raz setny ukazał rozbudzonego Vorachka. Mężczyzna poderwał się z posłania, kiedy tylko ludzie Delanova wpadli do pomieszczenia. Zaskakująco szybkim ruchem wielka łapa porucznika uderzyła lufę karabinka Ekkerta, który był najbliżej. Jednocześnie druga wystrzeliła w stronę filtra hełmu chorążego.

- Stój! - krzyknął idący za dowódcą Blythe.

Ktoś z tyłu - tracking liczników amunicji wskazywał, że Wroński - wystrzelił, ale kula chybiła i uderzyła w ścianę ciasnej kajuty.

- Brać go żywcem! - ryknął Ekkert, mocując się z rozbudzonym łącznościowcem.

Vorachek szarpnął chorążego, wyraźnie próbując zasłonić się nim przed resztą napastników, lecz Ekkert odskoczył miękko, robiąc miejsce dla pozostałych. Żołnierze opadli porucznika ze wszystkich stron. Słowak rzucił się na najbliższego z nich, ale uderzenie kolbą zważyło go z nóg, zanim zdążył zadać cios.

Skulił się, kiedy spadły na niego kolejne ciosy. Wreszcie Ekkert zatrzymał podwładnych gestem i ukląkł koło półprzytomnego porucznika.

- Mamy go, sir - odezwał się ponownie głośnik. Sądząc z pozycji kamery, mężczyzna obrócił w stronę reszty swoich ludzi. - Strefa bezpieczna...

Dziewięćdziesiąt dziewięć razy Delanov obiecywał sobie, że nie mrugnie, ale i tym

razem to zrobił. Krótki błysk i całkowite zniknięcie obrazu, a sekundę potem alarm, kiedy monitoring medyczny wykrył odzerowanie się biowykresów Ekkerta i reszty. Komandor przymknął na chwilę oczy.

- Źródło eksplozji znajduje się przy drzwiach. Co ciekawsze, prawdopodobnie od zewnętrznej strony. - Obsługujący stanowisko Hansson postukał paznokciem w ekran. - Kierunkowy ładunek niewielkiej mocy, nie ma prawie żadnych efektów wybuchu na korytarzu, ale wewnątrz...

Nie musiał kończyć zdania. Przechowywane w ambulatorium siedem ciał w plastikowych workach doskonale ilustrowało, czego ładunek dokonał wewnątrz kajuty.

- Jakim cudem nas to załatwiło? - spytała Lafayette. - Ktoś z oddziału powinien był zauważyć ładunek wybuchowy, prawda?

- Analizowaliśmy nagrania z pierwszej fazy akcji i próbowaliśmy go zlokalizować, ale na razie bezskutecznie. - Technik rozłożył bezradnie ręce. - Nic nie wyłapał też wstępny skan, choć tamtędy idzie zapasowa linia energetyczna, więc odczyty zawsze będą niepewne.

- Ale przecież ten ładunek musiał fizycznie gdzieś być. - Delanov pokręcił głową z niedowierzaniem. - Nie chodzi mi o odczyt, tylko właśnie o niego.

- Jedynym miejscem, które mi przychodzi do głowy, jest wnętrze obudowy drzwi - Hansson niezdecydowanie poskrobał się po jasnych włosach - ale to by znaczyło, że spodziewał się ataku, bo coś takiego nie przetrwa normalnego użytkowania, tam jest bardzo mało miejsca, drzwi musiały naruszać go za każdym razem...

- Jeśli wiedział, to dlaczego złapaliśmy go w takim stanie? - mruknął komandor, skrzyżowawszy ręce na piersi.

- Nie mam pojęcia, sir. - Hansson najwyraźniej odebrał słowa dowódcy jako skierowane do niego.

- Złapany szpieg to spalony szpieg - powiedział cicho Morecki. - Może po prostu uznał, że gra jest skończona, i nie chciał dać się wziąć żywcem?

- Czy w tym wypadku nie prościej byłoby umieścić ładunek pod pryczą? - skontrował natychmiast Delanov. - Nie ma wtedy problemu z drzwiami i na pewno nikt go nie zdejmie od zewnątrz.

- Być może wcale nie zamierzał się zabić - zauważyła Lafayette. - To był ładunek kierunkowy, może po prostu nie miał objąć jego, tylko tych, którzy do pomieszczenia wchodzi?

- Pomylił się?

- Albo nie uwzględnił przesunięcia w wyniku ruchu drzwi? Ludzie Ekkerta coś

poruszyli i to wystarczyło, żeby strefa rażenia przemieściła się o kluczowy metr?

- Chyba tym bardziej oznacza to, że nie powinien umieszczać go nad drzwiami, prawda?

Francuzka tylko westchnęła ciężko i powoli pokręciła głową.

- Nie wiem. Może to zupełnie co innego.

- Może jest ich więcej? Albo się pomyliliśmy? - powiedział w końcu Morecki.

Delanov przez chwilę milczał. Męczyła go dokładnie ta sama myśl. Może szpiegów było dwóch? Może partner Vorachka postanowił go poświęcić? Albo - co gorsza - porucznik był niewinny?

- Proszę dać mi znać, jeśli coś wykryjecie - zwrócił się wreszcie do technika i skierował do drzwi. - Pani komandor, poruczniku Morecki?

Trójka oficerów wyszła z pomieszczenia, w którym Hansson po raz sto pierwszy obserwował ostatnie sekundy Ekkerta, jego pięciu ludzi i porucznika Vorachka.

Opuścili już kwaterę sekcji bezpieczeństwa i udali się na spotkanie z admirałem. W głębi ducha Delanov podejrzewał, że Kuerten może być nawet zadowolony z sytuacji. Stracił szóstkę ludzi, ale zginął też szpieg, więc eskadra znów jest bezpieczna. Admirał nie cierpiał niepotrzebnie ryzykować życia swoich podwładnych, ale dowódca „Krakena” musiał przyznać, że wobec wagi nadchodzącej operacji eliminacja zagrożenia była najważniejsza. To on, Delanov, źle się za nią zabrał. Gdyby spróbował jakoś wywabić Vorachka poza kabinę, może jego ludzie nadal by żyli.

- Komandorze? - Lafayette szła tak blisko niego, że doskonale słyszał każde mówione na granicy szeptu słowo.

- Słucham?

- Myślałam trochę o tym nagraniu... - Przygryzła nerwowo wargi. - I mam myśl.

- Jaką?

- Morecki może mieć rację - powiedziała spokojnie. - Najlepiej by było, gdyby aż do skoku w ogóle rozłączyć główną antenę i komunikować się z eskadrą na pomocniczych. Na wszelki wypadek.

EUS „Kraken”, system Sumatra, 25.03.2212 ESD, 12:24 01:06 przed skokiem w przestrzeń Imperium

Poza Lafayette, Kuertenem i Delanovem aż sześciu żołnierzy znajdowało się w doku numer cztery, skąd komandor miała odlecieć do czekającego transportowca. W normalnej sytuacji pewnie wystarczyłoby dwóch, ale ostatnie wydarzenia mocno zmieniły nastawienie komandora do bezpieczeństwa. Szóstka zakutych w bojowe kombinezony wartowników stała

teraz w pewnej odległości od otwartej rampy wahadłowca, nieruchomo niczym posągi.

- Mogę jedynie życzyć powodzenia, admirale - powiedziała Lafayette. - Jeśli ktokolwiek jest w stanie wykonać ten atak, to tylko pan.

- Pani wiara bardzo mnie cieszy. - Kuerten skinął głową.

- Dwa tygodnie skoku metrycznego do celu. - Delanov, pomimo przygnębienia, zmusił się do uśmiechu. - Do zobaczenia za miesiąc, jeśli nadal będzie pani w Breście.

- Zobaczymy - uśmiechnęła się przyjaźnie. - Na pewno będę oczekiwać wieści o sukcesie.

Zasalutowała. Najpierw Delanov, a potem Kuerten powtórzyli gest.

- Bezpiecznej drogi, komandor Lafayette.

- Dziękuję, admirale.

Kobieta opuściła dłoń do boku, a potem obróciła się na pięcie i weszła na rampę wahadłowca. Kilka sekund później wkroczyła na pokład, a pomost zaczął się zamykać. Obaj mężczyźni w milczeniu obserwowali, jak w migotliwym złotym świetle lamp ostrzegawczych maszyna jest przesuwana w stronę śluzy.

- Dobra robota, komandorze - powiedział wreszcie Kuerten.

- To nie było dobre śledztwo, sir.

- Zważywszy na okoliczności, było dobre. - Admirał nie patrzył na podwładnego. - Zawiniłem wyłącznie ja.

- Pan? - Dowódca krążownika spojrział na niego z niedowierzaniem. - W jaki sposób?

- Proszę po prostu mi uwierzyć - odparł wysoki mężczyzna. - A teraz chyba pora wrócić na stanowisko dowodzenia. Mamy skok do wykonania.

- Wie pan, że problem być może wcale nie jest rozwiązany? - spytał Delanov z wahaniem. - Może warto się zastanowić?

- Zastanowiłem się. I jestem gotów zaryzykować.

EUS „Kraken”, system Sumatra, 25.03.2212 ESD, 13:27 00:03 przed skokiem w przestrzeń Imperium

- Szperacz na stanowisku, gotów do synchronizacji - zgłosił Van Dijk z nawigacji.

- „Hegemon” zgłasza gotowość do przyjęcia koordynatów skoku.

- Co z niszczycielami? - Delanov uniósł wzrok znad konsoli.

- Stabilizują pozycje, czekamy na potwierdzenie gotowości, do dwóch minut.

- Doskonale. - Komandor zerknął na wyświetlane na jego ekranie nazwy okrętów i przyporządkowane im zegary. - Eskadra wsparcia?

- „Kadyks” i „Botany Bay” gotowe, reszta eskadry gotowa w ciągu dwóch do sześciu

minut.

- Dziękuję. Łączność, zawiadomić eskadrę o przejściu w tryb lokalny. - Delanov miał cichą nadzieję, że jego rozkaz jest całkowicie niepotrzebny, jednak Lafayette zasiała w jego umyśle ziarno niepokoju. Podwójne, bo jeżeli istotnie ktoś inny zamordował podporucznika Stahla, oznaczało to nie tylko, że szpieg nadal jest na pokładzie, ale też że na pogrzeb czekało siedmiu jego ludzi, z których każdy był lojalny - a wszyscy zginęli z jego, Delanova, winy.

- Obie eskadry potwierdzają gotowość do trybu łączności lokalnej. - Głos łącznościowca wyrwał go z ponurych rozmyślań.

- Wyłączyć główną antenę, uruchomić sieć laserową.

- Wykonuję.

Ekran stanowiska Delanova wyświetlił ostrzeżenie o rozłączeniu głównej sieci łączności „Krakena”. Na moment wysechł potok raportów płynących z okrętów, ale trwało to tylko kilka sekund - przygotowane do działania systemy komunikacji laserowej, krótszego zasięgu, za to bardzo bezpieczne, zaczęły działać. Jeden po drugim kolejne okręty zgłaszały stabilność łącza.

- Sir, sieć łączności lokalnej uruchomiona i sprawdzona. Wszystkie okręty są gotowe do przyjęcia koordynatów skoku.

Dowódca eskadry „Krakena” przez chwilę nie odpowiadał, wpatrzony w wyświetlacz taktyczny. Wreszcie wydobył z kieszeni skafandra niewielki prostopadłościan nośnika danych i umieścił go w gnieździe przy swoim stanowisku. Na monitorze Delanova pojawiła się informacja o wprowadzeniu koordynatów i kilkanaście danych pozycyjnych - system akceptował, że dla większości ludzi pełne dane skoku metrycznego pozostają całkowicie niezrozumiałe. Komandor rzucił na nie okiem i już miał kontynuować, kiedy coś przykuło jego uwagę.

- Sir? - spytał zdezorientowany na prywatnym kanale.

- Komandorze? - Spokojny głos admirała brzmiał tak, jakby to były ćwiczenia, a nie skok w silnie strzeżony system Imperium.

Dowódca krążownika nie służył pod rozkazami Kuertena pierwszy dzień. Nauczył się ufać przełożonemu i wiedział już, że nie zdarza mu się działać bez ważnego powodu. Tym razem jednak nawet on zawahał się na kilka sekund z rękawicą wzniesioną nad przyciskiem przesyłania danych na stanowisko nawigacyjne i do reszty okrętów. Spojrzał na admirała, ale tamten nie powiedział nic. Jego oczy skupione na wyświetlaczu taktycznym wydawały się błyszczeć własnym światłem pod przezroczystym filtrem hełmu.

Nabrał powietrza w płuca, a potem je wypuścił. I wduśił przycisk. W ciągu kilku

sekund zalała go fala potwierdzeń przyjęcia danych, najpierw od „Hegemona” i niszczycieli, potem od transportowców eskadry wsparcia. Kolejne procedury rozpoczynały się i kończyły, jedna po drugiej zbliżając zgrupowanie okrętów do bitwy. Na monitorze stanowiska Delanova pojawił się zegar odliczający czas do skoku.

Dopiero w ostatnich sekundach, kiedy silniki skokowe szły już pełną parą, a stanowisko szperacza zameldowało „T minus sześć” zdobył się na przełączenie komunikatora na prywatny kanał z Kuertenem i zadanie mu jednego pytania:

- Dlaczego?

A potem okręty skoczyły.

Wahadłowiec EUS „Kraken”, system Sumatra, 25.03.2212 ESD, 13:35

Prom zmierzał niespiesznie w stronę pozycji, na której czekał „Obrońca”. Sophie Lafayette przez jakiś czas usiłowała zasnąć, ale nie potrafiła się do tego zmusić. Nie umiała też skupić się na żadnym z widów, które miała w przenośnym odtwarzaczu, więc ostatecznie po prostu siedziała na stanowisku, przyglądając się dwóm osobom stanowiącym przydzieloną jej eskortę i toczącym w drugim końcu przedziału pasażerskiego zacięty pojedynek na niskiej klasy złośliwostki.

Myślała o śledztwie. Analizowała wszystkie kroki, od odkrycia ciała, przez kolejne dyskusje, wyjście w przestrzeń, aż po fatalną w skutkach próbę aresztowania. Powtórzyła w myślach rozmowę z Delanovem, a potem z Kuertenem, cały czas zastanawiając się, co przegapiła. Starła się przypomnieć sobie twarze mijanych ludzi, skupić się na ich reakcjach...

Olśnienie pojawiło się nagle, rozeszło się nieprzyjemnym skurczem od żołądka aż po końcówki włosów. Francuzka zaklęła, czując, jak zasycha jej w gardle. Przez moment uspokajała samą siebie, że przesadza, że doszukuje się całkiem nieprawdopodobnych scenariuszy. Fakty pozostawały jednak bezlitosne. Spojrzała na zegarek i ponownie zaklęła z pasją. Pomyliła się, tak koszmarnie, jak to tylko możliwe. I teraz było już za późno.

6

Teatr

Xinfu, Fushun, system Shuncheng

Xinfu było jednym z miejsc, o których myśli się, mówiąc: „Miasto, które nie zasypia nigdy”. Żyło jednak w zupełnie inny sposób niż Bagno z jego szeptami i iluzjami, z rzadka poprządkanymi wyniosłymi wyspami kombinatów wydobywczych jaśniejących rozmytymi we mgle światłami. Trudno też było je porównać do okrętów czy Brestu, pełnego zapracowanych ludzi, tętniącego technologicznym szumem, mrówczą pracą i czujnością. Pod bladym światłem słońca Fushun, Xinfu żyło pełnią życia, tysiącami reklamowych holo, miriadami świateł, głosów i zapachów rozchodzących się w ciepłym, wilgotnym powietrzu planetarnej jesieni. Tańczyło w narkotycznym transie dziesiątek znanych używek, wносиło modły w świątyniach kilkunastu religii, mamiło błyskotkami w setkach klubów, vidsesji i eroshow. Wnikało do organizmu przez skórę, przynosząc swoją słodycz, ekstatyczne zapomnienie, toksyczność, zmęczenie pracą i pot taniej miłości - ludzkiej, czy jeszcze tańszej w kabinach stymulacyjnych. Dlatego właśnie pierwsze dni na Fushun były dla Wierzby szokiem, przejściem ze świata ciszy w symfonię odgłosów wypełniającą zatłoczone ulice imperialnego miasta. Nie przypuszczał nawet, że tak bardzo odzwyczaił się od centrów cywilizacyjnych. Reagował na każdy odgłos, który wyćwiczony na Bagnie umysł uznawał za potencjalnie niebezpieczny, co w przypadku Xinfu oznaczało - na absolutnie każdy. Spreżał się, kiedy powietrze zmieniało zapach. Kolory i dynamicznie poruszające się światła budziły niepokój. Działał w dużej mierze na prochach, które przewidująco zabrał porucznik Reese.

Ich tymczasową bazę stanowił „Pałac”, jeżeli Wierzba właściwie odcyfrował nieco zbyt jaskrawy ideogram wirujący w powietrzu przed wejściem. Pod szumną nazwą krył się niewielki, tani hotel w zewnętrznej strefie, gdzie miasto miało tylko jeden poziom ciągów transportowych, bo zwyczajnie bardziej opłacało się budować wszcz. Całość stanowiła niewiele ponad korytarz z mikroskopijnymi przedziałami, zaledwie trochę większymi od hibernatorów, a zawierającymi materac, wąską półkę, łącze sieciowe, lampkę oraz szufladę na bagaż. Ściany były częściowo dźwiękoszczelne, ale nie na tyle, żeby pozwalały odciąć się całkowicie - nawet po zamknięciu swojej komory Marcin czuł pulsowanie miejskiego życia.

Zamki w zasuwanych płytach o zmiennej polaryzacji nie korzystały z biometryki. Były to jedne z tych zabytkowych egzemplarzy otwieranych i zamykanych za pomocą karty - rozwiązanie rzadko widywane poza wojskiem, gdzie po prostu zbyt często używa się cudzych sprzętów, a sieci miewają regularne problemy. Samo w sobie przemawiało to za zatrzymaniem się w tanim hotelu, ale nie było jedynym powodem. Drugi z całą pewnością stanowiło towarzystwo, gdyż ani właściciel, ani garstka mieszkających tam najwyraźniej na stałe klientów nie wyglądała na choćby w najmniejszym stopniu zainteresowanych przybyszami. Trudno było odeprzeć wrażenie, iż oni również są w „Pałacu” ze względu na jego relatywną anonimowość.

Bezczynność wykorzystywali różnie. Niektórzy do krótkich wypraw po zewnętrznej strefie, inni na studiowanie map miasta i powtarzanie wiedzy z odpraw. Pozostali po prostu na aklimatyzację. Brisbane nie miał wielkiego szczęścia z oddziałem Carwright - Marcin nie sądził, że są w stanie przejść przez ulicę, nie budząc podejrzeń. Starali się nie rozmawiać za dużo pomiędzy sobą. Nie mógł pozbyć się obawy, że ktoś to podsłucha lub choćby zwróci uwagę w związku z ich odmiennym akcentem i częścią słownictwa linguy.

Po niemal tygodniu zgiełk Xinfu powoli przestał doprowadzać Marcina do szaleństwa, ale nadal był wszechobecny i wyczuwalny. Może kilka lat na Fushun mogłoby coś zmienić, lecz nie kilka dni po tak długim okresie odosobnienia. Polakowi udało się osiągnąć umiejętność ignorowania przelatujących nad głową cywilnych strumieniowców - organizm przyzwyczajony do traktowania każdej nieznanej maszyny latającej jako zagrożenia priorytetowego przez kilka dni wrzeszczał „Uciekaj!” wszystkimi synapsami. Na szczęście z czasem wrażenie zanikało, wkrótce też spróbował odstawić chemię aplikowaną przez Reese'a. Wytłumiony dotąd przez środki medyczne hałas powrócił w zwiększonym natężeniu, ale przynajmniej myśli pozostawały czyste. Miasto powoli zagłuszało w nim odruchy z Bagna. Polak nie wiedział do końca, czy to dobrze, czy źle.

Po dziewięciu dniach pułkownik zaczął wysyłać ich na zewnątrz - w niewielkich, często mieszanych zespołach udawali się bliżej centrum miasta, gdzie rozciągało się ono także w pionie, w kilkupoziomowe mrowisko, a ci, którzy mieszkali najbliżej powierzchni gruntu, rzadko miewali dobry widok na bladą tarczę słońca. Poruszali się w tłumie goniących za swoimi sprawami mieszkańców metropolii, realizując pierwsze wytyczne planu. Porucznik Harris wynajął trzy offroady w małej firmie reklamującej się kolorowym sloganem „Prawdziwa adrenalina!”, widocznym na projekcji nad wejściem do biura. Maszyny nie były okazałe, ale nie potrzebowały podpięcia do szyny transportowej, co pozwalało dotrzeć bez zwracania na siebie uwagi we względnie poblizkich punktów obrony przeciworbitalnej

rozstawionych przez żołnierzy Imperium. Sokole Oko zaproponował próbę wyprawy poza miasto, ale Brisbane nie chciał żadnego zbędnego ryzyka, wyraźnie wierząc w dokładność informacji wywiadowczych.

Na zmianę wielokrotnie pokonywali trasy pomiędzy istotnymi dla misji punktami miasta, aby w momencie rozpoczęcia akcji mogli poruszać się po nich na pamięć. W ciągu następnych dni Wierzba kilkakrotnie zaliczył spacer w okolice kosmoportowego terminala towarowego, za każdym razem docierając na samą granicę strefy bezpieczeństwa. Instalacja nie wyglądała równie widowiskowo jak terminal osobowy, połyskujący licznymi światłami części pasażerskiej. Była właściwie olbrzymim zbiorowiskiem kontenerów poukładanych w nieznanym Polakowi porządku i kilkunastu lądowisk ciężkich wahadłowców. Światła odcinały kolejne sektory idealnie regularną szachownicą ścieżek, którymi od czasu do czasu przemykały kanciaste ciągniki, wlokące za sobą olbrzymie płaskie platformy, puste lub obciążone wielotonowymi kontenerami. Z dużej odległości wyglądały na tak małe jak wojskowe terenówki, ale fałszywą perspektywę natychmiast korygowali ludzie, bez przerwy spacerujący skrajem oświetlonych linii niczym stada mrówek w kolorowych kaskach, wypełniające zaplanowane rozkazy władającej terminalem królowej. Mijając sunące pomiędzy kontenerami ciągniki, byli świadectwem ich rozmiaru - pojazdy wydające się z daleka co najwyżej lekkimi ciężarówkami okazywały się potężnymi ciągnikami siodłowymi, o kołach dwukrotnie przerastających dorosłego mężczyznę.

Byli tu również wartownicy. Według danych Brisbane'a pełen batalion wojska służył wyłącznie do trzymania straży przy kontenerowym mieście. Posterunki nawet się nie ukrywały - Wierzba nie sądził, żeby imperialni żołnierze oczekiwali szturm na podległy im teren - szare i statyczne niknęły po prostu w ogromie i ruchliwości odzianych w kolorowe kombinezony robotników napędzających wypełniony ładunkami krwiobieg terminala. Kiedy jednak człowiek wiedział, co obserwować, mógł zauważyć, że wartownicy bynajmniej nie traktowali swojej służby lekko. Pomimo nikłego prawdopodobieństwa szturm na Fushun kilkusobowe posterunki trwały w gotowości, a rozsyłane regularnie patrole sunęły wzdłuż dróg, wbrew naturalnym prądom terminala rządzących ruchem cywilnych pracowników. Któregoś dnia Hampel włamał się do sieci komunikacyjnej i zdalnie uruchomił jeden z setek czujników rozmieszczonych wzdłuż ogrodzenia - w ciągu paru minut cywilni pracownicy zniknęli, ustępując miejsca szybko narastającej szarozielonej wojskowej fali, a po następnych kilkudziesięciu sekundach nad terminalem pojawiły się pierwsze strumieniowce połączone z ziemią stożkami ostrego światła szperaczy oraz zapewne Bóg wie ilu systemów wizyjnych niezależnych od fal widzialnych.

Xinfu, Fushun, system Shuncheng, 31.03.2212 ESD, 23:40 09:18 czasu lokalnego

Dopiero pięć dni później dostali pierwsze prawdziwe zadanie. Wierzba, Isaksson i Delaviente mieli przeprowadzić majora Hampla w pobliże prywatnej rozgłośni jednej z bardziej undergroundowych redakcji streamów sieciowych. Trudno było to nazwać niebezpieczną misją, jako że mag nawet nie musiał wchodzić do budynku. Wystarczyło, że dostał się w bezpośrednie sąsiedztwo jego połączenia z miejscową siecią. Było to jednak pierwsze zadanie w Xinfu, przy którym realnie przekraczali prawo. Wierzbowski nie sądził, żeby czwórce żołnierzy naprawdę coś groziło, co nie zmieniało jednak faktu, że był mocno zdenerwowany - podczas rzeczywistej akcji o wiele trudniej przychodziło mu uspokojenie wyostrego instynktu.

Budynek rozgłośni w zasadzie stanowił oddzielone piętro jednej z potężnych wież użytkowych, których kilkanaście otaczało centrum miasta w bezpiecznej odległości od głównej iglicy. Znajdował się na trzeciej z sześciu istniejących kondygnacji, wystarczająco daleko od prestiżowego szczytu, by utrzymać reputację w pełni niezależnego. A przynajmniej to sugerowały znalezione w sieci Fushun materiały. Nie był duży, czego zresztą mogli oczekiwać - dwa lub trzy studia i komora obróbki oraz mainframe nie zajmowały wiele miejsca, a utrzymywanie się ze streamów najwyraźniej wymagało pilnowania kosztów. Praktyczne betonowe ściany przykryto czarnymi, połyskliwymi płytami tworzywa, po którym przepływały geometryczne wzory. Tuż obok znajdował się nieduży sklep, którego holograficzna witryna reklamowała jakiś rodzaj towarów sakralnych, oraz nieduży otwarty bar składający się z wychodzącej wprost na ulicę lady i kilkunastu automatów żywieniowych obsługiwanych przez dwóch mężczyzn. Teraz wobec braku klientów obaj byli skoncentrowani na kłótni, której strzępy co prawda docierały do Wierzby, ale pozostawały całkowicie niezrozumiałe.

- Poczekajcie tutaj - Hampel zwrócił się do Polaka i Delaviente - a my pójdziemy sprawdzić punkt dostępowy.

Mag, pomimo cywilnego stroju i pozornej swobody ruchów, wyglądał dziwnie nienaturalnie. Może była to kwestia oczu, zamaskowanych kosmetycznymi nakładkami kryjącymi ich całkowitą czerń, prawie nieruchomych i pozbawionych emocji. Może chodziło o ruchy, które choć rzeczywiście sprawiały wrażenie swobodnych, Wierzbowskiemu wydawały się... ostentacyjne, jakby Czech realizował kolejne punkty podręcznika „Jak nie rzucać się w oczy”. Marcin miał tylko nadzieję, że nikt inny tego nie dostrzeże.

- Zachowujemy spokój i nie wychylamy się, chyba że zrobi się gorąco. - Ubrana w ciemnoszary sportowy strój Delaviente poklepała połą lekkiej kurtki. Nie mieli jeszcze co

prawda swojej broni, ale jednym z pierwszych zakupów, jakich dokonali w Xinfu, był zestaw ozdobnych, lecz dobrze wykonanych noży. Dwa elementy tego zestawu miała teraz towarzyska Marcina, a trzeci Polak niósł w wysokim, modnym bucie o niewiarygodnej liczbie magnetycznych klamer, bardziej dekoracyjnych niż praktycznych. Zdecydowanie lepiej czułyby się z pistoletem, ale niestety broń palna pozostawała całkowicie poza ich zasięgiem, przynajmniej do czasu uzyskania dostępu do sprzętu czekającego spokojnie w terminalu towarowym.

- Tak. - Czech już ruszył w kierunku lady, przyciągając pełne zainteresowania spojrzenia obu dyskutujących mężczyzn. Isaksson tylko mrugnęła wesoło Marcinowi i pobiegła drobnymi krokami za majorem, donośnie narzekając na jakość usług w barach szybkiej obsługi.

- Idziemy do sklepu czy stoimy przy barierce i gapimy się na ludzi? - Polak zwrócił się do Delaviente.

Ta wzruszyła ramionami.

- Rób, co chcesz. Ja zostaję przy barierce. Nie chciałabym, żeby podziwianie tanich statuetek sprawiło, że nie zareaguję w porę.

- Mamy maga przeciwko rozgłośni streamów i to na tyle lekkomyślnej, że ich pracownicy zostawili otwarty port sieciowy z baru - zachnął się Wierzba. - Naprawdę wierzysz, że coś się wydarzy?

- Tym się właśnie różnimy. - Kobieta skrzywiła pogardliwe wargi i obróciła się w stronę platformy prowadzącej do ulicy. - Ja nie zakładam, że wszystko pójdzie dobrze.

- Po prostu nie chcę się rzucać w oczy - mruknął Marcin, poszedł jednak w jej ślady.

- My możemy zwracać na siebie uwagę - zauważyła jadownicę. - To oni mają pozostać niezauważeni. Ale jak chcesz, schowaj się w sklepie, nie będziesz przynajmniej płatał się pod nogami.

- „Esprit de corps” na zwykłym poziomie - burknął Wierzba pod nosem, opierając się o barierkę. Kilka metrów od niego biegł ciąg trzeciego poziomu, czyli czteropasmowa wstęga, po której mknęły sznury pojazdów. Do ludzi przechodzących przy jej bliższej krawędzi miał niewiele ponad kilka metrów, ale miejski szum powodował, że nawet podniesione głosy docierały do uszu szeregowca jako nieartykułowane dźwięki.

- Nie ma „corps”, nie ma „esprit”. - Delaviente stanęła może metr z boku.

- Pewnie, to tylko pomoże. W końcu jest łatwo.

- Byłoby łatwo - ktoś obserwujący ich z odległości kilku metrów mógłby uznać, że prowadzą neutralną rozmowę, ale podchodząc bliżej, zauważyłby malującą się na twarzy

kobiety pogardę - gdybyśmy mieli naszych, a nie gromadę zielonych. Mogliśmy lecieć sami, bez, kurwa, urazy.

- Poskarż się pułkownikowi. - Zirytowany Polak obrócił się w stronę baru. Zarówno mag, jak i Isaksson tkwili przy kontuarze. Nic nie zwiastowało, żeby ktoś miał uwolnić go od towarzystwa smagłej, ciemnookiej Hiszpanki, nawet ładnej, gdyby nie brać pod uwagę jej wyrazu twarzy. - „Proszę pana, a on jest obcy, mogę pójść z kolegą z ławki?”.

- Przynajmniej wiem, że kolega nie zjebie, jak przyjdzie co do czego - warknęła, nadal obserwując przemykające pojazdy. - Operacje Specjalne to nie normalne wojsko na sterydach. Tu każdy musi umieć myśleć samodzielnie, a nie tylko biegać za sierżantem. No i działać z sensem i bez jebanych sentymentów. Ty jesteś nieobliczalny, chujowo wyszkolony i przepełniony romantyzmami w typie „esprit de corps”.

- Wystarczająco dobry dla waszego szefa - rzucił Marcin, nie odwracając się. - Być może uznał, że tym razem umiejętność szybkiego mordowania niemowląt mu się nie przyda.

Sądził, że tym ją sprowokuje, i przez chwilę zdawało się, że faktycznie tak będzie. Delaviente jednak tylko się odwróciła, tym razem opierając się plecami o kompozytową barierkę, omiotła pozornie obojętnym wzrokiem bar, by wreszcie odchylić głowę do tyłu.

- A chuj wie - odpowiedziała. - Mam w dupie, co sądzisz o takich jak ja, ale przynajmniej wykonujemy naszą robotę.

- Och, tego jestem pewien.

Z jakiegoś powodu to zdanie zadziało. Podeszła i pchnęła go lekko, wymuszając kontakt wzrokowy. Ciemne oczy płonęły furia.

- A ty wraz ze swoją moralną wyższością nawet nie wiesz, co to za zadania. Mówicie sobie po prostu coś w rodzaju: „Ale chłopaki mieli szczęście”. Wrogowi nawaliła logistyka i nie dostał artylerii. Dwie kompanie zwiadu leżą w ambulatorium, bo struli się racjami żywnościowymi. Wroga eskadra nie dotarła na pole bitwy - wyliczała, wykrzywiwszy wargi w czymś, co mogło parodiować uśmiech, ale na pewno nie było grymasem świadczącym o wesołości. - Wy, piechocińcy, mówicie na to „szczęście”, ba, nawet kurewska flota tak to nazywa. Ale szczęścia nie ma, Wierzbowski. Jesteśmy tylko my. Nie bawimy się w podchody w błocie z gromadką jankesów, a przynajmniej nie jest to celem samym w sobie. Zmieniamy warunki wojny dla całych jebanych dywizji i mamy ludzi, którzy długo uczą się, żeby pracować przy takich akcjach. I tak, czuję się w chuj pewniej, jak obok mam kogoś od nas. Przynajmniej wiem, że zrobi to, co trzeba.

Marcin nie potrzebował wiedzy psychologicznej, by stwierdzić, że teraz kapral z całą pewnością kwalifikuje się jako „sprowokowana”. Musiał przyznać, że cieszył się z tego. W

ostatnich dniach zdążył mieć powyżej uszu wyniosłego zachowania żołnierzy oesów. W głębi ducha oczywiście wiedział, że pragnienie zmycia z oblicza Delaviente protekcyjnego wyrazu twarzy było małostkowe, w dodatku raczej nie budowało mostów nad przepaściami pomiędzy ludźmi z obu jednostek. Na szczęście w donośnym szumie ulicy ktoś musiałby się nieźle napracować, żeby w ogóle ich podsłuchać - albo używając specjalistycznego sprzętu, śledząc akurat ich, albo z odległości zdecydowanie mniejszej niż te kilkanaście kroków, na które można było niezauważenie podejść do dwójki unijnych żołnierzy. Ryzyko dla misji niewielkie, satysfakcja... cóż, duża. Zimny wybuch Hiszpanki uznał więc za dość bezpieczny - i w pewien sposób przyjemny.

Zupełnie inną rzeczą były jej słowa. Nie wątpił, że Delaviente trochę przesadza, jak każdy, kto mówi o swojej jednostce. Pytanie brzmiało tylko - o ile. Faktem było, że oesy istotnie jednak brały na siebie masę niebezpiecznych zadań, tego im nikt nie odmawiał. Zamiast atakować, zdecydował się więc trochę ustąpić pola - również dlatego, że nie miał pojęcia, co wściekłej Hiszpance może strzelić do głowy.

- To smutne, że musicie pracować z takimi dyletantami - stwierdził tylko - którzy w dodatku uparcie nie dostrzegają waszej zajebistości. Ale niestety, nie macie wyjścia, i o ile w kółko puszycie się swoim profesjonalizmem, to jak dotąd mało go widać, przynajmniej w koordynacji z nami.

- Koordynujemy działania z wami. - Znów obróciła się do niego tyłem, pograżając się w obserwacji sunącego ciągiem transportowym tłumem. - Po prostu korzystamy z faktu, że nie mamy obowiązku się z wami bzykać ani nazywać po was swoich dzieci. Więc obserwuj swoją strefę i odpierdol się ode mnie.

Polak parsknął, ale nie powiedział nic. W gruncie rzeczy można się było tego spodziewać po kimś z oesów - absolutne przekonanie, że inni są osobnikami drugiej kategorii, wydawało się jednym z ich podstawowych założeń. Nie miał zresztą zbyt wiele czasu na kontynuowanie rozmowy - kilka minut później Hampel i Isaksson dokończyli posiłek i wyszli z baru, udając się do wyznaczonego punktu w połowie drogi do „Pałacu”. Marcin i Delaviente w milczeniu odczekali, aż nieco się oddalą, a potem ruszyli za nimi.

IS „Smaragd”, wysoka orbita Fushun, system Shuncheng, 1.04.2212 ESD, 12:45

- Jest pani pewna? - Liao Tzu spojrział na wyświetlony raport po raz trzeci w trakcie krótkiej rozmowy, próbując przejrzeć zachowanie unijnych komandosów.

- Poruszają się po zewnętrznej części Xinfu. Jak dotąd wynajęli pojazdy, ale niewiele więcej zrobili. Niedawno wysłali pododdział na poziom trzeci, sektor A-2. Monitorujemy go, bo jest tam ich jedyny mag - potwierdziła odległa o kilkaset jednostek Mei Lin. Na jej

widocznej na hologramie twarzy malowała się satysfakcja. Pułkownik Lin bardzo lubiła kontrolować sytuację.

- Kontaktowali się z jakąś miejscową komórką?

- Nie wiemy, admirale - odparła. - Dopiero opuścili rejon, a moi ludzie nie chcieli ich płoszyć. Mag i jeszcze jedna osoba zjedli posiłek w miejscowym barze, pozostała dwójka prawdopodobnie ich obstawiała.

- Maga nie posyła się w teren po prostu na posiłek, chyba że Unia nagle zmieniła zwyczaje... - Tzu zmarszczył brwi. - Mogli z kimś się komunikować?

- Nie korzystali z terminala, a zwykły monitoring sieci nic nie wychwytał. - Lin starała się utrzymać spokojny ton, ale dało się w nim wychwycić lekkie nuty zawodu. - Jednocześnie musimy pamiętać, że mamy do czynienia z magiem, więc nigdy nic nie wiadomo. Gdy tylko wyszedł z baru, nasi specjaliści zaczęli sprawdzać tamtejsze łącza. Jeśli coś tam robił, będziemy wiedzieć.

- Co z ich sprzętem?

- Nasi ludzie obejrzeni kontener, pełna zawartość jest w raporcie. Broń, środki medyczne, sporo materiałów wybuchowych. Kilka lekkich wyrzutni, zestawy łącznościowe, trochę elektroniki, właśnie bierzemy się za analizę. Sporo podrobionych dokumentów i kilka biletów na cywilne loty pasażerskie, prawdopodobnie jako metoda awaryjnej ewakuacji. Nic niespodziewanego. Sprawdzamy każdą rzecz jeszcze raz, żeby nie było niespodzianek.

- Mam pełne przekonanie, że pani nie zawiedzie. - Tzu w namyśle potarł dłonią podbródek. - Jakież informacje z drugiej strony frontu?

- Na razie cisza, admirale - odpowiedziała natychmiast. - Nasz kurier jeszcze nie dotarł z wiadomościami.

- Proszę mi dać znać, kiedy tylko będzie pani cokolwiek wiedzieć w tej materii. - Liao przywołał na drugi wyświetlacz trójwymiarową mapę Xinfu. Obrócił hologram i powiększył obraz, by obejrzeć wspomniany sektor A-2. - Chcę wiedzieć, kiedy będziemy mogli zamknąć całą sprawę.

- Tak jest.

- Proszę też informować mnie o ich działaniach i póki co nie ryzykować wykrycia. Mają być przekonani, że wszystko idzie zgodnie z planem.

- Według rozkazu. - Zasalutowała w ten charakterystyczny sposób, w jaki zwykle salutują wysocy oficerowie wywiadu. Jakby robili grzeczność, że trzymają się protokołu.

- Doskonale. Dziękuję. - Liao Tzu odpowiedział salutem i przerwał połączenie.

Przez chwilę przyglądał się jeszcze holograficznej mapie Xinfu. Wiele by dał za

możliwość poznania dokładnych zamiarów unijnego dowódcy. Zdawał sobie oczywiście sprawę, że jest bardzo blisko idealnej sytuacji - dokładnie wiedział, gdzie szukać wrogiego oddziału, ludzie Mei Lin otaczali ich ze wszystkich stron i w zasadzie był w stanie przerwać ich akcję w dowolnym momencie. Jeden rozkaz i zmartwienie zniknie.

Niestety, miał świadomość, że takiego rozkazu zwyczajnie nie może wydać. Nie ze względu na potencjalne problemy z Radą Dowódców - był przekonany, że nikt nawet palcem nie kiwnie, by mu zaszkodzić. Powiedziałby, że wykrył oddział wroga i przechwycił go, a chyba żaden z członków Rady nie mógł wymagać od niego więcej. Istniał jednak jeszcze inny rodzaj odpowiedzialności - wobec Imperium i Cesarza, a także własnej obowiązkowości. Zlikwidowanie tych komandosów da mu chwilową ulgę. Pozostawienie ich przy życiu oznacza szansę na wyeliminowanie wrogiej eskadry liniowej i zredukowanie unijnych sił, które mogą zagrozić granicy Liaoning. Tak naprawdę wybór był więc jedynie iluzją.

Sięgał właśnie po czarę herbaty, która podczas rozmowy z Lin zdążyła wystygnąć, kiedy zadźwięczał interkom. Dźwięk kilkunastu wietrznych dzwonków, normalnie przyjemny, teraz go irytował - może ze względu na to, że doskonale wiedział, co oznacza. Sięgnął do przycisku otwarcia połączenia.

- Admirale Liao Tzu. - Twarz specjalnej wysłanniczki Cesarza przypominała porcelanową maskę, perfekcyjną i bezduszną.

- Pani Yong Zhuang. - Pochylił lekko głowę w formalnym powitaniu. - Czemu zawdzięczam zaszczyt rozmowy?

- Oczekuję pana w swojej kabinie - odparła kobieta, jakimś cudem robiąc to niemal bez drgnienia twarzy. - Teraz.

- Sługa Cesarza z radością spotka się z Jego głosem - powiedział, choć do radości było mu daleko. Przeklął duchy, które podsunęły specjalnej wysłanniczce pomysł na przeniesienie się na jego okręt i rezygnację z pozostania w komfortowej instalacji stoczni remontowej Changbai. Kiedy bowiem zażądała gościny, nie można było jej odmówić i teraz cała kadra miała niezwykle zaszczyt i o wiele bardziej wątpliwą przyjemność obcowania z Yong Zhuang każdego dnia. Po niezliczonych spotkaniach z kobietą wypełnionych przede wszystkim dyplomatycznymi grami admirałowi zwyczajnie brakowało czasu na wysłuchiwanie zawołanych kąśliwych uwag po raz kolejny.

- Doskonale. - Wargi wysłanniczki drgnęły o kilka milimetrów, co zapewne miało być uprzejmym uśmiechem, a potem kobieta przerwała połączenie.

Pozwolił sobie na ciche westchnienie. „Oczekuję teraz” sugerowało, że powinien rzucić wszystko i pójść na spotkanie natychmiast - żądanie, którego mógł się spodziewać po

Yong Zhuang, niepozostawiającej cienia wątpliwości, że zamierza w pełni korzystać z przysługujących jej przywilejów.

Liao Tzu wylał chłodną herbatę, sięgnął po imbryk i napełnił czarkę świeżym napojem. Pięć minut, nie więcej, zajmie jej wypicie. Potem uda się na spotkanie, co pozwoli mu jednocześnie nie złamać protokołu oraz zwrócić Yong Zhuang uwagę na to, że admirałami Floty Imperialnej nie można ot tak sobie komenderować.

I przy okazji napije się herbaty, co stanowiło wartość samą w sobie. Mężczyzna powoli przysunął filiżankę do ust i spojrzał ponad nią na rozłożoną na stoliku planszę. Białe i czarne kamienie nadal leżały dokładnie w tej pozycji, w jakiej je umieścił po powrocie z Zakazanego Miasta. I wciąż pozostawały zagadką.

Nie mógł się nadziwić temu, co służba Yong Zhuang zrobiła z kajutą oficerską na „Smaragdzie”. Liao Tzu czuł się oszołomiony za każdym razem, kiedy przekraczał próg pomieszczenia, które przecież świetnie pamiętał i znał - a jednak nie potrafił go rozpoznać. Tak też stało się i tym razem - kiedy dwóch ubranych w czarne mundury wartowników w milczeniu otworzyło przed nim drzwi, znów był o włos od zmylenia kroku, wchodząc w wypełniony delikatną muzyką dzwonek świat jakby wycięty z zupełnie innego miejsca i przeniesiony na boleśnie funkcjonalny pokład pancernika. Gdzieś zniknęła ciasnota, a praktyczny jasnoszary kolor ścian został zakryty przez jaskrawoczerwone, zdobione złotem draperie. Po obu stronach drzwi ustawiono niewielkie kwietniki, w których kwitły genetycznie modyfikowane kwiaty pomarańczy, a całą jedną ścianę zajmował ekran ukazujący nocny widok na Zakazane Miasto. Pośród tego przepychu na wysokim krześle rzeźbionym w smoki siedziała Yong Zhuang, specjalna wysłanniczka Niebiańskiego Smoka, majestatyczna w czerwonej szacie haftowanej w żurawie i z długimi złotymi wstęgami opadającymi z włosów związanych w bliźniacze koki. Z nieruchomą, perfekcyjnie urodziwą twarzą wydawała się istotą całkowicie nieludzką, a wrażenie dodatkowo potęgowały pozbawione białek, czarne oczy - oznaka wszczepionego kobiecie neurozłącza. Dwie drobne dziewczyny odziane w mniej okazałe, ale wciąż zdecydowanie dworskie szaty stały po obu stronach siedziska, nieruchome niczym kamienne posągi.

- Admirale - cichy głos zabrzmiał jednocześnie w całym pomieszczeniu. Co prawda, za którymś kolejnym razem ten efekt nie zaskakiwał, ale nadal robił wrażenie.

- Pani Yong Zhuang. - Pochylił głowę, w myślach odliczając upływające sekundy. Pierwsza, druga, trzecia...

- Me serce raduje się, kiedy widzę sługę Niebiańskiego Smoka, który tak ochoczo przybywa na wezwanie - powiedziała cicho, ale nie pozwoliła mu podnieść głowy. Musiała

być zirytowana jego opóźnieniem. Albo po prostu małostkowa. Liao Tzu nie był pewien.

- Wszyscy żyjemy po to, by służyć.

Minęła dziesiąta i jedenasta sekunda. Mężczyzna był bliski wyprostowania się bez jej zezwolenia, ale w ten sposób zwyczajnie oddałby zwycięstwo wysłanniczce, co zresztą zapewne było jej celem.

- Ach, admirale, proszę mi wybaczyć, zamyśliłam się - głos kobiety wzniósł się o kilka tonów w demonstracyjnej trosce. - Unieś głowę, rozmawiajmy jak równy z równym.

- Skromny żołnierz nigdy nie będzie równy wysłanniczce Niebiańskiego Smoka. - Miał nadzieję, że udało mu się przybrać wystarczająco pełen szacunku wyraz twarzy, zanim wyprostował się na tyle, by kobieta mogła go zobaczyć. - W czym mogę być pomocny?

- Bardzo pragnęłam porozmawiać na temat sytuacji w systemie. - Yong Zhuang ledwo dostrzegalnie dała znak dłonią i obie dziewczyny bez słowa wyszły z pomieszczenia. Żadna z nich nie uniosła wzroku, by spojrzeć na admirała. Dworskie reguły pozostawały bezlitosne dla służby - oraz, oczywiście dla tych, którzy za nią się podawali. Tzu był przekonany, że żadna z dwóch kobiet nie była służką, a raczej nie tylko nią. Wysłannicy cesarza podróżowali ze Słowikami - specjalnie szkolonymi pomocnikami. Biegłymi w etykiecie, językach i ceremoniale. Oraz prawdopodobnie również w infiltracji, zabójstwach i obsłudze wojskowego sprzętu.

- Sytuacja w systemie jest nader spokojna - powiedział Liao, kiedy za wychodzącymi kobietami zamknęły się drzwi. - Raporty od pozostałych eskadr również nie budzą podejrzeń. Liaoning trwa w ciszy z szacunku do wysłanniczki Cesarza.

- Jego potęga promienieje nawet poprzez tak nędzne naczynie jak ja i zmusza słabą Unię do osłaniania oczu. - Przez ułamek sekundy zdawało mu się, że wyczuwa ironiczne nuty w głosie kobiety. - Co jednak płynnie prowadzi mnie w stronę tematu, o którym chciałam powiedzieć z tobą, admirale. Chodzi mi mianowicie o nieproszonych gości na Fushun.

Utrzymanie niezmienionego wyrazu twarzy kosztowało Liao bardzo wiele. Jakim cudem dowiedziała się o unijnych komandosach? Przecież specjalnie nakazał załodze zachowanie ostrożności wobec kobiet pozujących na jej służki. Co jeszcze wiedziała? I czy zamierzała się wtrącać, czy też była to po prostu demonstracja siły?

- Nie miałem pojęcia, że na Fushun znajdują się jacyś nieproszeni goście - powiedział wreszcie, starając się wyłapać jakiegokolwiek wskazówki w nieruchomych oczach Yong Zhuang. Bezskutecznie.

- Czy mam przyjąć, że tak wybitny dowódca jak Liao Tzu nie rozumie przekazywanych mu przez wywiad meldunków, czy też po prostu usiłuje zataić prawdę przed

wysłanniczką Niebiańskiego Smoka?

Admirał pozwolił sobie na sekundę milczenia, dość naturalną wobec tak ostrego ataku. Nadal nie wiedział nic, może poza tym, że kobieta najwyraźniej skracała naturalną dworską grę. Więc albo rzeczywiście chciała się wtrącić, albo przynajmniej będzie to nader krótka demonstracja siły. Yong Zhuang musiała czuć się pewnie, żeby wyprowadzić takie uderzenie - ale on był na nie gotowy.

- Można również rozważyć fakt, że goście wcale nie byli nieproszeni - powiedział spokojnie. Kobieta uniosła brew i wbiła w rozmówcę wyczekujące spojrzenie. Wypielegnowana dłoń poruszyła się odrobinę w geście zachęty.

Czyli nie wiedziała, skonstratował Tzu. Naprawdę czekała na dane - to mogło oznaczać, że dotarli do niej jakieś strzępy informacji i postanowiła go skonfrontować, zobaczyć, co ugra.

- Osoby, które mogą jawić się jako niepożądane, w istocie mają stać się narzędziem zwycięstwa wojowników Cesarza - wyjaśnił, starając się opanować poczucie satysfakcji z powodu bycia o krok przed przeciwniczką. Zdawał sobie sprawę, że w takim momencie pycha może sprawić, iż straci czujność, a to mogło kosztować go przewagę. W pojedynku ze specjalną wysłanniczką nie mógł sobie pozwolić na dekoncentrację.

Tymczasem Yong Zhuang zamiast przejść do ataku, złożyła broń.

- Zdaję sobie sprawę, iż poznałam naturę wojny dalece mniej niż wojownicy Niebiańskiego Smoka - powiedziała cichym głosem. - Zechcesz mi, admirale, wytłumaczyć, w jaki sposób wróg może stać się narzędziem naszego zwycięstwa?

Nadal trwała majestatycznie w swoim siedzisku, ale jakby straciła na chwilę władczą aurę. I właśnie to uruchomiło w głowie Liao Tzu wszystkie dzwonki alarmowe. Szybko przemyślał możliwe koleje rozmowy. Prawdopodobnie zostanie zmuszony do wprowadzenia kobiety w szczegóły operacji - nie będzie się tego dało zrobić bez jawnej odmowy, do której formalnie nie miał powodów. Ale gra dotyczyła informacji, które będzie musiał poddać. Mógł spokojnie manipulować szczegółami oraz - dzięki nieoczekiwanemu prezentowi w postaci deklaracji niekompetencji w rzemiośle wojennym - odmówić przyjmowania rad. O to ostatnie w gruncie rzeczy mu chodziło - nie istniało nic gorszego niż przybysz nagle przejmujący dowodzenie.

Ale były to oczywiste następstwa, więc kobieta musiała zdawać sobie z nich sprawę. Co zatem kryło się za jej słowami?

- Unijni żołnierze to zwiad, który wie dzie swoich towarzyszy w zasadzkę - powiedział ostrożnie. - Dopóki porusza się pewnie i wysyła wieści o naszym nieprzygotowaniu, wróg z

radością uderzy i zastanie zwarte szeregi obrońców Imperium. Ale jeśli go spłoszymy, Unia zwęszy podstęp.

- Podziwiam pańską wiedzę na temat zamysłów przeciwnika - jej głos wyrażał autentyczne uznanie, więc Liao był pewien, że tylko grała. Albo wiedziała już wcześniej, albo szykowała się do uderzenia. - Jakże wróg może zagrozić Imperium strzeżonemu przez takich wojowników?

- Dziękuję ci, pani, za te słowa - spróbował zakończyć rozmowę. - Czy zatem zaspokoilem ciekawość głosu Niebiańskiego Smoka?

- Jestem szalenie ciekawa, skąd pochodzi tak wnikliwe rozpoznanie wroga - tym razem Yong Zhuang uśmiechnęła się z wystudiowanym zaciekawieniem - oraz pewnością zwycięstwa.

- Cesarz błogosławi nas doskonałym wywiadem. To jego bystre umysły przejrzały nieprzyjacielski fortel i to on jest architektem naszej przewagi. - Umyślnie nie użył słowa „zwycięstwo”. Liao Tzu służył od lat i doskonale zdawał sobie sprawę, że radość może być przedwczesna. Przeniesienie zasług na wywiad wydawało się bezpieczne - Mei Lin była wiele jednostek dalej i specjalna wysłanniczka nie mogła zbyt łatwo skomplikować jej pracy.

- Bardzo się cieszę, że służby tak doskonale współpracują - powiedziała kobieta, przyglądając się rozmówcy czarnymi oczyma. - Byłabym wdzięczna, gdybyś mnie, admirale, informował o wszelkich postępach w sprawie. Niebiański Smok będzie z pewnością chciał wiedzieć, jak jego wojownicy niszczą wrogów Imperium.

- Poczynię starania, by przynosić każdą nową wiadomość osobiście. - Skłonił się lekko, nie spuszczać jednak z Yong Zhuang oczu. Fakt, właśnie utrudnił sobie nieco życie, ale przynajmniej pozbawił ją oficjalnego powodu do samodzielnego poszukiwania danych.

- Te słowa budzą mą radość - odparła, choć w jej zachowaniu nawet najdrobniejszy gest nie wskazywał na zadowolenie. - Tymczasem jednak ze smutkiem zauważam, że oderwałam cię od twych obowiązków, admirale. Jest mi niepomierne przykro z tego powodu i liczę, że jeżeli nie będę zatrzymywać cię dłużej, wybaczysz mi ten nietakt.

- Głos Cesarza nie popełnia nietaktów, pani - odparł kurtuazyjnie. Czyżby więc o to jej chodziło? Trzymanie ręki na pulsie operacji bez konieczności wykradania danych? - Tym niemniej oddał się niezwłocznie, by swoim widokiem nie budzić płynącej z serca, nawet jeżeli całkowicie zbędnej, troski.

- To bardzo uprzejme z twojej strony, admirale. - Spojrzała na niego znacząco, więc skłonił głowę. Tym razem jej ukłon nastąpił natychmiast. Minutę później Liao Tzu szedł już szybkim krokiem na pomost bojowy, zastanawiając się nad drugim i trzecim dnem wezwania.

Gęsta, pachnąca pomarańczą i intrygą atmosfera kajuty Yong Zhuang zostawała powoli z tyłu. Tylko niepokój na stałe zagościł w umyśle admirała.

Terminal towarowy kosmoportu, Xinfu, Fushun, system Shuncheng, 3.04.2212 ESD, 20:18

17:56 czasu lokalnego

Choć blade słońce zachodziło tutaj już o czwartej po południu dwudziestogodzinnej doby Fushun, w terminalu towarowym kosmoportu było jasno jak w dzień - i podobnie ruchliwie. Ponad trzysta osób pracowało na wieczornej zmianie, zawiadując nieustannym ruchem ładunku, który składał się przede wszystkim z rafinowanej rudy caellium, głównego bogactwa Fushun, z powodu której planeta była ważnym celem strategicznym. Masywne kontenery oznaczone siedmioramienną gwiazdą dowożono wprost z odległej o niemal dwieście kilometrów od miasta rafinerii i zajmowały one ponad trzy czwarte powierzchni strefy. Tu czekały na załadunek na ciężkie promy i przetransportowanie na frachtowce, które następnie dostarczały surowiec w głąb Imperium. Kiedy Wierzbowski pierwszy raz usłyszał o tej procedurze, wydała mu się bardzo niepraktyczna - nie widział żadnego powodu, dla którego rafineria miałaby nie posiadać własnego lądowiska dla wahadłowców i unikać niewygodnego transportu i oczekiwania w Xinfu. Sprawa wyjaśniła się później podczas analizy zasad ruchu powietrznego nad Fushun - jak się okazało, wokół rafinerii znajdowała się ponadstukilometrowa strefa zakazu lotów. Chińczycy najwidoczniej bardzo nie chcieli ryzykować uszkodzenia instalacji, na tyle, że godzili się na wożenie dość niestabilnego ładunku transportem naziemnym. Nie wróżyło to dobrze komukolwiek, kto chciałby się dostać w pobliże kompleksu.

Grupy Brisbane'a ruda nie obchodziła ani trochę. Od trzech dni na zmiany obserwowali stanowisko zajmowane przez pojedynczy kontener przywieziony z pokładu „Wpatzonego w strumień”. Nie po to, żeby poznać oficjalny rozkład zajęć robotników, bo ten major Hampel wyprowadził z mainframe'u administracji przedwczoraj. Chcieli wyczuć rytm pracy ludzkiego zbiorowiska, zobaczyć, jak pracownicy lubią sobie skracać drogę, gdzie najczęściej rozmawiają i zatrzymują się, żeby ukraść kilka chwil na papierosa w miejscu niewidocznym dla przełożonych. Teraz, po sześćdziesięciu godzinach, mogli z dużą dokładnością określić, kto i kiedy interesuje się ich ładunkiem - choć oczywiście nie zmieniało to faktu, że aby dostać się do przemyconej na planetę broni, należało fizycznie zbliżyć się do kontenera.

Marcin Wierzbowski po raz kolejny przetasował talię kart i oparł się o otwarte drzwi granatowego offroada nieznanego mu marki Taifeng. Wypożyczona maszyna prezentowała się

całkiem nieźle jako wóz administracji. Co prawda, na razie na boku widniał biały numer, a jej maskę zdobił malunek przedstawiający wznoszący się zielonkawy grzywacz fali, ale sprawdził już w komputerze pokładowym i jednolity granat również był w opcjach aktywnego lakieru. Teraz pozostawało czekać na sygnał.

Obejrzał wierzchnią kartę, która, jeśli dobrze pamiętał tasowanie, miała być siódmką pik - i istotnie nią była. Uśmiechnął się krzywo do siebie i schował talię do kieszeni, sięgając jednocześnie po leżącą na siedzeniu pasażera lornetkę - dobry, turystyczny model. Nie tak dobry jak wojskowe, ale teraz aż nadto wystarczający - taifeng był zaparkowany niedaleko strefy bezpieczeństwa, może kilometr w linii prostej od ogrodzenia składu.

- I co, wygrałeś? - Delaviente, która sprawiała wrażenie przysypiającej na miejscu kierowcy, otworzyła jedno oko i uśmiechnęła się niemiło. W szarych ciuchach wojskowego kroju zdobytych w jednym z setek małych sklepików mogła od uchodzić za pracownicę służb ochrony kosmoportu. Obrazu dopełniał pas z kaburą, w której spoczywała dokładna replika pistoletu, oraz druga, kryjąca jak najbardziej funkcjonalny paralizator.

- Tak - odparł krótko, przysuwając lornetkę do oczu. Nie miał ochoty na dyskusje z Hiszpanką.

- Hej, w czymś jesteście dobrzy - parsknęła.

- To fakt. - Wierzba przesunął wzrokiem wzdłuż ogrodzenia składu. Pewnie jeśliby wystarczająco dobrze poszukał, mógłby znaleźć Bryce'a i Isaksson na pozycji przy przekaźniku, ale nie za nimi się rozglądał. Na ekranie lornetki pojawił się wpół zasłonięty kontener o numerze bocznym 00-506. Na pozór nie różnił się niczym od pozostałych, które przywiózł frachtowiec - zarówno oznaczenia, jak i dokumentacja zgodnie twierdziły, że zawiera urobek jednej z kopalń pasa asteroidów Baity. Gdyby ktoś jednak zadał sobie trud zajrzenia do wnętrza, odkryłby z zaskoczeniem skład broni, materiałów wybuchowych i sprzętu technicznego, czyli komplet przedmiotów, które uznano za niezbędne dla przeprowadzenia operacji.

- Może uda się wygrać z nimi ten kontener - w głosie kobiety pobrzmiwały prowokacyjne tony i Wierzba po raz kolejny tego wieczora przeklął w duchu, że nie przydzielono mu kogoś z jego własnego oddziału albo chociaż innego oesa. Pozostali zdawali się bardziej trzymać własną niechęć na wodzy.

- Może - mruknął.

- W końcu nie bylibyście... - zaczęła Delaviente, ale urwała równo z charakterystycznym trzaskiem otwieranego połączenia, który rozległ się w ukrytej w prawym uchu Wierzby mikrośluchawce. Dwójka żołnierzy w jednoczesnym odruchu sięgnęła do

urządzeń.

- Tu Jedyńka - usłyszeli przyciszony głos Cartwright. - Faza pierwsza zaliczona, możecie ruszać.

- Tu Trójka, przyjęliśmy, ruszamy na miejsce spotkania - odpowiedziała Delaviente, jednocześnie uruchamiając zapłon. Silnik offroada zareagował cichym świstem aktywowanego ogniwa. - Wskakuj, pora na pracę.

Wierzba usiadł na miejscu pasażera i trzasnął drzwiami. W słuchawce brzmiały meldunki pozostałych dotyczące wyruszenia z pozycji wyjściowych - najpierw pułkownika Brisbane'a, potem Sokolego Oka, wreszcie Harrisa. Starał się wypatrzyć pozostałe dwa taifengi, którymi mieli wjeżdżać na teren składu, ale te jeszcze nie wyrwały się ze wstęgi głównego ciągu komunikacyjnego Xinfu. Podobnie zresztą jak zdobyta przez Weissa, Cartwright i psychologa Reese'a ciężarówka administracji lotniska. Stanowiła ona jeden z kluczowych elementów planu. Zespół Brisbane'a potrzebował sprzętu, przy użyciu którego mogli przeprowadzić prawdziwą kontrolę. Nie zdołaliby przecież zająć się tylko numerem 00-506 bez wzbudzania solidnych podejrzeń, zwłaszcza że zwykła inspekcja obejmowała około dwudziestu kontenerów. Sprzęt techniczny wykorzystywany do tych zadań trudno było zdobyć, więc Brisbane zdecydował, że najprościej będzie go po prostu ukraść - a potem zwrócić, zanim ktokolwiek się zorientuje. W rękach porucznika Reese'a pozostawało utrzymanie zawiadujących nią techników w nieświadomości wystarczająco długo.

- Pamiętaj o skasowaniu ozdóbek. - Marcin wskazał Hiszpance nadal widoczny na masce grzywacz.

- Nie bój się, chłopcze, wiem, co robię - odpowiedziała, ale jednocześnie zmieniała ustawienia wizualne offroada i malunek zniknął, zastąpiony przez neutralny granat. - Ty się lepiej martw, żebyś nam nic nie schrzanił.

Wierzba wywrócił oczami, ale nie skomentował - nie miał teraz do tego głowy. Za przednią szybą taifenga był już w stanie aż nazbyt dokładnie zobaczyć oświetlony fragment drogi dojazdowej, a na jej końcu bramę składu towarowego. Według informacji z odprawy, posterunek strzegący głównego wejścia do składu posiadał absolutnie wszelkie wyposażenie konieczne, żeby w nieprzyjemnie krótkim czasie zamienić nieopancerzone taifengi w podziurawione jak rzeszota wraki. Instynkt samozachowawczy Polaka zgłaszał masę obiekcji wobec pakowania się w pobliże posterunku bez broni, ale Marcin jako żołnierz przywykł do działania wbrew jego dobrym radom. Co więcej, powtarzany dziesiątki razy plan operacji sugerował, że to się raczej nie zmieni.

Na miejscu spotkania zjawili się pierwsi. Dopiero po kilku minutach na niewielki,

skapany w barwnych światłach holoreklam parking przy nocnym klubie „Venus” dotarła prowadzona przez Weissą ciężarówka i dwa pozostałe offroady zespołu.

- Trójka, gotowi - rzuciła Delaviente do komlinka, po czym z westchnieniem zamieniła standardową słuchawkę na ledwo widoczny microcom. - Masz jeszcze szansę wziąć nogi za pas, Wierzbowski.

Polak nie zareagował na zaczepkę, wymieniając własny zestaw łączności. Nie przepadał za microcomem, zarówno ze względu na wygodę, jak i ogólną jakość - cywilna wersja, którą mogli legalnie kupić, celowała w wadach konstrukcyjnych - ale nie zamierzał komentować zmiany, zwłaszcza że Hiszpanka wyraźnie tylko czekała na okazję do kłótni.

- Szyk według planu, od przekroczenia bramy łączność tylko w sytuacjach alarmowych - zabrzmiał Wierzbie w uchu głos Brisbane'a z prowadzącego taifenga. - Powodzenia.

- Trójka, przyjęliśmy. - Kapral odpaliła silnik, nie czekając na potwierdzenia od pozostałych grup. Obróciła się do Wierzbowskiego i posłała mu krzywy uśmiech. - Teraz zobaczysz, na czym polega praca, chłopcze. Nie spierdol tego.

- Postaram się pamiętać tę cenną radę od koleżanki z oddziału - burknął Polak, obserwując, jak wozy ustawiają się w kolumnę. - Cieszę się, że złożony trening oesów pozwala wypracować tak wysokie zdolności przywódcze.

- Nie marnuję ich na beznadziejne przypadki - odgryzła się. - Co gorsza, i tak wiem, że nawet ta prosta wskazówka nie pomoże.

Wierzbowski nie odpowiedział, częściowo dlatego, że nie chciał wdawać się w nieskończone dyskusje z agresywną Delaviente, a z drugiej strony, obawiał się, iż kobieta może mieć rację - tego rodzaju operacje były dla niego czymś z zupełnie innego świata i on, szkolony do walki na froncie, zwyczajnie nie miał do nich wyczucia. A cena za pomyłkę mogła być wysoka.

Cztery pojazdy - trzy granatowe offroady i ciężarówka z oznaczeniami służby lotniska - podjechały pod stanowisko wartownicze składu towarowego i zatrzymały się na wyznaczonych do kontroli miejscach. Dwójka wartowników, niski, grubawy blondyn i wysoki na prawie dwa metry groteskowo chudy murzyn, wyraźnie nie spodziewała się kłopotów, bo podeszła uzbrojona tylko w zapiętą w kaburach broń. Zresztą jaki szaleniak chciałby sprawiać kłopoty w tak dobrze strzeżonym miejscu?

Wierzbowski starał się przekonująco symulować znudzenie, podczas gdy wewnątrz szalał z nerwów. Istniała masa rzeczy, które mogły pójść nie tak. Dyżurny zmiany mógł znać osobiście każdego z inspektorów i nabrać podejrzeń wobec Brisbane'a. Mógł też zwyczajnie

mieć zły dzień i odmówić pozwolenia na inspekcję albo wysłać gońca na lotnisko, zamiast po prostu tam zadzwonić - miał to w końcu wpisane w regulaminie, który cały oddział ostatnio powtarzał.

Ktoś mógł namierzyć Hampla wpiętego w sieć komunikacyjną i zmusić go do ucieczki lub, co gorsza, schwycić. Bez jego wsparcia cała akcja już tylko czekałaby na katastrofę. Opracowane prognozy ruchu przy kontenerze 00-506 mogły być złe albo po prostu mogli mieć pecha i trafić na kogoś, kto oleje przepisy i będzie chciał patrzeć fałszywym inspektorom na ręce. Wreszcie mogli coś zwyczajnie pominąć - jakiś system bezpieczeństwa, obserwatora, wartownika z obsesją... Wierzba lubił prostotę. Nieskomplikowane plany miały mało punktów, w których mogły się posypać. Najwyraźniej jednak Dowództwo Operacji Specjalnych preferowało inne rozwiązania.

Tymczasem jednak wszystko szło jak z płatka. Niższy z wartowników podszedł do prowadzącego taifenga Brisbane'a, zamienił kilka słów z pułkownikiem i przesunął podaną przepustkę przez czytnik. Po krótkiej chwili, wyraźnie usatysfakcjonowany, zwrócił dokument i cofnął się o krok, machając na stojące pojazdy. Kompozytowa płyta bramy powoli wsunęła się w drogę, otwierając przejazd ku przysadzistym zabudowaniom administracyjnym.

- No, to teraz już z górki. - Delaviente uśmiechnęła się radośnie.

- Teraz chyba dopiero się zaczyna, nie? - Marcin spojrzał z niepokojem na mijane stanowisko i znużonych wartowników. Jednocześnie nie mógł nie zauważyć żółtoczarnych kręgów na kompozytowej płycie podjazdu, znaczących pokrywy gniazd kaemów.

- Wiesz... - Kapral wyraźnie szykowała się do kolejnej złośliwości, ale nagle wyhamowała. Przez chwilę milczała, a potem podjęła oschłym i nieprzyjemnym tonem: - Kiedy jesteś wewnątrz systemu, wszyscy zakładają, że masz do tego prawo. Dużo więcej ci ujdzie.

Polak odczekał kilka sekund, lecz przytyk nie nadchodził.

- Aha. Rozumiem. - Przesunął wzrokiem po mijającej ich grupie robotników w jaskrawych kombinezonach roboczych i zielonych kaskach. - Będę wiedział.

- Właśnie o to chodzi, nie będziesz - parsknęła, ale raczej z rezygnacją niż złośliwością. - Wiedzieć to jedno. Masz to czuć, zachowywać się, jakbyś miał tu być. Tego nie ogarniesz podczas szybkiego kursu.

- Teraz muszę pracować z tym, co mam.

- Nie, to ja muszę z tym pracować. - Zatrzymała samochód przed budynkiem obok taifenga prowadzonego przez Brisbane'a. - Po prostu nie odzywaj się i zgrywaj lepszego od

nich. I jeszcze raz proszę, nie spierdol tego, bo wszyscy będziemy ugotowani.

Otworzyła drzwi i wyszła z pojazdu na rześcicie oświetloną płytę parkingu. Polak odetchnął głęboko kilka razy i podążył za nią.

*

Kierujący zmianą Chen Zhao od początku wieczora zastanawiał się, czy przypadkiem nie uraził czymś duchów przodków. Kilka kolejnych problemów z pracownikami, uszkodzenie systemu logowania, jedna pomniejsza katastrofa bazy danych, awaria w sieci alarmowej, która samoczynnie naprawiła się, kiedy wysłał tam ekipę techniczną - w ciągu pierwszych dwóch godzin pracy miał więcej problemów niż w całym zeszłym miesiącu. W następnych sześćdziesięciu minutach tempo nadciągających kryzysów nieco spadło - jedynym problemem były zapisy rozmów z ostatnich kilku miesięcy, które zniknęły bez śladu, a administrator sieci zamiast brać się za odzyskiwanie danych, robił tylko wielkie oczy. Ale Chen był człowiekiem spokojnym - w końcu awarie techniczne zdarzają się od czasu do czasu i nie jest to niczyja wina. Metodycznie likwidował problem za problemem i już pod koniec trzeciej godziny zmiany pożar administracyjny na chwilę przygasł.

Dopiero wtedy pozwolił sobie na wypicie całkiem już zimnej herbaty, którą zwykł się rozkoszować, kiedy tylko przyszedł na stanowisko. Choć napój ani trochę nie kwalifikował się jako właściwie spożyty, poprawiło mu to humor na tyle, by zabrać się do opóźnionych obowiązków bez wrzeszczenia na podwładnych.

Najwyraźniej jednak ten dzień został w jakiś szczególny sposób naznaczony. Nie dalej jak po pięciu minutach, od kiedy praca weszła na tor zmierzający ku odrobieniu strat, dostał meldunek z posterunku przy bramie, który właśnie wpuścił pełną grupę Inspekcji Kontroli Transportu. Trzecią w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Gdyby nie był tak pełen wiary w doskonałość systemu, pomyślałby, że Inspekcja musi szybko wypełnić jakieś okienka w rocznym sprawozdaniu.

Tym razem przysłano mu kogoś nowego. Brunet o przenikliwym spojrzeniu i sylwetce wojskowego od progu powitał go w wysokim imperialnym, a na informację, że zgięty w ukłonie Chen nie posługuje się nim biegle, zareagował jak na wyjątkowo nieprzyjemny zapach. Przeszedł co prawda na lingue, ale wypowiadał każde słowo osobno z akcentem ogłaszającym wszem i wobec, że nie jest to jego podstawowy język. Patrzył przy tym na kierownika zmiany tak, jakby odczuwał fizyczny dyskomfort. Nowi zawsze byli problematyczni, a z im dalszych miejsc przyjeżdżali, tym bardziej się uważali za kogoś lepszego, bo mówili wysokim i kiedyś widzieli planety prowincji Cesarskiej.

- Mniemam, że to panu wystarczy - powiedział, wydobywając z przezroczywej teczki

kartę zarządzenia Inspekcji i podając ją Chenowi w dwóch palcach. - Lista kontenerów podlegających kontroli jest poniżej.

- Tak, oczywiście. - Chińczyk szybko przebiegł wzrokiem dokument, a potem wsunął go pod skaner. Ledwie spojrzał na pojawiające się potwierdzenie. - Wybacz, dostojny gościu, ale będę musiał to, naturalnie, sprawdzić...

Inspektor nie powiedział ani słowa, spoglądając na Chena z wyczekiwaniem, więc kierownik, nie tracąc czasu, wybrał numer lokalnego biura Inspekcji. System jak na złość akurat w tym momencie po raz kolejny się zachłusnął, ale przy trzeciej próbie, wciąż pod wyczekującym spojrzeniem przybysza, udało się uzyskać połączenie.

- Inspekcja Kontroli Transportu - rozległ się znudzony głos Warwicka dyżurującego na linii.

- Mówi Terminal Towarowy, Chen Zhao, 20-20-XE - powiedział Zhao, starając się, żeby w jego głosie nie dało się wyczuć zmęczenia. Zerknął na podsunięty dokument raz jeszcze. - Mamy u nas waszą ekipę, kieruje nią inspektor Milliken, numer polecenia 23 688 AEG, potrzebuję potwierdzenia.

Normalnie pewnie nagadałby koledze, że nie uprzedził go o nowym służbiście. Milliken stał jednak niecały metr od jego biurka, postanowił więc się powstrzymać.

- Zgadza się, potwierdzam - odpowiedział Warwick, tym samym znudzonym tonem co zwykle. - Miłej inspekcji.

- Dziękuję, do usłyszenia. - Chen westchnął cicho. Rytuał uzyskiwania potwierdzenia był już na tyle ustalony, że nawet słowa pozostawały identyczne. Czasem zastanawiał się, czy nie mogłyby ich zastąpić maszyny. - Panie Milliken, z pokorą donoszę, że wszystko jest w najlepszym porządku.

- Cóż za niespodzianka - powiedział inspektor, a potem dodał coś w wysokim imperialnym.

- Proszę zaszczylić moich ludzi możliwością udzielenia pomocy panu i pańskiej ekipie w charakterze przewodników... - zaczął grzecznościową formułę Chen, który był gotów przełknąć zniewagę, byleby tylko intruz sobie poszedł. Nie zdążył jednak skończyć zdania.

- Doskonale wiem, gdzie są wyznaczone sektory. Nie potrzebuję pańskich... - oczy Millikena zwięzły się lekko. Przez chwilę inspektor jakby zastanawiał się, jaką też straszliwą obelgę może posłać osobie, która śmiała, zgodnie z procedurą, weryfikować jego prawo do zakłócania pracy terminala -... robotników.

- Będzie wedle pańskiego życzenia. - Chen pochylił głowę, w pokorze, a także żeby

zamaskować zadowolenie. Byli już wystarczająco spóźnieni z pracą, by jeszcze wyznaczać Inspekcji dodatkowych ludzi za przewodników. - Proszę dać znać swemu kornemu słudze, jeśli uzna pan moją pomoc za przydatną.

Inspektor mruknął coś niezrozumiałego, po czym obrócił się na pięcie i wyszedł z biura. Chen Zhao opadł na fotel i przez kilka chwil trwał w bezruchu, wymywając z głowy wspomnienie inspektora i protokołu, który zmuszał go do okazywania uprzejmości wobec takich ludzi.

*

Rozproszony organizm terminala towarowego był istotą doskonale dostosowaną do ciał obcych w postaci inspekcji zewnętrznych. Zdawało się, że blokująca cały przejazd kawalkada pojazdów w ogóle nie miała wpływu na pracę nocnej zmiany, generując wokół siebie niewidzialną strefę, którą najwyraźniej dostrzegali wszyscy pracownicy składu. Pojazdy były kierowane automatycznie na inne trasy, a ustępujący z drogi ludzie co jakiś czas zerkali tylko ciekawie na sunące powoli wozy grupy Brisbane'a.

Sama kontrola była w zasadzie krótka - należało sprawdzić, czy manifest kontenera zawierał te same dane, co podawane przez administrację. Czasami też co podejrzliwsi inspektorzy dla pewności rozstawiali moduł skanujący i sprawdzali, czy zgadzają się odczyty. Z odległości paru metrów i przy stu dwudziestu tonach rudy można je było uznać za pewne, tym bardziej w przypadku emitującego niezwykle silne odczyty caellium. Gdyby jednak pojawiły się wątpliwości, zawsze pozostawała opcja zarządzenia otwarcia kontenera i inspekcji bezpośredniej. Zasady przeprowadzania tego rodzaju kontroli wbito Wierzbie do głowy jeszcze na „Orle” i mógłby je powtórzyć o dowolnej porze dnia i nocy. Operacje Specjalne nie uznawały półśrodków.

Na liście, którą przywiózł Brisbane, znajdowało się kilkanaście kontenerów - tyle, ile zwykle sprawdzano podczas pojedynczej inspekcji. Manifest większości oczywiście się zgadzał, w końcu Hampel konstruował listę przy użyciu danych skradzionych z bazy terminala, ale i tak przy paru rozstawiali ciężki moduł skanujący, a w dwóch przypadkach zdjęli plomby i pracownicy przeczesali wnętrze.

Mniej więcej dwie godziny po rozpoczęciu pracy pogorszyła się pogoda. Najpierw zerwał się chłodny, silny wiatr. Furkotał na kurtkach żołnierzy Brisbane'a, utrudniając rzadkie wymiany zdań, przenikał ciała chłodem i wilgocią, wzniecał miniaturowe tornada pyłu, które sunęły szerokimi alejami. Widoczni poza przepisowym, dwudziestometrowym kręgiem pracownicy terminala kryli się pod ścianami olbrzymich kontenerów lub za burtami sunących powoli ciągników. Wszyscy założyli też gogle ochronne i walczyli z sypiącym się

do oczu pyłem Wierzba szczerze pożałował, że nie zabrał swoich z „Pałacu”.

- Myślisz, że to jedna z tych lokalnych zawieruch? - zwrócił się do Sokolego Oka, wraz z którym rozkładał skaner ładunku. Musiał mówić głośno, aby przekrzyczeć wiatr - rozmowa raczej nie była niezbędna dla misji, a przez to właściwa dla kanału radiowego.

- Nie sędzę. - Kapral pochylił się w stronę Polaka, na chwilę przerywając rozkręcanie statywu. - Przeglądałem stream informacyjny i nie widziałem ani słowa o wietrze. To musi być coś niewartego specjalnych wzmianek.

- Aha. - Polak kiwnął głową i zapiął kurtkę, choć na niewiele się to zdało. Oczywiście o wiatrach na Fushun była mowa na odprawach, ale przebywając przez rok na spowitym Mgłą New Quebec, całkowicie zatracił intuicję w tej materii. Po życiu w świecie nieruchomego powietrza to, co hulało pomiędzy kontenerami, wydawało się bliskie huraganu. Cóż, może przynajmniej pogoda zapędzi robotników gdzieś bliżej osłon. Od jakiegoś czasu nie mógł powstrzymać się od wrażenia, że wszyscy patrzą im na ręce. Udało mu się je zwalczyć na terenie miasta, ale tutaj, w miejscu, gdzie zdecydowanie nie powinien być, wracało ze zdwojoną siłą.

- Ale to jeszcze nic. - Sokole Oko sprawdził ostatnie mocowania skanera i chwycił za rączkę skrzyni. - Raz, dwa i... trzy!

Obaj podnieśli ładunek i włożyli go na tył ciężarówki inspekcyjnej. Kapral wskoczył na pakę obok urządzenia i oparł się o burtę.

- Nic? - Marcin klepnął bok maszyny. - Można jechać!

- Zobaczysz. - Hiszpan spojrzał znacząco na niebo.

Jak na komendę mocniejszy podmuch wiatru przyniósł kroplę deszczu, która rozprysnęła się na twarzy Wierzyby.

*

Lunęło dokładnie w tym momencie, gdy offroady i ciężarówka inspekcyjna podjechały pod kontener 00-506. Wiatr minimalnie zelżał, zaczął teraz gęstym, ciężkim deszczem, a ciemnoszary wieczór momentalnie przemienił się w ciemną noc. Wypełnione światłami Xinfu w niecałą minutę zamieniło się w niejasny powidok, a cały terminal stał się nagle ograniczoną zewnętrznymi reflektorami wyspą wśród wszechobecnych strug wody. Widoczność w mgnieniu oka spadła do raptem kilkudziesięciu kroków, a i na ten dystans z trudem dawało się cokolwiek wypatrzeć. Sunące powoli ciągniki włączyły reflektory i przestrzeń wypełniły drgające snopy światła rozcinane czarnymi punktami mknących w powietrzu kropel, czasem rysujące na kontenerach ostre cienie przebiegających przed pojazdami ludzi.

Zespół wysiadł z taifengów i natychmiast Cartwright i Weiss, posłuszni wydawanym przez microcomy rozkazom, rozstawili skaner. W gęstniejących strugach ulewy zajmujący wraz z Delaviente pozycje przy odległym o może trzydzieści kroków skrzyżowaniu Wierzba miał problem z odróżnieniem Niemca od niższej porucznik - ale kiedy wykonali zadanie, już nawet stojący na statywie skaner mógł uchodzić za ludzką sylwetkę. Pilnując wraz z Hiszpanką podejścia od północnej strony zespołu, wartowników po stronie południowej w ogóle nie widział. Inna rzecz, że nie musiał. Plan działania, powtórzony kilkakrotnie i przećwiczony w ładowni „Orła”, dokładnie wrył mu się w pamięć i teraz wiedział, gdzie kto stoi i co ma robić - pułkownik, porucznik Harris i technik Bryce zaraz obok skanera, gotowi do otwarcia kontenera i przenoszenia broni. Thorne wraz z Sokolim Okiem od południa, na stanowisku bliźniaczym do pozycji Wierzby i Delaviente. Wreszcie sierżant Cross oraz Navarre, przygotowujący przy ciężarówce podnośnik hydrauliczny. Zerknął na zegarek - upłynęła trzecia godzina akcji. Teraz przez kilka minut będą musieli fingować skanowanie, aby dostarczyć majorowi Hamplowi wystarczająco dużo materiału nagraniowego. Mag, od kilku godzin zanurzony w sieć administracyjną terminala, miał za zadanie zająć się obserwującymi ich kamerami, pozostawiając zadanie monitorowania połączeń pomiędzy Inspekcją a kierownikiem zmiany Isaksson i Szczeniakowi, teraz pewnie moknącym przy swoim odległym o prawie pół kilometra stanowisku. W słuchawce microcomu brzmiały dobrze znane rozkazy i Marcina przeniknęło uspokajające uczucie, że plan rzeczywiście dobrze działa. Oparty o ścianę kontenera uśmiechnął się wesoło i zaczął cicho pogwizdywać, choć oczywiście nie było szans, aby przez metaliczne bębnienie deszczu o kontener ktokolwiek poza nim to usłyszał.

Minuty mijały nieznośnie powoli, jakby czas złośliwie wydłużył swój bieg, by umożliwić pogodzie pastwienie się nad oddziałem. Okryty przeciwdeszczową kurtką Marcin przemókł do suchej nitki - projektant odzieży nie przewidział najwyraźniej tego, że niesiony wiatrem deszcz może zacinać niemal równoległe do gruntu. Usiłujący wykonywać swoje obowiązki pracownicy terminala przemykali przytuleni do burt ciągników i starali się znaleźć jakąkolwiek osłonę. Naturalnie dobrą stroną tej sytuacji było bezpieczeństwo - Polak nie sądził, żeby ktokolwiek zwracał na nich uwagę. Nawet stojąca po przeciwnej stronie alei, mniej niż dziesięć metrów od niego Delaviente wydawała się niemal stopiona ze znajdującą się za nią kompozytową ścianą.

Wierzbie wydawało się, że upłynęła cała wieczność, zanim Brisbane zarządził otwarcie kontenera, jednak z zaskoczeniem odkrył, że minęło zaledwie siedem minut - dokładnie tyle, ile powinno trwać skanowanie. Marcin trochę współczuł trójce, której

wyznaczono zadanie symulowania inspekcji - praca wymagała poruszania się po jego górnej powierzchni, a zatem bez osłony przed wiatrem z którejkolwiek strony. Kiedy obrócił się i spojrzał na nich, byli tylko przygarbionymi, zniekształconymi, rozdętymi kształtami kurtek sylwetkami. Aby nie spaść z kilkumetrowej wysokości, musieli przytrzymywać się rękami podłoża, wykorzystując do poruszania się wszystkie cztery kończyny i przypominając współczesne wersje bajkowych goblinów. Ich wysiłek zresztą i tak służył przede wszystkim do stworzenia wrażenia realności - prawdziwą pracę wykonywała reszta zespołu. Z pozoru niewyróżniająca się niczym pieczęć na bocznej ścianie kontenera została zerwana, a zabezpieczony nią właz otwarty. Sądząc z tego, co dało się usłyszeć przez microcom, ludzie Brisbane'a natychmiast dostali się do wnętrza, gdzie jeszcze podczas pobytu na pokładzie imperialnego frachtowca ukryli sprzęt potrzebny do akcji. Jedną po drugiej przyśrubowane do dna kontenera skrzynie były odnotowywane i przenoszone do ciężarówki. Myśl, że z każdą chwilą oddział jest lepiej uzbrojony, szybko budowała poczucie bezpieczeństwa. Instykt preferował tę opcję, choć umysł doskonale wiedział, że jeśli zostaną namierzeni, to żadna broń im nie pomoże. Xinfu nie tylko nie było Bagnem, gdzie w każdej chwili mogli zniknąć z oczu zdezorientowanego wroga i ukryć się pośród oparów Mgły. Widzieli tu też mnóstwo żołnierzy, którzy mieli świadomość, że bronią strategicznie ważnego punktu. Licznych, dobrze wyszkolonych, lepiej znających teren. I niewybaczających błędów.

Wojskowy wóz podjechał pod ich stanowisko może pięć minut po rozpoczęciu przeładunku. Nieco tylko większy od offroadów oddziału Wierzby zbliżał się o wiele szybciej, niż można by się spodziewać po ludziach, którzy nie mają podstaw, by się spieszyć. Dwa snopy świateł pojazdu tańczyły w deszczu, kiedy maszyna wymijała usuwających się na boki robotników.

- Tu Trójka, zbliża się pojedynczy samochód, administracja lub wojsko, szybko jadą - zameldował Polak przez microcom. Stojąca naprzeciw Delaviente ruszyła w stronę środka alei.

- Dowiedźcie się, o co chodzi, a w razie czego opóźniajcie ich - usłyszał głos Brisbane'a. - Zaraz będziemy gotowi.

- Tak jest. - Marcin odetchnął głęboko i podszedł do Hiszpanki, stojącej teraz dokładnie na drodze nadjeżdżającego pojazdu.

- Jakby co, zaczynam od dowódcy, potem idę od prawej. - Głos kaprala był lekko spięty.

- Najpierw gadamy, prawda?

- Załatwię to - burknęła. - Ty czekasz, aż będziesz potrzebny.

Wierzba parsknął gniewnie. Kapral całkowicie ignorowała fakt, że lokalną lingwę opanowała zdecydowanie gorzej niż on, nie mówiąc już o akcencie, który mógł pewnie przejść na ulicy, ale nie w rozmowie ze strażnikiem na garnuszku administracji. Nic zresztą dziwnego - nie ukrywała, że żołnierze Cartwright są z jej punktu widzenia głównie ciężarem. Marcin zdążył przyzwyczać się do jej uwag, choć nadal go one denerwowały. Co jednak nie znaczyło, że zamierzał zginąć.

Pojazd zwolnił, kiedy kierowca zauważył na swojej drodze dwójkę żołnierzy, ale zatrzymał się dopiero kilka metrów od nich, przysiadając na przednich amortyzatorach. Natychmiast też otwały się drzwi i z offroada wyskoczyła czwórka umundurowanych ludzi.

- Inspekcja Kontroli Transportu - zaczął Wierzba, zanim Delaviente zdołała powiedzieć choć słowo. Potem pewnie za to zapłaci, ale nie chciał, żeby rozmowę prowadziła kapral ze swoją kiepską znajomością języka. - Jesteśmy w trakcie wykonywania czynności służbowych, proszę nie podchodzić.

- Co ty robisz? - warknęła Hiszpanka przez microcom, ale zignorował ją. Nie miał szans odpowiedzieć bez wiedzy czwórki wojskowych, a teraz musiała grać razem z nim.

- Sierżant Sook, kompania wartownicza - odpowiedział najbliższy z żołnierzy, niższy od Marcina o pół głowy, szeroki w barach Koreańczyk o płaskiej, prawie całkiem nieruchomej twarzy i wąskich szparkach zmrużonych oczu. - Jesteśmy tu, by asystować wam przy pracy.

- Słucham? - Polak parsknął z pozornym rozbawieniem, jednocześnie starając się odświeżyć sobie w pamięci wszelkie regulaminy dotyczące inspekcji.

- Dokładnie to, co pan słyszał. - Sierżant wyraźnie się spiął. Wierzba przeklął swój brak kontroli. - Dostaliśmy rozkaz, aby stanowić waszą eskortę aż do końca inspekcji.

- Niestety, to zupełnie niemożliwe. - Marcin pokręcił głową, cały czas zastanawiając się, po co w ogóle żołnierze tu są. Nie chodziło o eskortę, to było bardziej niż pewne, jednocześnie nie mogli ich po prostu aresztować, bo wtedy po prostu by to zrobili. - Nie ma tego w regulaminie, nie licząc paragrafów związanych z prawem wojennym lub asyście przy śledztwie. Na Fushun nie toczą się żadne działania wojenne, nie otrzymaliśmy też wezwania w sprawie śledztwa.

- Kompania wartownicza ma prawo do ustanowienia eskorty dla każdego wchodzącego na teren jednostki wojskowej, której ona pilnuje. - Sierżant rozpiął wojskową pelerynę, ukazując pełne oporządzenie. Trudno było nie zauważyć karabinka, na którym opierał dłoń. - Korzystamy z tego prawa.

Marcin kupił sobie parę sekund, posyłając rozmówcy pełne wyższości spojrzenie,

które podpatrzył u Brisbane'a. Pokazanie broni stanowiło dość uniwersalny sygnał. Tamci byli gotowi na zastraszenie, co mogło doprowadzić do dość jednostronnej konfrontacji. Z drugiej strony, czwórka przybyszów nie mogła wiedzieć niczego na pewno - w przeciwnym wypadku on sam i Delaviente leżeliby na mokrym betonie, w najlepszym razie obezwładnieni.

- Przykro mi, ale nie przypominam sobie, aby taką eskortę ustanowiono. - Polak mówił z wyraźnym przekąsem, dzięki czemu, jak miał nadzieję, wydawał się jeszcze bardziej pewny siebie. Na ile oczywiście było to możliwe, biorąc pod uwagę, że niemal krzyczał i co chwila ocierał twarz z wody. - Teraz jesteśmy wewnątrz i jeśli coś jest nie w porządku, prosilibym o przedstawienie konkretnego problemu.

- Widzę, że źle się zrozumieliśmy - warknął żołnierz, a jego podwładni nieznacznie zacisnęli dłonie na broni. - Dostaliśmy rozkaz sprawdzenia przebiegu inspekcji. Wykonamy go.

Gra w dominację, uświadomił sobie nagle Marcin. Nie pojawił się żaden dokument, nie padł ani jeden konkretny zarzut. Jednocześnie, mimo że Wierzba i Delaviente wyraźnie nie dali się zastraszyć, tamci nie przeszli do realizacji gróźb, tylko nadal próbowali rozgrywać partię groźnym wyglądem. I byli bliscy osiągnięcia efektu, choć zapewne odwrotnego do zamierzonego. Polak zaniepokojony zerknął na stojącą obok Hiszpankę. Widział kątem oka, jak sprężyła się, gotowa do walki, a jej dłoń przesuwa się pod peleryną w stronę paralizatora. Wyraźnie nie wierzyła, że Marcin może dać sobie radę. Ciemne oczy Delaviente przesuwały się od jednego przeciwnika do drugiego, a delikatna zmiana pozycji wskazywała, że jest o kilka uderzeń serca od skrócenia dystansu. Z tej odległości mogłaby sobie dać radę z zaskoczonymi żołnierzami, ale co potem?

- Doskonała myśl - powiedział szybko, patrząc prosto na podoficera, a jednocześnie kładąc dłoń na ramieniu Hiszpanki. Wzdrygnęła się i rzuciła mu wściekłe spojrzenie, ale chyba trochę rozluźniła napięte mięśnie. - Proszę spróbować. Mam panu wymienić wszystkie paragrafy, które naruszy pan, choćby wkraczając bez naszej zgody w strefę dwudziestu metrów od obiektu inspekcji? A może woli pan te o próbie zastraszenia albo wręcz użycia siły wobec inspektora na służbie, bo gwarantuję panu, że będzie pan zmuszony jej użyć, żeby wykonać następny krok. Przynajmniej dopóki nie poznam konkretnych powodów pana zachowania, innych niż ogólna chęć wtrącania się nam do pracy.

- Nie wystraszą mnie słowa. - Sierżant zrobił pół kroku naprzód. Teraz stał tuż przed Polakiem. - Odsuń się albo cię przestawimy. Mamy rozkazy.

- Nielegalne rozkazy, które do niczego was nie uprawniają - Wierzba z najwyższym

wysiłkiem zachował kamienną twarz. - Inaczej już by je pan przedstawił. Ale proszę spróbować. Jestem pewien, że panowie świetnie dadzą sobie z nami radę. Potem natkniecie się na inspektora Millikena i jak rozumiem, jego też pobijecie? Gwarantuję, że się uda.

Świadomie nawet nie poruszał w rozmowie tematu strzelania - gdyby się okazało, że żołnierze jednak zamierzają wkraczać, lepiej, żeby byli przekonani, iż rozgonią ich kolbami.

- Co potem? - kontynuował, widząc, że Sook nie odpowiada. - Wróćcie zameldować, że wszyscy leżymy, krwawiąc z rozbitych nosów? Pięć minut po tym, jak nadejdzie skarga z Inspekcji, wasz dowódca zostawi was na pastwę losu, bo dobrze wie, że jego rozkaz jest bezprawny i dwie kamery to cały czas widzą. Minimum dwa lata.

Oczywiście blefował - nie miał zielonego pojęcia, jak działa Imperialny Trybunał Wojskowy. Ale nie sądził, żeby sierżant miał w tej materii o wiele większą wiedzę, zwłaszcza że ogólna zasada była prawdą. Mężczyzna strzelił oczami w stronę swoich ludzi i przygryzł niepewnie wargi.

- Inspekcja współpracuje z armią i nie zamierzam tego psuć - powiedział Wierzba odrobinę mniej ostrym głosem, choć pewnie w szumie deszczu różnica była całkiem niezauważalna. - Potrzebuję informacji na temat podstaw waszego działania. Najlepiej na piśmie, bo ja też muszę się rozliczyć ze swojej pracy. Na razie mi ich pan nie dał, co sugeruje, że pański dowódca zwyczajnie też ich panu nie wręczył. Na pana miejscu zastanowiłbym się, dlaczego.

Trudno było nie widzieć wątpliwości rysujących się na twarzy stojącego ledwie o pół metra od Wierzby żołnierza. Przez chwilę Koreańczyk wyraźnie rozważał zasłyszane słowa. Kiedy się odezwał, mówił już spokojniejszym głosem.

- Nie dążę do konfliktu. - Słowa stały w wyraźnej sprzeczności z jego wcześniejszym zachowaniem. Zapewne nie chciał po prostu wyjść na słabego przed swoimi ludźmi. - Otrzymałem jednak wyraźne rozkazy.

- Doskonale pana rozumiem, sierżancie. - Marcin rozłożył ręce pojednawczo i znacząco wskazał ruchem głowy na ciężarówkę Inspekcji. - Nie chciałbym jednak, żebyśmy padli ofiarą nieporozumienia lub, co gorsza, niechęci między wojskiem a administracją. Jeśli nie ma pan rozkazu, proszę powiedzieć, jak mogę pomóc, nie łamiąc prawa.

- Musimy wiedzieć, co robicie. - Sook obejrzał się na swoich ludzi, jakby w poszukiwaniu potwierdzenia. W nowej sytuacji nie czuł się zbyt pewnie, to było bardzo jasne.

- Nie przepadacie za Inspekcją, co? - spróbował Polak, ale tym razem trafił kulą w płot.

- Nie zamierzam dyskutować na temat poglądów mojego dowódcy - najeżył się

Koreańczyk.

- Pewnie. - Marcin zrobił pół kroku w tył. - Jego sprawa. Zrobmy tak: możemy dać wam dostęp do protokołu. Albo mogę spróbować pogadać z inspektorem Millikenem, żeby poprosił was o pomoc. Wtedy nie będzie problemu, prawda?

Sierżant potarł szeroki kark dłonią w wojskowej rękawiczce. Na płaskiej twarzy widać było niepokój i szczerze powiedziawszy, Wierzba doskonale go rozumiał. Sook wykonywał proste zadanie, stając naprzeciw uważających się za lepszych ludzi Inspekcji Transportu. Wszystko wydawało się jasne i proste, dopóki nie... przestało takie być. Teraz analizował, co będzie najlepszym dla nich rozwiązaniem - wykonać wstępny rozkaz, przebić się przez Polaka i Delaviente oraz prawdopodobnie w efekcie stanąć przed sądem wojskowym, czy też zrezygnować i narazić się dowódcy. Marcin zastanawiał się, dlaczego rozmówca po prostu nie połączy się z jakimś przełożonym, ale najwyraźniej istniał jakiś powód, dla którego Koreańczyk wolał załatwić sprawę sam.

Wreszcie Sook odetchnął głęboko i spojrzał na Wierzbę z miną sugerującą podjęcie decyzji. Polaka wiele kosztowało zmuszenie się do niesprawdzenia, czy nie podnosi broni.

- Porozmawiaj z inspektorem Millikenem - powiedział Koreańczyk. - To chyba będzie najlepsze rozwiązanie.

- Dobrze. - Marcin skinął głową, starając się nie okazać zalewającej go fali ulgi. - Już po niego idę.

- Tak, możecie zejść z posterunku, Wierzbowski. - Głos Brisbane'a w słuchawce był niemal rozbawiony.

Polak, nie chcąc tłumaczyć się imperialnym żołnierzom z microcomu, nie odpowiedział. Zrobił tylko w tył zwrot i starannie omijając wzrokiem Delaviente, ruszył w stronę reszty grupy.

*

Dalszą część inspekcji wykonali wraz z towarzyszącymi im ludźmi sierżanta Sooka, wyraźnie zadowolonego, że jest w stanie jednocześnie wypełniać rozkazy dowódcy i nie popadać przy tym w konflikt z prawem. Znienawidzony dotąd deszcz stał się teraz sojusznikiem. Przez zacinające krople czwórka imperialnych żołnierzy nie mogła dostrzec, że przynajmniej trzy osoby cały czas ich obserwują, a porucznik Harris na każdym postoju siedział tuż przy ciężarówce, gdzie ukrywali broń.

Godzinę później skończyli i bez dodatkowych problemów pożegnali się zarówno z eskortą, jak i kierownikiem zmiany Chenem. Cały czas Marcin miał nieodparte wrażenie, że wbrew wszystkiemu coś jeszcze się wydarzy - zbyt obowiązkowy strażnik zarządzi

sprawdzenie pojazdów, przyjedzie prawdziwy pracownik Inspekcji lub też po prostu dowódca jednostki ochrony terminala rozkaże czwórce swoich ludzi podjęcie bardziej zdecydowanych kroków celem wpakowania nosa w ładunek ciężarówki domniemanego inspektora Millikena. Nic takiego jednak się nie stało. Mijając posterunek przy bramie, w ogóle nie zobaczyli wartownika, światło kontrolne od razu zabłysło na zielono, a blokady przejazdu wsunęły się w podłoże. Widocznie opuszczający terminal inspektor był wystarczająco mało podejrzany, żeby podarować sobie wychodzenie z ciepłego pomieszczenia.

Kolejną godzinę czekali na wieści o ostatniej części operacji, czyli podrzuceniu ukradzionej ciężarówki z powrotem na parking przy hotelu, spod którego ją zabrali. Delaviente wraz z Wierzbą, jako załoga drugiego z wozów zabezpieczenia, spędzili ten czas na parkingu odległym może o pół kilometra od miejsca akcji. Tym razem mieli przynajmniej pistolety, choć pułkownik kilkakrotnie zaznaczył, że ich użycie dopuszczalne jest tylko w ostateczności. Jednak sam fakt posiadania broni był niezwykle uspokajający.

Oboje milczeli przez cały czas oczekiwania, aż Thorne i Harris uwiną się z zadaniem. Hiszpanka siedziała nieruchomo oparta o zagłówek fotela, słuchając smutnej melodyjki nadawanej przez zestaw audio offroada. Wyglądała jak pogrążona we śnie, ale Marcin nie zamierzał tego sprawdzać. On sam bawił się, nakręcając i odkręcając tłumik świeżo zdobytego pistoletu, wsłuchując się w świst wiatru i odgłos ciężkich kropel deszczu uderzających o karoserię pojazdu. Umysł fatalista nadal oczekiwał kłopotów, ale i tym razem się pomylił. Cała sprawa zakończyła się bardzo szybko - najpierw sukces operacji zameldował Harris, wkrótce później porucznik Reese, który cały wieczór zagadywał odpowiadającą za maszynę technik. Kiedy pułkownik nadał rozkaz powrotu do „Pałacu”, z trudem powstrzymał się od okrzyku zwycięstwa.

- Jeżeli jeszcze raz wbijesz się przede mnie - Delaviente otworzyła półprzymknięte oczy i odpaliła silnik taifenga - to po prostu ci jebnę.

- Mówię po tutejszemu lepiej niż ty - odparł krótko Wierzba, chowając pistolet do torby.

- Wiesz, od czego jest łańcuch dowodzenia, dupku? - warknęła. - Pytasz mnie, ja ci pozwalam, robisz. Nie pozwalam ci, siedzisz grzecznie.

Marcin westchnął ciężko. No tak. Mógł się spodziewać, że duma kaprala oesów w końcu się odezwie. Do dziś nie był przekonany, czy istnieje coś takiego jak „duma kaprala”, ale najwyraźniej Delaviente nadrabiała średnią za wszystkich pozostałych.

- Miałem rozkaz czekać, aż będę potrzebny, za pozwoleniem, ma'am - mocno zaakcentował ostatnie „ma'am”. Właściwie chciał na tym skończyć, ale słowa dalej wylewały

się z niego już same. - Uznałem, że jestem. Nie było rozkazu, jak długo mam czekać, bo mi go pani nie wydała, pani kapral, pewnie myśląc, jak to będzie zajebiście mnie zaskoczyć. Uznałem, że mój podoficer dowodzący dostał zawału, i przejąłem obowiązki jako następny w kolejce w naszej dwu, kurwa, dwuosobowej grupie.

- Nie musiałam... - zaczęła, ale nie pozwolił jej dokończyć.

- Więc słucham - syknął. - Jaki genialny plan pani miała? I dlaczego nie usłyszałem o nim ani słowa? Co dokładnie pani zamierzała zrobić, ze swoim koślawym akcentem i średnią znajomością słownictwa?

- To nieistot...

- To nieistotne w normalnym wojsku, to prawda - znowu jej przerwał. - Ale poświęciła pani, pani kapral, mnóstwo czasu, żeby mi wytłumaczyć, że nie jesteśmy teraz w normalnym wojsku. „Myśleć samodzielnie, a nie biegać za sierżantem”, dobrze pamiętam?

Przez kilka chwil milczała, wpatrując się omiataną deszczem drogę. Polak prychnął, ale na tyle cicho, żeby nie było to wzięte za kolejny atak. W odtwarzaczu offroada skoczny lokalny przebój przeszedł w neobluesową muzykę doskonale pasującą do szalejącej ulewy.

- To nie była całkiem spierdolona akcja - powiedziała wreszcie wolno, nie patrząc na Wierzbę, jakby każde kolejne słowo sprawiało jej ból. - W zasadzie nieźle to rozegrałeś.

- Dziękuję, pani kapral - odparł ze śmiertelną powagą. Ustąpienie pola wyraźnie nie było dla kobiety łatwe.

- Może być Delaviente. - Hiszpanka kiwnęła lekko głową.

- Jasne.

- To niczego nie zmienia - dodała zaraz, jakby bała się, że Polak poczuje się za dobrze.

- Nadal uważam, że jesteście niewiele warci i jak przyjdzie do prawdziwej roboty, trzeba będzie ją wykonać samemu.

- Tak jest. - Marcin zrobił wszystko, żeby się nie skrzywić, i chyba mu się to udało, bo nie zareagowała.

- Ale może coś z was będzie.

Wierzba przez chwilę zastanawiał się, czy takie słowa w ustach żołnierza oesów powinny go raczej cieszyć, czy martwić, lecz w końcu zdecydował się nie analizować. Czuł się na to zresztą zbyt zmęczony i przemoknięty. Teraz, kiedy akcja, a przynajmniej jej część była zakończona, ogarniała go coraz bardziej przemożna senność, tym silniejsza, że przygasł też konflikt z Delaviente. Zamiast więc odpowiedzieć, oparł się o zagłówek, patrząc spod półprzymkniętych oczu na miriady kolorowych świateł Xinfu przemykających za szybami taifenga w rytm neobluesowej muzyki z odtwarzacza.

IS „Smaragd”, wysoka orbita Fushun, system Shuncheng, 4.04.2212 ESD, 06:56

Admirał musiał przyznać, że konieczność pilnej rozmowy z Mei Lin ucieszyła go. Najjaśniejszym klejnotem w tej wiadomości było krótkie słowo „pilne”, które w praktyce uniemożliwiało mu jakiegokolwiek opóźnienie. Zdawał sobie doskonale sprawę, że nie powinien czuć takiej ulgi - nagłe połączenie z szefową lokalnego wywiadu na dziewięćdziesiąt procent oznaczało kłopoty. Jednak w ostatnich dniach na osobistej liście Liao Tzu kolejne spotkanie z Yong Zhuang, głosem Niebiańskiego Smoka, znajdowało się zdecydowanie poniżej konieczności radzenia sobie z dowolnymi problemami wywiadu - a tak się składało, że Lin postanowiła się skomunikować ze „Smaragdem” właśnie w chwili, kiedy szykował się do kolejnej kurtuazyjnej wizyty w kajucie specjalnej wysłanniczki.

Kryjąc ulgę, wysłał porucznika Gaveę z najszczerzszymi przeprosinami i pokorną prośbą o ustalenie kolejnego terminu, a sam udał się do sali konferencyjnej. Hologram znajomej sylwetki pułkownik Lin zmaterializował się nad stołem dokładnie w momencie, kiedy system bezpieczeństwa sali potwierdził jego biosygnaturę. Kobieta wyglądała na zmęczoną. Zamiast idealnie związanego warkocza nosiła dość luźny koński ogon, a rozpięte najwyższe guziku bluzy mundurowej odsłaniały ciemny podkoszulek - ustępstwa wobec protokołu, które nigdy jej się nie zdarzały. Wrażenie intensyfikowały lekko podkrążone oczy i nieco ziemista cera.

- Admirale Liao Tzu. - Zasalutowała i pochyliła głowę. - Pokornie proszę o wybaczenie, że zabieram cenny czas.

W wyrecytowanej formule nie było ani półcienia więcej żalu, niż wymagała etykieta.

- Dowódca, który nie słucha mądrości współpracowników, przygotowuje przegraną bitwę - odparł, kłaniając się. - Jakie wydarzenia sprawiły, że możemy rozmawiać?

- Poza raportem z Fushun otrzymaliśmy też wiadomości dotyczące floty nieprzyjaciela. - Kobieta sięgnęła gdzieś poza pole holograficzne i po chwili trzymała już datapad. - Uznałam, że nie będzie pan chciał czekać.

- Bardzo słusznie - ożywił się Tzu. - Czy nieprzyjacielska flota wykonała już skok?

- Niestety jeszcze nie uzyskaliśmy potwierdzenia - odparła Lin. - Za to godzinę temu kurier przywiózł raport o jej składzie i kursie.

Admirał kiwnął głową, ukrywając zawód. Wiadomość o skoku przeciwnika oznaczałaby koniec konieczności tolerowania wrogich komandosów w Xinfu, wśród polegających na jego, Tzu, ochronie poddanych Cesarza. Wiadomość o skoku pozwoliłaby wreszcie zacisnąć pętlę. Był oficerem starej daty - zdawał sobie sprawę z konieczności ryzyka i potrafił je podejmować, ale czułby się nieskończenie bardziej komfortowo, pozostawiając

jako przynęte jeden ze swoich okrętów, a nie gęsto zaludnione miasto.

Raport o siłach przeciwnika, choć cenny, nie cieszył tak bardzo - Liao nie wierzył w atak eskadry wystarczająco silnej, żeby przebić się jednocześnie przez jego jednostki i obronę orbitalną Fushun. Informacje wywiadu na pewno przygotowują go lepiej do bitwy w przestrzeni, ale były zaledwie ułatwieniem, a nie oczekiwanym zwrotem.

- Zatem, jakiego rodzaju gości możemy oczekiwać?

- Do ataku na Fushun wyznaczono dwa zespoły. - Lin zerknęła na datapad. - Pierwszym z nich jest eskadra liniowa EUS „Chimera”, pancernik, cztery krążowniki, dwanaście niszczycieli. Drugim jest zespół EUS „Kraken”, dwa krążowniki i eskorta pięciu niszczycieli, uzupełniona o sześć transportowców do ostrzału planetarnego i jeden z siłami naziemnymi oraz okręt do walki elektronicznej. Dowódcą operacji jest kontradmirał Kuerten, w tej chwili zbieramy dane na jego temat.

- Dziękuję. - Liao szybko przeanalizował w myślach otrzymane wiadomości. Eskadra liniowa wsparta przez dodatkowy zespół krążowników stanowiła siłę zdolną przeciwstawić się jego własnym okrętom. - Będę zobowiązany za wszelkie informacje.

- Jest jeszcze jedna rzecz.

- Słucham? - Admirał uniósł brwi.

- Nie zamierzają wchodzić przez bramę systemową. - Podkrążone oczy pułkownik Lin skupiły się na nim poprzez setki dzielących oficerów jednostek, jakby kobieta chciała się upewnić, że zrozumiał implikacje tego faktu. Oczywiście, zrozumiał. Co więcej, dopiero teraz plan Unii zaczynał mieć sens. Liao od początku zakładał, że przeciwnik musi mieć jakąś metodę omińnięcia granicznego systemu Baita i wejścia bezpośrednio w pobliże Fushun. Korzystanie z normalnych tras oznaczałoby konieczność przebicia się przez zabezpieczenia otaczające bramę systemową, a potem walkę z imperialnymi okrętami. Nawet dla wzmocnionej eskadry liniowej mogłoby to być zbyt duże wyzwanie. Alternatywne wejście... to było interesujące i mogło dać wrogowi czas akurat na omińnięcie obrony oraz szybkie uderzenie na Fushun.

- Zatem którądy? - Rzucił rozmówczynie zaciekawione spojrzenie. Jeśli miała rację, oznaczało to autentyczny sukces wywiadu i satysfakcja płynąca z zaskoczenia Liao się jej należała.

- Punkt za orbitą Hebei, dynamiczny - odparła, wyraźnie dusząc wyraz tryumfu. Przekonanie o wyższości struktur wywiadu nad flotą było mocnym rysem osobowości Lin i właśnie miała swój moment chwały. Admirał bardzo cieszył się, że tak łatwo mógł nagrodzić pułkownik za jej pracę. - Prześlę koordynaty.

- Czekam z niecierpliwością - odparł. - Jak wyglądają wieści z Xinfu?

- Unijni żołnierze działają zgodnie z oczekiwaniami. Przed dwiema godzinami zabezpieczyli sprzęt z terminala towarowego. Były drobne problemy, kiedy dowódca kompanii wartowniczej nabrał podejrzeń, ale na szczęście sobie poradzili.

- Liczę na pewną sprawność naszych gości. - Kilkoma ruchami Liao wywołał na aktywnym blacie stołu konferencyjnego dane dowódcy zmiany na terminalu. Będzie musiał przesłać gratulacje do jego oficera dowodzącego, choć zapewne dużo później. - Być może któryś z pani ludzi przydałby się w miejscu, gdzie ich oczekujemy, żeby uniknąć problemów?

- Odradzam. - Pułkownik pokręciła głową. - Nie powinniśmy stosować nowych wzorców. Bywają widoczne.

- Czy otaczający ich agenci nie są właśnie takimi nowymi wzorcami?

- Są, ale jak dotąd udało im się pozostać niezauważonymi. Lepiej nie zwiększać tego ryzyka. - Lin mówiła z przekonaniem i Liao wyczuł, że jest gotowa stoczyć ciężki bój w obronie swojego stanowiska. - Pokornie proszę o zaufanie.

- Nie mam żadnych podstaw, żeby wątpić w pani metody - wycofał się. Tym razem mówił całkowicie szczerze.

- Będę zatem raportowała na bieżąco. - Kobieta skłoniła głowę nieco niżej, niż musiała.

- Doskonale, pułkownik Lin. - Zasalutował. Choć zarówno on, jak i oficer wywiadu przywykli do uproszczonego protokołu dworskiego, częstego pomiędzy starszymi oficerami różnych pionów sił zbrojnych, Liao lubił co jakiś czas zaznaczyć, że jest wojskowym, zwłaszcza jeśli obok nie było dyplomatów i urzędników.

Odsalutowała natychmiast, a potem się rozłączyła, pozostawiając admirała nad otwartymi oknami informacyjnymi wyświetlonymi na połyskliwej, czarnej powierzchni stołu konferencyjnego. Kilka sekund później brzęczyk powiadomił go o nadejściu raportu Lin. Przyniesieniem palca do czytnika wywołał wiadomość na ekran i przez dłuższą chwilę przyglądał się eleganckim liniom wektorów skokowych wykreślonych na mapie systemu. Plan Unii był niemal doskonały... Przynajmniej dopóki Liao go nie poznał. Uśmiechnął się do siebie, wyłączył ekrany i przez kilka minut pozostał w przyjaznej ciemności pomieszczenia. W pewien sposób cieszył się z rozmiaru zaangażowanych w operację sił Unii - co prawda, eskadra liniowa będzie niebezpiecznym przeciwnikiem, ale mieli czas, by się na nią przygotować. Komodor Wu i jego siły byli zaledwie o dwa dni lotu od Shuncheng, patrolując okolicę nadajnika czasu rzeczywistego. Liao Tzu nie wątpił, że po czasie spędzonym na pilnowaniu bezprecedensowo gęstej sieci obronnej wokół Nefrytowego Tygrysa młody

komodor aż pali się do zajęcia pozycji w systemie bardziej rokującym starcie. Przez chwilę walczył z pokusą wysłania do niego natychmiastowego rozkazu, ale powstrzymał się. Pośpiech nigdy nie okazywał się dobrym sprzymierzeńcem, a tym razem nie byłby on nawet usprawiedliwiony. Wróg znajdował się w końcu jeszcze daleko. Czasu mieli aż nadto. Admirał Liao Tzu wstał bezgłośnie, nie chcąc zakłócać głębokiej ciszy pogrążonego w mroku pomieszczenia, i skierował się do wyjścia.

Słowik czekała na niego tuż za drzwiami sali, bezpieczne trzy kroki od wartowników. Kiedy tylko wyszedł, pochyliła się do samej ziemi, jednocześnie rozkładając ręce i lekko zmieniając ułożenie nóg w skomplikowanym dworskim ukłonie. W jedwabnej sukience, z młodą buzią i długimi szpilami w ciemnych włosach wyglądała na okręcie wojennym jak zjawą z innego świata, ale Tzu wiedział, że właśnie to było częścią siły służki Yong Zhuang.

- Unieś głowę, Słowiku - powiedział, starając się wymazać ze swojego głosu tony irytacji. - Z czym przysłała cię do mnie twa pani?

- Yong Zhuang, głos Niebiańskiego Smoka, jest przepełniona radością z powodu dobrych wieści, jakie przyniosła ci szlachetna Mei Lin - powiedziała dziewczyna głębokim głosem. - Mniema, że skoro obowiązki najwyższej wagi odebrały jej twoje towarzystwo, być może zechcesz rozważyć przesunięcie spotkania na jutrzejszy poranek?

- Poranek - powtórzył powoli. No tak, nie należało liczyć, że specjalna wysłanniczka odpuści okazję do zagrania mu na nerwach.

- Specjalna wysłanniczka Niebiańskiego Smoka, Yong Zhuang, będzie bardziej niż zachwycona, mogąc gościć cię, admirale, tuż po śniadaniu. - Słowik jakby w ogóle nie zarejestrowała zmęczenia w głosie Liao. - Bardzo liczy, iż w swej łasce zechcesz wytłumaczyć jej, co możesz powiedzieć o sytuacji teraz, kiedy cesarskie oczy i uszy przyniosły ci nowe wieści.

- Nie mogę się zatem doczekać. - Tzu zaklął w duchu. Kobieta nie tylko wiedziała, z kim rozmawiał, ale też czuła się na tyle pewnie, by rzucić mu tę wiedzę w twarz. - Wizyta w progach głosu Niebiańskiego Smoka będzie dla mnie prawdziwym zaszczytem.

- Przekażę zatem twą łaskawą zgodę, admirale. - Kobieta pokłoniła się ponownie i nie czekając na pozwolenie, odeszła korytarzem. Liao lekko zacisnął wargi, ale rozluźnił się natychmiast, kiedy Słowik zniknęła za zakrętem.

Fakt, że służka specjalnej wysłanniczki nie odczekała, aż zezwoli jej na odejście, był kolejną uszczypliwością, zapewne obliczoną na wyprowadzenie go z równowagi. Mógł teraz zignorować sprawę lub upomnieć się o ukaranie Słowika - wychodząc albo na słabego, albo na małostkowego. Na dworze ustalonym manewrem byłoby zaaranżowanie jakiejś

nieprzyjemności wobec niej, a potem zrzucenie odpowiedzialności za to na niechęć służby -

jednak w tym konkretnym przypadku miał do czynienia z wyszkolonym Słowikiem. Nie mógł kazać jej zastrzelić, a ewentualna bójka być może skończyłaby się zwycięstwem drobnej kobiety, tym bardziej podkopując jego pozycję. Manewr Yong Zhuang był przemyślany i nie zostawiał mu dobrych wyjść... A raczej nie zostawiałby ich, gdyby znajdowali się na cesarskim dworze.

Admirał pozwolił sobie na lekki uśmiech i spojrzał na dwóch wyprężonych w postawie zasadniczej wartowników. Obaj byli bardzo młodzi i nie sądził, by którykolwiek przekroczył dwudziesty drugi rok życia. Należeli do grup abordażowych, a starania, żeby dostać się na flagowiec Liao, zajęły im prawdopodobnie większą część krótkiego dorosłego życia. Nigdy nie byli ani na dworze, ani choćby w jego pobliżu. Nie widzieli nawet tej ograniczonej liczby półcieni, które dostrzegał Tzu. Z ich punktu widzenia specjalna wysłanniczka pokornie zaprosiła go na śniadanie, a on to zaproszenie przyjął.

Oczywiście to, że kobieta знаła nieco zbyt wiele szczegółów na temat jego pobytu w sali konferencyjnej, nadal budziło niepokój. Ale dobrze było wiedzieć, że Yong Zhuang popełniała błędy.

Xinfu, Fushun, system Shuncheng, 4.04.2212 ESD, 11:12 12:50 czasu lokalnego

Pogoda poprawiła się jeszcze przed świtem, choć tylko minimalnie. Zniknął wiatr, zabierając swój świst i siłę, która sprawiała, że ulewa atakowała jednocześnie ze wszystkich stron. Sam deszcz trochę zelżał, ale nie ustał. Woda bębniła o kolorowe daszki przed budami barów szybkiej obsługi, tworzyła barwne aureole rozszczepionego światła nad osobistymi polami hydrofobicznymi mieszkańców i rozбивała się o płyty chodników, dodając do zwykłej melodii Xinfu nieustanny szum. To było lepsze niż dobra pogoda. Deszcz wytłumiał nieco agresywny przekaz miasta, co dawało wrażenie przynajmniej częściowej izolacji. Pozornej, ale to zawsze było już coś.

Zabrali się do terenowego taifenga we czwórkę. Delaviente siedziała za kierownicą, skupiona i czujna, co chwilę zerkając na ułożoną obok jej fotela kurtkę, pod którą ukryła pistolet. Miejsce pasażera zajmował Wierzba, ze wzrokiem wbitym w zawile linie kreślone przez krople na bocznej szybie. Rudy Bryce zajmujący tylną kanapę w towarzystwie Sokolego Oka cały czas wybębnił dłońią nierówny rytm na trzymanym zestawie łącznościowym.

Za oknami offroada przemykały inne maszyny, w jaskrawych kolorach albo ze scenkami wyświetlanymi przez aktywny lakier. Przez jakiś czas Marcin próbował dostrzec wspierający ich taifeng Weissa i Thorne'a, ale szybko zrezygnował - w gąszczu sunących

drogą pojazdów zadanie było praktycznie niewykonalne. Gdzieś wysoko, skąd musiał pochodzić padający nieustannie deszcz, było niebo. Jednak mimo że słońce jeszcze nie zaszło, nie dało się dojrzeć jego tarczy ani nawet skłębionej powierzchni ciemnych chmur. Łuna Xinfu powodowała, że wszystko, co znajdowało się poza nią, sprawiało wrażenie pogrążonego w ciemności. Była to jedna z rzeczy, którą Wierzba dobrze znał z New Quebec. Tam też ludzie oznaczali swoje terytorium światłem i hałasem. Miasto stanowiło ludzką twierdzę na planecie - jak wielka kula światła i dźwięku, tworząca wokół siebie niewidzialny mur oddzielający od świata zewnętrznego. Czyniło to zresztą tak skutecznie, że szary półmrok panujący poza strefą przedmieść wydawał się nieprzeniknioną zasłoną. Ale za nią nie zapuszczano się bez ważnego powodu. Mimo setek tysięcy lat ewolucji, zaawansowanej technologii i narzuconych ludziom masek śmiejących się z przesądów racjonalistów, ciemność nadal była wrogiem.

Od kilkudziesięciu minut intensywność miejskiego hałasu rosła - samochód zbliżał się do centrum, pomiędzy igły wielopiętrowych wież centralnych, w multikondygnacyjną sieć centrów rozrywkowo-handlowych. Człowiek tutaj stawał się jednym z elementów morza podobnych sobie istot. Łatwo było pojawić się i rozplątać w tłumie - systemy monitorujące koncentrowały się wokół głównych budynków i jedynie pojedyncze baterie kamer obserwowały dziesiątki małych i większych klubów, kin widowisk czy knajpek stylizowanych na etniczne. Doskonałe miejsce na przekazanie informacji - i właśnie w tym celu tu przyjechali. Nie mieli się oczywiście z nikim spotykać - najwyżej umiejscowiony agent wywiadu Unii nie ryzykowałby przecież dekonspiracji siebie i ich. Jedyne, co musieli zrobić, to zabrać dane, które zostawił w skrzynce kontaktowej wyznaczonej poprzez niedawną transmisję streamową sfabrykowaną przez majora Hampla. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, nawet nie zobaczą swojego współpracownika, a uzyskane informacje pozwolą im natychmiast zrealizować kolejną fazę planu.

Centrum Xinfu, Fushun, system Shuncheng, 4.04.2212 ESD, 12:10 13:48 czasu lokalnego

„Bramę Cesarskiego Ogrodu” umiejscowiono przy średniej wielkości placu na piątym poziomie, w cieniu ponaddwustukondygnacyjnej iglicy centralnej, której szczyt niknął gdzieś za barierą deszczu. Stanowiący miejsce pracy niemal dziesięciu tysięcy ludzi moloch połyskiwał holograficznymi logo licznych firm i odległymi światłami pozycyjnymi anten rozmieszczonych na dachu. Przy tym samym placu migotliwe hologramy otaczały wejście do niewielkiego kompleksu widowisk w złożonej geometrycznie bryle budynku z kompozytu i pokrytych aktywnym lakierem płyt, po których płynęły jaskrawe fraktalne wzory. Sama

„Brama” była czymś pomiędzy klubem a restauracją, na tyle elegancką, by nadawała się na biznesowe spotkania, a jednocześnie dysponującą całym poziomem służącym do mniej formalnego relaksu. Tyle wiedział Wierzba z informacji, które udostępniono mu na „Orle”. Z opisu miejsce wydawało się rzeczywiście idealne na spotkanie z kimkolwiek pracującym w centrum Xinfu - na tyle widoczne, że nie rzucało podejrzeń na ich kontakt, a jednocześnie reprezentujące tak uśrednioną jakość, że raczej nie było obserwowane. Kiedy jednak zaparkowali offroada w płatnym garażu i zmieszali się z tłumem sunącym pod jaskrawymi parasolami i tęczowymi efektami pól hydrofobicznych, Wierzba znów poczuł się nie na miejscu. Z pozoru nie wyróżniali się niczym - zarówno taifeng pasował do innych poruszających się tu pojazdów, jak i ciasno dopinane jednorzędowe marynarki i narzucone na nie luźne płaszcze, typowe dla klasy średniej, pomagały czwórce żołnierzy wtopić się w masę urzędników i handlowców korzystających z przerwy obiadowej. Wbrew faktom jednak Marcina dręczyło uczucie podobne do tego, które dopadło go na imperialnym frachtowcu - że zwyczajnie zostaną rozpoznani po tysiącach drobiazgów, które odróżniały ich od cywili. Wtedy pomógł mu Thorne i teraz Polak powtarzał w myślach słowa kolegi. Działy, choć nie tak, jak by chciał - instynkt z trudem oddawał pole rozumowi.

Wnętrze „Bramy” wykończono czerwienią i złotem, a parawany rozdzielające stoliki zrobiono z naprawdę efektownej imitacji drewna. Stylizowane na rzeźbione fotele zdobiły wyszczerzone nieprzyjemnie figury smoków o mocno kontrastujących z czerwoną łuską szmaragdowych oczach. Tuż obok zajmowanego przez żołnierzy stolika postawiono akwarium - z za grubej szyby na Marcina łypały wyłupiaste oczy bajecznie kolorowych ryb, choć równie dobrze mogły to być tylko hologramy. W końcu nie było powodu inwestować w drogie zwierzęta, skoro projektor dawał w zasadzie nieodróżnialny efekt.

- Całkiem miłe miejsce - zauważył rudy Bryce, siadając na brzeżku fotela. - Zdecydowanie lepiej niż w „Pałacu”.

Ledwo dostrzegalnymi ruchami dłoni wpisał kilka słów na płytce tekstowego interfejsu microcomu, przesyłając wiadomość do Thorne’a i Weissa.

- „Pałac” bierze za dobę hotelową mniej, niż tu kosztuje posiłek - mruknęła Delaviente, sięgając po zdobioną kartę.

- Bez przesady... - Technik zerknął na swój egzemplarz.

- Nie przesadzam. - Hiszpanka stuknęła placem w menu. - W każdym razie nie za bardzo.

Wierzba bez słowa wybrał porcję zapiekanej w sezamie wołowiny. Sądząc po cenie, nie mógł liczyć na prawdziwe mięso, ale podobała mu się wizja zjedzenia dla odmiany

posiłku, w przygotowanie którego włożono trochę pracy.

- Szkoda, że będziemy tu tak krótko. - Sokole Oko zaznaczył niewidoczną dla Polaka pozycję w menu i odłożył kartę. - Lubię Xinfu.

- Naprawdę? - Polak uniósł brwi. W ciągu dotychczasowego pobytu w mieście nie potrafił pozbyć się wrażenia niebezpieczeństwa. Nauczył się je kontrolować, oczywiście, ale przecież wiedział, że ciągle mu towarzyszyło.

- Oczywiście. - Kapral przesunął wzrok po gościach zajmujących pozostałe stoliki wreszcie zatrzymując go na zdobionym oknie. - Jest... żywe. Pełne barw.

- Myślałem, że wolisz bardziej dzikie tereny - uśmiechnął się Wierzba.

- Lubię je, owszem. - Hiszpan rozparł się w fotelu, śledząc wzrokiem sunącą w ich kierunku niską kelnerkę w sięgającej do ziemi koralowej sukni i towarzyszący jej automatyczny wózek z tacami. - Ale miasta są równie dzikie, po prostu w inny sposób. Mają swój oddech i rytm, tylko słucha się ich inaczej.

- Oddech i rytm? - zainteresował się Bryce. Delaviente tylko wywróciła oczami.

- Dokładnie tak. Każde środowisko je ma.

Sokole Oko przerwał na chwilę i uśmiechnął się do kelnerki - drobniutkiej metyski o pełnych ustach i związanych w długi warkocz czarnych włosach. Kobieta skłoniła się nisko i bez słowa przestawiła na stół rozmieszczone na wózku mocno pachnące porcje. Pracowała szybko, jednocześnie poruszając się z gracją, jakby w krokach nieznanego Polakowi tańca. W ciągu niecałych dwudziestu sekund pokłoniła się czterokrotnie, podsumowując sobie tylko znane części rytuału nakładania posiłku. Wreszcie pochyliła głowę po raz ostatni i odeszła, a posłuszny automatyczny wózek podążył za nią.

- Wygląda lepiej niż paczkowane żarcie, co? - Delaviente uśmiechnęła się szeroko gdzieś w przestrzeń pomiędzy Bryce'em a Marcinem. Od ich rozmowy po akcji w terminalu wydawała się niechętnie akceptować Wierzbę jako członka zespołu.

- Smakuje też bez porównania. - Technik przymknął oczy z rozkoszy. - Przydałoby się mieć tu więcej roboty.

- Nie ma co na to liczyć, okazja dość jednorazowa. - Hiszpanka zerknęła na zegarek. - W dodatku niezbyt wygodna. Pora pracować. Idziesz, Rudy?

Wstała ze swojego miejsca i ruszyła pomiędzy stoliki. Technik przełknął jeszcze jedną porcję i podniósł się, z żalem rzucając okiem na talerz.

- Pięć minut - powiedział jeszcze, zabrał z podłogi swoją granatową torbę i odszedł za Delaviente.

Wierzba wduślił przycisk stopera i wrócił do posiłku, od czasu do czasu rozglądając się

po sali. Naprzeciw niego to samo zrobił Sokole Oko - kapral wyglądał na całkiem rozluźnionego, jednak Polak doskonale zdawał sobie sprawę, że potrafi zabijać, sprawiając identyczne wrażenie. W ciągu kolejnych minut mieli wykonać następny krok planu i nawet jeżeli nie był tak trudny jak wyprawa do terminala, wszystkie zmysły Marcina przygotowywały się na nadejście kłopotów.

- Nie ma potrzeby się denerwować, Marcinie. - Sokole Oko pozornie pozostawał całkowicie skupiony na swoim talerzu. - Tracisz niepotrzebnie siły.

- Pewne rzeczy trudno w pełni kontrolować - mruknął Polak, zerkając na kamerę bezpieczeństwa w rogu pomieszczenia. Zdawał sobie oczywiście sprawę, że kapral ma rację. Przekazanie informacji było w zasadzie banałem. Według zegarka Wierzby agent wywiadu umieścił w toalecie nośnik z danymi zaledwie dwie minuty temu i szanse, że ktoś trafił nań przypadkiem, równały się praktycznie zeru. Z kolei jeśli ktokolwiek go śledził, akcja była i tak spalona i żadne ich działania nie mogło tego zmienić.

- Nie twierdzę, że to łatwe. - Niewysoki mężczyzna przełknął kolejny kęs posiłku. - Mówię tylko, że warto spróbować.

- Cztery kamery w samym tym pomieszczeniu, sześć dalszych przy placu - zauważył Polak. - Jeśli ktoś chce nas obserwować, nie będzie miał z tym kłopotów.

- Jeśli ktoś już chce nas obserwować, możemy od razu się poddać. - Wypowiedź Polaka nie zrobiła na nim widocznego wrażenia. - Natomiast jeśli nie, to szansa, że ktokolwiek na nas patrzy, a nawet w ogóle zajmuje się obrazem z akurat tych kamer... Zaufaj mi.

-... Ponieważ dokładnie to była twoja praca przed wkroczeniem na chlubną drogę walki za Unię?

- Nie, ale przed Dniem nieco znałem się na monitoringu. - Hiszpan rozłożył ręce, kreśląc w powietrzu skomplikowany wzór pałeczkami.

- A co robiłeś? - spytał Wierzba, patrząc na automatyczny wózek podążający za smukłą kelnerką o azjatyckich rysach.

- Nic dobrego.

- Interesujące.

- W pewnym szczególnym znaczeniu tego słowa, owszem. - Hiszpan wzruszył ramionami. - Opowiem ci, jak wrócimy do domu.

- Trzymam cię za słowo. - Polak zerknął na zegarek. Minęły dwie minuty, odkąd Delaviente i Bryce wstali. Jeżeli jeszcze ich nie było, to znaczy, że dane od agenta znajdowały się na miejscu i właśnie zaczynają kolejny etap zadania.

„Brama Cesarskiego Ogrodu” nie została wybrana na miejsce spotkania przypadkowo. Restauracja nie tylko nie była miejscem, które mogło wzbudzać jakieś podejrzenia, ale dysponowała jeszcze jedną zaletą - jej łącza informacyjne częściowo pokrywały się z tymi w górującej ponad nią wieżą. Oznaczało to, że kiedy Bryce podłączył przenośną konsolę do technicznego gniazda „Bramy”, wejście do systemu informatycznego dwustupiętrowego molocha stało przed nim otworem, zabezpieczone jedynie hasłem asymetrycznego szyfru Hardinga - bardzo trudnego do złamania, ale przecież technik wcale nie musiał tego robić, uzbrojony w pozostawione przez ich kontakt legalne hasła autoryzacyjne.

Dokładnie dwie minuty i pięćdziesiąt sekund od chwili, kiedy dwójka żołnierzy oesów wstała od posiłku, Bryce zalogował się do systemu wieży. Według planu miał w nim pozostać nie dłużej niż dwie minuty, idealnie w czasie, gdy jej anteny wysyłały pakiety aktualizacyjne do sieci wielofunkcyjnych satelitów podległych kontroli ruchu cywilnego. Trzydzieści sekund później przygotowane jeszcze po unijnej stronie frontu dedykowane wirusy wtopiły się w pakiety danych, stając się niemal niewidocznym dodatkiem. Skomplikowane algorytmy o niebezpiecznie wysokim stopniu złożoności nie miałyby szans z w pełni gotową obroną wojskowego sprzętu, ale poprzez cywilny soft przechodziły jak gorący nóż przez masło. Zresztą ich celem nie było wyrządzenie szkody - nie teraz. Chwilowo miały się tylko ukryć, czekać, aż zostaną wezwane do działania.

Wierzba nie wiedział co prawda wiele o walce elektronicznej, ale to, co usłyszał na odprawie, pozwoliło mu doceniać elegancję planu oesów. Przy odrobinie szczęścia nikt nigdy nie dowie się, że unijne wirusy zainfekowały system sieci satelitarnej. Przecież nie było włamania, a jedyny transfer danych na orbitę odbywał się dokładnie o przewidzianej w rozkładzie porze. Polak nie wiedział, jakie stanowisko w imperialnej administracji zajmował agent, który przekazał im konieczne informacje i kody autoryzacyjne, ale musiał być naprawdę wysoko. W końcu dzięki niemu mieli zyskać dostęp do całej sieci monitoringu cywilnego ruchu, łączności... Oczywiście, wszelki istotny ruch powietrzny klasyfikowano jako wojskowy, ale nadal możliwości, jakie mieli w ręku, były ogromne.

- Zastanawiałeś się, czemu przylecieliśmy tutaj tak, jak przylecieliśmy? - Wierzba zmarszczył brwi, zwracając się do siedzącego obok podoficera. - Zamiast normalnie wylądować gdzieś wahadłowcem?

- Fushun jest w całości chroniona systemem platform orbitalnych. Prom nie przetrwałby ani minuty. - Sokole Oko zerknął na zegarek i Polak automatycznie skopiował jego ruch. Para oesów pracowała już od czterech minut. - Było na odprawie przecież.

- Też tak sądziłem - odparł Marcin. - Ale zobacz sam, po co tu jesteśmy. Mając takie

kody, Hampel zrobiłby miazgę z ich systemu kontroli cywilnej. Moglibyśmy lądować jako cokolwiek i uniknąć jakichś stu problemów.

- Może pułkownik nie chciał odkrywać kart. - Hiszpan nabrał kolejną porcję posiłku lakowanymi pałeczkami. - Pokazywać, że go mamy.

- I dlatego teraz nam powiedział?

- Może nie chodziło mu o nas, Marcinie. - Kapral nie dał się zbić z tropu. - Wiesz dobrze, że Dowództwo Operacji Specjalnych jest... specyficzne. Nie są chętni do ujawniania swoich źródeł.

- Hm. - Wierzba nie był przekonany. - Po prostu strasznie koronkowa akcja, podczas gdy dysponowaliśmy łatwym skrótem.

- Zapewne Brisbane miał ku temu powód. Nie pytaj mnie, jaki. - Sokole Oko zawahał się na moment. - Ale też pewnie po prostu nie mamy pełnej informacji.

- Taa. Wspominał, że wierzy w dobrze poinformowanych ludzi.

- Może nie aż tak dobrze. - Sprawnym ruchem pałeczek Hiszpan zebrał z talerza jaskrawożółty plasterek owocu i wskazał ruchem głowy na wejście do sali, gdzie pojawili się Delaviente i Bryce. Wydawali się nie zwracać uwagi na otoczenie, dyskutując o czymś zawzięcie.

Marcin zerknął na zegarek - sześć minut od rozpoczęcia akcji. Wszystko na oko przebiegało zgodnie z planem, choć kiedy spoglądał na wracających komandosów, nie mógł opanować niepokoju.

Kiedy podeszli bliżej, Wierzba wiedział już, że coś poszło nie tak - kobieta co chwila rozglądała się mimochodem, a dłoń trzymała w pobliżu ukrytej pod marynarką kabury. Bryce był jakby nieobecny duchem. Omal nie zrzucił talerza ze stolika, starając się usiąść ostentacyjnie spokojnie, i odkąd pojawił się w polu widzenia Marcina, chyba dziesięciokrotnie strzelił kłykciami.

- Problemy? - Polak zmusił się do spokoju. Chwycił pałeczki i wsunął do ust kolejną porcję jedzenia, choć nerwy upodabniały jego smak do bryły trocin.

- Tak. - Delaviente spojrzała na zegarek.

- Nie - odpowiedział Bryce niemal jednocześnie. - Udało się wgrać pakiet, ale... coś tam było.

- Coś? - Wierzba zmarszczył brwi i odruchowo zerknął na najbliższą kamerę, ale ta ani drgnęła, mierząc gdzieś pomiędzy nich a rosnące w białym kwietniku bzy.

- Załapaliśmy się na system defensywny. - Delaviente sięgnęła do pałeczek, choć tym razem jadła lewą ręką, prawą ciągle trzymając w pobliżu ukrytej broni.

- Dlaczego nie spadamy stąd w takim razie? - Polak przypomniał sobie procedury.

- Nie było alarmu... - odpowiedział Bryce. - A gdybyśmy faktycznie wpadli, na pewno tu byśmy nie siedzieli.

Hiszpanka spojrzała nań z politowaniem i zakręciła młynka pałeczkami.

- Wychodzimy za trzy minuty - powiedziała. - Nie ma co tu czekać. Jeśli faktycznie nie było alarmu, nic nie stracimy, a jak był...

- Jak był, to czemu nie idziemy teraz? - zainteresował się Marcin.

- Za trzy minuty system ma przesłać nam potwierdzenie - zamiast kobiety odpowiedział Bryce. - Wyście i powrót może się bardziej rzucić w oczy.

- Aha...

Światło zgasło bez ostrzeżenia, po prostu w jednej chwili wszystkie lampy wewnątrz „Bramy Cesarskiego Ogrodu” nagle pociemniały. Wewnątrz restauracji zapadł półmrok rozświetlany jedynie przez umieszczone przy stolikach świece i nierówny, kolorowy puls widów reklamowych. Wierzba spiął się odruchowo, oczekując ataku, ale on nie nastąpił. Zamiast tego zabrzmiała muzyka, łagodne, wibrujące ćwierćtony fletu i pipy zdające się dochodzić zewsząd. Kelnerki w czerwonych sukienkach ze stójkami wniosły na salę kolorowe lampiony, których złote światło rzucało długie cienie na ściany sali.

- Ładnie... - parsknęła cicho Delaviente, opadając ponownie na siedzenie. Polak nawet nie zauważył, kiedy kobieta poderwała się z miejsca. - Mają wycucie, nie ma co...

- Jakby to była prowokacja, już by nas mieli. - Bryce spokojnie sięgnął do czarki z herbatą, choć Wierzba widział, że technik nieco zbladł.

- Ale nie była - burknęła pod nosem Hiszpanka. - To oni.

Wskazała ruchem podbródka wejście, przez które wchodziła właśnie czwórka żołnierzy. Nie mogli być na służbie, chyba że u imperialnych szeregowców obejmowała ona formalne spotkania. W ciemnooliwkowych mundurach z czerwonymi stójkami wyglądali jak z folderu werbunkowego. Już miał wygłosić komentarz na temat niepotrzebnej paniki, kiedy nagle tknęło go dziwne przecucie. Zamaskował kolejny rzut oka uniesieniem czarki herbaty, co pozwoliło mu przyjrzeć się przybyszom. Liczył jeszcze na pomyłkę, ale instynkt go nie mylił.

Czwórka żołnierzy nie miała w sobie nic z rozluźnionych ludzi idących na obiad po godzinach. Zdradzały ich drobnostki. Tylko jeden zerknął na uśmiechniętą kelnerkę, a zaraz potem ostentacyjnie zaczął studiować wykaz dań. Pozostali rozglądali się po pomieszczeniu. Zupełnie jak Delaviente, kiedy była zdenerwowana. Dłonie trzymali odrobinę zbyt blisko pasów, a jedynie dwóch z nich miało zabezpieczone kabury - zapięcia pozostałych trzymały

się wyłącznie na rzepach. Z każdą sekundą Wierzba nabierał pewności, że imperialni żołnierze są najgorszym, co ich mogło spotkać - nie tylko byli na służbie, ale udawali, że na niej nie są.

- Pracują - powiedział, opuszczając czarkę.

- Właśnie - potwierdziła Hiszpanka, przeciągając się oszczędnie. Jej wzrok przemknął po pomieszczeniu, zatrzymując się przy każdym z wyjść ewakuacyjnych.

Bryce bez słowa pchnął po stole płytkę microcomowego interfejsu tekstowego. Ruch na placu, 20+ osób - odczytał Marcin. To było niemal jak fizyczny cios.

- Nie musimy wcale stanowić celu ich pracy - zauważył Sokole Oko, ledwo zerkając na ekranik, zanim technik schował go do kieszeni. Zgrabnie chwycił kawałek brązowego grzyba.

- Jasne - skrzywiła się kobieta. - Kto w takim razie?

- Nie wiem, kto - przyznał podoficer. - Po prostu niekoniecznie my.

- Co dalej? - Wierzba znał odpowiedź, zanim jeszcze skończył zdanie. Wbił wzrok w talerz i głęboko odetchnął. Dopiero teraz w pełni poczuł zapach eleganckiej sali „Bramy Cesarskiego Ogrodu”. Woń posiłków pomieszaną z kilkoma rodzajami perfum, brzoskwiniowym aromatem świec na świecznikach rzeźbionych w smoki... Dziwnie spokojny wyciszył się i chłonał atmosferę, podczas gdy mięśnie przyjmowały kolejne porcje adrenaliny.

- A co myślałeś? - Delaviente przyglądała niemal czarne włosy dłonią. - Zadanie wykonane, możemy mieć tylko nadzieję, że nas nie nakryli na nim, choć Rudy mówił, że „coś tam było”.

Wykonała ruch palcami obu rąk, pokazując w powietrzu cudzysłów, a jej mina wyraźnie mówiła, co sądzi o takim opisie.

- Do domu nie wracamy, żeby go nie spalić - kontynuowała. - Ile potrzebujesz czasu na zabezpieczenie konsoli?

- Pięć sekund? - Bryce przesunął dłonią po niewielkim futerale. - Nie więcej.

- Dobrze - skinęła głową. - Jak ci powiem, zrób to, a potem wychodzimy i idziemy do samochodu. Jakby co, na „nie da się” bądźcie gotowi, na „szkoda” strzelamy. Potem każdy działa sam. Powodzenia.

Sokole Oko przez chwilę przyglądał się kobiecie, po czym kiwnął głową i wrócił do jedzenia. Z niemal rytualną czcią przełknął jeszcze dwa kęsy średnio identyfikowalnych jarzyn o jaskrawych kolorach, po czym odłożył starannie pałeczki. Nie wyglądał na zdenerwowanego, raczej na pogodzonego z losem. Marcin uśmiechnął się półgębkiem. Gest

Hiszpana wyraźnie potwierdzał jego oszacowania. Jeśli czwórka imperialnych żołnierzy faktycznie przyszła tu ze względu na nich, nie mieli żadnych szans - na zewnątrz czekała prawdopodobnie kompania wsparcia. Kiedy wyjmą broń, będą mieli przed sobą może dziesięć sekund życia. Mniej, jeśli przez wielkie okna pawilonu „Bramy” obserwowali ich snajperzy.

- Uważajcie na ogień - rzucił kapral znad talerza. - Pełno tu cywili.

- Teraz się tym martwisz? - Delaviente zaśmiała się cicho, sięgając po czarkę herbaty.

- Zawsze się tym martwię. - Sokole Oko obdarzył ją spokojnym spojrzeniem. - Bardzo bym nie chciał, żeby ktoś z nich zginął tylko dlatego, że my tu jesteśmy. To nie ich wojna.

- Jesteś zbyt sentymentalny. - Kobieta posłała mu krzywy uśmiech i sięgnęła po czarkę z herbatą. Rozłożył bezradnie ręce. - Ale nie martw się, pierwsze strzały puścimy z bliska, a na drugie pewnie nie będzie szans. Rudy, działaj.

Bryce wydobył powoli futerał z konsolą. Nie patrząc nań, wstukał kilka cyfr przy klawiaturze zabezpieczenia i przyłożył palec do czytnika. Następnie schował cały zasobnik do torby.

- Zrobione - powiedział. Nad głosem panował perfekcyjnie, ale lęk zdradzały rozszerzone źrenice. Napisał na microcomie krótką wiadomość. - Wsparcie już wie, konsola czysta. Miejmy to za sobą.

Wezwana uniesioną nieznacznie dłonią kelnerka pojawiła się prawie natychmiast, choć w głębi duszy Wierzba nie miałby nic przeciwko odczekaniu jeszcze chwili, zważywszy najbardziej prawdopodobny przebieg najbliższych trzech minut. Z głębokim ukłonem przyjęła kartę Sokolego Oka, wprawnie przesunęła ją przez czytnik i natychmiast odłożyła na ciemny blat stołu. Wierzbę ogarnęła całkowicie irracjonalna irytacja - w normalnej sytuacji wszystkie czynności automatycznie obarczone są opóźnieniem. Kelnerka się spóźnia, czytnik łapie kartę od trzeciego razu, następuje krótka, sztapowa wymiana zdań na temat odwiedzenia restauracji raz jeszcze. Drobne sekundy, które nagle stały się diabelnie drogie, teraz, jak na złość, nie zostały im dane. Pozostało tylko sprawdzić, jakimi karatami gra dziś Imperium.

Od pierwszych kroków Wierzba widział, jak pryska jego wątpliwa nadzieja, że jakimś cudem czwórka żołnierzy działa tu przeciw komuś innemu. Prowadząca Delaviente nie zrobiła jeszcze czterech kroków, gdy tamci wyraźnie spięli się, a ich rozmowa przeszła z trybu „ostentacyjnie spokojna” na „bardzo ostentacyjnie spokojna”. Przez chwilę Polak nawet zastanawiał się, czy oni sami też tak nie wyglądali, siedząc przy stoliku i uważając się za szpiegów, ale strach szybko wyparł tę myśl.

- Dobre miejsce - powiedział zadowolony, że głos mu nie drży - kolory ładne, mogło

być zdecydowanie gorzej.

Głównym wejściem, może piętnaście metrów od nich, weszła druga czwórka mężczyzn. Nie nosili mundurów, ale Marcin nie miał cienia wątpliwości, kim są, i to nie tylko wskutek wyczuwalnej aury wojskowości. Pod luźnymi płaszczami bez specjalnego kłopotu mógł zauważyć kształty broni na luźnych uprzężach - raczej karabinki niż pistolety. Prowadzący, wysoki mulat o nieruchomej twarzy, miał nawet idącą przez lewy policzek bliznę, jawny dowód, że każda śmierć w akcji szpiegowskiej nosi w sobie pewną dozę operetkowości. Na drodze stanął im kierownik sali, ale został szybko odprawiony niedbałym gestem połączonym z pokazaniem plastikowej karty identyfikacyjnej.

- I pachnie tu też nieźle. - Delaviente też ich zauważyła, ale nie zawahała się ani sekundy. Obróciła się do Wierzby, obdarzając go ciepłym uśmiechem. Cała jej sylwetka wyrażała zupełnie co innego niż w terminalu towarowym. Tam sytuacja była niejasna i atak mógł okazać się błędem. Teraz funkcjonowali w świecie pozbawionym wątpliwości. - Trochę drogo, ale z tym nic się nie da zrobić.

Polak w zasadzie widział, że starcie jest nieuniknione, ale pierwsza część hasła wypowiedzianego przez Hiszpankę była czymś w rodzaju wyroku. Zareagował zresztą zaskakująco pozytywnie - jego świadomość przestała natychmiast czepiać się rozpaczliwie malejących szans na uniknięcie starcia i przestawiła się w całkowicie zimny tryb kalkulacji walki. Nie dało się jej, oczywiście, wygrać. Ale kiedy przyjął już to założenie, mógł się zastanawiać, jak najdrożej sprzedać skórę. Przesunął dłoń pod marynarkę i położył ją na chwycie pistoletu. Nie czuł strachu - może tylko smutek, że nie uda mu się znów zobaczyć Kici.

- Nie licząc bójki, to była niezła znajomość - powiedział cicho.

Czwórka mężczyzn ruszyła w ich stronę, a wszystkie zmysły Wierzby skupiły się na optymalnym rozegraniu pierwszych - i zapewne jedynych - sekund walki. Zwarcie wydawało się najlepszym rozwiązaniem, zawsze była szansa, że snajperzy przyśpią, a skoro tamci podchodzili, zapewne chcieli ich aresztować. Kątem oka zauważył, że umundurowani żołnierze Imperium siedzący przy stoliku wstają.

- Umiejętność bójki zaraz się przyda. - Sokole Oko najwyraźniej zobaczył to samo.

- Mogliśmy więcej ćwiczyć. - Delaviente pogodnie przyglądała się zbliżającym się od frontu fałszywym cywilom. - Szko... To znaczy właściwie nie.

Polak w ostatniej chwili zorientował się, że drugie hasło nie padło. Ręka z wydobytym do połowy pistoletem zamarła, choć nie miał wątpliwości, że tamci musieli coś zauważyć. Ale nie.

stronę umundurowanych żołnierzy.

- Baczość! - warknął mulat z blizną, a Marcin niemal podskoczył. - Kapralu Shinzou, pan i pańscy ludzie pójdą z nami.

Przez dobrą chwilę Wierzba nie mógł uwierzyć w to, co się wydarzyło, na szczęście nogi same niosły go do wyjścia, choć jego stawy nagle stały się miękkie. Automatycznie zrobił pięć, sześć, wreszcie osiem kroków, ale nadal nikt na nich nie zwracał uwagi. Żołnierze - ci w mundurach i ci po cywilnemu - wdali się w jakąś dyskusję, lecz nie potrafił ich usłyszeć przez wypełniający głowę szum. Spojrzał pytająco na Sokole Oko, ale Hiszpan tylko wzruszył lekko ramionami i wysunął dłoń spod marynarki.

Bez słowa minęli wyjście z sali, a potem dość opustoszały hol, by wreszcie wyjść na plac szumiący deszczem i miejskim hałasem. Nadal nikt ich nie atakował. Marcin prawie bezwiednie rozłożył parasol i ruszył pomiędzy ludźmi w stronę garażu, gdzie zaparkowali offroada. Pozostała trójka unijnych żołnierzy również milczała, jakby nie do końca przyjmowała do wiadomości fakt, że nadal oddychają. Ciało wciąż było gotowe do walki, ale umysł stopniowo akceptował myśl, że być może do niej nie dojdzie. Marcin zaczynał powoli wierzyć w ocalenie - a przynajmniej przeżycie następnych minut.

Taifeng czekał dokładnie tam, gdzie go zostawili, a automat grzecznie podziękował za przesunięcie karty przez czytnik automatyczny, inkasując przy okazji zbójcecko wysoką stawkę za parkowanie. Dopiero kiedy do niego wsiedli i odpalili silnik, padły pierwsze słowa, odkąd Delaviente niemal wypowiedziała hasło otwierające strzelaninę.

- Jak? - zapytał krótko Bryce, wstukując pospiesznie meldunek na microcomowej płytce.

- Mamy więcej szczęścia niż rozumu? - odparła, kierując offroada w strugę pojazdów sunących szeroką ulicą. - Może przejdź na głosowy?

- Dopiero poza strefą akcji - zaprotestował technik. - Kwestia zabezpieczenia.

- Duże miasto, własny garnizon... - Wierzba próbował sobie przypomnieć wiadomości o Xinfu, jakie usłyszał na odprawach. - Pewnie wewnątrzni też mają tu sporo roboty.

- Albo to pułapka.

- Decyzja pułkownika - rzucił cicho Sokole Oko.

Ekran trzymanego przez Bryce'a microcoma rozjarzył się, kiedy nadeszła wiadomość. Technik szybko przesunął wzrokiem po wyświetlonych informacjach.

- Już podjęta. - Podał urządzenie do przodu.

- Co dostaliśmy? - chciała wiedzieć kobieta.

wracamy do „Pałacu”.

Rachunek błędu

Xinfu, Fushun, system Shuncheng, 4.04.2212 ESD, 14:30 16:08 czasu lokalnego

W normalnej sytuacji Marcin ucieszyłby się z przekwaterowania do „Lisa o dziewięciu ogonach”. Położony nieco bliżej centrum Xinfu niż „Pałac”, hotelik oferował swoim gościom nawet pokoje - choć nadal niewielkie, wyglądały wręcz jak apartamenty po przypominających komory hibernacyjne miejscach do spania w ich poprzedniej mecie. Łóżko było szersze, a okno pozwalało wyjrzeć wprost na spiralny podjazd pomiędzy trzecim a czwartym poziomem miasta i sunące nim w strumieniach deszczu kolumny samochodów. Dziś jednak takie przemieszczenie oznaczało, że oddział już działał na poziomie planu alarmowego, a to nigdy nie były dobre wieści. Kiedy spoglądał w górę, wysoko ponad ulicę, pomiędzy wielkoformatowe animowane reklamy na ścianach wież centralnych, mógł zobaczyć pojedyncze punkty świateł pozycyjnych płynących w powietrzu strumieniowców i instykt cały czas zmuszał go do zakładania, że są poszukiwani.

W swoim czasie poważnie zastanawiał się nad sensem istnienia tej ilości hoteli w Xinfu. Przecież na Fushun nie było znowu aż tak wiele osad, a samo miasto skupiało w sobie gros mieszkańców planety. Nie sądził, żeby którykolwiek z żyjących tu ludzi potrzebował miejsca w hotelu, a przyjezdnych nie mogło być aż tak wielu. Jak się jednak okazało, miejsc takich jak „Pałac”, czy „Lis” funkcjonowało w mieście całkiem sporo - na tyle wiele, że mogli się w nich ukrywać. Cartwright tłumaczyła jeszcze na „Orle”, iż ma to związek z tym, że Fushun jest punktem węzłowym sieci komunikacyjnej pogranicza Imperium i hotele służą za tymczasowe miejsca noclegowe dla tysięcy osób odwiedzających planetę każdego dnia. Z jakiegoś powodu nie pozwalało to jednak oddziałowi Brisbane'a dostać się na jej powierzchnię w charakterze podróżnych. Cóż, pułkownik zapewne miał swoje powody, jak powiedziałaby Sokole Oko.

Dzwonek do drzwi przerwał jego rozmyślenia. Wierzba szybko schował do torby położony na łóżku pistolet i spojrzął na ekran kamery. Odetchnął z ulgą, kiedy ukazała mu ona znajomą sylwetkę Hiszpana. Nawet nie wiedział, jak bardzo napięcie ostatnich godzin dawało mu się we znaki. Wdusił przycisk zwalniający zamek.

- Coś nowego?

Podoficer uniósł trzymaną w drugiej dłoni torbę z automatu z jedzeniem.

- Kapral Delaviente przesyła mnie z posiłkiem. I wieściami.

- Dobrymi? - Polak przyjął przyjemnie ciężką torbę.

- Zależy, jak na to patrzeć. - Sokole Oko podszedł do okna i przez chwilę przyglądał się w milczeniu spływającym po nim strumykowi.

- Rozumiem, że nasza wpadka nie pozostała bez echa? - Polak zajrzał do torby, ale była w niej jedynie zawinięta w folię kanapka i hermetycznie zamknięty kubek z kawą.

- Za dwie godziny udajemy się do centrum handlowego „Imperia”. - Hiszpan obrócił się do Marcina. - Plan Zielony.

Marcin zaklął pod nosem. Plan Zielony służył oderwaniu się od ewentualnych śledzących przy pomocy drugiego z posiadanych przez Brisbane'a unijnych kontaktów pracującego w centrum handlowym. Jego realizację przewidziano jedynie przy wysokim ryzyku obserwacji nieprzyjaciela. Nie trzeba było geniusza, aby wytypować, który z dwóch zespołów miałby być obserwowany. Okno nagle stało się wadą ciasnego pokoju.

- Czyli jednak byli tam po nas. - Złamał plastikową zawleczkę i po kilku sekundach pomieszczenie wypełnił mocny aromat podgrzanej chemicznie kawy.

- Może. Albo pułkownik po prostu nie chce ryzykować.

- Wszystko się skomplikuje - westchnął Wierzba. - Pewnie spali nam drugi kontakt, postawi wroga w stan gotowości... Wykonać jakikolwiek ruch w okolicy rafinerii będzie potem cholernie trudno.

- Owszem - zgodził się kapral. - Jeżeli jednak teraz jesteśmy pod obserwacją, będzie jeszcze trudniej.

- Więc czemu Brisbane nie próbuje uderzyć w dziewiątkę? Ma ludzi, ma sprzęt...

- Nie wiem, ale obstawiałbym, że pułkownik rozważył tę opcję. Może uznał, że nie wykona planu bez kompletu ludzi.

- Za to wykona go w ogóle bez ludzi?

- Marcinie... - uśmiechnął się Sokole Oko - nie wierzysz za bardzo w pułkownika Brisbane'a, prawda?

Polak przez chwilę milczał, kupując czas kolejnymi łykami kawy.

- Nie. - powiedział wreszcie. - Zakładam, że zna się na swojej robocie. Nie wierzę za to, że mówi nam wszystko, mimo jego gadki o dobrze poinformowanych ludziach. No bo jak to jest z tym naszym superagentem, który jednocześnie mógł nam przekazać klucze do sieci kontroli lotu, a nie był w stanie załatwić lądowania? Dlaczego nagle odpalamy plan Zielony,

kiedy tylko trzecia część zespołu, i to ta bez maga, jest pod obserwacją? Dlaczego podcinamy sobie ścięgna przed finałowym odcinkiem biegu?

Hiszpan doczekał spokojnie do końca wybuchu Marcina i jeszcze kilka sekund.

- Ale uważasz go za kompetentnego - powiedział wreszcie.

- Dokładnie. Dlatego myślę, że plan, który znamy, nie jest prawdziwy.

- W takim wypadku... czy nie prościej by było dać Imperium nas schwytać? - zauważył kapral. - Jeżeli nie znamy prawdziwego celu operacji, moglibyśmy wprowadzić ich w błąd. Trudno też uznać, że jesteśmy dla niego jakoś szczególnie wartościowi.

Polak przez chwilę przyglądał się koledze. Nie sposób było odmówić trafności jego argumentowi. Rzucenie czwórki obserwowanych ludzi na pastwę Chińczyków, żeby osłonić swój manewr, doskonale pasowało do profilu oesów istniejącego w głowie Marcina.

- Nasza próba wymknięcia się przez „Imperię” może być właśnie wystawką - powiedział wreszcie.

- Może - zgodził się Sokole Oko. - A wiesz, jak to zmienić?

- Nie - przyznał Wierzba.

Hiszpan pokiwał powoli głową i znów wbił wzrok w okno.

- Nie twierdzą, że pułkownik mówi nam wszystko - powiedział spokojnie. - Uważam tylko, że nie powinniśmy przyjmować, iż jest naszym wrogiem. Nie musimy zakładać, że chce nas zabić.

- Zakładam raczej, że zrobi to bez namysłu, kiedy to będzie opłacalne.

- Poświęcenie czwórki ludzi jest manewrem, który w imię misji wykona każdy dowódca - skontrował natychmiast Hiszpan, nie odrywając wzroku od okna. - Ja bym to zrobił, porucznik Cartwright była gotowa to zrobić przy tamtym wraku na Bagnie.

- Skąd wiesz? - zdziwił się Marcin. - To znaczy, że Cartwright wtedy...

- Wiem. - Sokole Oko minimalnie wzruszył ramionami. - W każdym razie niezależnie od tego, jakie ma zadanie, jest ono raczej ważne. Jeżeli chodzi o przygotowanie gruntu pod desant, jak mówił, to wisi na nas jego powodzenie. Jeżeli o coś innego, stawka jest pewnie porównywalnie wysoka. Myślę, że wszyscy liczyliśmy się z ryzykiem. Po prostu gra jest warta świeczki.

- Masz talent do ustawiania do pionu. - Marcin westchnął. Wiedział, naturalnie, że w słowach kaprala jest sporo racji. Byli szeregowymi żołnierzami, powinni liczyć się z tym, że ich trupy utorują drogę innym. Musiał jednak przyznać, że tym razem przynajmniej zapłata była wysoka. Przez chwilę pozwolił myślom przywołać obrazy - Bueller, Szafy... Kici.

- Jestem podoficerem. - uśmiechnął się Hiszpan. - Ustawianie cię do pionu jest moją

pracą.

- Nigdy nie masz żadnych wątpliwości? - Polak usiadł na wąskim łóżku. Pogoda ducha Sokolego Oka w pewien sposób uspokajała i jego.

- Jestem pełen wątpliwości - odparł stojący przy oknie mężczyzna. - Niepokoją mnie na przykład możliwe wymiany ognia w środku miasta. Za dużo ludzi, zbyt łatwo o przypadkowe ofiary. Podwładni pułkownika... chyba nie mają tego problemu.

- Nikt nie strzela do cywili specjalnie, nie?

Hiszpan odwrócił się i spojrzał na niego ze smutną rezygnacją.

- A jakie to ma znaczenie? - zapytał, unosząc pytająco brew.

Polak nie wiedział, co odpowiedzieć, kiwnął więc tylko głową i pociągnął kolejny łyk kawy. Była całkiem dobra jak na napój z automatu.

- Jak docieramy do „Imperii”? - zmienił temat.

- Offroadem - odparł krótko Sokole Oko.

Polak bez słowa rozpakował zawiniętą w błyszczącą folię kanapkę. Decyzja była sensowna. Jeśli ich śledzono, to i tak nie mieli szans się wywinąć, a przynajmniej nie zmokną.

- Myślisz, że Brisbane dotrzyma słowa? - spytał, przeżuwając kęs gumiatego pieczywa.

- Chodzi ci o załatwienie wymiany reszty plutonu?

- Tak.

Alvarez wahał się przez chwilę.

- Podobnie jak ty - powiedział wreszcie - jestem tutaj wyłącznie w tym jednym celu. Wierzę, że jest w stanie to zrobić. Wierzę, że zdaje sobie sprawę, jak nam na tym zależy.

- Miejmy nadzieję, że to wystarczy - mruknął Polak.

- Ja mam nadzieję. - Łagodny zwykle głos Sokolego Oka zabrzmiał metalicznie. Spojrzenie ciemnych oczu stało się tak zimne, że Marcin musiał opuścić wzrok. Przyszło mu na myśl, że chyba nie chciałby wiedzieć, co właściwie Alvarez robił, zanim wstąpił do armii.

- Gdyby nas zawiódł, byłbym bardzo zawiedziony.

IS „Smaragd”, 4.04.2212 ESD, 16:28

- Drugi raz. - Liao zachował kamienną twarz, choć daleko mu było do spokoju. - Czy naprawdę nie dało się tego uniknąć?

Wizerunek Mei Lin sięgnął poza pole holograficzne i po chwili na ekranie komunikacyjnym pojawił się plik raportu od jej ludzi na planecie.

- Padliśmy ofiarą skuteczności armii, admirała. - Kobieta nie traciła opanowania. - Dowódca grupy zabezpieczenia łączności wyraźnie wyciągnął wnioski z nagłego zwiększenia

stanu osobowego jego oddziału. Położył monitoring na wszystkie łącza, którymi dało się dopchać do anten i... cóż.

Liao Tzu milczał. Po raz kolejny misterny plan utrzymania grupy unijnych komandosów w niewiedzy o mały włos nie runął i znowu nie było to wynikiem niekompetencji, a wręcz przeciwnie. Czujność i gotowość do podjęcia samodzielnych działań. Tzu musiał przyznać, że nabierał respektu do garnizonu Xinfu.

- Zareagowaliśmy natychmiast - Lin przerwała milczenie. - Moi ludzie wkroczyli, zanim tamci zaczęli.

-... A jednak nieprzyjacielscy żołnierze nie wrócili do swojej bazy wypadowej. - Tzu nie patrzył na szefową wywiadu, spokojnie czytając przesłany przez nią dokument.

- To prawda. Może to być albo część ich planu, albo środek ostrożności.

- Powiedziałbym raczej, że reakcja na nasze ruchy wokół nich. - Tzu wywołał na monitor dossier podpułkownika Brisbane'a. - Z tego, co wiemy, nie powinniśmy lekceważyć ich dowódcy.

- Dlatego nadal ich monitorujemy... Przepraszam, sir. - Holograficzna podobizna Lin nagle zmarszczyła brwi i obróciła się, by spojrzeć na coś poza polem widzenia admirała. Liao Tzu czekał cierpliwie, obserwując, jak kobieta zamienia kilka słów z niewidocznym rozmówcą. Protokół nakazywał ją skarcić, ale przecież pułkownik Lin o tym wiedziała. Więc albo właśnie obserwował bardzo nietypowe wyzwanie, albo zakładała, że nic jej nie grozi. A to by oznaczało, że wiadomość była naprawdę ważna.

- Admirale Liao Tzu - Mei Lin zwróciła się na powrót ku niemu. Formalnie neutralny wyraz twarzy z trudem ukrywał ekscytację. - W punkcie skokowym właśnie pojawił się kurier wiozący raport wywiadu dotyczący wrogich sił uderzeniowych.

- Co zatem wiemy? - zapytał spokojnie, starając się zachować kamienną twarz.

- Siły wroga... - pułkownik uniosła dłoń i w polu holograficznym pojawił się niewidoczny dotąd datapad -... wykonały skok w naszą przestrzeń.

- Powinniśmy mieć około pięciu dni, jak rozumiem? - szybko przeliczył Liao. Prawie dwa tygodnie zajmował skok z unijnej przestrzeni do Baity, zakładał więc, że czas skoku bezpośrednio do Shuncheng, systemu Fushun, zajmie podobny czas. Kurier leciał co prawda niemal dwa razy krócej niż najszybsze okręty liniowe, ale ponieważ jego załoga nie znała skrótu, którego mieli użyć przeciwnicy, musiał przeskoczyć do granicznej Baity i stracić dzień na kolejny skok, tym razem do celu.

- Dział analiz wykonał ekstrapolację znanych tras skokowych i szacuje, że wrogowie wejdą do Shuncheng za cztery dni i czternaście godzin. - Kobieta spojrzała na trzymany w

ręku raport. - Z dokładnością do dwunastu godzin.

Liao w duchu odetchnął z ulgą. To oszacowanie spędzało mu sen z powiek, na szczęście i ono poszło po jego myśli. Nawet najbardziej pesymistyczne obliczenia dawały mu prawie dobrą na podjęcie decyzji o rozmieszczeniu sił i wysłanie rozkazów - a wezwane siły przybędą do Shuncheng nadal przed wrogiem.

- Rozumiem, że prognozy dotyczące sił wroga pozostają niezmiennie? - zapytał jeszcze.

- Niezmiennie - potwierdziła Lin. - Według moich danych zespół krążowników i jednostek desantowych oraz eskadra liniowa EUS „Chimera” skoordynowały skok, by pojawić się w systemie jednocześnie.

- To pewna informacja? - Admirał poczuł energię wypełniającą mu żyły. Siły wroga w końcu wykonały ruch.

- Żadna informacja wywiadu nie jest w stu procentach pewna, admirale - odparła kobieta. - Ale mogę zapewnić, że informacje z tego źródła są zazwyczaj bardzo dokładne.

Liao powoli skinął głową, choć w duchu tańczył z radości. Czas obserwowania, jak nieprzyjacielscy komandosi krążą po mieście, które miał ochraniać, dobiegł końca. Wroga flota skoczyła i teraz nie było już sposobu, by ją zatrzymać. Ludzie pułkownika Brisbane'a nie mogli ostrzec swoich towarzyszy broni o imperialnej zasadzce.

- Rozumiem i dziękuję, pułkownik Lin - powiedział, skinąwszy głową z aprobatą. - Proszę zawiadomić swoich ludzi, że ruszamy. Jest pani wolna.

- Admirale. - Lin uniosła dłoń do skroni i rozłączyła się, kiedy tylko odsalutował.

Samotny w cichej sali konferencyjnej pozwolił sobie na szeroki uśmiech i głęboki oddech ulgi. Kończyła się gra wywiadu, zaczynała się rozgrywka floty. Nareszcie coś, w czym czuł się pewnie. Minęło dobre pięć sekund, nim uspokoił bijące mocno serce i zajął się obowiązkami. Na radość jeszcze przyjdzie czas. Uruchomił komunikator i wywołał stanowisko dowodzenia.

- Admirale Liao Tzu. - Hologram wyświetlił komandora podporucznika Yen, łącznościowca eskadry „Smaragdu”.

- Proszę mnie natychmiast połączyć z siłami naziemnymi.

- Tak jest.

Czekając na połączenie, Liao przywołał w wyobraźni mapę systemu. Bitwa była nadal odległa, ale wyznawał zasadę, że nie sposób nigdy zbyt dobrze się do niej przygotować.

Xinfu, Fushun, system Shuncheng, 4.04.2212 ESD, 16:32 18:10 czasu lokalnego

„Imperia” wznosiła się dobre kilka kondygnacji ponad plac, na którym umiejscowiono

główne wejście - szeroką, stylizowaną na tradycyjną chińską bramę w złote i czerwone wzory. Jej olbrzymie skrzydła z imitacji drewna na pierwszy rzut oka wyglądały na zbyt masywne, by w ogóle dało się je zamknąć, choć z drugiej strony prawdopodobnie nigdy nie było takiej potrzeby - centrum rozrywkowo-handlowe nie zasypiało, zawsze otwarte i chętnie przyjmujące nowych gości. Strefa pola hydrofobicznego rozciągała się na znaczącym obszarze przed zadaszeniem, tworząc bezpieczną od deszczu przestrzeń, natychmiast zagarniętą przed niewielkie stoiska mijane dość obojętnie przez przemijający w obu kierunkach wartki potok mieszkańców Xinfu.

Centrum tętniło życiem spacerujących korytarzami ludzi, oddychało splecionymi rytmami rozmaitych tematów muzycznych puszcanych w sklepach, błyskając holograficznymi reklamami i ekranami informacyjnymi czy komunikatami odczytywanymi miłym kobiecym głosem automatu - najpierw w śpiewnym wysokim imperialnym, potem w bardziej twardych tonach linguy.

Zaparkowali offroada na niedalekim parkingu, choć idący za Sokolim Okiem Wierzbą cieszył się, że nie trafili tu od razu - jeśli przez pierwszy tydzień samo Xinfu działało na niego stresująco, w „Imperii” pewnie by zwariował od nadmiaru bodźców. Teraz oswoił się nieco z miastem, więc hałaśliwy ekstrawertyzm centrum handlowego był dla niego zaledwie nieprzyjemny, a bliskość mijanych ludzi stanowiła co prawda silny dyskomfort, ale już nie budziła paniki. Zupełnie innym problemem był zaparkowany nieopodal wóz policyjny, przy którym dwójka umundurowanych funkcjonariuszy flirtowała z młodą dziewczyną w wyzywającym stroju i o mocno różowych włosach. Tych umysł żołnierza postrzegał jako uzbrojonych i szkolonych do walki. Mimo że Polak doskonale zdawał sobie sprawę, że w takim mieście jak Xinfu policjant jest wojownikiem tylko z nazwy, podświadomość włączała alarmy, ilekroć wzrok któregoś z mężczyzn kierował się choćby mniej więcej w jego stronę. Instynkt nie chciał być zbyt posłuszny świadomości i Polak poczuł się znacznie lepiej, kiedy minęli szerokie wrota, znikając obu funkcjonariuszom z oczu.

We wnętrzu budynku nie było już takiego tłoku - ludzka fala szybko rozpraszała się w windach i klatkach schodowych, była pochłaniana przez sklepy, przystawała przy bajecznie kolorowych holo. Jednak co rusz któryś z żołnierzy niemal zderzał się z jakimś zajęтым swoimi sprawami cywilem, a tempo marszu ledwo przekraczało spacerowe.

- Czemu wszyscy mieszkańcy Xinfu są akurat tu? - burknął Marcin, robiąc krok w bok, by uniknąć zderzenia z czteroosobową rodziną ciągnącą sporych rozmiarów wózek i z niezwykle wycuciem pakującą go pod nogi każdego mijanego człowieka. Grubawy mężczyzna, najwyraźniej ojciec, był ledwo widoczny znad góry zakupów.

- Dla większości dziś jest dzień wolny - wyjaśnił Hiszpan, odwracając się przez ramię.
- Więc wypoczywają.

Polak tylko wywrócił oczami. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak można było pobyt w „Imperii”, w nawale hałasu, kolorów i zapachów, uznać za wypoczynek. Swoją błąd uświadomił sobie dopiero wtedy, gdy zatrzymali się przed przezroczystymi tubami szybów windowych. Pamiętał, że sam chodził w takie miejsca, dawno temu, kiedy jeszcze się uczył. Teraz po prostu nie mógł sobie przypomnieć, dlaczego. To nie ci ludzie byli więc szaleni.

Winda była przestronną, transparentną kabiną sunącą w szybie o okrągłym przekroju. Jakimś cudem, pomimo natłoku klientów w centrum handlowym, oprócz czwórki żołnierzy przewoziła niewielu pasażerów. Poza nimi do kabiny wszedł chyba stuletni staruszek w szarym płaszczu i o twarzy pomarszczonej jak rodzynka, a także młoda parka - chłopak w wojskowych spodniach, kurtce ze sztucznej skóry i z twarzą ożywioną holotatużami oraz niższa o niego o pół głowy skośnooka dziewczyna, ubrana w wysokie buty, wykańczane futrem szorty i jaskrawy bodypainting przedstawiający zwiniętego w kłębek smoka. Dzieci, pomyślał odruchowo Wierzba, choć żadne z dwójki nie wyglądało na młodsze od niego o więcej niż dwa lata.

Przejechali w milczeniu przez cztery kondygnacje „Imperii” - dwa poziomy zalewanego strugami deszczu miasta. Polak próbował przypatrywać się sunącym w górę obrazom, ale deszcz skutecznie to utrudniał. Daleko nad przezroczystym dachem windy ruszyła w dół kolejna kabina - rzecz całkowicie naturalna w tak wielkim budynku, lecz wywołująca lekkie ukłucie niepokoju. Marcin nie miał jednak czasu na rozważania. Drzwi rozsunęły się bezszelestnie, wpuszczając cieplejsze powietrze i dźwięki muzyki płynącej z systemów audio centrum. Para nastolatków wysiadła jako pierwsza. Idąca z tyłu dziewczyna mrugnęła do Polaka, a potem oddaliła się za swoim towarzyszem, sugestywnie kręcąc biodrami. Malowany smok zdawał się oddychać w rytm ruchów jej wystających łopatek. Staruszek, przepuszczony w wyjściu przez Sokole Oko, powiedział coś niezrozumiałego w wysokim imperialnym i uśmiechnął się białymi implantami zębów.

- Sektor szósty powinien być gdzieś tam. - Bryce wskazał ruchem głowy na wyświetlany nieopodal plan poziom. - I mamy jeszcze prawie pięć minut.

- Spotkanie takiej grupy nie robi tu widowiska? - Wierzba zgrabnym unikiem zszedł z drogi otyłemu mulatowi, wyraźnie tak pochłoniętemu okularami dostępu do sieci, że w ogóle nie zwracał uwagi na otoczenie.

- Tu? - parsknęła Delaviente. - Może jakbyśmy przyjechali czołgiem, choć pewnie i to wzięliby za reklamę.

Wskazała na sunącą pod ciemnoczerwonym sufitem projekcję feniksa. Majestatyczny ognisty ptak leciał tuż nad nimi, a płomień na jego skrzydłach układał się w nazwę jakiejś kompanii ubezpieczeniowej. Prawie mogli wyczuć gorąco.

Punkt spotkania znajdował się pomiędzy dość hałaśliwym salonem erotycznym a sklepem z kosmetykami obok niewielkiego stoiska, na którym sprzedawano trudne do zidentyfikowania gadzety. Zapachy perfum i feromonów mieszały się ponad imitującą drewno podłogą korytarza, tworząc trudną do zignorowania mieszankę. Nieco dalej Polak widział bajecznie kolorowy sklep z elektroniką oraz drugi, chyba z medycyną naturalną.

- Wstąp ze mną w świat wyobraźni, rycerzu - powiedziała holoprojekcja kobiety przy stoisku gadżetowym. Miała szpiczaste uszy i ubrana była w coś, co mogło być efektem wyjątkowo kreatywnego podejścia do skórzanej zbroi. Sponad ramienia wystawała jej rękojeść miecza. - Ze mną i z grami NeoSilk Studios - dodała, patrząc na Polaka złotymi oczyma o pionowej źrenicy. Cóż, przynajmniej wiedział, co tu sprzedają.

- Co teraz? - Spojrzał pytająco na Delaviente. Kobieta rozsiadła się na stojącej przy ścianie ławce i przymknęła oczy.

- Czekamy.

Zerknął na zegarek na swym dość topornym asystencie osobistym. Pułkownik Brisbane zasugerował użycie wielofunkcyjnego interfejsu na szklach kontaktowych, ale Marcin wolał proste rozwiązania, nawet jeśli wydawały się nieco archaiczne. Podczas służby odzwyczaił się od cywilnej elektroniki i w konsekwencji wolał ją trzymać niezbyt blisko ciała. Wyświetlacz pokazywał szóstą część Fushun, dwie godziny przed północą. Dokładnie o tej porze mieli się spotkać z resztą.

- To już - zauważył.

- Wiem.

- Rewolucyjna mechanika sprawi, że całkowicie pochłonie cię fantastyczny świat - zachęcała szpiczastoucha dziewczyna. - Sterowany przez system decyzyjny o złożoności sześć i dwadzieścia cztery setne.

Polak skinął głową. Kiedy rozejrzał się dyskretnie, nie dostrzegł nikogo znajomego, ale to jeszcze nic nie znaczyło. Sami dopiero co tu dotarli. Grupie Brisbane'a mogło wypaść tysiąc rzeczy w zatłoczonym centrum miasta, każda z nich całkiem niewinna. Mijały kolejne minuty.

Głośny linepop puszczany przez systemy nagłaśniające „Imperii” zastąpiła lekko nostalgiczna ballada. Potem puszczono ostry kawałek stunfolku zespołu, który Polak kojarzył, ale nie potrafił przywołać w pamięci jego nazwy. Następnie jeszcze dwa ogłoszenia

promocyjne, wreszcie jakąś taneczną muzykę, lepiej pewnie pasującą do zatłoczonego parkietu. Ludzie przechodzili obok nich obojętnie, nie poświęcając czwórce żołnierzy ani sekundy dodatkowej uwagi. Holograficzna dziewczyna zapewniła, że złożoność oprogramowania NeoSilk jest poniżej granicy dopuszczonej w cywilnym sprzęcie, jednocześnie wystarczając do pełnej immersji w krainie Legendy Zeong. Czymkolwiek ona była. Feniks kompanii ubezpieczeniowej przepłynął znowu obok nich, a potem jeszcze raz.

- Dwadzieścia minut - zauważył cicho Sokole Oko.

- Wiem - odparła krótko Delaviente.

- Nie próbują nawet się połączyć.

- Wiem. - Hiszpanka spojrzała na rodaka zirytowana.

- Czy nie powinniśmy uznać, że warunki spotkania się zmieniły?

- Wiem.

- Sugeruję przenieść się - powiedział uprzejmie podoficer.

- A ja uwa... - przerwała dokładnie w momencie, kiedy asystent Polaka zasygnalizował wiadomość, równocześnie z cichym piskiem urządzenia Hiszpana. Jak na zawołanie oczy Delaviente i Bryce'a przybrały charakterystyczny nieobecny wyraz, gdy dwójka żołnierzy sprawdzała wyświetlacze. Polak zerknął na ekran asystenta, wyświetlający tylko dwa słowa: „NeoSilk. Brisbane”. Przez prawie pół sekundy zastanawiał się, jakim cudem reklama zna nazwisko pułkownika. Z niedowierzaniem spojrzał na projekcję.

- Wyjście techniczne 6-B - powiedziała, przeciągając się. Złote oczy przyglądały mu się uważnie. - 6-B. Natychmiast.

Delaviente już podrywała się z ławki, kiedy na całym poziomie nagle zgasło światło. Sekundę później zawyły syreny alarmowe.

*

Z trudem powstrzymywał się od biegu. Szedł na pamięć, dziękując opatrności za wkuwanie planu ewakuacyjnego „Imperii” jeszcze na pokładzie „Orła”. Pozostali byli obok, trzy sylwetki przesuwające się pośród licznych klientów centrum. Szeroki korytarz prawie natychmiast wypełnił się tłumem, dotychczas rozproszonym wewnątrz sklepów, restauracji i centrów rozrywkowych. Omal nie wpadł na kogoś, odruchowo wypowiadając słowo „przepraszam”, potem oczy zaczęły przywykać do mroku. Przez pierwsze sekundy sądził, że ciągłą syrenę uruchomiło Imperium, kiedy schwytało pozostałych przy Brisbane ludzi. Że ich misja właśnie się kończy, a wiadomość była podjęta przez pułkownika ostatnią próbą wyciągnięcia choć kilku osób z zasadzki. Jednak po kilkunastu krokach, kiedy korytarz rozjaśniły światła awaryjne, a nadal nikt do nich nie strzelał, umysł wskoczył na właściwe

tory.

Alarm przeciwpożarowy. Pewnie działo się coś ważnego, skoro padło zasilanie.

Dopiero wraz z tą myślą dotarli i inne sygnały. Miły, kobiecy głos zastąpił puszczaną przez system nagłaśniający muzykę. Na podłodze zapłonęły pomarańczowe strzałki, znaczące drogę ku wyjściom ewakuacyjnym. Tłum w korytarzu zafalował i ruszył we wskazywanym kierunku. Marcin wyłapał kilkanaście zaskoczonych spojrzeń - czwórka żołnierzy przemieszczała się dokładnie w przeciwną stronę, coraz wolniej przepychając się pomiędzy ludźmi.

- Proszę zachować spokój - powiedział przyjemnym głosem mijany głośnik, walcząc o lepsze z wyjąca syreną. - Proszę podążać za wskazaniem oznaczeń na podłodze i ścianach. - Minęli pierwszy z trzech fragmentów korytarza, który dzielił ich od wyjścia technicznego 6-B.

Nad windami jaśniały czerwone znaki, informujące, że urządzenia są nieczynne ze względów bezpieczeństwa, a wszystkie wyświetlacze pokazywały teraz jaskrawe oznaczenia. Jakiś mężczyzna w mundurze ochrony ruszył w ich stronę, ale po kilku krokach zrezygnował i tylko krzyknął coś za nimi. Minęli restaurację i duży sklep sportowy. Ich frontony powoli znikwały za zasuwającymi się ciężkimi roletami. Tłum nie przerzedzał się, co nieco dziwiło Marcina - w takim miejscu wyjść ewakuacyjnych powinno być wiele.

- Ochrona centrum udzieli państwu wszelkiej koniecznej pomocy - poinformował uprzejmy kobiecy głos. Byli już całkiem niedaleko celu, o ile dobrze pamiętał plan. Nagle gdzieś ponad nimi rozległ się stłumiony wybuch, a potem - zdecydowanie bliżej - kilka wystrzałów. Spokój i uporządkowanie ewakuacji „Imperii” zniknęły w jednej chwili. Jakaś wysoka dziewczyna o zafarbowanych na błękit włosach krzyknęła, ktoś inny zaczął biec, co natychmiast podchwycili pozostali. Pojedyncze osoby obrastały grupkami, potem grupami, sunącymi pośród tłumu, popychającymi i przewracającymi tych, którzy nie potrafili utrzymać tempa. Ktoś wpadł na Polaka i odbił się od niego, nieomal przewracając się na pulsującą na podłodze strzałkę. Marcin w ostatniej chwili zdążył chwycić cywila za poły niebieskiej kurtki. Ten tylko krzyknął coś w absolutnie niezrozumiałym slangu i pobiegł dalej.

- Prosimy o zachowanie spokoju - przekonywała kobieta z głośnika. Wierzba przyspieszył, usiłując nadrobić dystans stracony do reszty podczas feralnego zderzenia. Syrena wyła opętańczo ponad falą przerażonych ludzi. Gdzieś w okolicach schodów ktoś znowu wystrzelił. Chiński karabinek A-4, rozpoznał natychmiast Marcin. To nie mogli być ludzie pułkownika.

Rozległ się krzyk, a potem dołączyło do niego kilka kolejnych. Kiedy Marcin obejrzał

się, zobaczył, jak w oddali tłum ludzi zderza się z biegnącą w przeciwnym kierunku grupą, najpewniej uciekającą przed wystrzałami. Ktoś go potracił, potem znowu. Próbował dostrzec ponad głowami ludzi kogoś ze swoich, ale bez skutku.

- Ochrona centrum udzieli państwu wszelkiej koniecznej pomocy - zabrzmiał komunikat i wtedy Marcin rzeczywiście zauważył dym wydobywający się z wentylacji. Nie on jeden zresztą. W korytarzu rozległ się krzyk płynący z kilkudziesięciu gardeł i pogrążony w panice tłum spróbował przyspieszyć. W widocznym nieopodal wyjściu ewakuacyjnym ludzie zostali wepchnięci z powrotem do budynku. Polakowi zdawało się, że na zewnątrz widzi wojskowych i chyba jakąś szamotaninę, ale nie zatrzymywał się. Całkiem niedaleko zauważył już wnękę, w której znajdowało się wyjście techniczne 6-B. W uchylonych drzwiach stał Bryce, rozpoznawalny po rudej czuprynie. Marcin przyspieszył.

Trzasnął wystrzał, całkiem blisko. Cholera, co oni robią, zdążył pomyśleć Polak, pochylając się. Wokół było pełno cywili. Dostrzegł Delaviente przebiegającą obok Bryce'a, a także Sokole Oko, który chyba zwolnił, czekając na niego. Drugi wystrzał zniszczył ścienny wyświetlacz, dobre kilka metrów od Wierzby. Kolejny strzaskał głośnik, przerywając płynący zeń strumień spokojnych rad. Syrena wyła donośnie nad piekłem błyskającym światłami awaryjnymi. Teraz widział już wyraźnie dym, który tworzył szarą zawiesinę w powietrzu. Korytarz cuchnął spaloną izolacją, mieszkanką zapłonową i paniką.

Dołączył właśnie do Sokolego Oka, kiedy usłyszał kolejne wystrzały. W takich warunkach nie mogli ich przecież trafić, nawet korzystając z pełnego wspomagania. Strzelali, licząc na szczęście... Ale tutaj przecież nikt rozsądny by tego nie zrobił. To musiało się tragicznie skończyć.

Kolejny strzał był o wiele celniejszy od poprzednich. Mijający właśnie Wierzbę starszy Azjata niosący przyciśniętą do piersi kolorową torbę nagle krzyknął i padł na podłogę. Polak najpierw dostrzegł krew na jasnej kurtce, potem wypadającego z pakunku jakiegoś kolorowego pluszaka. Kilku najbliższych mu ludzi zaczęło krzyczeć, starając jak najszybciej odbiec od ciała. Wpadali tym samym na innych, potęgując i tak już wszędzie panujący chaos. Inni, którzy nie słyszeli lub nie rozpoznali wystrzałów, szybko włączyli się w wolną przestrzeń. Dwie, trzy osoby przebiegły po leżącym mężczyźnie, dodając brudne ślady do plamy krwi na jasnym materiale. Sokole Oko przez chwilę przeskakiwał wzrokiem pomiędzy postrzelonym Chińczykiem a czekającymi oesami, a potem odwrócił się do Marcina.

- Nie pozwól im zamknąć drzwi! - krzyknął i zanurkował w stronę skulonego na podłodze mężczyzny.

- Zgłupiałeś? Gdzie chcesz go zabrać? - Polak rozejrzał się ponad tłumem. Coraz

więcej żołnierzy wpadało na korytarz, rozpychając tłum. To, że ich jeszcze nie dopadli, zawdzięczali wyłącznie spanikowanej klienteli „Imperii”, która nie bardzo miała gdzie uciec przed wojskowymi.

- Tylko do wnęki! - dobiegła go odpowiedź kaprała. - Leć!

- Tak jest! - odkrzyknął i pognął w stronę pochylonego Bryce'a.

Gdy tylko zbliżył się do wejścia technicznego, technik wciągnął go w ciemniejszy korytarz.

- Co się, kurwa, dzieje? - wrzasnęła mu prosto do ucha Delaviente. - Gdzie pieprzony Alvarez?

- Idzie! - Polak rzucił się do drzwi. - Czekamy!

W miarę spokojne przejście dla obsługi „Imperii” pozwoliło na lepszy ogląd sytuacji, niż miał w samym środku chaosu, stanowiącego niewątpliwie najgorzej przeprowadzaną ewakuację, jaką kiedykolwiek widział. Powietrze zasnuwała cieniutka szarawa mgielka rozproszonego dymu. Ludzie nie mogli wydostać się na zewnątrz, bo wyjścia ewakuacyjne blokowało wojsko, w dodatku teraz żołnierze wbiegali do środka z uniesioną bronią. Zdezorientowani, przerażeni, oszukani przez jaskrawe oznaczenia klienci kompleksu wpadali na siebie, usiłując znaleźć drogę ucieczki. Sokole Oko był całkiem niedaleko. Podtrzymał starszego Azjatę w zakrwawionej kurtce. Szedł powoli, ale ciągle naprzód, w ich stronę.

- Czy on chce nas zabić? - Hiszpanka musiała krzyczeć, żeby być słyszalną ponad syreną i krzykami. - Nie mamy na to czasu!

Krótką serią zagrzechotała na powierzchni drzwi, na szczęście zbyt grubych, by się poddać. Rzucona przez tłum na ścianę kobieta w średnim wieku wrzasnęła i chwyciła się za twarz.

Ktoś usiłował wbiec do ich przejścia, ale Delaviente odepchnęła go z powrotem w szalejący tłum.

- Daj mi dwadzieścia sekund! - odpowiedział Wierzba. - Czekamy na niego!

Kolejna seria wydrążyła tunele w dymnej zawieszynie i na podłogę runął szpakowaty metys. Sokole Oko popchnięty przez kogoś dał się na chwilę porwać ludzkiej fali, ale utrzymał równowagę. Przypominał teraz ratownika, rozpaczliwie walczącego z prądem wody.

- Zamykaj! - Delaviente gestem wskazała na drzwi. - W każdej chwili mogą nam tu wleźć i będziemy w dupie!

- Jeszcze chwila!

- Widzą nas, kurwa, zaraz zrobią z nas sita! - wrzasnęła mu prosto w ucho.

- Zamykaj! - zawtórował jej stojący z tyłu Bryce.

- Sokole Oko...

- Chuj z nim, już się w nas wstrzelali! - Delaviente była wyraźnie wściekła, drzwi jednak nie zamknęła.

Marcin szarpnął się, chcąc wyskoczyć na korytarz, ale zatrzymała go i rzuciła na ścianę.

- Rozjebią cię, debilu!

- Pomogę mu!

- Zostaniesz tutaj - syknęła tylko. - Jak zrobisz choć krok w tamtą stronę, zajebię. Ludzie zwalniali i pochylali głowy, kiedy słyszeli kolejne strzały, ale podrywali się natychmiast, by znowu biec. Ktoś zderzył się z Sokolim Okiem, lecz kaprał zabalansował ciałem i poprawił chwyt. Kolejna seria wpadła idealnie przez szparę w drzwiach i zadzwięczała na ścianie korytarza.

Pokonał cztery metry, korzystając z miejsca, gdzie tłum był rzadszy. W następnej chwili celna seria przeszła przez łopatkę niesionego rannego i trafiła go w plecy. Sokole Oko upadł na ziemię, przygnieciony ciężarem ciała.

Marcin rzucił się naprzód, ale znów zatrzymał go żelazny chwyt Hiszpanki. Dwie kolejne serie uderzyły w ścianę korytarza, tuż przed nosem Wierzby.

- Stój, kurwa! - ryknęła na niego. - Nie pomożesz!

Alvarez podniósł się chwiejnie, usiłując zarzucić sobie na plecy rannego. W prawej piersi kaprała ziały krwawe dziury, a z ust płynęła ciemna w półmroku krew. Ciężar przeważał go na jedną stronę, ale nie rezygnował.

Wtedy trafiły w niego kolejne pociski, sadząc czerwone kwiaty na materiale ubrania i rzucając go na ziemię. Przez dwie, trzy sekundy Marcin czekał na kolejny cud, na to, że Sokole Oko pokona ostatnie pięć metrów dzielących go od kolegów, ale tym razem on nie nastąpił.

- Spadamy - rzuciła tylko Delaviente. Szarpnęła Marcina, by wciągnąć go głębiej w korytarz, i zatrasnęła drzwi.

*

Chaos wypełnionej krzykami i trzaskami wystrzałów handlowej części centrum pozostawili za sobą. Zniknął zapach rzadkiego dymu, przerażenie zderzających się ludzi, zdeptane zakupy i wszechobecna panika. Z tyłu pozostał też Sokole Oko. Czas na żal przyjdzie później, pomyślał Wierzba. Póki co nie miał na to ani chwili. Teraz walczyli o własne życie.

Umykali przez słabo oświetlone korytarze techniczne, wypełnione jedynie tupotem ich

nóg. Zbiegali po wąskich stopniach, obok martwych oczu oślepionych kamer i poprzez otwarte drzwi oznaczone napisami „wstęp wzbroniony” i opatrzone zamkami kodowymi. Z każdym zakrętem Wierzba coraz lepiej pojmował, że żyją tylko dzięki przygotowaniu odwrotu przez kontakt pułkownika. Zbyt wiele mijali przejść, które powinny być zamknięte. To, że nie spotkali na swojej drodze ani jednego żołnierza, również sugerowało, że przemieszczali się trasą, której nikt nie rozpatrywał jako drogi ucieczki.

Kilka poziomów niżej natknęli się na leżące na środku korytarza cztery sportowe torby - zawierały ubrania, trochę gotówki, racje żywnościowe, śpiwory oraz samochodową kartę aktywacyjną. Zabrali je wszystkie - lepiej było nie pozostawiać imperialnym żołnierzom niczego, co mogło ewentualnie pomóc w poszukiwaniu unijnego wywiadowcy. Po przebiegnięciu kolejnych dwóch korytarzy i krótkiej pochylni przeznaczonych dla pojazdów technicznych wypadli na niemal pusty podziemny parking - wyraźnie przeznaczony dla personelu, tak ze względu na rozmiar, jak i brak oznaczeń prowadzących na główną drogę. Nie było tu poza nimi nikogo - bez wątplenia cały personel zajmował się próbami opanowania sytuacji na górze. Gdzieś z oddali dobiegało przeciągłe zawodzenie syren straży pożarnej i szybsze, wyższe sygnały dźwiękowe ambulansów.

Uruchomili nadajnik karty - zareagowała biała furgonetka oznaczona jaskrawoczerwonymi krzyżami. Podobnego koloru napis informował, że pojazd stanowi część wewnętrznego zespołu pomocy zdrowotnej centrum „Imperia”.

- Dobra nasza - uśmiechnęła się Delaviente, podchodząc do pojazdu i poklepując go po burcie. - Choć raz wywiad wykonał solidną robotę.

- Powiem to, jak będziemy daleko stąd - mruknął Bryce. - Kto prowadzi?

- Ja, chyba najmniej odwracałam się przodem do naszych chińskich znajomych. - Kapral wpakowała się do szoferki i zarzuciła na ramiona czerwoną kurtkę z oznaczeniami technika medycznego.

Wierzba bez słowa wsiadł do tyłu i spojrzał na stojące na środku nosze.

- Leżysz czy stoisz? - Bryce otworzył szafkę i wsadził do niej swoją torbę, jednocześnie wyciągając biały kitel.

- Leżę.

- Jak chcesz. - Technik wprawnym ruchem założył czepek dokładnie kryjący rudą czuprynę, a potem wciągnął na siebie strój pielęgniarza. - Zdejmuj buty i na nosze.

- Są papiery - rozległ się głos Delaviente z przodu i po chwili obok mężczyzn wylądowała saszetka z kartami identyfikacyjnymi. - Mam tylko nadzieję, że albo pułkownik zdążył dać naszemu dzielnemu szpiegowi znać, jak wyglądamy, albo jesteśmy przypadkiem

niezwykle podobni do ludzi z holo.

- Na wszelki wypadek lepiej ich nie używać. - Bryce wydobył ciemnozieloną kartę identyfikacyjną z logo „Imperii”. Podał Marcinowi drugą. - Weź, a nuż nie będą patrzeć zbyt uważnie na nas, niosących pomoc.

- Przyda się - powiedział Polak, leżący już na wąskich noszach. - Jeżeli trafimy na posterunek, to raczej wojskowy. Nawet jeśli zdecydują się zatrzymać ambulans, chyba nie mają policyjnych czytników, więc sprawdzą tylko numery na kartach i pošlą zapytanie do bazy danych „Imperii”. Mamy maga, a to była ustawiona ucieczka. Holo będą się zgadzać, tylko ich nie pomieszajmy.

- Nie powinno być problemu. To są te same lewe nazwiska, które już znamy - zauważył technik. - Skąd tyle wiesz o kordonie?

- Wkuwaliśmy to na „Orle”. - Marcin wzruszył ramionami. - Obława wojskowa. Pewnie w ciągu godziny będą mieć ręczne czytniki, ale na razie nie dopuszczają policji.

- Rzeczywiście. - Żołnierz schował kartę i naciągnął na twarz białą maskę. - Masz dobrą pamięć.

- Taa... - mruknął Polak i sięgnął po maskę tlenową.

Pojazd drgnął lekko, a potem zalał parking jaskrawym światłem sygnałów, kiedy Delaviente uruchomiła zestaw holo zamontowany nad kabiną kierowcy. Sekundę później furgonetka już pięła się łagodną rampą w kierunku zalanych deszczem ulic Xinfu.

Imperialne wojsko wyraźnie nie spodziewało się ucieczki tą drogą - przy rozstawionej na drodze blokadzie stał tylko jeden wojskowy offroad i choć karabin maszynowy w jego wieżyczce obrócił się groźnie w stronę nadjeżdżającego ambulansu, ich postój przy kontrolującym dokumenty żołnierzu trwał nie dłużej niż kilka sekund. Chwilę później błyskający holograficznymi oznaczeniami i wyjący sygnałem pojazd oddalał się już od budynku centrum handlowego, pozostawiając się obławy za sobą.

IS „Smaragd”, wysoka orbita Fushun, system Shuncheng, 4.04.2212 ESD, 17:40
Admirał Liao Tzu siedział w swojej kajucie dokładnie naprzeciw zestawu łącznościowego. Pokryte drobnymi zmarszczkami ręce oficer zaplótł przed sobą, a wzrok wbił w rozłożony goban, starając się odnaleźć ciszę w harmonijnej mozaice białych i czarnych kamieni. Spokój nie przychodził łatwo.

Liao nie należał do osób, które źle znoszą wyczekiwanie. Przeciwnie. Czekanie pozwalało mu się wyciszyć, wygonić z umysłu zbyt gwałtowne myśli, osiągnąć opanowanie i równowagę, konieczne do podejmowania właściwych decyzji. Wyczekiwanie na bitwę miało w sobie coś ze starożytnych prób sił, kiedy wojownicy stali naprzeciw siebie, usiłując

przejrzeć zamiary przeciwnika, zmylić go lub też po prostu wyrównać oddech przed nieuchronnym starciem. Teraz zdecydowanie najbardziej potrzebował tego ostatniego.

Zestaw zamigotał i w stożku holograficznego pola zobaczył ściągnięte rysy Mei Lin. Ktoś inny nie spostrzegłby na twarzy kobiety niczego innego poza skupieniem, ale Liao przeprowadził już zbyt wiele podobnych rozmów, by nie zorientować się w sytuacji. Drobne drgnięcia równych brwi, niebezpieczne błyski w ciemnych oczach i minimalnie zbyt mocno zaciśnięte wargi wyraźnie zdradzały stan ducha podwładnej - Lin była wściekła.

- Moi ludzie kontynuują poszukiwania, ale nadal bez skutku - zameldowała natychmiast. - Przesuwam wszystkie dostępne mi jednostki w rejon „Imperii”...

- Co z ofiarami? - przerwał jej cichym głosem. - Jak wygląda sytuacja w centrum handlowym?

- Próbujemy nad nią zapanować - odparła kobieta. - Pożar został zlokalizowany i ugaszony. Pierwsze jednostki medyczne są już na miejscu, zabierają najbardziej poszkodowanych. Mam tam kilku ludzi, ale większość nadal próbuje odzyskać kontakt z unijnymi komandosami.

- Rozumiem. - Liao sięgnął po leżący na stole datapad i spojrzął na przesłany mu przed godziną raport. Przeczytane wielokrotnie linie paliły żywym ogniem i admirał musiał zacisnąć zęby, aby zachować spokój. - Ile ofiar?

- Stu czterdziestu rannych cywili, głównie w wyniku stratowania. - Nawet jeżeli Mei Lin wolała skupić się na pościgu, zbyt dobrze знаła dowódcę sił prowincji, aby dać to po sobie poznać. - Dwanaście osób zmarło.

Admirał zużył kilka sekund na przetrwanie wiadomości. Spodziewał się podobnych liczb po przeczytaniu wstępnego raportu, ale potwierdzenie przecucia było jak przypieczone losu ponad stu pięćdziesięciu ofiar. Ludzi, którzy nie musieli odnosić ran, którzy nie mieli prawa zginąć.

- Byłbym zobowiązany, gdyby zechciała pani pokrótce wyszczególnić przyczyny takiego... - wbił w kobietę nieruchome spojrzenie -... przebiegu akcji.

Mei Lin westchnęła lekko. Admirał doskonale wiedział, że kobieta ma na głowie poszukiwania i prawdopodobnie uważa, że marnuje czas, rozmawiając o incydencie w centrum handlowym. Nie chciał jednak, by zbyt łatwo przeszła nad sprawą do porządku dziennego. Powinna wiedzieć, że nawet jeśli jest jej obojętny los rannych, to on, Liao, uważa sprawę za niezwykle istotną.

- Pułkownik Wing zdecydował się złamać mój rozkaz utrzymania pozycji - powiedziała, opuszczając wzrok. - Twierdzi, że ze względu na pożar.

- Kazał strzelać ze względu na pożar? - Tzu uniósł brew. - Wiedział, że są tam pani ludzie?

- Tak, panie admirale. Otrzymał bezpośrednie polecenie otoczenia „Imperii” i zostawienia sprawy mojej grupie.

- Ale go złamał.

- Tak. - Kobieta skinęła głową. - Twierdzi, że wkroczył z zamiarem zatrzymania niebezpiecznych dywersantów za wszelką cenę.

Liao Tzu milczał przez moment. Domyślał się, co było powodem tragicznej w skutkach decyzji dowódcy kordonu. Co gorsza, mógł przewidzieć taki rozwój sytuacji.

- Rozumiem, że próbowała pani interweniować? - zapytał.

- Oczywiście - odparła natychmiast Lin. - Zażądałam natychmiastowego przerwania akcji i powiedziałam, że pojmanie wroga to sprawa wyłącznie moich jednostek. Nagranie jest w pełnym raporcie z akcji...

- Domyślam się, że jest. - Admirał z trudem powstrzymał się od wyrażającego zirykowanie skrzywienia ust. Nie wątpił, że Mei Lin użyła wszelkich argumentów, aby przekonać dowódcę sił naziemnych. A także że nie omieszkła delikatnie zasugerować, co sądzi o sprawności jego ludzi. Na Winga, któremu w ostatnich dniach już trzeci raz przerywano działania, za każdym razem odmawiając wyjaśnień, musiało zadziałać to zdecydowanie gorzej, niż powinno. Inna rzecz, że nie od tego był starszym oficerem, by dać się ponieść emocjom. - Będę potrzebował pani raportu w tej sprawie.

- Tak jest.

- Wyślę bezpośredni rozkaz do jego zastępcy, żeby przejął dowodzenie nad jednostką.

- Tzu wywołał na pomocniczej konsolce wykaz kadry oficerskiej wojsk naziemnych.

- Prosiłbym też, aby wydelegowała pani łącznika, który pozostanie przy sztabie.

- Natychmiast, admirale. - W tonie kobiety wyczuwał lekkie echo oporu. - Choć, za pozwoleniem, może to zostać odebrane jak wtrącanie się marynarki wojennej w sprawy armii.

- Jestem głównodowodzącym obrony prowincji i bardzo bym nie chciał, żeby armia nagle o tym zapomniała. - Liao Tzu nadal mówił bardzo spokojnie. Nie było sensu podnosić głosu. Raz, że okazywanie tak silnych emocji nie wyglądałoby dobrze. Dwa, to nie Mei Lin była winna wydarzeń w „Imperii”, nawet jeśli okazywała pułkownikowi Wingowi typowe dla wywiadu lekceważenie. - Pułkownik Wing nie tylko zignorował bezpośredni rozkaz, ale też doprowadził do śmierci dwunastu naszych obywateli.

- Tak jest. - Lin dokonała istnej ekwilibrystyki, żeby jednocześnie nie naruszyć protokołu i dać do zrozumienia, co myśli o problemie przypadkowych ofiar. Tym razem

jednak Liao zdecydował się tego nie ignorować.

- Rozumiem, że jest to problem?

- Nie, panie admirale - odparła natychmiast. Przez moment milczała, wreszcie podjęła ostrożnym tonem: - Wydaje mi się po prostu, że trybunał wojskowy może nie rozpatrzyć oskarżenia o dodatkowe ofiary... właściwie.

Liao Tzu musiał przyznać sam przed sobą, że pułkownik zaskoczyła go. Zwykle Mei Lin bardzo pilnowała języka i nigdy nie mówiła nic, co mogłoby stanowić podstawę do jakichkolwiek kłopotów. Tym razem było inaczej - krytyka trybunału była wyraźnym złamaniem protokołu i wątpił, by kobieta wypowiedziała te słowa przypadkiem. Nie wiedział, czy stanowiły one dowód zaufania, czy element jakiejś gry Lin, ale z pewnością były znakiem zmian.

- Wiem, że to prawdopodobne - powiedział spokojnie. - Ale pułkownik Wing złamał rozkaz dowódcy prowincji. Być może jeszcze byłby w stanie to obronić, gdyby faktycznie schwytał wrogich żołnierzy. Ale tego nie zrobił.

Holograficzna podobizna Mei Lin w milczeniu skinęła głową.

- Doskonale. Zatem proszę wracać do pracy. - Nie czekając, aż kobieta potwierdzi, przerwał połączenie, po czym upewnił się, że zestaw łącznościowy faktycznie jest wyłączony. Dopiero wtedy zaczął głośno przeklinać. Ostre słowa, których nie wypowiadał od lat, wsiąkały w ściany kajuty. Musiał przyznać, że nie spodziewał się takiej katastrofy. Mając pełną kontrolę nad sytuacją, nie tylko utracił kontakt ze ściganą grupą, ale też dopuścił do ofiar. Stu pięćdziesięciu rannych i zabitych! Uderzył pięścią w stół, tuż obok rozłożonej planszy - kamienie drgnęły, ale pozostały na swoich polach. Dawno nie był aż tak wściekły - na tyle, żeby emocje stworzyły wyłom w tarczy, którą narzucało wychowanie, a potem służba w Imperialnej Marynarce Wojennej. Na tyle, że istotnie chciało mu się krzyczeć.

Pierwszy dzwonek uszedł jego uwagi, ale natychmiast po nim zagrał kolejny. Liao Tzu uspokoił się natychmiast. Zerknął na zestaw łącznościowy, ale nie dostrzegł żadnej próby połączenia, zwykle poprzedzającej gońców ze stanowiska dowodzenia. Pewnie znowu jedna ze Słowików Yong Zhuang, pomyślał, i jego nastrój pogorszył się jeszcze bardziej. Nie był w nastroju do gier ze specjalną wysłanniczką, nie teraz. Wstał z fotela, zdecydowany odprawić służącą kobiety, nawet gdyby wyglądało to na nieuprzejmość. Wdusił przycisk otwierania drzwi i zamarł.

Yong Zhuang w czerwonozłotej sukni wydawała się minimalnie unosić ponad podłogą korytarza, a końcówki szerokich rękawów lekko się poruszały, jakby pod wpływem niewyczuwalnego dla admirała wiatru. Czarne oczy przyglądały mu się z wyczekiwaniem.

Liao odruchowo rozejrzał się w poszukiwaniu nieodłącznych służek specjalnej wysłanniczki, ale ku swojemu zaskoczeniu nigdzie nie mógł ich dostrzec.

- Mam nadzieję, iż nie przychodzę w niewłaściwym momencie, admirale Liao Tzu? - Kobieta uniosła pytająco poczerwioną brew.

- Pozostaję oniemiały z zachwytu, widząc tak dostojną osobę w moich skromnych progach - odparł natychmiast, cofając się o krok. - Zechcesz zaszczyścić mnie, traktując moją kajutę jak swoją własną, pani.

Kobieta wpłynęła do pomieszczenia, nawet na niego nie spoglądając, i skierowała się do jedyne go fotela. To dało Liao kilkanaście sekund na przemyślenie sytuacji. Ani przez chwilę nie przypuszczał, że były to zwykłe kurtuazyjne odwiedziny - miał przecież sam udać się do kajuty Yong Zhuang za kilkanaście godzin. Kobieta nie pozwoliłaby sobie na utratę przewagi, uprzedzając jego przyjsie. Dobór czasu wizyty nie mógł być przypadkowy - zaraz po otrzymaniu raportu od Mei Lin, ale po upływie wystarczająco długiej chwili, by mógł przeprowadzić z nią rozmowę. Musiał założyć, że wiedziała, co się wydarzyło, co więcej, uznawała to za na tyle ważne, żeby się zjawić. Jednocześnie przybyła sama, co dodatkowo obniżało wagę wizyty. Czyżby rzeczywiście chciała po prostu porozmawiać? A może była to kolejna pułapka obliczona na zabicie go z tropu?

- Słyszałam o straszliwej tragedii, jaka miała miejsce w Xinfu, admirale. - Bardziej spłynęła w dół, niż usiadła w fotelu. - Serce Niebiańskiego Smoka krwawi z rozpacz na myśl o swoich poddanych, skrzywdzonych przez katastrofalny wypadek.

Więc przybyła tu wyrazić niezadowolenie. Nie miał cienia wątpliwości, że pomimo cesarskiego edyktu o prawach obywatelskich Zakazane Miasto nie rozpacza jakoś przesadnie z powodu śmierci kilkunastu cywili, wiedział natomiast, że Yong Zhuang wykorzysta każdą możliwość, by wytknąć mu niekompetencję.

- Właśnie otrzymałem raport - odparł, zachowując kamienną twarz. Był zdeterminowany, by nie dać urzędnicze satysfakcji. - W chwili obecnej staramy się opanować sytuację, choć wiem, że nie przywróci to życia ofiarom.

- Cieszy mnie twoje dążenie, by ukarać winnych, admirale. - Kobieta pochyliła minimalnie głowę w aprobachie. Liao z trudem ukrył zaskoczenie. Nie oczekiwał, że Yong Zhuang w tak oczywisty sposób przyzna się do posiadania nasłuchu na jego linię łączności. To mogło znaczyć, że specjalna wysłanniczka nie uważa za istotne utrzymywanie tego choćby w pozornej tajemnicy.

- Wieści, jak widzę, podróżują szybko, by dotrzeć do oczu i uszu Niebiańskiego Smoka - wycofał się o krok, czekając, jaki będzie następny ruch rozmówczynie.

- Jakżebym mogła mówić w jego imieniu, nie znając sytuacji? - Wąskie usta drgnęły w delikatnym śladzie uśmiechu. - Przyznam jednak, że choć zdecydowałam się zjawić osobiście, by wyrazić zaufanie do twych umiejętności w poszukiwaniu sprawiedliwości, nie był to jedyny powód mej wizyty.

- Cóż zatem jest powodem tak zaszczytnych odwiedzin?

- Wkrótce unijne okręty przybędą do Shuncheng, by na podobieństwo psów szarpać Imperium - odpowiedziała kobieta, przyglądając mu się uważnie. - Chciałabym, byś utwierdził mnie w pewności, że Imperialna Marynarka Wojenna jest na to gotowa.

- Z wielką radością mogę poinformować cię, pani, że nie masz czym się martwić. - Liao wytrzymał spojrzenie. Czyli po to przyszła, pomyślał. Przekaz wypowiedzi wydawał mu się jasny. Ona była gotowa przeskoczyć nad tematem incydentu „Imperii”, a on miał współpracować.

- Słyszałam o wrogiej eskadrze liniowej, stąd mój, zapewne nieuzasadniony, niepokój.

- Specjalna wysłanniczka patrzyła mu prosto w oczy. - Nie chciałabym, admirale, byś stawał naprzeciwko niej bez odpowiednich sił.

- Dzięki woli Cesarza prowincja Liaoning ma wielu wojowników, gotowych stanąć do walki w jej obronie - odpowiedział, ignorując uwagę, iż jego własne siły mogą okazać się niewystarczające. - Jestem przygotowany, by wysłać wiadomość do komodora Wu. Nefrytowego Tygrysa i tak strzegą potężne siły. We współpracy z systemami obrony planetarnej nawet połowa eskadry komodora poradzi sobie z przeciwnikiem, jeśli się taki nadarzył.

- Rozumiem, że w najbliższym czasie możemy oczekiwać pancerników komodora?

Liao w duchu tryumfował - oto właśnie specjalna wysłanniczka proponowała mu przemieszczenie nad Fushun nie jednego, a dwóch pancerników, nawet więcej, niż sugerował podczas narady w przestronnej sali stoczni Changbai. Szybko jednak stłumił radość. Wymaganie rychłego rozstrzygnięcia było naturalne dla myślącej w kategoriach polityki Yong Zhuang, ale on musiał się troszczyć o całą prowincję.

- Z pewnością talent dowódcy „Wojownika” byłby nieoceniony w bitwie - odpowiedział grzecznie. - Jednak nie chciałbym widzieć Tygrysa pozbawionego ochrony.

- Tygrys jest strzeżony przez sieć orbitalną o bezprecedensowej sile, admirale - sparowała natychmiast kobieta. Tzu w ostatniej chwili zamaskował skrzywienie ust. Więc o to chodziło, Zakazane Miasto chciało dać sygnał, że martwi się ewentualnym atakiem i robi wszystko dla zapewnienia mu środków na osiągnięcie miażdżącego zwycięstwa. Jednocześnie sugerowało, by pozbawił ochrony Nefrytowego Tygrysa, a tym samym wykazał brak

globalnego spojrzenia na obronę Liaoning.

- Platformy orbitalne, jakkolwiek potężne, pozostają nieruchome, niczym wyniosłe wieże - zauważył - jednak jako skromny żołnierz będę czuł się pewniej, oczyma duszy widząc zwinne okręty przemykające po nocnym niebie ponad Nefrytowym Tygrysem.

Był ciekaw, jak bardzo Yong Zhuang skłonna była naciskać, teraz kiedy zwrócił jej uwagę, że to on reprezentuje marynarkę wojenną i decyduje o rozmieszczeniu floty.

- Niebiański Smok chciałby szybkiego i zdecydowanego zwycięstwa - uderzyła wysłanniczka - i wierzy, że przewaga w okrętach jest właściwą drogą ku niemu.

Liao Tzu pochylił głowę, wykorzystując uzyskany czas do namysłu. Z chwilą, kiedy usłyszał: „Niebiański Smok chciałby”, wiedział, że bardzo trudno będzie trzymać się oryginalnego planu. Życzenia Cesarza nie wolno mu zlekceważyć i choć nie stanowiło ono w tym przypadku bezpośredniego rozkazu przemieszczenia sił, wyraźnie sugerowało, jakich działań oczekuje się od Liao. Pozostawiało to niewiele miejsca do manewru - nie chciał pozbawiać Tygrysa ochrony, nie mógł również zabrać żadnych sił z nad stoczni remontowej Changbai. Eskadra „Górskiego wiatru” pod dowództwem Dao Wei nadal nie była w pełni sprawna, przez co główny ciężar obrony spadał na barki komandora Hana. Pozostawianie instalacji niechronionej byłoby błędem jeszcze gorszym niż pozbawienie okrętów nadajnika czasu rzeczywistego. Tak naprawdę istniała więc jedna opcja.

- Me serce tańczy z radości, kiedy słyszę, że Niebiański Smok dał mi aż tak precyzyjne wskazówki - powiedział, prostując się. - Zgodnie zatem z jego życzeniem natychmiast wyślę odpowiednie rozkazy i jestem pewny, że komodor Wu będzie bardziej niż zachwycony, oddelegowując „Cień Imperium” i jego eskortę, by okręty te wraz ze mną stanęły naprzeciwko wroga. On sam z częścią zespołu „Wojownika” będzie wystarczającym obrońcą systemu Tiedong wraz ze skarbem, jakim jest Tygrys.

- Twój posłuch dla pragnień Niebiańskiego Smoka pozostaje na równi z twoimi zdolnościami, admirale. - W uśmiechu Yong Zhuang widział ledwo dostrzegalne kwaśne nuty. Teraz to ona stała wobec niewielkiej liczby możliwych ruchów, chyba żeby zdecydowała się wydać bezpośredni rozkaz, podpierając się autorytetem Cesarza. W takim jednak wypadku nikt nie mógłby zarzucić Liao krótkowzroczności, co więcej, ewentualne problemy stałyby się dowodem niekompetencji administracji. Specjalna wysłanniczka nie mogła podejmować takiego ryzyka.

- Jestem tylko cieniem rzucanym przez potęgę Cesarza - odparł, skłaniając głowę.

Yong Zhuang ponownie posłała mu uprzejmy uśmiech. Admirał widział swoje odbicie w połyskliwych, czarnych zwierciadłach jej oczu.

- Zdaję sobie sprawę, że jako dowódca przed bitwą masz wiele spraw do przemyślenia
- kobieta zainicjowała rytuał pożegnalny.

- Nie istnieje zadanie ważniejsze od rozmowy z głosem Cesarza - skłamał gładko.

- Twe słowa cieszą mnie niezmiernie - odpowiedziała kłamstwem i podniosła się z fotela. Tzu nie mógł wyjść z podziwu, że potrafi wstać w swojej sukni tak, by ani jedna fałda materiału nie ułożyła się w niepożądany sposób. - Dobry gość jednak wie, kiedy nadchodzi jego czas.

- Domyślam się, że żadne me błagania nie zatrzymają cię, pani, w gościnie?

- Żałuję - kobieta pochyliła głowę - lecz obowiązki nie pozwalają mi posłuchać serca.

Liao w duchu odetchnął z ulgą i podszedł do drzwi.

- Wypatruję z niecierpliwością godziny naszego ponownego spotkania.

- Ja również... - Kobieta przekroczyła próg, ale zatrzymała się jeszcze na chwilę. -

Admirale Liao Tzu...

- Specjalna wysłanniczko Yong Zhuang?

- Niebiański Smok patrzy moimi oczyma na to, co zrobiłeś w sprawie „Imperii” - powiedziała, spoglądając na niego jeszcze raz. - I jest z ciebie zadowolony.

Nie czekając na odpowiedź, kobieta odeszła korytarzem, pozostawiając Liao w otwartych drzwiach kabiny z jej słowami dźwięczącymi w głowie i umysłem w skupieniu szukającym drugiego dna w jej deklaracji.

Xinfu, Fushun, system Shuncheng, 4.04.2212 ESD, 18:35 00:13 czasu lokalnego

Zostawili ambulans na jednym z parkingów w zewnętrznej strefie miasta, opodal hałaśliwego centrum rozrywki. Lepiej było pozbyć się go w ten sposób - porzucony na ulicy pojazd zwróciłby czyjąś uwagę szybciej niż zaparkowany w legalnym miejscu. Parking otaczały hologramy par wirujących w dzikim tańcu, dopasowanym do niesłyszalnej w ulewie melodii. Strumienie deszczu wierciły dziury w świetlistych liniach sylwetek, rozmywały kontury i tworzyły plamy rozlanych kolorów odbić pod ich stopami.

Zapłacili za dwanaście godzin gotówką, co gdzie indziej pewnie wywołałoby podejrzliwość, ale tutaj wysoki, chudy ochroniarz nawet nie mrugnął. Patrząc zresztą na pozostałe zaparkowane pod budynkiem pojazdy, ambulans i trójka jego pasażerów unikających płacenia kartą nie mogli wydawać się zbyt dziwnym zjawiskiem.

Weszli do centrum tylko po to, by w toalecie zmienić ubrania na rzeczy, które znaleźli w pozostawionych im sportowych torbach. Wierzbie przypadła sportowa kurtka ozdobiona wirującym hologramem na plecach, luźne spodnie z masą kieszeni oraz wysokie, trochę za duże buty do biegania.

Nie próbowali się połączyć z pozostałymi - plan Zielony oznaczał dziewięćdziesiąt sześć godzin ciszy radiowej po opuszczeniu „Imperii”, z wyjątkiem sygnału oznaczającego wpadkę. Przez cztery standardowe dni - prawie pięć krótkich dni Fushun - trójka żołnierzy miała działać w absolutnym oderwaniu od reszty zespołu, poświęcając czas jedynie na ukrycie swojej obecności. Według planu ich grupa miała się zabunkrować w jednym z dwóch rezerwowych ujęć kanałów miejskich - kilkupoziomowym labiryncie rur i kompozytowych konstrukcji praktycznie poza obrzeżem miasta. Dane wywiadu mówiły, że stałą obsadę dziesięciohektarowego kompleksu stanowiło dwunastu ludzi, zresztą, o ile Wierzba dobrze pamiętał, od przynajmniej paru lat obiekt w ogóle nie był uruchamiany, nie licząc testów przeprowadzanych co sześć miesięcy. Na oglądanych jeszcze na „Orle” obrazach wyglądał bardzo podobnie do kompleksów przemysłowych na Bagnie. Brakowało tylko Mgły.

Dotarcie na miejsce zajęło im prawie sześć godzin - nawet przedmieścia Xinfu były rozległe, a nie chcieli korzystać z transportu miejskiego. Powoli światła centrum miasta coraz bardziej rozmazywały się za kurtyną deszczu, a jego agresywna muzyka zanikała w jednostajnym szumie. Marcin czuł się coraz lepiej. Powoli zanikał lęk nieustannie towarzyszący mu w mieście, zepchnięty co prawda gdzieś w głąb świadomości, ale zawsze obecny. Zbliżali się do pogranicza ludzkiego terytorium i obudzony na Bagnie drapieżnik doceniał to. A kiedy dotarli do olbrzymiej tablicy informującej, że wkraczają na drogę wyłącznie dla pracowników zakładu przetwarzania ścieków numer trzy - ogarnęła go niemal euforia.

Kompleks był praktycznie niepilnowany, nie licząc ogrodzenia i mikroskopijnej wartowni przynależnej wszystkim zakładom rządowym. Reflektory rozstawione zbyt rzadko wzdłuż obwodu rozległej konstrukcji były raczej ukłonem w stronę regulaminu niż realnym środkiem bezpieczeństwa, a te kilka zestawów czujników, które rozmieszczono, mogli uznać za coś w rodzaju żartu. Przyzwyczajony do wojskowych systemów Wierzba podejrzewał pułapkę jeszcze przez długie godziny, kiedy już schronili się we względnie zadaszonych przestrzeniach pomiędzy olbrzymimi korytami kanałów odpływowych.

- Trudno się dziwić - wytłumaczył mu zapytany w końcu Bryce - ani to wojskowe, ani szczególnie ważne. Odpływ, i w dodatku drugi zapasowy. Żaden szanujący się dywersant nie brałby tego za cel, bo i po co?

Polak musiał przyznać technikowi rację - zresztą, w ciągu najbliższych czterech dni mieli się przekonać, jak bardzo mogą polegać na bezpieczeństwie kryjówki.

Wierzba zasypiał, skulony w śpiworze, kiedy na horyzoncie Fushun pojawiały się już pierwsze oznaki świtu. Deszcz towarzyszący im od wyprawy do terminala towarowego zelżał,

ścichło więc nieustanne pobrzękiwanie wody spadającej na niezliczone metalowe elementy otaczających ich konstrukcji.

Zastanawiał się, jak poszło pozostałym grupom. Czy dotarli do miejsc, gdzie miały przetrwać najbliższe dni? Uniknęły śledzenia? I, co najważniejsze, czy miały straty?

*

„Imperia” wracała do Marcina wieczorami, kiedy czekał na sen, wsłuchując się w odległe buczenie agregatów podtrzymujących życie kompleksu. Pamięć stawiała mu przed oczyma światła alarmów, kobiecy głos komputera nawołującego do spokoju i huk strzałów w szerokiej, zatłoczonej galerii. Mieszankę zapachów setek kosmetyków, dymu i paniki. Sokole Oko, dźwigającego postrzelonego Chińczyka i upadającego po trafieniu. Krwawe dziury w jego piersi.

Śmierć była dla Marcina czymś normalnym. Nie pamiętał momentu, w którym się z nią oswoił, ale to musiało być dawno. Strata kolegów bywała bolesna, ale w końcu walczyli na wojnie. Zdarzało się. Naprawdę trudne były sytuacje budzące niemiłe uczucie, że istniała szansa, by ich uniknąć. Przez dwa dni własna intuicja stała się najgorszym wrogiem Marcina, w kółko podsuwając mu myśl, że Hiszpan nie musiał ginąć.

Umysł analizował każdą sekundę feralnej chwili, przyglądał się jej ze wszystkich stron. A kiedy już to zrobił, budził wyrzuty sumienia. Trzeba było wtedy podbiec, myślał Wierzba, przecież wystarczyło przytrzymać kaprała na podłodze i zawlec do korytarza. Dałby radę, to przecież trwałoby ledwie parę sekund. Nie powinien pozwolić się zakrzyczeć Delaviente. Należało chociaż spróbować. Sokole Oko nigdy by go nie zostawił bez próby ratunku.

Dlaczego Alvarez w ogóle wstał? Wystarczyło leżeć, doczołgać się, w końcu kapral nie był typem osoby, która panikuje. Po co w ogóle brał tego rannego? Przecież ktoś by mu pomógł, lekarze na pewno zjawiliby się niedługo...

Dwie noce zajęło Marcinowi odzyskanie pola w walce z własnymi myślami. Na poziomie logiki wiedział naturalnie, że cywil zostałby zdeptany przez tłum. I że Delaviente miała rację, nie pozwalając udzielić pomocy Sokolemu Oku. Tysiąc rzeczy mogło się zdarzyć w korytarzu, pośród przerażonych ludzi i w huku wystrzałów. Zdawał sobie sprawę, że kapral był praktycznie martwy w chwili, kiedy dostał pierwszą kulę. Nie mieli jak go wycofać ani utrzymać w ukryciu, nie z takimi ranami. Co gorsza, ciągnięcie go ze sobą prawdopodobnie uniemożliwiłoby ucieczkę całej grupie.

Delaviente wiedziała to od razu. Jakoś łatwiej dostrzega się takie rzeczy, jeżeli dotyczą obcych. Pewnie gdyby mógł patrzeć w ten sposób na zawsze spokojnego i pogodnego

kaprała, wszystko byłoby prostsze. A tak pozostawało liczyć, że umysł w końcu da sobie radę z poczuciem winy.

*

Już w ciągu pierwszego dnia Marcin opanował plan dnia pracowników zakładu, którego najciekawszymi punktami były chwile, kiedy przyjeżdżała nowa zmiana. Poza tym załoga starała się nie opuszczać niewielkiego budynku biurowego, z jakiegoś powodu wybudowanego na wysokiej platformie górującej nad całym kompleksem. Idea pokonywania czterech poziomów schodami lub ciasną klatką windy, żeby dotrzeć do biura, które można było wybudować w dowolnym miejscu kompleksu, wydawała się Wierzbie nieodgadniona, choć może miała sens, gdy zakład funkcjonował pełną parą. Dwukrotnie w ciągu zmiany para pracowników dokonywała objazdu terenu zakładu przy użyciu małych, hałaśliwych quadów. Zawsze jeździli dokładnie tą samą trasą i w tempie sugerującym, że nie są zbyt zainteresowani tym, co mogą ewentualnie zobaczyć. Poranna zmiana zamawiała jedzenie na wynos, popołudniowa i nocna nie.

Raz dziennie uruchamiano jakieś urządzenia i odgłos ich silników roznosił się basowym dudnieniem po całym kompleksie, jak chrapanie śpiącego pod betonowym labiryntem giganta.

Dla Wierzby przeczekiwanie niemal pięciu dwudziestogodzinnych dób planetarnych składało się w głównej mierze z siedzenia w jednym miejscu i dbania, aby nikt przypadkiem na niego nie trafił. W kompleksie, którego dziewięćdziesięciu procent powierzchni administracja nie oglądała prawie nigdy, stanowiło to niezbyt skomplikowane zadanie. Dość szybko poczucie zagrożenia zniknęło, zastąpione przez monotonię.

- Macie w ogóle pomysł, czemu żółtki postawiły tutaj to coś? - parsknęła Delaviente, zwijając resztki pakietu żywnościowego i chowając go do sportowej torby. - Na co im drugi zapasowy system wylewania szamba?

- Może to kwestia imperialnej dokładności? - próbował odgadnąć Wierzba. - Wiesz, jakiejś ich obsesji niezawodności?

- Może był więc sens zrobić jeden, który działa? - zaśmiała się kobieta.

- To Dzień - odezwał się Bryce, nie patrząc nawet w ich stronę. Technik od początku upodobał sobie obserwację okien budynku biurowego, doskonale widocznego na wysokiej platformie. Teraz, po zachodzie bladego słońca Fushun, oświetlone wnętrza miał jak na dłoni.

- To znaczy? - Kaprał spojrzała na kolegę z zainteresowaniem.

- Fushun jest ważne, ma złoża caellium i w ogóle. - Technik wzruszył ramionami w półmroku. - Xinfu pewnie miało rosnać, było pierwszym ze stu miast albo jeszcze coś innego.

Przyszedł Dzień i nagle okazało się, że plany rozbudowy trzeba odłożyć na później.

- Chiny podobno najmniej oberwały. - Wierzba zmarszczył brwi. - To w końcu ich robota...

- Najmniej nie znaczy wcale. - Bryce usadowił się wygodniej. - Coś chyba im strzeliło w wirusie, bo ich SI diabli wzięli dokładnie tak samo jak nasze. Zobacz sobie mapy.

- Uratowało ich zacofanie? - spytał Wierzba. Zawsze przyjmował, że Chiński Wirus był bezpośrednim powodem nagłego wzrostu potęgi Imperium.

- Nie wiem, na ile byli zacofani, w końcu nadążali za resztą przed Dniem. - Technik po omacku sięgnął do torby, wydobyl swoją rację żywnościową i rozdarł opakowanie. - Byliście kiedyś w Chinach? Zanim to wszystko ruszyło? Jak nie mieliśmy wojny?

- Nie - mruknęła Delaviente. - Na kolonie wtedy nie latałam, a Chiny na Ziemi mnie jakoś nie pociągały.

- Mieszkałaś na Ziemi? - zainteresował się Polak.

- Pewnie! Obywatelstwo pierwszej klasy, urodzona w Barcelonie. - Kobieta wydała z siebie coś pomiędzy parsknięciem a chichotem. - Byłabym szyszką, jakby wszystko nie poszło w chuj, mówię wam.

Przez chwilę milczeli.

- I jak to wyglądało? - zapytał wreszcie Marcin. - Wiesz, na Ziemi?

- W cholerę słabo. - Kobieta mówiła zwykłym głosem, ale patrzyła gdzieś pomiędzy swoje stopy. - Byłam wtedy na nurkowaniu, na rafie. Zerwałam się starym, nie chciałam kolejnych świąt w domu. Piętnastka takich jak ja, czwórka instruktorów, dwa androidy. Żadnej strzelaniny, wiecie, jak to pokazują na dokumentach. Andki po prostu nie chciały działać. Padło namierzenie satelitarne i radio, o sieci nawet nie ma co mówić... Wróciliśmy na brzeg, jasna sprawa, do hotelu, a raczej budy, w której mieszkaliśmy. Zacofane miejsce, jakby cały sensowny tech wpakowali na naszą łajbę. Tam żeśmy się dowiedzieli, znaczy, że jest po wszystkim. Mieliśmy...

Przerwała, by wydobyć manierkę z torby i pociągnąć długi łyk.

- Mieliśmy kolorową noc, w cholerę błysków - podjęła na nowo opowieść. - Potem nam powiedzieli, że to systemy orbitalne i flota... Nie dało się z nikim połączyć. Byliśmy w chuj zestrachani. Rano po nas przylecieli. Żołnierze.

- Ewakuowali cię?

- Nie, kurwa, Wierzba, przyjechali ponurkować. - Błysnęły białka, kiedy kobieta wyróciła oczami. - Pewnie, że nas ewakuowali. Na orbitę, a potem precz. Poszczepiali masę kontenerów, wypchali je hibernatorami, dowalili do tego holownik i w nogi. O tym, że

Barcelonę szlag trafił w pierwszym uderzeniu, dowiedziałam się już później, ale mogłam się tego spodziewać.

Delaviente wsunęła dłoń pod bluzę i wydobyła stamtąd błyszczący krzyżyk. Przez chwilę wpatrywała się w niego w milczeniu.

- Byłaś w dwóch procentach, Naya - Bryce przerwał milczenie. Marcin uświadomił sobie nagle, że właśnie po raz pierwszy usłyszał imię Hiszpanki. - Szczęście, nie powiem.

- Taa. - Schowała krzyżyk z powrotem pod bluzę i uśmiechnęła się już całkiem normalnie. - Podobno w hotelu może dwadzieścia kilosów od nas dwa andki rozjebały wszystkich, obsługę i gości. To musiało być coś, nie powiem. A ty, Rudy?

- Miałem staż na frachtowcu - odparł technik. - „Koriolan”, stara krypa, po chyba stu remontach. Jedyne działający objaw SI to stary android obsługi reaktora, bardziej nawet robot. Nawet bez SI nawigacyjnego, lataliśmy tylko na bojach. No i złapało nas podczas skoku. Jak mnie wyjęli z hibernatora, to był już luty. Mieliśmy szczęście, w grudniu zniknęło prawie sześćdziesiąt procent rejsów.

- Nieźle... - Delaviente pokiwała z uznaniem głową i obróciła się do Polaka. - A ty, Wierzba? Jak było u ciebie? Pamiętasz jeszcze?

Polak przez chwilę wpatrywał się w ziemię, pomiędzy ciężkie buty. Dzień... jak mógłby zapomnieć. Chyba żaden człowiek nie mógł - kilka godzin, które zdefiniowały następne lata dla całej ludzkości.

- Mieszkaliśmy wtedy na Nowym Krakowie - zaczął. - Taka... mała planeta, ale zapchana kopalniami. Wzgórza i góry. Nic wielkiego, ale...

Zamilkł na chwilę. Nie wiedział, co miał powiedzieć parze komandosów. Przecież nie to, że Nowy Kraków był piękny. Że jako mały chłopiec często wrywał się z siostrą na całe wieczory obserwować wschód księżyców nad szczytami gór, że siedział do późnej nocy, patrząc, jak na odległych zboczach mrugają światła pozycyjne kopalnianych wież i konstrukcje przetworników atmosferycznych, gigantyczne niczym domy olbrzymów? Że godzinami obserwował olbrzymie pociągi, sunące niczym pancerne gąsienice i dowożące rudy carnitu do składów przy kosmoporcie?

- Spoko - powiedziała nagle Delaviente łagodnym głosem. - Wiem. Marcin zerknął na Hiszpankę z wdzięcznością.

- Zima nie była naprawdę chłodna, w zasadzie tak jak tutaj teraz - podjął. - Ale u nas wigilia Bożego Narodzenia była ważna. Taki... zwyczaj. Szykowaliśmy się właśnie do świątecznej kolacji.

Westchnął. Świetnie pamiętał zapach smażonej papki rybnej - bardzo drogiej i

podobno w smaku identycznej z prawdziwą. Pamiętał szarawy, pieczony raz do roku chleb.

Ustrojoną przez Barbarę - siostra już jako dziecko nie lubiła zdrobnienia „Basia” - choinkę, luksus, na który mieszkańcy Nowego Krakowa mogli sobie pozwolić ze względu na wyjątkowy rozrost świerków Kayndrisa na planecie.

- Wysiadło zasilanie - powiedział. - Na początku nie wiedzieliśmy, co się stało, po prostu wszystko zgasło. Najpierw myśleliśmy, że to u nas, ale potem okazało się, że szlag trafił sieć w całym mieście... I w ogóle wszędzie. To było bez sensu, przecież kopalnie miały rezerwowe generatory, ale rozglądaliśmy się i nic.

Wierzba znów umilkł. Przed oczyma stanął mu obraz zaciemnionego miasta i kształtów gór na horyzoncie. Miał wtedy wrażenie, że nagle są na planecie sami, że wszyscy ludzie nagle zniknęli, pozostawiając rodzinę Wierzbowskich w pustej kolonii.

Dopiero potem rozległy się eksplozje i strzały. Stłumione w dzielnicy, w której mieszkał, ale wyraźnie rozpoznawalne. Wtedy myślał, że to desant, że Nowy Kraków jest atakowany.

- Właściwie... wszystkie walki były w okolicach kosmoportu i rafinerii - dodał. - Daleko od nas. Ale to okazało się dopiero potem, kiedy pojawiły się ekipy ratunkowe.

- Pewnie andki chciały rąbnąć cele strategiczne, zanim zaborą się za was. - Domyśliła się Delaviente.

- Nie tylko chciały, zniszczyły. Kopalnie, rafinerie, wahadłowce, dwa transportowce na orbicie, wszystko - potwierdził Marcin. - My mieliśmy szczęście, garnizon jakoś się ogarnął i ruszył dupska na pomoc, ale przy kosmoporcie było gorzej.

Pociągnął łyk wody z manierki, by przepłukać nagle zaschnięte gardło.

- Atmosfera Nowego Krakowa wciąż była wtedy przetwarzana - kontynuował. - Już blisko końca, ale trochę chemii dalej szło przez klimatyzację. SI kontrolująca ten proces dodała czegoś do rozprzodzanego powietrza. Nie wiem, czego, przecież nie miała dostępu do trucizn. Dość, że zadziałało. Ludzie w całym kwadrancie po prostu zasnęli w domach.

- Kurwa...

- Tak, mniej więcej. - Przerwał, ale żadne z dwójki oesów nie zachęcało go do mówienia. We wspomnieniach znowu ożyły chwile, kiedy wojsko gromadziło cywili na płycie zniszczonego kosmoportu. Gdy jechał przez puste ulice, widząc budynki wpatrujące się w szeregi ciężarówek czernią martwych okien. A także żołnierzy w skafandrach wynoszących ciała z domów i układających je w stosy.

Marcin był wtedy przerażonym dzieciakiem, ale kiedy wracał do wspomnienia, sterty ciał wydawały się sięgać nieba.

- Miałem szczęście, jak wy... - mruknął Wierzba. - Zużyliśmy chyba zapas na całe życie w ten jeden dzień.

- Taa. Teraz musimy sobie radzić bez niego. - Hiszpanka wyszczerzyła w ciemności białe zęby. - Siłowy powrót do dawnej potęgi i w ogóle.

- Coś mi się wydaje... - zauważył cicho Bryce - że powrót do dawnej potęgi idzie nam ostatnio tak sobie.

- Pracujemy nad tym, nie? - Kapral mówiła nieco zbyt głośno, jakby chciała tym wymazać wspomnienie chwili słabości sprzed kilku minut. - Zmieniamy grę, kombinujemy, ale znajdziemy metodę. Teraz tylko to nam zostało.

- Nam, Unii?

- Nam, ludziom.

IS „Smaragd”, wysoka orbita Fushun, system Shuncheng, 5.04.2212 ESD, 11:34 Liao Tzu przywołał na ekran wyświetlacza holograficznego mapę prowincji. Jasne punkty systemów Liaoning błyszczały, spokojne w obliczu nadciągającej bitwy jak olbrzymi goban z rozmieszczonymi nań kamieniami imperialnych eskadr. Przeciwnik miał dopiero się pojawić i na razie całe pole gry kontrolowały jego siły, powoli przemieszczające się, by domknąć pułapkę. W przestrzeni kosmicznej każde posunięcie partii trwało nieraz całe dni i teraz, kiedy rozkazy zostały już wydane, Liao pozostało tylko oczekiwanie, aż ostatnie elementy jego strategii wskoczą na właściwe miejsce.

Godzinę temu z systemu wyruszył szybki okręt kurierski, który wkrótce dotrze do systemu Tiedong, gdzie „Wojownik”, „Cień Imperium” i pozostałe okręty komodora Wu strzegły niemal już ukończonego Nefrytowego Tygrysa. Rozkazy, które wiózł, na pewno zirytują młodego dowódcę - nie dość, że pozbawiały go części sił, to jeszcze odmawiały jemu samemu udziału w nadchodzącej walce. Taka jednak była konieczność i w ciągu niecałych trzydziestu godzin pancernik „Cień Imperium” wraz z kilkoma jednostkami eskorty zostawi

„Wojownika” i ruszy w dwudniową drogę do Shuncheng, by dołączyć do Liao nad Fushun. Jeśli wywiad się nie mylił, powinno mu to zapewnić niemal półtorakrotną przewagę nad unijnymi jednostkami. Tzu był oczywiście zbyt doświadczony, by uznać, że zwycięstwo jest pewne. Unijna eskadra „Chimery” wzmocniona o zespół krążowników nadal była groźnym przeciwnikiem. Wobec takich sił w nadchodzącej bitwie admirał wciąż posiadał dosyć wąski margines błędu, nawet nie biorąc pod uwagę faktu, że lektura dostarczonego przez wywiad dossier kontradmirała Kuertena również skłaniała do ostrożności.

Zgromadzenie w Shuncheng większej liczby jednostek, dokładnie jak sugerowała specjalna wysłanniczka Yong Zhuang, dawałoby naturalnie lepszą prognozę na starcie.

Byłoby też karygodnym błędem. Nawet mając do dyspozycji bardzo precyzyjne informacje wywiadu, nie zamierzał pozostawić bez ochrony stoczni Changbai czy też Nefrytowego Tygrysa. Pomyłka kosztowałaby zbyt wiele. Eskadra „Smaragdu” oraz nadciągający zespół „Cienia Imperium” będą musiały wystarczyć.

Liao Tzu raz jeszcze spojrzął na mapę prowincji i zmrużył oczy z zadowolenia. Gra, jaką toczył z unijnym dowódcą, wchodziła w decydującą fazę. Zakończył się etap budowania pozycji i tańca wywiadów. Nadchodził czas okrętów.

Xinfu, Fushun, system Shuncheng, 8.04.2212 ESD, 19:11 16:49 czasu lokalnego

Do miejsca zbiórki mieli daleko - trasa na granicę pomiędzy przedmieściami a strefami położonymi bliżej centrum zajęła im niemal cały dzień. Nie wiedzieli, na jaką skalę zakrojone były poszukiwania, a nikt nie miał wątpliwości, że Imperium o nich nie zapomniało. Za dobry znak mogli uznać brak informacji o wypadkach pozostałych zespołów, ale przecież dopiero dziś tak naprawdę ryzykowali - pierwszy raz od pięciu dni. Nie chcieli korzystać z taksówek czy transportu publicznego - żadnemu z nich nie uśmiechało się przebywanie w zamkniętej, monitorowanej przestrzeni. O wiele prościej było po prostu iść i wmieszać się w gęsty tłum sunący ulicami Xinfu. Polak starał się nie zwracać uwagi na rozmieszczone wzdłuż ulicy kamery bezpieczeństwa. Wiedział, że po Dniu nie obsługują ich zawsze czujne SI, a zwykłe algorytmy śledzenia mają małą szansę na rozpoznanie kogokolwiek w takim tłumie, ale urządzenia nadal budziły niepokój. Jak dokładnie widzieli ich twarze w „Imperii”? A nawet jeżeli tam nie - przecież zawsze jest zapis z restauracji... Każdy mijający ich wóz policyjny wywoływał gorące ukłucie adrenaliny, podobnie jak latające nad głowami strumieniowce. Wracał zepchnięty głęboko do podświadomości instynkt wyniesiony z Bagna, od pięciu dni uspokajany we względnie bezpiecznej kryjówece. Marcin na powrót stawał się drapieźnikiem - nadal groźnym, ale zaszczutym i umykającym przed obławą.

Nikt jednak ich nie zatrzymywał, pojazdy policyjne przemykały obok, nawet nie zwalniając. Nie omiatały ich ostre snopy świateł strumieniowców. Nie padały strzały.

Punkt zbiórki nie był tym razem hotelem, a niewielkim magazynem otoczonym wysokim ogrodzeniem pokrytym równą linią napisów „Na sprzedaż”, na zmianę w wysokim imperialnym i mniej eleganckim zapisie linguy. Wyraźnie informacja nie odniosła skutku - budynek musiał być nieużywany już od dość dawna. Jedyne budki strażnicze obok zamkniętej bramy ziała pustymi oczodołami wybitych okien, a oko kamery bezpieczeństwa patrzyło martwym, nieruchomym spojrzeniem.

Czekał na nich Harris, ukryty wewnątrz posterunku. Nie zapytał o Sokole Oko, po

prostu w milczeniu kiwnął na nich dłonią i zaprowadził do magazynu. Pozostali byli już na miejscu, w przestronnym wnętrzu, pomiędzy nielicznymi starymi pakunkami. Dotarli w komplecie, co Wierzba przyjął z ogromną ulgą. Isaksson, Szczeniak i reszta żyli - to zdecydowanie stanowiło najlepszą wiadomość tego dnia. Najwyraźniej tylko oni mieli pecha.

- Kapral Alvarez? - zapytał pułkownik.

- Nie żyje - odparła Delaviente, odgarniając włosy.

- Na pewno?

- Dostał serię pod lewą łopatkę. - Kobieta pokręciła głową z przekonaniem. - Według mnie nie żyje.

Stojąca obok pułkownika Cartwright spojrzała pytająco na Wierzbę. Skinął głową.

- Rozumiem. Dobrze, że już jesteście - rzucił krótko Brisbane. - Zjedzcie coś, złapcie kilka godzin snu. Jutro kontynuujemy.

*

Nie był głodny ani nawet przesadnie zmęczony. Instynkt podpowiadał, że łowy nadal trwają i trzeba pozostać w gotowości do walki. Magazyn na granicy centrum miasta stanowił miejsce o wiele mniej bezpieczne niż kompleks położony prawie poza terenem zabudowanym. Każdy dźwięk dobiegający z pobliskich ulic wyraźnie krzyczał, że znajdują się w głębi terenu wroga. Nie kryła ich Mgła, nadal przebywali pod nosem przeciwnika, który lepiej niż oni wiedział, jak poruszać się po Xinfu, i miał nieskończenie większe zaplecze.

Po wyraźnej sugestii przyjął w końcu podaną turystyczną rację, ale jadł z obowiązku.

- Marcin? - Isaksson kucnęła obok niego i położyła mu dłoń na ramieniu. Oczy Szwedki błyszczały w słabym świetle wpadającym przez dziurawe świetliki magazynu.

- Milla - uśmiechnął się.

- Jak to się stało? - szepnęła. Jej głos był ledwie słyszalny przez szum deszczu.

- Sokole Oko?

- Tak...

Przez chwilę Polak myślał nad odpowiedzią.

- Poczuję się winny - powiedział wreszcie. - Chyba.

- Winny?

- Strzelali do nas - Marcin skinął głową. - Pudłowali. Tam była masa innych ludzi.

Naprawdę dużo.

Nie chciał mówić nic więcej, na szczęście nie zapytała.

- Milla? - spytał po krótkiej chwili. - Czy mieliście ogon? Znaczący, byliście zagrożeni? Ktoś coś mówił?

- Ostatnio? - zdziwiła się Szwedka. - Nie, co ty. Siedzieliśmy pięć dni w jakiejś choliernej pustej kontenerowni. Nie ma szans.

- Nie, nie teraz - zachnął się Marcin. - Wcześniej, wiesz, przed tą strzelaniną w „Imperii”.

Tym razem radiooperatorka przez chwilę się namyślała.

- Nic mi o tym nie wiadomo - powiedziała wreszcie. - Raczej nie. Sądzę, że wiedziałabym, bo oprócz majora Hampla tylko ja robiłam pokrycie elektroniczne.

- Jasne. - Wierzba zmarszczył brwi. Podciągnął nogi i kucnął na podłodze. Przez chwilę starał się pogodzić słowa Szwedki z wydarzeniami minionych dni, ale ciągle coś mu nie pasowało.

- To chyba dobrze, nie? - zapytała, kiedy milczał przez dobrą chwilę.

- Nie, no tak... - Rozejrzał się, ale w pobliżu nie widział nikogo z ludzi Brisbane'a. - Wiesz może, gdzie jest porucznik Cartwright?

Cartwright nie spała. Wierzba powoli przyzwyczajał się, że na akcji nie ma możliwości zastać porucznik pogrążonej we śnie. Siedziała po prostu na zrolowanej kurtce, a jej wilcze oczy wpatrywały się w deszcz, padający do wnętrza budynku przez dziurawy świetlik. Kiedy tylko podeszli, wstała ze swojego siedziska.

- Wierzbowski - wyszeptwała. - Isaksson. To nie wasza warta.

- Mam sprawę, pani porucznik - powiedział Polak, rozglądając się ostrożnie.

- Mów. - Cartwright nie potrzebowała niczego więcej. Miesiące spędzone razem na partyzanckiej walce przeciwko Amerykanom sprawiły, że nie zwykła ignorować słów swoich ludzi.

- Zapytałem Isaksson... - zaczął Marcin. Bez słowa skinęła głową. - Czy to prawda, że wasza grupa nie była namierzana?

- Nic mi o tym nie wiadomo - odparła. - Dlaczego?

- Pani porucznik. - Wierzba przygryzł wargi. Jakaś przestraszona, dziecięca część jego osobowości liczyła, że dopóki nie wypowie swoich obaw, nie staną się one realne. - W takim razie czemu w ogóle tam poszliście?

- Realizowaliśmy plan Zielony. - Cartwright spojrzała na podkomendnego, wyraźnie nie wiedząc, o co mu chodzi.

- Ale po co? - Polak ściszył głos. - Przecież nas było tylko czworo. Mag towarzyszył wam. Po co ryzykować spalenie całego oddziału? Kapral Alvarez sądził nawet, że się nie zjawicie, że mamy służyć tylko jako osłona działań waszej grupy. Przyznam, że pasowało mi to do pułkownika. Ale byliście tam, prawda?

Kobieta bez słowa skinęła głową, dając mu dłonią znak, by mówił dalej.

- To przecież nie ma sensu. Nie dość, że ryzykujemy wpadkę całej grupy, to teraz już na pewno wróg nie jest zaskoczony. Akcja w zasadzie nie do wykonania, bo przecież Imperium wie, że ma cały zespół komandosów w terenie. Wszystkie ważne miejsca będą obstawione wojskiem.

- Co sugerujecie, Wierzbowski? - Cartwright wyciągnęła rękę i pstryknęła palcami. Rosła sylwetka Weissa zmaterializowała się jakby z powietrza obok nich.

- Pułkownik nie mógł nie zakładać, że taki będzie efekt jego decyzji. Musiał wiedzieć, że po tej akcji w „Imperii” już nic nie zrobimy, co najwyżej uciekniemy. Że nie zniszczymy tu żadnych celów. Że kiedy nasi przyłecą, wszystko będzie na nich czekało.

Cartwright pokiwała powoli głową i na chwilę przymknęła oczy. Kiedy je na powrót otworzyła, błyszczało w nich zdecydowanie.

- Weiss, obudź resztę naszych. Myślę, że pora zadać pułkownikowi kilka pytań.

- Po co z tym czekać? - Głos Brisbane'a brzmiał niemal jak krzyk przy szeptanej wymianie zdań Marcina i Cartwright. - Zawsze można zapytać teraz, prawda?

Polak obrócił się w poszukiwaniu mówiącego. Dopiero wtedy dostrzegł sylwetki oesów wychodzące z cienia nie dalej jak kilka metrów od nich. Stojący z przodu Australijczyk miał ręce skrzyżowane na piersi. Pozostali otaczali go luźnym półokręgiem. Szturmowcy przyglądali się ludziom Cartwright w zimnym skupieniu, a ręce trzymali blisko broni.

Cień „Chimery”

EUS „Kraken” 8.04.2212 ESD, 14:58

„Kraken” wyraźnie zadygotał i na kilka sekund utracił zasilanie, ale po chwili wszystko wróciło do normy. Wyglądało na to, że szperacz okrętu poradził sobie ze skomplikowanymi obliczeniami związanymi ze skokiem na niepewne koordynaty.

- Skok zakończony, szperacz opuszcza stanowisko, stan stabilny. - Nawigator, komandor podporucznik Van Dijk, otworzył lawinę meldunków obsady stanowiska dowodzenia.

- Dane skoku: czas pobytu w przestrzeni przystankowej czternaście dni, jedna godzina, dwadzieścia osiem minut. Przystępuję do ustalania pozycji.

- Piętnaście kontaktów, potwierdzam kody identyfikacyjne... - zawtórował mu Ratte przy stanowisku sensorów. - Kontakty przyjazne, brak nieprzyjaciela w zasięgu. Pełna sprawność lokalnej sieci za T minus sześćdziesiąt.

Przed stanowiskiem Delanova ożył holograficzny wyświetlacz ekranu dowódczego, na którym pojawiła się trójwymiarowa mapa systemu z jaśniejącym zielono punktem symbolizującym „Krakena”. Chwilę później dołączyły do niego pozostałe kontakty zidentyfikowane przez Rattego.

- Systemy sprawne, status zielony na wszystkich przedziałach - dołączył do nich porucznik Mpemba z inżynierskiego.

- Sensory, proszę rozpocząć budowę zewnętrznej sieci i jak najszybciej zlokalizować nieprzyjacielskie siły systemowe - rzucił komandor do mikrofonu.

- Tak jest, sir, rozpoczynamy stawianie sond, obecnie wszystkie kontakty zidentyfikowane jako przyjazne - nadeszła natychmiastowa odpowiedź.

Przez drugą część ekranu przemknęły dane dotyczące sprawności krążownika, a jednocześnie na wewnętrznej stronie szyby hełmu komandora pojawiły się skrócone raporty.

Dowódca „Krakena” ledwo zwracał na nie uwagę. Wiedział, że każdy alarmujący raport wybija się z szumu neutralnych informacji o stanie okrętu niczym nagły krzyk wśród szmeru rozmów. Teraz problemem było co innego.

- Admirale? - spytał na prywatnym kanale. - Zechce pan mi wyjaśnić, co się dzieje?

Kuerten obrócił głowę wewnątrz hełmu i spojrzał na niego spoza lekko przyciemnionego filtra.

- Naturalnie - powiedział wreszcie spokojnym głosem. - Jesteśmy tutaj ze względu na parametry misji.

- Gotowość na wyrzutniach jeden do dwanaście, tarcza czeka na synchronizację z resztą eskadry. - W słuchawce komunikatora zabrzmiał głos oficer uzbrojenia.

- Sygnatura gwiazdy potwierdzona, Alpha IV Reticuli, nazwa kodowa: Tiedong - kontynuował Van Dijk na ogólnym kanale, potwierdzając obawy Delanova. - Dane pozycyjne, dewiacja 6-120, dystans sto sześć...

Kolejne dane przesunęły się na ekranie komandora.

- To nie jest Shuncheng - zwrócił się do Kuertena.

- Tak, wiem. Zechce pan nakazać „Zabójcy”, by przeszedł na minimalną emisję i zajął pozycję w punkcie skoku?

Delanov zgrzytnął zębami, ale wyszkolenie wzięło górę nad emocjami.

- Łączność, przekażcie na „Zabójcę” - nadał na kanale ogólnym. - Minimalna emisja, zając pozycję wyjściową, czekać na rozkazy.

- Tak jest sir, przekazuję. - Nadeszło potwierdzenie ze stanowiska porucznika Finiscego.

- Nie jesteśmy nad Fushun - podjął Delanov na prywatnym kanale, wbijając spojrzenie w przełożonego. Mówiąc, pospiesznie przywoływał na wyświetlacz nahełmowy dane dotyczące Alpha IV Reticuli. - Dlaczego dowiaduję się o tym dopiero teraz? Podejrzewał mnie pan?

- Wręcz przeciwnie - Kuerten aktywował kolejne ekrany pomocnicze przed swoim stanowiskiem - ufam panu bezgranicznie. To zaufanie nie rozciąga się jednak na komandor Lafayette.

- Lafayette? - Dowódca „Krakena” potrzebował kilku sekund, żeby przetrwać słowa przełożonego. - Sądzi pan, że komandor...

- Nie. - Admirał pozostawał skupiony na wyświetlonych przed nim raportach o stanie eskadry - Nie „sądzę”. Osoba znana nam jako Sophie Lafayette jest oficerem imperialnego wywiadu. Wiem o tym na pewno, podobnie jak zresztą wie pułkownik Brisbane, który mnie o tym poinformował na pierwszej odprawie dotyczącej tej operacji.

Delanov poczuł, że się czerwieni. Komandor Lafayette, osoba, z którą prowadził śledztwo w sprawie śmierci Stahla... kiedy zginęło siedmiu kolejnych marynarzy. Przez niego. Świadomość własnej łatwowności uderzyła weń jak młot.

Jedne po drugim wspomnienia z niedawnego śledztwa składały się w obraz jego porażki. Na każdym kroku komandor dbała, by szlak okruszków prowadził dokładnie tam, gdzie chciała... i by nikt nie zwrócił uwagi, kto trzyma chleb.

Cały czas mówiła o konieczności wzajemnej kontroli, a przecież w kluczowych momentach była sama. Nikt jej nie towarzyszył, kiedy odwiedziła kajutę Stahla. Kręciła się po „Krakenie” cały czas, tak że załoga już nie zwracała na nią uwagi, a przecież na założenie ładunku na drzwiach kabiny wystarczyła tylko chwila. Wreszcie, była sama, kiedy Morecki tkwił przy antenie łącznościowej. Uszkodzenie skafandrów pozwoliło jej wrócić do służby i pozostać niepilnowaną przez kluczowe chwile. Sam Delanov wyłączył system monitorujący łączność, by umożliwić Polakowi zainstalowanie modułu MAC. Zbyt skoncentrował się na antenie i w rezultacie sam dał jej okazję włamania się do systemu łączności...

Ustawiała ich dokładnie tam, gdzie chciała, i w rezultacie nie musiała w ogóle wtrącać się w badanie modułu. Szyfrant po prostu znalazł to, co mu podsunęła.

Przez chwilę walczył o kontrolę nad głosem.

- Dlaczego więc ja... - wychrypiął wreszcie, kątem oka upewniając się, że nadal są na prywatnym kanale łączności.

- Mam nadzieję, że pan mi wybaczy, ale przecież wspominałem panu o moich pobudkach. - Kuerten odwrócił na chwilę wzrok od wyświetlacza i spojrzał na podkomendnego. - Jest pan zbyt uczciwy, nie potrafiłby pan oszukać pani komandor. Zwłaszcza kiedy zginął człowiek. A potem kolejni.

Dowódca wiedział już wtedy, kiedy znaleziono ciało podporucznika Stahla, przysła Delanowowi do głowy wściekła myśl. Wiedział, kiedy ludzie ginęli w kabinie Vorachka. Wiedział cały czas.

- Pozwolił jej pan działać - powiedział w końcu matowym głosem. - Pozwolił jej pan dalej zabijać.

- Nie ukrywam - przyznał admirał. - Chciałem, aby sprawa przyschła, ale oboje przekonaliście mnie, że śledztwo jest konieczne, i to tak efektywnie, iż dalsze opieranie się mogłoby mnie zdemaskować. Przykro mi.

- Powinien był mi pan powiedzieć, sir. Powinien...

- Nie. Obaj wiemy, że nie.

Delanov zamilkł, kiedy uświadomił sobie, że przełożony ma rację. Był w końcu dowódcą okrętu, nie aktorem. Istniało pewnie z tysiąc sposobów, w jaki własne ciało mogłoby go zdradzić przed wyszkolonym przeciwnikiem. A przecież nie tylko to było problemem. Czy w ogóle dałby się wodzić Lafayette za nos, wiedząc, kim jest? Pozwolić jej

zabić członków załogi „Krakena”? Idąc do każdej bitwy, godził się na ryzyko, lecz to było zupełnie co innego. Czy nie spróbowałby zminimalizować strat? Zapewne tak, podpowiedziała usłużnie analityczna część umysłu. Zresztą dlatego pierwsze dwa pytania, jakie zadał, brzmiały tak a nie inaczej. Najpierw ego. Potem troska o ludzi. Nawet nie zapytał o stawkę.

- „Zabójca” potwierdza przyjęcie rozkazu - zgłosił Finisce na kanale ogólnym.

- Jeśli to pana pocieszy, ocalił pan życie reszty eskadry - powiedział Kuerten spokojnie.

Nie pocieszało. Ale też nie musiało. Vincent Delanov już opanował szok, jaki wywołała nowa informacja. Znowu stawał się dowódcą krążownika podczas bitwy. Spojrzał na swój wyświetlacz, przyglądając się kolejnym danym, jakie nadpływały z powoli rozwijanego parasola sensorów. Na razie milczały.

- Łączność, dziękuję - przekazał na ogólnym, a potem znowu przeszedł na kanał prywatny. - To dlatego Kay dostał rozkazy, które miał przeczytać dopiero po skoku? Nie chciał pan, aby zadawał pytania, które mogłyby zdradzić cel operacji?

- Tak. - Tym razem dowódca odwrócił wzrok od swojego ekranu, by spojrzeć na Delanova z błyskiem zadowolenia w oku. - Dlatego też, kiedy odprawialiśmy komandor Lafayette, wysłałem bosmana Inssmara, by zdemontował to, co zostało umieszczone przy węźle łączności numer trzy.

- Rozumiem. - Delanov szybko składał uzyskane dane. Jeżeli Kuerten pozwolił działać Francuzce, chciał, by Imperium wiedziało dokładnie, o czym mówiono na odprawach. Czyli zarówno wiedza o celu operacji, jak i o siłach musiała być tylko zasłoną dymną.

- „Chimera”? - zapytał spokojnie, właściwie wiedząc już, jaka będzie odpowiedź.

- Nie zjawi się - odparł krótko admirał. Delanov skinął głową.

- Liczymy na to, że bardzo polegają na raportach komandor?

- Nie ukrywam. Oraz że jej wiarygodność została nieco wzmocniona przez obecność oddziału pułkownika Brisbane'a na powierzchni Fushun.

Komandor odetchnął głęboko. Był już całkowicie opanowany, nie licząc lekkiego łaskotania w całym ciele, które odczuwał zawsze przed nadchodzącą bitwą.

- A jeżeli nie dali się nabrać?

- Wtedy... - Kuerten posłał mu wilczy uśmiech. - Wtedy czeka nas szalenie interesujący dzień.

- Sensory dalekiego zasięgu zgłaszają czternaście kontaktów przy bramie skokowej systemu, sir. - W rozmowę wciął się głos Ratego obsługującego sensory okrętu. -

Identyfikacja szacunkowa w toku.

Delanov rzucił okiem na ekran taktyczny, na którym pojawiły się czerwone punkty symbolizujące wrogie jednostki. Były jeszcze bardzo daleko - na tyle, że z obecności „Krakena” i obu unijnych eskadr zdadzą sobie sprawę dopiero za jakiś czas, a nawet jeśli ruszą pełnym ciągiem w ich stronę, wejście w efektywny zasięg broni zajmie im przynajmniej kilkanaście godzin. Wiedział jednak, że niezależnie od tego, co ich zespół miał zrobić w Tiedong, kilkanaście godzin im nie wystarczy. Wrogie kontakty, jeżeli tylko były jednostkami bojowymi, mogły wydać im bitwę.

EUS „Kraken”, system Tiedong, 9.04.2212 ESD, 04:11

Zespół „Krakena” od ponad dwunastu godzin szedł pełnym ciągiem w stronę czwartej planety systemu, niewielkiego ciała niebieskiego oznaczonego na mapach jako Anshan. Jednostki Kuertena co godzinę wystrzeliwały sondy zewnętrznej sieci sensorycznej, a każdy kolejny zestaw, zanim został pozostawiony z tyłu przez ciągle przyspieszające okręty, dostarczał nowych danych na temat sił wroga w Tiedong. I żadna z informacji nie była dobra.

Nieprzyjacielskie kontakty - według Rattego najprawdopodobniej pancernik razem z zespołem uderzeniowym - zauważyły ich, bo zmieniły kurs i teraz parły ku pozostawionemu na koordynatach skoku „Zabójcy”. Początkowo Delanov nawet obawiał się, że przeciwnik wykrył samotny niszczyciel, ale kiedy dostał raport na temat orbity Anshan, zmienił zdanie. Imperialny dowódca zwyczajnie nie przejmował się planetą. I miał rację.

Oczekiwali obrony. Jej obecność była oczywista, w końcu nadajnik czasu rzeczywistego, największe osiągnięcie technologii łącznościowej człowieka i jeden z zaledwie czterech istniejących, musiał być postrzegany jako strategicznie ważna instalacja. Delanov wiedział, jak Unia trzęsa się nad własnym Einsteinem i nie sądził, by przeciwnik był choć trochę mniej uważny. Zresztą, gdyby Nefrytowy Tygrys uzyskał pełną funkcjonalność lub sztab Cesarza wiedział o bezpośrednim połączeniu Tiedong z terytorium Unii, sytuacja przedstawiałaby się jeszcze gorzej.

Pomimo znacznie słabszego maskowania niż to, jakim dysponowały eskadry, orbitalne instalacje obronne były prawie niewidoczne z tej odległości. Zawiadywane przez Rattego czujniki wyłapywały ledwie śladowe odczyty, kiedy platformy obronne przemieszczały się na swoich orbitach, dopasowując sieć obronną do kierunku, z którego nadciągały unijne okręty. Trudno było mówić o precyzyjnym określeniu ich liczby, nie po pojedynczych, minimalnych zmianach cieplnych i okazjonalnych echach na innych sensorach. Sekcja taktyczna „Krakena” na bieżąco analizowała odczyty, ale dysponowała na razie jedynie ogólnym oszacowaniem. I było ono zdecydowanie pesymistyczne.

Według najświeższego raportu jednostki Kuertena mogły oczekiwać około stu platform orbitalnych, co tworzyło strefę obronną zbliżoną do stoczniowych, zaledwie o połowę mniejszą niż ta, która zabezpieczała Nowy Londyn. Nawet zakładając, że przeciwnik nie ukrywa jakichś okrętów w pobliżu planety, jak również biorąc pod uwagę wyrzutnie holowane przez sześć sherwoodów, unijna eskadra znajdowała się w trudnej sytuacji. Zamówiona u taktyków symulacja dawała eskadrze Kuertena zaledwie osiemnaście procent szans na skuteczny desant, a i to przy wystawieniu okrętów na gigantyczne ryzyko.

Chińskie jednostki były zupełnie innym problemem, choć wcale nie mniejszym. Jeżeli prawidłowo rozpoznali siły nieprzyjaciela, imperialny zespół mógł bez szczególnej trudności zmieść napastników na proch, nawet w oddaleniu od jakiegokolwiek wsparcia platform orbitalnych. Starcie musiało zakończyć się źle, nawet przy założeniu słabego dowodzenia po stronie wroga, a trudno było na to liczyć. Zresztą imperialny dowódca jak dotąd nie dawał żadnych dowodów własnej niekompetencji. Miał dobre podstawy, by uważać, że Anshan jest bezpieczna, więc konstruował sytuację, w której mógł wymusić na słabszym przeciwniku przegraną bitwę. Jego jednostki szły wysokim ciągiem, utrzymując szyk i z każdą chwilą zbliżając się do odcięcia unijnym okrętom drogi ucieczki. Jeżeli obliczenia Delanov były prawidłowe, „Krakenowi” i pozostałym okrętom pozostało jeszcze może dwie godziny na decyzję o nawrocie. A potem dalsze dwie, jeśli admirał zdecydowałby się porzucić wolniejsze transportowce.

Po tym czasie, niezależnie od rozwoju wydarzeń w systemie, eskadra „Krakena” będzie musiała zmierzyć się z przeciwnikiem dysponującym półtorakrotnie większą siłą ognia. Delanov nie wątpił ani w determinację, ani w zdolności unijnych załóg, ale w starciach floty matematyka pozostawała nieprzejeżdżana i surowa.

*

Kuerten opuścił pomost bojowy, kiedy tylko zespół ustabilizował kurs, a krążownik przeszedł w drugi stopień gotowości. Udał się swoim zwyczajem do sali konferencyjnej, gdzie zwykle spędzał czas przed bitwami, w samotności analizując setki często mało istotnych z pozoru danych, kreśląc plany i zlecając sekcji taktycznej analizę dziesiątek hipotetycznych scenariuszy. Wolał pozostawać wtedy sam ze swoimi myślami i trzeba było poważnej sprawy, żeby ktokolwiek zdecydował się zakłócać mu spokój.

Tym razem jednak Delanov postanowił złamać niepisaną regułę. Uznał, że sytuacja zespołu jest zbyt niejasna, by czekać na odpowiedzi, choćby w obliczu ograniczonej, lecz ciągle istniejącej możliwości odwrotu. Komandor nie był tchórzem. Czuł się gotowy do walki, ale chciał przynajmniej wiedzieć, że jest ona częścią planu. Na razie jednak nie widział

absolutnie żadnego zysku z pozwolenia na zmasakrowanie unijnych okrętów najpierw obronie planetarnej, a potem, jeśli jakimś cudem przeżyją, wrogiemu zespołowi. Domyślał się oczywiście, że istnieje jakiś plan. Ale jako dowódca flagowca uważał, że ma prawo go znać, zwłaszcza że wkrótce mieli wejść w zasięg orbitalnych platform.

Sali konferencyjnej strzegła para marynarzy z grup abordażowych w pełnych skafandrach i z długą bronią na ramieniu. Nieaktywne komórki CSSu odcinały się ciemnoszarymi sześciokątami na masywnych płytach ich opancerzenia, a twarze pozostawały niewidoczne za ściemnionymi filtrami, upodabniając tę dwójkę do posągów. Kiedyś Delanov uważał zwyczaj wystawiania wart tam, gdzie przebywali najstarsi oficerowie na okręcie, za anachronizm. Po morderstwie na „Krakenie” nie był już tego taki pewien. Z jakiegoś powodu czuł się lepiej, wiedząc, że admirała nie odwiedzi ktoś w rodzaju Lafayette.

Kiedy tylko Delanov podszedł do wejścia, wartownicy wyprostowali się w pozycji zasadniczej.

- Komandorze. - Wyższy żołnierz uniósł rękawicę w salucie. Przechwytywany przez głośnik skafandra głos należał do starszego marynarza Pratta, co zresztą potwierdzała plakietka z nazwiskiem. - Kontradmiral Kuerten czeka na pana.

- Dziękuję. - Komandor odsalutował, ukrywając zdziwienie. Nie poinformował przełożonego o chęci zakłócenia jego spokoju, a nie sądził, żeby zrobił to ktoś z załogi, więc dlaczego niby Kuerten miałby go oczekiwać?

Powolnym krokiem wszedł do sali konferencyjnej, oświetlanej jedynie blaskiem wyświetlaczy holograficznych. Kontradmiral siedział w profilowanym fotelu na końcu długiego stołu, pomiędzy kilkunastoma uruchomionymi ekranami. Wpatrywał się w zajmujący całą ścianę obraz głównego wyświetlacza taktycznego ukazującego świetne punkty zespołu „Krakena” i sunącego ku punktowi skoku przeciwnika. W granatowym mundurze Nijal Kuerten był niemal niewidoczny, tylko blada twarz jaśniała odbitym blaskiem projekcji. Na otaczających mężczyznę obrazach holograficznych Delanov mógł zobaczyć gęsto zapisane strony raportów, rysunki techniczne okrętów i platform obrony orbitalnej, charakterystyczne predykcje sekcji taktycznej. Z jednego spoglądała na komandora podobna imperialnego oficera w stopniu admirała, na innym rozpoznawał twarz komandora porucznika Calii, dowodzącej „Zabójcą”. Delanov zatrzymał się i wcisnął przycisk zamykania drzwi.

- Witam, komandorze. - Kuerten nie spuszczał wzroku z błękitnych punktów reprezentujących unijny zespół. Szczupła, lekko drżąca dłoń wskazała obrócony bokiem fotel w pobliżu siedziska admirała. - Proszę się rozgościć.

Vincent Delanov skinął głową, choć przełożony nie mógł tego zauważyć. Podszedł do

wskazanego miejsca, po drodze przyglądając się mijanym ekranom. Na wyświetlaczu taktycznym unijna eskadra przemieściła się w stronę Anshan. Wokół błękitnych punktów płynęły dane dotyczące ustawień tarcz antyrakietowych i stref kontroli sensorów.

- Oczekiwał mnie pan? - Komandor usiadł w fotelu.

Kuerten oderwał wzrok od zajmującego całą ścianę hologramu i spojrzał na dowódcę „Krakena”. Jego oczy były niebieskobiałymi taflami odbitego światła wyświetlaczy.

- Tak - odparł. - Uważa pan, że nasza sytuacja jest dramatyczna. To oczywiste, że ma pan pytania.

- To prawda. - Delanov zerknął na czerwone punkty symbolizujące jednostki imperialne. - Zarówno wrogie okręty, jak i obrona planetarna sprawiają wrażenie przeszkód zbyt trudnych do pokonania. Sekcja taktyczna szacuje nasze szanse na stworzenie wylomu w sieci defensywnej Anshan na mniej niż dwadzieścia procent. W systemie nie ma innych znanych mi celów, a ten jest... trudny. Walka z eskadrą liniową przy pomocy naszych sił również wydaje się pozbawiona sensu.

- Zgadzam się.

Delanov na moment stracił impet. Nie oczekiwał takiej odpowiedzi. Zawahał się przez moment, ale w końcu zdecydował się kontynuować.

- Chciałem po prostu zapytać, admirale... - powiedział. - Czy taki był nasz plan? To udało nam się ugrać? Bardzo niewielkie szanse na skuteczny desant i wrogą eskadrę liniową na plecach?

Admirał nie odpowiedział od razu. Najpierw sięgnął do klawiatury i kilkoma ruchami przywołał na wyświetlacz ścienny dodatkowe dane. Obrazy oficerów Imperium i kilka przekrojów platform orbitalnych częściowo przysłoniły obraz Tiedong i przemieszczających się zespołów.

- Plan nie udał się w stu procentach - powiedział wreszcie spokojnym głosem. - Przyznam, że miałem cień nadziei, iż nasze działania odciągną z systemu więcej wrogich okrętów, ale jak sądzę, nie można było na to liczyć. O imperialnych dowódcach można powiedzieć wiele, ale nie są głupi.

Komandor kiwnął głową, lecz nie przerywał. Kuerten nie zwykł tłumaczyć swoich decyzji, zresztą jako admirał wcale nie musiał tego robić. Na odpowiedzi z reguły przychodziła pora dopiero po walce. Teraz jednak mówił i Delanov zwiertzył szansę na rozwianie wątpliwości.

- Przyznaję, że kiedy namierzyliśmy przeciwnika, miałem obawy, że nasz przylot był stratą czasu - mówił tymczasem dowódca zespołu. - Na szczęście ostatnie godziny mocno

mnie uspokoiły. Dlatego kontynuujemy misję.

- W jaki sposób uspokoiły? - chciał wiedzieć Delanov. - Rozumiem, iż jest pan zadowolony, że nie trzeba będzie walczyć z obroną Anshan i imperialną eskadrą równocześnie, ale to nam nie wystarczy.

- Ośmielę się z panem nie zgodzić - westchnął kontradmirał. - Widzi pan, Liaoning dysponuje trzema eskadrami liniowymi. To akurat łatwo pozyskiwalne dane i ja również je posiadam. Jedną z nich to eskadra pancernika „Górski wiatr”, przeniesiona z pogranicza amerykańskiego. Brała tam udział w walkach i prawie na pewno nie jest w pełni sprawna, ponadto dowodzi nią kontradmirał Dao Wei, oficer kompetentny, acz bardzo zachowawczy. Na czele drugiej stoi Shen Wu, zdolny, agresywny taktik, często sam szukający walki.

- A trzecia?

Kuerten znowu przesunął dłońmi nad konsolą i na ściennym ekranie pojawiła się twarz około pięćdziesięcioletniego Chińczyka o łagodnych rysach twarzy i oczach błyszczących inteligencją.

- Trzecia to eskadra „Smaragdu” pod admirałem Liao Tzu, dowódcą sił obrony prowincji. Tzu jest słabszym taktikiem niż Shen Wu, ale o niebo lepszym strategiem, myślącym zawsze o nadrzędnych celach. To bardzo niebezpieczny przeciwnik i to jego obecność przekreślałaby sens kontynuowania misji.

- Trudno mieć pewność, dopóki nie będzie się dało rozpoznać sygnatur imperialnych okrętów i przyporządkować ich do konkretnych jednostek...

- Wręcz przeciwnie - zaprzeczył admirał. - Do tego momentu wiemy, że mamy do czynienia z „Wojownikiem” i komodorem Wu.

Spojrzał na podwładnego wyczekująco. Delanov zmarszczył brwi i skupił wzrok na częściowo przesłoniętym schematycznym obrazie systemu Tiedong. Kuerten wydawał się pewny swego, a jedyną informacją, którą miał, były dane z sensorów eskadry...

- To nie może być zespół Dao Wei - powiedział wreszcie z namysłem. - Zachowawczy dowódca na być może częściowo uszkodzonym okręcie będzie zmierzał raczej ku planecie. W dodatku postara się przynajmniej częściowo maskować stan swoich sił, a tymczasem okręty, które widzimy, idą pełnym ciągiem i są przez to doskonale widoczne.

- Brawo. - Dowódca skinął głową.

-... Nie wiem natomiast, skąd pewność, że nie mamy do czynienia ze „Smaragdem”.

- To proste. Anshan musi być ochronione, to nadrzędny cel floty w tym systemie. - Kuerten kazał wyświetlaczowi wyrysować wektory kursowe imperialnych jednostek. - Admirał Liao Tzu miałby przede wszystkim to na uwadze. Skierowałby swoje okręty ku

planecie, by móc udzielić wsparcia platformom orbitalnym. My najwyżej uciekniemy, ale Anshan będzie chroniona najlepiej, jak to możliwe. Wu natomiast jest łowcą. Uważa, że planeta jest bezpieczna, i nie przywiązuje do niej wagi. Jego celem jesteśmy my, obrał więc kurs, by maksymalnie skrócić nam czas na podjęcie decyzji o ucieczce.

- I zaryzykuje planetę? Z jego punktu widzenia jedna piąta szans na porażkę to nie tak mało. Nie może zakładać desantu. Musi przyjąć, że będziemy bombardować...

- Moim zdaniem, jeżeli nie chowa jakichś dodatkowych niespodzianek, dokładnie to założenie sprawiło, że czuje się bezpieczny. - Kuerten sięgnął do konsoli i po chwili na ekranie pojawiły się wyniki symulacji sekcji taktycznej. - Na trajektorii bezpośredniego uderzenia balistycznego statystyki zniszczenia celu są pomijalne, a tarcza systemów walki elektronicznej wokół nadajnika nie pozwoli na żadne zdalne sterowanie pociskami.

Delanov przez chwilę przyglądał się raportowi. Jeżeli taktycy się nie mylili, szanse na skuteczne bombardowanie wynosiły jeden i dwadzieścia siedem setnych procenta. Miło było słyszeć, że wróg przyjął błędne założenie, nie potrafił jednak pozbyć się przekonania, że osiemnaście procent szansy na desant też nie wygląda dobrze. Nie mówiąc o „dodatkowych niespodziankach”, które podejrzewał przełożony.

- Nawet jeśli się myli, nasza sytuacja nadal jest zła.

- Symulacje nie są pocieszające, wiem - zgodził się admirał, choć nie wyglądał na specjalnie zmartwionego. Zupełnie jakby jedna piąta szans była dla niego wystarczająca.

- Czy mogę... - Komandor zawahał się przez moment. - Czy mogę mówić szczerze?

- Czy kiedykolwiek miałem do pana o to pretensje?

- Naprawdę rozumiem, że jeżeli imperialny nadajnik ma wkrótce wejść do służby, to rzeczywiście jest ostatni moment na działanie, ale odnoszę wrażenie, że w prowincji są lepsze i łatwiejsze cele.

- Tak pan sądzi? - Kuerten uniósł brew.

Delanov przygryzł wargi. Pakował się właśnie na dalece nie swoje terytorium i gdyby rozmawiał z jakimkolwiek innym przełożonym, prawdopodobnie w ogóle nie podjąłby tego tematu. Szacowanie wagi celów eskadry nie wchodziło w końcu w zakres jego zadań. Był zaledwie dowódcą krążownika i dokładnie tak daleko sięgały jego kompetencje. Nie miał tworzyć ani nawet sugerować strategii, miał je realizować.

Miał jednak do czynienia z Nijalem Kuertenem, a ten konkretny oficer nie tylko był skłonny do rozmów, ale jeszcze uważał, że podległych dowódców należy szkolić.

- Tak. Przyznam, że skoro wiedzieliśmy, jaka jest siła obronna planety, mogliśmy wybrać lepiej.

Admirał kilkoma ruchami smukłych palców rozkazał konsolowie rzucić na wyświetlacz mapę Liaoning.

- W prowincji znajdują się trzy interesujące instalacje - powiedział. - System Shuncheng z Fushun i kopalniami caellium, stocznia Changbai w systemie Shenhe oraz nasz Nefrytowy Tygrys. Stocznia w istocie jest dopuszczalnym celem, ale nie mamy tam bezpośredniej drogi, musielibyśmy przebijać się przez Baite, a potem Shuncheng, w tym obronę Fushun - wyobrażam sobie, że niemała. Do tego mielibyśmy przynajmniej wzmocnioną eskadrę liniową na miejscu, nie licząc obrony stoczni. Fushun wydaje się lepszym wyborem, lecz Imperium spodziewa się tam ataku i o wiele trudniej byłoby go nam zamaskować. Poza tym znaczenie Tygrysa jest o wiele większe niż tych kilku kopalń.

- Tygrys to przede wszystkim propaganda - zaprotestował Delanov. - Nadajniki czasu rzeczywistego nie budują całej sieci łączności, tylko jedną linię, pomiędzy sobą. Nie wierzę, by ta komunikacja wpłynęła na nasz front. Natomiast paliwo do rakiet ofensywnych... To co innego.

Kuerten przytknął na kilka sekund oczy, jakby nad czymś się zastanawiał.

- Tygrys to krok w stronę niesamowitej przewagi informacyjnej po stronie Imperium - powiedział wreszcie. - Dwa działające nadajniki pozwolą na otwarcie stałego połączenia, a co za tym idzie, dostarczą danych potrzebnych do dalszej rozbudowy sieci, danych, których nie mamy ani my z Einsteinem, ani Amerykanie z Hawkingiem. Trzeci będzie kwestią dwóch, trzech lat. To możliwość, która mocno niepokoi sztab.

- To wszystko kwestie bardzo długofalowe - odparł z powątpiewaniem Delanov.

- Teoretycznie ma pan rację - przytaknął Kuerten. - Proszę jednak zwrócić uwagę na to, co się dzieje wokół drugiego nadajnika, Jadeitowego Ognia. Jest tam olbrzymia baza floty, okrętów ściągniętych właśnie po to, by go strzec. Teraz to jeden z głównych punktów startowych uderzeń na terytorium Stanów Zjednoczonych. To naturalny punkt koncentracji sił, obecnie tak potężny, że same rajdy Imperialnej Marynarki Wojennej mają siłę uderzeń frontu. Jeżeli Nefrytowy Tygrys zacznie działać, będziemy mieć to samo tutaj. Brest i pozostałe placówki frontowe nie odeprą takiej siły, a ze smutkiem przyznam, że nie mamy wiele rezerw. Kluczową sprawą jest jednak polityka.

- Polityka?

- Nie wierzę, by zniszczenie nadajnika nie spowodowało reperkusji. Niezależnie od tego, jakie ma znaczenie czysto bojowe, Tygrys jest symbolem. Imperium będzie zmuszone w jakiś sposób zareagować i najprawdopodobniej dowództwo prowincji zostanie wymienione. Nowe musi się zapoznać z sytuacją, wymienić część podległych eskadr, dostosować się do

specyfiki prowincji. To oznacza czas, najpewniej miesiące, w których Liaoning nie będzie dobrym punktem do wyprowadzania ciosu. Czas to coś, czego potrzebujemy.

Delanov dał sobie chwilę na przemyślenie słów dowódcy. Admirał po raz kolejny zmienił obraz pokazywany na głównym wyświetlaczu. Tym razem hologram ukazywał techniczny schemat platformy obrony orbitalnej.

- W tej sytuacji nawet dwadzieścia procent dawane nam przez taktyków to całkiem niezła szansa, prawda? - spytał cicho.

Na ekranie obracała się trójwymiarowa projekcja platformy bojowej o wdzięcznym przezwisku „pająk”. Właściwą nazwą tego typu urządzeń było co prawda Simatai, ale oficerowie floty zwykli używać slangowego określenia, jak ułał pasującego do kształtu platformy z jej ośmioma długimi ramionami wież sensorycznych.

- Platforma typu Simatai III - powiedział Kuerten, kiedy dostrzegł zainteresowanie podwładnego. - Doskonała przeróbka systemu sprzed Dnia.

- Zdaję sobie sprawę. - Dowódca „Krakena” nie widział w tym nic dobrego. Pająki były najbardziej nienawidzonym przez załogi okrętów typem obrony orbitalnej. Ich systemy łączności samodzielnie koordynowały działania ze wszystkimi platformami tego samego typu w zasięgu, potrafiły same podejmować decyzje o przydziale celów, wyznaczyć dynamicznie zmieniającą się jednostkę centralną... Niezwykle skomplikowane algorytmy sprawiały, że grupy pajaków działały praktycznie bezbłędnie i to bez opóźnienia typowego dla sieci koordynowanych przez ludzkich operatorów.

- Mamy jakieś dziewięćdziesiąt procent szans, że właśnie takie platformy bronią Anshan. - Admirał przyglądał się schematowi z wyraźną fascynacją. - Chińczycy raczej nie będą zbyt oszczędzać na tym miejscu.

Delanov wpatrywał się w hologram. Oglądał kiedyś symulację działania zespołu dwudziestu platform Simatai III, wykresy sunących pomiędzy każdymi dwiema platformami pakietów danych namiarowych, kolejnych, ilustrowanych innym kolorem wiadomości, kiedy pająki naradzały się nad podziałem łupów. Świetlisty model siatki łączności laserowej rzeczywiście przypominał pajęczą sieć.

- Najgorsza możliwa opcja... - mruknął cicho. Dowódca jednak musiał go usłyszeć. Kuerten zabawnie przekrzywił głowę i zwrócił się ku komandorowi. W lekko zmrużonych oczach kontradmirała odbijały się błękitne linie schematu technicznego.

- Niekoniecznie - powiedział. - Ale tego dowiemy się dopiero z czasem. EUS „Kraken”, system Tiedong, 9.04.2212 ESD, 07:42

Sala konferencyjna „Krakena” powoli wypełniała się światłem, kiedy ożywały kolejne

projektory holograficzne. Pierwszy ustabilizował połączenie „Hegemon”, idący sto jednostek po lewej burcie okrętu Delanova. Do podobizny dowodzącego krążownikiem barczystego komandora Thando szybko dołączały następne. Dwie minuty później ujrzeli wysoką, wyniosłą komandor porucznik Winters z „Łowczyni”, ostatnią z dowódców biorących udział w naradzie.

Dopiero wtedy Kuerten uruchomił wyświetlacz sali. Olbrzymich rozmiarów kopia ekranu taktycznego „Krakena” rozjarzyła się na całej tylnej ścianie pomieszczenia. Widoczni na hologramach oficerowie automatycznie zwrócili się ku wyświetlanej mapie.

- Dzień dobry państwu - zaczął admirał. - Ta odprawa ma na celu omówienie zadań eskadry podczas zbliżającej się operacji desantowej. Nie ma z nami dowódców transportowców, ale uznałem ich obecność za zbędną.

Milczeli, co jakiś czas spoglądając na Kuertena z zaciekawieniem. Do tego momentu zapewne część z nich obstawiała, że ruch eskadry był jakiegoś rodzaju wybiegiem, że wkrótce zawrócą albo skierują się ku prawdziwemu celowi. Dowódca rozwiął te wątpliwości, budząc zapewne dziesiątki innych, w tym na temat jego własnej kondycji psychicznej.

- W ciągu dwóch godzin rozpoczniemy decelerację. W ciągu sześciu kolejnych dotrzemy w strefę obrony Anshan, dokładnie o - admirał spojrzał na leżący przed nim datapad - szesnastej dziewięć.

Kilka osób wymieniło spojrzenia, ktoś popatrzył pytająco na Delanova, jakby oczekiwał, że dowódca flagowca potwierdzi plan Kuertena. Surowa, ponura jak zamieć śnieżna komandor La Roya ze „Zguby” zaczęła szybko coś przeliczać na niewidocznym przez projekcję stanowisku, a olbrzymi, przypominający nieco książkowego barbarzyńcę Haug z „Intruza” wykrzywił usta w niedowierzającym uśmiechu. Nijał Kuerten zdawał się tego wszystkiego nie dostrzegać.

- O szesnastej dwadzieścia czasu pokładowego eskadra desantowa oraz „Kraken” i „Hegemon” otworzą ogień z maksymalnego dystansu, pozostając na pozycji. - Kuerten nieznacznym ruchem dłoni wskazał na ekran, na którym pojawił się jasny punkt w przestrzeni. - Celami obu krążowników będą wykryte platformy orbitalne. W tym czasie wszystkie niszczyciele skupią się na obronie formacji przed wrogimi pociskami. Działania te będą miały na celu osłonę zrzutu jednostek desantowych na powierzchnię Anshan.

To zdanie spowodowało wręcz poruszenie. Każdy dowódca okrętu musiał czytać raporty taktyków i w związku z tym zdawał sobie sprawę, na ilu mocnych założeniach oparta była wypowiedź admirała. Na przykład, że osłona dwóch krążowników będzie choć w przybliżeniu wystarczająca.

- Oczekuję, że przez kolejne trzy godziny eskadra utrzyma luźną pozycję poza granicą zasięgu systemu obronnego. Kiedy dostaniemy sygnał o rozpoczęciu ewakuacji sił desantowych, nasze jednostki podejną do planety - na wyświetlaczu zabłyśła krwistoczerwona linia niższej orbity Anshan, nieprzyjemnie wyznaczona wewnątrz elipsy zasięgu pajaków. - To maksymalny dystans, z którego może efektywnie działać sprzęt „Botany Bay”. Nasze okręty będą musiały utrzymać pozycje przez około czterdzieści minut. Do tego czasu siły naziemne albo będą już na pokładach transportowców, albo zostaną zniszczone.

Delanov mógł niemal zobaczyć myśli pozostałych oficerów. Liczyli. Czterdzieści minut w strefie ostrzału około setki pajaków, nawet na skraju ich zasięgu, oznaczało ciężką przeprawę - i to zakładając, że tylko połowa platform będzie w stanie prowadzić ogień. Czterdzieści minut... około trzydziestu salw. Wielu z obecnych pewnie wolałoby przez taki czas prowadzić wymianę uprzejmości z wrogą eskadrą liniową.

- Następnie wszystkie okręty wykonają zwrot i ruszą pełnym ciągiem w trasę powrotną ku punktowi skokowemu. Czy są jakieś pytania?

Kilka zielonych światełek zabłyśło jednocześnie przed holograficznymi podobiznami oficerów.

- Komandorze Thando?

- Moi taktycy szacują - barczysty mężczyzna o dobrotliwej twarzy zerknął na niewidoczną na hologramie konsolę - że ogień osłonowy prowadzony przez nasze jednostki będzie, hm, niewystarczający do zabezpieczenia zrzutu, a pociski sherwoodów służą wyłącznie do bombardowań. Może gdyby wejść nieco głębiej, na tyle, żeby „Botany Bay” mogło przynajmniej częściowo osłonić również desant...

Kilka osób spojrzało krzywo na dowódcę „Hegemona”. Osłona desantu i wyjście ze strefy oznaczały dalszy czas spędzony na bitwie z platformami obronnymi. Thando święcie wierzył w przełożonego i był gotów narazić swój okręt na duże zagrożenie w imię wykonania zadania. Dawało mu to opinię ryzykanta nawet w grupie dowódców eskadry „Krakena”, często wykorzystywanej do niebezpiecznych zadań.

- Nie widzę potrzeby - odpowiedział szybko admirał, co wywołało wyraz widocznej ulgi na niektórych twarzach. - Zapewniono mnie, że zrzutem nie musimy się przejmować.

Thando nabrał powietrza, by zadać kolejne pytanie, ale ostatecznie tylko kiwnął głową w milczeniu.

- Kiedy dostaniemy priorytety obrony antyrakietowej? - zapytał Huag.

- Najdalej dwie godziny przed zakończeniem deceleracji do prędkości operacyjnej.

- Czterdzieści minut w strefie może nas kosztować okręty - zauważyła oczywisty

problem La Roya. - Okręty, których będziemy potrzebować do walki z eskadrą liniową.

- Zdaję sobie sprawę, dlatego nazywamy to „bitwą” - odparł Kuerten. - Niemniej nadal nie zadała pani pytania.

- Wiem, że to nie zabrzmiało dobrze, ale nie sądzę, żeby nasze jednostki naziemne były w dobrym stanie po swojej części misji. Moje pytanie brzmi - czy warto tracić te okręty dla kilku wahadłowców? Systemy walki elektronicznej „Botany Bay” mogą zabezpieczyć je trochę dalej.

Delanov drgnął. Znał świetnie La Royę i wiedział, że dowódca niszczyciela nie obawiała się ryzyka. Miała za to bardzo praktyczny zwyczaj przeliczania wszystkiego na wartości oczekiwane z bezduszością godną specjalistów z sekcji taktycznych. Jej pytanie miało sens, choć było rzeczywiście nieprzyjemne - wszyscy zdawali sobie sprawę, że kluczowym elementem ewakuacji wahadłowców było przeprowadzenie ich przez strefę ostrzału laserów IR platform defensywnych. To tam promy poniosą gros strat, nawet z pomocą okrętu do walki elektronicznej. Bez osłony w tym punkcie równie dobrze mogłoby jej nie być w ogóle.

- Ta decyzja ostatecznie zależy od rozmiaru ewakuowanych sił - odparł Kuerten. - Tym niemniej zakładam, że będzie warto.

- Sir... - La Roya z wyraźnym trudem zmusiła się do zachowania neutralnego wyrazu twarzy. - Każdy stracony, ba, nawet uszkodzony okręt zmniejsza nasze szanse w bitwie, która przy tym planie będzie nieunikniona.

- Przyznaję - zgodził się Kuerten. - Jednak akurat tej decyzji nie zamierzam dyskutować. Jestem świadom ryzyka. Zamierzam je podjąć. Komandor Winters?

- Oczekujemy jakichś jednostek wroga na orbicie? - spytała kobieta, ignorując wyraźną teraz irytację La Roi. - Czegoś poza platformami?

- Co najwyżej jednostek lekkich, potencjalnie transportowych - padła odpowiedź. - Nie sądzę, żeby wzięły udział w walce.

- Anshan to istotny punkt strategiczny. - Winters nie dawała za wygraną. - Wróg może mieć tam nawet eskadrę krążowników. Jeśli była ona na orbicie, kiedy weszliśmy do Tiedong, miała czas przemieścić się na pozycję praktycznie niezauważoną.

- Nie wykluczam tego całkowicie - zgodził się admirał. - W tym wypadku plan ulegnie modyfikacji zależnie od pozycji wroga i jego wpływu na misję.

Delanov zerknął na komandora porucznik La Royę i dostrzegł jej lekkie, pełne aprobaty skinienie głową. Musiała, podobnie jak on, dostrzec sens odpowiedzi Kuertena. „Wpływ na misję” mógł objawić się tylko w dwóch miejscach - oczywiście, uniemożliwić zrzut. Albo

pozwoić na niego, ale sprawić, że ewakuacja byłaby niewykonalna. Skoro nie istniał ostateczny plan, Nijal Kuerten prawdopodobnie rozważał obie te możliwości.

- Czy możemy liczyć na wsparcie? - padło w końcu pytanie.

Dowódca „Krakena” westchnął. Do tego momentu w miarę łatwo było prowadzić rozmowę - wszyscy co prawda zdawali sobie sprawę, że system zdołają opuścić tylko w jeden sposób - przebijając się przez wrogą eskadrę liniową, ale zakładali, że nie będzie trzeba walczyć z nią samemu.

- Uciekniemy dzięki pomocy eskadry liniowej EUS „Chimera” - powiedział gładko Kuerten. - Na razie jednak musimy radzić sobie sami.

Delanov zamaskował zaskoczenie. Zaledwie kilka godzin temu admirał twierdził, że „Chimera” była tylko manipulacją, zasłoną dymną stworzoną wyłącznie na użytek Lafayette.

Zebranie kończyło kilka pytań dotyczących priorytetów ogniowych w trakcie podejścia nad planetę i Delanov słuchał ich jednym uchem, rozważając sytuację. Przełożony kłamał - albo podczas wcześniejszej rozmowy, albo teraz, na odprawie. Bardziej analityczna - i pesymistyczna - część umysłu komandora sugerowała, że teraz. Nie istniał powód, dla którego Kuerten miałby wprowadzić go w błąd w trakcie prywatnej rozmowy, podczas gdy teraz kłamstwo dawało mu bardzo wiele. Na przykład wiarę dowódców okrętów eskadry w zwycięstwo. Była to całkiem rozsądna strategia, zważywszy na i tak niezbyt optymistycznie zapowiadający się desant. Jednak najbardziej ponure pytanie przyszło komandorowi do głowy kilka minut później, kiedy odprawa się zakończyła i kolejne wizerunki zniknęły, pogrążając salę w półmroku.

Czy Kuerten w ogóle miał plan walki z imperialnym dowódcą, skoro uznał kłamstwo za lepszą opcję niż choćby zasugerowanie, że zna inne wyjście z sytuacji?

EUS „Kraken”, system Tiedong, 9.04.2212 ESD, 15:23

Delanov myślał, że złapie chwilę snu przed akcją, ale nie potrafił zmusić się do zaśnięcia. Leżąc na koi, w ciszy wpatrywał się w sufit kajuty i rozmyślał o tym, co przyniesie najbliższa doba. Czy w ogóle będą w stanie przeprowadzić desant, a jeżeli tak, to co wydarzy się później, kiedy staną naprzeciwko wrogich okrętów? Przez nieskończenie długą godzinę męczył się, wreszcie dał spokój i sięgnął do prezentów, jakie otrzymywał z domu. Holo szkolnych prac, listów od żony i syna oraz tych drobnych pamiątek, które zabrał ze sobą w rejs. Oraz, oczywiście do projektu Marka.

Hologram „Mój wymarzony dom” w domyślnych wymiarach miał prawie półtora metra wysokości i ponad dwa u podstawy. Marek bardzo napracował się nad szkolnym projektem, a jego matka zapłaciła fortunę za przesłanie go przez cztery punkty skokowe do

ówczesnej placówki Delanova. Musiała przewidzieć, że przez jakiś czas ojciec nie będzie mógł zgłosić się po niego osobiście.

Delanov lubił przyglądać się wizji dziecka, olbrzymiej, pełnej rozmachu i wiary, że skoro jest tak dużo miejsca na planetach, to każdy może mieć wielki dom. W konsekwencji całe, niemałe przecież mieszkanie komandora mogło zmieścić się w salonie zaprojektowanego przez syna domu. Był też balkon, pokój gier, wielki taras i - oczywiście - obserwatorium. Marka fascynował kosmos i kiedy Delanov jeszcze stacjonował w Nowym Londynie, często zabierał zarumienionego z ekscytacji chłopca daleko poza zasięg światła miast, by przez przenośny zestaw obserwować nocne niebo. Dobrze było wiedzieć, że chłopak nie odpuścił sobie astronomii, zwłaszcza że miasto oferowało tyle prostszych, szybszych rozrywek. I nie było przy nim ojca, który by go wspierał.

Największą dumą napawał oficera duży pokój na piętrze podpisany jako „Gabinet taty”. Marek pracowicie porozmieszczał meble, biurko oraz model krążownika klasy Włócznia, takiego jak „Kraken”. Syn Delanova zmyślnie umieścił w pomieszczeniu małą lodówkę oraz - czego mężczyzna nie rozumiał do końca - coś, co wyglądało na batutę. Za każdym razem, kiedy komandor widział zagadkowy sprzęt, obiecywał sobie, że w następnym liście zapyta o to, ale zawsze jakoś zapominał.

Chłopiec zapewne przy pomocy matki zainstalował w projekcie program symulacyjny, nanosząc nań podobizny swoją i rodziców. Czasami, kiedy dowódca „Krakena” miał więcej czasu, lubił przyglądać się, jak sterowane prostym algorytmem wizerunki jego, Marianny i Marka toczą wymaginowane życie w holograficznej budowlu. Obserwował, jak miniaturowy Vincent Delanov siedzi w gabinecie, zjada śniadanie, gra w virtuale i patrzy w niebo z holograficznym Markiem. Czasem wszyscy wychodzili z domu i znikali na jakiś czas, kiedy indziej znowu po prostu siedzieli przy stole i toczyli niesłyszalną rozmowę na temat spraw, o których mogą rozmawiać holograficzne ludziki. Przez jakiś czas liczył, że jego podobizna skorzysta z batutopodobnego urządzenia, a tym samym rozwikła zagadkę związaną z przeznaczeniem tego przedmiotu, ale jak dotąd nie miał szczęścia. Trochę zazdrościł miniaturowym postaciom. Były wszak lepszą rodziną niż ich ludzkie odpowiedniki. Spędzały razem czas, rozmawiały ze sobą i wyglądały na tak szczęśliwe, jak tylko mógł o to zadbać skonfigurowany przez dziecko algorytm. W dobrych dniach obiecywał sobie, że tak będzie wyglądało jego życie, kiedy w końcu wróci do domu.

W gorszych chwilach martwił się, czy kiedykolwiek to nastąpi. Czy projekt Marka nie jest absolutnie najbliższy temu, czym kiedykolwiek mogli być. Udawaną rodziną, istniejącą jedynie w świetlnych liniach projekcji holograficznych.

Z myśli wybił go ustawiony na zegarze alarm, przewiercając uszy nieprzyjemnym gwizdem. Delanov spojrział na wyświetlacz, choć doskonale wiedział, na którą go ustawił. Czterdzieści minut przed osiągnięciem pozycji wyjściowych. Unijna eskadra kończyła właśnie decelerację i wkrótce mieli się przekonać, czy plan Kuertena zadziała.

Wyłączył urządzenie i świdrujący odgłos zniknął. Przez chwilę leżał nieruchomo w ciemności kajuty, wsłuchując się we własne głębokie oddechy. Wreszcie podniósł się, zapalił światło i nieśpiesznie ubrał skafander. Kiedy skończył, pozostało mu sześć minut do momentu, kiedy miał się znaleźć na pomoście bojowym, i mniej więcej jedna, nim DuLac wysła kogoś ze służby dyżurnej, żeby sprawdził, czy dowódca jest gotowy.

Sześćdziesiąt sekund to masa czasu, pomyślał, uśmiechając się lekko. W sam raz, by zajrzeć do siebie. W domu marzeń Marka Delanova rodzina zasiadała właśnie do kolacji.

*

- Dowódca na pokładzie!

- Spocznij. - Komandor niedbale skinął oficerowi wachtowemu i podszedł do swojego stanowiska.

- Sir, okręt należy do pana. - Szczupły, wysoki DuLac zasalutował i cofnął się o krok.

- Wszystkie stanowiska potwierdzają sprawność podległych systemów. Przyjeliśmy drugi stopień gotowości, a „Kraken” jest przygotowany do pierwszego na pański rozkaz.

- Dziękuję. - Delanov usiadł w fotelu zwolnionym przez zastępcę i spojrział na ekran taktyczny.

Anshan była już blisko, otoczona błękitnoszarymi punktami przypuszczalnych pozycji wrogich platform. Imperialne pająki nadal pozostawały niewidoczne, ale wkrótce miało się to zmienić. Niedługo rozpoczną namierzanie unijnej eskadry przy użyciu aktywnych sensorów, tym samym pozwalając w końcu na pełną ocenę ich pozycji i liczby. Delanov skrycie liczył na chociaż drobną pomyłkę taktyków, na to, że przeciwnik okaże się słabszy. Z drugiej strony - gdyby tak było, czy imperialny dowódca pozwoliłby im spróbować uderzenia na planetę?

Daleko za okrętami Kuertena system nadal oznaczał nieprzyjacielską eskadrę liniową. Przeciwnik również hamował - teraz, kiedy odciął unijne okręty od punktu wejścia do systemu, nie miał powodów do pośpiechu. Komandor oceniał, że najdalej w ciągu godziny wrogi jednostki przejdą w tryb pełnej dyscypliny emisji i całkiem znikną z ekranów obsługującego sensory Rattego. Dowódcy okrętów eskadry „Krakena” będą wiedzieli tylko, że chiński admirał czai się gdzieś na drodze do domu... i czeka na nich. Delanov westchnął. Nie było sensu analizować ruchów wroga, nie teraz. Na to przyjdzie pora, kiedy uniosą głowy z bitwy nad Anshan.

Poświęcił chwilę na przejrzanie raportów stanu okrętu, ale nie powiedziały mu one wiele więcej niż zdawkowy meldunek DuLaca. Wszystkie wyrzutnie „Krakena” zostały załadowane ofensywnymi exocetami XII, stanowiska obrony punktowej zgłaszały pełną gotowość systemów. Obie anteny łączności rezerwowej wysunięto i sprawdzono, a grupy awaryjne czekały na swoich stanowiskach. Kilka minut wcześniej okręt wszedł w jałową rotację, powolny obrót wokół własnej osi, dzięki któremu słabsze punkty powłoki refleksyjnej cały czas zmieniały pozycję. „Kraken” czekał tylko na rozkaz dowódcy.

Zlecił taktykom kilka symulacji, opierając się na różnej zakładanej skuteczności systemów „Botany Bay”. Wyniki odrobinę poprawiły mu humor, ale żadna z prognoz nie dawała unijnym jednostkom więcej niż trzydzieści procent szans. Były jednak zdecydowanie wyższe, niż mówiły pierwotne szacunki i Delanov zastanawiał się, czy to nie właśnie w okręcie do walki elektronicznej Nijal Kuerten widzi szansę na poprawę niekorzystnych widoków na nadchodzące starcie.

Dokładnie dwadzieścia minut przed wejściem eskadry na pozycje z cichym świstem rozsunęły się drzwi pomostu bojowego. Delanov wstał z fotela, nie czekając na zapowiedź służby dyżurnej.

- Admirał na pokładzie! - usłyszał głos wachtowego ułamek sekundy później. Natychmiast zwrócił się ku wchodzącemu Kuertenowi i uniósł dłoń do salutu.

- Admirale Kuerten, pański okręt flagowy czeka na rozkazy - powiedział.

- Doskonale. - Przełożony odsalutował i podszedł do swojego stanowiska. Odwiesił przyniesiony hełm na uchwyt przy fotelu i usiadł, kilkoma dotknięciami konsoli ożywiając pół tuzina ekranów, które otoczyły go niczym świetlny kokon. Przez chwilę szybko przeskakiwał z raportu na raport, nie poświęcając żadnemu z nich więcej niż kilka sekund.

- Komandorze, proszę nadać na wszystkie okręty rozkaz potwierdzenia gotowości - zakomenderował wreszcie.

Delanov usiadł na swoim fotelu i na moment wbił wzrok w raport sekcji taktycznej. Pomimo jego rozpaczliwego pragnienia liczby nadal pozostawały niezmiennie - i niekorzystne. Odetchnął głęboko.

- Poruczniku Finisce, proszę przekazać na wszystkie okręty - zwrócił się do łącznościowca. - Pierwszy stopień gotowości.

- Tak jest. - Włoch zareagował, zanim jeszcze dowódca skończył mówić.

- Nasz imperialny przyjaciel jest już prawie gotowy - zauważył Kuerten. - Jak pan myśli, jaki będzie jego następny ruch?

Delanov spojrział na wyświetlacz. Punkty imperialnych okrętów trwały w jednym

miejscu, a oznaczenia ponad nimi mówiły, że wróg osiągnął prędkość bojową.

- Sądzę, że przejdą na lot inercyjny, postawią sieć sensoryczną i poczekają na nas - spróbowal odgadnąć.

- „Łowczyńi” zgłasza gotowość - odezwał się Finisce w słuchawce komunikatora. Jednocześnie nazwa okrętu zabłysła zielono na wyświetlaczu.

- Prawdopodobnie niegłupia decyzja, pozwala nam jednak na manewry - odparł Kuerten. - Wu nie będzie chciał oddalać się od punktu, o którym wie, że będzie naszym celem.

- „Echo” zgłasza gotowość. „Kadyks” zgłasza gotowość. „Zguba” zgłasza gotowość - meldował łącznościowiec. Nazwy wędrowały jedna za drugą na listę.

- Myśli pan, że będzie czekał? - spytał zaskoczony Delanov. - Mówił pan przecież, że dąży do bitwy.

- To prawda - zgodził się dowódca eskadry. - Tym niemniej komodor Wu przy całej swojej drapieżności dobrze wie, co robi. Uważa, że nie zajmiemy planety. To pozostawia nam jedynie dwa warte uwagi cele w całym systemie.

- Punkty skokowe - zgodził się Delanov.

Sześć sherwoodów jeden po drugim zgłosiło pierwszy stopień gotowości. Zaraz potem dołączył do nich „Intruz”.

- Tak. - Kuerten kiwnął głową. - Prawdopodobnie kiedy tylko nas zobaczył, wysłał kuriera z taką informacją, więc jestem praktycznie pewien, że imperialne siły po drugiej stronie ich punktu skokowego będą przygotowane na nasze ewentualne przybycie. To zostawia nam bardzo niewiele opcji.

- Nie przylecą do Tiedong?

- Nie sądzą, a już na pewno nie pełną siłą. - Kuerten wyglądał na pewnego siebie, ale w końcu takie samo sprawiał wrażenie, kiedy mówił o „Chimerze”. - Admirał Liao Tzu musi brać pod uwagę, że nasz atak może być jedynie dywersją. Nie będzie odsłaniał Fushun, zwłaszcza że lokalne siły są aż nadto wystarczające.

- „Hegemon” zgłasza pierwszy stopień gotowości - zameldował Finisce. - Obie eskadry gotowe do bitwy.

Delanov rzucił okiem na ekran taktyczny. Unijne okręty niemal całkowicie wytraciły prędkość, cały czas zbliżając się do Anshan, naprzeciw niewiadomemu. Orbitę planety nadal pokrywały jedynie przypuszczalne pozycje platform bojowych. Imperialna sieć defensywna milczała, zapewne nie chcąc zdradzić swoich pozycji używaniem aktywnych sensorów.

Kuerten milczał, również wpatrzony w pole nadchodzącej bitwy. Admirał wsparł się

na podłokietniku fotela dowódczego i podparł brodę dłonią, jednocześnie jakby bezwiednie wprowadzając polecenia do konsoli. Na ekranie przed nim do symbolicznego przedstawienia przestrzeni pomiędzy unijną eskadrą a Anshan dołączyło kolejno kilka charakterystycznych formularzy raportów sekcji taktycznej.

- Pora zatem na nas - powiedział wreszcie z namysłem. - „Kraken”, przejść na pierwszy stopień gotowości bojowej. Komandorze, proszę przekazać do wszystkich okrętów - „Hegemon”, „Zguba” i „Łowczyni”, zająć pozycje osłonowe dla „Botany Bay”. Niech „Botany Bay” wyjdzie na pozycję z przodu szyku, 45-12, dystans osiem.

- Tak jest, pierwszy stopień gotowości - potwierdził natychmiast Delanov. Kiedy przekazywał wiadomość dla wybranych przez Kuertena okrętów zakładającemu hełm Finiscemu, w korytarzach „Krakena” brzmiał już ponury dźwięk syreny alarmowej. Marynarze dopinali hełmy i sprawdzali szczelność skafandrów, zatraskiwano grodzie, powoli otwierały się automatyczne przesłony wyrzutni rakietowych. Dokładnie trzydzieści sekund później rozpoczęto procedurę wypompowywania powietrza z przedziałów, a po kolejnej minucie okręt był gotowy.

- Admirale - odezwał się Delanov do mikrofonu, starając się nie zwracać uwagi na to, jak głucho brzmi jego głos wewnątrz hełmu - „Kraken” przeszedł na pierwszy stopień gotowości, jesteśmy gotowi na pańskie rozkazy.

Kątem oka zerknął na wykaz pozostałych jednostek, na którym okręty powoli zajmowały wyznaczone im miejsca w szyku.

- Wykrywam uruchomienie aktywnej sieci sensorów! - zameldował nagle Ratte podekscytowanym głosem. - Pozycja 0-18, dystans pięćset dziewięćdziesiąt, oznaczam. Sygnał aktywnej... poprawka, wiele sygnałów aktywnej sieci sensorów, nanoszę!

Zaczęło się, pomyślał jeszcze Delanov. Platformy w końcu złamały dyscyplinę emisji. Spojrzał na ekran taktyczny, gdzie kolejne szare strefy przypuszczalnych pozycji znikły, zastąpione przez jaśniejące czerwone punkty wykrytych i zlokalizowanych obiektów. Dziesięć, dwadzieścia, pięćdziesiąt pajaków ujawniało się, przygotowując własne systemy do nadchodzącego starcia. A potem kolejne. Siedemdziesiąt. Dziewięćdziesiąt. Sto pięćdziesiąt.

Wstrzymał oddech, patrząc, jak najśmielsze prognozy sekcji taktycznej zostają przekroczone, jak na jego oczach bitwa zamienia się z trudnej w niemożliwą. A to jeszcze nie był koniec - kolejne czerwone punkty rozbłyskiwały na mapie nanoszone przez uwijającego się jak w ukropie Rattego. Ich liczba szybko przekroczyła dwieście, a potem dwieście pięćdziesiąt, ostatecznie wyhamowując na dwustu osiemdziesięciu sześciu - a przynajmniej tak można było sądzić z numerów, przydzielonych platformom przez porucznika.

Komandor głośno wypuścił powietrze z płuc. Boczny ekran jego stanowiska nieproszony wyświetlił prognozę skutecznego desantu. Dowódca „Krakena” nie musiał nawet na nią patrzeć, by wiedzieć, co przedstawia. Inni też mieli tego świadomość. Ktoś zaklął, nie pilnując, czy ma wyłączony mikrofon, Mpemba uderzył pancerną rękawicą w obudowę konsoly. Poza tym na pomoście bojowym panowała cisza.

Delanov nie miał pojęcia, jakim cudem Imperium udało się aż tak zmylić sekcję taktyczną „Krakena”, ale zaskoczenie było całkowite. Kimkolwiek był Wu, rozegrał ich idealnie - nie spieszył się do Anshan, wiedząc, że napastnicy spróbują skorzystać z domniemanego odsłonięcia planety. Że spróbują zaatakować cel, łapiąc się na iluzoryczne kilkanaście procent szans, nawet gdy będą wiedzieli, iż droga powrotna wiedzie przez jego okręty. Tymczasem od początku nie mieli żadnej możliwości wykonania zadania. Imperialny dowódca zwyczajnie wodził ich za nos.

Kilku oficerów obróciło się na swoich stanowiskach, żeby spojrzeć na Kuertena, częściowo ukrytego za świetlnymi blokami holoeckranów.

- Komandorze, proszę przekazać rozkaz na „Botany Bay” i jej eskortę. - Nijal Kuerten doskonale panował nad głosem. Jeżeli nawet widok zrobił na nim wrażenie, nie dało się tego stwierdzić. - Wycofać się w głąb szyku, pozycja 160-12, dystans piętnaście względem „Krakena”. Pozostałe jednostki, rozpocząć operację według planu bitwy.

Dowódca krążownika stracił dobre trzy sekundy na zrozumienie, co przełożony ma na myśli. Potem kolejne dwie, by zmusić się do przekazania rozkazu. Na szczęście słowa najpierw kontradmirała, a potem jego samego przełamały zakłęcie, jakie odczyty sensorów rzuciły na obsadę pomostu bojowego. Eter natychmiast rozbrzmiał głosami oficerów odpowiedzialnych za kolejne stanowiska, na ekranie Delanova pojawiały się zaktualizowane stożki stref ognia obrony punktowej i oznaczenia celów przyporządkowanych wyrzutniom „Krakena” przez centralę ogniową.

Kuerten wydawał się nieporuszony na swoim fotelu. Filtr hełmu nie pozwalał dojrzeć jego twarzy, pokazując jedynie wypaczone odbicie jednego z ekranów stanowiska dowódcy eskadry.

- Admirale. - Delanov przeszedł na prywatny kanał. - Mogę zapytać, dlaczego realizujemy poprzedni plan, mimo że sytuacja na polu bitwy tak bardzo różni się od założonej?

Kuerten obrócił się powoli. Teraz, kiedy dowódca „Krakena” patrzył wprost na przełożonego, mógł zobaczyć jego twarz. Była rozciągnięta w wilczym uśmiechu.

- A kto panu powiedział - spytał szczerze mężczyzna uprzejmie, choć w jego głosie

komandor rozpoznawał tryumfalne nuty - że się różni?

Zwykle drzące palce admirała tym razem były nieruchome. Orbita Anshan, system Tiedong, 9.04.2212 ESD, 16:15

Sto czterdzieści osiem pocisków opuściło wyrzutnie unijnych okrętów, maskując start siedemdziesięciu dwóch wahadłowców niosących zespoły szturmowe i konieczny ekwipunek. Silniki pracujące na mieszankach wysokoenergetycznego caellium dawały jasne odczyty na sensorach, sprawiając, że przyspieszające rakiety coraz bardziej pozostawiały z tyłu wolniejsze promy desantowe i błyskawicznie skracaly dystans do czekających na nie pajaków sieci obrony orbitalnej. Posłuszne zbiorowemu intelektowi ponad dwustu systemów taktycznych platformy ożyły jednocześnie. Odpalona salwa prawie sześciuset potężnych antyrakiet pomknęła w stronę nieprzyjaciela. Po kilku sekundach początkowej akceleracji każda z nich otworzyła komorę transportową, wypuszczając z niej cztery pociski właściwe. Ich małe silniki, oparte na stosunkowo ubogim paliwie, dawały zaledwie ułamek przyspieszenia ofensywnych exocetów czy wielogłowicowych armageddonów wystrzelonych przez transportowce i chmura imperialnych rakiet sunęła ku celom w iście żółwim tempie. Teraz to nie miało znaczenia. Unijnych pocisków nie trzeba było ścigać, w końcu leciały w stronę Anshan. Niemal dwa i pół tysiąca termonuklearnych lanc parło spokojnie naprzód niczym nieprzebijalna ściana sterowana przez ponad dwieście bloków walki elektronicznej. Po nieco ponad minucie dołączyło do nich drugie tyle pocisków kolejnej salwy. A potem trzeciej.

Zbliżające się ku planecie unijne pociski gwałtownie zwolniły. Wszystkie armageddony fragmentowały na niezależne głowice, sporo wcześniej, niż nakazywała procedura. Przypominało to rozpaczliwą próbę zwiększenia przeciwnikowi liczby celów, jakby dzięki temu istniała szansa na przebicie się któregośkolwiek z wystrzelonych pocisków. Ich los nie był tak istotny, ochraniały wszak doganiające, je wypełnione ludźmi wahadłowce. Ale nie miały szans zniwelować gigantycznej przewagi.

Pająki dobrze wiedziały, co robić. Dwieście osiemdziesiąt sześć komputerów bojowych w jednej chwili dostrzegło żalną próbę przeciwnika. Każdy z nich natychmiast dokonał wstępnej analizy marszu nadlatujących obiektów, naniósł je na siatkę celów własnych pocisków, następnie na wszelki wypadek wykonał podobne obliczenia dla pozostałych antyrakiet, bazując na posiadanych odczytach. Platformy Simatai III liczyły się z tym, że przeciwnik może spróbować zmylić którąś z nich - ale przecież nie było szans, by oszukał je wszystkie. Każda z platform włączyła do pakietu danych własne rekomendacje co do przydziału celów i rozesłała informacje do wszystkich pozostałych. Gdyby w tej chwili ktoś śledził natężenie ruchu informacyjnego na orbicie Anshan, jedynym, do czego mógłby

porównać komunikację pomiędzy pajakami, byłby transfer SI z dawnych czasów, jeszcze sprzed Dnia, kiedy takie rzeczy się zdarzały.

I tak się właśnie złożyło, że ów ruch był śledzony, a jego charakterystyka - natychmiast sklasyfikowana jako właśnie próba przesłania SI.

Dwieście osiemdziesiąt sześć dławików transferu zadziało jednocześnie, momentalnie ucinając całą łączność. Na niemożliwie długie czterdzieści pięć sekund każda z platform została sama naprzeciw chmury wrogich pocisków. Nie mogąc uzyskać połączenia nawet z własnymi antyrakietami, izolowane od pozostałych platform pajaki rozpoczęły gorączkową pracę. Wystrzelenie większej ilości rakiet nic nie dawało - bez wsparcia bloków walki elektronicznej nie miały one szans na trafienie celów. Jedyną sensowną opcją dla okaleczonych platform pozostawały lasery antyrakietowe i ich komputery bojowe błyskawicznie doszły do tego samego wniosku. Pospiesznie zabrały się za układanie listy celów, mając na względzie jeden, podstawowy priorytet - zniszczenie tych wrogich pocisków, które miały największą szansę uszkodzić ochraniający przez nie bezcenny nadajnik czasu rzeczywistego.

Unijne rakiety i wahadłowce osiągnęły orbitę niemal jednocześnie. Kiedy tylko weszły w zasięg imperialnych systemów obronnych, odezwały się lasery IR. W gęstwinie ich ognia pociski ginęły jeden po drugim, rozrywane przez trafiające je w tej samej chwili kilkadziesiąt wiązek - każda z odciętych platform metodycznie realizowała bardzo podobną listę celów. Pośród płonących w atmosferze resztek wahadłowce nie przyciągały specjalnej uwagi imperialnych pajaków. Nie były bezpośrednim zagrożeniem dla Nefrytowego Tygrysa. Wymierzone wprost w nadajnik rakiety miały o wiele wyższy priorytet. Jeden po drugim promy desantowe mijały orbitalną linię obrony i wchodziły w atmosferę Anshan.

Clansman Foxtrott-7, Anshan, system Tiedong, 9.04.2212 ESD, 17:06

Osiem panczerzy wspomaganych typu Puma tkwiło w wyrzutniach zamkniętych w dygoczącej razem z wahadłowcem komorze. Najpotężniejsze systemy walki obsługiwane przez pojedynczych żołnierzy miały stanowić pancerną pięść uderzenia na nieprzyjacielską twierdzę. Na razie jednak ich czas jeszcze nie nadszedł. Były jedynie ładunkiem w kruchej skorupie desantowca.

Co kilkanaście sekund rzeczywistość wirowała dziko w rytm uruchamiających się alarmów przeciążeniowych, kiedy pikujący ku powierzchni planety zmodyfikowany clansman wykonywał co ostrzejszy manewr na ścieżce podejścia do strefy zrzutu. Zakuty w swój pancierz major Kay nie przejmował się zbyt tańcem wahadłowca. Spięta z kokpitem maszyny sieć łączności dawała dowódcy Trzeciej Kompanii dosyć dokładny wgląd w

sytuację na zewnątrz i jak na razie ta sprawiała wrażenie spokojnej. Co zapewne bardziej istotne, podobnie sądzili obaj piloci desantowca.

- Mam navpunkt - mówił cichym, niemal reporterskim tonem jeden z nich, porucznik Vissner. - 22-0-6, widzisz?

- Przyjęłam, 22-0-6, nanoszę - w słuchawce zabrzmiał głos Ivry obsadzającej stanowisko kierowania ogniem. - Niebo czyste.

-... Jakimś cudem - odparł Vissner z niedowierzaniem.

Kay wykrzywił usta w uśmiechu - desant przeszedł przez podobno gęsto zastawioną orbitę i teraz w komplecie przebijał się przez rzadką atmosferę planety. Major musiał przyznać, że obecna sytuacja przerosła jego oczekiwania. Istniała realna szansa, że flota tym razem nie spierdoliła i będzie miał z kim wykonywać zadanie. Starał się oczywiście nie przesadzać z optymizmem - rzut był gorący, niemal pod lufy wroga i nie miał złudzeń, że na straty jeszcze przyjdzie pora.

- Foxtrott-7 zgłasza sensory aktywne... - zameldowała spokojnie Ivry. - Mam stożek namiaru!

Drugą część zdania wypowiedziała minimalnie głośniej i z wyraźną ekscytacją. W tle zabrzmiał świergot alarmu.

- Mijamy navpunkt, zwrot planowy 4-350. - Vissner zdawał się nie przejmować wiadomością. - Mam następny, 14-2-12, widzisz?

- Przyjęłam, 14-2-12 - mówiła w niedalekim kokpicie Ivry.

Major szybko przeprowadził kolejny test gotowości swojej pumy i posłał ponaglenie do pilotów pozostałych maszyn zespołu, by zrobili to samo. Natychmiast odpowiedziało mu siedem potwierdzeń, a na wyświetlaczu Kaya pancerze zmieniły status z „czuwania” na „test systemów”. Major szybko zamknął raport i otworzył plik odprawy otrzymany od Delanova jeszcze przed skokiem.

Dowódca Trzeciej Kompanii musiał przyznać, że kiedy przeglądał go jeszcze na pokładzie „Kadyksu”, był pod niejakim wrażeniem tego, co zaprezentowała marynarka wojenna. Wydanie Imperium bitwy nie o jakieś pośledniej wartości kopalnie, ale o nadajnik czasu rzeczywistego zdecydowanie nie było rzeczą, której Kay oczekiwał po mocno zachowawczych planistach Unii. Major zwrócił oczywiście uwagę na fakt, że to siły naziemne będą w tym wszystkim najbardziej krwawić, ale nie zastanawiał się nad tym zbyt. Był pilotem pumy. Długo ćwiczył, by razem ze swoją maszyną stanowić najgroźniejszy element pola bitwy. Nie oczekiwał łatwych zadań.

- Niebo czys... - zaczęła Ivry, ale natychmiast przerwała. - Poprawka, kontakty,

pozycja sto trzydzieści, dystans trzydzieści cztery.

- Przyjąłem, trzydzieści cztery - odparł pilot. - Co z Foxtrottem?

- Zespół Foxtrott potwierdza wykrycie - nadeszła odpowiedź. - Śledzenie w toku, idzie na główny...

- Oż, kurwa... - Vissner po raz pierwszy wykazał tak ostre emocje. Cokolwiek do nich leciało, musiało zrobić na nim wrażenie. - Czas przechwycenia?

- Dwadzieścia - odparła kobieta. - Teraz osiemnaście.

Zaczął się, pomyślał Kay. Nic niespodziewanego, potrzeba wszak było specjalnego rodzaju cudu, by Imperium nie postawiło żadnej obrony poza orbitalną. I cud, zgodnie z oczekiwaniami, nie nastąpił. Teraz na swoją szansę czekało całkiem zwyczajne szczęście, którego czas miał nadejść za niecałe dwadzieścia sekund.

Major szybko przywołał okno statusu obu drużyn - jego ludzie już zakończyli testy i siedem pum zmieniło status na „gotowy”.

- Ogień przeciwlotniczy za piętnaście sekund, będzie rzucało - nadał przez komunikator.

Spojrzał na ekran medyczny - system był w trzech czwartych listy chemii, którą należało przyjąć bezpośrednio przed lądowaniem. Właśnie skończył administrować supresory bólu i przeszedł do mieszanki mającej wspomagać współpracę systemu nerwowego z neurozłączem. Mężczyzna skrzywił się, kiedy nadeszły lekkie zawroty głowy, cena za pracę na prawdziwie pełnych obrotach przez nadchodzące dwie godziny.

- Mijamy navpunkt - mówił tymczasem Vissner, a jednocześnie puma Kaya wyłapała kolejną zmianę kursu. - Następny 8-4-4, widzisz?

- Przyjęłam, 8-4-4. - W głosie Ivry o wiele łatwiej dało się rozpoznać napięcie niż u flegmatycznego porucznika. - Czas przechwycenia trzy, zaczynam obronę bezpośrednią.

Pociski dopadły ich zaraz potem, na dwunastu kilometrach, o wiele za wysoko na awaryjny zrzut. Pilotowany przez Vissnera clansman rozpoczął serię dzikich manewrów. Alarm przeciążeniowy przeszedł z pojedynczych sygnałów w ciągłe zawroty, a sztuczny horyzont wyświetlany przed oczyma Kaya oszalał. Systemy walki elektronicznej ośmiu pancerzy uruchomiły się automatycznie, natychmiast dołączając do tych zamontowanych na clansmanie. Major czuł, jak rzeka wirusów, iluzji i elektronicznych duchów płynie przez ścieżki systemów jego pumy i dołącza do szalejącej na zewnątrz maszyny bitwy pomiędzy systemami obronnymi desantowców, a namierzaniem chmury pocisków.

- Mijamy navpunkt - nadawał tymczasem Vissner, jednocześnie wprowadzając wahadłowiec w ostry korkociąg. - Następny 4-70-0, widzisz?

- Potwierdzam, 4-70-0 - zareagowała natychmiast Ivry. - Luki w Foxtrott, trzy, poprawka, cztery. Luki w Golf, sześć. Luki w Delta, osiem.

Stateczek zatańczył w błyskawicznym zwrocie. Wewnątrz komory załogowej pancerza major niemal nie czuł gwałtownych manewrów złagodzonych przez systemy kompensacyjne pumy. Jak dotąd najbardziej oberwało się transportującej bezzałogowce wsparcia Delcie, ale „straty cztery” w grupie Foxtrott, niosącej Trzecią i Czwartą Kompanię, brzmiały nie najlepiej. Niby nadal znajdowały się w granicach oszacowań, które wykonywali na „Kadyksie”, lecz cztery strącone wahadłowce oznaczały potencjalną stratę trzydziestu dwóch ludzi, a jeszcze nawet nie wylądowali. Kay bardzo liczył na to, że część jego żołnierzy przetrwa zniszczenie niosących ich clansmanów. Awaryjny wyrzut pum na obecnej wysokości był daleki od pewnego, ale też nie klasyfikowany jako niemożliwy. No i, jak podpowiadała matematyka, każdy opadający na retroboosterach pancerz stanowił dodatkowy cel dla wrogich rakiet.

Maszyna zawirowała gwałtownie, a potem zadygotała, kiedy któryś z pocisków eksplodował niebezpiecznie blisko. Przez chwilę Kay sądził, że i tym razem mieli szczęście, bo wahadłowiec utrzymał kurs.

- Trafienie! - podniesiony głos Ivry rozwiął jego nadzieje. - Silnik A traci moc, perforacja prawego emitera ECM.

- Przyjąłem - zareagował Vissner, nie tracąc spokoju. - Trzymaj się sieci. Majorze, proszę przygotować zespół do awaryjnego zrzutu.

- Przyjąłem. - Kay zacisnął zęby i stłumił przekleństwo. Nic dziwnego, że pilot wydał takie polecenie. Awaria silnika i zasobnika ECM oznaczała zmniejszoną manewrowość i obronę elektroniczną. Bardzo niedobrze. Major przeszedł na kanał oddziału. - Do wszystkich, procedura awaryjna, prawdopodobny zrzut.

Odpowiedziało mu kilka potwierdzeń, ale nie zwracał na nie uwagi - wiedział, że pancerz i tak zgłosi mu wszelkie problemy. Szybko przestawił go w tryb bojowy, z zadowoleniem obserwując, jak kolejne systemy zgłaszają gotowość do akcji. Najpierw namierzanie, potem uzbrojenie, silniki skokowe i retroboostery. Blok walki elektronicznej, ciągle walczący z wrogimi pociskami. Podtrzymywanie życia.

Minęło dziesięć, potem piętnaście uderzeń serca, a ich kulejący clansman nadal leciał. Albo mieli szczęście, albo rozpaczliwa walka dwójki jego pilotów faktycznie coś dawała. Raczej to pierwsze.

- Próbuje restartu zasobnika - mówiła szybko Ivry, połykając końcówki zgłosek. - Null. Druga próba. Null. Trzecia próba...

Zamknięty w swoim pancerzu Kay zaklął cicho, słysząc kolejne meldunki. Próbował sobie wyobrazić, jaki chaos panował teraz w kokpicie clansmana, niezależnie od stopnia opanowania w głosach obojga pilotów.

- Zmiana kursu dziesięć, dwanaście, wypadamy z szyku - mówił skupiony Vissner. - Rezerwowy navpunkt 3-1-1, pełny ciąg.

- Ledwie kuśtykamy, spróbować postawić silnik?

- Nie, chcę ECM.

Stateczek pikował już praktycznie pionowo ku powierzchni planety, starając się jak najszybciej zmniejszyć pułap. Wychodził też z głównego rejonu bitwy, choć samotny clansman z uszkodzoną siecią obronną stanowił raczej nietrudny cel.

Kay zerknął na raporty. Jego pancerz był gotowy do zrzutu, podobnie jak pięć z siedmiu pozostałych. Spojrzał na blokadę - nadal była aktywna. Wyraźnie załoga desantowca nie chciała ich jeszcze wypuszczać.

- Gotowi! - rzucił do mikrofonu, w chwili gdy ostatnie dwie maszyny potwierdziły zakończenie procedur przygotowawczych.

- Przyjąłem, desant, zwrot 14-8. - Kay stracił ułamek sekundy na zorientowanie się, że dalsza część zdania nie jest już do niego. - Dasz mi to ECM?

- Próbu... Trafienie! - Ivry nie musiała komunikować tego faktu, bo jeżeli nawet ktoś na pokładzie clansmana zignorował wstrząs, musiał zrozumieć, co oznaczał płaczący jęk dartego metalu. - Broń martwa, nawigacja martwa, silnik pierwszy, trzydzieści procent...

Śmiertelnie ranny wahadłowiec zatoczył się jak pijany i runął ku planecie. Kay znowu spojrzał na sygnalizację blokady - nic się nie zmieniło.

- Olej ECM, daj mi jakiś sensowny ciąg, co z rezerwową nawigacją? - mówił Vissner. Słowa płynęły z jego ust prawie nieprzerwaną strugą. - Pułap dwa dwieście, zejść niżej, bądź gotowa do katapuły.

- Zimny reset dwójki. - Ivry próbowała odzyskać panowanie nad silnikiem. - Null, druga próba, null...

Kompas i sztuczny horyzont na wyświetlaczu Kaya wirowały właściwie poza granicą dostrzegalności. Niewielka skrzynka narzędziowa, w teorii idealnie zabezpieczona, urwała się z blokad i runęła przez całe pomieszczenie, trafiając prosto w hełm pumy sierżanta Kalety, następnie odbijając się od niego, by wreszcie uderzyć w apteczkę. Komorę desantową w mgnieniu oka wypełnił deszcz zasobników z lekami przemieszany z jaskrawo oznaczonymi narzędziami.

-... Szósta próba, null, rezerwowe navi wstaje - mówiła tymczasem Ivry w kokpicie. -

Dewiacja pozycji sto pięćdziesiąt, dystans dwadzieścia.

- Blisko... - zauważył Vissner, na chwilę przerywając litanię poleceń i komunikatów. -

Daj mi kurs.

- Mam, posyłam - odparła chorąży. - Spada efektywność steru wysokości, osiemdziesiąt procent, poprawka, siedemdziesiąt sześć.

- Utrzyma?

- Minutę, nie więcej.

- Rozumiem.

Kolejny wstrząs i z trzaskiem puściły mocowania stanowiska desantowego stojącej naprzeciw Kaya pumy porucznik Ackermann. Pancierz, ciśnięty siłą przeciążenia, runął na maszynę majora.

- Daj mi status - mówił w radio Vissner. - Co jest?

- Nie było trafienia, to struktura puszcza - nadeszła odpowiedź Ivry.

- Aha. Co z silnikiem?

- Skonał, chyba.

Ackermann przetoczyła się po pancerzu Kaya i uderzyła w ścianę, amortyzując upadek rękami i nogami, ale po ułamku sekundy kolejny zwrot niekontrolowanego korkociągu posłał ją w przeciwną stronę.

- Nie panuję nad jednostką - zgłosiła natychmiast Niemka. Nawet potężne wspomaganie pumy nie było w stanie poradzić sobie z bezwładnością w wirującej komorze desantowej clansmana.

- Lot, co z blokadą? - spytał Kay, patrząc na wciąż próbującą walczyć z inercją podwładną.

- Desant, już wyłączam. - Vissner zdawał się czekać na to pytanie. - Moment, schodzimy, pułap tysiąc dwieście.

- Dwójka martwa, jedynka dwadzieścia osiem procent - mówiła skupiona Ivry. - Wypadamy z trajektorii do rezerwowej strefy, aktualizuję.

- Desant, spróbuję wyrównać i was wyrzucę.

- Przyjąłem, lot - mruknął Kay, patrząc, jak sygnalizator blokady zrzutu znika. Puma Ackermann przeleciała przez całą komorę i uderzyła w ścianę, wyraźnie ją wgniatając. Ktoś na kanale ludzi Kaya zachichotał w eterze, a sama Niemka zaklęła donośnie.

- Ella, stery - mówił tymczasem pilot, jakimś cudem utrzymując spokojny ton.

- Blokada nie pozwala - zaprotestowała Ivry.

- Olej ją - powiedział porucznik zdecydowanym głosem.

- Struktura pułci.

- W końcu tak - mruknął Vissner. - Ale potrzebuję kilku sekund równego lotu.

- Jasne - potwierdziła kobieta. - Blokada poszła, stery są twoje.

Wahadłowiec, jakby nagle pchnięty, wyhamował wirowanie przy akompaniamencie donośnych trzasków kapitulującego metalu. Akcelerometry pancerza Kaya wskazywały dziewiątkę i system wyrzucił na wyświetlacz ostrzeżenie o zbliżaniu się do limitu. Ackermann, unosząca się właśnie pod sufitem, runęła na stalową podłogę. W słuchawkach majora zabrzmiało kolejne soczyste przekleństwo.

- Desant, dalej nie dociągniemy, powodzenia - rzucił pilot i jednocześnie na wyświetlaczu Kaya zamigotała informacja o uruchomieniu procedury zrzutu.

- Dzięki, lot - zdążył jeszcze nadać. Chwilę później odpaliło siedem wyrzutni, jakimś cudem nadal sprawnych, wystrzeliwując pumy zespołu Kaya poza komorę transportową konającego clansmana, pod fioletowe niebo Anshan.

Pancerz zareagował błyskawicznie, wyświetlając kilka raportów kontroli upadku na wyświetlacz. Dalsze dane popłynęły bezpośrednio przez neurozłącze. System celowniczy natychmiast rozpoczął śledzenie kilkunastu wykrytych rakiet, ale procesor bojowy przyporządkował im niemal pomijalny poziom zagrożenia. Pojedyncze pumy nie były wystarczająco cennymi celami, by marnować na nie pociski, zwłaszcza że na niebie nadal znajdowały się unijne desantowce. Zużył sekundę, by rzucić okiem w stronę odległej bitwy powietrznej, toczącej się pośród jasnobłękitnych pasów smug kondensacyjnych i krótkich, doskonale wyłapywalnych na termowizji rozbłysków eksplozji. Przez chwilę zastanawiał się, jak wielu z jego żołnierzy faktycznie wyląduje na powierzchni planety i ilu z nich będzie zdolnych do szturm, ale szybko zarzucił te rozważania. Teraz należało martwić się o własną skórę.

W zasadzie nie było źle. Altimetr wskazywał tysiąc metrów, co oznaczało wcale niezły pułap. Retroboostery potrzebowały zaledwie około dwustu metrów przy tutejszej atmosferze i ciężeniu, a zestrzelenie raczej im nie groziło tak daleko od głównego rejonu walki. Opadali w punkt prawie dwadzieścia kilometrów od oryginalnej strefy zrzutu, ale major nie martwił się tym zbytnio. Pumy potrafiły całkiem dobrze radzić sobie z dystansem. Zerknął na status zespołu i zaklął cicho.

- Ackermann! - nadał zirytowany. - Status?

- Poza stanowiskiem, przeciążenie siedem g, sterowanie pumą utrudnione. - Niemka zareagowała natychmiast. Wściekły ton kobiety wyraźnie sugerował, co myśli o sytuacji. - Spróbuję wyjść przez wrota.

Wahadłowiec porucznika Vissnera z wyciem dogorywającej turbiny przemknął obok pum opadających ku powierzchni planety. Major spojrział na wirujący desantowiec i ciągnący się za nim ślad zgubionych części i gorących gazów. Clansman stracił prawe skrzydło, a lewe trzymało się go bardziej na żarliwych modlitwach niż jakimkolwiek elemencie struktury. Poszycie na części ogonowej było w wielu miejscach przerwane, odsłaniając płonące podzespoły. Maszyna co chwila odpalała silniki korekcyjne w rozpaczliwej próbie wyhamowania niemożliwego do opanowania korkociągu.

- Pospiesz się - powiedział, obserwując pikującą maszynę, choć zapewne Ackermann doskonale zdawała sobie sprawę z sytuacji.

Kay ustawił swój pancerz, by odpalił retroboostery na dwustu trzydziestu metrach, i otworzył okno z widokiem przesyłanym przez kamerę zamkniętej w wahadłowcu porucznik. Przekaz trochę rwał, ale pozwalał przynajmniej ramowo ocenić sytuację i - być może - pomóc podwładnej.

Rozciągnięta na ścianie komory ładunkowej Ackermann uruchomiła chwytaki magnetyczne swojej pumy i sprawnie przepelzła w stronę głównego wjazdu. Clansman cały czas spadał, ale kobieta zdawała się nie zwracać na to uwagi - jej komputer medyczny nie odnotował nawet podwyższonego tętna.

Wahadłowiec opadł na siedemset metrów, kiedy doczołgała się do wyjścia i uruchomiła hydrauliczny siłownik awaryjny. Nic się nie stało. Porucznik zakłęta krótko. Jej kamera przesunęła się ku otworom po wystrzelonych pancerzach pozostałych członków zespołu Kaya.

- Sześćset - powiedział major do mikrofonu. - Spróbuj tamtędy.

- Wykonuję. - Niemka już posuwała się w stronę najbliższego stanowiska zrzutowego. Prom opadł na trzysta metrów, gdy je osiągnęła. Kolejne pięćdziesiąt zajęło jej przejście w trzytonowym pancerzu przez otwarty wjazd desantowy ze zwinnością wypracowaną przez dwa lata codziennych ćwiczeń.

Znajdowała się już na zewnątrz, kiedy wahadłowiec oberwał rakieta. Prawdopodobnie przez pomyłkę, bo przecież nie trzeba było specjalisty, by odgadnąć, że chwile maszyny są już policzone. Głowica rakiety eksplodowała tuż przy prawej burcie clansmana i uwolniona kula ognia na moment przesłoniła i prom, i wydostającą się z niego oficer. Okno transmisji na wyświetlaczu Kaya zamigotało i zgasło, pozostawiając po sobie błękitnawy powidok.

Major dostrzegł silnik katapulty, tylko jednej. Nie mógł odgadnąć, kto z załogi promu dał radę umknąć, a kto pozostał. W pościg za odstrzeloną kapsułą ruszył rój szczątków zniszczonego pojazdu. Inne poleciały w dół, wśród nich bezwładna puma Ackermann.

Nie potrafił uruchomić łącza. Spojrzał na altymetr. Był na siedmiuset metrach, Niemka na dwustu dwudziestu. Jeszcze mogła próbować... Nie. Albo straciła przytomność, albo system został zniszczony podczas wybuchu promu.

Na dwustu metrach system bezpieczeństwa odpalił sam. Porucznik musiała ustawić go na tę wysokość, oczekując zrzutu z niższego pułapu. Puma przez dobre pięćdziesiąt metrów ustawiała retroboostery we właściwej pozycji - nie mogły już teraz umożliwić desantu, ale były w stanie uratować życie kobiety.

Ackermann uderzyła w grunt, kiedy Kay był na trzystu metrach. Usłużny komputer taktyczny poinformował go, że szanse przeżycia podwładnej wynoszą dwanaście procent. Major zaklął donośnie, nie dbając o otwarte linie łączności ze swoim oddziałem. Próbował złapać połączenie z komputerem medycznym, ale najwyraźniej system Niemki szlag trafił. Chciał właśnie skorzystać z anteny awaryjnej, kiedy zapiszczał alarm wysokościowy.

Retroboostery zadziałały bezbłędnie i siedem pum powoli osiadło na burej skale powierzchni Anshan. Kay dotarł do potrzaskanego pancerza porucznik jako drugi, tuż po oficerze medycznym zespołu.

- Status? - spytał.

- Nie żyje, sir.

Kay skinął głową. Dwanaście procent to cholernie mało, pomyślał. Nie było nawet sensu na to liczyć.

- Dobra, zwijamy się. Mamy mało czasu i kawał drogi do pokonania.

Siedem pum odpaliło silniki skokowe i ruszyło ku punktowi zbornemu. Poruszające się długimi skokami maszyny szybko pokonywały dystans i po kilkunastu sekundach były już daleko od miejsca feralnego upadku porucznik Ackermann.

Trzecia i Czwarta Kompania Panczerzy Wspomaganych, Anshan, system Tiedong, 9.04.2212 ESD, 18:22

Hekatomba zrzutu nie poszła na marne i choć obie kompanie pum poniosły dotkliwe straty, zachowały wystarczające siły, by kontynuować misję. Dowódca Trzeciej Kompanii nie mógłby sobie darować, gdyby było inaczej. Major Kay szybko odzyskał niezły humor. Już niedługo przystąpi do najwspanialszej bitwy, jaką potrafił sobie wymarzyć. Mogło oczywiście być lepiej, ale naprawdę niewiele.

Wznosząca się w oddali wieża nadajnika czasu rzeczywistego odcinała się ostrymi konturami na fioletowym niebie Anshan. W każdej innej sytuacji Kay byłby pełen podziwu, że smukła konstrukcja w ogóle powstała, stanowiąc przełamanie kolejnej bariery, jaką człowiek napotkał w kosmosie. Syciłby się widokiem wszystkich cudów techniki, o których

tylę czytał. Reaktorów, zamkniętych w komorach na wysokości niemal trzech kilometrów, i otaczających ich stacji przesyłu energii mających stabilizować pole komunikacyjne. Szerokich, rozchodzących się na wszystkie strony wachlarzy kondensatorów, na których opierało się pole ochronne uruchamiane na czas transmisji. Karłowatych przy konstrukcji głównej, ale przecież niemal kilometrowych wież pomocniczych wraz z uwijającymi się wokół nich niczym rój świetlików strumieniowcach serwisowych. Zawsze chciał zobaczyć z bliska nadajnik czasu rzeczywistego. W pewien sposób wydawało mu się zabawne, że okazja trafiła się właśnie teraz, kiedy przyjechał go zniszczyć. Wojna najwyraźniej nie była pozbawiona swoistego poczucia humoru.

Patrzył na odległy o kilkanaście kilometrów cel przez wyświetlacz bojowy. Widział przezeń doskonale pola zasięgu kolejnych stref obrony, oznaczenia punktów, gdzie prawdopodobnie zamontowano elementy sieci defensywnej. Cud myśli technicznej był teraz zaledwie celem, ale za to godnym Trzeciej i Czwartej Kompanii. Zostało tylko pełne podniecenia wyczekiwanie na nadchodzącą walkę.

- Stu osiemnastu, sir. Nie mamy sygnałów od nikogo więcej. - Kildare stanęła tuż obok dowódcy. Jej puma już aktywizowała CSS, przez co mimo niewielkiej odległości wydawała się zaledwie rozmytym kształtem na tle wzgórz Anshan. W tym miejscu co prawda nie było to jeszcze absolutnie konieczne, bowiem pośród formacji wysokich, metalicznych skał o ostrych krawędziach wykrycie kompanii graniczyło z cudem. Kapitan jednak nie lubiła nawet drobnych zaniedbań.

- Wiem. - Major wyświetlił listę obecnych i po raz kolejny sprawdził stan swojej uszczuplonej jednostki. W zasadzie mieli szczęście, niezwykle trudny zrzut kosztował ich prawie połowę sił, a i z tych ludzi pewnie część będzie się dało odratować. Z sześciu magów przydzielonych do kompanii ocalało pięciu, przeżyła też większość speców od zakłócania. Nie było tragicznie, choć Kay musiał przyznać, że po cichu liczył na niższy współczynnik strat. - Pozostałe zespoły?

- Te drony, które nie biorą udziału w maskowaniu naszego podejścia, są gotowe do ataku. Artyleria zajmuje wyznaczone pozycje, będą na miejscu, zanim zaczniemy - odpowiedziała. Jednocześnie na wyświetlaczu Kaya pojawił się pełny raport. Liczby wyglądały źle. Pozostałe grupy oberwały gorzej niż kompanie pancerzy wspomaganych. Z dwudziestu dwóch stanowisk mobilnej artylerii pozostało dziesięć, a dronów ocalała mniej więcej jedna trzecia.

- Osłona elektroniczna?

- Żyjemy - zauważyła kobieta lakonicznie. - Przynajmniej na razie.

Kapitan miała rację - póki co kompanijni magowie za pomocą części bezzałogowych dronów byli w stanie utrzymać osłonę przed systemami rozpoznawczymi wroga. Ale tylko chwilowo. Kay nie wiedział, ilu imperialnych magów zabezpieczało nieprzyjacielską twierdzę, ale nie miał wątpliwości, że wystarczająco wielu, by sobie poradzić z jego ludźmi, kiedy tylko zdecydują się skupić na jednym miejscu. Nie było czasu do stracenia.

- Słusznie - powiedział, raz jeszcze spoglądając na widoczną na horyzoncie budowlę. - Zbierzcie ludzi. Wyruszamy, gdy tylko wszyscy będą gotowi.

- Sir. - Choć Kildare nie zmieniła tonu, wiedział, że chce o coś zapytać.

- Kapitanie?

- Jak szacuje pan szanse tego planu? - zapytała.

Przez chwilę Kay milczał. Skierował kamery swojej pumy na odległą wieżę nadajnika i uruchomił maksymalne przybliżenie, tak że środkowa część konstrukcji wypełniła cały ekran wyświetlacza. Potem przesunął obraz niżej, choć skały nie pozwalały zobaczyć podstawy budowli, gdzie krył się faktyczny cel uderzenia - chroniona pancerną kopułą komora komunikacyjna.

- Łatwo nie będzie - powiedział wreszcie wesołym głosem. - Podstawowy plan ma może czterdzieści procent. Jeśli on zawiedzie, mamy jeszcze główce taktyczne.

- Nie ma jak ich użyć - zauważyła Kildare.

Kay szybko przywołał na ekran szacunkowe dane. Trzeba było przyznać, że pesymizm Kildare miał pewne uzasadnienie. Żeby cokolwiek zrobić ukrytej za pancerną osłoną komorze komunikacyjnej, ładunek taktycznej główicy musiał detonować stosunkowo blisko niej, a obrona Nefrytowego Tygrysa nie dawała żadnej rakiemie czasu na lot dłuższy niż sekundę. Większe szanse rokowało wystrzelenie pocisku z możliwie małego dystansu, ale trzeba było się najpierw zbliżyć do nadajnika. Nawet przy fantastycznych możliwościach pum i wsparciu magów wyczyn wydawał się co najmniej bardzo trudny. Z drugiej strony, tylko trudne zadania były naprawdę ciekawe.

- Załedwie „prawie nie ma jak” - poprawił pogodnym głosem, obracając się ku podwładnej. Po pancerzu kapitan przepływały szaroczarne plamy.

- Straty na podejściu będą znaczne. - Jej głos nie wyrażał żadnych emocji. Po prostu stwierdziła fakt.

- Owszem. - Kay uśmiechnął się wewnątrz swojej pumy. - Ale też małych nie oczekiwaliśmy. Cel mamy taki, że trudno o lepszy. W obecnej chwili zarówno ja, pani, jak i dowolna liczba naszych ludzi to akceptowalna strata, o ile wykonamy zadanie.

- To dobra wiadomość? - Teraz był niemal pewien, że spojrzała na niego spod wysoko

uniesionych brwi, jak matka patrząca na zbyt podekscytowane dziecko.

- Nie ma lepszej. - Kay odetchnął głęboko, aktywując CSS swojego pancerza. - Jeśli nam się uda, załatwimy nadajnik czasu rzeczywistego w środku terytorium wroga. Czy istnieje bitwa bardziej właściwa dla pum?

- A jeżeli nie? - spytała, pozwalając sobie na lekko ironiczny ton.

- Nadal będą o nas mówić - odparł wesoło. - Choć wyobrażam sobie, że z punktu widzenia treści tych historii lepiej, aby nam się udało.

Zaśmiała się głośno i perliście, jakby na moment ubyło jej dziesięć lat i dwie trzecie powagi. Ale chwila minęła i Kildare znowu stała się skupionym, zawsze kalkulującym dowódcą Czwartej Kompanii. Kay lubił, kiedy taka była. Zwłaszcza teraz, kiedy jak przypuszczał, mieli potrzebować jej kalkulacji.

Pluton A, Trzecia Kompania Pancerzy Wspomaganych, strefa obrony Nefrytowego Tygrysa, Anshan, system Tiedong, 9.04.2212 ESD, 18:45

Czas akcji 12 s. Dystans do punktu ataku 13 004 m

Magowie kupili im całe dwanaście sekund. Gdy w kierunku nacierających pum pomknęły pierwsze pociski, obie kompanie szły już w pełnym pędzie w stronę celu. Odpalane raz po raz silniki były ledwo widoczne w gęstwinie stawianej przed linią natarcia zasłony dymnej, a z nieba powoli opadały drobinki szaroczarnego pyłu zniszczonych pocisków wsparcia artyleryjskiego. Wokół pancerzy drżały widma emitowane przez projektory systemów obronnych, które bloki walki elektronicznej otaczały dokładnymi podróbkami sygnatur pum. Pomiędzy maszynami, na niskim pułapie szły bezzałogowe drony, zionąc ogniem, jakby świat się kończył.

Obrona imperialna nie pozostawała dłużna. Zdając sobie sprawę z opóźnienia, położyła morderczy ogień na szybko zbliżające się zagrożenie. Powietrze cięły promienie laserów podczerwonych, a ostrzał lekkiej artylerii usiłował wymacać unijne maszyny. Pociski szybkostrzelnych dział elektromagnetycznych żłobiły tunele w gęstym dymie, ściągając z nieba drony i przebijając pancerze. Magowie na stanowiskach obronnych przy Nefrytowym Tygrysie starli się z tymi zakutymi w pancerze wspomaganymi. Zysk z zarobionych dwunastu sekund szybko topniał.

Czas akcji 1 min 10 s. Dystans do punktu ataku 11 496 m

Kay uruchomił silniki, puszczając pumę w niemal stumetrowy skok po płaskiej paraboli pośród kłębow zasłony dymnej. System obronny natychmiast uruchomił kilka dysz pomocniczych, wprowadzając chaotyczną dewiację krzywej lotu, by maszyna nie stała się zbyt łatwym celem dla obrońców nadajnika. Prawie cztery sekundy lotu pozwoliły majorowi

obmyślić dalszy plan działania. Wywiad spieprzył sprawę, to było jasne. Spodziewali się silnej obrony, ale to, co Imperium rzuciło przeciwko nim, przekraczało najśmielsze oczekiwania. Natarcie główną linią posuwało się naprzód, jednak o wiele wolniej, niż zakładali. I wiele ich kosztowało. Podległa mu jednostka straciła już trzydzieści jeden pancerzy, a nadal nie byli nawet w przybliżeniu na pozycjach do ataku na cel. Jak tak dalej pójdzie, przeszła mu przez głowę nieprzyjemna myśl, wytraci ludzi, a zadania nie wykona.

Usłyszał cichy pisk - wyświetlacz zaserwował informację o namierzaniu aktywnym, którą zniecierpliwiony mężczyzna natychmiast odrzucił. Wiedział w końcu, że go namierzają. Jeżeli zawiódłby blok walki elektronicznej, i tak nie miał co z tym zrobić.

Upadł na grunt kilka metrów bliżej, niż planował, i natychmiast wybił się ponownie. Kilkanaście pocisków artyleryjskich, strąconych w powietrzu przez systemy obronne celu, eksplodowało nad atakującymi pumami, rozpylając w powietrzu nadpalony pył i wypełniające je dipole, które miały utrudnić wrogom ostrzał.

Czas akcji 2 min 23 s. Dystans do punktu ataku 9798 m

Ludzie ginęli w milczeniu. Śmierć nadchodziła zbyt szybko, by dać im czas choćby na krzyk. Jedynie ikony znikające ze schematu dowodzenia znaczyły krwawą daninę, jaką obie kompanie płaciły za zbliżenie się na zasięg strzału.

Zawył alarm i tym razem laser obronny pumy błysnął wiązką podczerwoną, niszcząc niewidoczny dla majora cel. Kilkadziesiąt metrów obok zginął bezzałogowy dron, na chwilę rozjarzając ciemnoszary dym ogniem eksplozji.

Czas akcji 2 min 55 s. Dystans do punktu ataku 8986 m

Całkiem blisko uderzył pocisk artyleryjski. Fala uderzeniowa cisnęła pancierzem Kaya o skaliste podłoże. Major przetoczył się i natychmiast poderwał, wystrzelując kilkanaście wabików. Skoczył ponownie, prawie nie widząc olbrzymiej wieży i naprowadzając się na wyraźny, niemożliwy do pomylenia z niczym sygnał aktywnej komory komunikacyjnej.

Czas akcji 3 min 30 s. Dystans do punktu ataku 8374 m

Ktoś na prawym skrzydle uderzenia, chyba Gilchrist, odpalił głowicę taktyczną w rozpaczliwej, bezsensownej próbie zaszkodzenia wrogowi. Rakieta błysnęła jasno na ekranie sensorów i natychmiast została zestrzelona. Mogła pokonać z dwieście metrów. Chwilę później zginął i podporucznik Gilchrist - o ile jego puma z aktywnym blokiem walki elektronicznej stanowiła bardzo trudny cel, próba prowadzenia ognia raketowego była w tej sytuacji praktycznie równoważna noszeniu tablicy informacyjnej „Strzelać tutaj”.

- Tylko ogień obronny - rozkazał Kay. - Strzelać na rozkaz albo po wejściu w strefę.

Przez chwilę zastanawiał się nawet, czy nie zablokować zdalnie wyrzutni swoim

ludziom, ale szybko odrzucił tę myśl. W końcu któremuś mogło się udać wejść na wręcz nieuczciwie mały dystans możliwego ataku raketowego, a wtedy nie chciał tracić czasu na odblokowywanie go.

Czas akcji 3 min 51 s. Dystans do punktu ataku 8026 m

Seria działek obronnych rozpruła zasłonę dymną i przemknęła tuż obok wybijającej się do kolejnego skoku pumy majora. Przez chwilę sądził nawet, że go namierzono, ale następne pociski nie nadleciały. Nadal miał szczęście.

Czas akcji 4 min 1 s. Dystans do punktu ataku 7821 m

Kolejny dron rozbił się o grunt, trafiony idealnie w silnik. Płonące paliwo rozlało się po skale, tworząc ognistą smugę rozmazaną na szarym podłożu.

Czas akcji 4 min 33 s. Dystans do punktu ataku 7130 m

W nawale następujących po sobie, szybkich wybuchów zniknął cały pluton D, szesnaście maszyn. Pewnie imperialni magowie rozpracowali ich osłonę, a reszta poszła szybko.

Kolejne dwa skoki, a potem następne. Wieża majaczyła całkiem wyraźnie ponad ciągle odtwarzaną zasłoną dymną, ale nadal znajdowała się bardzo daleko. Zerknął na dalmierz. Przynajmniej on był po jego stronie, wskazując, że istotnie zbliżył się do celu.

Czas akcji 4 min 51 s. Dystans do punktu ataku 6762 m

Bliska eksplozja na sekundę zakłóciła elektronikę pancerza podporucznik de Boer. Ten moment wystarczył, żeby maszyna została rozstrzelana kilkunastoma pociskami, prawie zatrzymując się podczas skoku. Na mgnienie oka system Kaya wyłapał nawet jakieś stanowisko ogniowe, ale major nie zdecydował się na strzał. Uszkodzenie jednego stanowiska w obecnej chwili niewiele dawało, a pozwalało wrogowi uzyskać nowe informacje.

Czas akcji 5 min 12 s. Dystans do punktu ataku 6381 m

Padła pozycja artyleryjska, a potem kolejna. Kay szybko wydał rozkaz wstrzymania ognia, ale chyba zbyt późno. Zanim skończył mówić, kolejny numer na wyświetlaczu statusu jednostki zmienił kolor na czerwony, znacząc śmierć lekkiego działa wsparcia i trzech obsługujących je żołnierzy.

Czas akcji 5 min 52 s. Dystans do punktu ataku 5714 m

Pancerz porucznika Guillaume'a z plutonu Kaya oberwał kilkoma pociskami, całkiem niedaleko. Boczna kamera wyłapała gwałtowny skok temperatury, kiedy eksplodował zasobnik rakiet krótkiego zasięgu. Przez chwilę major brał po uwagę zdalne odpalenie głowic taktycznych zniszczonej pumy, ale uszkodzone wyrzutnie nie reagowały na polecenia.

Czas akcji 6 min 14 s. Dystans do punktu ataku 5310 m

Sensory wyłapały piechotę i system natychmiast naniósł namiary na siatkę celowniczą. Ciekawy trik, zauważył Kay z niejakim podziwem. Imperialny dowódca był sprytny, liczył, że sprowokuje nacierających do otwarcia ognia w kierunku łatwych celów. I pewnie gdyby miał do czynienia ze zwykłym wojskiem, ktoś by się na to złapał.

Czas akcji 6 min 36 s. Dystans do punktu ataku 4798 m

Żeby chociaż było się gdzie schować, pomyślał zirytowany, kiedy kolejnych trzech pilotów pum przegrało starcie z obroną instalacji. Imperium jednak przewidziało wszystko i teren wokół ich nadajnika był płaski jak deska, bez żadnego załamania czy choćby szczeliny w skalistym podłożu.

Czas akcji 6 min 58 s. Dystans do punktu ataku 4242 m

Cztery drony zniknęły z sensorów prawie jednocześnie, trafione celnym ogniem laserów IR. Kay sprawdził status kompanii, ale raport nie wyglądał dobrze. Siedem minut ataku na najważniejszy obiekt sektora kosztowało jego oddział cholernie dużo. plutony D i F wybito do ostatniej maszyny, B został zredukowany do dwóch osób. W pozostałych dziewięciu było lepiej, ale niewiele. Tylko dwa z nich miały ponad dwie trzecie stanu, lecz to nie mogło potrwać długo.

Czas akcji 7 min 31 s. Dystans do punktu ataku 3742 m

Stavros, mag w plutonie C, oberwał w biodro. Puma z praktycznie urwaną nogą runęła na skałę, rozpaczliwie usiłując złagodzić uderzenie silnikami. Siła obrony elektronicznej nacierających spadła i zanim pozostali przejęli obowiązki Greka, zginęło dwóch ludzi.

Czas akcji 7 min 59 s. Dystans do punktu ataku 3309 m

Skok rzucił go w pobliże linii ataku plutonu E. Dwa pancerze ludzi Kildare przemknęły mu prawie przed nosem, siejąc wabikami i pociskami zakłócającymi. Gdzieś w samym rogu wyświetlacza mignęła informacja o zniszczeniu kolejnego stanowiska artyleryjskiego. Sprawdził wcześniejsze raporty - zostało ich już tylko sześć, mniej niż połowa. Jeżeli miał coś postanowić, trzeba było to zrobić teraz.

- Grupa Golf, start do osłony stanowisk artylerii. Walka elektroniczna, skupić się na plutonie A - rzucił do mikrofonu. I tak nie wyglądało na to, żeby wyszli stąd żywi, wahadłowce przewidziane do wsparcia ewakuacji z planety mogły równie dobrze przydać się teraz. - Pluton A, za mną, przejść na bierną obronę, resztę przejmą magowie. Pozostali, pełna defensywa, zmniejszyć tempo. Dowodzi Kildare.

- Kildare, przejmuję - odpowiedziała natychmiast kapitan. Musiała wiedzieć, co oznaczał rozkaz przełożonego, ale nie skomentowała go w żaden sposób. Chwilę później magowie przekazali sygnały gotowości.

Czas akcji 9 min 32 s. Dystans do punktu ataku 1528 m

Ruch był ryzykowny i konieczność zapłaty przyszła natychmiast. W ciągu pierwszych dwudziestu sekund stracił pięciu ludzi, a dalsza minuta była hekatombą plutonu H, bezlitośnie namierzonego i zmasakrowanego przez imperialnych obrońców. Na szczęście Kildare szybko przeorganizowała pozostałych ludzi i resztki kompanii co prawda niemal nie zyskiwały terenu, ale przynajmniej zoptymalizowały sieć defensywną. Bez magów nadal pozostawali celami, jednak teraz przynajmniej trudniejszymi.

Co innego pozostałe jedenaście pum plutonu A. Z milczącymi systemami aktywnymi, polegając tylko na magach i zasłonie stawianej przez eskadrę dronów bojowych, sunęły naprzód, coraz szybciej polykając dystans. Wróg jeszcze nie dostrzegł manewru - albo uznał, że najpierw wybije zostających z tyłu podwładnych kapitan Kildare. Minęła minuta, potem dwie, a stan osobowy nie malał.

Czas akcji 9 min 51 s. Dystans do punktu ataku 926 m

Majestatyczna wieża nadajnika rosła w oczach i Kay już nie musiał polegać na dalmierzu, by wiedzieć, że jest blisko. O dystansie sensownego odpalenia głowicy taktycznej nawet nie mógł marzyć, ale teraz to nie było ważne. W końcu nie na tym polegał plan. Major w myślach starał się nanieść poprawki na oszacowanie szans ataku. Stąd powinni mieć ich już prawie dwadzieścia procent - jeszcze najdalej minuta i przekroczą zalecane sześćdziesiąt.

- Kildare, przygotować się... - rzucił do radia i wtedy system obrony jego pancerza zawył ostrzegawczo. Prowadząca pluton puma zniknęła w feerii eksplozji pocisków małokalibrowych, a chwilę później celna wiązka z lasera IR przepaliła hełm drugiej.

- Pluton, pełna obrona, Kildare, zaczynaj! - nadał, uruchamiając jednocześnie aktywne systemy obronne. Wyrzutnie pancerza ożyły, miotając całe serie wabików i szaleńczo próbując zwalczyć ogień obrońców nagle skupiony na plutonie A. Niestety, z małym skutkiem.

Czas akcji 10 min 21 s. Dystans do punktu ataku 280 m

Wasilewski zginął jako trzeci w zespole. Chcąc uratować swoją maszynę, oficer wytworzył prawdziwą gęstwinę projekcji holograficznych, ale przeciwnicy nie musieli wybierać - zmasowany ogień kilkunastu stanowisk zwyczajnie trafił je wszystkie. W ostatniej chwili Kayowi udało się odpalić zdalnie obie głowice niesione przez porucznika, ale nie przetrwały nawet dwóch sekund w powietrzu. Czwarta była Skella, jeden z najlepszych strzelców zespołu. Oberwała w bok, pechowo prawie dokładnie w wyrzutnię wabików. Przygotowywana właśnie do wystrzelenia partia eksplodowała tuż poza wyrzutnią, podświetlając młodą porucznik jak na tacy. Pięć sekund później było już po wszystkim.

Czas akcji 10 min 31 s. Dystans do punktu ataku 30 m

Tymczasem jednak zaczęło się uderzenie. Ostatnie jedenaście dronów weszło na właściwy pułap i wystrzeliło wszystkie rakiety, mierząc dokładnie w nadajnik. Stanowiska obrony bezpośredniej, dedykowane tylko do obrony konstrukcji, wychwyciły je momentalnie, błyskając pełną siłą jednostek aktywnego namierzania. Salwa nie miała najmniejszych szans, drony zresztą też nie. Na niebie Anshan wykwitły czerwone fajerwerki, najpierw eksplodujących rakiet, potem ich wyrzutni. Ale to wystarczyło - komputery bojowe wysuniętego plutonu A czuwały.

Na wyświetlaczu majora zabłysnął las podświetlonych anten kierowania ogniem, a potem większość zniknęła, pozostawiając tylko kilkanaście kluczowych dla planu. Dowódca Trzeciej Kompanii potrzebował sekundy na przydział celów, a potem pozostałe siedem maszyn jego zespołu wystrzeliło. Nie rakiety, te nie miały szans nawet zbliżyć się do konstrukcji, lecz zwykłe długie serie pocisków z działek elektromagnetycznych. Zbyt mało, jak na potężną konstrukcję nadajnika. Ale wystarczająco wiele na czułe anteny sensoryczne. Cele zniknęły w jednej chwili.

System imperialny zareagował błyskawicznie. Dane z procesorów geometrycznych pomknęły do centrali kierowania ogniem, która pospiesznie przekazała stanowiskom bojowym skorygowane namiary. Celna nawała ogniowa strąciła kolejną pumę, a chwilę potem następną. Desperacko usiłujące zbliżyć się do strefy rażenia taktycznych głowic nuklearnych maszyny ginęły jedna po drugiej. Eksplodowały jasnym płomieniem amunicji i paliwa albo po prostu spadały nagle pozbawione życia przez celne wiązki laserowe. Imperium krwawo pomściło podniesienie ręki na Nefrytowego Tygrysa.

Jednocześnie anteny drgnęły, starając się pokryć wąskie wycinki przestrzeni pozostawione bez opieki po celnym ogniu plutonu A. Kiedy jednak wykryły lecące w ślepej strefie pociski artyleryjskie, te były już niemal u celu.

Osiem setnych sekundy system stracił na reakcję centrali kierowania ogniem, prawie pół zajęło stanowiskom bojowym wymierzenie w zbliżające się cele. Spóźniony ogień strącił dziewięć pocisków, pozostałe cztery uderzyły dokładnie w kopułę chroniącą komorę komunikacyjną.

*

Painkillery dawały miłe wrażenie lekkości i leżący w zdruzgotanym pancerzu Kay czuł się naprawdę dobrze. Nie rejestrował bodźców z prawej strony ciała, co w sumie mogło się zgadzać, bo pancerz sygnalizował oderwanie obu kończyn po tej stronie. Major pamiętał, że kiedyś uczono go o bólach fantomowych, ale wyraźnie jeszcze nie nadeszła ich pora.

Neurozłącze wciąż jakoś działało. Kay od razu sprawdził namiar na cel i zaklął głośno. Imperialna komora komunikacyjna nadal pracowała. Głupie bydlę musiało być chyba niezniszczalne. A może po prostu Chińczycy wyjęli całą artylerię? Sprawdził dalmierz. Był całkiem blisko strefy, z której sens miało strzelanie taktycznymi głowicami nuklearnymi, ale nadal wyraźnie poza jej granicami. Westchnął. Mimo braku bólu wyczuwał, że nie jest w stanie nabrać zbyt wiele powietrza. Pewnie coś z płucami. Włączył radio.

- Kildare.

- Sir? - zareagowała kapitan. Dobrze było słyszeć głos drugiego człowieka. Do teraz nawet nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo. - Jaki jest pański stan, nie mam telemetrii?

- Puma niesprawna, leżę poza strefą - odparł. Mówienie na dłuższą metę okazywało się trudne, nawet jeśli nie bolało. - Nadal mam sygnał celu. Przesyłam odczyty ręcznie. Co z kompanią?

Parsknął cicho. Słowo „ręcznie” w jego obecnej sytuacji wydawało się całkiem zabawne. Spróbował poruszyć lewą ręką, ale też bez skutku.

- Cofamy się, sir. Dronów nie ma, artyleria zniszczona - zaraportowała kapitan. - Mam pański...

Przerwała na chwilę.

- Dziękuję, majorze - powiedziała nagle bardzo spokojnym tonem.

- Nie ma... - zaczął Kay, ale zanim zdążył dokończyć, zalało go białe gorąco nuklearnego wybuchu.

*

Eksplozja głowic majora Kaya na dłuższą chwilę przesłoniła wszelkie inne transmisje i Kildare wykorzystała ten moment, aby wycofać pozostałych żołnierzy. Sama ruszyła do przodu w kierunku, gdzie jeszcze niedawno wznosiła się wieża nadajnika. Musiała się upewnić.

Pociski artyleryjskie nie dały rady zniszczyć komory komunikacyjnej - było ich zbyt mało. Uszkodziły jednak poważnie jej powłokę ochronną. Ranny major nie mógł wiedzieć, że jego pozycja jest już wewnątrz strefy, w której wybuch głowicy mógł zniszczyć cel. Kildare wierzyła jednak, że gdyby miał tego świadomość, podjąłby taką samą decyzję jak ona. W obliczu celu wszyscy byli w końcu do poświęcenia.

Sensory pumy zaczynały powoli wyłapywać aktywne namierzanie linii obronnej Nefrytowego Tygrysa, dochodzące do siebie po wybuchu. Samej wieży nie było widać, co zresztą kapitan nie dziwiło. Wysoka konstrukcja nie miała szans przetrwać tak bliskiej eksplozji, ale też niewiele znaczyła. Imperium mogło szybko odbudować każdą część systemu

- tylko komora komunikacyjna była bezcenna.

Pancerz kapitan uruchomił aktywną obronę. Rój wabików pomknął wprost w stawianą wokół pancerza zasłonę dymną. Pierwsze wrogie pociski przeszły na razie bezpiecznie daleko, ale Kildare wiedziała, że to nie potrwa długo. Mijały kolejne sekundy, każda dłuższa od poprzedniej. Pilot zmieniała trajektorie skoków, ich kierunek, zataczała się jak pijana, modyfikując rotację pancerza w powietrzu.

Pocisk artyleryjski wybuchł zbyt blisko i fala uderzeniowa trafiła pumę w powietrzu. Diagnostyka zawyła rozpaczliwie, wyrzucając na ekran listę uszkodzonych systemów. Posłuszeństwa odmówił lewy silnik i pancerz opadł na skałę. Kildare padła płasko i to uratowało jej życie - wiązka laserowa przeszła na tyle blisko, że wyłapał ją zewnętrzny czujnik termiczny pumy.

Wtedy sensory wychwyciły cel. A raczej - dokładną sygnaturę celu. Brakowało tylko sygnału komory. Namiar, którym kierowali się przez cały atak, zniknął. Kapitan roześmiała się głośno wewnątrz pancerza. Wykonali zadanie.

- Przekażcie na górę - nadała do swoich ludzi. - Zadanie wykonane. Kontynuujcie wycofywanie, zaraz dołączę. Bez odbioru.

Szykowała się właśnie do pierwszego skoku na pojedynczym silniku, kiedy kolejny pocisk artyleryjski uderzył niecałe trzy metry od niej. W ostatniej świadomej myśli Kildare życzyła szczęścia przejmującemu dowodzenie de Jongowi. Zresztą z szóstką ludzi i tak nie powinien mieć problemów.

EUS „Kraken”, pozycja postojowa nad Anshan, system Tiedong, 9.04.2212 ESD, 19:42

„Kraken” odnotował eksplozję nuklearną, a parę minut później jeszcze kilka, ale poza tym od rozpoczęcia ataku nie nadeszły żadne meldunki. Pomost bojowy krążownika od ponad trzydziestu minut trwał w pełnej napięcia ciszy, przerywanej tylko regularnymi wywołaniami Finiscego na kolejnych częstotliwościach łącznościowych Trzeciej i Czwartej Kompanii oraz monotonnymi raportami Ratego, usiłującego wyłapać coś poprzez barierę szumów i zakłóceń generowanych przez systemy obrony elektronicznej Imperium.

Delanov wyłączył wyświetlacz taktyczny, zamiast niego uruchamiając podgląd stanowiska sensorów. Pomniejszył okno obrobionego już raportu i przez chwilę wpatrywał się w długie ciągi znaków oraz niewiele mu mówiące surowe dane, bezskutecznie próbując odgadnąć cokolwiek, czego jeszcze nie sklasyfikował i nie oznaczył Ratte.

Sekcja taktyczna twierdziła, że atak musiał się już skończyć. Szanse działania wewnątrz strefy obronnej Nefrytowego Tygrysa od ostatniego meldunku aż do teraz mieściły

się w granicach błędu symulacji. Albo cel został zniszczony, albo uderzenie pum odparto - i komandor z każdą upływającą minutą skłaniał się ku drugiej opcji. Wiele by dał, by wiedzieć, co o tym sądzi Kuerten, ale ten nie dzielił się swoimi przemyśleniami. Od momentu ostatniego raportu majora Kaya bez przerwy wysyłał nowe scenariusze do sekcji taktycznej. Ekran otaczający jego stanowisko pokazywały coraz większą ilość błękitnych kart raportów i estymacji. Admirał poświęcał każdej zaledwie kilka sekund, po czym przesuwał ją na któryś z bocznych wyświetlaczy i przystępował do pracy nad kolejnym zapytaniem.

Czas mijał, odmierzany meldunkami Finiscego i połyskującymi na wyświetlaczu cyframi zegara misji.

- Komandorze - odezwał się nagle Kuerten w słuchawkach komunikatora. Konradmirał nawet nie spojrzął na Delanova, ciągle skupiony na otaczających go ekranach, a w jego głosie dawały się wyczuć delikatne cienie niepokoju. - Proszę przekazać na „Łowczynię”: zmniejszyć dys...

- Sir, mam sygnał z Anshan! - podekscytowany Finisce wszedł mu w słowo. - Zwykła łączność zagłuszana, Czwarta łączy się przez laser, potwierdzam kody...

Mpemba uniósł pięść w zwyczajnym geście, ktoś inny odetchnął głośno, zapominając wyłączyć mikrofon. Van Dijk odchylił się w swoim fotelu i wybił zakutymi w rękawice dłońmi wesoły rytm na konsolce nawigacyjnej.

- Komandorze Delanov, chciałbym porozmawiać z desantem osobiście. - Kuerten wyraźnie się rozluźnił.

- Tak jest. - Dowódca „Krakena” kiwnął głową i zwrócił się do Finiscego. - Poruczniku, gdy tylko pan potwierdzi tożsamość nadawcy, proszę przekazać linię admirałowi Kuertenowi.

- Izolowanie?

- Kopia do mnie. - Jako dowódca okrętu miał prawo nasłuchu wszelkiej komunikacji, o ile Kuerten nie uchylił go wyraźnym rozkazem. Delanov założył, że jeżeli dowódca eskadry będzie żądał prywatnej linii, zareaguje. Na szczęście przełożony milczał.

- Zrozumiałem, sir - odparł porucznik. - Kiedy tylko... jest. Mam potwierdzenie, to Czwarta. Przekazuję.

W słuchawce Delanova rozległo się ciche piknięcie otwieranego kanału łączności, a zaraz potem lekko zrywany przez zakłócenia głos.

-... de Jong, pełniący obowiązki dowódcy Czwartej Kompanii, „Kraken”, czy mnie słyszycie? - męski głos szybko wypowiadał kolejne słowa, lekko połykając końcówki. Komandor nie był pewien, czy to nerwy, chemia bojowa, czy wreszcie słabe połączenie. - Tu

porucznik...

- Poruczniku de Jong - odezwał się Kuerten. - Mówi kontradmirał Nijal Kuerten, dowódca zespołu. Jaki jest status misji?

- Zadanie wykonane, sir - zameldował de Jong i Delanov poczuł niemal fizyczną ulgę.

- Nefrytowy Tygrys milczy. Potarzam, zadanie wykonane, Nefrytowy Tygrys milczy.

Przy stanowisku łącznościowym Finisce, który w żadnym wypadku nie powinien był podsłuchiwać, dyskretnie uniósł w górę oba kciuki. Van Dijk i Ratte musieli dostrzec sygnał, bo Van Dijk powtórzył gest, a operator sensorów zawołał coś radośnie wewnątrz hełmu. Na szczęście porucznik najpierw wyłączył mikrofon, oszczędzając tym samym Delanowowi konieczności interwencji.

Admirał kiwnął głową z zadowoleniem. Kilkoma ruchami dłoni zmienił pozycje otaczających go ekranów, przesuając przed siebie jedno z okien całkowicie wypełnionych raportami taktyków.

- Desant, dobra robota - nadał. - Nawet nie wiecie, jak bardzo liczyliśmy na tę wiadomość. Proszę przekazać najszczersze gratulacje swoim ludziom. Jaki jest status sił naziemnych?

- Ogólny stan osobowy dziesięć, powtarzam, dziesięć - odpowiedział de Jong i wesołość Delanova zniknęła w jednej chwili. - Cztery sprawne pumy, bez magów. Dwie załogi wahadłowców oraz dwóch pilotów po katapultowaniu. Foxtrott-2 i Foxtrott-11 gotowe do lotu. Rozdzieliliśmy rannych. Start możliwy w ciągu minuty od otrzymania rozkazu.

- Mocno oberwaliście, żołnierzu - powiedział cicho Kuerten, jednocześnie przesuując dłonią kolejne raporty taktyków. - Przykro mi.

- Dobra bitwa, sir. - Na powierzchni planety de Jong starał się trzymać fason, ale zdradzał go ton głosu. Zresztą, czego można było oczekiwać od niego w obliczu takich strat?

- Nie mogliśmy chcieć lepszej.

- Cieszę się, że pan tak uważa. - Admirał włączył ten sam ekran konsoli operatora sensorów. Równe kolumny liczb odbiły się w pancernym filtrze hełmu mężczyzny. - Co się stało z clansmanami grupy Golf?

- Wykorzystaliśmy je jako osłonę artylerii, sir - odparł szybko porucznik. - Prowadzimy nasłuch na ich częstotliwościach awaryjnych, ale nie sądzę, żeby któryś ocalał.

Dowódca eskadry „Krakena” znieruchomiał na parę sekund. Potem szybko przejrzał jeszcze kilka błękitnych stron raportów, wreszcie skasował je wszystkie jednym ruchem dłoni w szarej rękawicy.

- Poruczniku, mam dla pana jeszcze jeden rozkaz - podjął spokojnym głosem i wtedy

Delanov zrozumiał. Przełożony zwyczajnie wiedział, że nie ma sensu osłaniać odwrotu resztek sił naziemnych. Zbyt duże ryzyko dla eskadry. Zbyt mała szansa powodzenia. I wreszcie, zbyt mały oddział na powierzchni. Bardzo łatwa kalkulacja. Z bardzo nieprzyjemnymi wynikami.

- Tak, sir? - W głosie pilota pumy zabrzmiało zrezygnowanie. Musiał domyślać się tego, co miał usłyszeć.

- Flota nie ma możliwości podejścia na tyle blisko planety, by ochronić wasz start - mówił Kuerten. - Wszelkie estymacje dają dwóm wahadłowcom nie więcej niż dwa procent szans na osiągnięcie orbity.

- Rozumiem - odparł bezbarwnym tonem de Jong.

- Dlatego też pański oddział ma zniszczyć sprzęt, który może zostać wykorzystany przez nieprzyjaciela, i poddać się dowódcy imperialnego garnizonu.

Odpowiedziała mu cisza. Porucznik musiał wiedzieć, czego powinien oczekiwać, ale dotychczas mógł jeszcze łudzić się, że bolesny wyrok nie zostanie wypowiedziany.

- Poruczniku - odezwał się Kuerten po kilku sekundach. - Proszę potwierdzić otrzymanie rozkazu.

- Przyjąłem - odpowiedział de Jong po kolejnej chwili. Poprzez pięćset jednostek i zrywane co chwilę łącze laserowe Delanov mógł doskonale wyłapać gorycz w jego głosie. - Zniszczyć ekwipunek i poddać się dowódcy imperialnego garnizonu, tak jest.

- Bardzo mi przykro, poruczniku. - Kuerten nawet nie drgnął na swoim stanowisku. - To rozwiązanie daje panu i pańskim ludziom największe szanse.

Vincent Delanov zdawał sobie sprawę, że dowódca eskadry wie, co mówi - praktycznie nie istniała możliwość, aby dwa promy w ogóle do nich dotarły. Nie przy ogniu przeciwlotniczym, który zlikwidował tyle maszyn w drodze na powierzchnię, nie przy całym garnizonie imperialnym postawionym na nogi i posłanym tropem intruzów. Zresztą, nawet gdyby taka opcja istniała, nie mieli możliwości oszukać pajaków po raz drugi, chyba że chiński nadzór składał się z idiotów. A nawet wtedy osłona wahadłowców słono kosztowałyby eskadrę.

Nie zmieniało to faktu, że właśnie porzucali żołnierzy na terenie wroga, nie podejmując choćby próby ratunku.

- Dziękuję, sir. - Pilot pumy zaśmiał się ponuro, ale zrezygnował z dodatkowych komentarzy. - Czwarta Kompania, bez odbioru.

Znajome piknięcie obwieściło Delanowowi zerwanie połączenia. Komandor spojrzął na przełożonego. Kuerten przez dobrą minutę milczał, przyglądając się pustej przestrzeni,

jeszcze przed chwilą wypełnionej raportami taktyków. Wreszcie obrócił się ku dowódcy „Krakena”.

- Komandorze - powiedział głosem tak spokojnym, jakby ostatnich minut w ogóle nie było. - Proszę przekazać na pozostałe okręty: kurs punkt skokowy, formacja marszowa, średni ciąg.

- Tak jest. - Słowa przełożonego uruchomiły wbite na szkoleniu mechanizmy. Myśli Delanova na powrót wskoczyły na właściwe tory. - Łączność, przekazać do zespołu: kurs punkt skokowy, formacja marszowa...

Pomost bojowy wracał do życia, a eskadra szła w jego ślady. EUS „Kraken”, system Tiedong, 10.04.2212 ESD, 01:30

„Kraken” przeszedł na drugi stopień gotowości zaraz po wykonaniu zwrotu ku punktowi skoku. Pół godziny później Kuerten nakazał zredukować go na trzeci. Admirał zarządził też wysunięcie wymienników ciepła, wysokich wież odprowadzających nadmiar temperatury z wnętrza okrętów. Czyniły one unijną eskadrę doskonale widoczną, ale chwilowo nie musieli obawiać się nieprzyjaciela. Według sekcji taktycznej ostrożne tempo marszu dawało im nieco ponad szesnaście godzin, zanim ryzyko natrafienia na wroga miało wzrosnąć ze „śladowego” na „niskie”. Nawet jeżeli nieprzyjaciel zbliżał się ku nim, bez dużych przyspieszeń nie mógł być daleko od ostatniego punktu, w którym go widzieli. Delanov jednak nie wierzył, aby eskadra komodora Wu oddalała się zbytnio od punktu skoku. Imperialny dowódca nie miał żadnego powodu, by to robić. Mógł zwyczajnie czekać, aż zwierzyna przyjdzie do niego sama.

Z kolei sytuacja Kuertena była o wiele trudniejsza. Pomędzy Anshan z nadal sprawną siecią obrony, umocnioną przestrzenią imperialnej boi nawigacyjnej, oraz drogą do domu, przy której czekały wrogie okręty, jego wybór składał się wyłącznie z niedobrych opcji. W przeciwieństwie do swojego przeciwnika nie mógł grać na czas, bo każda godzina zwiększała ryzyko pojawienia się posiłków nieprzyjaciela. Powrót ku planecie nie miał sensu, skok przez boję nawigacyjną pakował unijne okręty do systemu Shuncheng, pod ogień sił wroga. Pozostawała próba zmierzenia się z silniejszym przeciwnikiem.

Admirał wydawał się jednak całkowicie spokojny i otaczająca go aura pewności siebie dobrze działała na obsadę pomostu bojowego. Kadra „Krakena” nauczyła się ufać Nijalowi Kuertenowi i jeżeli był spokojny, to na pewno miał ku temu dobry powód. Czasem Delanov chciał móc sobie pozwolić na taką wiarę, ale przecież wiedział, że przełożony nie jest nieomylny - oraz że przynajmniej raz musiał uciec się do kłamstwa, aby zachować morale. Ta myśl z jakiegoś powodu była bardzo niepokojąca.

Po pięciu godzinach marszu eskadry pomost bojowy przejęła druga burta pod dowództwem DuLaca. Zmęczeni oficerowie burty Delanova schodzili ze swoich stanowisk, kierując się do mesy lub też od razu do swoich kajut. Nie towarzyszyły temu zwykłe żarty czy choćby rozmowy, czemu zresztą Delanov się nie dziwił. Wszyscy wiedzieli, że najtrudniejsze jeszcze przed nimi. Zapewne zaufanie do Kuertena pozwalało im wierzyć, że admirał ma plan ucieczki. Ale potrzeba było szczególnego rodzaju optymizmu, by mieć nadzieję, że zakłada on ewakuację całej eskadry. Sam dowódca nie ruszył się ze swojego stanowiska. Tkwił w nim nieruchomo jak posąg, wpatrując się w otaczające go ze wszystkich stron ekrany holograficzne.

Delanov nie czuł głodu, ale zmusił się do wizyty w mesie, razem z Mpembą, Rattem i trójką oficerów z sekcji uzbrojenia. Posiłek był dość marny, lecz dokładnie tego należało oczekiwać. W trakcie alarmów bojowych obsada kambuza miała służbę, więc jedynym, czym mesa dysponowała obecnie, były żelazne racje, pożywne, ale niezbyt smaczne. Zjadł dwie trzecie porcji bardziej z poczucia obowiązku wobec własnego ciała niż z głodu i poszedł do kabiny. Nie zapalał nawet pełnego światła, zadowolając się słabym blaskiem oświetlenia fluorescencyjnego. Tam odpiął hełm z uchwytu przy skafandrze i schował do szafki. Chwilę później to samo zrobił ze skafandrem, pozostając w samej bieliźnie. Trzeci stopień gotowości bojowej oznaczał „w skafandrze w ciągu dziewięćdziesięciu sekund od ogłoszenia alarmu”. W razie czego zdąży.

Usiadł na wąskiej koi i przymknął oczy, starając się poukładać w głowie zbliżające się starcie. Unijne okręty nie próbowały się ukrywać - szły pełnym ciągiem prosto ku strefie umożliwiającej skok metryczny z wysuniętymi wszystkimi wymiennikami ciepła i bez jakiegokolwiek dyscypliny emisji. We flocie był to najbliższy możliwy odpowiednik szukania zaczepki. To oznaczało, że admirał chce walczyć lub przynajmniej przekonać o tym nieprzyjaciela. Może i istotnie miałyby to sens, gdyby rzeczywiście zamierzał sprowokować imperialnego dowódcę do walki, ale przecież tamten nie potrzebował już żadnej dodatkowej prowokacji, w końcu byli dla niego jedynym istniejącym celem. W dodatku, co Delanov doskonale wiedział, niezbyt trudnym.

Czasy, kiedy odwaga, wyszkolenie i determinacja załogi pozwalały odwrócić aż tak niekorzystny układ sił, minęły już dawno. Nadal były ważne, ale nie wtedy, kiedy okręty wymieniały uderzenia raketowe. Wraz z rozwojem floty bitwy zmieniały się w ciąg zimnych symulacji taktycznych, pojedynków na moc obliczeniową bloków walki elektronicznej i efektywność systemów defensywnych... Matematyka stała się niepodzielną i bezlitosną królową walki raketowej. Owszem, czasem miewała kaprysy. Nadal mogło się zdarzyć, że

wyjątkowo szczęśliwy ostrzał uszkodzi jakiś ważny podzespół wrogiego okrętu i wyróci walkę do góry nogami, ale takiej sytuacji żaden dobry dowódca nie mógł zakładać na etapie planowania bitwy.

Pewne pocieszenie stanowiła myśl, że Nijal Kuerten również zdaje sobie z tego sprawę. Admirał był zbyt dobrym taktikiem, aby sądzić, że bezpośrednie starcie z nieprzyjacielską eskadrą liniową jest czymkolwiek innym niż bardzo drogą metodą popełnienia samobójstwa. Musiał mieć jakiś plan dotarcia do punktu skoku, a zbliżanie się ku ukrytemu przeciwnikowi stanowiło zapewne jego część. A przynajmniej Delanov miał taką nadzieję.

Podszedł do biurka, uruchomił komputer i wstukał kwerendę do sekcji taktycznej.

Scenariusz: wszystkie okręty Unii minus Zabójca (GRUPA A) kierują się z maksymalną prędkością do punktu skokowego AGR-11-17. Konfiguracja: defensywna. Punkt startu: obecny. Przeciwnik: imperialna eskadra liniowa (1/4/9) (GRUPA B). Konfiguracja: dowolna. Punkt startu: połowa odcinka. Pozycja obecna: AGR-11-17.

Dane dotyczące jednostek: jak aktualne. Zapytanie: straty do momentu wykonania skoku. Detale: agregacja po klasie okrętu.

Zawahał się ułamek sekundy, ale ostatecznie wduślił przycisk „wyślij”. Potwierdzenie przyjęcia kwerendy nadeszło natychmiast. Teraz pozostawało tylko czekać.

Analiza zajmowała taktikom zwykle zaledwie kilka minut. Umieszczone głęboko w trzewiach okrętu Centrum Analiz Taktycznych korzystało z mocy obliczeniowej bloków do walki elektronicznej, co pozwalało konstruować i przeprowadzać niewiarygodnie złożone symulacje w krótkim czasie. Delanov pomyślał, że tym razem zapewne nie będzie inaczej, zwłaszcza że sytuacja nie charakteryzowała się oszałamiającym stopniem skomplikowania.

Komandor siedział nieruchomo w ciemnościach rozświetlanych jedynie zimnym blaskiem wyświetlacza. Z każdą chwilą coraz bardziej wątpił w sens swojego zapytania. Co mu przyjdzie z odpowiedzi? Jaka właściwie analiza mogłaby poprawić mu humor? Wiedział przecież, że podany scenariusz musiał się skończyć źle dla większości okrętów unijnego zespołu. Jedyne, co mógł uzyskać, to wiedza na temat skali katastrofy, a nie był przekonany, czy chce ją osiągnąć. I tak nic to nie mogło zmienić. Miał już zrezygnować, kiedy na ekranie zabłysła ikona odebrania raportu. Dowódca „Krakena” powoli przesunął dłoń nad wyłącznika ku interfejsowi dotykowemu. W końcu to kwestia losu jego okrętu. Jego ludzi. Wywołał raport na ekran.

Szacowane straty GRUPY A Krążowniki (2/1/0) - (0,2911/0,7034/0,0055)
Niszczyciele (6/5/4/3/2/1/0) - (0,2426/0,3678/0,2011/0,1521/0,0218/0,0101/0,0036)

(0,2901/0,2721/0,2145/0,1141/0,0452/0,0387/0,0050/0,0003)

Botany Bay (1/0) - (0,7632/0,2368) Czy zmienić sposób agregacji danych?

Vincent Delanov przyglądał się raportowi. Był bardziej optymistyczny, niż przypuszczał. I w pewien sposób niepokojący. Obecna taktyka pozwalała z pewnym prawdopodobieństwem wyprowadzić z Tiedong kilka okrętów. Jeżeli zadanie było tak ważne, że sztab zdecydował się wytracić na nie dwie kompanie panczerzy wspomaganych, razem z ich magami wspierającymi, artylerią i sekcją transportową, mógł dopuszczać też utratę okrętów. A jeśli tak, to taktyka Nijala Kuertena była po prostu realizacją najlepszego scenariusza. Być może nie istniał żaden inny plan, a wspomnienie „Chimery” służyło tylko podtrzymaniu morale? Delanov wierzył w dowódcę eskadry, ale nie miał najmniejszych wątpliwości, że ten bez zmruczenia oka poprowadziłby swoje okręty na odstrzał, jeżeli uznałby to za najlepsze wyjście.

Potrząsnął głową i rozmasował skronie, by zlikwidować nagły ucisk. Nie. Nie powinien tak myśleć. To prowadziło donikąd.

Zgasił wyświetlacz, pozostając w absolutnej ciemności. Po omacku wrócił na koję i położył się, ale choć był wyczerpany, sen nie przychodził. Pod powiekami widział sunące w przestrzeni okręty rozpaczliwie zasłaniające się parasolami termonuklearnych wybuchów stileto. I ginących, jeden po drugim. Otwarł oczy, ale czerń nie ustąpiła.

Nie bał się śmierci. Był dowódcą krążownika, przeżył już niejedną bitwę i doskonale zdawał sobie sprawę, że prędzej czy później jego czas nadejdzie. Czuł wyłącznie smutek, że ostatecznie nie zobaczył swojego dziecka ten ostatni raz przed rejssem.

Podniósł się, włączył prywatny komputer i uruchomił symulację Marka. Znane linie hologramu domu marzeń uspokajały, żywe kolory ścian budziły dobre myśli. Wirtualny Vincent Delanov schodził właśnie do jadalni, wesoło machając żonie i synowi. Jego żywy odpowiednik położył się na koi w niewielkiej kajucie dowódcy okrętu. Po raz nie wiedzieć który żałował, że nie może się zamienić na życia ze stworzonym ze światła człowieczkiem, tak szczęśliwym w swoim kolorowym, holograficznym świecie.

EUS „Kraken”, system Tiedong, 10.04.2212 ESD, 12:45

Obudził się dobre dziesięć minut przed tym, jak rozległ się wysoki ton zaprogramowanego powiadomienia. Wyświetlacz nadal emitował trójwymiarowy obraz domu, ale wirtualna rodzina pogrążona była we śnie. Delanov wstał i nie spiesząc się, nałożył skafander. W błękitnawym blasku śpiącego domu zabezpieczył wszystkie uszczelnienia i odpalił test struktury. Wiedział, że dopóki nie założy hełmu, wyniki będą tylko pobieżne, ale

na teraz musiały wystarczyć. Pełny test zrobi przy zmianie stopnia gotowości. Sięgnął do

szafki po hologramy żony i syna, po czym schował je do zewnętrznej kieszeni, obok zalaminowanej czterolistnej koniczyny. Nie miał pojęcia, dlaczego Marianna akurat tę roślinę uważała za przynoszącą szczęście, ale teraz jak nigdy miał nadzieję, że amulet od żony faktycznie działa. Spojrzał na zegarek - pozostało jeszcze kilka minut do alarmu. Usiadł na koi, a potem wstał i usiadł ponownie. Zrobił parę głębokich wdechów, zacisnął i rozprostował palce w ciemnoszarych rękawicach. Wreszcie podniósł się z miejsca i ruszył na pomost bojowy, zatrzymując się tylko po to, by wyłączyć holograficzny dom Marka. „Kraken” szedł ku nieuniknionej bitwie. To nie było miejsce dla wirtualnego Delanov i jego rodziny.

*

- Dowódca na pokładzie! - obwieścił donośnie oficer wachtowy.

- Spocznij - rzucił komandor, przerywając zwykły rytuał odwracania się ku przelozonemu. Zasalutował stojącemu bokiem Kuertenowi. - Panie admirale.

- Komandorze Delanov. - Wpatrzony w holograficzne ekrany kontradmirał skinął tylko głową.

Dowódca „Krakena” omiół pomieszczenie wzrokiem. Większość stanowisk obsadziła na powrót pierwsza burta bojowa, przy inżynierskim Mpemba coś jeszcze omawiał z Burnsem. Od czasu kiedy dowodzenie przejął DuLac, sytuacja eskadry niewiele się zmieniła. Na ekranie taktycznym nadal jedynymi widocznymi okrętami były jednostki unijne. Imperialny zespół figurował tylko jako szare sfery przypuszczalnych pozycji - wróg wciąż nie dawał znaku życia i sensory musiały szacować jego położenie na podstawie ostatnich danych.

- Sir, okręt należy do pana - zameldował DuLac. Zastępca dowódcy okrętu wstał przed ekranu. - Wszystkie stanowiska potwierdzają sprawność podległych systemów. Przyjeliśmy trzeci stopień gotowości, „Kraken” jest przygotowany do drugiego na pański rozkaz.

- Dziękuję - odparł Delanov, jednocześnie dyskretnym ruchem wskazując na przelozonego, ale DuLac tylko pokręcił głową.

- Komandorze. - Admirał nadal nie odrywał wzroku od wyświetlanych przed nim danych. - Proszę przekazać do zespołu: schować wymienniki ciepła, przejść na drugi stopień gotowości. Obsadzić rezerwowe stanowiska dowodzenia.

- „Kraken”? - spytał Delanov.

- Także.

- Tak jest, inżynierskie, proszę zwinąć wymienniki i zabezpieczyć je w gniazdach. Łączność, przekazać rozkaz dowódcy eskadry do zespołu. - Delanov zwrócił się do Finisego,

po czym na powrót spojrzął na zastępcę. - Komandorze DuLac, proszę przygotować rezerwowe stanowisko dowodzenia.

- Rozkaz! - DuLac zasalutował, a potem zdobył się na wesoły uśmiech. - Zobaczmy się po wszystkim.

- Oby. - Dowódca „Krakena” poklepał kolegę po ramieniu. - Powodzenia, Alex.

- Powodzenia, Vincent. - Wysoki oficer odpowiedział tym samym gestem. Potem obrócił się na pięcie i zszedł z pomostu bojowego.

Delanov odetchnął głębiej. Zaczynało się. Usiadł w fotelu dowódcy i umieścił hełm skafandra w specjalnie przygotowanym do tego celu uchwycie. Następnie wprowadził do komputera zmianę stopnia gotowości.

Okręt zareagował natychmiast, jakby tylko czekał na polecenie. Wszystkie głośniki łączności wewnętrznej nadały krótki sygnał dźwiękowy. Załoga sięgała po hełmy, by mieć je pod ręką, zamykano śluzy do stanowisk bojowych. Bloki walki elektronicznej zrywały połączenie z sekcją taktyczną - ich pełna moc obliczeniowa miała teraz służyć czemu innemu. Ostatni maruderzy, którzy wykorzystywali wolny czas na sen, podrywali się z koi i pospiesznie zakładali skafandry. Nie było ich jednak zbyt wielu. Bitwa wisiała w powietrzu od jakiegoś czasu i większość marynarzy decydowała się raczej na krótki sen w skafandrach. Jedna po drugiej kolejne sekcje zgłaszały wykonanie rozkazu.

Delanov przez chwilę obserwował uspokajające zielone pola raportów materializujących się na jego wyświetlaczu jednocześnie z meldunkami od kolejnych oficerów.

- Admirale, „Kraken” przeszedł na drugi stopień gotowości bojowej - wyrecytował regulaminową formułkę. - Eskadra potwierdza wykonanie rozkazu.

- Dziękuję. - Kuerten zabębnił powoli palcami w podłokietnik swojego fotela. Na jednym z jego ekranów pojawił się zegar odliczający czas. Kiedy komandor na niego spojrzął, dwadzieścia osiem minut właśnie zmieniało się na dwadzieścia siedem i pięćdziesiąt dziewięć sekund. - Będziemy przechodzić na pierwszy w ciągu kwadransa.

- Tak jest, pierwszy stopień gotowości w ciągu kwadransa - odparł Delanov, nadal przyglądając się zegarowi. W dwadzieścia osiem minut nie mieli szans wejścia w zasięg nieprzyjaciela, chyba że ten od jakiegoś czasu szedł pełnym ciągiem, a to by przecież wykryto. Szybko naniósł oczekiwaną pozycję zespołu w tym czasie, ale nie powiedziała mu ona za wiele. Czyżby Kuerten planował zmianę kursu? To mogłoby wymusić na przeciwniku ruch, coś, co pozwoliłoby znowu złapać rzeczywisty namiar. Z drugiej strony, szybkie kalkulacje wskazały, że w tym czasie unijne okręty nie będą w stanie wyhamować, nim

wpadną na przypuszczalne pozycje wroga - może więc Kuerten po prostu oznaczył punkt, za którym walka była już nieunikniona. - Admirale?

- Słucham? - Tym razem przełożony obrócił się w swoim stanowisku. W zimnej poświacie holograficznych ekranów kontradmirał wydawał się bardzo blady.

Delanov przygryzł wargi. Chciał oczywiście zapytać, jak Kuerten zamierza wyprowadzić zespół, mając na drodze tak silnego przeciwnika. Albo - czy w ogóle. Wyniki symulacji taktyków nie wyglądały dobrze, ale przecież i tak mogły być ich najlepszą szansą powrotu do domu. Przełożony zwyczajnie nie musiał mieć planu poza ewentualną modlitwą i pewnie nie czekałyby go z tego powodu kłopoty. Pytanie brzmiało, czy powinien dawać do zrozumienia załodze, że z dużym prawdopodobieństwem będą próbować przejść przed nosem imperialnej eskadry liniowej.

- Już nic, sir - powiedział po krótkim namyśle.

Dowódca eskadry bez słowa skinął głową i wrócił do przeglądania długich szeregów danych wypływanych symultanicznie przez kilka ekranów holograficznych.

Mijały kolejne minuty, odliczane przez wyświetlony przed Kuertenem zegar. Delanov z troską przyglądał się ekranowi taktycznemu, na którym unijne okręty coraz bardziej zbliżały się do szarych sfer oznaczających przypuszczalną pozycję nieprzyjaciela. Przy samym punkcie skoku widniała ledwie widoczna rozciągnięta bryła rejonu, gdzie ukrywał się „Zabójca”, milczący od wejścia do Tiedong. Przynajmniej on był bezpieczny, daleko poza zasięgiem wroga. Mając w pamięci ponure wyniki symulacji taktyków, komandor coraz bardziej nabierał pewności, że niszczyciel został wycofany, by móc przekazać do domu wieści o wyniku misji.

Zegar pokazywał trzynaście minut, kiedy padł rozkaz przejścia na pierwszy stopień gotowości bojowej. Przy akompaniamencie syreny alarmowej marynarze zakładali hełmy i sprawdzali szczelność kombinezonów, a grupy ratunkowe zajmowały pozycje wyjściowe. Syrena dalej pracowała, lecz jej dźwięk stopniowo zniknął z korytarzy okrętu, w miarę jak pracujące pełną parą pompy usuwały z nich powietrze. Systemy namierzania laserów obrony punktowej wykonały zimny test, a komputery diagnostyczne dwunastu pocisków typu Stiletto załadowanych do wyrzutni „Krakena” zameldowały, że antyrakiety termonuklearne są sprawne i gotowe do wystrzelenia. DuLac na rezerwowym pomoście bojowym po raz kolejny potwierdził sprawność wszystkich stanowisk, ambulatorium przygotowywało się na przyjęcie pacjentów. Krążownik wysunął ponadstumetrową wieżę lasera dalekiego zasięgu, a automatyczne systemy rozgrzały generator lustra.

Delanov przymknął oczy. Dopóki wszystko było w porządku, nie musiał przyglądać

się raportom. Wystarczyło, że słuchał napływających meldunków. Pomimo niepokoju uśmiechnął się, kiedy nadeszło ostateczne potwierdzenie: „Wszystkie systemy sprawne”.

„Kraken” był gotowy. Komandor wyjął z kieszeni hologramy żony i syna i zawiesił je przed swoim stanowiskiem, a po namyśle przyczepił tam również zalaminowaną czterolistną koniczynę.

- Chciał pan zapytać, czy próbuję nas wszystkich zabić. - Radio nieco pozbawiło głos Kuertena intonacji, ale nie na tyle, by ukryć fakt, że to nie było pytanie. Delanov nie musiał nawet sprawdzać kontrolki łączności, by wiedzieć, że dowódca eskadry mówi na prywatnym kanale.

- Nie, sir - odparł. - Nie wierzę, by taki był pana zamiar.

- Planował pan użyć innych słów. - Admirał wydawał się rozbawiony, co samo w sobie nie było takie częste. Delanov trochę zazdrościł przełożonemu dobrego humoru.

- Za trzy minuty nie będziemy mogli zawrócić - zauważył. - A próba szarży daje nam pewne szanse.

- To prawda.

- Jest jeszcze sprawa „Chimery”, sir - dodał komandor z wahaniem. - Na odprawie powiedział pan, że do nas dołączy. Mnie - że nie. Utrzymanie morale jest jedynym powodem pojawienia się tych sprzecznych komunikatów, jaki mi przychodzi do głowy.

Tym razem cisza trwała dobrych parę chwil. Delanov otworzył oczy i zobaczył, że przełożony znów obrócił się w swoim stanowisku i spogląda na niego uważnie poprzez filtr hełmu.

- Jest pan doskonałym dowódcą, komandorze - powiedział wreszcie Kuerten. -

„Kraken” nie mógłby mieć lepszego. Ma pan również nie najgorsze zadatki na dowódcę zespołu.

Delanov zmarszczył brwi w reakcji na ewidentną zmianę tematu.

- Lecz pomimo tego wszystkiego - kontynuował dowódca eskadry - muszę zauważyć, iż bywa pan nieuważny. Nikogo nie wprowadzałem w błąd.

- Powiedział pan przecież... - Komandor zmarszczył brwi.

- Wiem, co powiedziałem. - Kuerten spojrział na zegar, na którym upływały właśnie ostatnie sekundy. - Proszę spojrzeć.

Delanov przeniósł wzrok na ekran taktyczny, dokładnie wiedząc, co zobaczy. Unijna eskadra parła naprzód, wprost ku punktowi skokowemu pilnowanemu przez samotnego „Zabójcę”, ledwie widocznego na sensorach, a i to tylko dzięki sygnałowi prowadzącemu. Jednostki imperialne nadal nie zdecydowały się ujawnić, choć ich dowódca musiał wiedzieć,

że łup mu już nie ucieknie. Wszystko wyglądało dokładnie tak samo jak przed momentem. A potem nagle się zmieniło.

- Ślady wyjścia w strefie skoku - zameldował nagle Ratte - piętnaście kontaktów, powtarzam, piętnaście, kurs 208-31.

- Identyfikacja? - Delanov wbił wzrok w ekran, na którym nagle zamigotał rój jasnych punktów. Odczyty Ratego sugerowały, że przybysze mają włączone absolutnie wszystkie systemy namierzania. Najwyraźniej ich dowódca nawet nie próbował zamaskować wyjścia z przestrzeni przystankowej.

- Wykonuję. - Porucznik Ratte na chwilę zamilkł, analizując napływające z sieci sensorów dane. - Jeden lub dwa pancerniki, trzy, nie, cztery krążowniki, poprawka, jeden... Zaraz... Sir, to „Chimera”!

- Jesteś pewien? - spytał Delanov z niedowierzaniem. Jasne, porucznik mógł rozpoznać konkretny okręt, zwłaszcza jeśli go znał. Minimalne różnice w sygnaturach charakterystyczne dla konkretnych egzemplarzy musiały być widoczne jak na dłoni w tak wyraźnym odczycie. - Potwierdź. Finisce, sprawdź, czy możesz bezpiecznie połączyć się z „Zabójcą”, może oni widzą lepiej.

Spojrzał z irytacją na Kuertena, ale przełożony nie zwracał na niego uwagi, całkowicie skupiony na ekranach holograficznych.

- To oni, sir, jestem... - zaczął, ale nagle urwał. - Kontakty przed nami, sześć, poprawka, osiem, poprawka, dziesięć, identyfikacja nieprzyjaciel!

Szare sfery przypuszczalnej lokalizacji wroga zniknęły, zastąpione przez czerwone punkty, kiedy okręty imperialne reagowały na nową siłę w systemie. Zakłócanie osłabiało echo i nie widzieli ich wszystkich, ale pancernik i krążowniki nie były w stanie zamaskować gwałtownego zwrotu ku nowemu zagrożeniu. Delanov jak zaczarowany patrzył, jak wektory kursu nieprzyjacielskich jednostek odchylają się od dotychczasowego kierunku. Komandor nie mógł uwierzyć własnym oczom - wróg najzwyczajniej w świecie usuwał im się z drogi.

- Komandorze - powiedział dotychczas milczący Kuerten - proszę przekazać na pozostałe okręty: zwrot trzydzieści na prawą burzę, zmienić szyk na ofensywny, prowadzi „Łowczyń” i „Echo”.

- Tak jest, poruczniku Finisce, proszę przekazać rozkaz do pozostałych. Ster, 330-0. - Delanov szybko zwalczył zaskoczenie. Nowy kurs ustawiał unijne okręty na trajektorii pościgu za wrogiem. Było to coś, czego by się nie spodziewał jeszcze kilka minut wcześniej, ale teraz sytuacja się zmieniła - dwa zespoły miały znaczną przewagę nad osamotnioną imperialną eskadrą.

- Niech nawigacja wyznaczy punkt, w którym przeciwnik oddali się od punktu skoku na tyle, aby nie mógł już nam przeciąć drogi, kiedy zmienimy kurs.

Komandor przekazał rozkaz, przyglądając się jednocześnie ekranowi taktycznemu. Nieprzyjaciel szedł dokładnie ku eskadrze „Chimery” i wszystko wskazywało na to, że ją dopadnie, jeśli okręty Kuertena nie zmienią ciągu. Admirał jednak nie zarządził przyspieszenia, co więcej, jego rozkaz sugerował, że jednak nie zamierza wziąć udziału w dość pewnej bitwie. To mogło znaczyć tylko jedno.

- To fałszywe echa? - zapytał na prywatnym kanale, zirytowany na swój brak domyślności. Przecież już sama dewiacja czasowa sprawiała, że admirał nie miał prawa przewidzieć, kiedy dokładnie pojawią się ewentualne posiłki.

- Naturalnie, to system sond, które rozstawiał „Zabójca”, odkąd pojawiliśmy się w systemie. - Dowódca eskadry wydawał się zaskoczony pytaniem. - Mówiłem panu przecież, że „Chimera” się nie pojawi. Oraz że umkniemy dzięki niej.

Delanov trącił palcem przywieszony przy stanowisku prostokąt laminatu z czterolistną koniczyną. Wyglądało na to, że i tym razem może im się udać. O ile dadzą radę utrzymać maskaradę wystarczająco długo.

- Skoro ja się domyśliłem, to jak wiele czasu zajmie to imperialnemu dowódcy? - spytał. Pierwsze linie oszacowań Van Dijka materializowały się na ekranie taktycznym. Do pełnego sukcesu Imperium musiało kontynuować marsz obecnym kursem przez prawie dwie i pół godziny.

- Miał pan o wiele więcej danych - odparł admirał, resetując zegar na czas podany przez stanowisko nawigacyjne. - Na przykład powiedziałem panu, że „Chimery” i jej zespołu tu nie będzie. Słyszał pan mój rozkaz dla porucznika Van Dijka. Orientował się pan, że nieco zbyt dobrze wiedziałem, kiedy możemy liczyć na nadejście dodatkowych sił. Komodor Wu ma zupełnie inne informacje, dokładnie te, które uzyskał od niezwykle operatywnej komandor Lafayette. Wie, że w operacji bierze udział unijna eskadra liniowa. Oczekiwał jej, zresztą sądzę, że była ona jednym z powodów, dla których nie chciał oddalać się od punktu skoku.

- Nie lepiej by było zaatakować najpierw nas?

- Jego eskadra jest silniejsza od domniemanego zespołu „Chimery” i chce to wykorzystać. Mógłby zaatakować nas, ale to by oznaczało dla niego utratę szansy na zniszczenie eskadry liniowej.

- Z całym szacunkiem, sir, nie sądzę, żebyśmy byli w stanie aż tak go osłabić. - Delanov zmarszczył brwi. Zniszczenie zespołu Kuertena wydawało mu się o wiele bardziej logicznym manewrem z punktu widzenia przeciwnika, zwłaszcza że i tak szli dokładnie pod

jego wyrzutnie.

- Nie bylibyśmy w stanie, to fakt. - Kuerten przerwał na chwilę, kiedy na ekranie taktycznym wyświetliła się kolejna predykcja Van Dijka. - Ale komodor Wu jest doskonałym dowódcą. Wie, że Unia nie może sobie pozwolić na trwonienie okrętów. Według niego „Chimera” jest tu po coś. Albo by osłonić nasz odwrót, albo żeby razem z nami zaatakować jego zespół. Oba te cele przestaną mieć znaczenie, jeżeli wyeliminuje naszą eskadrę, więc liczy się z tym, że może zniszczyć albo nas, albo ich. Ci, na których nie uderzy, na pewno wybiorą ucieczkę zamiast bezsensownej walki, a on nie będzie ich w stanie powstrzymać. Wybrał po prostu bardziej atrakcyjny cel.

Dowódca „Krakena” stłumił wybuch pełnego ulgi śmiechu. Bardzo liczył na taką odpowiedź, na coś, co ostatecznie rozwieje wątpliwości. A przynajmniej ich większość. W końcu jak długo boje mogą utrzymać iluzję pod okiem ciągle zbliżającego się wroga?

- I zakłada pan, że przeciwnik pozwoli się zwodzić przez tak długi czas? - Wyświetlił specyfikację wabików i generatorów echa, desperacko starając się doszukać czegoś, co pozwoliłoby uzasadnić taką nadzieję.

- Sieć jest koordynowana z „Zabójcy” bezpośrednim łączem laserowym. - Admirał obiema rękami zmieniał konfigurację gęstwiny ekranów otaczającej jego stanowisko. - Praktycznie nie do wykrycia, a jednocześnie pozwala maksymalnie zbliżyć odczyty do prawdziwych. Przynajmniej dopóki utrzymują prędkość, a dokładnie to zrobiłaby eskadra stosująca dyscyplinę emisji.

- W takim razie - Delanov poczuł znajomy zimny dotyk niepokoju. Naprawdę nie chciał zadawać tego pytania: - jak sam „Zabójca” podejdzie do punktu skoku?

- To, niestety, jest dość oczywiste - odparł spokojnie dowódca eskadry. - W ogóle nie podejdz.

EUS „Kraken”, system Tiedong, 10.04.2212 ESD 15:26

Na pomoście bojowym „Krakena” panowała cisza. Nie całkowita, naturalnie. Okręty rzadko kiedy są zupełnie ciche, nawet gdy próżnia zabija wszystkie odgłosy tła. Cały czas do stanowiska Delanova napływały komunikaty z obu unijnych eskadr, sporadycznie odzywał się Van Dijk, modyfikując estymację o nowe obliczenia, ilekroć przeciwnik zmieniał charakterystykę marszu.

Jednostki imperialne ciągle przyspieszały, z każdą chwilą zbliżając się do domniemanej eskadry liniowej. To samo robił zespół Kuertena symulujący pościg - na przedzie znajdowały się szybsze niszczyciele, za nimi „Kraken”, „Hegemon” i „Botany Bay”, pozostawiając coraz dalej za rufami siedem transportowców. Szyk eskadry rozciągał się,

dokładnie imitując rozpaczliwą próbę połączenia unijnych sił. Szli pełnym ciągiem, nie było więc sensu nawet próbować maskowania i obserwujący rozwój sytuacji Delanov miał nieprzyjemną świadomość, że przeciwnik wie o nich wszystko.

Prowadzona przez „Zabójcę” sieć sond wykonała ostrożny zwrot i na moment zredukowała emisję, po czym błysnęła w stronę wroga aktywnymi sensorami. Komandor porucznik Calia znała się na rzeczy - dowódcy imperialni musieli uznać manewr za przygotowanie do walki. Czas płynął powoli, odmierzany przez zegar wyświetlany nad stanowiskiem Kuertena. Minęło pół godziny, godzina, w końcu dwie i nadal wszystko przebiegało zgodnie z planem. Zespół imperialny ignorował zbliżające się niszczyciele i w dalszym ciągu parł w kierunku iluzorycznego celu.

- Komandorze - w słuchawce rozległ się głos milczącego od dwóch godzin Kuertena - proszę przekazać do wszystkich jednostek w szyku: przygotować się do zwrotu 0-40.

- Tak jest - potwierdził szybko Delanov, rzucając okiem na zegar. Trzydzieści cztery minuty. Wcześniej, ale pewnie admirał nie chciał ryzykować. - Łączność...

- Sir - wbił się na kanale ogólnym Ratte. - Nieprzyjaciel przeszedł na fokus, ciągły zamiar kierunkowy.

Dowódca krążownika ściągnął brwi. Nie miał pojęcia, czy sondy będą w stanie utrzymać maskaradę wobec całej mocy czujników wrogich okrętów. Chociaż z drugiej strony... dystans pomiędzy imperialną eskadrą a „Zabójcą” ciągle był znaczny. Wydawało się też nie do pomyślenia, by Kuerten nie wziął pod uwagę fokusu.

- Jaka jest szansa, że się zorientują? - spytał, podświadomie oczekując, że odpowie mu admirał. Mylił się.

- Sir, on nie sprawdza sond - w głosie operatora sensorów zabrzmiały nuty zaskoczenia. - On namierza nasze niszczyciele.

- Co robi? - rzucił komandor w eter i zerknął pytająco na przełożonego. Kuerten podparł dłonią przód hełmu i przez chwilę przyglądał się ekranowi taktycznemu. Milczał.

- Sir, kontakt, poprawka, dwa kontakty! - Tym razem Ratte lekko podniósł głos. - Namiar 152-14, dystans cztery tysiące, nanoszę jako D-1 i D-2!

- Identyfikacja? - Delanov poczuł rosnące tętno. Nie musiał patrzeć na ekran taktyczny, żeby umiejscowić nowe jednostki. Były dokładnie za wlokącymi się na końcu unijnego szyku transportowcami. - Typy?

- Łączność z „Robina z Locksley” - zgłosił Finisce. - Meldują wrogie kontakty, pytają o rozkazy.

Ratte milczał przez kilka sekund, szybko wprowadzając kolejne polecenia do

konsolety.

- Niszczyciele - powiedział wreszcie pewnym głosem. - Wysokie przyspieszenie, niski profil emisji. Zaraz będę mógł powiedzieć coś więcej.

- Rozumiem, dziękuję. - Dowódca krążownika westchnął. Oczekiwał kłopotów i oto były. - Admirale, rozkazy dla eskadry?

Nie zazdrościł przełożonemu wyboru. Kuerten mógł albo kontynuować pościg i w praktyce poświęcić transportowce, albo też zawrócić, jednocześnie dając Chińczykowi wolne pole do ataku na iluzję eskadry „Chimery”. W normalnej sytuacji byłyby to prosty wybór i Delanov nie wątpił, że admirał zdecydowałby się pozostać na dotychczasowym kursie - w obliczu możliwości zniszczenia imperialnej eskadry liniowej kilka transportowców mógł uznać za niską cenę. Jedyny czynnik, który utrudniał podjęcie decyzji, stanowił fakt, że „Chimera” była jedynie oszustwem, a zatem bitwa i tak miała się nie odbyć. W rzeczywistości więc opcje unijnego dowódcy zawierały w sobie kontynuację maskarady albo pomoc zagrożonym okrętom.

Sam fakt, że przeciwnik w ogóle postawił ich przed takim wyborem - i to akurat w tym momencie - poważnie niepokoił Delanova. Za pół godziny jego niszczyciele mogłyby zdziałać o wiele więcej, bo szybszy „Kadyks” byłby już zbyt daleko od szóstki sherwoodów, by udzielić im wsparcia. Jednak imperialny dowódca zdecydował się wykonać ruch dokładnie teraz, co oznaczało, że albo popełnił błąd, albo podejrzewał, że coś jest nie tak z domniemaną eskadrą unijną.

Kuerten również musiał brać to pod uwagę, bo nadal milczał za filtrem swojego hełmu. Przed jego stanowiskiem, obok ekranu taktycznego, przepływały dane przesyłane przez konsoletę Rattego. Mijały kolejne sekundy.

Dowódca „Krakena” zastanawiał się, co zrobiłby na miejscu przełożonego. Z jednej strony - sześć zagrożonych jednostek. Z drugiej - potencjalne niebezpieczeństwo dla wszystkich. Wreszcie, byli już tak blisko punktu, w którym mogli bezpiecznie zawrócić. Na pewno wymiana ognia nie będzie przesadnie długa...

- Łączność z „Kadyksu”. - Głos Finiscego przerwał ciszę. - Pytają, czy mają zawracać.

- Wysoka emisja ze strony kontaktu D-1, prawdopodobnie aktywny zamiar.

Admirał drgnął, jakby obudził się z drzemki. Obrócił fotel, by ogarnąć wzrokiem półsferę otaczających go holoeckranów.

- Wyznaczyć kurs na spotkanie z transportowcami w pobliżu punktu skokowego - powiedział wreszcie. - Proszę nadać na transportowce: zwolnić hol wyrzutni armageddonów, ściętnić szyk, kierować się ku punktowi skokowemu, konfiguracja defensywna, „Kadyks”

prowadzi. I jeszcze do „Hegemona”: idź za mną.

- Tak jest, zwrot. - Uchodzące napięcie sprawiało niemal fizyczną ulgę i dopiero w połowie zdania Delanov zdał sobie sprawę, że mówił trochę głośniej, niż zamierzał. - Łączność, przekazać rozkazy do eskadry. Poruczniku Van Dijk, proszę wyznaczyć kurs przechwycenia przypuszczalnego pościgu za naszymi transportowcami idącymi według ustaleń. Przekazać do sternika: ster, zwrot bez rozkazu, kiedy tylko otrzyma pan namiary. Uzbrojenie, rozładować wyrzutnie i przejść na exocety, tarcza antyrakietowa centrum, 0-90.

Fala potwierdzeń nadeszła od razu - wyszkoleni na niezliczonych scenariuszach kontradmirała oficerowie nie potrzebowali zbyt wiele czasu. Zaledwie kilkanaście sekund później pojawiły się wyniki obliczeń nawigatora. Ster zareagował natychmiast. Wprowadzane polecenia pomknęły poprzez łącza „Krakena”, po drodze zmieniając się w miriady komend dla wyczekujących systemów i ludzi. Tam zostały przetworzone na zestawy komend cząstkowych i przekazane dalej. W tysiącach binarnych słów „Krakenowi” przekazano jeden, prosty rozkaz - wykonania zwrotu na wroga.

Na moment zamilkły silniki główne okrętu, a ułamek sekundy później wzdłuż jego burty zajaśniały dysze manewrowe. Krążownik powoli zakreślił wokół własnej osi, ustawiając się niemal rufą do eskadry imperialnej. Wtedy na powrót ożyły potężne dysze silników głównych, powoli, acz konsekwentnie prowadząc „Krakena” na obliczoną przez Van Dijka trajektorię. Ponad sto jednostek dalej dowodzony przez komandora Thando „Hegemon” wykonywał podobny manewr. Kadłuby obu krążowników dygotały od napięć struktury, jakby w pełnym podniecenia wyczekiwaniu na walkę.

- Sir. - Delanov przeszedł na kanał prywatny, kiedy tylko potwierdził wykonanie wszystkich rozkazów.

- Słucham, komandorze? - Kuerten nawet nie drgnął, całkowicie skupiwszy uwagę na obrazie z konsoli Rattego.

- Dlaczego niszczyciele pozostają na kursie? - mimowolnie wskazał na ekran taktyczny, gdzie prowadzona przez „Echo” formacja nadal kontynuowała pościg za imperialnym zespołem.

- Gdybyśmy zawrócili wszyscy, komodor Wu momentalnie zorientowałby się w naszym podstępie - odpowiedział z namysłem Kuerten, nie odrywając wzroku od ekranów. - Teraz jednak ma szansę uznać, że wycofaliśmy „Krakena” i „Hegemona”, ponieważ i tak mogą się spóźnić na bitwę, a nie dlatego, że takowa się nie odbędzie.

- A wycofałby pan okręty z tego powodu? - Dowódca krążownika uniósł pytająco brwi w całkiem niewidocznym dla przełożonego geście.

- Sir, nieprzyjacielski zespół wykonuje zwrot - zameldował Ratte. - Odchylenie od poprzedniego kursu pięć... dziewięć... dwanaście...

- Nie wycofałbym - powiedział Kuerten niemalże pogodnie. - I najwyraźniej komodor Wu również doszedł do tego wniosku. Proszę przekazać na wszystkie niszczyciele minus „Zabójca”: dołączyć jak najszybciej do flagowca.

- Tak jest, poruczniku Finisce, przekazać na niszczyciele z wyjątkiem „Zabójcy”: dołączyć do flagowca - rozkazał Delanov na kanale ogólnym. Szybko wprowadził na klawiaturze konsoli polecenie wyznaczenia optymalnej formacji i wysłał je sekcji taktycznej. Spojrzał na zegar. Jeśli jego obliczenia nie zawierały błędów, będą musieli wytrwać pod ogniem wroga przez prawie dwadzieścia minut. Nie sądził, żeby Kuerten miał jakiegoś dodatkowego asa w rękawie - teraz trzeba było po prostu nie dać się zniszczyć.

Cóż, pomyślał, obserwując punkty przemieszczające się na ekranie. I tak było zdecydowanie lepiej, niż gdyby przebijali się przez wroga. Dwadzieścia minut to drobiazg w porównaniu z tamtym planem.

- Zapewne ucieszy pana fakt - admirał wyglądał na nie tyle spokojnego, co wręcz zrelaksowanego - że nasza sytuacja ma jedną poważną zaletę.

- Jaką, sir?

Kuerten na moment odsunął holokrany i spojrzał na podwładnego z pełnym satysfakcji uśmiechem.

- Właśnie znacząco zwiększyliśmy prawdopodobieństwo, że „Zabójca” ocaleje.

*

Dwie godziny - tyle czasu pozostało do osiągnięcia punktu, z którego dało się wykonać skok na terytorium Unii. Sto dwadzieścia minut nie było zbyt długim czasem, ale dla załóg okrętów zespołu „Krakena” każda sekunda zdawała się trwać nieznośnie długo.

Sześć sherwoodów pozostawiło wyrzutnie holowane za rufami i teraz wraz z „Kadyksem” powoli nabierało prędkości w drodze ku punktowi spotkania z „Hegemonem” i „Krakenem”. Nie miały jednak szans umknąć parze ścigających je imperialnych niszczycieli i teraz przygotowywały się do ciężkich dwudziestu minut, jakie musiały przetrwać bez osłony większych okrętów. Ciężkie maszyny uformowały luźny szyk wokół „Kadyksu”, który miał stanowić centrum obrony. Ich niewielkie załogi uwijały się jak w ukropie, chcąc jak najlepiej przygotować się do nieuniknionego ataku. Dwadzieścia minut, pomyślał Delanov, obserwując przebiegającą jakby w zwolnionym tempie gonitwę. Dwadzieścia salw. Potem oba krążowniki będą mogły je wesprzeć. Sekcja taktyczna „Krakena” dawała im dziewięćdziesiąt dwa procent na utratę okrętu, osiemdziesiąt na dwa. Sugerowała też, że dość realistycznym

scenariuszem będzie przetrwanie czterech maszyn - nie najgorszy wynik z punktu widzenia dowódcy eskadry. O wiele gorszy z perspektywy załóg wyciskających ze swoich okrętów każdy ułamek mocy - te musiały uwzględnić niemal pięćdziesięcioprocentowe prawdopodobieństwo, że nie ujdą z Tiedong z życiem.

Unijne niszczyciele, stworzone do pościgów i ucieczek, szybko zyskiwały dystans nad rozpędzającym się wrogim zespołem i w ciągu godziny miały dołączyć do „Krakena”. Mniej więcej wtedy niestety musieli rozpocząć decelerację - zbyt wysoka prędkość uniemożliwiła skok, a Delanov nie miał żadnych wątpliwości, że drugiej szansy przeciwnik już im nie da. Nieprzyjaciel mógł za to przyspieszać cały czas i wiadomo było, że wkrótce zacznie odrabiać straty. Przebieg bitwy został już w zasadzie ustalony, a teraz mogli liczyć tylko na błędy przeciwnika. I oczywiście na odrobinę szczęścia.

*

Zgłoszenie o ataku nadeszło z „Johna Małego” jednocześnie z meldunkiem Rattego o wykryciu pierwszych rakiet wystrzelonych przez imperialne niszczyciele. Na pomoście bojowym „Krakena” Delanov mógł tylko obserwować toczącą się potyczkę, odliczać czas i mieć nadzieję na uśmiech losu. Wydawało się jednak, że Unia wyczerpała już zapas przychylności fortuny na ten dzień.

Czwarta z kolei salwa zraniła idącego z tyłu formacji „Willa Stutely’ego”. Transportowiec zaczął wypadać z szyku, ale zanim zdążył nadać jakikolwiek raport, dwa promienie laserów dalekiego zasięgu trafiły go jednocześnie w naruszone poszycie. To, co jeszcze sekundę wcześniej było okrętem, stało się momentalnie bezwładnym wrakiem. Przez moment Delanov czekał na odczyty kapsuł ratunkowych, ale Ratte milczał.

Kolejna salwa pomknęła ku „Guyowi z Gisbourne”, ale tym razem poprzez antyrakiety i obronę punktową transportowca przedarł się tylko jeden pocisk. Uwolnione w eksplozji głowicy twarde rdzenie zaliczyły za ledwie jedno trafienie, tak nieprawdopodobne, że nikt go nawet nie brał pod uwagę - dokładnie we właśnie startującą antyrakietę. Głowica termonuklearna nie była jeszcze uzbrojona, ale eksplodowało paliwo, rozrywając poszycie wyrzutni i powodując wybuch oczekujących na swoją kolej pocisków. Na ekranie taktycznym Delanova „Guy z Gisbourne” rozbłysnął nagle feerią emisji i zniknął, nie pozostawiając po sobie nawet wraku.

Następnym celem była „Lady Marion”, ale tym razem okrętom imperialnym przyszło stoczyć ciężką walkę. Pierwsze niegroźne uszkodzenia pojawiły się w komorach ładunkowych transportowca, uwalniając kilkadziesiąt nieużytych dotychczas pocisków typu Armageddon, przeznaczonych do ostrzału planetarnego. Rój kontaktów pojawił się tuż obok

„Lady Marion” i natychmiast zaczął zostawać z tyłu za ciągle przyspieszającym okrętem.

Kolejne trafienia zmasakrowały prawą burtę okrętu, co wymusiło na jego dowódcy wygaszenie rotacji, niemożliwej do podtrzymania wyłącznie przy użyciu lewoburtowych silników manewrowych. Imperialni operatorzy uzbrojenia natychmiast spróbowali dobić ranną maszynę laserami, ale obie wiązki tylko nieszkodliwie rozproszyły się po trafieniu w powłokę refleksyjną. Transportowiec nadal trzymał się pozostałych jednostek, powoli przekształcających szyk, by osłonić rannego towarzysza, dzięki czemu kolejne wymierzone w

„Lady Marion” rakiety musiały pokonywać strefę obronną osłaniających ją okrętów. Manewr okazał się skuteczny i następna fala pocisków w ogóle nie dosięgła celu, a łupem dwóch kolejnych padł zaledwie zestaw anten dalekiego zasięgu, teraz i tak niepotrzebnych. Dowódcy obu niszczycieli szybko jednak pojęli udzieloną im lekcję.

„John Mały” szedł teraz na końcu szyku i to on zajął miejsce chwilowo bezpiecznej „Lady Marion” na liście celów zbliżających się maszyn imperialnych. Jego dowódca zresztą doskonale zdawał sobie sprawę z sytuacji - przeciwnik jasno dał już do zrozumienia, że w miarę możliwości woli niszczyć pojedyncze jednostki, niż dążyć do wielu potencjalnie niegroźnych trafień. Transportowiec wystrzelił większość kapsuł ratunkowych, a bloki walki elektronicznej reszty zespołu umożliwiły mu na obudowanie ich sieciami ech i pułapek, w nadziei na zmylenie zbliżających się rakiet. Ta taktyka zadziałała tylko częściowo, zresztą wobec słabnącego ognia obronnego transportowców coraz więcej nieprzyjacielskich pocisków zbliżało się do umykających okrętów. Z sześciu pocisków, które pokonały kolejne fale antyrakiet, cztery istotnie dały się zmylić podstawionym im fałszywym celom, dwa jednak natychmiast porzuciły wabiki, kierując się nie w stronę „Johna Małego”, ale ku „Kadyksowi”. Laserom obronnym transportowca Trzeciej i Czwartej Kompanii Pancerny Wspomaganych udało się zniszczyć jeden, drugi jednak eksplodował na samej granicy zasięgu efektywnego, uzyskując dwa trafienia, oba w anteny systemów obrony punktowej.

„Kadyks” nadal dysponował sprawnymi laserami, ale musiał ich od teraz używać niemal na ślepo.

Ciężkie chwile przeżywała także załoga samego „Johna Małego” - z trzech trafień co prawda tylko jedno spowodowało realne straty, ale za to naprawdę poważne. Supertwarda drzazga uderzyła w zewnętrzny pancerz okrętu tuż przy siłowniach. Pancerze generatorów wytrzymały, jednak fala uderzeniowa pochłonęła pomieszczenie kontrolne wraz z sześcioma obsadzającymi je marynarzami. Automatyczne systemy bezpieczeństwa zredukowały przesył energetyczny i ciąg transportowca natychmiast zmałał - różnica była niewielka, ale wystarczająca, by jednostka zaczęła tracić dystans do reszty, stając się łatwym łupem.

Według zegara transportowcom pozostało jeszcze osiem minut samotnej walki.

Delanov pomyślał, że jeśli ma wyglądać podobnie do dotychczasowej, stracą przynajmniej „Johna Małego” i zapewne jeszcze jedną maszynę, a może też „Lady Marion”. Z pogromu ocaleją dwie lub trzy jednostki - trudno powiedzieć, czy był to dobry zysk za kilka rund przeciwko głównym siłom Imperium, które miały czekać eskadrę „Krakena”. Ale dowódcy transportowców mieli własne plany.

Maszyny imperialne odpały właśnie kolejną salwę, kiedy na moment przesłoniła je nagła konstelacja eksplozji. Kilkadziesiąt jasnych punktów zabłysło jednocześnie jasnym światłem, a kiedy przygasły, jeden z niszczycieli zaczął wyraźnie tracić dystans do towarzysza. Delanov zmarszczył brwi - unijne jednostki odpały wyłącznie antyrakiety, nie posiadały też min. Olśnienie przyszło nagle, kiedy zobaczył analizę spektralną eksplozji.

„Lady Marion” wcale nie zgubiła przewożonych pocisków do bombardowań planetarnych. Załoga transportowca po prostu uwolniła je z ładowni w momencie trafienia. Chmury kilkudziesięciu rakiet nie dało się naprowadzać bez wykrycia, ale też można było obliczyć, kiedy znajdą się blisko idących pełnym ciągiem przeciwników, poruszających się idealnie prostym kursem dokładnie za rufami umykających transportowców. Teraz załogi imperialnych maszyn miały zapłacić za zbytnią pewność siebie. Ich systemy obronne musiały w ostatniej chwili wykryć bezwładne rakiety, lecz nie zdołały zniszczyć wszystkich. Spośród ponad stu eksplodujących głowic co najwyżej kilka mogło znaleźć się choćby w pobliżu niszczycieli, ale to wystarczyło.

Oznaczony jako D-2 okręt w jednej chwili utracił połowę przyspieszenia, a jego odczyty wskazały znacząco zwiększone emisje cieplne. Wybuch z pewnością uszkodził wyrzutnie, bo następna wystrzelona przezeń salwa składała się tylko z trzech pocisków. Sensory wideo wyłapały także jasną plamę na boku niszczyciela i Delanov bardzo żałował, że transportowce nie miały wież laserów dalekiego zasięgu - trafienie w tak dużą wyrwę w powłoce refleksyjnej nie było trudne, a na pewno zniszczyłoby okręt. Tym niemniej sytuacja transportowców i tak poprawiła się radykalnie - obaj imperialni dowódcy podchodzili teraz ostrożniej do, jak się okazało, wcale nie tak bezbronnej zwierzyny. Zarówno trafiony D-2, jak i drugi niszczyciel szły mniejszym ciągiem, poświęcając część mocy systemów na wypatrywanie dalszych pułapek. Zespół transportowców również zwolnił, by osłonić ранego „Johna Małego”, ale to niewiele im zaszkodziło. Kolejne kilka niepełnych fal pocisków zaliczyło co prawda jeszcze dwa trafienia, ale tym razem szczęście zdawało się odwracać od atakujących - choć „Robin z Locksley” utracił niemal wszystkie sensory, a dwie z czterech wyrzutni „Kadyksu” doznały poważnych uszkodzeń, żaden cios nie dosięgnął napędu i

wkrótce ocalałe pięć maszyn skryło się w cieniu osłony antyrakietowej „Krakena” i „Hegemona”.

- Mądry manewr - zauważył dotychczas milczący Kuerten, przestawiając zegar. - Zaskakujący.

- Niestety możliwy tylko raz i wyłącznie w tych konkretnych okolicznościach - zgodził się Delanov. Nie mógł uwierzyć w tak pomyślny rozwój sytuacji. Nie tylko stracili jedynie dwa transportowce, ale też udało się im poważnie uszkodzić imperialnego niszczyciela.

- Owszem, ale nie sądzę, żeby nasz przeciwnik uznał, że może zignorować tego rodzaju sztuczki - odparł admirał. - Inaczej nakazałby kontynuację pościgu. Tymczasem uznał, że poczeka, aż zabierze się za nas głównymi siłami.

- Ma rację - zauważył Delanov. Imperium nie opłacało się ryzykować niszczycieli tak blisko pary krążowników, zwłaszcza że wkrótce przeciwko unijnemu zespołowi miała stanąć cała moc eskadry liniowej, która mogła walczyć właściwie bez zagrożenia. Krótki czas nie dawał przeciwnikom znaczących szans na zadanie ciężkich strat, ale najwyraźniej chiński dowódca nie zamierzał tracić okrętów niepotrzebnie. - Szkoda, że podczas deceleracji nie możemy powtórzyć tego manewru.

- Również żałuję, komandorze. - Głos admirała nie wyrażał żadnych uczuć, w tym wspomnianego żalu. - Będziemy musieli poradzić sobie bez nich. Tymczasem proszę przekazać na transportowce: witamy w zespole, dokonać możliwych napraw i przygotować się do walki.

- Tak jest, poruczniku Finisce, przekazać na transportowce...

Dowódca „Krakena” mówił prawie bezwiednie, jednocześnie przeglądając raporty kolejnych stanowisk. Wszystkie meldowały pełną gotowość do nadchodzącego starcia, ale komandor nie chciał żadnych niespodzianek. Nawet bez nich walka mogła być wystarczająco trudna. Zegar przestawiony po raz kolejny wskazywał pięćdziesiąt minut do punktu skoku. I niecałe dwadzieścia do momentu, kiedy pościg zbliży się do nich na zasięg strzału.

Wkrótce do „Krakena” dołączyły niszczyciele, kolejne minuty wykorzystując na koordynację sieci walki elektronicznej z większymi jednostkami. Pomędzy okrętami cały czas błyskały lasery łączności krótkiego zasięgu, transmitując kolejne pakiety danych koniecznych do synchronizacji. W jaśniejących alarmowymi światłami wnętrzach zamykano ostatnie grodzie, a linie automatycznych podajników rakiet ustawiano na termonuklearne stiletto. Grupy ratunkowe zajmowały pozycje w kluczowych miejscach, by jak najszybciej reagować na uszkodzenia. Podczas bitwy nie było czasu na opóźnienia.

Na pomoście bojowym Delanov nie mógł oderwać wzroku od ekranu taktycznego. Z każdą sekundą nieprzyjaciel zbliżał się do ciągle zwalniającej formacji Unii.

- Nawigacja, proszę przygotować stanowisko szperacza - rzucił. Ponad trzydzieści minut dzieliło zespół od momentu skoku, ale Delanov bardzo nie chciał, by w ogniu bitwy okazało się, że szperacz nie może dotrzeć z powodu uszkodzeń czy zamkniętej grodzi. Każda minuta oznaczała przecież konieczność poradzenia sobie z kolejną salwą wroga. - Co z porucznikiem Bergiem?

- Stanowisko gotowe - usłyszał w słuchawce niski głos Van Dijka. - Porucznik Berg na miejscu, łącze nieaktywne.

- Wytrzyma w łączu kilka dodatkowych minut?

- Da radę. - Niemal mógł zobaczyć niechętnie skrzywienie ust Van Dijka. Nawigator „Krakena” bardzo nie lubił zbytniego obciążania szperaczy, ale w tym momencie nawet on musiał sobie zdawać sprawę, że nie mogli pozwolić sobie na opóźnienie - lepiej, żeby Berg odchorował zbyt długie zespolenie z systemami krążownika, niż by wszyscy zapłacili za zwłokę.

- Rozumiem, proszę rozpocząć synchronizację dziewięć minut przed zakładanym czasem skoku - zakomenderował. Nie miał powodu, aby przesadzać, jednak długotrwałe zespolenie mogło z kolei zbyt wyczerpać porucznika, a nikt nie chciał, żeby Berg popełnił pomyłkę.

- Tak jest.

- Komandorze - odezwał się Kuerten, poprawiając coś przy skafandrze. - Proszę przekazać do okrętów zespołu: nowy szyk, według przesłanego rozkładu. Zająć pozycje i meldować gotowość do uwalniania ładunku.

Dowódca eskadry wydał kilka komend i trójwymiarowy obraz eskadry unijnej pojawił się na ekranie Delanova. Ten już miał przekazać dane do Finiscego, ale kiedy tylko spojrzał na ustawienie, jego dłoń zamarła nad przyciskiem. Według rozkazu admirała wszystkie transportowce szły w tylnej straży - zespół unijny osłaniał sprawniejsze maszyny dopiero co ocalonymi okrętami.

- Sir - zapytał, błyskawicznie zmieniając kanał na prywatny. - Czy nie jest to zbyt duże ryzyko utraty słabszych jednostek?

- Owszem - odparł niewzruszony Kuerten - ale korzystne dla eskadry. Zechce pan przekazać rozkaz, dopóki jeszcze jest czas na dokonanie korekt?

Delanov zagryzł wargi i podał dane na konsolę łączności.

- Poruczniku Finisce, proszę przekazać współrzędne nowego szyku do pozostałych

jednostek - powiedział cicho.

- Tak jest - usłyszał potwierdzenie. Finisce zerknął niepewnie na dowódcę, kiedy zobaczył koordynaty, ale o nic nie pytał. Delanov również milczał, choć z innych powodów. Doskonale rozumiał pomysł kryjący się za rozkazem. Przeciwnik mógł teraz albo brać na cel transportowce, marnując pociski na okręty o niskiej wartości bojowej i niezbyt licznej załodze, albo próbować uderzać w o wiele atrakcyjniejsze krążowniki i niszczyciele, wymuszając jednak na swoich pociskach ignorowanie tylnej straży zespołu, a tym samym pozwalając jej na dłuższy ostrzał zbliżających się rakiet. Kalkulacja admirała była bezbłędna, choć bezlitosna. Jakąkolwiek decyzję podejmie dowódca imperialny - Kuerten wygra. Przegrają tylko załogi pięciu transportowców, zbyt nieliczne i walczące na zbyt mało ważnych okrętach, by zostały uznane za cenne. Vincent Delanov mógł sobie świetnie wyobrazić, co ci ludzie myślą o admirałe, bezpiecznym w centrum szyku.

Zegar wskazywał sześćdziesiąt sekund, kiedy unijny zespół przyjął nową formację. Zakończyło się wydawanie rozkazów, a ciszę przerywały jedynie przytłumione głosy nadzorujących swoje działy oficerów. Delanov wyciągnął rękę i na chwilę zacisnął rękawicę wokół zdjęcia Marianny i Marka. Nie był to prawdziwy uścisk, ale zaledwie tyle mógł zrobić, żeby spróbować dodać sobie otuchy.

Zestaw manewrów Kuertena sprawił oczywiście, że okręty zespołu „Krakena” nie potrzebowały już wielkiego szczęścia, aby przetrwać. Ich obecna sytuacja była niemal dobra. Pół godziny to nie tak długi okres - kalkulując na zimno, Delanov nie sądził, by przeciwnik mógł zadać im naprawdę ciężkie straty. Ciągle jednak pozostawał czynnik w postaci zwykłego pecha, który nie tak dawno zabił „Guya z Gisbourne”.

*

Ostrzał rozpoczął się dokładnie co do sekundy. Imperialny zespół wyrzucił z siebie salwę rakiet, błyskawicznie oznaczonych przez stanowisko Ratego jako M-1 do M-117. Po minucie pojawiły się kolejne, a potem ich trzecia fala. W porównaniu z pociskami, które rzuciły w stronę unijnych transportowców dwa niszczyciele, było to istne mrowie, ale też obrony nie stanowiły systemy sherwoodów. Rój stiletto wystrzelony przez unijną eskadrę pomknął na spotkanie agresorów. Wspierane przez sprzęt „Botany Bay” bloki walki elektronicznej meldowały starcie z systemami zakłócającymi wroga. Pociski starły się ze sobą w feerii eksplozji, a na ocalałe z pogromu chińskie rakiety spadło drugie tyle stiletto kolejnej salwy obronnej. Bitwa rozpoczęła się na dobre.

Dowódca wrogiej eskadry liniowej był osobą metodyczną. Postanowił zrezygnować z łakomych kąsków, jakimi były unijne krążowniki, i skupił się na idących w tyle szyku

transportowcach. Skoncentrowany ogień obrońców początkowo dawał sobie radę z nawałą nieprzyjacielskich pocisków, ale - zgodnie z oczekiwaniami - nie mogło to trwać w nieskończoność.

Pierwszy zginął już wcześniej uszkodzony „John Mały” - cztery pociski wroga uzyskały kilkanaście trafień, niszcząc cały dziób okrętu. Maszyna straciła resztki ciągu i lecący bezwładnie wrak szybko zaczął wyprzedzać zwalniające maszyny Unii. Z transportowca odstrzelono pojedynczą kapsułę, lecz nikt nie miał możliwości jej podebrania i stateczek rozpaczliwie emitujący sygnały SOS szybko oddalił się od nadal walczących okrętów.

Kolejne pociski kierowały się ku „Kadyksowi”, ale ciężki transportowiec nie był łatwym celem. Przetrwał siedem kolejnych trafień i kiedy ostatecznie celny cios złamał go nieomal w pół, zespołowi Kuertena pozostało jedynie dziewięć minut do skoku. Bitwa szła lepiej, niż Delanov się spodziewał.

Samotny krążownik pojawił się znikąd, tuż przed unijnymi okrętami - musiał pozostawać w pobliżu punktu skoku, podobnie jak robił to „Zabójca”. Delanowowi nie chciało się wierzyć, że nieprzyjacielski dowódca mógł aż tak dokładnie przewidzieć ich kurs - prowadzący eskadrę niszczyciel „Echo” miał przejść ułamek jednostki od wrogiego okrętu. Krążownik imperialny musiał raczej korygować pozycję minimalnym ciągiem i mikromanewrami, dostosowując ją do kursu zespołu Kuertena.

Dowódca „Echa”, komandor podporucznik O’Meally, miał może kilka sekund do namysłu. Mógł wyminąć okręt, licząc, że zwalniająca, lecz nadal szybka eskadra szybko pozostawi go za rufami. Oznaczało to jednak kolejną jednostkę wroga, tym razem prowadzącą ogień z bliska. Nie mając czasu na radę z sekcją taktyczną, oficer podjął inną decyzję - utrzymał kurs, idąc na maksymalne zbliżenie z wrogiem. Walka na takim dystansie była mordercza, ponieważ w zasięgu laserów IR okręty w zasadzie nie miały żadnej ochrony - powłoka refleksyjna miast odbijać, chłonęła wiązki podczerwone. O’Meally z pewnością o tym wiedział, mimo to wysłał prośbę o wsparcie systemów walki elektronicznej do „Botany Bay” i ruszył na wroga. Delanov mógł tylko pokiwać głową z uznaniem - nawet wzajemne zniszczenie obu maszyn poprawiało sytuację reszty eskadry.

Chiński dowódca miał jednak inne plany. Na ułamek sekundy przed wejściem w niezwykle mały zasięg walki na lasery podczerwone pomiędzy okrętami eksplodowała salwa antyrakiet. Obie jednostki na moment zniknęły za zakłóceniami generowanymi przez wybuchy, a gdy chwilę później Ratte odzyskał odczyty, po „Echu” nie pozostał nawet ślad.

- Sir! - zgłosił zdeorientowany porucznik.

- Widzę. - Delanov patrzył bezradnie, jak wrogi okręt przemyka pomiędzy mijającymi go unijnymi jednostkami. - Dajcie mi częściowy fokus w kierunku punktu skoku, nie chcę dalszych niespodzianek i oczekuję informacji, jak on to zrobił!

- Tak jest.

- Sir, mam pełną synchronizację porucznika Berga, gotowy do wprowadzenia koordynatów - zameldował Van Dijk ze swojego stanowiska. - Czas do strefy osiem czterdzieści.

- Rozumiem. Dziękuję.

- Komandorze. - Głos Kuertena był nadal spokojny i tylko najdrobniejsze nuty zdradzały podziw. - Proszę przekazać pozostałym okrętom: unikać starcia na dystansie laserów krótkiego zasięgu.

- Tak jest, Finisce, przekaż rozkaz do eskadry. Co robimy z C-4? - Spojrzał na oznaczenie nadane nowemu przeciwnikowi.

- Nic. Teraz już nie jest problemem. - Admirał nie tracił ducha. - Przekażcie na „Botany Bay”: potrzebuję jak najdokładniejszego skanu wrogiego zespołu. Niech go skorelują z danymi z wejścia do systemu, zobaczymy, kogo jeszcze brakuje.

- Tak jest. Finisce, przekaż na „Botany Bay”...

Delanov spojrzął na oddalający się punkt C-4. Krażownik powoli rozpędzał się do prędkości bojowej, ale nadal był zbyt wolny, by jego pociski miały szansę dopaść zespół „Krakena”. Plan chińskiego dowódcy musiał zakładać wymianę ognia tylko podczas wymijania - i zadziałał perfekcyjnie. Nawet zmylony, komodor Wu pozostawał groźnym przeciwnikiem.

- Sir - zameldował Ratte - fokus 0-0, brak kontaktów. Chyba też wiem, co zrobił C-4.

- Mów.

- Wykorzystał antyrakiety do tymczasowego zakłócenia sensorów „Echa” - wyjaśnił porucznik. - Miał może jedną dziesiątą sekundy przewagi, ale to wystarczyło.

Delanov zaklął w duchu. Byli zbyt pewni siebie i dowódca imperialny skarcił ich jak dzieci.

- Rozumiem, dziękuję - powiedział tylko. Nie chciał dawać do zrozumienia podwładnemu, jak bardzo jest wściekły.

Imperialne pociski tymczasem rozszarpały „Braciszka Tucka”, w ciągu trzech minut zmieniając go z całkowicie sprawnego okrętu w rój części lecących wyłącznie inercją. Kolejnym celem musiał być „Robin z Locksley” lub ranna „Lady Marion”. Delanov zacisnął pięści, starając się wzrokiem zakląć sunące w ich stronę stado kolejnych „eMek”.

- Komandorze, proszę przekazać do wszystkich okrętów - usłyszał nagle głos Kuertena. - Jak najszybciej przyjąć nowe miejsca w szyku, przekazuję rozkład.

- Tak jest, poruczniku Finisce, przekazać nowy rozkład w szyku na wszystkie jednostki. - Delanov otworzył otrzymane od admirała dane. - Ster, zmiana, redukcja mocy siedem procent, zmiana pozycji 160-340-4 względem centrum, natychmiast.

- Tak jest, 160-340-4 względem centrum - powtórzył jak echo sternik.

Dowódca krążownika zrobił głęboki wdech. Mógł oczekiwać takiej decyzji i trudno było się z nią nie zgodzić. Nowe ustawienie unijnych jednostek przesunęło zarówno „Krakena”, jak i „Hegemona” na tylną straż formacji, w najbardziej prawdopodobne miejsce ostrzału. Admirał musiał zakładać, że ciężkie okręty mają większe szanse na przetrwanie ostatnich trzech fal wrogich pocisków niż ranne transportowce. Komodor Wu stał teraz przed dokładnie tym samym dylematem co załogi imperialnych niszczycieli niecałe półtorej godziny wcześniej - atakować już poranione cele w głębi linii obronnych, czy też próbować naruszyć nietknięte krążowniki. Dowódca jednak nie popełnił błędu swoich podwładnych.

Kolejna salwa została natychmiast przekierowana na nowe cele, mocno przerzedzony przez huraganowy ostrzał antyrakiet rój „eMek” wyraźnie zwrócił się ku idącemu po lewej stronie zespołu „Krakenowi”. Spośród dwudziestu dwóch rakiet tylko osiem sforsowało ostatnie bariery systemów walki elektronicznej, dwie przemknęły przez skoncentrowany ogień obrony punktowej krążownika. Jedna uzyskała trafienie.

- Uszkodzenie manewrówek trzy, siedem i dziewięć - zameldował Mpemba ze swojego stanowiska, a na ekranie Delanova wyświetlił się skrócony raport. - Odcinam zasilanie, grupy ratunkowe w drodze. Powłoka refleksyjna w trakcie regeneracji.

- Dacie radę postawić silniki w trzy minuty? - zapytał szybko Delanov, rozwijając raport.

- Raczej nie, sir, ale nie mam pełnych danych.

- Zapomnij o nich, skup grupy ratunkowe przy nawigacji i silnikach. - Komandor z niepokojem obserwował kolejną zbliżającą się salwę rakietową. - Na dłuższą metę nic innego nie ma znaczenia.

- Tak jest. - Mpemba szybko wprowadził kilka poleceń do swojej konsoli i przełączył się na kanał łączności z zespołami naprawczymi.

- Co z refleksem?

- Regen...

- Generacja lustra! - zameldował Ratte, niemal jednocześnie z donośnym piskiem alarmu. Kilkanaście raportów przepłynęło w tej samej chwili przez stanowisko Delanova.

- Mpemba? - komandor poczuł, że lekko podnosi głos. Zwykle ostrzał laserowy nadchodził później, ale widocznie operatorzy uzbrojenia na chińskim okręcie uznali, że próba niewiele ich kosztuje.

- Trafienie bezpośrednie z lasera, refleks trzyma, sir - nadeszła natychmiastowa odpowiedź.

- Ster, daj mi nieregularną rotację! Mpemba, jeśli wszystko jest w porządku, to co się dzieje?

- Oberwaliśmy przy manewrowym siedem, tuż obok regenerującej się powłoki. Mamy przegrzanie w kilku systemach, ale powinniśmy je opanować.

- Generacja lustra, sir, poprawka, dwie, poprawka, trzy. - Głos Rattego złał się z kolejnym alarmem.

Tym razem jednak albo strzały nie odniosły żadnego skutku, albo Mpemba zdecydował się wyciszyć raporty. Wróg wszedł na zasięg laserów nadfioletowych i wyraźnie postanowił w pełni wykorzystać ten fakt. Na razie bez efektu, ale...

- Ster, utrzymać nieregularną rotację według wskazań generatora losowych parametrów - rozkazał Delanov. - Resetować przy każdym trafieniu.

- Tak jest, nieregularna rotacja - potwierdził sternik. Krążownik lekko zawibrował, kiedy jego systemy próbowały kompensować ciągłe zmiany ustawienia maszyny względem imperialnych okrętów.

- Nawigacja?

- Jest pełna gotowość do skoku, przekazujemy łącza na transportowce - zameldował Van Dijk pełnym napięcia głosem.

Druga salwa pocisków wroga okazała się nieco celniejsza niż pierwsza - dwa eksplodowały w celu, a uwolnione przez nie rdzenie trafiły „Krakena” tuż obok wyrzutni.

- Systemy broni lewej burty niesprawne! - wyrzucił z siebie Mpemba. - Diagnostyka w toku!

- Trzymać rotację - mruknął Delanov, bardziej do siebie niż do sternika, który doskonale wiedział, co ma robić. Niecałą sekundę później kolejne laserowe wiązki rozproszyły się na powłoce refleksyjnej krążownika.

- Proszę zawiadomić pozostałe okręty - głos Kuertena był tak pozbawiony emocji, jakby odtwarzano go z taśmy - pełen ogień obronny na kolejną salwę, ignorować wszystkie następne. Niech „Hegemon” pociągnie „Robina z Locksley”, „Zguba” zajmie się „Lady Marion”. Skakać bez rozkazu.

- Tak jest.

Komandor przekazał rozkaz Finiscemu, ale sam patrzył tylko na wyświetlacz taktyczny, na którym nowa salwa chińskich pocisków sunęła w kierunku jego okrętu. Kolejne nie miały już szans ich dopaść - zegar wskazywał czterdzieści sekund do wykonania skoku. Ta jednak gładko przeszła przez pierwszą falę stiletto, skurczyła się zaledwie trochę przy drugiej i kiedy dotarła na granicę strefy zakłócania, nadal składała się z trzydziestu rakiet. Delanov z niedowierzaniem patrzył, jak wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu dziewięć pocisków wchodzi w strefę ostrzału obrony punktowej.

Zanim sześć z nich ugodziło „Krakena”, jego dowódca zdążył jeszcze spojrzeć na podobizny żony i syna wiszące przy jego stanowisku.

*

Fala uderzeniowa przetoczyła się po trafionym krążowniku. Eksplozje wtórne pochłaniały kolejne systemy, wypaczały grodzie, pożerały w krwawych wybuchach grupy ratunkowe czekające na swoich stanowiskach. W jednej chwili pomost bojowy zalało czerwone światło alarmu, a połowa wyświetlaczy wygasła lub pokazywała czyste ekrany.

- Rotacja! - wrzasnął Delanov w komunikator, starając się jednocześnie uruchomić swoje stanowisko.

- Reagują tylko jedyńka i ósemka, sir - zameldował bezradnie sternik. - Wykonuję według parametrów awaryjnych.

- Mpemba, napęd metryczny?

- Wydaje się sprawny - odpowiedział niepewnie porucznik, walcząc ze swoim wyświetlaczem. Delanov odetchnął z ulgą. - Nie wiem, na ile, ale zgłasza gotowość, zespół w drodze.

- Van Dijk?

- Sir... - W głosie Holendra zabrzmiał ton, który zmroził komandorowi krew w żyłach.

- Stanowisko sprawne, ale nie mam odpowiedzi od części generatorów pól Kuznietzova.

Dowódca krążownika zamarł na sekundę. Brak aktywnych pól w trakcie skoku był wyrokiem śmierci dla niechronionej załogi.

- Których?

- Sterburtaśródkręcie, sterburtarufa. Rezerwowa centrala sensorów... - mówił szybko Van Dijk -... i rezerwowy pomost bojowy.

Słowa nawigatora uderzyły Delanova niemal fizycznie. Czternastu marynarzy i oficerów na śródkręciu. Szóstka na rufie. Dziesięć osób pod dowództwem DuLaca. A żeby to wszystko szlag trafił...

- Sir - zameldował Ratte. - „Zguba” i „Lady Marion” wykonały skok. „Hegemon” i „Robin z Locksley” odpalają napęd metryczny.

- Ostrzał? - spytał komandor głuchym głosem.

- Dwadzieścia osiem sekund.

- Okręt gotowy do wykonania skoku - zgłosił Van Dijk, walczący ze swoją konsoleką.

- Rozkazy?

- „Łowczyń” i „Intruz” wykonują skok - mówił Ratte odrobinę wyższym głosem niż zazwyczaj. - Ostrzał, dwadzieścia sekund.

Delanov westchnął. Trzydzieści osób, w tym DuLac i kadra rezerwowego pomostu bojowego... Ale za dwadzieścia sekund zginą i tak wszyscy. W rzeczywistości nie miał wyboru i bardzo liczył na to, że kiedyś uda mu się przekonać o tym samego siebie. Kiedyś. Nie teraz.

- Wykonać skok - rozkazał zdecydowanym tonem. Nawet jeżeli miał wątpliwości, nie mógł okazać ich załodze.

- Tak jest, wykonuję skok za pięć, cztery... - usłyszał jeszcze. Przymknął oczy, starając się nie myśleć o konsekwencjach rozkazów. Nikt oczywiście go z nich nie rozliczy, każdy uzna, że w tej sytuacji podjął właściwą decyzję. Cholera, on sam to wiedział.

Zapewne takie właśnie decyzje są najgorsze.

Kilka sekund później nadeszło znajome wrażenie płynności towarzyszące przejściu do przestrzeni przystankowej. W głowie Delanowa trzydziestu umierających marynarzy krzyknęło jednocześnie.

Plan awaryjny

Xinfu, Fushun, system Shuncheng, 8.04.2212 ESD, 19:15 16:54 czasu lokalnego

Cartwright tylko przez sekundę wyglądała na zaskoczoną. Uspokoiła ruchem dłoni swoich ludzi i zrobiła powolny krok w stronę pułkownika. Nikt z oesów nie uniósł broni. Test wypadł pomyślnie - zabójcy Australijczyka nie traktowali ich jak wrogów, inaczej już by zareagowali.

- Zatem pytam. - Ton głosu kobiety był tylko odrobinę głośniejszy od szeptu. - Dlaczego uniemożliwił nam pan atak na systemy obronne rafinerii?

Brisbane zerknął na zegarek i przez krótką chwilę zastanawiał się nad czymś.

- Ponieważ - odparł wreszcie - zniszczenie systemów obronnych rafinerii nigdy nie było celem naszego lądowania.

Wierzba wymienił spojrzenia ze stojącym obok Weissem. Słowa oficera z pewnością udowadniały, że ich dotychczasowe działania nie zagrażały misji. Problemem było jednak to, że właściwie cokolwiek mieli zrobić na Fushun, teraz, odkąd zaalarmowali przeciwnika, będzie nieskończenie trudniejsze.

- Z całym szacunkiem, sir. - Jeyne Cartwright mocniej zaakcentowała krótkie „sir”, ale był to jedyny objaw zniecierpliwienia. Być może po prostu po wydarzeniach na Bagnie spodziewała się, że Brisbane nie powiedział im wszystkiego. - Czy zatem można zapytać, po co tu jesteśmy?

- Nie mogła pani wybrać lepszego momentu, poruczniku. - Brisbane uśmiechnął się szeroko. - Od mniej więcej pięciu minut możemy rozmawiać całkiem swobodnie. Z dokładnością do poślizgu skoków, ale trasy pomiędzy tym systemem a Tiedong są dość precyzyjnie szacowane.

- Czy dowiem się, dlaczego? - Polak nie widział twarzy porucznik, ale był przekonany, że skrzywiła w poirytowaniu usta.

- Otóż wykonaliśmy już nasze zadanie. - Australijczyk dał znak swoim ludziom. Czwórka szturmowców schowała broń do kabur. - A raczej, by być precyzyjnym, mam nadzieję, że je wykonaliśmy.

- Wykonaliśmy - powtórzyła powoli Cartwright. - Jak?

- Celem naszej akcji było sprawienie wrażenia, że Unia przygotowuje atak na Fushun - wyjaśnił Brisbane. - To z kolei było konieczne, by umożliwić atak flocie. Żeby jednak działanie tutaj miało sens, byliśmy zmuszeni dopuścić do przecieku informacji.

- O nas?

- Dokładnie - potwierdził. - Obawiam się, że nasze działania były monitorowane od momentu lądowania aż do szczęśliwej ucieczki z centrum handlowego „Imperia” pięć lokalnych dni temu.

Zaskoczona Isaksson uniosła brwi. Weiss kiwnął po prostu głową, jakby zmiana parametrów misji w ogóle go nie obchodziła. Wierzbowski głośno wypuścił powietrze z płuc. Wszystkie kawałki układanki wskakiwały na swoje miejsce. Dziwna metoda dotarcia na planetę, „Imperia”, pięć dni przyczajenia się w zakładzie przetwarzania ścieków. Do prawdziwego zadania, pomyślał Marcin, Brisbane pewnie nie brałby zwykłych trepów. Tutaj po prostu nie istniało ryzyko, że coś zepsują, bo zwyczajnie nie było co zepsuć.

- Rozumiem, że to oznacza, iż wszystko, co robiliśmy dotychczas, stanowiło tylko i wyłącznie osłonę dla akcji floty? - upewniła się porucznik. Nie była już zirytowana, co więcej, ku zaskoczeniu Marcina w jej głosie dało się wyłapać nuty ulgi.

- Och, nie - zaprzeczył Australijczyk. - Nasze dotychczasowe działania miały przygotować nam drogę ucieczki.

Xinfu, Fushun, system Shuncheng, 9.04.2212 ESD, 12:26 18:08 czasu lokalnego

Pozamiejski kompleks był jednym z kilkadziesiątu podobnych punktów wokół Xinfu, stworzonych po to, by obsługiwać szybki transport pomiędzy placówkami planetarnymi. Najszybciej podróżowano, korzystając z lotów suborbitalnych, i wiele koncernów pracujących na Fushun bazowało na luce prawnej umożliwiającej zarejestrowanie lotnisk pod warunkiem ograniczania wysokości lotów. I to właśnie takie miejsca były kluczem do planu Brisbane'a.

Wierzbza przyłożył do oczu lornetkę i przyjrzał się budynkom lotniska otoczonego wysokim ogrodzeniem. Były tam dwa niewielkie hangary, lądowisko zdolne obsłużyć naraz jeden prom i budynek stanowiący skrzyżowanie wieży kontrolnej oraz centrum obsługi pasażerów. Dwóch techników kręciło się po jasno oświetlonej płycie, rzucając długie cienie w świetle mocnych reflektorów wieży. Kilka innych osób pracowało w otwartym hangarze, wokół kanciastego kształtu wielofunkcyjnego wahadłowca.

- U mnie czysto - rzucił szeptem do rozciągniętego obok Weissa. - Na parkingu dziewięć samochodów, obstawiam tylu pracowników.

- Jest i kontrola... - odparł Niemiec półgłosem. - Zobacz drogę. Marcin spojrzął we wskazanym kierunku i parsknął z irytacją.

- Praktycznie co do minuty, co?

Po drodze sunął wojskowy offroad z oznaczeniami garnizonu Fushun. Zwolnił obok kompleksu, a potem skręcił pod miniaturową wieżę kontrolną. Dwójka wojskowych wyskoczyła przez tylne drzwi pojazdu i wmaszerowała do budynku.

- Dobra organizacja. - Wunderwaffe nie sprawiał wrażenia poruszonego. - Numery boczne 11-67, masz?

- 11-67, mam. - Polak zapisał numer i spojrzął na budynek. Nie wyglądało na to, by ktokolwiek z obsługi kompleksu przejął się obecnością żołnierzy. To musiała nie być ani pierwsza, ani nawet dziesiąta kontrola. - Szkoda, że nie łyknęli przynęty.

Cóż, pozostawienie w zdobytym przez Imperium ekwipunku pakietu fałszywych papierów i biletów na kilka różnych lotów pasażerskich z Fushun miało skierować uwagę przeciwnika raczej na główny kosmoport. Nie wyglądało na to, żeby podstęp zadziałał.

- Może i łyknęli. - Niemiec na moment odsunął lornetkę od oczu i przetarł oba szkła. - Może rzucili się na nasze fałszywe tożsamości i zarezerwowane miejsca, a w tej chwili na kosmoporcie każdy pasażer jest szczegółowo kontrolowany. Ale widać ktoś uznał, że trochę ostrożności nie zawadzi.

Wierzba westchnął cicho. W zasadzie oczekiwał komplikacji. Jak dotąd żaden punkt akcji nie mógł się bez nich obejść, więc i nagle zintensyfikowanie kontroli lotnisk pomocniczych nie wyglądało na coś całkiem niespodziewanego.

- Pewnie masz rację... - mruknął. Dwójka żołnierzy wyszła tymczasem z budynku i wróciła do wojskowego offroada. - Są. Byli w środku niecałą minutę.

- Czyli tylko ramowy test - skwitował Weiss. - W tym czasie mogą co najwyżej zamienić z nimi kilka słów, dać się czytać skanerowi. Nic więcej.

- Osiemnasta szesnaście, czas start. Według rozkładu kolejni mają przyjechać w ciągu dwudziestu sześciu minut. - Marcin uruchomił stoper, kiedy pojazd przejechał przez bramę. - Zobaczymy...

- Nie sądzę, żeby tego nie przewidzieli... - Wunderwaffe przesunął lornetkę, by znów obserwować hangar.

- Zawsze warto spróbować - mruknął Polak, odruchowo zerkając na zegarek. Wkrótce kolejny z patrolujących offroadów miał paść ofiarą zbiegu okoliczności zafundowanego mu przez zespół majora Hampla. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, powinien on zaowocować kilkunastominutowym opóźnieniem. - Na pewno mają zastępstwo, ale choćby

same poślizgi czasowe...

- Muszą zakładać, że coś knujemy, inaczej po prostu monitorowaliby radary pod kątem nieautoryzowanych lotów. - Weiss nie odrywał wzroku od hangaru. - Pięćdziesiątak mówi, że nie więcej niż sześć minut.

- Po powrocie do domu? - Wierzba wyciągnął rękę.

- Dokładnie wtedy. - Wunderwaffe ucisnął ją, nadal nie odsuwając lornetki od oczu.

*

Wrócili do opuszczonego magazynu po zmierzchu, uważając, by nie rzucać się w oczy. Pomagało umiejscowienie budynku - choć znajdował się na granicy centrum Xinfu, w jego okolicy zapuszczała się jedynie obsługa pobliskich magazynów, a i ona nie zwracała specjalnie uwagi na sporadycznie przechodzących ludzi. Przynajmniej do tej pory.

- Strumieniowiec pojawił się około pięć minut po planowanym przyjeździe ciężarówki - meldował Polak. W prawie pustym magazynie każdy głośniejszy hałas wzbudzał irytujące, metaliczne echo i żołnierz zmuszał się, by nie mówić szeptem. - Wylądował, załatwił inspekcję i odleciał.

- Rozumiem. - Pułkownik Brisbane podszedł do leżącego na pustej skrzynce datapada i naniósł otrzymane informacje. - To by zamykało sprawę opóźnień... Jakiś dodatkowy personel na samym lądowisku?

- Nic, co rzucałoby się w oczy. - Marcin wymienił spojrzenia z Weissem, ale ten tylko pokręcił głową w półmroku. - Ale też nie byliśmy w stanie wejść do wnętrza żadnego z budynków.

- Wahadłowiec?

- W hangarze i podczas prac technicznych, ale nie był rozmontowany - odparł Wierzbowski. - Czy nadaje się do lotu, nie wiem.

- Dziękuję. - Pułkownik pokiwał w wyraźnej zadumie głową i spojrzał na datapad. Marcin nie musiał patrzeć na urządzenie, by wiedzieć, co myśli oficer. W końcu rozmawiali z pozostałymi wysłanymi na zwiad. Plan podstawowy szlag trafił, nie było możliwości prześlizgnięcia się pomiędzy patrolami - a z chwilą, kiedy będzie wiadomo, że wystartowali, cywilny prom miał przed sobą jakąś minutę bardzo ciekawego, ale dramatycznego życia. - Postarajcie się odpocząć.

Z zespołu Cartwright jeszcze tylko Szczeniak i Isaksson nie wrócili z wyznaczonej trasy. Pozostali żołnierze starali się jakoś zwalczyć beczynność, irytującą po kolejnych dniach ukrywania się. Sprawdzano skromne uzbrojenie, jakie pozostało im po ucieczce z „Imperii”, rozdzielano resztki zapasów żywności, a Navarre zgłosił się na stanowisko

wartownicze.

- Sytuacja nie wygląda wesoło - mruknął Polak, kiedy razem z Weissem usiedli na porzuconej, złamanej w pół palencie transportowej. - Sądysz, że damy stąd nogę?

- Pułkownik ma plan. - Wunderwaffe nie wydawał się zaniepokojony. - Pewnie, nie uda się tego załatwić najprostszą możliwą drogą, ale przecież nie jest źle.

- Günter Weiss, naczelny ideolog oddziału. - Najpierw w półmroku błysnął kpiący uśmiech Thorne'a, a dopiero potem szeregowiec podszedł do dwóch kolegów. Zupełnie jak kot z Cheshire, pomyślał Wierzba. - Czy istnieje jakakolwiek sytuacja, w której uznasz, że jest źle?

- Powietrze nadaje się do oddychania - Niemiec nie pozwolił się zbić z tropu - a w Xinfu można zdobyć żywność i środki medyczne. Z mojego punktu widzenia możemy pozostawać tu przez dowolnie długi czas i nie umrzeć z powodu warunków środowiskowych.

- W normalnej sytuacji pewnie miałbyś rację - skinął głową Thorne i ukucnął obok połamanej palety. - Ale widzisz, w tej chwili jeszcze szukają nas na pół gwizdka. Według mojej oceny większość sił Imperium koncentruje się na pilnowaniu rafinerii, którą biorą za nasz cel. Mamy nie więcej niż dwie doby, nim zorientują się, że to blef. Prawdopodobnie mniej.

- Soren Thorne, naczelny czarnowidz oddziału. - Wierzba wykrzywił usta, udanie imitując jego sposób mówienia. - I co, myślisz, stanie się wtedy?

- Znajdą nas. - Szeregowiec tym razem podarował sobie złośliwy ton, po prostu stwierdził fakt. - Jeżeli dowódca Xinfu zorientuje się, że Brisbane wystrychnął go na dudka, gwarantuję wam, że rozkaże znaleźć nas i schwytać za wszelką cenę. A tutejszy garnizon i rezydentura wywiadu, na chwilę odkładając romantyczne bajki o dzielnych komandosach wiodących za nos całe armie, znajdzie nas i schwyta.

- Co chciałeś uzyskać? - zainteresował się Weiss. Stalowoniebieskie oczy błysnęły irytacją. - Będziemy działać lepiej, wiedząc to wszystko?

Thorne przez chwilę nie odpowiadał, obserwując własne paznokcie.

- Nie wszystko, co mówię, ma na celu zwiększenie możliwości bojowych mojego oddziału - powiedział wreszcie, choć ku zaskoczeniu Marcina nie zabrzmiało to jak przytyk. - Uświadamiam wam sytuację. Gwarantuję, że Brisbane zdaje sobie z niej sprawę. Wie, że nie może czekać. To oznacza, że jeżeli nie chce dać się złapać, a nie chce, musi działać szybko, zdecydowanie i nie cofać się w pół drogi.

- Bedzie zdesperowany? - Wierzbowski uniósł pytająco brew.

- Nie wiem, czy jest zdolny do takiego uczucia - szeregowiec zaśmiał się cicho - ale na

waszym miejscu byłbym ostrożny ze zgłaszaniem się do czegokolwiek na ochotnika.

*

Pięć miejscowych dni wyczekiwania w centrum oczyszczania zrobiło swoje i obecna beczynność była dla Marcina zwyczajnie męcząca. Dlatego też rozkaz Cartwright zajęcia stanowiska wartowniczego przy tymczasowej kryjówce oddziału powitał z uczuciem bardzo bliskim radości. Nie oczekiwał co prawda żadnych kłopotów, ale zadanie dawało wrażenie działania - nawet jeśli fałszywe. Spędzanie czasu na obserwacji jasnych dziedzińców magazynów i przemykających po estakadach ciągów komunikacyjnych pojazdów nie było zresztą takie złe. Odkąd trochę oswoił się z miastem i instynkt odpuścił wzniesienie alarmów przy każdym hałasie, Marcin musiał przyznać, że fascynowała go jego chaotyczność i nieprzewidywalność.

Na skąpany w ostrym świetle plac przed magazynem z olbrzymim logiem kompanii geologicznej Yuan wtoczyła się pękata ciężarówka. Stado ludzkich mrówek w kolorowych kurtkach zrazu rozbiegło się, a potem otoczyło kolosa, rozpoczynając wyładunek. Wysoki, otyły mężczyzna - zapewne kierownik - pokrzykiwał na pracowników, ale w szklach lornetki Wierzba widział tylko, jak porusza ustami i wydyma zaczerwienione policzki. Zdawało się, że jego rozkazy trafiają w próżnię, a jednak zaskakująco szybko pojazd został rozładowany i puszczony w dalszą drogę.

Pomiędzy wieżami centrum, stąd ledwie widocznymi, przepływały holograficzne stwory reklamujące firmy, których nazwy nic Polakowi nie mówiły. Gdzieś znacznie bliżej po niebie przesunął się olbrzymi sterowiec informujący o wspaniałościach, jakie czekały każdego, kto zgłosi się do programu kolonizacyjnego.

Pustą ulicą przed magazynem przemknął jaskrawoczerwony sportowy ścigacz, a zaraz za nim drugi, jasnobłękitny. Oba z wyciem silników zakreśliły wokół jednej z podtrzymujących estakadę kolumn i wróciły tam, skąd przyjechały.

Sokole Oko twierdził, że lubi miasta. Marcin kiedyś był przekonany, że on sam za nimi nie przepada. Przeszkadzał mu zgiełk, tłoczony do uszu reklamy, tłumy... Teraz, po dwóch latach od ostatniej wizyty w jednym z nich, w tym po roku spędzonym na Bagnie, zaczynał rozumieć Hiszpana. Miasta potrafiły być na swój sposób fascynujące. Jak obce planety wypełnione istotami co prawda całkiem podobnymi do Wierzby, ale postępującymi według trudnych do zrozumienia reguł. Światy, które dopiero należało odkryć na nowo.

*

Odkąd zespół Brisbane'a trafił do opuszczonego magazynu, major Hampel wydawał się jeszcze bardziej wyobcowany niż zwykle - co w jego przypadku naprawdę dużo znaczyło.

Nie rozmawiał z nikim poza dowódcą, a i wtedy nie wypowiadał więcej niż kilka słów. Większość czasu spędzał, siedząc po turecku pomiędzy opróżnionymi skrzyniami z dłońmi na kolanach. Nie spał lub przynajmniej nie wyglądał, jakby chociaż drzemał. Czasem obserwował resztę oddziału bezosobowym spojrzeniem czarnych oczu. Czasami bawił się datapadem, którego ekran migotał wtedy kolorowymi błyskami, pozornie bez żadnego znaczenia. Zdarzało mu się też spędzać czas, po prostu wbijając wzrok w brudną podłogę magazynu, jakby śledził wzrokiem jakieś fascynujące, niewidoczne dla innych wzory.

To wszystko sprawiło, że kiedy drugiego dnia po prostu wstał i podszedł do Brisbane'a, Wierzba wiedział, iż zdarzyło się coś szczególnego. Zresztą, nie tylko on - dwójkę oficerów obserwowało z zaciekawieniem co najmniej kilka par oczu.

- Myślisz, że nas namierzają? - Teatralny szept Szczeniaka musiał być słyszalny w całym budynku. Żołnierz pociągnął szybki łyk z plastikowej butelki i podniósł się ze swojego miejsca.

- Nawet jeśli, to nie ma jak się o tym dowiedzieć - zauważyła Isaksson, w skupieniu przyglądając się rozmawiającym. - Nie sądzę, żeby wchodził do lokalnej sieci, kiedy szuka nas cały garnizon.

- Ty nie wchodzisz. - Holender wywrócił oczami. - On jest magiem.

- A myślisz, że kto go szuka, woźni? - Szwedka skrzywiła się ironicznie.

- Coś znalazł w każdym razie. - Wunderwaffe kilkoma wprawnymi ruchami złożył sprawdzany właśnie pistolet i schował go w kaburze.

Marcin poszukał wzrokiem Thorne'a, który przykucnął na jednej z wyższych skrzyń. Wsparty na dłoniach szeregowiec przypominał teraz wyjątkowo nieudanego gargulca. Mężczyzna spojrział na Wierzbę znacząco, a potem postukał paznokciem w obudowę sfatygowanego zegarka. Wierzbowski skinął głową w milczeniu. Jeżeli Thorne nie mylił się w swoim czarnowidztwie, czas na działanie, jaki jeszcze im pozostał, błyskawicznie dobiegał końca.

Dyskusję kadry usłyszeli tego samego popołudnia. Nie, żeby oficerowie jakoś specjalnie się z nią kryli. Musieli wiedzieć, że stojący nieopodal podwładni mogą usłyszeć treść rozmowy, ale ani sam Brisbane, ani nikt inny nie zrobił nic, żeby się ich pozbyć. Trójka żołnierzy uznała to za wystarczające zezwolenie.

- Trzy do jednego, że plan nam się nie spodoba - mruknął Szczeniak, ponuro przyglądając się oficerom.

- Przyjmuję. - Isaksson uśmiechnęła się niewinnie. - To będzie stówka przeciw trzem?

- Płatne po powrocie - burknął pod nosem, ale wyciągnął dłoń do Szwedki. - Wierzba

jest świadkiem.

- Jasne - szepnął Polak.

- On przecież zginie...

- Cisza - ostro szepnął Szczeniak. - Biorą się chyba do konkretów.

Brisbane tymczasem po raz kolejny odczytał coś z ekranu datapada i wymienił kilka szeptanych uwag z Hamplem. Mag skinął głową i skrzyżował ręce na piersi. W tym momencie bardziej niż kiedykolwiek przypominał Marcinowi wyrocznię udzielającą rad greckim władcom.

- Panie i panowie, oto nasze karty. - Australijczyk uśmiechnął się krzywo, zwracając się do pozostałych oficerów. - Na orbicie nadal znajduje się nasz dobry znajomy, Pekin. Według obecnego rozkazu lotów pozostanie na pozycji przez sześćdziesiąt siedem godzin. Potem uda się w rejs powrotny do Baity, tym samym pozbawiając nas opcji wykorzystania go w charakterze środka transportu. Byłoby to niefortunne, jako że wraz z porucznikiem Harrisem pozwoliliśmy sobie przygotować Pekin do naszej ucieczki.

- W jaki sposób? - zapytała Cartwright.

- Pozostawiliśmy na jego pokładzie część ekwipunku z naszego bagażu - odparł Brisbane. - Wprowadziliśmy kilka niewielkich wirusów w sieć wewnętrzną. Drobiazgi.

- Rozumiem.

- Akcja w „Bramie Cesarskiego Ogrodu” pozwoliła zinfiltrować cywilną sieć kontroli lotów - podjął pułkownik. - To dało nam trzy bardzo istotne atuty. Po pierwsze, pozwoli na sfałszowanie kodu bezpieczeństwa, jakie wysyła każde z lądowisk, prawdopodobnie mniej więcej co godzinę. Po drugie, umożliwi zalegalizowanie jednego lotu. Dzięki temu będziemy mogli przeprowadzić wahadłowiec pomiędzy planetą a cywilnym celem na orbicie. Lotniska lokalne zapewniają również odpowiednią ilość sprawnych promów. Po trzecie, będziemy mogli uzyskać pozwolenie na zejście z orbity dla jednego cywilnego statku.

Porucznik Harris skinął głową. Nieruchoma Cartwright zmrużyła lekko skupione na przełożonym oczy.

- Dziewięć z obserwowanych lotnisk może być zajęte przy użyciu naszych sił z niską szansą na wzniesienie alarmu. Sam lot, trwający czterdzieści osiem minut, nie powinien nastęrczać trudności technicznych.

Pułkownik przesunął wzrokiem po pozostałych oficerach, ale nikt się nie odezwał. Wierzba zerknął na Szczeniaka, który odpowiedział mu ponurym spojrzeniem.

Zdobywanie lotniska będącego pod wojskową obserwacją stanowczo nie brzmiało dobrze.

- Niestety, lokalne siły nie dają nam aż tyle czasu. - Brisbane postukał paznokciem w ekran trzymanego datapada. - Niewielkie patrole odwiedzają każde z lotnisk co mniej więcej dwadzieścia pięć do trzydziestu minut.

Harris.

- Może spróbować wyeliminować któryś i podszyć się? - zasugerował porucznik - Cywilne kody lądowisk mamy tylko dzięki naszemu agentowi. Nie trzeba ich łamać.

- Pułkownik pokręcił przecząco głową. - Łączność patrolu to wojskowy szyfr, w dodatku musimy się liczyć z przynajmniej jednym magiem stale monitorującym łącze.

- Dzikie lądowisko? - spytała Cartwright, oparta o wysoką skrzynię.

- Nie widzę możliwości zdobycia wahadłowca, który nie jest na wyposażeniu któregoś z lotnisk - zaprzeczył Brisbane.

- Rozumiem. - Cartwright skrzyżowała ręce na piersiach. - Czyli musimy wykorzystać ich wahadłowiec i uzyskać przynajmniej dodatkowe pół godziny?

- To dobrze opisuje naszą sytuację, tak. - Australijczyk potarł kark dłonią. - Niestety obawiam się, że Imperium nie zechce go nam dać, stąd chwilowy impas, w jakim się znajdujemy.

Porucznik odepchnęła się od skrzyni i gestem poprosiła Brisbane'a o datapad. Przez chwilę przeglądała wyświetlane na nim dane.

- Chyba że bylibyśmy martwi, prawda? - powiedziała wreszcie, oddając urządzenie.

Australijczyk przez chwilę przyglądał jej się z uwagą. Wreszcie na jego twarzy wykwitł szeroki uśmiech.

- Widzę, że czas spędzony na Bagnie nie poszedł na marne - powiedział wreszcie. - To naprawdę doskonały pomysł.

Trójka przysłuchujących się rozmowie żołnierzy wymieniła zdezorientowane spojrzenia.

- Cóż - powiedział po kilku sekundach ciszy Szczeniak. - Przynajmniej to plan Cartwright. Czuję się o włos lepiej, niż gdyby wymyślił go kto inny.

Wierzba nie był jednak tego pewien. Świetnie pamiętał blef porucznik podczas rozmowy z Ariadną. I nadal nie wiedział, czy był to tylko blef.

Xinfu, Fushun, system Shuncheng, 10.04.2212 ESD, 06:32 16:14 czasu lokalnego

- Pozycja zabezpieczona - zameldowała Cartwright. - Jesteśmy gotowi.

- Zrozumiałem - odpowiedział Brisbane. - Wierzbowski, naprzód.

- Tak jest.

Marcin zgiał się wpół i przebiegł przez wąską drogę, by ukryć się w kolejnej kępie

niskich krzewów, zapewne efektu którejś z licznych nieudanych prób ozdobienia zjazdu z podmiejskiej trasy. Ostrożnie odsunął lufą pistoletu pokrytą twardymi kolcami gałąź i zlustrował niewielki dziedziniec tuż za otwartą na oścież bramą należącym do korporacji Yin lądowiska.

- Czysto - wyszeptał do mikrofonu microcomu. - Droga wolna.

- Przyjąłem. Zostań na miejscu, czekaj na resztę.

Z ciemności po przeciwnej stronie drogi wysunęły się cztery pochylone sylwetki szturmowców Brisbane'a. Szybko przypadły do krzewu, za którym ukrywał się Polak.

- W razie problemów nie pozwól nikomu przekroczyć dziedzińca - rozkazał szeptem Harris, kucając obok Marcina i obserwując wejście do głównego budynku.

- Tak jest - potwierdził żołnierz. Nie podobało mu się, że atak przeprowadzają oesy. Widział, do czego zdolni są unijni spece od mokrej roboty.

- Nie bój się, Wierzba. - Delaviente poklepała go po ramieniu, wyraźnie źle interpretując jego zatroskany wyraz twarzy. Hiszpanka uśmiechnęła się, odsłaniając w ciemności białe zęby. - Masz tu tylko siedzieć, nie spieprz tego.

Marcin już zbierał się do odpowiedzi, ale dostrzegł pogardliwe spojrzenie Crossa i powstrzymał język. Wywrócił tylko oczami, dbając, by sierżant na pewno zauważył ów grymas.

Czwórka oesów poświęciła kilkanaście sekund na obserwację budynku, po czym ruszyli dalej. Poruszali się całkowicie bezgłośnie, płynnie jak przelewające się cienie. Trzymane przez nich pistolety wydawały się zrosnięte z dłońmi. Błyskawicznie pokonali niewielki dziedziniec i stanęli przy przezroczystych drzwiach, za którymi widać było jasno oświetlony hol.

- Tu Harris, wchodzimy - usłyszał jeszcze Wierzba w słuchawce microcomu, i czwórka żołnierzy już była w środku.

- Cartwright, ruszamy - zabrzmiał niemal jednocześnie głos porucznik.

Polak spał się w oczekiwaniu wystrzałów, ale nic takiego nie następowało. Minęło piętnaście, dwadzieścia, wreszcie czterdzieści sekund. Wtedy dopiero z głównego budynku rozległ się pojedynczy, głośny trzask broni oesów.

- Tu Harris, cel zabezpieczony, co z hangarem? - usłyszał głos porucznika.

- Hangar jest nasz - odparła ledwo słyszalna przez microcom Cartwright. - Przeprowadzamy ostatnią kontrolę.

- Dobra robota. - Ton głosu pułkownika sugerował raczej wyuczoną formułkę niż autentyczne zadowolenie. - Idziemy do was. Cartwright, proszę zająć się promem i

oddelegować dwie osoby do zabezpieczenia drogi. Wierzbowski, za mną.

- Tak jest.

Chwilę potem on sam, Reese, Hampel i Bryce wynurzyli się z ciemności i podbiegli w stronę otwartych drzwi do budynku, w którym niedawno zniknął Harris. Ruszający za nimi Marcin spojrzął jeszcze wzdłuż nikałej w ciemnościach drogi, usiłując odgadnąć, gdzie może znajdować się nadjeżdżająca grupa kontrolna. Według zegarka powinni mieć jeszcze ponad dwadzieścia minut spokoju. Czas z naddatkiem wystarczającym do wykonania zadania.

Utrzymane w jasnej tonacji wnętrze wieży prezentowało funkcjonalną estetykę korporacji - wyposażona w czytniki biometryczne bramka kontrolna bardziej przypominała recepcję niż kosmoport, a na ścianach umieszczono wyświetlacze pokazujące idealnie wyczelowane vidy informacyjne. Dwie beżowe kanapy i metaliczny stolik z białymi liniami interfejsu sieci nadawały temu miejscu wrażenie całkiem innego świata.

Jedynym złamaniem beżowosrebrnoszarego rygoru barwnego było kilkanaście ciemnoczerwonych kropli krwi tworzących ścieżkę ku niewielkiej klatce schodowej.

- Tu Niemi, obserwujemy drogę, brak kontaktów - usłyszał Wierzbowski, wspinając się na wąskie stopnie.

- Przyjąłem, utrzymać pozycję - rozkazał Brisbane. - Harris, wchodzimy do centrum kontroli lotów.

To mówiąc, idący na przedzie pięcioosobowej grupy Australijczyk przekroczył zablokowane w pozycji otwartej drzwi opatrzone bezużytecznym teraz zamkiem na kartę i wkroczył do serca budynku, gdzie czekała grupa porucznika.

Marcin musiał przyznać, że słowa „centrum kontroli lotów” budziły w nim o wiele większe oczekiwania - pomieszczenie składało się zaledwie z dwóch konsol i kilku ekranów holograficznych częściowo przysłaniających szerokie okno. Jeden z foteli ewidentnie zamieniono na zupełnie niepasujące do reszty wystroju obrotowe krzesło przykryte czerwoną narzutką z postrzępionymi frędzlami, a na blacie pomiędzy konsolami stała taca kanapek. Zapach pracującej elektroniki mieszał się z aromatem syntetycznej kawy i charakterystyczną wonią powietrza po wystrzale. Po kilku krokach Marcin dojrzał też jasnoczerwony rozbryzg krwi na białej ścianie. Na podłodze tuż obok leżał metalowy kubek z wesołym nadrukiem, a po podłodze ciągnął się ślad rozlanej kawy. Z pomieszczenia wychodził wąski korytarzyk - według informacji, jakie dostali na odprawie, prowadzący do toalet, miniaturowej kuchni i podobnego rozmiaru składziku.

- Obsada zabezpieczona w magazynku - zameldował Harris w odpowiedzi na znaczące spojrzenie pułkownika. - Jeden ma złamany nos, jeden zabity. Sięgnął po broń.

- Rozumiem. - Australijczyk skinął głową, podchodząc do łukowatego stołu, przy którym znajdowały się stanowiska kontrolerów lotu. Zdjął z ramion niewielki plecak. – Kto jest z jeńcami?

- Navarre - padła odpowiedź.

- Dobrze. Reese, proszę do niego dołączyć i zadbać, żeby siedzieli spokojnie. Majorze, potrzebuje pan pomocy ze sprzętem? - Brisbane wydobyl z plecaka przenośną konsolę i rozłożył ją na blacie, odsuwając tacę z kanapkami.

Hampel bardzo powoli odwrócił się w stronę pułkownika. W wypełnionym gorączkową pracą centrum kontroli lotów sprawiał wrażenie półprzytomnego.

- Nie - powiedział tylko, po czym wrócił do poprzedniej pozycji. Spojrzenie całkowicie czarnych oczu zdawało się nieruchome i Wierzba odnosił irracjonalne wrażenie, że stojący z lekko przekrzywioną głową Czech przysłuchuje się czemuś uważnie.

- Rozumiem. - Brisbane położył obok konsoli srebrny prostopadłościowy moduł komunikacyjny i włączył oba urządzenia. - Poruczniku, weźcie Crossa i Bryce'a i dołączcie do grupy Cartwright.

- Może lepiej... - zaczął Cross, patrząc krzywo na Polaka, ale nie zdążył dokończyć.

- Tak jest. - Stanowczy głos Harrisa uciął jego wypowiedź. Oficer skinął na wskazanych żołnierzy i cała trójka oddaliła się w stronę schodów.

Mag tymczasem podszedł do rozstawionej konsoli. Nawet nie dotknął urządzenia, tylko oparł obie dłonie na blacie i znieruchomiał. Ekran ożył, choć zamiast jakiegokolwiek interfejsu pokazywał jedynie szybko zmieniające się ciągi liter i cyfr.

Brisbane rozsiadł się na pokrytym czerwoną narzutką krześle i przysunął do terminala. Z plecaka wyjął datapad i podpiął go do gniazda transferowego. Przez chwilę przyglądał się niewidocznemu z pozycji Wierzby ekranowi konsoli, po czym, wyraźnie zadowolony, zaczął pracować, szybko wprowadzając dane naprzemiennie na klawiaturze stanowiska kontrolera i dotykowym interfejsie podłączonego urządzenia. Marcin odruchowo przeniósł wzrok na umieszczoną w rogu pomieszczenia kamerę bezpieczeństwa.

Odłożył pistolet i wydobyl z kieszeni talię kart. Przez chwilę przyglądał się zniszczonym brzegom, po czym szybko je przetasował.

- Też się zastanawiasz, czy się uda? - usłyszał głos Delaviente. Hiszpanka wskazała na kamerę. - Czy nie okaże się, że jesteśmy tu po nic?

Marcin odkrył wierzchnią kartę. Dziewiątka trefl. Niby wysoko, zwłaszcza zważywszy na to, ilu figur już brakowało.

- Wierzę w maga. - Wskazał ruchem głowy na nieruchomego majora. - Jeśli on uważa,

że jego program da radę niepostrzeżenie podmienić zapisy bezpieczeństwa, to pewnie wie, co mówi.

- Zostawmy magię magom? - Uniosła ciemną brew, podążając wzrokiem za jego spojrzeniem.

- Coś w tym rodzaju - odparł. Właściwie miała rację. Marcin złapał się na tym, że domenę Hampla istotnie traktuje jak czary, tajemne, niemal mistyczne umiejętności wykraczające poza zdolności pojmowania zwykłych śmiertelników. Co prawda, nie mógł również powiedzieć, że jakoś szczególnie dobrze sobie radził z tłumaczeniami Isaksson, ale ona przynajmniej... była człowiekiem. W przypadku Hampla Wierzba nie miał takiej pewności.

Wyjrzał przez szerokie okno. W widocznym przez nie jasno oświetlonym hangarze pracowała grupa Cartwright, przygotowując prom do startu i montując drugą część zestawu zdalnego sterowania. Prom miał co prawda na wyposażeniu moduł podporządkowania, ale z punktu widzenia ludzi Brisbane'a - całkowicie bezużyteczny. Służył wyłącznie celom ratunkowym, więc był jednocześnie całkowicie jawny, jak i mało odporny na systemy zakłócające - zwłaszcza wojskowe. Prowadzony przezeń wahadłowiec nie tylko obwieściłby całemu światu, że jest sterowany z planety, ale też nie uleciałby dalej niż kilka kilometrów.

- Znowu gramy z limitem czasu, co? - westchnął.

- Pracujesz z oesami, Wierzba. Zawsze gramy z limitem czasu. - Delaviente posłała mu radosny uśmiech. Białe zęby mocno odcinały się na tle oliwkowej cery. - Ale akurat teraz mamy taką rezerwę, że bym się nim nie przejmowała.

Pracujący przy stanowisku kontrolera Brisbane wyjął kabel transferowy z gniazda i schował datapad do kieszeni.

- Poruczniku Harris? - zapytał przez microcom. - Status promu?

- Zmostkowaliśmy układ bezpieczeństwa silnika, łącze jest gotowe na naszym końcu, robimy ostatnie testy. Gotowość do startu za trzy minuty - odpowiedział Harris na kanale ogólnym. Przez okno wieży Marcin zobaczył, jak patrzy w ich stronę z otwartego hangaru. - Nadal nie mamy połączenia ze zdalnym sterowaniem.

- Rozumiem. - Australijczyk zerknął na nieruchomego Hampla. - Kontynuujcie, pracujemy nad tym.

- Widzisz? - Delaviente wskazała gestem na dowódcę. - Łatwizna.

- Pół łatwizny - zauważył Polak. - Potem będziemy musieli to powtórzyć. Ciemnowłosa kapral wzniosła oczy do góry.

- Wtedy to w ogóle będzie inna rozmowa - powiedziała z tak absolutną pewnością

siebie, że samym tonem prawie rozwiła wątpliwości Polaka. - Raz, że wtedy wszyscy będą myśleć, że już nie żyjemy, więc ochrona będzie marna. Dwa, że będziemy mogli całkowicie olać sprawę zdalnego sterowania.

- Zaufaj mi, to tylko z daleka wygląda dobrze.

- Pewnie jakieś problemy będą. Nie mogę tego zmienić, więc na razie skupiam się na wykonaniu tej części zadania. - Poklepała go przyjaźnie po ramieniu. - I nie ufam farbowanym oesom.

Polak westchnął, ale nie odpowiedział. Wyjrzał przez okno, gdzie cywilny wahadłowiec z czerwonymi oznaczeniami korporacji Yin właśnie wyprowadzano na szarą płytę lądowiska. Zerknął na zegarek - nadal mieli siedemnaście minut. Wszystko szło idealnie.

- Tu Niemi. - Cichy głos sierżant zabrzmiał w słuchawce microcomu dokładnie w chwili, kiedy zaczął wierzyć, że faktycznie im się uda. - Widzę światła na drodze.

*

Marcin z trudem powstrzymał się od przekleństwa. Oczywiście nic nie mogło pójść zgodnie z planem. Wymienił ponure spojrzenia z Delaviente, ale ta tylko wzruszyła ramionami.

- Kontynuować przygotowanie promu, za chwilę będziemy na dole - mówił Brisbane. Pułkownik szybko schował datapad do plecaka i podszedł do nadal milczącego Hampla. - Niemi, potrzebuję szacowanego czasu przybycia i informacji, kto to. Może to nie do nas. Delaviente, pomóż z cywilami.

Polak zeszywniał. Pułkownik nie powiedział im dotąd, co zamierza uczynić z nielicznym personelem lotniska korporacyjnego. Z drugiej strony, zarówno Reese, jak i Delaviente wyraźnie wiedzieli, co robić, bo nie zadawali dodatkowych pytań.

- Wierzbowski, leć na dół i czekaj tam. - Brisbane przyglądał się ekranowi konsoli maga, choć trudno było przypuszczać, by wiele rozumiał z płynących po nim znaków.

- Tak jest. - Marcin zerknął jeszcze w stronę korytarzyka, w którym zniknęła Hiszpanka, ale nie słyszał ani krzyków, ani wystrzałów. Z trudem obrócił się i pobiegł schodami w dół, do pomieszczenia, przez które wchodzili do wieży.

- Wojskowy offroad - zgłosiła tymczasem Niemi przez microcom. - Wygląda jak normalna inspekcja. Nie kryją się.

Yin dba o Ciebie - poinformowała go holograficzna reklama. Przedstawiała uśmiechniętą Azjatkę w jasnoszarym kombinezonie z logiem korporacji. Kobieta stała w sterylnie czystym tunelu o przezroczystych ścianach wychodzących na czarnoczerwony

krajobraz wulkaniczny. - Bezpieczeństwo naszych pracowników jest dla nas najwyższym priorytetem. Pod napisem lingua pojawiły się znaki wysokiego imperialnego.

- Dziękuję - odpowiedział Brisbane, musiał jednak spodziewać się takiego raportu, bo natychmiast podjął: - Harris, Cross, do budynku wieży. Jeżeli wróg tam wejdzie, wyłączyć.

- Jesteśmy w drodze - padła odpowiedź i chwilę potem dwóch komandosów wpadło do pomieszczenia wejściem prowadzącym na płytę lądowiska.

Od operatorów maszyn górniczych po pilotów wahadłowców... - pojawił się kolejny napis. Obok niego stał wysoki arab w mundurze ochroniarza. Uśmiechał się wprost do kamery -... zawsze szukamy specjalistów gotowych do nas dołączyć.

- Wierzbowski, czekaj tam, wchodzisz, kiedy zaczniemy - Harris wskazał Marcinowi schody. - Sierzancie, koło wejścia.

Polak skinął głową i zajął wyznaczoną pozycję. Ze schodów prawie w ogóle nie widział drzwi wejściowych, co w sumie było do przewidzenia - porucznik wyraźnie miał podobne zdanie o ludziach Cartwright, co Cross.

- Dwieście metrów. - Głos Niemi był bardzo bliski szeptu. - Sto pięćdziesiąt.

- Niemi, bierzecie na cel osoby, które pozostają przy pojeździe - odpowiedział pułkownik. - Ogień bez rozkazu, kiedy tylko inspekcja wejdzie do budynku.

- Tak - potwierdziła Finka cicho. - Siedemdziesiąt.

- Rozumiem. Poruczniku, sytuacja w hangarze?

- Jeńcy unieszkodliwieni i zamknięci w biurze. Prom gotowy za minutę - zameldowała Cartwright. - Nadal brak połączenia z modułem zdalnym.

- Kontynuować.

Marcin oparł się o ścianę i sprawdził broń. Nie sądził, żeby w ogóle musiał jej użyć - dwóch komandosów, minimalny dystans i przewaga zaskoczenia tworzyły dość morderczą kombinację.

- Skręca - wyszeptła Niemi. - Stoi. Cztery osoby, dwie wysiadają.

Harris ukucnął obok blatu i wymierzył w stronę wyjścia. Marcin zacisnął obie dłonie na pistolecie i przyłgął do ściany. Zaraz powinni...

Cichy świst otwieranych drzwi zlał się w jedno z wystrzałami. Wierzba wyjrzał zza osłony z przygotowaną bronią, ale tak jak przewidział, nie było potrzeby interwencji. Dwoch imperialnych żołnierzy właśnie osuwało się na podłogę. Jasnoczerwona krew odcinała się od białej ściany. Polak opuszczał właśnie pistolet, kiedy Cross wystrzelił dwukrotnie. Ciała drgnęły, gdy trafiły je kolejne pociski.

- Kontrolne - powiedział spokojnie sierżant. Harris wstał i schował broń do kabury.

- Czysto - zameldował.
- Czysto - zawtórowała mu Niemi.
- Doskonale. - Coś w głosie pułkownika sprawiło, że Wierzba poczuł dziwny niepokój. - Zbiórka przy wahadłowcu.

*

Cywilny prom wyglądał o wiele lepiej niż kanciaste, toporne clansmany. Lekko zaokrąglona linia nadawała mu elegancki kształt, dodatkowo podkreślony czerwonymi elementami i logiem korporacji. Był też wyraźnie niższy od wojskowych desantowców. Stojąc obok maszyny, Wierzba czuł jednak przede wszystkim niepokój. Zbiórka nie była zgodna z planem, ba - wobec faktu, że mieli najprawdopodobniej trzy minuty do przybycia nieprzyjacielskich posiłków, była stratą czasu. Pozostali musieli czuć mniej więcej to samo, bo cała jedenastka wpatrywała się z napięciem w Brisbane'a i stojącego obok niego maga.

- W ciągu około czterech minut możemy oczekiwać imperialnej odpowiedzi na naszą akcję - zaczął pułkownik. - W tym czasie nie jesteśmy w stanie ustabilizować łącza zdalnego w taki sposób, aby nie zostało natychmiast wykryte.

Żołnierze spojrzeli po sobie. Cztery minuty. Lądowisko zostało tak dobrane, żeby umożliwić wycofanie w krótkim czasie, ale w takim wypadku trzeba było to zrobić zaraz. Czemu więc nadal tu stali?

- Ponieważ jest to jedyna opcja wycofania się, musimy zrealizować plan... awaryjny - ciągnął pułkownik. - Cztery osoby uczestniczyły w kursie pilotażu na „Orle”. Harris i Weiss mieli najlepsze wyniki, obaj będą potrzebni do naszej ewakuacji z planety. Następna była Isaksson.

Marcin spojrział na Szwedkę, która nagle zbladła. Szczeniak zrobił pół kroku naprzód i stanął obok niej.

- Sir? - odezwała się Cartwright.

- Alternatywą jest starcie z nadlatującymi posiłkami i, nawet jeśli teraz uda się oderwać od wroga, efektywne poddanie się w ciągu mniej niż siedmiu dni. - Brisbane pozostał spokojny.

Isaksson zagryzła wargi i zaplotła ręce, ale nie udało jej się powstrzymać ich drżenia. Pomysł pułkownika nie był nawet ryzykowny. Oznaczał wyrok - katapulta nie wchodziła w grę, nie można było w końcu pozwolić na to, aby w ręce imperialnych śledczych trafił ktoś, kto może zdemaskować podstęp. Szczeniak zrobił kolejne pół kroku naprzód. Stojący najbliżej Navarre zareagował, przesuając dłoń bliżej kabury.

- Sir - odezwał się niespodziewanie Cross. Sierżant patrzył na niską radiooperatorkę z

wyraźną niechęcią i Wierzba poczuł nagłą chęć mordy.

- Sierżancie Cross? - Brisbane przeniósł wzrok na podoficera.

- Nie ma sensu, żeby ona leciała. - Rosłemu mężczyźnie o twarzy zbira jakimś cudem udało się uzyskać efekt, jakby słowo „ona” zostało wyplute. - Trzęsie się jak galareta. Da się zabić, a celu nie osiągnie. Ja to załatwię.

Marcin zamarł. Tego się nie spodziewał. Isaksson spojrzała na Crossa, nic nie rozumiejąc. Szczeniak zamrugął zdezorientowany.

- Reese? - spytał Brisbane. Nawet jeżeli deklaracja komandosa zaskoczyła Australijczyka, nie pozwolił sobie na dekoncentrację.

- Tak... - Porucznik zająknął się, ale natychmiast opanował głos. - Sądzę, że sierżant Cross ma rację.

- Rozumiem, dziękuję. - Pułkownik skinął głową. - Sierżancie, wiecie, co robić. Kurs ucieczkowy jest wbity w komputer nawigacyjny promu.

Wyraźnie chciał jeszcze coś powiedzieć, ale powstrzymał się. Zasalutował tylko, pierwszy, łamiąc protokół.

- „Pulvis et umbra sumus”, sir - odsalutował Cross. Na jego grubo ciosanej twarzy wykwitł krzywy uśmiech.

- „Pulvis et umbra sumus” - odpowiedział Brisbane. - Pozostali, wycofać się planowymi trasami. Weiss i Van Reuters, idziecie z Isaksson.

*

Ewakuacja przebiegała zgodnie z planem, choć Wierzba niewiele z niej pamiętał. Przed oczami nadal miał moment, gdy opuszczali lądowisko. Kiedy tylko padł rozkaz pułkownika, oddział rozbiegł się jak gdyby nigdy nic na planowane trasy wycofania. Jediną osobą, która pozostała w bezruchu, była Isaksson. Dziewczyna zrobiła nawet krok w kierunku sierżanta, ale ten tylko spojrzał na nią z pogardą, obrócił się na pięcie i wszedł na pokład promu. Chwilę później podnośnik hydrauliczny uniósł rampę załadunkową. Isaksson przez moment szukała wzrokiem podoficera przez osłonę kokpitu, ale Wunderwaffe i Szczeniak niemal siłą odciągnęli ją od maszyny.

Grupa ucieczkowa Wierzby była może dwieście metrów od lądowiska, kiedy wahadłowiec wystartował, o wiele łagodniej niż cięższe wojskowe clansmany. Truchtający za Thorne'em i Niemi Polak zwolnił i obejrzał się, by zobaczyć, jak pilotowany przez sierżanta statek zaczyna swój lot po ostrej krzywej, ku nocnemu niebu Fushun. Zaraz po starcie Cross wyłączył światła pozycyjne i przyspieszył. Przez dłuższą chwilę dało się jeszcze zobaczyć blask dopalaczy. Potem Marcin obrócił się i pobiegł za coraz bardziej oddaloną dwójką. Nie

chciał zresztą oglądać, jak wrogowie zestrzeliwią prom.

Nie ścigano ich, co można było uznać za znak, że Imperium póki co uznało, iż faktycznie spróbowali ucieczki wahadłowcem. Na razie jednak Wierzba wolał nie przesadzać z optymizmem. Dopiero następne dni miały pokazać, czy ich podstęp wypalił. I czy śmierć Crossa w desperackiej próbie uratowania misji miała sens.

Do magazynu ich grupa dotarła jako ostatnia, dopiero nad ranem - mieli do przebycia najdłuższą drogę, zataczającą szeroki łuk wokół kilku zewnętrznych dzielnic Xinfu. Nikt nie szukał ani ich, ani żadnego innego zespołu. Wyglądało na to, że - jak dotąd - plan pułkownika działał.

*

Cała noc spędzona na akcji zbierała swoje żniwo i zespół Brisbane'a funkcjonował na granicy wyczerpania. Na razie jednak odpoczynek był mocno deficytowym dobrem, przeznaczonym dla nielicznych. Niedługo po powrocie grupy Marcina pułkownik wysłał wszystkich ludzi Harrisa oraz Weissa na obserwację wybranych lądowisk. Mieli oni na celu zorientowanie się, czy imperialny garnizon poluzował procedury bezpieczeństwa i czy można przejść do kolejnej fazy planu.

Paradoksalnie, długa trasa powrotu okazała się dla Marcina błogosławieństwem. Ani on, ani sierżant Niemi, ani Thorne nie dostali żadnych przydziałów aż do południa, dzięki czemu mogli złapać kilka godzin odpoczynku - jako jedni z nielicznych w oddziale. Polak sądził, że padnie jak ścięty, ale mimo zmęczenia sen nie nadchodził. Marcin zaczął naprawdę zazdrościć leżącemu na kilku plastikowych paletach Thorne'owi jego umiejętności zasypiania w absolutnie każdych warunkach. Ten przynajmniej nie marnował czasu.

Przez chwilę przyglądał się cichej dyskusji Brisbane'a z porucznik Cartwright i nieruchomym jak statua magiem, ale nie zdołał wyłowić ani słowa. Może i lepiej. Nie spodziewał się zupełnie awaryjnego planu Brisbane'a dotyczącego akcji na lądowisku i nie był pewien, czy chciał martwić się, jakie niespodzianki pułkownik przygotował na dzisiejszą noc.

Prawie pół godziny wpatrywał się w widoczne przez dziurę w świetliku szaroniebieskie niebo ponad Xinfu. Niewielkie chmury szybko gnały pędzone silnym wiatrem i w wąskim trójkącie prześwitu w mlecznobiałym plastiku Marcin mógł obserwować kalejdoskop ciągle zmieniających się kształtów. Białe słońce Fushun rozjaśniało ich krawędzie, sprawiając, że wyglądały niemal optymistycznie, pierwszy raz odkąd wylądowali. Choć może była to kwestia nadziei na szybki powrót do domu.

- Marcin Wierzbowski, zadumany i romantycznie gapiący się w sufit. Na co ci luzy,

jak nie śpisz? - Szczeniak usiadł ciężko obok leżącego Polaka i oparł się o ścianę magazynu.

Holender wydobyl z kieszeni owinięte folią pół batonika proteinowego. - Chcesz kawałek?

- Moje romantyczne serce burzy się przeciwko okradaniu niedorozwiniętego ze śniadania. - Wierzba zmierzył go wzrokiem. Po Van Reutersie widać było nocną akcję i niedawną wartość. Krótki, kępkowaty zarost i głębokie cienie pod oczami postarzały jego szczupłą twarz, a ruchy sprawiały wrażenie ociężałych.

- A czy ja ci kazałem okradać niedorozwiniętych? - Żołnierz odchylił głowę, aż dotknęła ściany za plecami. - Zaproponowałem ochłapy z pańskiego stołu, a ty wybrzydzasz. Co z Millą?

- Znowu gada z Reese'em. - Polak wykonał nieokreślony ruch ręką mniej więcej w stronę, gdzie psycholog zajmował się wciąż lekko wstrząśniętą Szwedką. Nie dziwił się jej stanowi. Oczywiście jako żołnierz, radiooperatorka mogła oczekiwać tego, że zginie, ba, nawet że zginie w wyniku rozkazu. Dziewczyna kochała adrenalinowy rausz ryzyka i na ogół lubiła niebezpieczną robotę znacznie bardziej niż reszta ludzi Cartwright. Zapewne jednak nie pomyślała, że można jej dosłownie rozkazać umrzeć. Marcin zresztą nie miał pojęcia, jak sam zareagowałby na słowa pułkownika - w końcu nawet polecenie ataku na dobrze umocnioną pozycję czy osłony odwrotu zawierało w sobie margines szans na sukces, przeżycie czy choćby w ostateczności poddanie się wrogowi - coś, co można było uznać za nadzieję. Rozkaz wydany Isaksson nie zostawiał pola na nic takiego.

- Tia, ona to miała jazdę. - Szczeniak spojrzał w kierunku wskazanym przez Polaka. - Brisbane jest niezłym chujkiem z takimi pomysłami, nie?

- Miał rację. - Dotychczas nieruchomy Thorne obrócił się w ich stronę.

- Co? - Szczeniak spojrzał na niego jak na wariata. - Poza tym, prosił cię ktoś o komentarz?

- Nie dało się wysłać promu metodą na zdalne sterowanie, nie dało się uciec, jeśli by nas ścigali - burknął wieczny szeregowiec, opierając się na łokciu. - Albo wystawiasz żołnierza, albo możesz się od razu poddać.

- Wiesz, gdyby nie Cross, pewnie zginęłaby Milla. - Van Reuters prychnął. Cała jego twarz wyraźnie sugerowała, co myśli o wywodzie Thorne'a. - Jak dla mnie to dość dupiate rozwiązanie.

- Bo jesteś tępem i wolno ci tak myśleć. - Szeregowiec popatrzył na Holendra z politowaniem. - Od tego on jest oficerem, żeby ogarniać całość. A Cross nie podłożył się za Isaksson.

- A ktoś inny miał jeszcze wtedy zejść? - Łypnął z zainteresowaniem Wierzba.

- Cross nie żyje, bo uznał, że ona nie wytrzyma i katapultuje się albo da się złapać - wyjaśnił Thorne. - A wtedy całą próbę ucieczki można by spuścić w kiblu. Widać uznał, że on zrobi to lepiej. Można powiedzieć, że Isaksson uratowała słaba psychika.

- Chuj wiesz o słabej psychice - zachnął się Szczeniak. - Chciałbym zobaczyć, jak ty reagujesz na taki rozkaz.

- Chciałbyś. - Szeregowiec puścił mu krzywy uśmiezek. - Co nie zmienia jednak faktu, że Isaksson pękła.

- Nadawałbyś się do oesów. - Van Reuters rzucił mu mordercze spojrzenie.

- Może - zaśmiał się żołnierz. - Dobrze jest nadawać się gdzieś, gdzie rekrutom stawia się wymagania inne niż liczba kończyn. Miłe uczucie, powinienes kiedyś sprawdzić.

- Wiesz, Thorne... - zaczął Holender.

- Jak myślisz, co się stało z cywilami? - Wierzba wszedł Szczeniakowi w słowo, przerywając coś, co prawdopodobnie było obiecującym załączkiem sprzeczeki.

- Tych z magazynu zamknęliśmy w biurze - padła odpowiedź szeregowca - więc żyją. Co się stało z tymi w wieży, raczej ty powinienes wiedzieć. Ale nie sądzę, żeby ich rąbnęli.

- Dlaczego nie? O mały włos Brisbane zabiłby Millę dla dobra misji.

- To co innego. - Thorne usiadł, wyciągając z kieszeni zawiniątko opakowane w niemożliwie zniszczone sreberko. Przez chwilę gmerał przy nim brudnymi palcami, wreszcie wydobyl mocno pokruszoną resztkę muffinki. Nie zważając na zdziwione spojrzenia, wpakował sobie przysmak do ust. - Śmierć Isaksson pomogłaby akcji. Śmierć cywili by nam nie tyle nie pomogła, co przeszkodziła.

- Od kiedy brak świadków przeszkadza? - zdziwił się Szczeniak.

- Sam brak świadków nie. - Ku zaskoczeniu Wierzby Thorne mówił bez swojej zwykłej ironicznej miny. - Natomiast wybijanie świadków wyraźnie sugeruje, że nie chcieliśmy, by coś zobaczyli. Dobry oficer po stronie Imperium zacząłby się pewnie zastanawiać, co to było, skoro przecież nie ukrywaliśmy ani startu promu, ani jego kursu.

- Mhm. - Van Reuters przez chwilę analizował słowa kolegi. - Ma to ręce i nogi. Gdzie nauczyłeś się takich rzeczy?

- Mam naturalny talent. - Thorne natychmiast wrócił do swojej zwykłej pozy.

- Pewnego dnia dopytamy cię, skąd bierzesz te „naturalne talenty” i „podstawowe przeszkolenia” - skrzywił się Szczeniak.

- Zapewne. - Thorne przełknął muffinkę i położył się z powrotem. - Ale nie dziś. Dobranoc.

Xinfu, Fushun, system Shuncheng, 11.04.2212 ESD, 03:54 17:36 czasu lokalnego

Zwiad wrócił dopiero wieczorem, ale przynajmniej przyniósł dobre wieści. Imperialny garnizon zachował patrole, lecz zdecydowanie je przerzedził. Nadal istniało ryzyko wpadki, ale prawdopodobnie przez najbliższy miesiąc nie mogli liczyć na nic lepszego. Szczeniak co prawda uważał, że równie dobrze zachowanie wroga można uznać za pułapkę, ale zbliżali się do momentu, kiedy niewiele dało się z tym zrobić. Teraz każdy dzień oznaczał ryzyko, że imperialni specjaliści uznają, iż w zniszczonym promie brakuje ciał - choć przed startem zadbano o to, żeby każde trafienie w wahadłowiec dawało efekt wyjątkowo nieszczęśliwej eksplozji zbiorników z paliwem, to tylko nieco odraczało nieuniknione odkrycie podstepu Brisbane'a.

Wyruszyli tej samej nocy. Tym razem nie natrafili na żadne komplikacje - zupełnie jakby Fushun postanowiło im wynagrodzić dotychczasowego pecha. Dziesięcioosobowa zmiana małego lądowiska nawet nie stawiała oporu i dała się grzecznie obezwładnić i zamknąć. Piętnaście minut później prom z zespołem Brisbane'a był już w powietrzu. Koń trojański, który wprowadził Bryce w „Bramie Cesarskiego Ogrodu”, działał perfekcyjnie - nikt z centrum kontroli lotów Xinfu nawet nie zapytał, dokąd się wybierają. Lot wahadłowca widniał w systemie jako legalny i zgodny z zatwierdzonym kilka dni temu rozkładem. W ciągu czterdziestu minut w zewnętrznych kamerach zobaczyli zwałistą sylwetkę „Wpatzonego w strumień”. Załoga co prawda przyjęła transport z powierzchni z zaskoczeniem, ale kody się zgadzały i po kolejnych dziesięciu minutach byli już na pokładzie. Sześciuosobowa załoga olbrzymiego frachtowca klasy Yunnan nawet nie walczyła.

*

Tymczasem koń trojański pracował dalej. Nie potrzebował kontaktu ze swoimi stwórcami - od chwili, kiedy Hampel aktywizował go jeszcze na powierzchni planety, funkcjonował całkowicie samodzielnie, opierając się tylko na wpisanych w niego progach czasowych i informacjach z kontroli lotów. Kiedy tylko wyłapał, że powierzony jego opiece wahadłowiec dotarł na pokład statku docelowego, natychmiast przeszedł do drugiej fazy algorytmu.

Nie zrobił wiele - po prostu nagle w kilkunastu tablicach lotów lot ochraniającego przezeń promu zmienił oznaczenie kodowe, stając się jednym z kilkunastu wykonywanych akurat w tym momencie lotów suborbitalnych. Jego własna nazwa została za to przydzielona innej maszynie, obecnie przelatującej nad biegunem planety. Zadanie było dziecinnie proste i gdyby programik mógł dostrzegać szersze aspekty swojej sytuacji, zapewne zaniepokoiłoby go, jak łatwo jest wprowadzić chaos do olbrzymiej sieci transportowej Fushun.

Nie służył jednak do analiz, a już tym bardziej nie był zdolny do tak skomplikowanych refleksji. Spokojnie odczekał kilkanaście minut i wprowadził do systemu kolejne, ostatnie polecenia. Przez parę sekund oczekiwał odpowiedzi od kilku bardziej odległych baz danych, ale żadna z nich nie zakwestionowała jego uprawnień - twórcy programu wyposażyli go wszak we wszystkie możliwe kody autoryzacyjne.

Minutę później przedostatnia faza jego pracy była wykonana - polecenie lotu dla „Wpatzonego w strumień” tkwiło głęboko w systemie i jeszcze przez kilka godzin nikt nie miał zwrócić uwagi, że wyświetlana data różni się od tej, którą baza przechowywała w komórkach kontrolnych. Kilka godzin jednak było czasem, który twórcy programu uznali za wystarczający.

Następny kwadrans zużył na przeskakiwanie pomiędzy kolejnymi węzłami, oczekując, aż powolne ludzkie istoty przetrawią polecenie. W międzyczasie zdążył odnotować wezwania dla promu, któremu przydzielił feralny numer, a także cztery polecenia zwolnienia korytarzy powietrznych dla myśliwców przechwytyjących. Wszystkie były na szczęście bezpiecznie daleko od ochranianej jednostki siedzącej w brzuchu „Wpatzonego w strumień” i kiedy tylko program uzyskał pewność, że wojskowe maszyny lecą zgodnie z zapowiedzią, przestał się nimi zajmować. Dokładnie wtedy olbrzymi frachtowiec klasy Yunnan uruchomił silniki i rozpoczął procedurę zejścia z orbity. Algorytm decyzyjny odczekał jeszcze pięć minut, ale nie wydarzyło się nic, co wymagałoby jego interwencji.

Koń trojański po raz ostatni sprawdził parametry zadania - wszystkie analizowane dane wskazywały, że sytuacja przebiega dokładnie według zadanego wzorca. Nie mając już nic więcej do roboty, zajął się czyszczeniem śladów. Najpierw skasował wszystkie informacje o swoich manipulacjach bazami danych - a przynajmniej te, do których miał dostęp. Potem zajął się lotem podległego mu wahadłowca. Wreszcie przyszła pora na zabezpieczenie danych o samym sobie.

Będąc wolnym od słabości tych, których miał chronić, nie czuł strachu przed tym, co miało nastąpić - zresztą, charakteryzując się bezpiecznym stopniem złożoności SI, nie był nawet zdolny do tego uczucia. Dlatego też uruchomił procedurę autokasacji bez wahania i wątpliwości. Dokładnie według rozkazu.

ICS „Wpatrzony w strumień”, system Baita, 15.04.2212 ESD, 07:27

W porównaniu do ostatnich dni przelot do Baity przebiegł tak gładko, że Wierzba zaczynał się zastanawiać, czy przypadkiem nie pakują się w pułapkę. Nie zatrzymano ich jednak ani przy bramie systemowej, ani po drugiej stronie, w oświetlanym czerwonymi promieniami umierającego słońca systemie granicznym.

Problemy nadeszły dopiero dwie godziny przed spotkaniem z „Orłem”, kiedy Marcin uwierzył, że ucieczka się udała. Zespół Brisbane’a po prostu miał pecha - frachtowiec z legalnymi dokumentami i wewnątrz terytorium Imperium nie powinien dawać nikomu powodów do podejrzeń. Coś musiało pójść nie tak.

Wiadomość była krótka, nawet jeśli uwzględnić wszystkie załączone kody autoryzacyjne, jednak dla zgromadzonych na przestronnym mostku „Wpatzonego w strumień” żołnierzy zdecydowanie wystarczyła.

„Wyzerować ciąg, utrzymać kurs i przygotować się na przyjęcie grupy inspekcyjnej”. Tylko tyle. Aż tyle.

Marcin nie miał wątpliwości, że nawet jeżeli przeciwnik faktycznie chciał jedynie przeprowadzić rutynową kontrolę frachtowca, zdemaskuje ich w ciągu kilku chwil. Papiery członków załogi olbrzyma to w końcu nie jakieś tam karty identyfikacyjne górników - Polak nie miał cienia wątpliwości, że grupa, która wejdzie na pokład statku, będzie doskonale wiedzieć, kogo powinna na nim zastać.

Problematyczność sytuacji, w jakiej się znaleźli, była jasna dla każdego - mimo że gigantyczny frachtowiec klasy Yunnan był kilkakrotnie większy od imperialnej jednostki, nie miał cienia szansy, by przetrwać starcie ze zwinnym okrętem. Zgromadzeni na mostku żołnierze milczeli w ponurym wyczekiwaniu i nawet pułkownik Brisbane wydawał się spięty.

- W ciągu nieco ponad godziny wahadłowiec z niszczyciela „Lisica” zadokuje w dziobowym hangarze „Wpatzonego w strumień”. - Australijczyk wduśli przycisk na panelu kontrolnym i treść przekazu z „Lisicy” zniknęła z wyświetlacza holograficznego, zastąpiona przez przestrzenny plan frachtowca. - Standardowa procedura inspekcji zakłada kontrolę mostka, centrali nawigacyjnej i losowej ładowni. Dokonuje jej zespół złożony z około dziesięciu osób, z czego cztery to specjaliści i urzędnicy, reszta to żołnierze.

Na ekranie, obok schematu, pojawił się dobrze znany wizerunek imperialnego żołnierza grup abordażowych marynarki wojennej.

- Niestety, musimy przyjąć, że inspekcja ujawni naszą tożsamość, co oznacza, iż zostaniemy zmuszeni do walki - ciągnął Brisbane. - W takim przypadku grupa inspekcyjna natychmiast wyśle wiadomość na „Lisicę”, która zależnie od obecnych zaleceń imperialnej floty albo otworzy ogień, albo wyśle więcej wojska. Nasze szanse na wycofanie staną się marginalne.

Pułkownik przesunął wzrokiem po obecnych, jakby chcąc się upewnić, że wszyscy go zrozumieli.

- Dlatego nie możemy pozwolić na taki rozwój sytuacji - podjął. Kolejne polecenie

wprowadzone w panelu kontrolnym sprawiło, że hologram zniknął na moment. Kiedy pojawił się znowu, przedstawiał wyciąg z listy procedur floty imperialnej. - Obawiam się jednak, że wszystko, na co nas w obecnej chwili stać, to hazard.

*

Kolejna godzina upłynęła unijnemu oddziałowi na wytężonej pracy. Z Fushun nie wzięli co prawda żadnego ekwipunku, ale ludzie pułkownika zadbali o rozwiązanie tego problemu podczas pierwszego rejsu frachtowcem, gdy inni spali w hibernatorach. Zasobnik, który wtedy wydzielili z ekwipunku na misję, nie był wielki, lecz zawarty w nim sprzęt przekonał Wierzbę, że pomysł Brisbane'a nie oznaczał nagłego przebłysku i pospiesznej improwizacji - został przygotowany o wiele wcześniej. Oesy zawsze miały plan zapasowy i co prawda tym razem istotnie przypominał on czysty hazard, ale przynajmniej nieznanymi kartami.

Major Hampel i Bryce wyszli na zewnętrzny pancierz „Wpatzonego w strumień”, by zmodyfikować główną antenę. W tym czasie Isaksson, Szczeniak i Navarre zajmowali się siłownią pod komendą porucznika Harrisa. Cartwright razem z Weissem i Delaviente modyfikowali system podtrzymywania życia według dostarczonego przez pułkownika schematu. Marcinowi dostały się materiały wybuchowe, którymi zajmował się razem z sierżant Niemi i wyjątkowo mało złośliwym Thorne'em.

Olbrzymi, słabo oświetlony dziobowy hangar „Wpatzonego w strumień” sprawiał wrażenie raczej dawno opuszczonej jaskini technologicznej niż części funkcjonującego statku kosmicznego. Smugi reflektorów, które wykorzystywali jako oświetlenie, ledwie zarysowywały złowrogi półmrok, a uruchomienie każdego urządzenia wzbudzało niosący się echem zgrzyt protestującej maszynierii. Pancerny lewiatan był już stary i niechętnie zgadzał się na zabiegi uwijających się w jego brzuchu ludzi.

- Czy w ogóle normalnie ktoś używa tego miejsca? - zainteresował się Wierzba, po raz czwarty usiłując uruchomić panel dostępowy jednego z duktów technicznych. Zrezygnowany, z niesionego przy pasie zasobnika wyjął klucz i wziął się za odkręcanie pokrywy awaryjnego układu hydraulicznego.

- Inspekcje - odpowiedział przez radio Thorne. Błysnął reflektor, kiedy znajdujący się niemal pięćdziesiąt metrów dalej żołnierz uniósł głowę, by spojrzeć na kolegę. - Czyli, lekko licząc, raz na może dwa lata.

- Załoga teoretycznie ma bliżej z mostka, niż gdyby chcieli korzystać z hangaru na śródookręciu. - Polak z całej siły pociągnął za klucz, uzyskując w końcu kapitulację blokującej pokrywę panelu śruby. Szybko odłożył żółtą płytę i szarpnął dźwignię. Właz duktu odskoczył

z nieprzyjemnym sykiem.

- Na stacjach dokują i przełażą rękawem. - Soren Thorne wyraźnie orientował się w zwyczajach załóg frachtowców. - Jak używają wahadłowca, to pewnie wpinają go w służbę osobową.

- Nie prościej tędy? - Marcin uzbroił ładunek, mocując go na ścianie duktu.

- Widzisz, jak to „tędy” wygląda? - Głos szeregowca zlał się z niesionym echem brzękiem jakiegoś narzędzia. - Nie sędzę, żeby chciało im się to konserwować. Na śródkręciu muszą, bo tamtędy idzie ruch pasażerski. Tutaj... próżny trud, prościej olać.

- Pewnie masz rację... - mruknął Wierzba. - Mam nadzieję, że ci, co tu przylecą, zdają sobie sprawę, co to za wrak. Czwarty założony, przechodzę do piątego.

- Zrozumiałam - usłyszał głos pracującej na drugim końcu hangaru Niemi.

- Och, na pewno to wiedzą. - W tonie szeregowca zabrzmiał sceptycyzm. - Gorzej, że to pewnie nie inspekcja, tylko grupa szturmowa.

- Widzę, że masz dobry humor - zauważył z przekąsem Polak, truchtając do kolejnego wyznaczonego przez plan punktu. Drgające światło wydobywało odległe ściany hangaru, z oznaczeniami ledwo widocznymi pod warstwą brudu.

- Mamy jakieś pięćdziesiąt procent, słyszałeś Brisbane'a - odparł niezrażony Thorne. - Rzut monetą nie mieści się w mojej definicji wysokich szans.

- To najlepsze, co jest. - Wierzba zatrzymał się przy kolejnym włączu. Oświetlił brudną od smaru pokrywę, ale nigdzie nie mógł dostrzec numeru. No tak, jego szczęście. Przyklęknął i przetarł płytę rękawicą.

- Całkiem możliwe - zgodził się rozmówca. - I ma realne szanse się udać. Ale każde potknięcie mocno nam psuje szyki. Nie ma miejsca już nie tylko na pomyłki, ale też na opóźnienia, pecha i tym podobne. To kładzie jakieś dziewięć na dziesięć planów.

- Zawsze optymista, co? - Starcie warstwy brudu ujawniło numer, na szczęście właściwy. Wierzba z zadowoleniem wdusił przycisk na panelu kontrolnym. Nic się nie stało. Polak westchnął cicho i sięgnął do śruby zabezpieczającej. - Pomyśl, że jak się uda, będziemy w domu.

- Obym się mylił.

- Owszem - odparł Marcin, dopiero po kilku sekundach orientując się, jak ważne jest, żeby Thorne istotnie nie miał racji. Unijny oddział znajdował się co prawda o krok od domu, ale był to krok najtrudniejszy.

*

„Wpatrzony w strumień” ledwie wychwytywał echo idącej równoległym kursem

„Lisicy”, mimo iż okręt wcale się nie ukrywał - nawet zwykłe emisje stworzonej do walki jednostki pozostawały na granicy rozdzielczości przestarzałych sensorów olbrzyma. Nikt jednak na pokładzie frachtowca nie czuł specjalnej potrzeby obserwacji niszczyciela - dane pozycyjne otrzymywali z pokładu okrętu na bieżąco - dowódca „Lisicy” postępował dokładnie zgodnie z procedurą manewrów na minimalnym dystansie.

Skulony na swoim stanowisku w olbrzymiej jaskini hangaru dziobowego Wierzba słuchał w ciszy komunikatów Isaksson z mostka i próbował odgadnąć zamiary imperialnego oficera. W pewien sposób ciąg komunikatów, choć przypominał, jak blisko znajduje się nieprzyjaciel, stanowił pocieszenie - w końcu po co podawać swoją dokładną pozycję wrogowi? Z drugiej strony, nawet gdyby wiedzieli o „Lisicy” absolutnie wszystko, i tak nie byłoby pewnie w stanie jej zaszkodzić.

- Do wszystkich stanowisk - odezwał się pułkownik Brisbane w słuchawce. - Potwierdzić gotowość.

- Jedyńka, gotowi - zameldowała natychmiast Cartwright z siłowni.

- Dwójka, gotów. - Głos Hampla w sieci łączności z jakiegoś powodu brzmiał głucho, jakby major mówił z dna studni.

- Trójka, gotowi - zgłosił Bryce.

- Czwórka, gotowi - odezwała się cicho dowodząca grupą Wierzybi Niemi.

- Piątka, gotów - powiedział Harris. Porucznik otrzymał chyba najgorsze zadanie dokonania próby oszukania inspektorów. Oznaczało to rozmowę twarzą w twarz z nieprzyjacielem i w dodatku z dużą szansą na wpadkę, ale ryzyko się opłacało - gdyby Harris odniósł sukces, rozwiązałyby to wszystkie problemy unijnego oddziału.

- Szóstka, gotowa - rzuciła zamknięta na mostku frachtowca Isaksson.

- Doskonale - odparł pułkownik. - Rozpocząć fazę pierwszą.

- Jedyńka, potwierdzam, zaczynamy.

Frachtowiec zadygotał, kiedy zespół Cartwright zapoczątkował pierwszy etap planu. Działające dotychczas w trybie oszczędnościowym generatory olbrzyma ruszyły z pełną wydajnością, puszczając przez łącza „Wpatrzonego w strumień” niespotykane od lat ilości mocy. Wszystkie wieże odprowadzania ciepła zadziałały naraz, emitując w przestrzeń chmurę rozgrzanych gazów z przeciążonego nagle systemu chłodzenia. Rozmieszczone w kilkunastu miejscach ładunki wybuchowe eksplodowały, uwalniając chmurę przewożonego pyłu caellium. W jednej chwili odczyty frachtowca wyskoczyły poza wszelkie skale - w porównaniu do emisji niedalekiej „Lisicy” były niczym inferno pożaru przy blasku zapałki. Na swojej pozycji w pogrążonym w półmroku hangarze Wierzba z łatwością wyczuwał

odległe dygotanie i wstrząsy nagle zranionego statku. Przesunął wzrokiem po odległym suficie pomieszczenia, widocznym tylko dzięki wzmacniaczowi obrazu.

Nie miał żadnych wątpliwości, że przyciągnęli uwagę imperialnego niszczyciela. Podstawowym pytaniem było: czy „Wpatrzony w strumień” przetrwa do momentu, kiedy będą mogli zacząć czerpać zyski z tego faktu?

- Szóstka - w słuchawce żołnierza zabrzmiał głos pułkownika Brisbane'a. - Możesz zaczynać.

- Tak jest. - Isaksson mówiła głosem pełnym radosnego podniecenia, którego Marcin nie słyszał od wydarzeń na lotnisku korporacyjnym. Dobrze było wiedzieć, że koleżanka przynajmniej przez chwilę jest taka jak dawniej. - Wysyłam... teraz.

Polak przymknął oczy. Zbliżali się do pierwszego kluczowego punktu planu. Właśnie w tej chwili oficer łącznościowy „Lisicy” otrzymał wiadomość z pokładu frachtowca. Według przygotowanego wcześniej wezwania pomocy na statku nastąpiła katastrofalna awaria siłowni, przeciążenie wszystkich przekładników mocy. Isaksson zgłaszała też liczne pożary, których wobec uszkodzeń systemu wentylacji nie dało się opanować. Postawiony przed takimi faktami dowódca chińskiego niszczyciela miał do wyboru kilka dróg postępowania. Mógł natychmiast przesunąć inspekcję na rzecz przeprowadzenia akcji ratunkowej - co otwarłoby przed unijnym zespołem masę opcji związanych z faktem, że przeciwnik nie spodziewałby się problemów ze strony załogi. Mógł też uznać to za wybieg. W tym wypadku cała akcja z pewnością okazałaby się o wiele trudniejsza.

Minęło trzydzieści sekund, potem minuta. Marcin wymienił spojrzenia z ukrytym niedaleko Thorne'em. Ten pokręcił powoli głową wewnątrz hełmu. Polak westchnął. Więc nie udało się.

- Tu Szóstka, mam wiadomość zwrotną! - zameldowała przejęta Isaksson. -

„Natychmiast wysyłam grupę ratunkową, oczekiwany czas przybycia: piętnaście minut”.

- Zrozumiałem, Szóstka, piętnaście minut - nadeszło potwierdzenie pułkownika. - Uruchomić zakłócanie.

- Tak jest, zakłócanie!

Z uruchomionego modułu zakłócającego, przywiezionego jeszcze z „Orla”, pomknęły pierwsze polecenia do systemu łączności „Wpatzonego w strumień”, momentalnie zmieniając cały frachtowiec w gigantyczną antenę, o co prawda bardzo krótkim zasięgu, ale za to potwornie hałaśliwą. Emitowany przez nią szum tworzył nieprzenikalną sferę zakłóceń wokół cywilnego statku.

Nie było szans, żeby to działanie pozostało niedostrzeżone przez „Lisicę”, mogło ono być jednak zlekceważone - pole sięgało nie dalej niż kilkadziesiąt kilometrów od frachtowca i jego jedynym realnym efektem była niemożliwość utrzymania łączności pomiędzy dwiema jednostkami. Wkrótce również pomiędzy niszczycielem a jego wahadłowcem, ale z tak niewielkiej odległości okręt dysponował wieloma innymi sposobami utrzymania kontaktu.

Naturalnie istniało pewne prawdopodobieństwo, że dowódca niszczyciela uzna to za kolejny etap pułapki i nie będzie chciał się bawić w branie jeńców - wtedy po prostu zestrzeli podejrzany frachtowiec. Choć Wierzba zdawał sobie sprawę, że szansa na taki rozwój wypadków była naprawdę minimalna, z jakiegoś powodu nie mógł przestać o tym myśleć. Upłynęła jednak minuta, dwie, pięć - i nadal żyli. Albo więc przeciwnik założył, że zakłócenia są naturalnym efektem uszkodzeń „Wpatrzonego w strumień”, albo przyjął, że jest wciągany pułapkę, lecz uznał, że zależy mu na frachtowcu. Oraz, zapewne, na jeńcach.

*

Wahadłowiec z „Lisicy” wsunął się do hangaru dokładnie o zapowiedzianym czasie. Ostry kształt wojskowej konstrukcji budził respekt nawet teraz, kiedy osiadł na zbyt dużym dla niego lądowisku - Wierzba był boleśnie świadom, jak groźna jest nieprzyjacielska maszyna. Nie upłynęło pięć sekund, kiedy opadła rampa desantowa. Marcin przełknął ślinę, czekając na pojawienie się grupy ratunkowej.

Kilkanaście pocisków wystrzelono z wnętrza chińskiego promu jednocześnie - kreśląc za sobą długie warkocze dymu, cylindry przecięły powietrze, eksplodując w idealnym półkolu i wypełniając hangar kłębamii gęstej zasłony.

- Wróg w natarciu! - krzyknął Polak do mikrofonu, bezskutecznie próbując użyć kolejnych systemów wizyjnych skafandra. Nieprzyjaciel zadbał o emisję zakłócające i we wszystkich trybach gogle pokazywały tylko kolorowe błyski. Zacisnął dłonie na karabinie i przemieścił się szybko w nowe miejsce. Cóż, pomyślał. To by było na tyle, jeśli chodzi o zaskoczenie.

- Brak namiaru, nie widzę celów - Marcin usłyszał ściszy głoś ukrytego niedaleko Thorne'a. W przeciwieństwie do zakłóceń na zewnątrz statku, tutaj łączność była niemal bezproblemowa.

- Piątka, potrzebuję celów. - Brisbane nie wydawał się specjalnie zawiedziony rozwojem sytuacji. Musiał się spodziewać, że zasadzka nie wypali. - Zlokalizuj je. Nie strzelać. Jedyńka, przejść do hangaru.

- Jedyńka, w drodze - potwierdziła Cartwright. - Będziemy do trzech minut.

Polak skrzywił się lekko. W trzy minuty może być po wszystkim, jeżeli wróg utrzyma

tempo.

- Tu Piątka, przyjąłem - potwierdził Harris. - Przeciwnik wewnątrz zasłony. Czwórka, odpalcie ładunki jeden do sześć.

- Wykonuję - potwierdziła Niemi i chwilę potem przestrzenią hangaru wstrząsnęło sześć niemal jednoczesnych wybuchów. Hełm wygłuszył nieco przeraźliwy hałas, ale tylko siła woli sprawiła, że Marcin nie rzucił się za osłonę. Podmuch eksplozji rozproszył postawioną przez imperialnych żołnierzy zasłonę dymną tylko na chwilę, wystarczającą, by Polak mógł dostrzec zarys sylwetki pomiędzy ciemnoszarymi kłęбами.

- Tu Czwórka, prawdopodobny cel - odezwał się cicho, starając się wymierzyć. Dwanaście metrów na lewo od rampy.

- Jesteście pewni? - chciał wiedzieć Brisbane.

Następna fala pocisków dymnych wystrzeliła z zasłony, upadając w pobliżu pozycji Harrisa. Gęste, tłuste kłęby natychmiast pożarły kolejne metry hangaru.

- Nie, sir. Przemieszczają się w stronę głównych wrót! - zameldował Wierzba. - Poruczniku?

Zamiast odpowiedzi Harrisa usłyszał długą serię z jego karabinu i natychmiast odpowiadające na nią pojedyncze wystrzały Chińczyków. Ogień Harrisa zamilkł, po czym rozległ się z innego miejsca, kiedy komandos zmienił pozycję, korzystając z zasłony nieprzyjaciela. Huknął granat, ale Marcin nie dostrzegł samej eksplozji.

- Front formacji przy mnie, osiem osób - mówił szybko porucznik. - Druga grupa około dwunastu metrów przed rampą, obstawiam użycie zasłon szturmowych. Czwórka...

Zdanie przerwało mu staccato wystrzałów.

- Tu Dwójka - zgłosił Hampel, ledwie słyszalnie w chaosie potyczki. - Wykryłem podłączenie, powtarzam, wykryłem podłączenie.

Marcin ostrożnie wychylił się zza osłony, usiłując dojrzeć coś w kłębach dymu. Brisbane miał rację - przeciwnik zdecydował się pomóc sobie w zajęciu frachtowca i skorzystał z jednego z gniazd w pobliżu lądowiska, by uderzyć w słabo zabezpieczoną sieć wewnętrzną statku. Pytanie tylko, czy...

- Na konsolce czy ze wsparciem promu? - spytał pułkownik. W głosie oficera nawet przez komunikator dało się wyczuć lekkie napięcie. Od odpowiedzi Hampla wiele zależało.

Gdzieś zza szarej zasłony rozległa się krótka seria z karabinka Harrisa, przerwana przez kilka kolejnych trzasków imperialnych A-9. Następnym wystrzałów nie było. Kłęby dymu w ciszy sunęły w stronę głównych wrót hangaru.

- Ze wsparciem - zakomunikował krótko Czech.

Wierzba poczuł falę ulgi. Chiński spec od walki elektronicznej spodziewał się maga, więc zdecydował się wyrównać szanse, wykorzystując blok walki elektronicznej wahadłowca.

A to oznaczało, że stworzył połączenie pomiędzy promem a cywilnym statkiem.

- Rozpocząć następną fazę - rozległ się głos Brisbane'a.

- Zespół, granaty na drugą grupę, teraz - rozkazała Niemi, przesuając się na pozycję strzelecką.

Trzy granatniki zagrały prawie równocześnie. Marcin poczuł znajome, przyjazne kopnięcie, kiedy walec granatu opuszczał lufę, a potem dostrzegł moment, gdy wpadał w zasłonę, na chwilę zanim rozległy się trzy stłumione eksplozje. Polak wystrzelił jeszcze dwukrotnie, za każdym razem celując w minimalnie różne miejsca.

Nie miał pojęcia, czy trafił - rozkładane zasłony szturmowe używane przez jednostki abordażowe stanowiły niezłą osłonę od odłamków, ale dziewięć granatów wystrzelonych przez zespół Niemi powinno przynieść jakiś efekt.

Nie tracił czasu na bezowocne próby potwierdzenia trafienia, natychmiast rzucając się za chroniącą go maszynę. Uniknął śmierci o włos - pociski zagrały na metalowej obudowie dokładnie w miejscu, gdzie jeszcze przed ułamkiem sekundy opierał ramię. Kolejne wystrzeliły spośród dymu i uderzyły w płyty podłogi nie dalej jak metr po jego lewej stronie, ledwie o sekundę wyprzedzając granaty dymne. Gęste kłęby otoczyły Marcina, natychmiast redukując widoczność.

- Namierzyli mnie! - zgłosił, biegnąc skulony do przygotowanego duktu. W dymie zamajaczył nagle jakiś cień i ciężki kształt wpadł dokładnie na Polaka. Wierzba odbił się od rozpędzonego przeciwnika i upadł na pokład, czekając na strzał. Tamten musiał być jednak przynajmniej tak samo zaskoczony jak on - minęła sekunda, potem druga i nic się nie stało. Polak poderwał karabin, ale zbyt wolno - był dopiero w połowie ruchu, kiedy Chińczyk już złożył się do strzału.

Koniec trasy, zdążył jeszcze pomyśleć Wierzba. Czas umierać.

Granat uderzył go w pierś, wrywając oddech i nie łamiąc mostka tylko dzięki przedniej płycie pancerza. Nie wybuchł - standardowe zapalniki uzbrajały się dopiero kilka metrów od lufy.

Pół sekundy zajęło Chińczykowi zorientowanie się w sytuacji i zmiana ustawienia broni, zbyt długo jak na to starcie. Marcin nacisnął spust i krótka seria uderzyła w pierś i filtr hełmu wroga, posyłając go na podłogę. Drugą posłał, kiedy podrywał się do biegu. Nie było czasu na sprawdzanie efektów. Wokół już świstały imperialne pociski.

- Pod ogniem! - niemal krzyknął do mikrofonu, o wiele wyższym głosem niż zwykle. -

Cofam się do tunelu!

- Pod ogniem! - odpowiedziała jak echo Niemi. Gdzieś wśród dymu biegnący na pamięć Polak zobaczył błysk wystrzałów, ale nawet nie zwolnił. - Cofam się do tunelu. Thorne?

- Czysto.

- Obserwuj cele.

Wierzba rzucił się pochylony wzdłuż osłony w stronę otwartego duktu technicznego, do którego z drugiej strony dobiegała już Niemi. Chiński granat wybuchł w miejscu, z którego jeszcze niedawno strzelał. Polak oczekiwał uderzenia odłamków i paraliżującego bólu, ale nic takiego się nie wydarzyło.

- Czwórka, raport! - dopytywał się Brisbane.

- Prom chyba zamyka rampę, powtarzam... - Thorne przerwał nagle. - Jestem pod ogniem, zmieniam pozycję.

- Potwierdź status promu!

Niemi potknęła się i wpadła do otwartego wjazdu, a Wierzba natychmiast zanurkował za nią. Uderzył hełmem o stalową drabinę i coś brzęknęło o ochraniacz łokcia. Chyba nie kula, błysnęła myśl, ale szybko znikła, kiedy upadł na leżącą w tunelu Finkę.

- Potwierdzam, prom zamknął rampę - zgłosił Thorne. - Desant nadal na zewnątrz, przyszpilił mnie. Jestem bez opcji ofensywnych.

- Wycofuj się, jeśli możesz. Dwójka i Trójka, zaczynajcie.

Turbiny systemu wentylacji hangaru zagrały basowo, nagle przechodząc z minimalnego do pełnego ciągu. W jednej chwili nad głową Wierzby powietrze ożyło, a dym zasłony na moment się przerzedził, ukazując gęstą chmurę połykającego pyłem caellium. Żółte, lepkie drobinki momentalnie pokryły ściany hangaru - a przynajmniej te, które Wierzba mógł zobaczyć z dna duktu.

- Tu Trójka, jest nawiew! - zameldował Bryce.

- Dwójka? - W głosie pułkownika dało się zauważyć napięcie. Jeżeli Thorne pomylił się i chiński specjalista od elektroniki był sprawny, Hampel zostanie wykryty, a wtedy cała akcja na nic.

- Jestem w trakcie ataku. - Spokojny głos Hampla ukrytego dokładnie pod lądowiskiem wahadłowca zdawał się sugerować, że mag ma mnóstwo czasu. W rzeczywistości jego działanie było limitowane kilkoma sekundami pomiędzy prawdopodobnym wycofaniem rannych a odłączeniem kabla transmisyjnego, łączącego wahadłowiec z siecią „Wpatrzonego w strumień”. - Połączenie czyste.

- Czwórka, odpalić główny ładunek.

Marcin sturlał się z Niemi, ale ta nadal nie uruchomiła detonatora. Spojrzał na nią i zamarł - cały bok skafandra sierżant był rozerwany. Pod spodem ziała krwawa dziura.

- Kurwa! - zaklął w bezsilnej złości, nie przejmując się nawet, czy wiadomość poszła w eter, czy nie. Opanował się jednak szybko. Wciąż mieli zadanie do wykonania. Sięgnął po detonator, wpięty w pas podoficer. - Tu Czwórka, wysadzam!

Gdzieś nad jego głową rozległa się potężna eksplozja - to w hangarze wypełnionym wysokoenergetycznym, świecącym na wszystkich sensorach złotawym pyłem wybuchł największy przygotowany wcześniej ładunek.

Nic się nie wydarzyło. Wysoka temperatura zapłonu caellium nie została osiągnięta.

- Jest wybuch, brak zapłonu! - zameldował Wierzba, jednocześnie wbijając w ranę sierżant kolejną środki z dozownika medycznego. - Niemi ranna!

Rzucił okiem na automatyczny dozownik skafandra - według urządzenia sierżant dostała już dwa painkillery, stymulator i żelowy opatrunek, ale nie widział go w wyszarpanej przez pociski dziurze.

- Thorne, wycofuję się pod ogniem. - Głosowi żołnierza w słuchawce towarzyszył odgłos kilku serii z jego karabinu. - Spróbuję się oderwać.

- Status promu? - spytał Brisbane.

- Atak zakończony. Cel prawdopodobnie nieświadomy, aktywizował silniki - zameldował Hampel.

Pochylony nad Niemi Wierzba odetchnął głębiej - prom startował. Nadal słyszał wymianę ognia, co oznaczało, że imperialni żołnierze odkryli, iż nie mogą się połączyć z okrętem macierzystym. Zapewne ich dowódca podjął całkiem sensowną decyzję, że wycofa rannych na wahadłowcu, który przy okazji przekaże wiadomość „Lisicy”, a sam zabezpieczy przyczółek tutaj.

- Przejść do fazy trzeciej. Dwójka, wycofaj się. - Głos pułkownika nie zdradzał emocji, choć sytuacja ciągle była zła. Wahadłowiec zniknął zgodnie z planem, ale imperialny oddział nadal pozostawał niebezpieczny. - Czwórka, co z wami?

- Sprawny, wycofuję sierżant. - Marcin spojrział bezsilnie na Niemi. Złotawy pył caellium opadał przez otwartą klapę duktu, przyklejając się do materiału skafandra, kompozytowych płyt podłogi i do leżącej Finki. - Będziemy potrzebować medyka.

Gdzieś w hangarze znowu zaszczekały karabiny, a potem dołączyły do nich stłumione eksplozje granatów.

- Ranny - zameldował Thorne urywanym głosem. Radio wylapywało ciężki oddech

szeregowca. - Lewa noga. Pościg chyba zwolnił, ale ja też.

- Zabezpieczają perymetr - odparł Brisbane. - Wycofuj się. Jedyńka, przejmiecie go w głównym korytarzu. Trójka, przemieszczajcie się do warsztatu, H-3, przechwycicie Czwórkę.

W ciemnym duku technicznym Wierzba w końcu zdecydował się ruszyć ranną z miejsca.

- Spokojnie, sierżancie, zbieramy się stąd. - Marcin obszedł Niemi, stając jej nad głową. W niskim tunelu musiał poruszać się zgięty w pół. - Może być niewygodnie.

Ostrożnie wziął Finkę pod ramiona i zaczął się cofać w stronę, gdzie jak pamiętał, znajdowało się przejście do sąsiednich sekcji frachtowca, daleko od chińskiego oddziału. Była lekka. Filtr hełmu pokrywało caellium, ale na razie nie chciał i nie musiał go zdejmować.

- Dwójka, bezpieczny.

- Czwórka, Thorne. - Sądząc z ospałego głosu szeregowca, musiał on zaaplikować sobie przynajmniej dwa painkillery. Żołnierz oddychał ciężko i mówił z wyraźnym wysiłkiem. - Nie widzę... przeciwnika... Chyba nie ruszają... się ze strefy...

- Zrozumiałem - odpowiedział Brisbane. - Szeregowy, jesteście w stanie się dalej wycofywać?

- Pewnie... - Polak mógłby przysiąc, że ton głosu Thorne'a stał się lekko drwiący. - Dam... Radę...

Kolejne kilkanaście kroków doprowadziło Marcina do zamkniętej śluzy rozdzielającej sekcje.

- Już prawie... - mruknął, wduszając przycisk otwarcia. Stary mechanizm zareagował dopiero za trzecim razem, a wrota śluzy rozsunęły się z przeraźliwie głośnym dźwiękiem tarcia metalu o metal, budząc przez chwilę w Wierzbie irracjonalne wrażenie, że wróg go usłyszy.

Powoli wciągnął Finkę do wąskiej komory i zamknął drzwi. Prawie dziesięć sekund zajęło układowi sterującemu stwierdzenie, że można już otworzyć drugie wyjście. Kolejne pięć Marcin zużył na przeciągnięcie rannej dalej.

- Muszę zauważyć - powiedział do niej, lekko zdyszany - że mając taki wielki statek, mogli zadbać o odpowiednio duże dukty. Tu Czwórka, Niemi i Wierzba, jesteśmy w H-3. Co z wami?

- Jesteśmy w drodze - usłyszał w słuchawce Bryce'a. - Do dwóch minut.

- Dwie minuty - przekazał Fince. Wcisnął odblokowany teraz przycisk dehermetyzacji hełmu i przesunął pokryty złotym pyłem filtr w górę, odsłaniając bladą twarz rannej.

Lisa Niemi oddychała płytko i chrapliwie, ale jej szare oczy były spokojne.

Przyglądała się Marcinowi i choć nie mówiła nic, Polak miał przemożne wrażenie, że pozostaje w pełni świadoma.

- Zrobiliśmy wszystko, co było trzeba - powiedział, zdobywając się na zmęczony uśmiech. - Reszta należy do pozostałych.

Rozszczelnił swój hełm i głęboko odetchnął ciepłym, śmierdzącym spaloną elektroniką powietrzem.

- Jesteśmy cali pokryci pyłem - zwrócił się do Niemi, nieudolnie starając się nadać głosowi wesołe brzmienie. Na kursie uczono go, że mówienie pomaga, a po aplikacji chemii niewiele więcej mógł zrobić przy tak rozległej ranie. - Wyglądamy jak na paradzie. Widać nas pewnie z Fushun, bo to cholerstwo podobno daje echo jak radiolatarnia.

Przesunął rękawicą po kombinezonie złotawym od rozdrobnionego caellium.

- Z radością zmienię ubranie.

Czy już słyszał nadbiegającego Bryce'a? Chyba nie, zresztą wciąż została mu ponad minuta.

Niemi nagle uśmiechnęła się szeroko i mozolnym ruchem uniosła dłoń. Rysy sierżant złagodniały.

- Spokojnie... - Złapał ją za rękę. - Nie ma co się męczyć.

Dopiero wtedy zorientował się, że kobieta nie patrzy na niego - z jakąś dziecięcą radością wbiła wzrok w punkt gdzieś ponad ramieniem Polaka. Marcin obrócił głowę, ale poza kłębem dymu wydobywającym się ze skrzynki bezpieczników nie zobaczył nic.

Kiedy znów na nią spojrział, już nie oddychała.

*

Imperialny wahadłowiec opuścił tymczasem strefę zagłuszania „Wpatzonego w strumień”. Kiedy jednak jego piloci spróbowali otworzyć połączenie z „Lisicą”, nagle większa część elektroniki po prostu odmówiła posłuszeństwa. Wirusy majora Hampla działały bezbłędnie, obezwładniając wycofujący się stateczek. Kilka prostych prób wezwania wsparcia z niszczyciela spaliło na panewce - ani rezerwowa radiostacja, ani łącze laserowe, ani nawet reflektor sygnalizacyjny nie działały.

Piloci maszyny nie tracili jednak zimnej krwi. Po krótkiej naradzie i kilku minutach pracy udało im się ręcznie odłączyć komputer główny i przejść na system awaryjny - niezbyt dokładny, ale przynajmniej oparty wyłącznie na najprostszych systemach elektronicznych. Odzyskawszy częściowe panowanie nad napędem i sterami, prom mógł oddalić się w stronę macierzystego okrętu, licząc, że ktoś na jego pokładzie zorientuje się w sytuacji.

Na „Lisicy” natychmiast wyciągnięto wnioski z obserwacji niepewnego marszu

wahadłowca, świecącego w dodatku jasno na wszystkich częstotliwościach odczytem podobnym do otaczającej olbrzymi frachtowiec chmury caellium. Po kilku nieudanych próbach nawiązania łączności ze stateczkiem niszczyciel uruchomił radiolatarnię, a następnie laser prowadzący. Wreszcie w ciągu kilku minut z jego pokładu wystartowały trzy promy. Dwa wiozły kolejne grupy uderzeniowe, trzeci skierował się ku uszkodzonej maszynie i towarzyszył jej przez całą drogę powrotną. Automatyczne dokowanie nie wchodziło w grę, więc dowódca „Lisicy” po prostu nakazał obrócić swoją jednostkę dokiem ku wahadłowcowi i poczekać, aż uszkodzona maszyna podejdzie na sterowaniu ręcznym.

Dwa wahadłowce desantowe zamarły tuż poza strefą zakłócania „Wpatzonego w strumień”. Nadal nikt nie wiedział, jakie wieści niósł oblepiony caellium prom, ale uznano, że mogą one wiele zdradzić na temat sytuacji na pokładzie olbrzymiego frachtowca. Lepiej było wstrzymać atak, dopóki nie pojawią się dodatkowe dane, niż potem żałować. Trzydziestu dwóch żołnierzy i czterech pilotów czekało więc spokojnie, aż „Lisica” prześle dalsze rozkazy. Nikt z nich nie miał pojęcia, że żadna wiadomość nie nadejdzie.

*

Nawet jedno odpalenie silnika nie zdradzało podejścia „Orła”. Kiedy do frachtowca zbliżył się niszczyciel imperialny, na unijnej maszynie wyłączono wszystkie systemy, które nie były absolutnie niezbędne do przeżycia załogi i minimalnych zmian kursu. Nie używano większości sensorów ze względu na pobór mocy i okręt utrzymywał pozycję względem „Wpatzonego w strumień” tylko przy użyciu silników mikromanewrowych - ich minimalne pchnięcia pozwalały na drobne zmiany bez wzbudzania alarmu u niedalekiego przeciwnika.

Zapewne w normalnej sytuacji i tak nie zapewniłoby to pewności pozostania niewykrytym - znajdując się zaledwie dziesięć jednostek od frachtowca, „Orzeł” poruszał się w strefie, w której po prostu nie dało się go przeoczyć. Ale sytuacja nie była normalna - gwałtowne emisje z wież wymienników ciepła cywilnego olbrzymia oraz otaczająca go chmura zamarzniętego caellium skutecznie oślepiły wrogi okręt i ukrywający się za chińskim statkiem niszczyciel przez długi czas był osłaniany przez feerię jego odczytów. Teraz ta sytuacja miała ulec zmianie.

Ostrożnie, używając minimalnego ciągu, okręt unijny wysunął się zza osłony. Ta pozycja dawała mu co prawda jakieś dziesięć minut, zanim „Lisica” go dostrzeże - i zapewne zniszczy, zważywszy na przewagę uzbrojenia - ale też dowódca niszczyciela nie potrzebował aż tak wiele czasu. Sensory „Orła” natychmiast wykryły cel, a systemy namierzania jego lasera dalekiego zasięgu zostały uruchomione. W całkowitej ciszy smukła wieża generatora lustra została wysunięta z ukrywającego ją luku. Wreszcie wszystkie systemy zgłosiły

gotowość do strzału.

Naładowane kondensatory generatora nagle uwolniły całą zgromadzoną energię. Ze szczytu wieży laserowej niszczyciela rozwinęły się plazmowe skrzydła, na ułamek sekundy tworząc połyskliwy dysk lustra o ponadstumetrowej średnicy. W momencie, kiedy powierzchnia weszła w czas maksymalnej stabilności, trafiły ją nadfioletowe promienie emitera „Orła” i skupiona wiązka pomknęła w stronę imperialnego niszczyciela.

Nikt nie strzelał głównym laserem w nieuszkodzony okręt - było to po prostu niepraktyczne. Sprawna powłoka refleksyjna pochłaniała światło widzialne, ale bez problemu rozpraszała wiązkę nadfioletową, zamieniając ją w kosztowne energetycznie, ale niezbyt szkodliwe fajerwerki. Dowódcy doskonale o tym wiedzieli i dlatego potencjalnie bardzo skutecznych laserów dalekiego zasięgu używano dopiero wtedy, kiedy ostrzał raketowy zniszczył panele refleksyjne w takim stopniu, iż regeneracja nie była już możliwa.

Albo kiedy dokładnie wiedziało się, gdzie celować - tak jak teraz. Laserowy promień wystrzelony z „Orła” przebił na wylot widoczny jak na dłoni, oblepiony caellium wahadłowiec i uderzył w otwarty dok imperialnej maszyny. Olbrzymia moc wiązki rozszarpała nieosłonięte trzewia „Lisicy” w krótkim, zabójczym błysku. Fala uderzeniowa, szybsza niż myśl, pozbawiła sto osiem osób załogi okrętu świadomości własnej śmierci.

*

Wahadłowce wylądowały w hangarze dziobowym „Wpatzonego w strumień” niecałą godzinę później, by przyjąć kapitulację żołnierzy imperialnych i zabrać ludzi Brisbane’a.

Wierzba biernie pozwolił się sprawdzić oficerowi medycznemu i zapakować na prom. Był zmęczony, tak bardzo, że nawet otwieranie oczu wydawało mu się ogromnym wysiłkiem. Zapytał tylko o rannych, ale poza Thorne’em nikt nie ucierpiał. Oczywiście oprócz Niemi i Harris, zabitych na ostatniej prostej do domu.

*

Imperialny krążownik „Chmura burzowa” dotarł na pozycję „Wpatzonego w strumień” szesnaście godzin później. Przyjął na pokład oddziały desantowe „Lisicy” oraz załogę olbrzymiego frachtowca. Dowódca krążownika uważnie wysłuchał zeznań ocalonych marynarzy i szybko wyciągnął z nich podstawowy wniosek - w systemie działał nieprzyjacielski okręt. Co więcej, wobec braku wiadomości o naruszeniu bram skokowych, wróg nadal nie opuścił Baity.

Oficer natychmiast wysłał wiadomość do dowódcy obrony systemowej. Wszystkie siły Imperialnej Marynarki Wojennej w Baicie postawiono w stan gotowości. Zagęszczono patrole wokół punktów skoku, ściągnięto rozproszone siły do ochrony obiektów

strategicznych. Boje rozmieszczone w systemie uważnie nasłuchiwały. Zakazano ruchu cywilnego w obrębie pasa, a w przestrzeni pomiędzy kopalniami zaczęły się imperialne okręty.

Niszczyciel unijny nawet nie zbliżał się do żadnego z chronionych punktów. Idąc na minimalnym ciągu, powoli umykał w stronę punktu skokowego, przez który wszedł do systemu, bezpiecznie daleko od wszelkich znanych instalacji i zasobów systemu. Po tygodniu ostrożnego marszu dotarł na miejsce. Tak jak „Orzeł” otworzył operację skokiem w przestrzeń Imperium, teraz zamykał ją swoją ucieczką.

Baza Marynarki Wojennej Brest, system Jawa, 26.04.2212 ESD, 15:17

Przez ponad dobę od powrotu do koszar bazy marynarki wojennej Brest Wierzbą prawie nie mógł uwierzyć, że się udało. Że faktycznie uciekli z pilnie strzeżonej planety Imperium. Że są już bezpieczni - przynajmniej chwilowo.

Chciał napisać do domu, ale cenzura nadal blokowała pocztę. Cartwright udało się wywalczyć zmianę statusu z „nieznanego” na „w służbie”. Przynajmniej rodzina nie będzie się martwić.

Kiedy tylko zakończono obowiązkowe badania lekarskie, dostali oficjalne polecenie „oczekiwania na dalsze rozkazy”, czyli w zasadzie przepustkę bez przepustki. Nikt w oddziale nie wierzył, że mają mniej niż tydzień luzu. Urznęli się do nieprzytomności. Za Sokole Oko. I za Niemi. Marcin nawet nie wnikał, skąd udało się zdobyć tyle alkoholu.

Przespał, z niewielkimi przerwami, prawie trzy dni - organizm bezlitośnie odbierał zaciągnięte na Fushun długi. Początkowo nie pamiętał swoich snów, potem pojawiły się w pojedynczych przebłyskach. Śnił o cichej pieśni Mgły New Quebec i o agresywnym, uderzającym we wszystkie zmysły zewie Xinfu. O zmrożonym strachem wzroku Camilli Isaksson, kiedy Brisbane ogłosił jej wyrok śmierci. O rozmowie z Ariadną i spokojnym głosem Sokolego Oka. O śmierci Niemi. O wesołym spojrzeniu Kici i jej adrenalinowym haju, gdy przetrwała zestrzelenie mangusty.

Próbował sobie przypomnieć, kiedy miał ostatni sen o domu, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Może jeszcze na Bagnie. Pewnie wtedy. Pamiętał rodziców i pamiętał Barbarę, ale dom, rodzinne miasto i znajomi sprzed wstąpienia do armii zlewali mu się w jeden pełen szumów obraz. Psycholog wojskowy twierdził, że to naturalne, bo mózg lepiej zachowuje wydarzenia powiązane z dużym napięciem. Że to minie, kiedy będzie miał okazję odpocząć. Człowiek przyzwyczaja się do wojny, mówił. Potem przyzwyczaja się do pokoju. Marcin nie był tego taki pewien.

Rozmawiał o tym z Thorne'em. Szeregowiec w końcu służył od dawna - chyba

najdłużej z oddziału. Właściwie spodziewał się jakiejś złośliwej uwagi i zbycia całej sprawy, ale tym razem żołnierz go zaskoczył.

- Nauczysz się żyć w domu, Wierzbowski - powiedział. - Ale teraz to zawsze będzie jak życie w obcym środowisku. Jesteś żołnierzem. Nie zapomnisz tego. Nie licz na to.

Marcin chciał myśleć, że szeregowiec przesadza, w końcu zawodowy psycholog twierdził co innego. Podświadomie jednak czuł, że kolega miał rację. Że drzwi do Wierzby - cywila zatrzasnęły się już dawno, pozostawiając jedynie wąskie przejście do zluźwanego żołnierza. Dawno temu słyszał, że największy sukces, jaki można wynieść ze służby na froncie, to nie zmienić się. Teraz nie wiedział, czy to w ogóle możliwe.

*

Mimo pozornego rozluźnienia wszyscy czekali w napięciu na to, w jaki sposób skończy się sprawa jeńców - oddział Cartwright zgłosił się do akcji w bardzo konkretnym celu i dopiero teraz miało się okazać, czy Australijczyk dotrzyma danego słowa. Wierzba zadawał sobie to pytanie, właściwie odkąd „Orzeł” wrócił do przestrzeni Unii. Czy pakt z diabłem się opłacił? Czy zobaczą jeszcze towarzyszy?

Odpowiedź nadeszła ósmego dnia, kiedy Brisbane niespodziewanie zjawił się w mesie.

- Spocznij - powiedział, widząc, że ludzie Cartwright podnoszą się z miejsc, kiedy zbliżył się do ich stołu. - Jestem tu tylko na moment.

- Sir. - Porucznik wskazała mu wolne krzesło. - Dołączy pan do nas?

Thorne wyrzucił oczyma, ale przynajmniej zadbał o to, by oficer tego nie dostrzegł. Od Brisbane'a zależało zbyt wiele, by go teraz obrażać.

- Nie chcę psuć posiłku. - Kącik ust Australijczyka uniósł się w ironicznym grymasie. Pułkownik raczej nie miał złudzeń co do opinii, jaką się cieszył. - Otrzymałem wiadomości z frontu amerykańskiego. Myślę, że powinniście je zobaczyć.

Wydobył z kieszeni munduru datapad i położył przed Cartwright. Porucznik natychmiast uruchomiła go i przez chwilę przyglądała się wyświetlanym na małym ekranie informacjom.

- Dziękuję, sir. - Przesunęła urządzenie do siedzącej obok Isaksson.

- To tylko moja strona transakcji - odparł Australijczyk. - Do zobaczenia, pani porucznik. Pani oddział był całkiem niezłymi oesami.

Odwrócił się i ruszył do wyjścia, nie czekając, aż każdy z ludzi Cartwright obejrzy przekazane urządzenie.

- Za pozwoleniem, sir. - Jej słowa dogoniły go po kilku krokach. - „Do zobaczenia”?

Brisbane odwrócił się, by spojrzeć na siedzących przy stole żołnierzy.

- Jest wojna, poruczniku, czy tego chcemy, czy nie - powiedział. - A ja wyznaję zasadę, że pracuje się z tymi, którzy potrafią wykonać zadanie.

- Z całym należnym szacunkiem, sir. - Twarz Cartwright pozostawała jak wykuta z kamienia. - Nie jestem pewna, czy dzieję pański pogląd bez zastrzeżeń.

- Wiem - odparł pułkownik. - Dla pani pozostaje współpraca z tymi, którzy mogą to pani rozkazać.

Odwrócił się i odszedł, pozostawiając szóstkę wojskowych z datapadem. Zresztą, nikt nie zamierzał go zatrzymać. Ważne było, że dotrzymał danego słowa. Wierzbą z niecierpliwością wyczekiwał momentu, kiedy urządzenie trafi do niego, i szybko przebiegł wzrokiem po wykazie jeńców. Byli tam wszyscy - Bueller, Mały, Carrera, Neve... „DaSilva, Cynthia” znajdowała się na trzecim miejscu listy z adnotacją „najwyższy priorytet ze względu na posiadane informacje wywiadowcze”, podobną jak przy nazwiskach pozostałych żołnierzy z plutonu Cartwright. Jasne, nie zobaczy Kici i pozostałych ani dziś, ani pewnie w najbliższych tygodniach. Ale w końcu się uda.

Marcin odetchnął z ulgą, pierwszy raz od bardzo dawna naprawdę czując spokój. Wracali do domu.

Baza Marynarki Wojennej Brest, system Jawa, 4.05.2212 ESD, 11:31

W sali konferencyjnej Brestu znajdowały się obecnie tylko trzy osoby. Delanova powoli przestawało to dziwić - ludzie Dowództwa Operacji Specjalnych najwyraźniej preferowali ten rodzaj spotkań roboczych. Nie było to jakoś szczególnie zaskakujące, jeśli zważyć, jaki stopień dezinformacji zawierała w sobie ostatnia operacja. Dowódca „Krakena” oczekiwał co prawda wyczerpującego pisemnego raportu, ale najwyraźniej Brisbane lubił odprawy - nawet jeśli niewiele miano na nich do powiedzenia.

Tuż obok siedział kontradmirał Kuerten, szczupły, o lekko zmrużonych oczach, z obiema dłońmi, delikatnie drżącymi, na podłokietnikach fotela. Na połyskliwie czarnym blacie olbrzymiego stołu leżał datapad. Naprzeciw obu oficerów floty, dobre kilka metrów dalej, zajął miejsce pułkownik Brisbane. Oficer był szczuplejszy niż w dniu, kiedy Delanov widział go ostatnio, ale poza tym niewiele się zmienił - nawet charakterystyczny ironicznosmutny wyraz twarzy pozostał taki sam.

- Oto pełen raport z misji mojego zespołu. - Kuerten drobnym ruchem dłoni wskazał na datapad. - Zadanie zostało wykonane.

- Gratuluję. - Australijczyk skinął głową. - Straty?

- Wszystkie siły naziemne. - Admirał pochylił się w fotelu. - Zniszczone pięć

transportowców z grupy bombardującej. „Kadyks”. „Echo”. Ciężko uszkodzony „Kraken”.

„Zabójca” na granicy opłacalności naprawy, nie mówiąc o konieczności zastępstwa dla dwóch trzecich jego załogi.

- „Botany Bay”? - zainteresował się Brisbane.

- Czy wymieniał „Botany Bay”? - spytał Kuerten uprzejmym tonem, w którym igielki irytacji były niemal niedostrzegalne. - Co stało się z komandor Lafayette?

- Niestety - wyraz zakłopotania przemknął po twarzy pułkownika - komandor Lafayette zdołała obezwładnić załogę wiozącego ją wahadłowca. Imperium miało w tym rejonie lekki okręt, prawdopodobnie niszczyciel, który podebrał ją, zanim mógł zrobić to „Obrońca”.

- Czyli uciekła. - Kuerten lekko przekrzywił głowę i spojrzał na rozmówcę zaciekawionym spojrzeniem.

- Tak.

Delanov zacisnął pięści pod stołem, jednocześnie ciężko pracując nad utrzymaniem neutralnego wyrazu twarzy. Starał się myśleć o przeciwnikach bez emocji, ale w przypadku Francuzki było to szczególnie trudne. Nadal pamiętał nagranie z próby zatrzymania Vorachka.

- Sama. Z naszego terytorium. - Admirał zadbał, by w jego głosie nie było ani cienia ironii. - Nader... efektowne.

- Przyznaję, nie przewidziałem tego. - Oficer oesów wyraźnie nie zamierzał się usprawiedliwiać. Z jakiegoś powodu nieco poprawiło to jego wizerunek w oczach Delanova.

- To prawda. Nie przewidział pan - zgodził się Kuerten. - Mam rozumieć, że nasza współpraca została... uwieńczona sukcesem?

- Chciał pan powiedzieć „zakończona”? - Pułkownik zaśmiał się cicho. Admirał przez kilka sekund milczał, jakby ważąc możliwe odpowiedzi.

- Mam swoje obowiązki wobec podległych mi ludzi - powiedział wreszcie, wyraźnie wybierając opcję mniej konfliktową.

- W pełni rozumiem. - Brisbane podniósł się ze swojego miejsca. - Dlatego nie będę panom zajmował czasu. Raz jeszcze gratuluję ataku. Prawdopodobnie kupiliście nam przynajmniej kilka miesięcy spokoju, nie mówiąc o długofalowych efektach. Dokonaliście czegoś wielkiego i Unia wam to zapamięta.

- To była pańska operacja. - Admirał wstał, więc Delanov zrobił to samo.

Australijczyk podszedł do obu oficerów i sięgnął po datapad. Uruchomił wyświetlacz i przez chwilę przeglądał dane. Wreszcie odłożył go na stół.

- Ja tylko zajmowałem się dywersją - powiedział. - To była pańska operacja i chciałbym, żeby pan w ten sposób to zapamiętał. Tak będzie lepiej dla wszystkich.

- Ponieważ woli pan zostać w cieniu?

- Ponieważ jest pan doskonałym dowódcą i sukces pomoże panu w dalszej karierze, admirale - odparł Brisbane. - Pańska kariera z kolei może bardzo pomóc Unii. Ja jestem natomiast dokładnie w miejscu, gdzie powinienem być.

Wymienili saluty i wyszli. Kiedy Delanov obrócił się jeszcze w drzwiach, pułkownik nadal stał przy stole. Trzymał w ręku datapad, uważnie studiując raport Kuertena. W ciemnej sali konferencyjnej błękitna poświata holograficznej projekcji mocno odcinała jasną plamę twarzy mężczyzny od czarnego munduru Dowództwa Operacji Specjalnych.

Epilog

Słońce stało wysoko na niebie, kiedy wahadłowiec usiadł na lądowisku Tian'anmen. Jego refleksy połyskiwały na złotych dachach cesarskiego pałacu, przez co kompleks, nawet ze znacznej odległości, wyglądał, jakby świecił własnym blaskiem. Schodząc z rampy wahadłowca obok ubranej w czerwoną suknię specjalnej wysłanniczki Cesarza Yong Zhuang, admirał Liao Tzu cieszył się widokiem, jaki rozciągał się przed jego oczyma - podejrzewał zresztą, że odwiedza to miejsce po raz ostatni.

Przegrał. Miał już swoje lata i nie bał się przyznać do porażki, w pewien sposób nawet podziwiał przeciwników, którzy tak umiejętnie rozegrali partię. Zapewne mógłby próbować się bronić, powołując się na raporty wywiadu, wspomnieć o sugestii Yong Zhuang, by pozostawić obronę Anshan i Tygrysa wyłącznie platformom orbitalnym, wreszcie przywołać fakt, że siły w Tiedong miały przewagę nad przeciwnikiem pod każdym względem. Wiedział jednak, że byłby to zaledwie unik, maskowanie prawdziwej słabości. Dobrze w walce z wrogiem, ale nie w pałacu Niebiańskiego Smoka.

Popełnił karygodny błąd, zakładając, że platformy zdołają obronić Anshan, a żołnierze Unii nie będą w stanie zagrozić Tygrysowi. Pozostawiając w systemie komodora Shena Wu, doskonałego wojownika, ale człowieka zbyt dumnego i porywczego jak na wodza, popełnił identyczny błąd, jaki zarzucił podwładnemu podczas nie tak dawnych manewrów. Zaniedbał planetę. Taka była prawda i Liao Tzu musiał stawić jej czoła.

Gwardziści w czarnoczerwonych mundurach stali nieruchomo jak terakotowi wojownicy, kiedy dwójka gości zbliżała się do samochodu. Za Yong Zhuang bezgłośnie podążała para Słowików będących w jej służbie. Dwie kobiety ubrane w jedwabne suknie szły w idealnej synchronizacji, jakby sterowane jednym umysłem. Admirałowi nie towarzyszył nikt - w przeciwieństwie do specjalnej wysłanniczki nie czuł się tu mile widziany. Zakazane Miasto nigdy nie było zbyt gościnne dla wojskowych, zwłaszcza kiedy ponosili porażki.

Gdy pojazd mknął po gładkiej tafli drogi ku rosnącemu w oczach pałacowi, Liao rozważał kolejne kroki, które mógł jeszcze podjąć. Nie miał cienia wątpliwości, że przybył tu jedynie po to, aby przyjąć karę należną mu za porażkę. Jego kariera właśnie dobiegała końca, ale przecież nie to było najważniejsze. Problem stanowiły raczej przyszłe losy sił prowincji

Liaoning - należało zadbać, by pozostała w niej jak największa część kadry znającej specyfikę rejonu i jego rytm. Nie wiedział, jaki los czeka Mei Lin - w końcu to wywiad dostarczył błędne informacje. Miał tylko nadzieję, że zwykła asekuracja pułkownik pomoże jej w obronie. Komandor Han mógł czuć się najbezpieczniej, jako że nie miał wiele do powiedzenia, podobnie Dao Wei, którego okręty nie opuściły stoczni Changbai.

Najbardziej martwił go Shen Wu - Liao czuł głęboki wstyd, że zawiódł młodego komodora, nie przygotowując go właściwie do walki. Teraz dowódca eskadry „Wojownika” miał ponieść karę za błąd swojego przełożonego i Liao nie wiedział, w jaki sposób go od tego uchronić. Admirał rozważał kilka strategii, poczynając od stwierdzenia, że dokładnie taki był jego, Liao, plan walki na wypadek ataku na Anshan, aż po powołanie się na fakt, że komodor dostał informację, iż planeta jest całkowicie bezpieczna ze względu na gęstość siatki obrony.

Oczywiście, każda z tych opcji miała jedną zasadniczą wadę. Zakazane Miasto nie musiało argumentować zasadności ukarania kadry Liao. Mogło po prostu to zrobić - niesława admirała w tym przypadku kładła się cieniem na jego ludziach. Jedyne, co mógł osiągnąć Liao Tzu, to przekonać mandarynów do swoich racji, jednocześnie podsuwając im swoją osobę jako jedyne winnego.

Za oknami mignęły skrzydła bramy pałacu Cesarza oraz wyprostowani jak struny wartownicy i samochód wjechał na wewnętrzny dziedziniec. Admirał musiał przyznać, że Zakazane Miasto w świetle południowego słońca wygląda pięknie, zwłaszcza że po gładkich płytach ciągle przemykali ludzie w barwnych urzędowych strojach - dwór Niebiańskiego Smoka nieustannie pracował, zawsze zajęty sprawami Imperium. Pojazd nie zakręcał, sunął idealnie prosto, wpasowując się w taniec przewidziany nieznanym dla Liao rytuałem. Mimo że nikt nie usuwał się na bok, nikt nawet nie zmienił tempa marszu, nie zwalniali, zawsze trafiając na wolną drogę.

- Porządek - powiedziała nagle Yong Zhuang. Były to pierwsze słowa specjalnej wysłanniczki, odkąd wiozący ich okręt kurierski wszedł na orbitę nad Beijing. Admirał spojrzał na nią, z trudem maskując zaskoczenie. - To, co obserwujesz, admirale Liao Tzu, to porządek - wyjaśniła. - Reguła stroju, kierunku i tempa. W Zakazanym Mieście każdy krok jest istotny.

- Pozostaję pod wielkim wrażeniem świetności pałacu Niebiańskiego Smoka, specjalna wysłanniczko - odparł, licząc na kolejny ruch rozmówczyni. - Przyznaję, że ja, prosty żołnierz, rzadko mam okazję podziwiać pełen majestat cesarskiego dworu.

- Porządek to reguła, która rozciąga się na całe państwo. - Kobieta spojrzała na niego jednolicie czarnymi oczami. - Każdy krok poddanego Niebiańskiego Smoka jest

wypełnianiem jego woli. Tak dworu... - wskazała ruchem dłoni na ludzi za oknem -... jak i mój, czy Twój, admirale. Wszyscy służymy wielkości Imperium. Niebiański Smok tylko czuwa, by jego poddani szli we właściwą stronę.

Liao Tzu skłonił uprzejmie głowę. Trudno było wyczuć zamiary rozmówcy - niewiele istniało rzeczy, które Yong Zhuang mogła od niego teraz uzyskać. Przeanalizował w myślach każde słowo specjalnej wysłanniczki, ale nie dostrzegł żadnej pułapki.

- Jestem przekonany, że tylko najdoskonalsi z ludzi mogą być dopuszczeni do najważniejszych zadań. Takich jak niesienie Jego słowa. - Zdecydował się na dość neutralną uprzejmość. Zbyt mało wiedział, by budować linię obrony.

- Tak jak słońce ukazuje skazę na diamencie, światło Niebiańskiego Smoka potrafi odkryć nasze własne słabości, widoczne w nim jak na dłoni - odpowiedziała, zwróciwszy wzrok ku rosnącej sylwetce Pawilonu Waleczności. - Jego Imperialna Wysokość zawsze wie, komu powierzyć dane zadanie, admirale Liao Tzu. Zawsze.

Pojazd zatrzymał się, nim oficer zdążył odpowiedzieć. Chwilę później oboje kroczyli już po wysokich stopniach wiodących do wejścia pawilonu. Yong Zhuang milczała. Dwa Słowiki specjalnej wysłanniczki szły tuż za plecami swej pani, nie obdarzając Liao nawet jednym spojrzeniem. Admirał uniósł wzrok, spoglądając na czyste niebo ponad Zakazanym Miastem. Żałował tylko, że w dzień nie może dostrzec światła odległej Liaoning. Dobrze byłoby raz jeszcze zobaczyć własną prowincję.

*

Mandaryn czekał na nich w dokładnie tym samym miejscu, w którym Liao spotkał go po raz pierwszy, nad rozłożonym gobanem, pośród krzewów jaśminu i słowiczej pieśni. Nie podniósł wzroku na przybyłych, dopóki ci nie dotarli na nakazany etykietą dystans. Wtedy dopiero czarne oczy starca przestały studiować toczącą się na planszy bitwę. Liao potrzebował zaledwie jednego rzutu oka, by zauważyć, iż kamienie tworzą układ identyczny z tym, który widział podczas ostatniej rozmowy.

Admirał skłonił głowę, a Yong Zhunag pochyliła się w ceremonialnym ukłonie, w ruchu, który tuż po niej powtórzyły oba Słowiki.

- Nasze kolejne spotkanie nastąpiło niezwykle szybko - powiedział urzędnik. Choć mówił cicho, akustyka pawilonu czyniła jego słowa doskonale słyszalnymi. - Sprawiasz radość memu starczemu sercu.

Liao powstrzymał się od odpowiedzi, czekając, aż urzędnik zwróci się do Yong Zhuang, ale ten wyraźnie nie miał takiego zamiaru. Starzec zmierzył go wzrokiem ponad stolikiem do gry.

- Czuję się zaszczycony, że pozwolono mi, niegodnemu, odwiedzić Zakazane Miasto po raz kolejny - powiedział ostrożnie. Jego rozmówca bez wątplenia dokładnie znał przebieg bitwy w Tiedong, więc ta wypowiedź mogła być zarówno kurtuazyjnym wstępem do rozmowy, jak i próbą wybadania, w jaki sposób Liao poruszy temat. - Niestety, rozpacz budzą okoliczności, które temu towarzyszą.

Zamilkł w wyczekiwaniu. Lawina ruszyła, teraz nie dało się pozostać wobec niej obojętnym. Następny ruch należał do mandaryna lub też milczącej dotąd Yong Zhuang.

- Wieści o Nefrytowym Tygrysie uderzyły w Zakazane Miasto niczym niszczycielskie tsunami. - Mandaryn podjął grę. - Zaskoczyło mnie, jak niewielu wojowników potrafi zadać Imperium tak dotkliwy cios.

- To prawda. - Liao pochylił głowę. Mandaryn tym razem zdecydował się nie krążyć wokół zdobyczy, lecz uderzyć wprost. Admirał doskonale to rozumiał, wszak urzędnik miał przed sobą łatwą walkę. Nadeszła pora na przyjęcie ciosu z godnością. - Ze smutkiem muszę powiedzieć, że zwycięstwo zawdzięczają nie tylko swojej odwadze oraz umiejętnościom. Zawiniła też... duma i niewystarczające przygotowanie.

Urzędnik zmierzył go uważnym spojrzeniem, po czym na kilka chwil pogrążył się w kontemplacji gobanu. Liao czekał w napięciu. Nie sądził, by swoimi słowami zaskoczył starca - z całą pewnością mandaryn musiał brać pod uwagę taki przebieg wypadków. Przerwa w rozmowie nie była zatem wynikiem obmyślania strategii, miała wywrzeć określony efekt. Admirał zastanawiał się, jaki - w końcu etykieta nie zabraniała urzędnikowi po prostu przekazać wolę Zakazanego Miasta. Podobną zagadką był goban, obraz stoczonej ostatnio zwycięskiej bitwy. Liao rozważał, czy ma on być subtelnym przypomnieniem chwili, kiedy stał przed starcem pewien racji Rady Dowódców, czy może dalszym ciągiem zagadki, którą próbował od tamtego czasu rozwikłać.

- Zakazane Miasto zgadza się z twoją oceną, admirale Liao Tzu - powiedział wreszcie mandaryn, znowu podnosząc wzrok znad planszy i zwracając się do Yong Zhuang: - I jako jego sługa muszę, pomimo odczuwanego żalu, zapytać: dlaczego tak się stało, specjalna wysłanniczko? Dlaczego w ten sposób wykorzystyłaś powierzony w twe ręce majestat?

Liao Tzu zamarł, z najwyższym trudem zachowując niewzruszony wyraz twarzy. Okazanie zaskoczenia byłoby nie tylko pozbawione dobrego smaku, ale też pogarszałoby jego i tak trudną pozycję w rozmowie. Szybko odtworzył w pamięci działania specjalnej wysłanniczki w Liaoning, ale nie znalazł żadnej podstawy do postawienia jej takich zarzutów.

- Okryłam się hańbą i mogę jedynie w pokorze przyjąć osąd Niebiańskiego Smoka - odpowiedziała tymczasem kobieta. Nie wyglądała na zaskoczoną albo tak dobrze to

maskowała. - Nic nie usprawiedliwia mojej wiary, że potrafię lepiej od wojowników zrozumieć meandry sytuacji militarnej w ukochanej przez Cesarza prowincji Liaoning. Teraz widzę, że to pycha, wróg rozsądku, skłoniła mnie do wydania rozkazu osłabienia obrony Nefrytowego Tygrysa.

Admirał szybko opanował emocje i skupił się na usłyszanych słowach. Specjalna wysłanniczka nie mówiła prawdy. W trakcie swojego pobytu na „Smaragdzie” nie wydała mu ani jednego rozkazu. Zasugerowała wzmocnienie obrony Fushun, to fakt, ale w żadnym wypadku nawet nie zbliżało się to do wykroczenia, do którego się przyznawała. Kobieta musiała to wiedzieć, więc oczywiste było, że celowo przejaskrawia swoją winę - ale dlaczego?

- Niebiański Smok jest niezwykle zasmucony twoimi poczynaniami, Yong Zhuang. - Mandaryn spojrzał surowo na specjalną wysłanniczkę. - Jest więc jego wolą, byś wraz z towarzyszącymi ci Słowikami podążyła do znajdującego się przed pawilonem pojazdu. Zawiezie cię on w miejsce odosobnienia, gdzie będziesz oczekiwać kary za swoje poczynania.

- Udam się tam natychmiast, by w ciszy medytować nad swoją hańbą. - Kobieta pokłoniła się nisko, a potem obróciła ku wyjściu. Zanim pochyliła głowę w wymaganej etykietą demonstracji żalu i wstydu, spojrzenie jej czarnych oczu zatrzymało się na moment na admirale. Kącik ust kobiety drgnął - ledwo dostrzegalnie, ale wobec wymogów sytuacji był to niemal uśmiech.

Pozwoliła Słowikom - niegdysiejszym służkom, które zostały strażniczkami - stanąć obok siebie i ruszyła wzdłuż pustego pawilonu. Czerwonozłota suknia płynęła za nią jak miękka fala jedwabiu.

- Zakazane Miasto i ja osobiście pozostajemy, admirale, zawiedzeni niegodnością Yong Zhuang. - Głos mandaryna zadziałał jak dzwonek alarmowy, przypominając mu, że bitwa nadal trwa. Choć warunki starcia gwałtownie się zmieniły, nadal nie mógł być pewien, do czego zmierza starzec. - Mogę cię tylko zapewnić, że dopilnujemy, by poniosła karę za swoje czyny.

Liao Tzu pochylił głowę. Pora na jego słowa jeszcze nie nadeszła. Rozmówca z pewnością wiedział, jak sytuacja wyglądała naprawdę. Przymknięcie było więc nie na miejscu, zaprzeczenie sugerowało powątpiewanie w słuszność osądu Zakazanego Miasta wobec własnych wysłanników. Inicjatywa należała teraz do starego człowieka po drugiej stronie gobanu.

- Wiedz jednak, że tak jak w budowie Imperium wzięli udział pospołu dzierżący

urzędy i wojownicy, podobną jedność winni oni wykazać w dźwiganiu ciężaru jego porażek - powiedział mandaryn spokojnie. - Dlatego też jest wolą Niebiańskiego Smoka, by komodor Shen Wu przejął dowodzenie eskadrą krążowników i byś ty, admirale, osobiście doglądał jego rozwoju.

- Stanie się tak, jak życzy sobie tego Niebiański Smok.

Odporność Liao na niespodzianki przechodziła kolejną ciężką próbę. Kara, którą ponieść miał Shen Wu, była oczywista - utrata silnej eskadry liniowej na rzecz dowodzenia związkami dokładnie takim, jaki go pokonał, była nie tylko ciosem dla kariery komodora, ale też bardzo wyraźnym przytykiem. Tym niemniej stanowiła konsekwencje daleko mniej dotkliwe, niż mógł się spodziewać. Zakazane Miasto zadbało również o to, by pozbawić admirała jakiegokolwiek możliwości obrony podwładnego - w końcu nikt nie obwiniął floty, a konsekwencje wobec Wu miały jedynie wyrazić jedność poglądów administracji i Rady Dowódców... nadal jednak niejasne pozostawały motywy działania Yong Zhuang.

- Zakazane Miasto dostrzega swoją pomyłkę - kontynuował starzec - dlatego eskadra „Górskiego wiatru” pozostanie w Liaoning. Wkrótce też nadejdą dalsze posiłki. Pozwolą one zbudować mur obronny, zdolny powstrzymać wszelkich najeźdźców zagrażających Imperium, tak by tragedia, jakiej byliśmy świadkami, nie powtórzyła się.

Olśnienie spadło na Liao Tzu nagle i boleśnie niczym cios. Słowa „mur obronny” dokładnie sugerowały, czego oczekiwał mandaryn. Czyli o to chodziło. Nie było potrzeby wymieniać dowódcy Liaoning na nowego - to nie rozwiązałoby problemu Zakazanego Miasta z Radą. Wystarczyło utrzymać jego, który teraz musiał grać ramię w ramię z mandarynami, ba, który sam wspomniał podczas ostatniego spotkania, że Nefrytowy Tygrys jest kluczowy, jeśli chodzi o atak na terytorium Unii.

Admirał doceniał elegancję chwytu przeciwnika, tym bardziej kiedy po kilkusekundowej analizie oszacował, jak niewiele opcji mu pozostało. Mógł oczywiście argumentować za atakiem, ale oznaczałoby to zaprzeczenie własnym słowom, co rozmówca z pewnością by mu wypomniał - w końcu nie bez powodu pomiędzy nimi nadal znajdował się goban, milczące przypomnienie tamtej rozmowy. Mógł napomknąć o oddaniu ciosu Unii, ale natychmiast otrzymałby odpowiedź, że myśl o zemście zaciemnia umysł wojownika i bardziej przysłuży się nieprzyjacielowi niż Imperium. Mógł próbować wycofać się z wcześniejszego stwierdzenia, ale nawet jeżeli nie zostałyby to potraktowane jako zmiana zdania, poprowadziłyby rozmowę w kierunku konieczności uważnej rewizji planu, skoro Rada Dowódców właśnie zmienia mocne założenie.

- Skromny żołnierz Niebiańskiego Smoka pozostaje wdzięczny, iż oczy Jego dworu

zechciały spojrzeć na sytuację prowincji aż tak przenikliwie - powiedział tylko, cały wysiłek wkładając w zachowanie kamiennej twarzy. - Nie mam wątpliwości, iż siły Liaoning będą w stanie zmyć hańbę utraty Nefrytowego Tygrysa.

- Hańba pozostaje po stronie Yong Zhuang i jej błędnej oceny, admirale. - Mandaryn nawet drgnięciem powieki nie okazał tryumfu. - Niezwykle cieszę się z naszej jednomyślności. Bardzo żałuję, że ciężąca na tobie odpowiedzialność uniemożliwia ci pozostanie tu dłużej.

- Rzeczywiście - odparł Liao. - Choć serce raduje się z możliwości stąpienia wśród pawilonów pałacu Niebiańskiego Smoka, rozum nie pozwala zapomnieć o obowiązkach.

Jawny sygnał o zakończeniu audiencji nie dziwił go ani trochę. Wiadomość Zakazanego Miasta została przekazana w sposób niebudzący żadnych wątpliwości i każda następna minuta byłaby z punktu widzenia obu stron jedynie zbędną kurtuazją. Pokłonił się głęboko mandarynowi, a kiedy ten odpowiedział tym samym, obrócił się i ruszył do wyjścia. Musiał sam przed sobą przyznać, że podziwiał miazdzącą efektywność, z jaką rozwiązano sprawę rozpoczęcia ofensywy, i doskonale rozegranie utraty Nefrytowego Tygrysa.

Niepokojąca myśl tknęła go dopiero, kiedy opuścił budynek i stanął na szczycie kamiennych schodów, ponad zalany światłem dziedzińcem Zakazanego Miasta.

To wszystko było zbyt... precyzyjne. Przecież Yong Zhuang przybyła do stoczni Changbai, zanim jeszcze pojawił się pierwszy sygnał o akcji nieprzyjaciela, a feralna rozmowa w Pawilonie Waleczności miała miejsce jeszcze wcześniej. Wszystkie uprzednie polecenia, wzmocnienie obrony orbitalnej Anshan do bezprecedensowych rozmiarów, i to konkretnym typem platform, sugestia wyznaczenia sił komodora Wu do obrony... Czy to możliwe, że Cesarz zdecydował się poświęcić Nefrytowego Tygrysa w imię powstrzymania własnej floty?

Przez chwilę stał nieruchomo, walcząc z tą myślą. To przecież było nierealne. Nie dało się przewidzieć, gdzie uderzy Unia ani jak. Zbyt wiele drobnych, praktycznie niemożliwych do kontrolowania składowych złożyło się na ostateczny obraz porażki admirała, by uznać, że została ona starannie wyreżyserowana. Zdrowy rozsądek Liao skrzętnie odrzucił niedorzeczny pomysł.

Ale Liao Tzu miał jeszcze instynkt, wyrobiony w dziesiątkach misji bojowych, kiedy określenie kolejnego kroku było kwestią fuzji wyszkolenia, dedukcji i przeczucia. I właśnie instynkt nie chciał zgodzić się ze spokojnymi, logicznymi argumentami rozsądku. Jest możliwe, sugerował nieśmiało, że mandaryn nie rozstawił gobanu, by zarysować przewagę, ale przypomnieć ich rozmowę z poprzedniej audiencji. „Co widzisz?” - zapytał wtedy.

Tylko co miał zobaczyć?

Pełen wątpliwości ruszył w dół ku oczekującemu pojazdowi, układając w myślach plan na następne miesiące. U jego stóp, na dziedzińcu Zakazanego Miasta, mrowie ludzi wykonywało niezliczone zadania codziennego życia pałacu, a ich jedwabne stroje tworzyły na kamiennych płytach ruchomą mozaikę barw, z której wyłaniały się kwiaty i żurawie w locie. Nie mogli być świadomi obrazów, jakie tworzyli, poruszając się ściśle wyznaczonymi ścieżkami. Ich działania były odzwierciedleniem porządku - imperialnej maszyny, w której wszyscy mieli swoje miejsce i każdy krok przybliżał ich do celu wyznaczonego przez Niebiańskiego Smoka.